

Dean R. Koontz

Zabójca Strachu

Fear Nothing

I tom Moonlight Bay

Przełożył Paweł Korombel

Data wydania oryginalnego: 1998

Data wydania polskiego: 2002

TMN

*Jest ciężar do dźwigania
i droga do przebycia.
Jest ciężar do dźwigania
i cel, co nam umyka.
Jest ciężar do dźwigania,
wolno go złożyć nam.
Ten ciężar, to my sami,
stąd tam, stąd tu, stąd tam.*

„Księga policzonych smutków”

*Robertowi Gottliebowi,
za którego wyobraźnię, geniusz i poświęcenie
dziękuję losowi każdego dnia.*

Część Pierwsza

Zmierzch

1

W rozświetlonym świeczkami gabinecie zadzwonił stojący na biurku telefon, a ja już wiedziałem, że szykuje się straszliwa zmiana.

Nie mam zdolności ponadzmysłowych. Nie widzę żadnych zwiastujących znaków na niebie. Moje oko nie czyta przyszłości z linii dłoni i nie mam umiejętności Cyganów, którzy w fusach po herbacie wypatrują ścieżek losu. Jednak umierał mój ojciec i spędziwszy poprzednią noc przy jego łóżku, ocierając mu pot z czoła i słuchając, z jaką trudnością oddycha, wiedziałem, że zbliża się koniec. Po raz pierwszy jak żyję — skończyłem dwadzieścia osiem lat — dotkliwe poczucie utraty i samotności napawało mnie straszliwym lękiem.

Jestem jedynym synem, jedynym dzieckiem. Matka zmarła dwa lata temu. Jej śmierć wstrząsnęła mną, ale przynajmniej mama nie musiała walczyć z długotrwałą chorobą.

Poprzedniej nocy, tuż przed brzaskiem, wróciłem wyczerpany do domu. Jednak nie spałem długo ani dobrze. Teraz wychyliłem się z fotela i telepatycznie starałem się sprawić, by telefon zamilkł, ale na próżno.

Pies też wiedział, co oznacza dzwonienie. Cicho wyszedł z cienia w światło świec i wpatrywał się we mnie zasmucony. W przeciwieństwie do swoich pobratymców, on wytrzymuje ludzki wzrok, póki mu się to nie znudzi. Zwykle zwierzęta patrzą na nas przelotnie — potem odwracają wzrok, jakby wyprowadzone z równowagi czymś, co dostrzegają w ludzkich oczach. Być może Orson widzi to, co inne psy, i być może też jest zaniepokojony, ale nie onieśmielony.

Dziwny pies. Ale to mój pies, wierny przyjaciel i kocham go.

Przy siódmym dzwonku poddałem się nieuchronnemu i podniosłem słuchawkę. Dzwoniła pielęgniarka ze Szpitala Miłosierdzia. Rozmawiając z nią nie odrywałem spojrzenia od Orsona.

Ojciec szybko tracił siły. Pielęgniarka zasugerowała, bym natychmiast przyjechał.

Gdy odłożyłem słuchawkę, Orson podszedł do fotela i położył kudłaty czarny łeb na moim podołku. Zapiszczał cicho i polizał mi dłoń. Nie pomachał ogonem.

Przez chwilę byłem sparaliżowany, niezdolny do myślenia ani działania. Cisza domu, głęboka jak oceaniczna otchłań, przygniatała mnie z miażdżącym, obezwładniającym naporem. Potem zadzwoniłem do Saszy Goodall z prośbą, by podwiozła mnie do szpitala.

Zwykle śpi od południa do ósmej. Puszczą muzykę w nocy, od północy do szóstej rano, w KBAY, jedynej rozgłośni radiowej w Moonlight Bay. Kilka minut po piątej tego marcowego popołudnia najprawdopodobniej spała i miałem wyrzuty sumienia, że muszę ją obudzić. Jednakże, podobnie jak smutnooki Orson, Sasza była moim przyjacielem; zawsze mogłem się do niej zwrócić. I prowadziła samochód o wiele lepiej od psa.

Odpowiedziała na drugi dzwonek, bez śladu senności w głosie. Zanim zdążyłem powiedzieć, co się stało, odezwała się pierwsza:

— Chris, strasznie mi przykro — jakby czekała na ten telefon i w terkocie dzwonka usłyszała też ową złowrobną nutę, którą ja i Orson usłyszeliśmy wcześniej.

Przygryzłem wargę i rozważałem najbliższą przyszłość. Tak długo, jak tato żył, pozostawała nadzieja, że lekarze się pomylili. Nawet w stanie uznanym za beznadziejny rak mógł się cofnąć.

Cuda się zdarzają. Przecież mimo mojej choroby przeżyłem ponad dwadzieścia osiem lat, co jest jakimś cudem — chociaż ludzie obserwując moje życie z zewnątrz mogliby pomyśleć, że to jakieś przekleństwo.

Wierzę w możliwość cudów, a ściślej, wierzę w to, że są nam potrzebne.

— Przyjadę za pięć minut — obiecała Sasza.

Nocą mógłbym przejść do szpitala, ale pokonując drogę na piechotę, naraziłbym się na wścibskie spojrzenia i niebezpieczeństwo.

— Nie — rzekłem. — Jedź ostrożnie. Będę gotów za jakieś dziesięć minut.

— Kocham cię, bałwanku.

— Kocham cię — odpowiedziałem.

Zakręciłem pióro, którym pisałem, kiedy zadzwoniono ze szpitala, i odłożyłem je na notatnik.

Ucieradłem na długiej rączce zgasilem trzy grube świece. Smużki dymu wiły się w cieniach zjawiskowymi splotami.

Teraz, na godzinę przed zmrokiem, słońce wisiało nisko na niebie, ale nadal było niebezpieczne. Połyskiwało groźnie na krawędziach pofałdowanych zasłon maskujących wszystkie okna.

Orson, jak zwykle wyczuwając moje intencje, wyszedł już z pokoju pokonując górny korytarz.

Jest czterdziestoipółkilogramowym skundlonym labradorem, czarnym jak kocur wiedźmy. Niewidoczny przebywa gęste cienie naszego domu. Jego obecność zdradza jedynie głuchy tupot grubych łap po dywanach i grzechot pazurów na drewnianych klepkach.

W mojej sypialni, naprzeciw gabinetu, nie zwracałem sobie głowy włączeniem plafoniery z matowym szkłem, regulowanej ściemniaczem. Wystarczy mi odbite, kwaśno-żółte światło zachodzącego słońca, napierające na krawędzie okiennych zasłon.

Mam wzrok lepiej przystosowany do mroku niż większość ludzi. Chociaż jestem „sową”, nie mam nadzwyczajnej zdolności nocnego widzenia, żadnych uzdolnień paranormalnych. Po prostu, przyzwyczajenie do mroku wyostrzyło moje postrzeganie w nocy.

Orson wskoczył na podnózek, a potem zwinął się na fotelu obserwując, jak sposobie się do rozświetlonego świata.

Z niewielkiej szafki w sąsiedniej łazience wyjąłem plastikową buteleczkę kremu z filtrem nr 50. Szczodrze natarłem twarz, uszy i szyję. Krem miał lekką kokosową woń, kojarzącą mi się z palmami w słońcu, tropikalnym niebem, rozległym oceanem, na którym migoce światło południa, i innymi zjawiskami, których nigdy nie zakosztuję. Jest to zapach pożądania, odmowy i beznadziejnego pragnienia, uwodzicielska perfuma nieosiągalnego.

Czasem śnię, że spaceruję po karaibskiej plaży w powodzi słonecznego światła, i biały piasek pod stopami wydaje się być poduszką czystej świetlistości. Ciepło słońca na skórze jest bardziej zmysłowe niż dotyk kochanki. We śnie światło nie tylko pieści mnie, ale i przenika. Po obudzeniu czuję się obrabowany.

Natomiast sam krem, chociaż pachnie tropikalnym słońcem, chłodzi twarz i szyję. Smaruję również dłonie i przeguby.

Łazienka ma pojedyncze okno, z chwilowo uniesioną zasłoną, ale wewnątrz jest skąpo oświetlone, bo szkło jest matowe, a wdzięczne gałązki metrosiderosu filtrują wpadające promienie słońca. Sylwetki liści tańczą na framudze.

W lustrze nad umywalką moje odbicie jest ledwie cieniem. Nawet włączysz światło nie ujrzałbym się wyraźnie, ponieważ pojedyncza sufitowa żarówka w abażurze ma niską moc i jest brzoskwiniowo zabarwiona.

Rzadko widuję swoją twarz w pełnym świetle.

Sasha mówi, że przypominam jej Jamesa Deana — bardziej w „Na wschód od Edenu” niż w „Buntowniku bez powodu”.

Ja nie dostrzegam podobieństwa. Tak, włosy i bladoniebieskie oczy są identyczne. Ale on wyglądał na załamane, a mnie daleko do takiego stanu.

Nie jestem Jamesem Deanem. Jestem sobą, Christopherem Snowem.

Zabezpieczywszy się przed światłem wróciłem do sypialni. Orson uniósł łeb, wciągając w nozdrza kokosową woń.

Miałem już na sobie frotowe skarpetki, niki, niebieskie džinsy i czarny T-shirt. Szybko włożyłem czarną džinsową koszulę i zapiąłem ją pod szyją.

Orson towarzyszył mi do przedpokoju. Ponieważ weranda jest głęboka, z niskim sufitem i w ogrodzie rosną dwa szeroko rozgałęzione dęby kalifornijskie, słońce bezpo-

średnio nie dociera do pary wąskich okienek okalających drzwi; nie mają więc zasłon ani żaluzji. Witrazowe szybki — geometryczne szklane mozaiki w kolorach czystej zieleni, czerwieni i bursztynowej żółci — jarzyły się miękkim blaskiem klejnotów.

Wziąłem z szafy ściennej czarną skórzaną kurtkę zapinaną na zamek błyskawiczny. Wyjdę po zmierzchu i mimo że był łagodny marcowy dzień na środkowym wybrzeżu Kalifornii, może się zrobić chłodno, gdy zajdzie słońce.

Z półki ściągnąłem granatową czapkę z daszkiem i wcisnąłem ją nisko na czoło. Nad daszkiem wyszyto ciemnoczerwoną nicią „Pociąg Tajemnica”.

Pewnej nocy zeszłej jesieni znalazłem tę czapkę w Fort Wyvern, opuszczonej wojskowej bazie w Moonlight Bay, jedyny przedmiot, który się znajdował w zimnym, suchym pomieszczeniu z betonu, trzy kondygnacje pod ziemią. Chociaż nie miałem pojęcia, co znaczy wyszyty napis, zatrzymałem czapkę, bo mnie zaintrygowała.

Ruszyłem do wyjścia. Orson zapiszczał błagalnie. Zatrzymałem się i pogłaskałem go.

— Tato na pewno chciałby cię zobaczyć ten ostatni raz, piesku. Bez wątpienia. Ale nie wpuściliby cię do szpitala.

Zalśniły prosto skierowane, czarne jak węgiel ślepie. Przysiągłbym, że zabłysł w nich smutek i współczucie. Być może dlatego, że sam patrzyłem na niego powstrzymując łzy.

Mój przyjaciel, Bobby Halloway, powiada, że antropomorfizuję zwierzęta, przypisuję im ludzkie cechy, których faktycznie nie mają.

Być może robię to dlatego, że zwierzęta w przeciwieństwie do niektórych ludzi zawsze akceptowały mnie takim, jaki jestem. Czworonożni obywatele Moonlight Bay mają szersze spojrzenie na życie — i okazują więcej dobroci — niż moi sąsiedzi, przynajmniej niektórzy.

Bobby powiada, że antropomorfizacja zwierząt, niezależnie od moich doświadczeń, jest oznaką niedojrzałości. Ja powiadam Bobby’emu, żeby się ode mnie odkopulował.

Popieściłem Orsona: pogładziłem lśniące futro i podrapałem psa za uszami. Był dziwnie spięty. Dwukrotnie przekrzywił łeb i nasłuchiwał dźwięków, których nie potrafiłem wychwycić — jakby wyczuwał w powietrzu zbliżające się zagrożenie, coś jeszcze gorszego niż strata ojca.

W owym czasie nie dostrzegałem jeszcze niczego podejrzanego w śmiertelnej chorobie taty. Rak był tylko sprawą losu, nie morderstwem — chyba że wniosłoby się oskarżenie o morderstwo przeciwko Bogu.

To, że straciłem oboje rodziców w ciągu dwóch lat, że matka umarła mając zaledwie pięćdziesiąt dwa lata, że ojciec leżał na łożu śmierci mając zaledwie pięćdziesiąt sześć lat... no cóż, to wszystko wydawało mi się brakiem szczęścia, który towarzyszył mi dosłownie od poczęcia.

Później miałem powód, by przypomnieć sobie napięcie Orsona — znakomity powód do zastanawiania się, czy wyczuwał nieuchronną, płynącą ku nam falę kłopotów.

Bobby Holloway pewnie szydziłby z tego i powiedziałby, że robię coś gorszego niż antropomorfizuję psa, że teraz przypisuję mu cechy nadludzkie! Musiałbym zgodzić się z tą opinią — a potem powiedziałbym Bobby'emu, żeby odkopulował się ode mnie w podskokach!

W każdym razie gładziłem i drapałem Orsona, aż na ulicy rozległ się klakson, a potem prawie natychmiast samochód znalazł się na podjeździe.

Przyjechała Sasza.

Mimo kremu przeciwsłonecznego na karku zabezpieczyłem się dodatkowo stawiając kołnierz kurtki.

Z przedpokojowego stolika w stylu Stickleya, stojącego pod reprodukcją „Brzasku” Maxfielda Parrisha, wziąłem przeciwsłoneczne gogle. Z ręką na miedzianej gałce przy drzwiach jeszcze raz odwróciłem się do Orsona.

— Nic nam nie będzie.

Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, jak zdołamy egzystować bez taty. Był naszym łącznikiem ze światem blasku i ludźmi dnia. Co więcej, kochał mnie jak nikt na świecie, jak tylko rodzic mógł kochać niepełnosprawne dziecko. Rozumiał mnie tak, jak chyba już nikt mnie nie zrozumie.

— Nic nam nie będzie.

Pies spojrzał na mnie z powagą i prychnął niemal litościwie, jakby wiedział, że kłamie.

Otworzyłem drzwi i gdy tylko wyszedłem na dwór, włożyłem okulary. Szkła nie przepuszczały promieni ultrafioletowych. Moje oczy są najbardziej wrażliwą na uraz częścią ciała. Nie mogę narażać wzroku na ryzyko.

Zielony ford explorer Saszy stał z włączonym silnikiem na podjeździe, a ona siedziała za kierownicą.

Zamknąłem drzwi na klucz. Orson nie usiłował wymknąć się za mną.

Z zachodu zerwał się wietrzyk — przybrzeżna bryza ze słabym, cierpkim zapachem morza; liście dębu szeptały; konary dzieliły się sekretami.

W płucach doznałem takiego ucisku, jakby nalano mi tam płynnego ołowiu. Wyłącznie psychiczna, ale dokuczliwa reakcja, nieodmiennie ta sama, gdy wychodziłem na dwór za dnia.

Szedłem zmiażdżony po stopniach werandy i kocich łbach podjazdu. Być może tak czuje się nurek głębinowy w skafandrze i z całym wodnym królestwem nad głową.

2

Kiedy już wsiadłem do explorera, Sasza Goodall przywitała mnie cicho:

— Hej, bałwanku.

— Hej.

Zapiąłem pas, podczas gdy Sasza wrzuciła wsteczny.

Oddalaliśmy się od domu, a ja przyglądałem się mu spod daszka czapki. Rozmyślałem, jakie zrobi na mnie wrażenie, gdy ujrzę go następnym razem. Czułem, że gdy ojciec opuści ten padół, wszystkie rzeczy, które do niego należały, wydadzą się marniejsze i pomniejszone, pozbawione opieki jego ducha.

Była to budowla wierna stylowi „The Craftsman”, w tradycji Greene’ów; kamienna podmurówka z minimum zaprawy, cedrowy szalunek posrebrzony zmienną pogodą, całkowicie nowoczesny w linii, ale w najmniejszym stopniu niesztuczny, dojrzały owoc ziemi. Po ostatnich zimowych deszczach zielone pokrycie mchu zmiękczyło ostre linie dachówek.

Gdy cofaliśmy się na ulicę, wydawało mi się, że widzę cień wsparty o jedno z okien pokoju dziennego, w głębi werandy i pysk Orsona przy szybie, łapy na parapecie.

— Jak dawno tego nie czułeś? — spytała Sasza.

— Światła dnia? Nieco ponad dziewięć lat.

— Nowenna dla mroku.

Pisywała teksty piosenek.

— Niech to diabli, Goodall, tylko nie szpikuj mnie poezją.

— Co wydarzyło się dziewięć lat temu?

— Zapalenie wyrostka.

— Ach. Mało wtedy nie umarłeś.

— Tylko śmierć wyciąga mnie na światło dnia.

— Przynajmniej masz po tamtym seksi bliznę — powiedziała.

— Tak sądzisz?

— Lubię ją całować, no nie?

— To właśnie mnie zastanawia.

— Prawdę mówiąc, mam stracha, kiedy o niej myślę. — Mogłeś umrzeć.

— Nie umarłem.

— Kiedy ją całuję, to jakbym odmawiała krótką modlitwę dziękczynną. Że jesteś ze mną.

— A może rajcuje cię kalectwo.

— Dupek żółedny.

— Nie mamusia nauczyła cię tak mówić.

— Siostrzyczki w szkole parafialnej.

— Wiesz, co lubię?

— Jesteśmy razem ze dwa lata. Taaa, chyba wiem, co lubisz.

— Lubię, że nigdy nie pozwoliłaś mi chwilę poleniuchować.

— Czemu bym miała ci pozwolić?

— Właśnie.

Nawet w zbroi ubrania i kremu, za okularami, które chroniły moje wrażliwe oczy przed promieniami ultrafioletowymi, byłem wyprowadzony z równowagi przez dzień wokół i nade mną. W jego imadle czułem się jak skorupka jajka.

Sasza zdawała sobie sprawę z mojego dyskomfortu, ale udawała, że go nie dostrzeża. Aby oderwać moją uwagę od zagrożenia i nieskończonej urody rozświetlonego świata, zrobiła to, co umiała tak doskonale — czyli była sobą. Saszą.

— Gdzie będziesz? — spytała. — Po tym.

— Jeśli będzie „po tym”. Mogą się mylić.

— Gdzie będziesz, kiedy będę na antenie?

— Po północy... pewnie u Bobby'ego.

— Dopilnuj, żeby włączył radio.

— Dziś w nocy przyjmujesz zamówienia? — spytałem.

— Nie musisz dzwonić. Wiem, czego ci potrzeba.

Na następnym rogu skręciła w prawo, w Ocean Avenue. Jechała w górę, od oceanu.

Kamienne sosny rozkładały gałęzie nad ulicą, przed sklepami, restauracjami i szerokimi chodnikami. Siatka światłocienia pokrywała jezdnię.

Moonlight Bay, dom dla dwunastu tysięcy ludzi, unosi się z portu i równin w łagodnie pofalowane wzgórza. W większości przewodników turystycznych nasze miasteczko jest nazywane klejnotem Środkowego Wybrzeża, częściowo dzięki upartej konspiracji członków izby handlowej popierających szerokie używanie tego przydomka. Jednakże zasłużyło na niego z wielu powodów, z których nie najmniejszy to bogactwo drzew. Majestatyczne dęby z koronami liczącymi sobie setki lat. Sosny, cedry, palmy. Gęste kępy eukaliptusów. Moje ulubione to wielolistne *meleuca luminaria* udrapowane na wiosnę etolami gronostajowego kwiecica.

Ze względu na mnie Sasza założyła ochronną folię na okna explorera. Niemniej jednak widok był szokująco bardziej jaskrawy niż to, do czego przywykłem.

Zsunąłem okulary w dół nosa i zerknąłem znad oprawek.

Igły sosen rozłożyły się bogatą ciemną koronką na tle cudownego purpurowo-niebieskiego późnopołudniowego nieba, tajemniczo rozjaśnionego, i odbicie tego wzoru migotało na przedniej szybie.

Szybko poprawiłem okulary, nie tylko by chronić oczy, ale czując nagły wstyd, że tak zachwycam się dzienną podróżą, nawet gdy ojciec leży umierający.

Jadąc szybko — w granicach rozsądku — nigdy nie zatrzymując się na skrzyżowaniach bez świateł, Sasza powiedziała:

— Wejść z tobą.

— To niekonieczne.

Nieprzeparta niechęć Saszy do lekarzy, pielęgniarek i wszystkiego, co wiązało się z medycyną, graniczyła z fobią. Przeważnie była przekonana, że będzie żyć wiecznie; pokładała wielką wiarę w witaminach, pierwiastkach śladowych, przeciwutleniaczach, myśleniu pozytywnym i technikach leczenia umysłem. Jednakże byłe odwiedziny w szpitalu wstrząsały jej przekonaniem, że uniknie losu wszelkich cielesnych istot.

— Naprawdę, powinnam być przy tobie — powiedziała. — Kocham twojego tatę.

Jej zewnętrznemu spokojowi zaprzeczało drzenie w głosie. Byłem wzruszony tą gotowością towarzyszenia mi do miejsca, którego nie cierpiała najbardziej na świecie.

— Chcę z nim pobyc sam przez ten kawałek czasu, jaki nam został — powiedziałem.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Słuchaj, zapomniałem zostawić kolację Orsonowi. Mogłabyś wrócić do domu i zająć się tym?

— Uhm. — Przyjęła zadanie z wyraźną ulgą. — Biedny Orson. Byli z twoim tatą prawdziwymi kumplami.

— Przysięgam, że on wie o tym.

— Pewnie. Zwierzęta wiedzą takie rzeczy.

— Zwłaszcza Orson.

Z Ocean Avenue skręciła w Pacific View. Szpital Miłosierdzia był dwie przecznice dalej.

— Zajmę się nim — powiedziała.

— Nie okazuje wiele, ale już martwi się po swojemu.

— Wyściskam go i wytarłoszę, ile się da.

— Tato to była jego więź z dniem.

— Ja teraz nią będę.

— On nie może żyć tylko w ciemności.

— Ma mnie i nigdy nigdzie nie odejść.

— Naprawdę?

— Zajmę się nim.

Tak naprawdę to już nie mówiliśmy wcale o psie.

Szpital był dwupiętrową budowlą w stylu kalifornijsko-śroziemnomorskim, zbudowaną w innej epoce, kiedy owo określenie nie przywodziło na myśl bezdusznej przydrożnej architektury i tanich konstrukcji. Głęboko osadzone okna okalały spatynowane mosiężne framugi. Loggie z łukami i wapiennymi kolumnkami ocieniały parterowe pomieszczenia. Niektóre z kolumn były spowite odroślami starych *bougainvilli* zaścianających dachy loggii. Tego dnia, mimo że do wiosny zostało jeszcze kilka tygodni, wiodospady szkarłatnych i świetlistych kwiatów zwisały z okapów.

Zdobyłem się na odwagę i na kilka sekund zsunąłem okulary w dół nosa, podziwiając zbryzgany słońcem karnawał barw.

Sasza zatrzymała się u bocznego wejścia.

Gdy uwolniłem się z pasa bezpieczeństwa, położyła mi rękę na ramieniu i lekko uścisnęła.

— Zadzwoń do mnie na komórkę, kiedy będziesz chciał, żebym wróciła.

— Zanim wyjdę, będzie po zachodzie słońca. Pójdę piechotą.

— Jeśli tego chcesz.

— Tak.

Znowu zsunąłem w dół okulary, tym razem, aby zobaczyć Saszę Goodall taką, jakiej nigdy nie widziałem. W blasku świec jej szare oczy są głębokie, ale czyste; tak wyglądają też w świetle dnia. W blasku świec gęste mahoniowe włosy są świetliste jak wino w kryształ — ale pod czułą dłonią słońca nabierają jeszcze więcej blasku. Kremową skórę przywodzącą na myśl płatki róż pokrywają leciutkie piegi, których wzór znam tak doskonale, jak konstelacje każdej ćwiartki nocnego nieba w kolejnych porach roku.

Sasza palcem poprawiła mi okulary.

— Nie bądź głupi.

Jestem człowiekiem. A głupota stanowi o człowieczeństwie.

Jednak gdybym miał oślepnąć, jej twarz to widok, który będzie podtrzymywał mnie na duchu w wiecznej czerni.

Pochyliłem się obok deski rozdzielczej i pocałowałem ją.

— Pachniesz jak kokos — powiedziała.

— Staram się.

Znowu ją pocałowałem.

— Nie powinieneś być dłużej na dworze w tych warunkach — powiedziała stanowczo.

Słońce, mające pół godziny drogi do morza, było intensywnie oranżowe, wieczny termonuklearny holokaust oddalony sto pięćdziesiąt milionów kilometrów. Pacyfik był miejscami płynną miedzią.

— Idź, kokosowy chłopcze. Nie ma cię.

Otulony jak Człowiek Słoń wysiadłem z explorera, wbijając ręce w kieszenie kurtki.

Obejrzałem się. Sasza odprowadzała mnie wzrokiem. Uniosła kciuk do góry.

3

Gdy wszedłem do szpitala, Angela Ferryman czekała w korytarzu. Była nocną pielęgniarką z drugiego piętra i zeszła na dół mnie przywitać.

Angela, łagodna śliczna kobieta dochodząca pięćdziesiątki; rozpaczliwie szczupła i dziwnie bladooka, jakby jej poświęcenie dla chorych było tak bezgraniczne, że z racji surowych warunków umowy z diabłem musiała ofiarować ciało dla zdrowia innych. Nadgarstki miała zbyt delikatne do wykonywanej pracy, a poruszała się tak lekko i szybko, iż wydawało się, że kości ma puste jak kości ptaków.

Wyłączyła jarzeniowe panele oświetlające korytarz. Dopiero wtedy mnie uściskała.

Gdy przechodziłem choroby wieku dziecięcego i dorastania — świnkę, grypę, ospę wietrzną — a nie mogłem być bezpiecznie leczony poza domem, to Angela, wizytująca pielęgniarka, codziennie sprawdzała mój stan. Jej gorące kościste uściski odgrywały równie ważną rolę podczas leczenia jak drewniane szpatułki, termometry i strzykawki.

Jednak teraz jej uścisk bardziej wystraszył mnie niż dodał otuchy i zapytałem:

— Już?

— Wszystko dobrze, Chris. Wciąż się trzyma. Chyba tylko ze względu na ciebie.

Podszedłem do pobliskich schodów ewakuacyjnych. Gdy drzwi klatki schodowej zamknęły się za mną, Angela znów włączyła lampy oświetlające korytarz.

Światła klatki schodowej nie były niebezpieczne. Ale i tak szedłem szybko i nie zdjąłem okularów.

U szczytu schodów, na korytarzu drugiego piętra, czekał Seth Cleveland. Był lekarzem ojca i moim. Chociaż wysoki, o ramionach tak szerokich i potężnych, że zdawały się grozić uwięzieniem go w łukach szpitalnych loggii, zawsze poruszał się z gracją znacznie niższego mężczyzny i miał łagodny głos misia z bajki.

— Dajemy mu środki przeciwbólowe — powiedział, wyłączając górne światła — więc ma okresowe zaniki świadomości. Ale za każdym razem, kiedy odzyskuje przytomność, pyta o ciebie.

Wreszcie zdjąłem okulary i wsadziłem je do kieszeni koszuli. Szybko pokonywałem szeroki korytarz, mijając pomieszczenia, w których pacjenci — wszelkie przypadki, we

wszelkich stadiach choroby — leżeli nieświadomi albo siedzieli przed tackami z kolacją. Ci, którzy zauważyli zgaśnięcie świateł w korytarzu, zdawali sobie sprawę, co było tego powodem, i zastygali podczas jedzenia, śledząc mnie wzrokiem, gdy przechodziłem obok.

W Moonlight Bay jestem sławny wbrew własnej woli. Z dwunastu tysięcy stałych mieszkańców i prawie trzech tysięcy studentów Ashdon College, prywatnej uczelni artystycznej, jestem być może jedyną osobą, której nazwisko znają wszyscy. Jednakże z powodu mojego nocnego trybu życia nie każdy mnie widział.

Gdy szedłem korytarzem, większość pielęgniarek i sanitariuszek zwracała się do mnie po imieniu i serdecznie witała.

Myślę, że ich sympatia nie była spowodowana żadną szczególną cechą mojej osobowości ani uwielbieniem dla mojego ojca — choć faktycznie uwielbiał go każdy, kto go poznał — ale ponieważ bez reszty poświęciły się leczeniu ludzi, a byłem wzorcowym wręcz przykładem pacjenta potrzebującego troskliwej opieki i serdeczności. Wymagam leczenia przez całe życie, ale umykam ich — i czymkolwiek — zdolnościom uzdrowicielskim.

Ojciec leżał w pokoju dwuosobowym. Na razie drugie łóżko było wolne.

Przystanąłem na progu. Z głębokim westchnieniem, które wcale nie dodało mi sił, wszedłem do środka, zamykając za sobą drzwi. Żaluzje były zaciągnięte, na białej lśniącej framudze żarzył się oranżowy blask gasnącego światła.

Na łóżku bliższym drzwi cieniem rysowała się sylwetka taty. Słyszałem płytki oddech. Gdy się odezwałem, nie odpowiedział.

Podłączono go tylko do elektrokardiografu. Aby nie niepokoić chorego, wyłączono sygnał dźwiękowy; pracę serca potwierdzała wyłącznie zielona linia ostro zarysowana na monitorze.

Puls był szybki i słaby. Z niepokojem patrzyłem, jak przechodzi krótki okres arytmii. Znow się ustabilizował.

W niższej z dwóch szuflad stojącej obok biurka szafki była zapalniczka na gaz i dwie świece wydzielające zapach wawrzynu. Personel szpitalny udawał, że nie wie o obecności tych przedmiotów.

Postawiłem świece na szafce.

Z powodu mojego schorzenia przysługiwały mi ulgi w szpitalnym regulaminie. W innym wypadku musiałbym siedzieć w całkowitej ciemności. Ignorując przepisy przeciwpożarowe nacisnąłem zapalniczkę i przytknąłem płomynek do knotu. Potem do drugiego.

W migocie kojącego światła dostrzegłem twarz ojca. Miał zamknięte oczy. Oddychał przez otwarte usta.

Zgodnie z jego wolą nie podjęto żadnych heroicznych działań, mających na celu podtrzymanie życia. Nawet inhalator nie wspomagał oddychania.

Zdjąłem kurtkę i czapkę, położyłem jedno i drugie na fotelu dla gości. Stałem przy łóżku, dalej od świeczek i ująłem dłoń ojca. Skórę miał chłodną, cienką jak pergamin. Koścista dłoń. Paznokcie żółte, popękane, jak nigdy przedtem.

Nazywał się Steven Snow i był wielkim człowiekiem. Nie wygrał żadnej wojny, nie ustanowił żadnego prawa, nigdy nie skomponował symfonii, nie napisał sławnej powieści, o czym marzył w dzieciństwie, lecz był większy niż jakikolwiek generał, polityk, kompozytor i obdarowany nagrodami pisarz.

Był wielki, ponieważ był dobry. Był wielki, ponieważ był pokorny, łagodny i pełen radości. Przez trzydzieści lat małżeństwa pozostał wierny mojej matce. Jego miłość była tak świetlista, że nasz dom, z konieczności mroczny w większości pokoiów, po prostu jaśniał. Wykładowca literatury w Ashdon — gdzie mama wykładała na wydziale nauk ścisłych — był tak kochany przez swoich studentów, że wielu utrzymywało z nim kontakt dziesiątki lat po opuszczeniu uczelni.

Chociaż moja przypadłość ciężko zaważyła na jego życiu już od dnia moich narodzin — miał wówczas dwadzieścia osiem lat — ani razu nie dał mi odczuć, że żałuje ojcostwa; zawsze byłem dla niego niewiarygodną radością i źródłem niekłamanej dumy. Żył godnie, bez skarg i zawsze szukał jasnych stron życia.

Niegdyś był silny i przystojny. Teraz jego ciało skurczyło się, twarz poszarzała, a rysy wyostrzyły. Wyglądał dużo starzej niż na pięćdziesiąt sześć lat. Rak wątroby zaatakował układ limfatyczny, a potem inne organy. Podczas walki o życie ojciec stracił bujne siwe włosy.

Na monitorze zielona linia znów zarysowała się strzeliście i nierówno. Obserwowałem ją sparaliżowany strachem.

Dłoń taty zacisnęła się na mojej.

Gdy znów na niego spojrzałem, szafirowoniebieskie oczy były otwarte i utkwione we mnie, tak ostro patrzące, jak zawsze.

— Wody? — spytałem, bo ostatnio zawsze był spragniony.

— Nie, nic mi nie trzeba — powiedział, chociaż wydawało mi się, że chce pić. Jego głos był zaledwie trochę głośniejszy od szeptu.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Zawsze nasz dom był pełen rozmów. Tato i mama dyskutowali o powieściach, starych filmach, szaleństwach polityków, poezji, muzyce, historii, naukach ścisłych, religii, sztuce, a także o sowach, skaczących myszach, szopach, nietoperzach, krabach i innych stworzeniach, które dzieliły ze mną noc. Mówiliśmy o poważnych sprawach, ale i plotkowaliśmy o sąsiadach. W rodzinie Snowów nie uznawano żadnego programu ćwiczeń fizycznych, jeśli nie obejmował codziennej „zaprawy języka”.

A jednak teraz, gdy rozpaczliwie potrzebowałem otworzyć serce przed ojcem, odebrało mi mowę.

Uśmiechnął się, jakby rozumiał moją ciężką sytuację, pogodzony z ironią losu.

Za chwilę uśmiech znikł. Ściągnięta i wycieńczona twarz napięła się jeszcze bardziej. Prawdę mówiąc, był tak wycieńczony, że gdy przeciąg zakołysał płomykami świec, w jego twarz wydała mi się odbiciem na rozkołysanej powierzchni stawu.

Migotliwe światło zastygło i myślałem, że tato jest w agonii, lecz gdy przemówił, w jego głosie zabrzmiały raczej smutek i żal, nie ból:

— Przepraszam, Chris. Cholera, przepraszam.

— Nie masz mnie za co przepraszać — zapewniłem go. Nie wiedziałem, czy jest świadomy, czy też mówi w malignie.

— Przepraszam za spadek, synu.

— Nic mi nie będzie. Potrafię dać sobie radę.

— Nie chodzi o pieniądze. Będziesz ich miał dosyć — rzekł coraz bardziej gasnącym głosem. Słowa wypływały z bladych ust prawie równie cicho jak zawartość rozbitego jajka. — Ten inny spadek... po mnie i matce. XP.

— Tato, nie. Nie mogłeś wiedzieć.

Znów zamknął oczy.

— Bardzo przepraszam...

— Dałeś mi życie — powiedziałem.

Jego dłoń w mojej zwiędła.

Przez chwilę myślałem, że umarł. Serce osunęło mi się w piersiach jak kamień wrzucony w wodę. Ale zapis na monitorze aparatu wskazywał, że tylko znów stracił przytomność.

— Tato, dałeś mi życie — powtórzyłem, zrozpaczony tym, że nie może mnie słyszeć.

Tato i mama — nie wiedząc o tym — mieli recesywny gen, który pojawia się tylko u jednego człowieka na dwieście tysięcy. Szansa, że dwoje takich ludzi spotka się, zakocha i będzie mieć dzieci, wynosi milion do jednego. Nawet wtedy warunkiem nieszczęścia jest obopólne przekazanie genu potomstwu. Szansa na to jest jak jeden do czterech.

W przypadku moich staruszków zły los trafił w dziesiątkę. Mam skórę pergaminową barwnikową, *xeroderma pigmentosum* — w skrócie XP — rzadkie i często śmiertelne zaburzenie genetyczne.

Ofiary XP są wyjątkowo podatne na raka skóry i siatkówki. Nawet krótkie wystawienie na słońce — prawdę mówiąc na każde promienie ultrafioletowe, w tym światła zwykłych żarówek i świetlówek — może być katastrofalne w skutkach.

Światło słoneczne niszczy DNA — materiał genetyczny wszystkich ludzi, zwiększając szansę pojawienia się melanomy i innych nowotworów złośliwych. Zdrowi ludzie mają naturalny układ naprawczy, enzymy, które zabierają zniszczone fragmenty łańcucha nukleotydów i zastępują je świeżym DNA.

Jednakże u ludzi z XP te enzymy nie funkcjonują; naprawa nie następuje. Rak spowodowany promieniami ultrafioletowymi rozwija się błyskawicznie — i nie można zapobiec przerzutom.

Stany Zjednoczone, których populacja przekracza dwieście siedemdziesiąt milionów, są ojczyzną ponad osiemdziesięciu tysięcy karłów. Dziewięćdziesiąt tysięcy naszych współobywateli mierzy sobie ponad dwa metry dwadzieścia centymetrów. Nasz naród chlubi się czterema milionami milionerów, a w bieżącym roku następne dziesięć tysięcy osiągnie ten radosny status. Jednakże w każdym roku około tysiąca naszych obywateli będzie rażonych piorunem.

Mniej niż tysiąc Amerykanów ma XP, a mniej niż stu rodzi się z tą chorobą każdego roku.

Liczba jest tak niewielka, bo schorzenie jest rzadkie. Wielkość populacji z XP jest ograniczona, ponieważ wielu z nas nie żyje długo.

Większość lekarzy obeznanych z *xeroderma pigmentosum* oczekiwałaby, że umrę w dzieciństwie. Niewielu postawiłoby na to, że zostanę nastolatkiem. Żaden nie zaryzykowałby poważnych pieniędzy w zakładzie, że nadal będę trzymał się nieźle w wieku dwudziestu ośmiu lat.

Zdarzają się eksperzy (słowo na mój użytek) starsi ode mnie; niewielu jest znacznie starszych, z tym że większość z nich cierpi na postępujące przypadłości neurologiczne: drżenie głowy lub rąk, głuchotę, zniekształcenie mowy, nawet upośledzenie umysłowe.

Poza tym, że muszę strzec się światła, pozostaję normalny i sprawny jak wszyscy. Nie jestem albinosem. Moje tęczówki są zabarwione. Skóra niepozbawiona pigmentu. Chociaż oczywiście mam dużo jaśniejszą karnację niż kalifornijski nastoletni plażowicz, nie jestem biały jak zjawa. W oświetlonym świeczkami pokoju i nocnym świetle, w którym zamieszkuję, nawet wydaje się, co zaskakujące, że mam ciemną cerę.

Każdy dzień, który przeżywam, jest cennym darem i wierzę, że wykorzystuję mój czas tak dobrze i tak do syta, jak to możliwe. Znajduję rozkosz tam, gdzie inni by jej się spodziewali — ale również tam, gdzie niewielu by jej szukało.

W 23 r. p.n.e. poeta Horacy rzekł: „Chwytaj dzień, nie ufaj temu, co będzie jutro!”.

Ja chwytam noc. Dosiadam jej i pędzę, jakby była wielkim czarnym ogierem.

Większość moich przyjaciół powiada, że jestem najszczęśliwszą osobą, jaką poznałi. Mogłem zaznać szczęścia lub je odrzucić i wybrałem to pierwsze.

Jednakże gdyby nie rodzice, może nie miałbym tego wyboru. Ojciec i matka radykalnie odmienili swoje życie, zażarcie chroniąc mnie przed niszczącym światłem i dopóki nie stałem się na tyle dorosły, by zrozumieć swoje kłopotliwe położenie, byli zmuszeni do nieustannej, wyczerpującej czujności. Ich bezgraniczna troska przyczyniła się do mojego przetrwania. Co więcej, obdarzyli mnie miłością — i miłością życia; dlatego nie popadłem w depresję, rozpacz i nie stałem się odludkiem.

Moja matka zmarła nagle. Chociaż wiedziałem, że zdaje sobie sprawę z tego, jak głębokim darzę ją uczuciem, żałuję, że nie zdołałem tego wyrazić w ostatnim dniu jej życia.

Czasem nocą na plaży, gdy niebo jest jasne, a sklepienie gwiazd daje mi jednocześnie poczucie śmiertelności i niezwykłości, gdy wiatr cichnie i nawet morze bez szmeru uderza o brzeg, mówię mojej matce, co dla mnie znaczyła. Ale nie wiem, czy mnie słyszy.

Teraz ojciec — nadal będąc ze mną, choćby tylko w nieznacznym stopniu — nie słyszał, kiedy powiedziałem: „Dależ mi życie”. I obawiałem się, że odejdzie, zanim zdołam mu powiedzieć wszystko, czego nie powiedziałem matce.

Jego dłoń pozostała zimna i bezwładna. Ale i tak trzymałem ją, jakby kotwicząc go w tym świecie, aż będę mógł się pożegnać jak należy.

Słońce dotknęło morza. Poza krawędziami żaluzji framugi i ościeżnice z oranżowych stały się ognisćie czerwone.

Tylko w jednym wypadku spojrzę bezpośrednio w słońce. Jeśli zachoruję na raka siatkówki; zanim ulegnę chorobie lub osłepnę, któregoś późnego popołudnia udam się nad morze i stanę twarzą ku azjatyckim cesarstwom, których nigdy nie przemierzę. Na granicy zmierzchu zdejmę okulary i obejrzę śmierć światła. Będę musiał mrużyć powieki. Silne światło przyprawia mnie o ból oczu. Jego działanie jest tak intensywne i szybkie, że dosłownie czuję rozszerzanie się oparzeń.

Gdy krwistoczerwone światło poza krawędziami żaluzji przeszło w purpurę, dłoń ojca zacisnęła się na mojej. Spojrzałem na niego. Miał otwarte oczy, a ja usiłowałem wyrazić uczucia, które miałem w sercu.

Kiedy nie mogłem powstrzymać się od powiedzenia tego, co niekoniecznie musiało być powiedziane, tato nieoczekiwanie znalazł rezerwy sił i tak mocno uścisnął moją rękę, że słowa zamarły mi na ustach.

W pełnej drżenia ciszy rzekł:

— Pamiętaj...

Ledwo go słyszałem. Pochyliłem się nad poręczą łóżka, przysuwając ucho do jego warg. Słabo, a jednocześnie okazując zdecydowanie pełne gniewu i uporu, dał mi ostatnią wskazówkę:

— Zabij wszelki strach, Chris. Zabij wszelki strach.

Potem umarł. Migotliwy ślad na monitorze drgnął raz i drugi, po czym rozciągnął się w poziomą linię. Jedyne ruchome światła stanowiły płomyki świec, tańczące na czarnych knotach.

Nie potrafiłem natychmiast wypuścić bezwładnej dłoni ojca. Ucałowałem jego czoło i szorstkie policzki.

Żadne światło nie sączyło się już spoza krawędzi żaluzji. Ziemia przetoczyła się w mrok, który chętnie mnie przywitał.

Otwarły się drzwi. Znowu wygaszono najbliższe jarzeniowe panele i jedyne światło padało z pokoi wzdłuż korytarza. Doktor Cleveland prawie dotykając głową do nadproża wszedł do pokoju i z powagą stanął w nogach łóżka. Krokami cichymi jak sen podążała za nim Angela Ferryman. Jedną kościstą piąstkę trzymała przy piersi. Zgarbiła ramiona, przybrała obronną postawę, jakby śmierć pacjenta była fizycznym ciosem.

EKG przy łóżku wyposażono w terminal w izbie pielęgniarek na dole. Wiedziały, kiedy ojciec odszedł. Nie przybiegły ze strzykawkami pełnymi epinefryny ani z przenośnym defibrylatorem, aby wstrząsem elektrycznym pobudzić akcję serca. Uszanowano wolę zmarłego.

Rysy twarzy Clevelanda nie były zaprojektowane na uroczyste okazje. Z wesolutkimi oczami i pulchnymi różowymi policzkami przypominał św. Mikołaja bez brody. Usiłował przybrać wyraz żalu i współczucia, ale udało mu się tylko wyglądać na zdziwionego.

Jednakże jego uczucia wyraźnie odzwierciedlały się w cichym głosie.

— Nic ci nie będzie, Chris?

— Jakoś się trzymam — powiedziałem.

4

Ze szpitalnego pokoju zadzwoniłem do zakładu pogrzebowego Sandy'ego Kirka, gdzie ojciec tygodnie temu poczynił ustalenia. Zgodnie z jego wolą miał zostać skremowany.

Dwaj sanitariusze, młodzi krótko ostrzyżeni chłopcy z rzadkimi wąsikami, zjawili się, by przenieść ciało do kostnicy w suterenie. Zapytali, czy chcę tam zaczekać na przedsiębiorcę pogrzebowego. Powiedziałem, że nie. Nie było już ojca, tylko jego ciało. Mój ojciec odszedł gdzie indziej.

Nie byłem skłonny zsunąć prześcieradła i po raz ostatni spojrzeć na wychudłą twarz. Nie takiego chciałem go zapamiętać.

Sanitariusze przekładali zwłoki na nosze. Robili niezręcznie to, w czym powinni mieć wprawę, a w trakcie wykonywanych czynności zerkali na mnie, jakby mieli jakieś niewytłumaczalne poczucie winy.

Może ci, którzy transportują zmarłych, nigdy nie czują się swobodnie w trakcie pracy. Jak krzepiące byłoby w to uwierzyć, gdyż taka niezręczność świadczyłaby, że nie są tak obojętni na los innych, jak się to czasem wydaje. Bardziej prawdopodobne, że ci dwaj spoglądając na mnie ukradkiem, byli po prostu ciekawi. Jestem przecież jedynym obywatelem Moonlight Bay, który stał się bohaterem poważnego artykułu w czasopiśmie „Time”.

To ja żyję nocą i wzdragam się przed widokiem słońca. Wampir! Upiór! Obrzydliwy perwersyjny czubek! Chować dzieci!

Uczciwość wymaga stwierdzenia, że większość ludzi jest wyrozumiała i dobra. Jednakże trująca mniejszość to pożeracze plotek, którzy wierzą we wszystko, co o mnie usłyszą — i którzy ozdabiają wszelkie potwarze na mój temat obłudą widzów sądu czarownic w Salem. Gdyby ci dwaj młodzi ludzie należeli do tego ostatniego rodzaju, musieliby być zawiedzeni, że wyglądam tak bardzo normalnie. Żadnej trupio bladej twarzy. Żadnych nabiegłych krwią oczu. Żadnych kłów. Nawet nie podjadałem żadnych pajaków ani robaków. Co za brak wyrazu.

Kółka noszy skrzypiały, gdy sanitariusze wyjechali z ciałem. Nawet po zamknięciu drzwi słyszałem oddalające się SKRZYP-SKRZYP-SKRZYP.

Sam w pokoju, w blasku świec wyjąłem z wąskiej szafy ściiennej podręczną walizkę taty. Były w niej tylko te ubrania, które miał na sobie, gdy po raz ostatni rejestrował się w szpitalu. W górnej szufladzie nocnej szafki był zegarek, portfel i cztery książki w broszurowych wydaniach. Włożyłem je do walizki. Zapalniczkę wsunąłem do kieszeni, ale świece zostawiłem. Już nigdy nie chciałem wdychać zapachu jagody wawrzynu. Niósł niezdolne skojarzenia.

Rzeczy taty zebrałem tak sprawnie, iż uznałem, że moje samoopanowanie jest godne podziwu. Prawdę mówiąc, byłem odrętwiały. Zdmuchnąłem świece i zdusiłem szerniałe knoty palcami; nie czułem ich żaru ani smrodu.

Gdy wyszedłem na korytarz z walizką, pielęgniarka kolejny raz wyłączyła jarzeniówki. Skierowałem się prosto do klatki schodowej, z której skorzystałem wcześniej. Nie mogłem pojechać którąś z wind, bo ich światła nie dało się gasić niezależnie od mechanizmu napędowego. Podczas krótkiej jazdy z drugiego piętra krem z filtrem zabezpieczyłby mnie wystarczająco; jednak nie byłem gotowy ryzykować utknięcia między piętrami.

Zapominając o nałożeniu szkieł przeciwsłonecznych szybko zszedłem słabo oświetlonymi betonowymi schodami i — ku własnemu zdziwieniu — nie zatrzymałem się na parterze. Wiedziony swego rodzaju przymusem, czymś, czego właściwie nie rozumiałem, poruszając się szybciej niż poprzednio, z walizką objającą się o nogi, szedłem niżej, do sutereny, gdzie zabrano ojca.

Odrętwienie serca przeszło w lodowaty chłód. Kołatanie rozchodziło się serią coraz dalszych drgań. Nagle opanowało mnie przekonanie, że oddałem ciało ojca nie spełniwszy jakiegoś podstawowego obowiązku, chociaż nie mogłem sobie uświadomić, na czym miałyby polegać. Serce waliło mi tak mocno, że prawie je słyszałem — jak werbel zbliżającego się konduktu pogrzebowego, ale w podwójnym tempie. Gardło spuchło i przełknięcie nagle kwaśnej śliny wymagało wysiłku.

U stóp schodów były stalowe drzwi przeciwpożarowe. Nad nimi widniał czerwony znak wyjścia bezpieczeństwa. Zdezorientowany zatrzymałem się, trzymając rękę na poręczy drzwi.

Wtedy przypomniał mi się ów niespełniony obowiązek: tato, wieczny romantyk, chciał być skremowany z ulubioną fotografią mojej matki i kazał mi się upewnić, że zdjęcie pojedzie wraz z nim do zakładu pogrzebowego. To zdjęcie znajdowało się w jego portfelu. Portfel był w walizce, którą niosłem.

Nie zastanawiając się pchnąłem drzwi i wszedłem do korytarza sutereny. Betonowe ściany pokrywała lśniąca biel. Srebrne paraboliczne plafoniery słały potoki jarzeniowego światła. Powiniennem odskoczyć w tył, za próg lub przynajmniej poszukać wyłącznika. Tymczasem lekkomyślnie podążyłem przed siebie puszczając ciężkie drzwi, które zamknęły się za mną jakby z westchnieniem. Głowę trzymałem nisko opuszczoną, licząc na to, że krem i daszek czapki ochronią mi twarz. Lewą rękę wbiłem w kieszeń. Prawa, wystawiona na światło, ścisnęła rączkę walizki.

Sama ilość światła bombardującego mnie podczas biegu trzydziestometrowym korytarzem nie wystarczałyby do pobudzenia raka skóry czy nowotworu siatkówki. Jednakże w pełni zdawałem sobie sprawę, że zniszczenie DNA komórek skóry kumulo- wało się, ponieważ organizm nie mógł ich naprawić. Krótkie wystawienie się na światło, jedna minuta dziennie w ciągu dwóch miesięcy, miałyby taki sam katastrofalny skutek, jak jednogodzinne oparzenie podczas samobójczej sesji ubóstwienia słońca.

Rodzice od najwcześniejszych lat wpajali mi, że konsekwencje pojedynczego aktu nieodpowiedzialności mogą wydać się nieistotne, ale nawyk nieodpowiedzialności do- prowadzi do nieuniknionego koszmaru.

Nawet mając pochyloną głowę i osłaniając oczy daszkiem czapki przed bezpośred- nim widokiem jarzeniowych paneli, przypominających kratownice na jajka, musiałem mrużyć oczy przed oślepiającym światłem, odbitym od białych ścian. Powiniennem był nałożyć okulary, ale od końca korytarza dzieliły mnie tylko sekundy.

Imitujące marmur, szaro-czerwone linoleum wyglądało jak nadpsute surowe mięso. Poczulem lekkie zawroty głowy, spowodowane obrzydliwym wzorem pokrycia podłogi i przeraźliwym blaskiem świateł.

Minąłem pomieszczenia magazynowe i kotłownię. Suterena wydawała się opusz- czona przez ludzi.

Pokonałem więcej niż połowę korytarza. Wszedłem do małego garażu. Nie był to publiczny parking, usytuowany powyżej. W pobliżu stał tylko szpitalny pikap i karet- ka. Trochę dalej parkował czarny karawan z zakładu pogrzebowego Kirka. Ulżyło mi, że Sandy Kirk nie zabrał jeszcze ciała i nie odjechał. Nadal miałem czas włożyć fotogra- fię matki w dłoń ojca.

Obok lśniącego karawanu był van Forda przypominający karetkę, z tym wyjątkiem, że nie miał standardowych „kogutów”. Oba pojazdy stały przodem do mnie, tuż przy wielkich rolowanych drzwiach, teraz podniesionych. Poza tym było pusto, tak że po- jazdy dostawcze mogły wyładowywać żywność, bieliznę i zaopatrzenie medyczne do windy towarowej. Akurat nie było żadnej dostawy.

Betonowych ścian nie pomalowano, a jarzeniowe światła rozstawiono rzadziej niż na korytarzu. Jednak nie czułem się tu bezpiecznie i podszedłem szybko do karawanu i białego vana.

Kąt sutereny, na lewo od drzwi garażowych i za czekającymi pojazdami, służył do- brze mi znanemu celowi. Była to chłodnia do przechowywania umarłych, zanim prze- wieziono ich do domów przedpogrzebowych.

Pewnej koszmarnej styczniowej nocy tato i ja czuwaliśmy tam zrozpaczeni, siedząc w blasku świecy przy ciele matki. Nie mogliśmy zdobyć się na zostawienie jej.

Tamtej nocy tato towarzyszyłby jej ze szpitala do zakładu pogrzebowego i pieca kremacyjnego, gdyby potrafił zostawić mnie samego. Poeta i kobieta naukowiec, ale jakże bliscy sobie duchem.

Karetka przywiozła ją z miejsca wypadku i natychmiast została przetransportowana z ambulatorium na chirurgię. Umarła w trzy minuty po znalezieniu się na stole operacyjnym, nie odzyskując przytomności, zanim jeszcze ustalono pełny zakres obrażeń.

Teraz izolowane drzwi kostnicy stały otworem. Zbliżyłem się i usłyszałem kłótnię kilku mężczyzn. Mimo gniewu rozmawiali ściszymi głosami; napięcie gwałtownego sporu równoważyła atmosfera pośpiechu i konieczność zachowania tajemnicy.

To ich ostrożność, nie gniew powstrzymała mnie przed wejściem. Mimo zabójczego blasku świetlówek stałem nie mogąc się zdecydować, co dalej.

Zza drzwi dobiegł znany mi głos. Sandy Kirk powiedział:

— Więc kim jest ten gość, którego będę kremował?

— Nikim. To tylko włóczęga — odpowiedział drugi mężczyzna.

— Trzeba było go przywieźć do mnie, nie tu — narzekał Sandy. — A co będzie, jak to ktoś zaginiony?

Odezwał się trzeci mężczyzna i poznałem głos jednego z dwóch sanitariuszy, którzy zabrali ciało ojca.

— Na litość boską, może tak dałoby się załatwić to do końca?

Uświadomiwszy sobie, że mając zajęte ręce wystawiam się na niebezpieczeństwo, odstawiłem walizkę pod ścianę.

W drzwiach pojawił się mężczyzna, lecz nie dostrzegł mnie, bo przechodził tyłem przez próg, ciągnąc wózek.

Karawan był oddalony o mniej więcej dwa i pół metra. Zanim ktoś mnie dostrzegł, prześlizgnąłem się w kierunku samochodu, kucając obok tylnych drzwi, przez które ładowano trupy.

Zerkając zza błotnika widziałem wejście do kostnicy i wychodzącego z niej nieznanego mężczyznę: pod trzydziestkę, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, masywnej budowy, o byczym karku i ogolonej głowie. Miał na sobie robocze buty, niebieskie dżinsy, czerwoną koszulę w kratkę i w uchu jeden kolczyk z perłą.

Gdy przeciągnął wózek przez próg, odwrócił go w stronę karawanu. Teraz zamierzał pchać zamiast ciągnąć.

Na wózku, w nieprzejrzystym plastikowym worku na zamek błyskawiczny były zwłoki. Dwa lata temu w kostnicy moją matkę włożono do podobnego worka, zanim oddano ją w ręce przedsiębiorcy pogrzebowego.

Wchodząc za łysym mężczyzną do garażu Sandy Kirk złapał wózek. Blokując kółko stopą powtórzył pytanie:

— A co będzie, jeśli to ktoś zaginiony?

Łysy skrzywił się i przechylił głowę. Perła w koniuszku ucha załśniła.

— Powiedziałem ci, to włóczęga. Wszystko, co miał, nosił w plecaku.

— I co z tego?

— Jak zniknie, nikt nie zauważy, kogo to obejdzie?

Sandy miał trzydzieści dwa lata i był tak przystojny, że nawet jego ponure zajęcie nie mogło powstrzymać kobiet przed uganianiem się za nim. Chociaż czarujący i mniej nadęty niż wielu kolegów po fachu, sprawiał, że czułem się nieswojo. Jego twarz wydawała mi się maską, pod którą nie było nic, jakby wcale nie był człowiekiem.

— Co z dokumentacją szpitalną? — zapytał.

— Nie umarł tu — powiedział łysy. — Zdjąłem go wcześniej, z drogi stanowej. Był na stopie.

Nigdy nie zdradziłem moich niepokojących obserwacji dotyczących Sandy'ego Kirka; rodzicom, Bobby'emu Hallowayowi, Saszy ani nawet Orsonowi. Tak wielu bezmyślnych ludzi z góry o mnie źle myślało, sugerując się wyglądem i tym, że uwielbiam noc, iż odmawiam przyłączenia się do klubu okrucieństwa i mówienia źle o kimś bez jasnego powodu.

Ojciec Sandy'ego, Frank, był znakomitym, powszechnie lubianym człowiekiem i Sandy nigdy nie zrobił niczego, co świadczyłoby, że zasługuje na mniejsze uwielbienie niż jego tato. Do tej pory.

Powiedział do mężczyzny z wózkiem:

— Podejmuję wielkie ryzyko.

— Jesteś nietykalny.

— Zdumiewasz mnie.

— Zdumiewaj się bez zwracania mi głowy — powiedział łysy i przejechał Sandy'emu wózkiem po nodze.

Ten zaklął i wycofał się podskakując. Mężczyzna z wózkiem skierował się prosto na mnie. Kółka skrzypiały — jak kółka wózka, na którym odwieziono ojca. W kucki obszedłem karawan i znalazłem się między nim i białym vanem. Ogarnąłem go szybkim spojrzeniem i przekonałem się, że nie miał żadnych napisów.

Skrzypiący wózek zbliżał się szybko.

Instynktownie przeczuwałem, że narażam się na wielkie ryzyko. Przyłapałem ich na jakimś spisku, którego nie rozumiałem, ale było to coś wyraźnie sprzecznego z prawem. Na pewno zależałoby im na ukryciu tego przede mną.

Położyłem się na brzuchu i wślizgnąłem pod karawan — unikając wzroku mężczyzny, a także blasku światełek — w cieniu tak chłodne i gładkie jak jedwab. Moja kryjówka ledwo mnie mieściła, a gdy się zgarbiłem, wyczułem plecami układ napędowy.

Twarzą byłem zwrócony w kierunku tyłu pojazdu. Widziałem, jak wózek mija karawan i zbliża się do vana. Gdy skierowałem głowę na prawo, dostrzegłem, że drzwi kostnicy są tylko dwa i pół metra od cadillaca. Jeszcze bliżej miałem wypolerowane na wysoki połysk czarne buty Sandy'ego i mankiety granatowych spodni od garnituru, gdy przedsiębiorca odprowadzał wzrokiem łysego z wózkiem.

Za Sandym, pod ścianą, stała walizeczka ojca. W pobliżu nie było żadnego miejsca, w którym mógłbym ją ukryć, a gdybym zatrzymał ją przy sobie, nie zdołałbym poruszać się na tyle szybko i bezszelestnie, aby wślizgnąć się pod karawan.

Wyglądało na to, że do tej pory nikt jej nie zauważył. I może nie zauważy.

Dwaj sanitariusze — których mogłem zidentyfikować po białych butach i spodniach — wyprowadzili z kostnicy drugi wózek. Ten nie skrzypiał. Pierwszy wózek, pchany przez łysego mężczyznę, dotarł do białego vana. Zgrzytnęły drzwi ładowni.

Jeden z sanitariuszy rzekł:

— Lepiej pójde na górę, zanim ktoś zacznie się zastanawiać, co zajmuje mi tyle czasu. — Skierował się w głąb garażu.

Nogi wózka złożyły się hałaśliwie. Łysy wepchnął go do vana.

Drugi sanitariusz doprowadził kolejny wózek. Sandy otworzył tylne drzwi karawanu. Oczywiście było, że tam, w nieprzezroczystym worku, spoczywa ciało bezimienego włóczęgi.

Ogarnęło mnie wrażenie nierealności — tego, że znalazłem się w przedziwnych okolicznościach. Mógłbym prawie uwierzyć, iż przeżywam sen na jawie.

Drzwi ładowni vana zamknęły się. Gdy odwróciłem głowę w lewo, ujrzałem buty łysego zbliżające się do drzwi kierowcy.

Po wyjeździe obu pojazdów sanitariusz zaczeka do zamknięcia wielkich drzwi garażowych. Jeśli nadal będę leżał pod karawanem, zostanę odkryty, gdy Sandy ruszy. Nie wiedziałem, który z sanitariuszy jest na dole, ale nie miało to znaczenia. Właściwie byłem przekonany, że dam sobie nawet radę ze sprawniejszym z młodych mężczyzn, którzy odwieźli ojca z łoża śmierci. Jednakże gdyby Sandy Kirk wyjeżdżając spojrział w lusterko wsteczne, mógłby mnie zobaczyć. Wtedy musiałbym stawić czoło jemu i sanitariuszowi.

Ożył silnik vana.

Gdy Sandy i sanitariusz wpychali wózek na karawan, wyczołgałem się spod pojazdu. Spadła mi czapka. Złapałem ją i nie patrząc w kierunku tylnych drzwi karawanu pokonałem na czworakach dwa i pół metra dzielące mnie od kostnicy. W ponurym pomieszczeniu zerwałem się na nogi i ukryłem za drzwiami, przyciskając do betonowej ściany.

Nikt w garażu nie podniósł alarmu. Najwidoczniej nie dostrzeżono mnie. Wstrzymałem oddech; potem wypuściłem powietrze przez zaciśnięte zęby. Rozległ się syk.

Porażone światłem oczy zachodziły łzami. Otarłem je wierzchem dłoni.

Dwie ściany zajmowały piętrowo ustawione szuflady prosektoryjne z nierdzewnej stali. Powietrze wewnątrz nich było jeszcze chłodniejsze niż w samej kostnicy, w której panowała temperatura wystarczająco niska, abym poczuł dreszcze. Z boku stały dwa drewniane krzesła. Podłogę pokrywały białe płytki z szerokimi fugami dla ułatwienia sprzątania, gdyby któryś z worów na ciała przeciekał.

I tu były jarzeniowe światła, w nadmiernej ilości; niżej naciągnąłem na czoło czapkę. Ku mojemu zaskoczeniu szkła przeciwsłoneczne nie pękły w kieszeni koszuli. Zasłoniłem nimi oczy.

Część promieniowania ultrafioletowego przenika maść nawet z wysokim filtrem. Podczas ostatniej godziny zostałem bardziej napromieniowany niż w trakcie całego roku. Świadomość niebezpieczeństwa skumulowanego napromieniowania dudniła mi w głowie jak kopyta groźnego karego rumaka.

Zza otwartych drzwi dobiegł ryk silnika vana. Odgłos szybko oddalił się, przeszedł w warkot i opadł do gasnącego pomruku.

Karawan cadillac wyjechał za vanem. Wielkie garażowe drzwi, poruszane automatycznie, opadły z głośnym hukem, który rozległ się echem po podziemnym królestwie szpitala, tak że drżąca cisza opadła z betonowych ścian.

Stężałem zaciskając dłonie w pięści.

Chociaż sanitariusz był niewątpliwie w garażu, zachowywał się cicho. Wyobraziłem go sobie, jak skłania na bok głowę z zaciekawieniem, dostrzegając walizkę mojego ojca.

Przed chwilą byłem pewien, że mogę pokonać tego człowieka. Teraz moja pewność siebie zmalała. Fizycznie go przerastałem — lecz mógł dysponować bezwzględnością, której mi brakowało.

Początkowo nie usłyszałem zbliżających się kroków. Był po drugiej stronie otwartych drzwi, dzieliły nas centymetry i dowiedziałem się o jego obecności tylko dlatego, że kiedy przekroczył próg, gumowe podeszwy butów zapiszczały na płytkach podłogi kostnicy.

Gdyby wszedł dalej, konfrontacja byłaby nieunikniona. Nerwy miałem napięte, jak główna sprężyna mechanizmu zegarowego.

Po niepokojąco długim wahaniu sanitariusz wyłączył światła. Wychodząc z pomieszczenia zamknął drzwi.

Usłyszałem, jak wsuwa klucz w zamek. Zasuwa zaskoczyła z dźwiękiem, z jakim iglica rewolweru dużego kalibru wpada do pustej komory.

Wątpiłem, aby wiele ciał zajmowało chłodzone szuflady prosektoryjne. Szpital Miłosierdzia w spokojnym Moonlight Bay nie wyrzuca zmarłych z gorączkowym pośpiechem, z jakim wielkie kliniki produkują ich w pełnych przestępczości miastach.

Jednakże gdyby nawet w tych wszystkich stalowych kojach spali zmarli, nie budziło to mojego zdenerwowania. Któregoś dnia będę martwy jak każdy stały mieszkaniec cmentarza — niewątpliwie wcześniej niż inni ludzie w moim wieku. Zmarli są jedynie współobywatelami mojej przyszłości.

Naprawdę to panicznie lękałem się światła i idealny mrok chłodnego, pozbawionego okien pomieszczenia był dla mnie jak kojąca woda dla umierającego z pragnienia. Przez jakąś minutę lub dłużej rozkoszowałem się absolutną czernią, która opływała moją skórę, moje oczy.

Nie chcąc się poruszać pozostałem przy drzwiach, oparty plecami o ścianę. Oczekiwałem, że sanitariusz powróci lada chwila.

Wreszcie zdjąłem i wsunąłem szkła do kieszeni koszuli.

Stałem w ciemności, ale w głowie obracały mi się trybiki niespokojnych spekulacji.

Ciało ojca było w białym vanie. Zmierzające ku celowi, dla mnie nieodgadnionemu. Zagarnięte przez ludzi, których motywacji działania nie potrafiłem pojąć.

Nie znajdowałem żadnego logicznego uzasadnienia tej koszmarnej zamiany — poza tym, że przyczyną śmierci taty nie było coś tak zwyczajnego i oczywistego jak rak. Lecz skoro biedne szczątki ojca mogły kogoś pogrążyć, to czemu winny nie pozwolił na zniszczenie dowodów w krematorium Sandy'ego Kirka?

Wyglądało na to, że ciało było komuś potrzebne.

Do czego?!

W zaciśniętych pięściach i na karku poczułem zimny pot.

Im dłużej myślałem o scenie, której byłem świadkiem, tym bardziej nieswojo czułem się w tym pozbawionym światła przystanku drogi zmarłych. Tamto przedziwne zdarzenie wzbudziło prymitywne lęki, gnieźdzące się tak głęboko w moim umyśle, że nie potrafiłem ich określić, gdy pływały i wirowały w zmaconym mroku.

Zamordowany autostopowicz miał być skremowany w miejsce mojego ojca. Ale czemu zabijać w tym celu nieszkodliwego włóczęgę? Sandy mógł napęłnić urnę z brązu zwykłym popiołem po spalonym drewnie, a byłbym przekonany, że to ludzkie szczątki. Poza tym było nieprawdopodobne, że po otrzymaniu otworzę zapieczętowaną urnę — a tym bardziej nieprawdopodobne, że oddam sproszkowaną substancję do laboratoryjnego zbadania jej składu i pochodzenia.

Myśli uwięzły mi w gęsto splecionej sieci. Nie mogłem się z niej wyrwać.

Drżącą ręką wyjąłem z kieszeni zapalniczkę. Zawahałem się nasłuchując stłumionych dźwięków zza zamkniętych drzwi, a następnie zapaliłem ją.

Nie byłbym zaskoczony widokiem alabastrowego trupa unoszącego się bezszelestnie ze stalowego sarkofagu, stojącego przede mną, o zatłuszczonej pośmiertnie twarzy, lśniącej w butanowym płomyku, z szeroko otwartymi oczami bez wyrazu i ustami nadaremnie usiłującymi podzielić się sekretami, lecz niewydającymi dźwięku. Żaden trup nie zajrzał mi w twarz, ale źmije światła i cienia wyslizgnęły się z migocącego płomienia i rozpełzły po stalowych pokrywach, nadając szufladom złudzenie ruchu, tak że każda zdawała się otwierać.

Odwróciłem się do drzwi. Okazało się, że na wypadek przypadkowego zamknięcia się kostnicy zasuwę można było otworzyć od wewnątrz. Po tej stronie klucz nie był konieczny, zamek pracował na prosty uchwyt. Najciszej jak to możliwe wysunąłem zasuwę z zaczepu. Mechanizm zamka zaskrzypiał lekko. Garaż wydawał się opuszczony, ale pozostałem czujny. Ktoś mógł zacząć się za filarami, karetką lub pikapem.

Mrużąc oczy w suchej ulewie jarzeniowego światła, zobaczyłem ku swemu zaskoczeniu, że walizeczka ojca zniknęła. Musiał ją zabrać sanitariusz.

Nie chciałem iść przez cały garaż aż do klatki schodowej, którą zszedłem. Ryzyko spotkania któregoś sanitariusza, albo obu, było zbyt wielkie. Do chwili otworzenia walizki i zbadania zawartości mogli nie zdawać sobie sprawy, do kogo należała. Gdy znaleźli portfel i dokumenty, zorientowali się, że tu byłem i zadali sobie pytanie, czy usłyszałem i zobaczyłem cokolwiek, a jeśli tak, to ile.

Autostopowicz został zabity nie dlatego, że wiedział coś o ich czynach, nie dlatego że mógł ich obciążyć, ale jedynie dlatego że potrzebowali ciała do kremacji z powodów, które nadal były mi nieznanymi. Dla tego, kto stanowił autentyczne zagrożenie, będąc bezlitości.

Nacisnąłem guzik, który poruszał szerokie rolowane drzwi. Zaszumiał silnik, napiął się łańcuch i wielkie segmentowe drzwi uniosły się z groźnym chrzęstem. Nerwowo rozejrzałem się po garażu, spodziewając się, że napastnik wyskoczy z ukrycia i rzuci się na mnie. Drzwi były w połowie wysokości. Zatrzymałem je drugim przyciskiem i spuściłem trzecim. Gdy opadały, wyslizgnąłem się na dwór.

Wysokie latarnie rzucały zimne jak brąz, zamglone światło koloru żółci. Oświetlały podjazd do podziemnego garażu. U szczytu podjazdu parking był również rozjaśniony tym ponurym blaskiem, który mógł oświetlać przedpokój jakiegoś zakątka piekła, gdzie karą była raczej wieczność w lodzie niż ogniu.

Pokonywałem przestrzeń, jak się dało, wykorzystując cień kamforowców i sosen. Przebiegłem wąską ulicą do dzielnicy osobliwych hiszpańskich bungalów. Zaułkiem bez latarni. Z tyłu domów o rozjaśnionych oknach. Tam tętniło życie pełne niekończących się możliwości i błogosławionej zwyczajności — poza moim zasięgiem i niemal poza zdolnością mojego rozumienia.

Nocą często czuję się nieważki i to była jedna z tych chwil. Biegłem cicho jak szybująca sowa, unoszony na cieniach.

Ten świat bez słońca witał mnie serdecznie i opiekował się mną przez dwadzieścia osiem lat, zawsze będąc mi miejscem spokoju i wytchnienia. Lecz teraz po raz pierwszy w życiu doświadczyłem wrażenia, że jakiś drapieżny stwór ściga mnie w ciemności.

Zwalczyłem pragnienie, aby obejrzeć się przez ramię. Przyśpieszyłem i pogałęm — popędziłem — pomknąłem — pofrunąłem wąskimi bocznymi uliczkami i mrocznymi zaułkami Moonlight Bay.

Część Druga

Wieczór

5

Widziałem kilka fotografii kalifornijskich drzew pieprzowych w słońcu. Są wtedy koronkowymi, wdzięcznymi roślinami z sennych marzeń. Noc zmienia ich wygląd. Wydają się opuszczać korony, długimi gałęziami zasłaniają oblicza pokryte zafrasowaniem lub smutkiem.

Te drzewa rosły wzdłuż podjazdu do zakładu pogrzebowego, stojącego na trzykrotnym wzgórku na północno-wschodnim skraju miasta, wewnątrz drogi nr 1. Docierało się tam wiaduktem. Stały w szeregu jak żałobnicy, składający kondolencje.

Gdy wspinałem się prywatną ścieżką, na której niskie lampy w kształcie grzybów rzucały pierścienie światła, drzewa zakołysały się w powiewie. Na styku wiatru i liści uniósł się szmer lamentu. Żadne auto nie stało na podjeździe, co oznaczało, iż nikt nie odwiedza zmarłych.

Sam poruszam się po Moonlight Bay jedynie pieszo lub rowerem. Nie było sensu uczyć się prowadzić samochodu. Nie mogę używać go za dnia, a nocą musiałbym włożyć okulary przeciwsłoneczne, oszczędzając sobie kłującego światła reflektorów. Bez względu na to, jak kapitalnie wyglądasz w ciemnych szklach, nie liczy na uznanie glin.

Podniósł się księżyc w pełni. Lubię księżyc. Oświetla nie prażąc, rozjaśnia to, co piękne i zapewnia ukrycie temu, co brzydkie.

Na szerokim szczycie wzgórza asfalt tworzył pętlę, obszerne zakole z małym trawnikiem w środku. Na nim betonowa reprodukcja Pięty Michała Anioła. Ciało nieżywego Chrystusa spoczywające na podołku matki lśniło, odbijając światło księżyca. Matka Boska również jaśniała słabo. W słońcu ta prostacka replika z pewnością wyglądała topornie. Jednakże w obliczu strasznego bólu większość żałobników czerpała pocieszenie i wsparcie patrząc na uniwersalną rzeźbę Madonny trzymającej zwłoki Chrystusa, rozumiejąc przesłanie, nawet wyrażone tak niezdarnie. Kocham w ludziach między innymi to, że potrafią doznać niebywałego pocieszenia dzięki najłżejszemu powiewowi nadziei.

Wszedłem pod portyk domu. Wahałem się, bowiem nie potrafiłem ocenić grożącego mi niebezpieczeństwa. Masywny piętrowy dom w stylu georgiańskim — z czer-

wonej cegły obrzeżonej białym drewnem — byłby najpiękniejszy w mieście, gdyby tym miastem nie było Moonlight Bay. Rakieta z innej galaktyki, która przycupnęłaby tutaj, nie wyglądałaby bardziej obco na naszym wybrzeżu niż kształtna budowla Kirka. Ten dom potrzebował wiązków, nie pieprzowców, ponurych niebios, nie czystej kopuły kalifornijskiego nieba i uporczywych chłost deszczów znacznie zimniejszych niż te, które skrapiały tutejszą ziemię.

Okna piętra zamieszkałego przez Sandy'ego było ciemne.

Pomieszczenia, w których wystawiano ciała zmarłych, znajdowały się na parterze. Przez kolorowe, gumuškowe szybki po obu stronach drzwi wejściowych ujrzałem słabe światło z tyłu domu.

Nacisnąłem dzwonek.

W głębi korytarza pojawił się człowiek i zbliżył do drzwi. Chociaż widziałem zaledwie zarys sylwetki, poznałem Sandy'ego Kirka po jego swobodnym chodzie. Poruszał się z wdziękiem, który podkreślał jego urodę. Dotarł do holu, włączył światła wewnętrzne i werandowe. Gdy otworzył drzwi, wydawał się zaskoczony, widząc mnie mrużącego oczy przysłonięte czapką.

— Christopher?

— Wieczór, panie Kirk.

— Tak mi przykro z powodu twojego ojca. Był cudownym człowiekiem.

— Tak. Tak, to prawda.

— Już zabraliśmy go ze szpitala. Obchodzimy się z nim jak z członkiem rodziny, Christopherze, z największym szacunkiem. Możesz być tego pewien. Uczęszczałem w Ashdon na jego wykłady z dwudziestowiecznej poezji. Wiedziałeś o tym?

— Tak, oczywiście.

— Od niego nauczyłem się kochać Eliota i Pounda. Audena i Plath. Becketta i Ashbery'ego. Roberta Bly'a. Yeatsa. Wszystkich. Kiedy zacząłem chodzić na wykłady, nie znośiłem poezji. Pod koniec nie mogłem bez niej żyć.

— Wallace Stevens. Donald Justice, Louise Glück. To byli jego ulubieńcy.

Sandy uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Och, wybacz, zapomniałem — dodał po chwili.

Ze względu na mnie zmniejszył światła w domu i na ganku. Stojąc na ciemnym progu rzekł:

— To musi być dla ciebie straszne, ale on przynajmniej już nie cierpi.

Miał zielone oczy, lecz w bladym oświetleniu lamp podjazdu wydawały się tak czarne i gładkie jak skorupki żuków.

Wpatrując się w nie badawczo, powiedziałem:

— Mogę go zobaczyć?

— Kogo... ojca?

— Zanim zabrano go z pokoju, nie obejrzałem jego twarzy pod prześcieradłem. Nie mogłem się na to zdobyć, myślałem, że to mi niepotrzebne. Teraz... bardzo chciałbym popatrzeć po raz ostatni.

Oczy Sandy'ego Kirka były jak spokojne nocne morze. Pod pozbawioną wyrazu powierzchnią kłębiły się głębie. Zachował w dalszym ciągu współczujący głos osoby towarzyszącej żałobnikowi.

— Och, Christopherze... tak mi przykro, ale zabieg już się zaczął.

— Włożyliście go już do pieca?

Wyrósłszy w usługach prowadzonych pośród bogactwa eufemizmów, Sandy zwinął się na moją bezpośredniość.

— Zmarły jest już w urzędzeniu kremacyjnym, tak.

— Po co aż taki pośpiech?

— W naszej pracy zwłoka niczemu nie służy. Gdybym tylko wiedział, że się zjawisz...

Zastanawiałem się, czy jego przypominające skorupkę żuka oczy patrzyłyby tak śmiało w moje, gdyby było dosyć światła, abym mógł dojrzeć ich zieloną barwę.

Gdy milczałem, rzekł:

— Christopherze, jestem tak załamany widząc twój ból i wiedząc, że mogłem ci pomóc.

Chociaż obcy w świecie dnia, znam noc jak nikt inny. Chociaż będąc obiektem okrutnej ciekawości głupców-ignorantów, moje poznanie ludzkiego serca opiera się głównie na stosunkach z rodzicami i z tymi dobrymi przyjaciółmi, którzy jak ja żyją przeważnie między zachodem słońca a brzaskiem; w związku z tym rzadko doświadczyłem oszustwa.

Byłem zażenowany szachrajstwem Sandy'ego, jakby zhańbił nie tylko siebie, ale i mnie, i nie mogłem już dłużej spoglądać w jego obsydianowe oczy. Opuściłem głowę i wpatrywałem się w podłogę.

Mylnie biorąc moje zażenowanie za smutek paraliżujący mowę, wyszedł na ganek i położył mi dłoń na ramieniu.

Opanowałem się przed wzdrygnięciem.

— Zawodowo pocieszam ludzi, Christopherze, i dobrze to umiem. Ale szczerze mówiąc... nie znajduję słów, które tłumaczyłyby śmierć lub czyniły ją znośniejszą.

Miałem ochotę kopnąć go w tyłek.

— Nic mi nie będzie — powiedziałem zdając sobie sprawę, że muszę się oddalić, zanim zareaguję zbyt emocjonalnie.

— Mówię ludziom komunały, których nie znalazłbyś w poezji uwielbianej przez twojego ojca, więc nie będę ich powtarzał akurat tobie.

Nie podnosząc głowy skinąłem nią i wycofałem się, byle dalej od jego ręki.

— Dzięki, panie Kirk. Proszę wybaczyć, że przeszkodziłem panu.

— Nie przeszkodziłeś mi. W najmniejszym stopniu. Szkoda tylko, że nie zadzwoniłeś wcześniej. Mógłbym... mógłbym to opóźnić.

— Nie pańska wina. Nic się nie stało. Naprawdę.

Zszedłem z ceglanego ganku bez stopni i znalazłem się na asfalcie. Odwróciłem się od Sandy'ego.

Cofnął się do drzwi, między dwie ciemności.

— Zastanawiałeś się nad nabożeństwem... kiedy chcesz, żeby się odbyło i jak? — zapytał.

— Nie. Jeszcze nie. Jutro dam panu znać.

Gdy odchodziłem, Sandy zapytał:

— Christopherze, dobrze się czujesz?

Tym razem spoglądając na niego z pewnego oddalenia, odezwałem się odrętwiałym, płaskim głosem, którego brzmienie było tylko częściowo modulowane:

— Uhm. Dobrze. Nic mi nie będzie. Dzięki, panie Kirk.

— Szkoda, że nie zadzwoniłeś wcześniej.

Wzruszyłem ramionami i wbiłem ręce do kieszeni dzinsów. Odwróciłem się i przeszedłem obok Piety.

W mieszance, z której odlano replikę, były płytki miki i wielki księżyc migotał w tych drobnych okruchach, tak że łyzy zdawały się lśnić na policzkach Matki Boskiej Betonu.

Zapanowałem nad pokusą, by spojrzeć raz jeszcze na przedsiębiorcę pogrzebowego. Na pewno w dalszym ciągu mnie obserwował. Schodziłem pośród samotnych szepczących drzew. Temperatura opadła poniżej szesnastu stopni. Przybrzeżna bryza była czysta po pokonaniu tysięcy kilometrów oceanu. Niosła ledwie wyczuwalny posmak słonej wody.

Długo po tym, jak opadający podjazd zasłonił mnie przed oczami Sandy'ego, obejrzałem się. Ujrzałem tylko ostrą pochyłość dachu i kominy, surowe kształty na tle nieba zbryzganego punkcikami gwiazd.

Zszedłem z asfaltu na trawę i skierowałem się wzwyż pochyłości, tym razem pod ochronną osłoną roślin. Drzewa pieprzowe układały warkocze przy obliczu miesiąca.

6

Znów ukazało się zakole przed zakładem pogrzebowym. Pieta. Portyk. Sandy musiał już wejść do środka. Drzwi wejściowe były zamknięte.

Trzymając się trawnika, wykorzystując osłonę drzew i zarośli przeszedłem na tyły domu. Głęboka weranda schodziła do dwudziestometrowego basenu, ogromnego ceglanego patia i starannie utrzymanego ogrodu różanego. Nic z tego nie było widoczne z pomieszczeń dla klienteli zakładu.

W miasteczku naszej wielkości przychodzi na świat co roku prawie dwieście maleństw, a umiera stu obywateli. Były tylko dwa zakłady pogrzebowe, a Kirk zapewne przejmował około siedemdziesięciu procent całych obrotów plus połowę z mniejszych miasteczek powiatu. Dla Sandy'ego śmierć była dobrym sposobem na życie.

Widok z patia musiał za dnia zapierać dech w piersiach: dzikie wzgórza falujące łagodnie ku wschodowi, jak okiem sięgnąć, ozdobione rozrzuconymi dębami o pokrzywionych czarnych pniach. Teraz sfalowane pagórki spoczywały jak gigantyczni śpiący pod bladymi prześcieradłami.

Nie zauważywszy nikogo w oświetlonych tylnych oknach, przeciąłem patio. Księżyc białości płątka róży unosił się na atramentowych wodach basenu.

Z domem stykał się obszerny garaż w kształcie litery „L”, z motelem, do którego wchodziło się tylko od frontu. W garażu stały dwa karawany i prywatny pojazd Sandy'ego; krematorium znajdowało się w skrzydle najbardziej oddalonym od domu.

Obszedłem chyłkiem róg garażu, wzdłuż tylnej ściany drugiego ramienia „L”, gdzie ogromne eukaliptusy zasłaniały większość księżycowego światła. Powietrze przesyciła ich aptekarska woń, a kobierzec zeschniętych liści szeleścił pod stopami.

Żaden zakątek Moonlight Bay nie jest mi nieznany — zwłaszcza ten. Znaczną część nocy spędzałem na eksplorowaniu naszego niezwykłego miasteczka i w rezultacie dokonałem pewnych makabrycznych odkryć.

Przede mną, po lewej, lodowate światło wskazywało okno krematorium. Zbliżałem się do niego z przekonaniem — słusznym, jak się okazało — że zaraz ujrzę coś dużo dziwniejszego i znacznie gorszego niż to, co Bobby Halloway i ja zobaczyliśmy w październikową noc, kiedy mieliśmy po trzynaście lat...

Piętnaście lat temu miałem fioła na punkcie potworności; jak każdy chłopiec w moim wieku byłem zafascynowany misterium i niesamowitą wspaniałością śmierci. Bobby Halloway i ja, już wtedy przyjaciele, uznaliśmy za dowód odwagi buszowanie po posesji przedsiębiorcy pogrzebowego w poszukiwaniu czegoś obrzydliwego, upiornego, wstrząsającego. Nie pamiętam, czego się naprawdę spodziewaliśmy lub co mieliśmy nadzieję znaleźć. Kolekcję ludzkich czaszek? Huśtawkę z kości? Tajne laboratorium, w którym zwodniczo normalnie wyglądający Frank Kirk i jego zwodniczo normalnie wyglądający syn Sandy ściągali pioruny z burzowych chmur, by reanimować naszych nieżywych sąsiadów i wykorzystywać ich jako niewolników do kuchni i sprzątnia? Być może spodziewaliśmy się, że w jakimś złowrogim, najeżonym jeżynami kącie różanego ogrodu przypadkiem trafimy na świątynię bóstw zła, Cthulhu i Yog-Sothoth. W tamtych czasach pożeraliśmy H. P. Lovecrafta.

Bobby mówi, że byliśmy szurniętymi gówniarzami. Ja na to, że pewnie tak, ale żaden z nas nie był bardziej szurnięty niż inni chłopcy. Bobby mówi, że może, ale inni chłopcy stopniowo stawali się coraz mniej szurnięci, podczas gdy my stawaliśmy się coraz bardziej.

Tu nie zgadzam się z Bobbym. Nie wierzę, że jestem bardziej szurnięty niż ktokolwiek, kogo poznałem w życiu. Prawdę mówiąc, jestem o cholere i trochę mniej szurnięty od niektórych. Odnosi się to również do Bobby'ego. Ale ponieważ on chlubi się tym, że jest szurnięty, domaga się, żebym wierzył w to samo w moim przypadku, i szczyił się tym. Upiera się, że jest szurnięty! Mówi, że przyznając się do tego, że jesteśmy szurnięci, i wielbiąc to, jesteśmy w głębokiej harmonii z naturą — ponieważ natura też jest porządnie szurnięta.

W każdym razie pewnej październikowej nocy za garażem zakładu pogrzebowego Bobby Halloway i ja odkryliśmy okno krematorium. Zwabiło nas niesamowite światło pulsujące za szybą.

Okno osadzono wysoko, a my nie byliśmy na tyle duzi, aby zajrzeć do środka. Bezgłośnie jak komandosi na zwiadzie w nieprzyjacielskim obozie porwaliśmy z patia tekową ławkę i zanieśliśmy za garaż, pod migocące okno.

Stojąc ramię w ramię na ławce mogliśmy rozpoznać miejsce zdarzenia. Od wewnątrz okno zasłonięte lovelorem, grubą ni to żaluzją, ni roletą na prowadnicach, ale ktoś zapomniał obrócić listwy, tak że wyraźnie widzieliśmy Franka Kirka i jego pomocnika przy pracy. Poza pokojem światło nie było na tyle ostre, aby zrobić mi krzywdę. Przynajmniej tak sobie myślałem, przyciskając nos do szyby. Chociaż nauczyłem się być szczególnie ostrożnym chłopcem, niemniej jednak byłem chłopcem i uwielbiałem przygody oraz ceniłem koleżeństwo; więc byłem gotów zaryzykować ślepotę i przeżyć tę chwilę z Bobbym Hallowayem.

Na stalowym wózku w pobliżu okna leżał trup starszego mężczyzny. Spod prześcieradła wystawała tylko zniszczona twarz. Jego rudosiwe włosy, tłuste i splątane, spra-

wiały takie wrażenie, jakby umarł w porywistym wietrze. Jednakże sądząc po woskowej szarej skórze, zapadniętych policzkach i głęboko spękanych wargach, uległ nie wichurze, ale długiej chorobie. Nie rozpoznaliśmy spopielalej i wyniszczonej postaci, chociaż może za życia znaleźliśmy tę osobę. A jeśli byłby to ktoś widywany tylko przelotnie, stałby się teraz równie przerażający, choć może nie obiektem aż takiej chłopięcej fascynacji i mrocznego zachwytu.

Dla nas, jako że mieliśmy już trzynaście lat, i byliśmy z tego dumni, najbardziej przyciągającą, wybitną i cudowną cechą trupa była właśnie ta najobrzydliwsza. Fascynowało nas jedno oko zamknięte, ale drugie szeroko otwarte, wybałuszone, rozdęte tętnicznym gwiaździstym krwotokiem.

Hipnotyzowało nas.

Trupioślepe, jak namalowane oko lalki, przewiercało nas na wskroś.

Porażeni bezsłowną grozą, nie mogąc powstrzymać się od szeptów, byliśmy parą zwyrodniałych sprawozdawców sportowych, prowadzących barwny komentarz, przyglądając się, jak Frank i jego pomocnik szykowali piec w kącie. Musiało być tam ciepło, gdyż obaj zdjęli krawaty i podwinęli rękawy koszul, a drobne krople potu wystąpiły im na twarzach, jakby nałożyli paciorkowe woalki.

Na dworze była łagodna temperatura październikowej nocy, a my trzęśliśmy się; a widząc swoją gęsią skórę dziwiliśmy się, że para nie bucha nam z ust białymi kłębam jak przy oddychaniu na mrozie.

Mężczyźni zwinęli płótno z trupa i zaparło nam dech w chłopięcych piersiach na widok okropności starczego wieku i zabójczej choroby. Ale zaparło nam dech również to samo słodkie przerażenie, jakie czuliśmy rozkoszując się kasetami wideo w rodzaju „Nocy żywych trupów”.

Gdy ciało włożono do kartonowego pudła i wsunięto w niebieskie płomienie pieca, złapałem Bobby'ego za ramię, a on zacisnął mi spoconą dłoń na karku i trwaliśmy tak w kurczowym uścisku, jakby jakaś nadnaturalna moc mogła nas porwać i roztrzaskując okno cisnąć do środka, w ogień z tym martwym człowiekiem.

Frank Kirk zatrasnął piec. Nawet przez zamknięte okno huk drzwiczek był na tyle głośny, ostateczny, że odczuliśmy go niemal każdą komórką ciała.

Później, gdy zanieśliśmy ławkę na patio i uciekliśmy z tamtej posesji, siedliśmy na miejscach pod gołym niebem na boisku footballowym, należącym do liceum. Nie toczył się żaden mecz, więc nie paliły się światła i byłem tam bezpieczny. Grzmociliśmy colę i wsuwaliśmy chrupki ziemniaczane, które Bobby zakupił po drodze w otwartym do późna spożywczym.

— To było superowe, to było niesamowicie superowe — oświadczył z podnieceniem Bobby.

— To było presuperowe — zgodziłem się.

— To było bardziej superowe niż karty Neda.

Ned to przyjaciel, który zaledwie poprzedniego sierpnia przeniósł się z rodzicami do San Francisco. Otrzymał talię kart do gry — jak, nigdy nie ujawnił — z kolorowymi zdjęciami naprawdę niesamowitych nagich kobiet — pięćdziesiąt dwie ślicznotki.

— Niewątpliwie bardziej superowe niż karty — zgodziłem się. — Bardziej superowe niż wypadek, wtedy kiedy ta dupna cysterna przewróciła się i wybuchła na drodze.

— Jezu, uhm, ekstra bardziej superowe niż tamto. Bardziej superowe niż wtedy, kiedy Zacha Blenhiema ugryzł ten bull terrier i założono mu na ramię dwadzieścia osiem szwów.

— To oko! — powiedział Bobby wspominając gwiazdzisty wylew.

— O, Boże, to oko!!!

— W de-se-czkę!

Wysączyliśmy całą do ostatniej kropli, gadaliśmy i śmieliśmy się bardziej niż kiedykolwiek przedtem w jakąkolwiek noc.

Co z nas za niesamowite istoty, kiedy mamy trzynaście lat.

Tam, na najtańszych miejscach stadionu wiedziałem, że ta makabryczna przygoda zawiązała węzeł naszej przyjaźni, którego nic i nikt nie rozwiąże. Byliśmy przyjaciółmi już dwa lata, ale tamtej nocy nasza przyjaźń stała się silniejsza niż na początku wieczoru. Przeżyliśmy potężne twórcze doznanie — i czuliśmy, że to zdarzenie było głębsze, niż wydawało się z pozoru, głębsze, niż chłopcy w naszym wieku mogli pojąć. W moich oczach Bobby jeszcze więcej zyskał, podobnie jak ja w jego oczach, ponieważ dokonaliśmy tego zuchwałego wyczynu.

Potem miałem odkryć, że tamten moment był tylko preludium. Nasza prawdziwa więź miała powstać drugiego tygodnia grudnia, kiedy ujrzelśmy coś nieskończenie bardziej niepokojącego niż trup z krwawym okiem.

Teraz, po piętnastu latach, pomyślałbym, że jestem zbyt dorosły na takie przygody i zbyt uległy poczuciu przyzwoitości, by błąkać się po posesjach innych ludzi równie beztrudnie jak zdarza się to trzynastoletnim chłopcom. A jednak, no proszę, kolejny raz ostrożnie deptałem warstwy zeschniętych eukaliptusowych liści i przystawiałem twarz do fatalnego okna.

Roleta, chociaż pożółkła z czasem, wydawała się ta sama, przez którą ja i Bobby zerkailiśmy tak dawno temu. Listwy ustawiono skośnie, ale odległości między nimi były na tyle szerokie, że pozwalały oglądać całe krematorium — a ja byłem na tyle wysoki, że mogłem to zrobić bez stawania na ławce z patio.

Sandy Kirk i jego pomocnik pracowali w pobliżu urządzenia kremacyjnego Power Pak II. Mieli na sobie maseczki chirurgów, gumowe rękawiczki i jednorazowe plasti-

kowe fartuchy. Na wózku w pobliżu okna był jeden plastikowy worek na ciało, z rozsuniętym zamkiem błyskawicznym — rozwarły jak dojrzały strączek fasoli — z nieżywym człowiekiem w środku. Najwidoczniej był to autostopowicz, którego miano spalić dając mu nazwisko mojego ojca. Miał około metra siedemdziesięciu pięciu, osiemdziesięciu kilo wagi. Z powodu razów, jakie otrzymał, nie mogłem ocenić wieku. Twarz była groteskowo zniekształcona.

Początkowo myślałem, że oczy ma zakryte czarnymi krwawymi skrzepami. Potem zdałem sobie sprawę, że stracił obie gałki oczne. Wpatrywałem się w puste oczodoły. Pomyślałem o starcu z pękniętą gwiazdźście siateczką naczyń w oku i o tym, jak tamto przeraziło mnie i Bobby'ego. Tamto to było nic w porównaniu z tym. Tamto było bezosobowym czynem natury, podczas gdy to — owocem ludzkiej podłości.

W październiku i listopadzie Bobby Halloway i ja od czasu do czasu wracaliśmy pod okno krematorium. Przekradając się w ciemności, unikając zdradliwych pułapek winorośli ścielącej się po ziemi, wdychaliśmy w płuca zapach pobliskich eukaliptusów, który do dziś identyfikuję ze śmiercią. Podczas tych dwóch miesięcy Frank Kirk przeprowadził czternaście pogrzebów, ale tylko troje zmarłych skremowano. Innych zabalzamowano i pochowano tradycyjnie.

Bobby i ja żalowaliśmy, że balsamiarnia nie miała okien, przez które moglibyśmy podglądać. Najświętsze sanktuarium było „tam, gdzie robią mokrą robotę”, jak nazywał to Bobby — w suterenie, bezpieczne przed takimi szpiegami jak my. W skrytości ducha czułem ulgę, że nasze podglądactwo ograniczy się do suchej roboty Franka Kirka. Byłem przekonany, że Bobby też czuje ulgę, chociaż udawał głębokie rozczarowanie.

Pozytywną stroną tego wszystkiego było to, że Frank balsamował ciała za dnia, ograniczając kremowanie do godzin nocnych, dzięki czemu mogłem swobodnie podpatrywać.

Chociaż potężny piec kremacyjny, mniej wyrafinowany niż Power Pak II, używany obecnie przez Sandy'ego, pozbywał się ludzkich szczątków w bardzo wysokiej temperaturze i miał urządzenia filtrujące, cienki dym uchodził z komina. Frank dokonywał kremacji nocą tylko z szacunku dla pogrążonych w żalu członków rodziny lub przyjaciół, którzy za dnia mogliby spojrzeć na wzgórze, ku zakładowi, z dolnej części miasteczka i ujrzyć, jak pozostałości ich bliskich umykają ku niebu wątlymi szarymi smugami.

Ojciec Bobby'ego, Anson, wydawał „Moonlight Bay Gazette”. Bobby wykorzystywał swoje koneksje i zawsze od kogoś z zespołu redakcyjnego potrafił wyciągnąć najświeższe informacje o zgonach wskutek wypadków lub z przyczyn naturalnych. Zawsze wiedzieliśmy, kiedy Frank Kirk ma świeży „towar”, ale nie byliśmy pewni, czy zamierza go zabalzamować, czy skremować. Natychmiast po zachodzie słońca jechaliśmy rowerami w pobliże zakładu pogrzebowego, a potem potajemnie wchodziliśmy na teren posesji, czekając przy oknie krematorium na rozpoczęcie całego procesu, lub musieliśmy uznać, że zmarły nie będzie kremowany.

Pan Garth, sześćdziesięcioletni prezes First National Bank, zmarł na atak serca pod koniec października. Przyglądaliśmy się, jak odszedł w płomienie.

W listopadzie cieśla Henry Aimes spadł z dachu i skręcił sobie kark. Chociaż Aimes był skremowany, Bobby i ja nie podpatrzyliśmy żadnej części zabiegu, ponieważ Frank Kirk lub jego pomocnik pamiętali o obróceniu do końca listew żaluzji.

Jednakże drugiego tygodnia grudnia były tylko pochylone, gdy przyszliśmy na kremację Rebeki Acquilain. Była żoną Toma Acquilaina, nauczyciela matmy w gimnazjum, do którego uczęszczał Bobby, ale ja nie. Pani Acquilain, miejska bibliotekarka, miała zaledwie trzydzieści lat, była matką pięcioletniego chłopca imieniem Devlin.

Leżąc na wózku, zasłonięta od szyi w dół, pani Acquilain była tak piękna, że widok jej twarzy był nie tylko rozkoszą dla naszych oczu, ale ciężarem dla naszych piersi. Nie mogliśmy oddychać. Zapewne poprzednio zdawaliśmy sobie sprawę, że jest piękną kobietą, ale nigdy do niej nie wzdychaliśmy. Była przecież bibliotekarką i matką, podczas gdy my mieliśmy po trzynaście lat i nie w głowie nam było zachwywanie się urodą tak cichą jak świecąca gwiazda spadająca z nieba i czystą jak krople deszczu. Nasz wzrok przyciągały kobiety, których nagie ciała oglądaliśmy na kartach do gry. Często patrzyliśmy na panią Acquilain, ale nie dostrzegaliśmy jej.

Śmierć nie zdążyła zniszczyć jej urody, gdyż zgon nastąpił szybko. Defekt arterii w mózgu, bez wątplenia będący od dzieciństwa, ale nigdy niepodejrzewany, doprowadził do spęcznienia i pęknięcia naczynia krwionośnego. Odeszła w ciągu kilku godzin.

Gdy leżała na wózku w zakładzie pogrzebowym, miała zamknięte oczy. Twarz emanowała spokojem. Zdawała się spać; nawet miała lekko uniesione kąciki ust, jakby śniła jej się coś miłego. Gdy dwaj mężczyźni zdjęli przykrycie, by przełożyć panią Acquilain do kartonowego pudła, a potem do pieca, ujrzeliśmy szczupłe, cudownie proporcjonalne ciało, tak piękne, że żadne słowa nie mogłyby go opisać; piękność wykraczająca poza erotykę; nie przyglądaliśmy się kobiecie z upiornym pożądaniem, ale z zachwytem i czcią.

Wyglądała tak młodo.

Wyglądała na nieśmiertelną.

Pracownicy zakładu wsunęli ją do pieca z, jak się wydawało, nadzwyczajną łagodnością i szacunkiem. Po zamknięciu drzwiczek Frank Kirk zdarł rękawiczki i otarł jedno oko, a potem drugie. To nie pot ścierał.

Podczas innych kremacji Frank i jego pomocnik gadali prawie bez przerwy, chociaż nie słyszeliśmy dokładnie, czego dotyczyły rozmowy. Tej nocy prawie się nie odzywali.

Bobby i ja też byliśmy cicho.

Odnieśliśmy ławkę na patio. Wysłizgnęliśmy się z posesji Franka Kirka. Wsiedliśmy na rowery i przejechaliśmy najciemniejszymi ulicami Moonlight Bay. Poszliśmy na plażę.

O tej porze szeroki piaszczysty pas był opuszczony. Za nami, tak zniewalające jak skrzydła Feniksa, rozłożone na wzgórzach, migotały przez królestwo drzew światła miasteczka. Przed nami leżał atramentowy przestwór Pacyfiku.

Przybrzeżna fala była łagodna. Rozdzielona długimi pasmami spokojnej wody, niska, toczyła się do brzegu, leniwie kładąc fluorescencyjne grzywy, które odrywały się od lewej do prawej, jak biała otoczka ciemnego mięsiwa oceanu.

Siedziałem na piasku, przyglądałem się fali i myślałem o tym, jak bliskie są święta Bożego Narodzenia. Za dwa tygodnie. Nie chciałem myśleć o świętach, ale ich blask i dźwięk dzwonków natrętnie owoładnęły moją wyobraźnię. Nie wiedziałem, o czym myśli Bobby. Nie pytałem. Nie miałem chęci na rozmowę. On też nie.

Ponuro zastanawiałem się, jakie święta będzie miał mały Devlin Acquilain bez matki. Może był jeszcze zbyt dziecinny, aby zrozumieć, co znaczy śmierć. Ale niewątpliwie Tom Acquilain, jej mąż, dobrze to rozumiał. Niemniej jednak zapewne postawi choinkę dla Devlina.

Jak znajdzie siły, by zawiesić bombki na gałązkach?

W końcu pierwszy odezwał się Bobby. Rzekł po prostu:

— Chodźmy popływać.

Ten grudzień należał do łagodnych, ale nie był to rok, w którym El Nino — ciepły prąd z południowej półkuli — zbliżał się do naszego brzegu. Temperatura wody nie zachęcała, w powietrzu czuło się chłód.

Bobby rozebrał się i nie chcąc zapiaszczyć ubrania położył je starannie na zmierzwionych wodorostach, wyrzuconych wcześniej na brzeg i wysuszonych przez słońce. Zrobiłem to samo.

Nadzy weszliśmy do czarnej wody, a następnie popłynęliśmy przeciwnie do kierunku pływu. Za bardzo oddaliliśmy się od brzegu. Skierowaliśmy się na północ i płynęliśmy równolegle do wybrzeża. Łagodne ruchy rąk. Minimum pracy nóg. Sprawnie poddawaliśmy się kołysaniu fal. Odplynęliśmy na niebezpieczną odległość. Byliśmy znakomitymi pływakami — chociaż wtedy lekkomyślnymi.

Zimna woda po jakimś czasie przestaje dokuczać pływakowi; w miarę jak obniża się ciepłota ciała, różnica między temperaturą skóry i wody staje się mniej zauważalna. Co więcej, wysiłek daje wrażenie gorąca. Może powstać uspokajające, choć nieprawdziwe, wrażenie ciepła, co jest groźne.

Jednak ta woda stawała się coraz zimniejsza, tak szybko jak opadała temperatura naszych ciał. Nie osiągnęliśmy poziomu komfortu — nieprawdziwego czy autentycznego.

Wypłynąwszy za daleko na północ, powinniśmy wrócić do brzegu i mając choć trochę zdrowego rozsądku, przeszlibyśmy pieszo do wzgórzka suchych wodorostów, na którym złożyliśmy ubrania. My natomiast jedynie zatrzymaliśmy się w pozycji pionowej,

głęboko wdychaliśmy drżącymi piersiami zimne powietrze, tak że pozbyliśmy się cennego ciepła. Potem jednocześnie, bez słowa, zwróciliśmy się w kierunku południowym i popłynęliśmy z powrotem tą samą drogą, którą przybyliśmy, nadal będąc zbyt daleko od brzegu.

Kończyny zaczęły mi ciążyć. Słabe, ale budzące lęk skurcze ścisnęły żołądek. Dudnienie walczącego z prądem serca było tak mocne, że lada chwila spodziewałem się, iż ściągnie mnie głęboko pod powierzchnię. Chociaż napływające fale były równie łagodne jak wtedy, kiedy weszliśmy do wody, bardziej dawały się nam we znaki. Gryzły zęby lodowatej białej piany.

Płynęliśmy ramię w ramię, pilnując, by nie stracić się z oczu. Zimowe niebo nie dawało nam pocieszenia, światła miasteczka były tak dalekie jak gwiazdy, morze stało się wrogiem. Mieliśmy tylko naszą przyjaźń, ale wiedzieliśmy, że w chwili kryzysu jeden umrze próbując ratować drugiego.

Wróciwszy do miejsca startu ledwo mieliśmy siły wyjść z wody. Wyczerpani, targani mdłościami, bledsi niż piasek, dygocąc gwałtownie wypluwaliśmy kwaśny smak morza.

Byliśmy tak zziębnięci, że nie potrafiliśmy sobie już wyobrazić żaru pieca krematoryjnego. Nawet po tym, jak się ubraliśmy, nadal czuliśmy lodowate zimno i to było dobre.

Wyprowadziliśmy nasze rowery za piasek, przez trawiasty park, który okalał plażę, na najbliższą ulicę.

Kiedy wsiadałem na rower, Bobby zaklął:

— Cholera.

— Uhm — przytaknąłem.

Rozjechaliśmy się do domów. Od razu poszliśmy do łóżek, jakbyśmy byli chorzy. Spaliśmy. Śniliśmy. Życie trwało dalej.

Nigdy nie wróciliśmy do krematoryjnego okna.

Nigdy nie rozmawialiśmy o pani Acquilain.

Przez wszystkie następne lata Bobby i ja nadal oddalibyśmy życie jeden za drugiego — i to bez wahania.

Jaki dziwny jest świat: to, co potrafimy tak bezpośrednio dotknąć, co jest tak realne dla naszych zmysłów — fascynująca budowa kobiecego ciała, własne mięśnie i kości, zimne morze i migotanie gwiazd — jest o wiele mniej rzeczywiste niż to, czego nie możemy dotknąć, posmakować, powąchać lub zobaczyć. Widok rowerów i chłopców, którzy na nich jada, jest o wiele mniej prawdziwy niż to, co czujemy umysłem i sercem, mniej materialny niż przyjaźń, miłość i samotność, niż to wszystko, co przetrwa znacznie dłużej niż świat.

Tej marcowej nocy rozciągającej się daleko w dół strumienia czasu dzieciństwa okno krematorium i scena za nim były o wiele bardziej realne, niż bym sobie tego życzył. Ktoś brutalnie pobił autostopowicza, powodując śmierć — a potem wydłubał mu oczy.

Nawet gdyby morderstwo i podstawienie tego trupa w miejsce ciała mojego ojca miało sens, gdy wszystkie fakty były znane, po co wydłubywać oczy? Czy istniał jakiś logiczny powód, aby posyłać tego godnego litości człowieka, ślepcę, we wszystkożerny ogień krematorium?

Czy też został okaleczony przez kogoś ogarniętego szaleńczym, brudnym podnieceniem?

Myślałem o potężnym mężczyźnie z ogoloną głową i pojedynczym kolczykiem z perłą. O jego szerokiej tępej twarzy. O oczach łowcy, czarnych i nieruchomych. O zimnym jak metal głosie, chropowatym jak rdza.

Można było wyobrazić sobie tego mężczyznę czerpiącego przyjemność z zadawania bólu drugiemu człowiekowi, tnącego ciało w podobnie niedbały sposób, jak ktoś, kto leniwie struga gałązkę.

Prawdę mówiąc, w tym dziwnym nowym świecie, który pojawił się podczas moich przeżyć w piwnicach szpitala, łatwo było wyobrazić sobie, że sam Sandy Kirk okaleczył ciało; Sandy, równie przystojny i wymuskany jak model z czasopisma dla eleganckich panów; Sandy, którego drogi ojciec łkał podczas spalania Rebeki Acquillain. Być może oczy złożono w ofierze u stóp świątyni — w odległym, zarosłym chaszczami kącie ogrodu różanego — której Bobby'emu i mnie nigdy nie udało się odnaleźć.

Sandy i jego pomocnik przysunęli wózek do pieca. Zadzwoił telefon.

Gwałtownie odsunąłem się od okna, jakbym to ja był winny alarmowi.

Kiedy znów zbliżyłem się do szyby, Sandy zsunął chirurgiczną maseczkę i uniósł słuchawkę ściennego aparatu. Ton głosu przedsiębiorcy wskazywał zmieszanie, potem zaniepokojenie i gniew, ale przez podwójną szybę nie zdołałem zrozumieć słów. Odwiesił słuchawkę tak gwałtownie, że aparat mało nie spadł ze ściany. Ten kto był po drugiej stronie linii, znakomicie przetkał sobie uszy.

Zdzierając gumowe rękawiczki Sandy odezwał się nagłaco do pomocnika. Wydawało mi się, że powiedział moje imię — i nie towarzyszył mu ton podziwu ani uczucia. Pomocnik, Jesse Pinn, przypominał łasicę: miał wąską twarz, rude włosy i ciemne piwne oczy, które mrużył, jakby w myślach oblizywał się na wspomnienie smaku mięsa zagonionego królika. Pinn zamykał worek na ciało.

Marynarka Sandy'ego wisiała na jednym z kołków po prawej stronie drzwi. Gdy ją zdjął, zdumiał mnie widok wiszącej tam również kabury, obciążonej bronią krótką.

Widząc, że Finn nie daje sobie rady z zamkiem worka, Sandy odezwał się ostro i wskazał okno. Pinn szybko ruszył w moim kierunku. Odskokczyłem od szyby. Zamknąłem na wpół otwarte listwy rolety.

Raczej mnie nie zobaczył. Świadom, że mój optymizm sięga poziomu subatomowego, zdecydowałem, iż mądrze zrobię, słuchając bardziej pesymistycznego głosu mojej natury i nie będę się ociągał z odejściem. Pośpieszyłem między ścianą garażu i kępą eukaliptusów, przez strefę nasiąkniętą wonią śmierci, w kierunku tylnego ogrodu. Opadłe liście trzeszczały pod stopami tak ostro, jak porzucone skorupki ślimaków. Na szczęście szept wiatru między konarami, pełen głuchego szmeru morza, nad którym tak długo wędrował, zagłuszał, maskował moje odejście.

Zagłuszał też kroki każdego, kto mnie śledził.

Byłem przekonany, iż telefonował jeden z sanitariuszy szpitalnych. Przejrzeli zawartość walizki, znaleźli portfel ojca i wysnuli wniosek, że musiałem być obecny w garażu podczas zamiany ciał. Po tej informacji Sandy zdał sobie sprawę, że moje pojawienie się u niego nie było tak niewinne, jak się wydawało. Zapewne wyjdzie na dwór z Jessem Pinnem sprawdzić, czy może czaję się gdzieś na terenie posiadłości.

Dotarłem wreszcie do ogrodu. Idealnie wystrzyżony trawnik wydawał się szerszy i rozleglejszy, niż pamiętałem. Księżyc w pełni nie świecił jaśniej niż przed chwilą, lecz każda twarda powierzchnia, która poprzednio pochłaniała płynne światło, teraz odbijała i wzmacniała je. Niesamowite srebrne migotanie rozpraszało noc, pozbawiając mnie ukrycia. Nie odważyłem się przeciąć patia. Prawdę mówiąc, zdecydowałem się trzymać z dala od domu i podjazdu. Odejście tą samą drogą, którą przybyłem, byłoby zbyt ryzykowne.

Przemknąłem trawnikiem do rozległego ogrodu różanego z tyłu posesji. Dalej opadały tarasy z rozległymi rzędami kratownic zbiegających się skośnie, liczne altany przypominające tunele i labirynt przecinających się ścieżek.

Wiosna na naszym łagodnym wybrzeżu nie trzyma się kalendarza i debiutuje wcześniej; róże już kwitły. Czerwone i o ciemniejszych barwach kwiaty wydawały się czarne w blasku księżyca, róże na złowrogi ołtarz; ale były też ogromne białe skupiska płatków, wielkie jak główki niemowląt, skłaniające się do melodii kołysanki wietrzyka.

Za mną rozległy się męskie głosy. Niespokojny wiatr głużył je i rozpraszał.

Przykucnąłem przy wysokiej kratownicy i spojrzałem do tyłu, przez pusty romb między białymi deszczułkami. Niezdarnie rozsunąłem zwisające pnącza z groźnymi kolcami.

W pobliżu garażu dwa światła latarek wyganiały cienie z krzewów, płoszyły zjawy przeskakujące konary, oślepiały szyby okien. Sandy Kirk posługiwał się jedną latarką. Niewątpliwie dźwigał broń, którą wcześniej zauważyłem. Jesse Pinn też mógł być uzbrojony.

Kiedyś przedsiębiorcy pogrzebowi i ich pomocnicy nie odpinali pasa z rewolwerem. Do tego wieczoru nie zdawałem sobie sprawy, że nadal mają to w zwyczaju.

Z zaskoczeniem ujrzałem trzecią latarkę. Jej światło dochodziło zza dalszego węgła domu. Potem zobaczyłem następne. Czwarta. Piąta.

Szósta.

Nie miałem pojęcia, kim mogą być nowi poszukiwacze ani też skąd pojawili się tak szybko. Rozeszli się tyralierą i w tym szyku zbliżali się idąc przez ogród, patio, obok basenu, w kierunku ogrodu różanego, szperając latarkami; złowieszcze postaci, pozbawione rysów twarzy, jak demony w upiornym śnie.

7

Pozbawieni twarzy prześladowcy, jak z sennych koszmarów, byli teraz realni.

Ogród schodził w dół pięcioma szerokimi tarasami. Mimo obecności tych półek i łagodności stoku między nimi biegłem zbyt szybko i nie opuszczała mnie obawa, że potknę się, przewrócę i złamię nogę. Altany i wyrastające ze wszystkich stron kratownice przypominały wypalone ruiny. Na niższych poziomach pieniały się kolczaste powoje, zahaczające o kratownice. Gdy mijałem je w pędzie, zdawały się wić, jak obudzone zwierzęta.

Koszmar na noc. Serce biło mi tak mocno, że gwiazdy zawirowały. Miałem wrażenie, że kopuła nieba ześlizguje się ku mnie, nabierając lawinowego pędu.

Opadając w kąt ogrodu tyleż wyczułem, co zobaczyłem górujące nade mną kute w żelazie ogrodzenie; wysokie na dwa i pół metra, błyszczące czernią farby migotało w świetle księżyca. Wbiłem pięty w miękką ziemię i wyhamowałem, odbijając się o mocne pręty, ale nie na tyle gwałtownie, by zrobić sobie krzywdę. Nie narobiłem też hałasu. Zakończony grotami pionowe pręty solidnie przyspawano do dranek; ogrodzenie nie odpowiedziało łoskotem, jedynie przez chwilę zabręczało.

Osunąłem się na ziemię.

Prześladował mnie gorzki smak. Usta miałem tak wyschnięte, że nie mogłem splunąć. Czułem klucie w prawej skroni. Pomacałem ją. Trzy kolce utkwiły w skórze. Wyciągnąłem je. Podczas biegu w dół musiałem zahaczyć o dziką różę.

Może dlatego że oddychałem głębiej i szybciej, słodki zapach róż stał się zbyt słodki, przeszedł w smród. Czułem też znowu krem z filtrem, prawie tak mocno jak zaraz po nałożeniu — lecz teraz z kwaśną naleciałością, gdyż pot ożywił woń kosmetyku.

Owładnęło mną absurdałne, niemniej jednak nieodparte przekonanie, że sześciu poszukiwaczy wywęszy mnie. Chwilowo byłem bezpieczny tylko dlatego, że znajdowali się po nawietrznej.

Zacisnąłem dłonie na ogrodzeniu, którego drganie poczułem w rękach i kościach, spojrzałem w górę wzgórze. Grupa poszukująca przeszła z pierwszego tarasu na drugi. Sześć kos światła cięło różę. Fragmenty kratownic, rozjaśnione na krótko, zniekształcone migotem świetlistych ostrzy, wyłaniały się z ciemności jak kości zabitego smoka.

Poszukiwacze mieli w ogrodzie więcej miejsc do sprawdzenia niż na otwartej przestrzeni trawnika wyżej. A mimo to poruszali się szybciej.

Wspiałem się na ogrodzenie i przerzuciłem ciało na drugą stronę, starając się nie rozedrzyć kurtki lub nogawki spodni na ostro zakończonych prętach. Poniżej rozciągał się otwarty teren: ocienione doliny, równomiernie wspinające się szeregi wzgórz skąpane światłem księżycy, szeroko rozrzucone i ledwo dające się rozróżnić czarne dęby.

Dzika trawa, gęsta od niedawnych zimowych deszczy, sięgnęła mi do kolan, gdy opadłem po drugiej stronie. Czuję zapach zielonego soku tryskającego spod butów.

Przekonany, że Sandy i jego towarzysze przeszukają cały teren posesji, skierowałem się w dół, byle dalej od zakładu pogrzebowego. Całym sercem chciałem znaleźć się poza zasięgiem latarek poszukiwaczy, zanim dotrą do ogrodzenia.

Oddalałem się od miasteczka, co nie było dobre. Nie znajdę pomocy na pustkowiu. Każdy krok na wschód zmniejszał moje szansę obrony. Sprzyjała mi pora roku. Jeśli pałace słońce lata wisiałoby już nad nami, wysoka trawa ozłociłaby się jak pszenica i wyschła na wiór. Mój ślad znaczyłby pas zdeptanych łodyg.

Miałem nadzieję, że nadal zielona łąka będzie tak sprężysta, że zamknie się za mną, z grubsza zacierając ślady. Niemniej jednak uważny tropiciel najprawdopodobniej po trafiłby mnie wyśledzić.

Około siedemdziesięciu metrów za ogrodzeniem, u stóp pochyłości, łąka ustąpiła gęstszemu zarośłom. Bariera grubej, sięgającej półtora metra preriowej trawy mieszała się z kozibrodem łąkowym i gęstymi kępami innych roślin.

Szybko pokonałem tę przeszkodę i znalazłem się w szerokim na trzy metry rowie odwadniającym. Niewiele w nim rośło. Deszcz nie padał od dwóch tygodni i kamienne koryto stało suche.

Zatrzymałem się, by odetchnąć. Rozgarnąłem zarośla i wysoką trawę, sprawdzając, jak nisko do ogrodu różanego zeszedli poszukiwacze. Czterej już wspinali się na ogrodzenie. Ich latarki rozcinały niebo, podskakiwały na metalowych prętach, dźgały na chybił trafił ziemię, gdy pokonywali żelazną barierę. Byli niepokojąco szybcy i zwinni.

Czy wszyscy, jak Sandy Kirk, mieli broń?

Biorąc pod uwagę ich zwierzęcy instynkt, szybkość i upór, być może nie potrzebowali broni. Gdyby mnie złapali, chyba rozerwaliby mnie na strzępy gołymi rękami.

A czy wyłupiliby mi oczy?

Kanał odpływowy — oraz bliskie mu zagłębienie — wspiął się na północ i opadł w dół na południowy zachód. Jako że byłem już na samym północno-wschodnim krańcu miasteczka, nie znalazłbym pomocy kierując się wzwyż.

Udałem się na południowy zachód, idąc za obrzeżonym zaroślami rowem. Planowałem jak najszybciej znaleźć się na zamieszkałym terenie. W płytko wyłobionym kanale rozjaśniona księżycem skała lśniła miękko jak mleczny lód na zimowym stawie, wijąc się w nieznane. Boczne kurtyny wysokiej trawy srebrzyły się niczym wysztywnione szronem.

Po przejściu około dwustu metrów znalazłem się w miejscu, gdzie wzgórza zachodziły na siebie, w wyniku czego zagłębienie rozdzielało się. Niewiele zmniejszając szybkość wybrałem drogę w prawo, bo tędy szybciej można było dojść do Moonlight Bay.

Niewiele oddaliłem się od skrzyżowania, gdy zauważyłem zbliżające się światła. Sto metrów dalej zagłębienie terenu szło w lewo, okrążając trawiaste zbocze. Źródło szukającej strugi światła znajdowało się jeszcze za zakrętem, ale rozpoznałem latarki.

Nikt z ludzi z zakładu pogrzebowego nie wydostałby się tak szybko z ogrodu różanego, aby wylądować tu przede mną. To musieli być dodatkowi poszukiwacze. Usiłowali wziąć mnie w kleszcze. Czułem się jak ścigany przez pluton wojska, który czarodziejską mocą wychynął z ziemi.

Stanąłem jak wryty.

Rozważałem, czy nie zejść z gołej skały, by ukryć się wśród traw wysokości człowieka i gęstych zarośli, które pokrywały dalsze odcinki naturalnego rowu odpływowego. Jednakże choćbym nawet minimalnie zmierzwił roślinność, prawie na pewno zostawiłbym ślady tropicielom. Przedarliby się zaroślami i dopadli mnie lub zastrzelili uciekającego nagim zboczem.

Latarki za zakrętem zaświeciły mocniej. Kępy wysokiej trawy zaśniły jak wyszukiwanie trawione wzory na srebrnych tacach.

Wycofałem się do rozwidlenia i wybrałem tym razem lewą odnogę. Po kilkuset metrach dotarłem do następnego rozwidlenia. Chciałem udać się prawym ramieniem — w kierunku miasta. Z obawy, że będzie to zgodne z ich oczekiwaniami, skierowałem się w lewo, chociaż w ten sposób oddalałem się na bezludne wzgórza.

Gdzieś z góry, od zachodu, doleciał mnie warkot silnika, początkowo odległy, potem coraz bliższy. Stał się tak potężny, jak dźwięk nisko przelatującego samolotu. Nie był to jękliwy klekot śmigłowca, ale raczej ryk stałopłatu.

Oślepiające światło przemknęło po szczytach wzgórz, na lewo i prawo ode mnie, przecięło dokładnie zagłębienie, kilkadziesiąt metrów nad moją głową. Promień był tak jasny, tak intensywny, że zdawał się mieć ciężar i gęstość materii, jak rozżarzony do białości wytrysk jakiejś rozpuszczonej substancji.

Szperacz dużej mocy. Zatoczył łuk i rozświetlił odległe grzbiety wzgórz na wschodzie i północy.

Skąd wzięli takie wymyślne urządzenie w tak krótkim czasie? Czyżby Sandy Kirk był wielkim szefem antyrządowej milicji, mającym ośrodek dowodzenia w tajnych bunkrach pełnych broni i amunicji, ukrytych głęboko pod zakładem pogrzebowym? Nie, nie wydawało mi się to prawdziwe. W dzisiejszych czasach takie zjawiska były treścią prawdziwego życia, bieżącymi zdarzeniami w życiu leżącej w przepaść społeczności — podczas gdy to tu zdawało się niesamowite. Tu było terytorium, którego jeszcze nie zagarnęła szalejąca dziko rzeka wieczornych wiadomości.

Musiałem się dowiedzieć, co dzieje się wyżej. Bez rozpoznania byłbym nie lepszy niż ogłupiały szczur w doświadczalnym laboratorium.

Przedarłem się przez zarośla na prawą stronę zagłębienia, pokonałem nierówne dno i ruszyłem długim zboczem, ponieważ wyglądało na to, że tam jest źródło światła szperacza. Podczas mojej wspinaczki snop światła znów rozjaśnił teren nade mną — faktycznie tryskał z północnego zachodu, tak jak myślałem — a następnie przesunął się po raz trzeci, jasno rozświetlając szczyt wzgórza, ku któremu się kierowałem.

Po tym, jak przeczołgałem się następane dziesięć metrów na rękach i kolanach, ostatecznie pokonałem na brzuchu. U szczytu schowałem się za stercząca z ziemi zwietrzałą skalą, która dawała jaką taką osłonę, i ostrożnie wychyliłem głowę.

Czarny hummer — a może humvee, oryginalna wojskowa wersja pojazdu, zanim wzbogacono ją i skierowano do sprzedaży cywilnej — stał wzgórze dalej, bezpośrednio pod osłoną gigantycznego dębu. Hummer, nawet słabo rozjaśniony odbiciem własnych reflektorów, demonstrował łatwo rozpoznawalny profil: zwarte, potężne kombi z napędem na obie osie i gigantycznymi oponami, zdolne pokonać każdy teren.

Teraz zobaczyłem dwa szperacze. Oba były sterowane ręcznie; jeden przez kierowcę, drugi przez pasażera siedzącego z przodu. Soczewki reflektorów miały wielkość tacy na sałatki. Biorąc pod uwagę ich moc, mogły być tylko zasilane silnikiem hummera.

Kierowca zgasił swój reflektor i wrzucił bieg. Wielkie kombi wyprysnęło spod rozległych konarów dębu i przecięło wysoką łąkę, jakby pokonywało autostradę, pokazując mi tylne drzwi. Znikło za wzgórzem, prawie zaraz wyjechało z dołu i szybko wspięło się na odległe wzniesienie, bez wysiłku pokonując stok.

Piesi z latarkami i być może bronią palną trzymali się zagłębienia. Hummer patrolował szczyty wzgórz usiłując przegonić mnie z wysokiego terenu w dół, gdzie musiałbym wpaść w łapy poszukiwaczy.

Kim wy, ludzie, jesteście? — zamruczałem.

Szperacze wystrzeliły z hummera, siekąc dalsze wzgórze, oświetlając morze trawczesane niestałym powiewem, który opadał i rósł. Fala po fali przetaczała się po nierównym terenie i lizała wyspy — pnie dębów.

Potem wielkie kombi znów ruszyło, rozkołysane na mniej gościnnym podłożu. Przednie światła podskakiwały, szperacz zamigotał dziko wzdłuż grzbietu wzgórza, opadał niżej i podnosił się. Pojazd skierował się na południowy wschód ku innemu punktowi obserwacyjnemu.

Zastanawiałem się, na ile te działania są widoczne z ulic Moonlight Bay, niższych wzgórz i równinie bliższej oceanu. Możliwe, że tylko garstka ludzi będących na dworze akurat spoglądała tam, gdzie działo się zamieszanie, i mogła zwrócić na nie uwagę. Ci, którzy dostrzegli szperacze, mogli założyć, że to nastolatki lub chłopcy z college'u jeżdżą zwyczajną terenówką, śledząc lisa lub sarnę; uprawiają nielegalny, lecz bezkrawawy sport tolerowany przez większość ludzi.

Niebawem hummer miał wrócić łukiem do mnie. Oceniając tor poszukiwań, mógł zjawić się na tym wzgórzu po kolejnych dwóch etapach.

Zszedłem w dół wzgórza, do zagłębienia, z którego wydrapałem się w górę; dokładnie tam, gdzie chciano mnie wpakować. Nie miałem lepszego wyboru.

Do tej pory byłem pewien, że ucieknę. Teraz moja pewność siebie osłabła.

8

Przedarłem się przez trawę do rowu odpływowego i szedłem dalej w kierunku, który obrałem, zanim szperacze wygoniły mnie na wzgórze. Zatrzymałem się dopiero po kilku krokach, zaskoczony, że coś o świetliście zielonych ślepiach stoi na szlaku.

Kojot!

Te przypominające wilka, ale mniejsze, z węższym pyskiem niż ich więksi kuzyni stworzy o zmierzwionej sierści mogły być groźne. W miarę okrażania przez cywilizację mordowały domowe zwierzęta w, zdawałoby się, bezpiecznych przydomowych ogrodach dzielnic willowych niedaleko otwartych wzgórz. Od czasu do czasu słyszało się nawet o kojocie, który porwał i uniósł dziecko, jeśli ofiara była odpowiednio mała. Chociaż dorosłych atakowały rzadko, nie mógłbym polegać na ich powściągliwości lub moim wyższym wzroście, gdybym spotkał sforę — lub nawet parę — na ich terenie.

Moje nocne widzenie nadal nie było najlepsze po oślepiającym blasku szperaczy i minęła chwila napięcia, zanim dostrzegłem, że zielone ślepie są zbyt blisko osadzone, by mogły należeć do kojota. Co więcej, jeśli zwierzę nie przywarowało z torsem przy ziemi, to kierowało na mnie groźny wzrok ze zbyt niskiej pozycji; a więc to nie mógł być kojot.

Gdy dostosowałem wzrok do księżycowego światłocienia, ujrzałem, że stoi przed mną coś tak niegroźnego jak kot. Nie kuguar, dużo groźniejszy niż kojot i będący ewentualnie powodem przerażenia, lecz zwyczajny kot domowy; blado-popielaty lub jasno-beżowy — nie do ustalenia w mroku.

Większość kotów nie jest głupia. Nawet obsesyjnie zajęte pogonią za myszą lub małą pustynną jaszczurką nie zapuszczają się głęboko na terytorium kojotów.

Gdy ujrzałem wyraźniejszy obraz tego konkretnego przedstawiciela gatunku, wydawał się szybszy i bardziej czujny niż inni. Siedział wyprostowany, przekrzywiwszy pytająco łeb, postawiwszy uszy i przyglądał mi się bacznie.

Gdy zrobiłem krok przed siebie, kot wstał. Po kolejnym kroku odwrócił się i pomknął posrebrzoną księżycem ścieżką. Znikł w ciemności. Gdzieś tam znów ruszył hummer. Jego grzechot i warkot szybko rosły.

Poszedłem. Zanim pokonałem sto metrów, silnik hummera przestał ryczeć, ale pracował w pobliżu na wolnych obrotach. Odgłos mechanizmu przypominał powolne, głębokie dyszenie. Ślepie reflektorów, jak groźnego drapieźnika, przeczesywały noc w poszukiwaniu ofiary.

Dotarłem do następnego rozwidlenia zagłębienia i przekonałem się, że kot czeka na mnie. Siedział na krzyżówce nie opowiadając się za żadnym kierunkiem.

Gdy ruszyłem w lewo, kot pomknął na prawo. Zatrzymałem się po kilku krokach... i skierował ku mnie swoje latarenki ślepi. Musiał być doskonale świadomy okrążających nas zewsząd poszukiwaczy, nie tylko hałaśliwego hummera, ale i pieszych. Jego wyostrzone zmysły mogły nawet wyczuć wydzielane przez nich feromony agresji, zapowiedź gwałtu. Równie chętnie jak ja uniknąłby owych ludzi. W tych warunkach zrobiłbym lepiej wybierając drogę ucieczki zgodną z instynktem zwierzęcia, a nie polegając na swoim.

Pracujący na luzie silnik hummera nagle zagrzmiał. Twardy łoskot odbijał się od ścian zagłębienia, tak że pojazd zdawał się zbliżać i równocześnie błyskawicznie oddalać. W tej burzy hałasu przez chwilę nie mogłem skupić myśli.

Potem zdecydowałem się iść drogą kota.

Gdy odwróciłem się od lewej odnogi rozwidlenia, hummer zaryczał za szczytem wzgórza z lewej strony zagłębienia, w którą o mało co nie wszedłem. Przez chwilę zawisł w powietrzu, jakby nieważki w rozpadlinie czasowej, reflektory — bliźniacze liny prowadzące cyrkowego akrobatę, szperacz wbity prosto w czarne płótno namiotu niebios. Czas przeskoczył swoje puste złącze nerwowe i popłynął dalej. Hummer opadł w przód. Przednie koła gruchnęły o zbocze, tylne przeskoczyły urwisko. Koła splunęły grudami ziemi i trawy. Pognał w dół.

Jeden z mężczyzn w środku wrzasnął z uciechy, drugi roześmiał się. Rozkoszowali się polowaniem.

Gdy wielkie kombi zjechało zaledwie pięćdziesiąt metrów przede mną, kierowany ręcznie szperacz omiótł zagłębienie. Rzuciłem się na ziemię w poszukiwaniu osłony. Skaliste podłoże było piekłem dla kości i poczułem, jak okulary przeciwsłoneczne pękają mi w kieszeni. Zerwałem się na nogi, a snop światła tak jasnego, jak piorun rozszczępiający dąb, przeleciał z sykiem po miejscu, w którym przed chwilą się znajdowałem. Zwinąłem się ugodzony odblaskiem, zmrużyłem oczy i zobaczyłem, że szperacz drży, a potem mknie na południe. Hummer nie zbliżył się do mnie.

Mogłem pozostać, gdzie byłem, na rozwidleniu szlaków, mając za plecami najbardziej stromy odcinek wzgórza, odczekać, aż hummer odjedzie, nie ryzykować spotkania z nim w następnej dolince. Jednak gdy cztery latarki zamrugały z powrotem na szlaku, którym zmierzałem do tej pory, już się nie wahałem. Byłem poza zasięgiem światła tamtych ludzi, ale zbliżali się truchtem i groziło mi bezpośrednio zagrożenie.

Gdy obszedłem wzgórze i wkroczyłem do zachodniego zagłębienia, kot nadal tam był, jakby czekał na mnie. Zaprezentował mi swój ogon i odbiegł, chociaż nie tak szybko, abym stracił go z oczu.

Byłem wdzięczny losowi, że mam pod stopami skałę, na której nie mogłem zostawić śladów, gdy nagle z przerażeniem stwierdziłem, że tylko fragmenty połamanych okularów zostały mi w kieszeni. Biegając pomacałem kieszeń, wyczuwając zgięty nausznik i ostre kawałki szkła. Reszta musiała rozproszyć się w miejscu mojego upadku, na rozwidleniu szlaków.

Czterej poszukiwacze na pewno dojrzą połamany plastik i szkło. Rozdzielą siły, po dwóch na każde zagłębienie, popędzą za mną szybciej i z większą zajadłością niż do tej pory, zdopingowani tym dowodem bliskości swojej zdobyczy.

Hummer rozpoczął kolejny wyjazd na górę, po drugiej stronie wzgórza, z dolinki, w której ledwo uniknąłem szperacza. Ryk silnika stał się wyższy i głośniejszy. Gdyby kierowca zatrzymał się na tym trawiastym wzgórzu i jeszcze raz przepatrzył teren, mógłbym uciec pod nim, niezauważony. Gdyby jednak pojechał wzdłuż stoku, do nowej dolinki, mógłbym nadzieć się na reflektory lub zostać przyszpilony szperaczem.

Kot pobiegł i ja pobiegłem.

W miarę jak zagłębienie opadało między czarne wzgórza, rozszerzało się bardziej niż poprzednio, a skalne koryto pośrodku też rosło. Wysoka trawa i inna roślinność żyły się gęściej wzdłuż tej kamiennej ścieżki, wyraźnie nawadniane większą falą z burzowych odpływów, ale rosły zbyt daleko od środka, by rzucić na mnie nawet słaby cień; byłem całkowicie odsłonięty. Co więcej, to szerokie obniżenie terenu biegło prosto jak miejska ulica, inaczej niż poprzednio, więc żadne zakręty nie chroniły mnie przed ściągającymi, którzy mogli się tu znaleźć łąda chwila.

Wyglądało na to, że hummer kolejny raz zatrzymał się na wzgórzu. Powiew wiatru stłumił jego warkot i jedynym odgłosem była praca mojej maszynierii; charkot i rżężenie oddechu, dudnienie serca.

Kot mógł biec szybciej od mnie, miał wiatr w czterech łapach. Gdyby chciał, znikłby w sekundę. Jednakże przez kilka minut dostosowywał się do mnie, trzymał się stale o pięć metrów w przodzie, bladopopielaty lub bladobeżowy, zjawa kota w świetle księżyca. Jego oczy przypominały płomienie świec podczas seansu spirytystycznego.

Właśnie gdy zacząłem sobie roić, że to stworzenie świadomie ratuje mnie z opresji, właśnie gdy pozwoliłem sobie na jedną z tych orgii antropomorfizacji, od których Bobby'ego Hallowaya mózg swędzi, kot zwiął. Nawet gdyby spieniony potok wypełnił ten wyschły odpływ burzowy, kotłująca się woda nie przegoniłaby zwierzaka i po dwóch sekundach, maksimum trzech, połknęła go noc.

Minutę później zobaczyłem kota przy końcu tunelu. Byliśmy w ślepym końcu zagłębienia. Trawiaste zbocza wznosiły się skosem z trzech stron. Prawdę mówiąc, były tak strome, że nie mogłem pokonać ich na tyle szybko, aby uniknąć dwóch poszukiwaczy, którzy z pewnością za mną biegli. Znalazłem się w pułapce.

Drewno unoszone przez wodę, zbite kule zeschniętych chwastów i traw, szlam spiętrzyły się u końca odpływu. Spodziewałem się, że kot pośle mi złośliwy uśmiezek swojego pobratymca z Cheshire, białe zęby zaślnią w ciemności. Ale nie. Skokami pokonał kupę śmiecia, wślizgnął-wwiercił się w jeden z niewielkich załomów i znikł.

To jednak był odpływ! Dlatego wezbrana woda miała gdzie uciec, docierając w to miejsce.

Pospiesznie wspiąłem się po szerokiej na trzy metry i wysokiej na metr zbitej kupie odpadków. Uginała się, skrzypiała i trzeszczała, ale uniosła mój ciężar. Wszystko to zatrzymało się na stalowej kratce zamykającej wlot, osadzonej w ścianie wzgórza. Za kratą był betonowy ściek o średnicy mniej więcej dwóch metrów, zakończony wieńczącymi przyporami. Wyglądało to na część systemu przeciwpowodziowego, który odprowadzał nadmiar wód burzowych poza wzgórza, pod autostradę wybrzeża Pacyfiku, w ścieki pod ulicami Moonlight Bay i wreszcie do oceanu. Każdej zimy brygady remontowe usuwały śmieci z kraty, aby udroźnić przepływ wody. Wszystko wskazywało na to, że ostatnio nie pojawiły się tu.

W ścieku zamiauczał kot. Wzmocniony głos odbił się głuchym echem w betonowym tunelu. Prześwity stalowej kraty miały kilkanaście centymetrów kwadratowych, wystarczająco, by przepuścić zwinnego kota, ale nie mnie. Zamknięcie obejmowało całą szerokość otworu, od przypory do przypory, ale nie sięgało do samej góry.

Między górą kraty a wygiętym stropem ziała półmetrowa szczelina. Przerzuciłem tamtędy nogi, zadowolony, że kratę obrzeżono poprzeczną sztabą, gdyż inaczej poraniłbym się i nabił na pionowe pręty.

Zostawiłem za sobą gwiazdy i księżyc. Stałem plecami do kraty widząc absolutną czern. Musiałem tylko lekko się zgarbić, aby nie uderzyć głową o strop. Woń mokrego betonu i zeschniętej trawy, całkiem miła, unosiła się z dołu. Ruszyłem przed siebie szurając nogami. Gładki spód ścieku był zaledwie lekko pochylony. Już po kilku metrach zatrzymałem się w obawie, że wpadnę nagle w wylot i skończę martwy lub z połamanym kręgosłupem.

Wyjąłem zapalniczkę z kieszeni džinsów, ale miałem opory z zapaleniem. Światło migocące wzdłuż obłych ścian byłoby widoczne z zewnątrz.

Kot odezwał się znowu. Przed sobą widziałem tylko jego świecące oczy. Sądząc po dzielącej nas odległości i kącie, pod którym patrzyłem w dół na zwierzaka, podłoże ogromnego ścieku opadało coraz niżej. Szedłem ostrożnie w kierunku migocących oczu. Gdy byłem blisko, stworzenie odwróciło się i stanąłem jak wryty, straciwszy zdwojoną latarnię. W chwilę potem odezwało się znów. Zielone światło powróciło i trwało nieruchome.

Ruszyłem, nie mogąc przestać myśleć o tym przedziwnym zdarzeniu. Wszystko, czego byłem świadkiem od zachodu słońca — kradzież ciała ojca, trup z wylupionymi

oczami w krematorium, pogoń z zakładu pogrzebowego — było niewiarygodne, ale w owej niesamowitości nic nie dorównywało zachowaniu tego małego krewnego tygrysa.

A może robiłem po prostu z igły widły, przypisując zwyczajnemu kotu domowemu świadomość mojej rozpaczliwej sytuacji, z której faktycznie wcale nie zdawał sobie sprawy.

Może.

Po omacku podszedłem do kolejnej kupki śmieci, mniejszej niż pierwsza. W przeciwieństwie do poprzedniej była wilgotna. Zmoczone odpadki zachręściły pod moimi butami i uniósł się z nich ostry smród. Ostrożnie macając w powietrzu rękami sunąłem w ciemności i przekonałem się, że śmieci zatrzymały się na kolejnej kracie. Wszystko to, co zdołało przepłynąć górą pierwszej kraty, utknęło tu.

Po tym, jak wspiąłem się na tę barierę i przeszedłem bez szwanku na drugą stronę, zaryzykowałem użycie zapalniczki. Ująłem płomyk w dłoń, ograniczając i ukierunkowując blask najbardziej, jak to było możliwe.

Jasno rozjarzyły się ślepia kota, teraz złote z płatkami zieleni. Przez długą chwilę wpatrywaliśmy się w siebie, a potem przewodnik — jeśli nim był — błyskawicznie odwrócił się i pomknął poza zasięg mojego wzroku, w dół.

Posługując się zapalniczką jak pochodnią, zmniejszyłem płomyczek do minimum i chroniąc gaz szedłem w dół sercem przybrzeżnych wzgórz, mijając mniejsze dopływy przepustowe, zbiegające się do głównego kolektora. Doszedłem do brzegu szerokich betonowych stopni, na których były kałuże stojącej wody i cienkie powłoki twardej szaroczarnej pleśni, która prawdopodobnie pojawiała się tylko w trakcie czteromiesięcznej pory deszczowej. Okryte pianą stopnie były zdradzieckie, ale dla bezpieczeństwa brygad remontowych umieszczono przy ścianie stalową poręcz, obwieszoną teraz ponurą ozdobą w postaci zwiędłej trawy naniesionej przez ostatnią powódź.

Schodząc nasłuchiwałem odgłosów pościgu, głosów w tunelu za plecami, ale słyszałem tylko ukradkowe dźwięki, które sam wydawałem. Poszukiwacze zdecydowali, że nie uciekłem kanałem lub też tak długo wahali się przed wejściem do ścieku, że znacznie ich wyprzedziłem.

U dołu przelewu spływowego, na ostatnich dwóch szerokich stopniach nieomal wpadłem na — jak początkowo myślałem — okrągłe kapelusze wielkich grzybów, skupiska groźnie wyglądających porostów, rosnących w pozbawionej światła wilgoci, niewątpliwie wyjątkowo trujących. Złapałem się poręczy i minąłem kształty wyrastające na śliskim betonie. Nie chciałem ich dotknąć nawet butem. Dotarłem do następnego odcinka. Odwróciłem się, aby dokładniej ocenić przedziwne znalezisko.

Gdy zwiększyłem płomień zapalniczki, odkryłem, że przede mną leżą nie grzyby, ale czaszki. Delikatne czaszki ptaków. Wydłużone czaszki jaszczurek. Większe czaszki mogły należeć do kotów, psów, szopów, jeży, królików, wiewiórek...

Skraweczek ciała nie przylegał do tych trupich szczątków, jakby wygotowano je do czysta; mnóstwo białych i białozółtych w gazowym oświetleniu, może setka. Żadnych kości kończyn, żadnych klatek piersiowych, tylko czaszki. Ułożono je porządnie jedną obok drugiej w trzech rzędach — dwa na dolnym stopniu, jeden na drugim od dołu — skierowane w dół, jakby nawet puste oczodoły miały być świadkiem czegoś.

Nie miałem pojęcia, co o tym myśleć. Na ścianach nie widziałem żadnych satanistycznych symboli, żadnego śladu makabrycznych ceremonii, jednak zbiór niewątpliwie miał znaczenie symboliczne. Rozmiary świadczyły o obsesji, a okrucieństwo, którego można było się domyślać po zabijaniu i dekapitacji na tak szeroką skalę, mroziło krew w żyłach.

Wspominając fascynację śmiercią, która władała mną i Bobbym Hallowayem, kiedy mieliśmy po trzynaście lat, zastanawiałem się, czy jakiś chłopak, dużo bardziej pokręcony niż my, nie dokonał tego makabrycznego dzieła. Kryminolodzy twierdzą, że do wieku trzech, czterech lat większość wielokrotnych zabójców zabija i torturuje insekty, w dzieciństwie i młodości terminuje na zwierzętach, by wreszcie zdać egzamin mistrzowski na ludziach. Może w tych katakumbach jakiś szczególnie zdeprawowany młody morderca praktykował przed dokonaniem dzieła życia.

W środku trzeciego, najwyższego rzędu tych kościanych portretów lśniła czaszka wyraźnie odcinająca się kształtem od innych. Wyglądała na ludzką. Małą, ale ludzką. Jak czaszka niemowlęcia.

Dobry Boże.

Mój głos wrócił do mnie echem odbitym od betonowych ścian.

Bardziej niż kiedykolwiek czułem się, jakbym wylądował w krajobrazie marzenia sennego, gdzie nawet takie rzeczy jak beton i kości nie były bardziej namacalne niż dym. Nie dotknąłem małej ludzkiej czaszki — żadnej zresztą. Bez względu na to, jak wydawały się nierealne, wiedziałem, że okażą się zimne, śliskie i aż nazbyt twarde.

Lękając się, że spotkam kogoś, kto stworzył ten koszmarny zbiór, poszedłem w dół ścieku.

Spodziewałem się kolejnego przybycia kota o zadziwiających ślepiach, białych łapach muskających beton w pierzastej ciszy, lecz albo trzymał się daleko przede mną, poza zasięgiem wzroku, albo zawrócił w jeden z bocznych ciągów.

Partie pochyłej betonowej rury następowały na zmianę z kolejnymi przelewami spływowymi i właśnie gdy zacząłem się martwić, że w zapalniczce zabraknie paliwa i nie trafię w bezpieczne miejsce, pojawił się i stopniowo urósł krąg szarego światła. Przyspieszyłem kroku i okazało się, że żadna krata nie zamykała dolnego końca tunelu, który wychodził na otwarty kanał spływowy z rzecznych kamieni osadzonych w zaprawie murarskiej.

W końcu znalazłem się na znajomym terenie, płaskich północnych obrzeżach miasteczka, kilka przecznic od morza. Obok było liceum.

Po wilgotnym ścieku nocne powietrze pachniało nie tylko świeżo, ale i słodko. Wysokie szczyty wypolerowanego nieba migotały białym diamentowym blaskiem.

9

Według cyfrowego zegara na fasadzie banku Wells Fargo była 19.56, co znaczyło, że ojciec zmarł niecałe trzy godziny temu, chociaż wydawało mi się, że od chwili, w której go straciłem, minęły dni. Ta sama tablica informowała, że temperatura wynosi piętnaście stopni Celsjusza, ale wydawało mi się, że noc jest chłodniejsza.

Za bankiem, przed następną przecznicą była pralnia „Czas czystości”. Były stamtąd jarzeniowe światła. W tej chwili żaden klient nie robił prania.

Z dolarówką w ręku, zaciskając powieki w szparki, wszedłem do środka, dając się pochłonąć kwiatowym woniom proszków do prania i chemicznej ostrości wybielacza. Głowę trzymałem nisko, do maksimum wykorzystując ochronę daszka czapki. Podbiegłem prosto do automatu rozmieniającego drobne. Wrzuciłem monetę, złapałem cztery wypłute ćwierćdolarówki i uciekłem.

Dwie przecznice dalej, przed urzędem pocztowym stał automat telefoniczny z przypominającymi skrzydła osłonami akustycznymi. Nad aparatem, na ścianie budynku było światło bezpieczeństwa w siatkowej obudowie.

Zawiesiłem czapkę na siatce, z góry zeskoczyły cienie.

Uznałem, że Manuel Ramirez nadal będzie w domu. Gdy zadzwoniłem, jego matka, Rosalina, powiedziała, że nie ma go od dobrych paru godzin. Miał podwójną zmianę, zastępując chorego kolegę. Wieczorem pełnił obowiązki przy biurku; później, po północy, będzie na patrolu.

Wystukałem główny numer policji Moonlight Bay i spytałem dyżurnego, czy mógłbym rozmawiać z funkcjonariuszem Ramirezem.

Manuel, w mojej opinii najlepszy glina w mieście, jest ode mnie siedem i pół centymetra niższy, piętnaście kilo cięższy i dwanaście laty starszy. Z pochodzenia Meksykanin. Uwielbia baseball — ja nie entuzjazmuję się żadnym sportem, bo mam wyostrzony zmysł upływającego czasu i czuję opór przed spożytkowaniem cennych godzin na zbyt wiele pasywnych zajęć. Manuel woli muzykę country; ja — rocka. On jest zagorzałym republikaninem — ja nie interesuję się polityką. Jeśli chodzi o filmy, on uwielbia Abbotta i Costello — ja częściej nieśmiertelnego Jackie Chana. Jesteśmy przyjaciółmi.

— Chris, dowiedziałem się o twoim tacie — powiedział Manuel, gdy znalazł się na linii. — Nie wiem, co powiedzieć.

— Prawdę mówiąc, ja też.

— Zawsze nie wiadomo, co powiedzieć, prawda?

— Coś, co by się liczyło.

— Nic ci nie będzie?

Ku mojemu zaskoczeniu, nie mogłem dobrać słowa. Moja straszliwa strata nagle wydała mi się chirurgiczną igłą, która przebiła gardło i przyszyła język do podniebienia.

Co dziwne, zaraz po śmierci taty potrafiłem odpowiedzieć bez wahania na to samo pytanie, które wówczas padło z ust doktora Clevelanda. Manuel był mi bliższy niż lekarz. Przyjaźń wydelikaca i sprawia, że ból doskwiera.

— Wpadnij któregoś dnia, kiedy nie będę na służbie — powiedział Manuel. — Walniemy jakieś piwko, zjemy jakieś tamales, obejrzymy kilka filmów z Jackiem Chanem.

Mimo baseballu i muzyki country Manuel Ramirez i ja mamy wiele wspólnego. On bierze nocne zmiany, od północy do ósmej, czasem dodatkowo wcześniejszą, jak w tę marcową noc, kiedy brakuje personelu. Lubi noc, jak ja, ale pracuje też z konieczności. Nocna zmiana jest mniej pożądana niż dzienna, więc stawki są wyższe. Co ważniejsze, może spędzać popołudnia i wieczory ze swoim ukochanym synem, Tobym. Szesnaście lat temu żona Manuela, Carmelita, umarła w chwilę po wydaniu Toby'ego na świat. Chłopiec jest łagodny, czarujący — i cierpi na syndrom Downa. Matka Manuela wprowadziła się do niego natychmiast po śmierci Carmelity i nadal pomaga się opiekować Tobym. Manuel Ramirez wie, co to ograniczenia, czuje palec losu każdego dnia w epoce, w której większość ludzi nie wierzy już w cel istnienia lub przeznaczenie. Mamy wiele wspólnego, Manuel Ramirez i ja.

— Piwo i Jackie Chan, pysznie — powiedziałem. — Ale kto robi tamales... ty czy twoja matka?

— Och, nie *mi madre*, obiecuję.

Manuel jest wyjątkowym kucharzem, a jego matka uważa się za wyjątkową kuchar-kę. Porównanie ich wyczynów kulinarnych to przerażająco oświecający przykład prze-paści między dobrymi uczynkami i dobrymi intencjami.

Za mną jechał samochód i gdy spojrzałem w dół, ujrzałem cień poruszający się u moich nieruchomych stóp, wyciągający się od lewej do prawej, nie tylko coraz dłuż-szy, ale i czarniejszy na betonowym chodniku. Usiłował oderwać się i uciec, lecz gdy sa-mochód już przejechał, on przeskoczył błyskawicznie na poprzednie miejsce.

— Manuel, mógłbyś coś dla mnie zrobić, coś więcej niż tamales.

— Wal śmiało, Chris.

Powiedziałem po długim wahaniu:

— To dotyczy mojego taty... jego ciała.

Manuel wytrzymał moje wahanie. Skupił się milcząc, jak kot strzygący z ciekawości uszami. Usłyszał więcej w moich słowach, niż zdawały się nieść. Odezwał się, ale innym tonem; rozmawiał teraz nie jak przyjaciel, lecz typowy policjant:

— Co się stało, Chris?

— To zupełnie niesamowite.

— Niesamowite? — powtórzył, jakby to słowo niosło jakiś nieoczekiwany smak.

— Naprawdę nie chciałbym o tym mówić przez telefon. Gdybym przyszedł na komisariat, moglibyśmy się spotkać na parkingu?

Nie mogłem oczekiwać, że policja zgasi światła w komisariacie i wysłucha mojego oświadczenia przy blasku świateł.

— Czy mówimy o jakimś przestępstwie?

— Jak najbardziej. I czymś niesamowitym.

— Szef Stevenson pracuje dziś do późna. Jest tu jeszcze, ale już niedługo. Uważasz, że powinienem poprosić go, żeby zaczekał?

Przypomniałem sobie pozbawioną oczu twarz martwego autostopowicza.

— No — powiedziałem. — No, Stevenson powinien to usłyszeć.

— Możesz być za dziesięć minut?

— No, to do zobaczenia.

Odwiesiłem słuchawkę, zdjąłem czapkę z lampy i osłaniając ręką oczy odwróciłem się do ulicy, przez którą przejechały kolejno dwa auta. Pierwszym był ostatni model saturna. Drugim pikap Chevroleta.

Żadnego białego vana. Żadnego karawanu. Żadnego czarnego hummera.

Nie bałem się, że pogoń za mną nadal trwa. Do tej pory autostopowicz już płonął w piecu. Gdy moje dowody zamienią się w popiół, nie zostanie mi nic na poparcie niezwykłej opowieści. Sandy Kirk, sanitariusze i wszyscy bezimienni pozostali będą czuli się bezpieczni.

Prawdę mówiąc, próba zabicia mnie lub porwania pociągnie ryzyko pojawienia się świadków kolejnej zbrodni, z którymi wtedy trzeba będzie sobie poradzić, powiększając prawdopodobieństwo wzrostu liczby wtajemniczonych. Anonimowym spiskowcom najlepiej posłużyłaby teraz dyskrecja, a nie agresja — zwłaszcza że ich jedynym oskarżycielem było miasteczkowe dziwadło, wyłaniające się ze szczelnie zasłoniętego storami domu tylko między zmierzchem i brzaskiem, bojące się słońca, żyjące wyłącznie z łaski peleryn, woalów, kapturów oraz maseczek kosmetycznych i które nawet nocą czołgało się przez miasteczko w skorupie odzieży i chemikaliów.

Biorąc pod uwagę niesłychaną naturę oskarżeń, niewielu uzna moją relację za wiarygodną, ale byłem przekonany, iż Manuel uwierzy, że mówię prawdę. Miałem nadzieję, że szef też mi uwierzy.

Minąłem pocztę i skierowałem się na komisariat. Był tylko kilka przecznic dalej.

Pokonując szybko dystans, na próbę przepowiadałem sobie, co powiem Manuelowi i jego zwierzchnikowi, Lewisowi Stevensonowi, człowiekowi o wspaniałej osobowości, przed którym chciałem dobrze wypaść. Wysoki, barczysty atletyczny Stevenson miał tak szlachetne oblicze, że mogłoby być wybijane na rzymskich monetach. Czasami здаwał mi się być tylko aktorem odgrywającym rolę oddanego komisarza policji, chociaż jeśli była to jedynie gra, sięgała oskarowego wymiaru. W wieku pięćdziesięciu dwóch lat sprawiał wrażenie, że jest dużo starszy, niż wskazywałaby metryka, z łatwością pozyskiwał szacunek i zaufanie. Miał w sobie coś z psychologa, a czasami z księdza — cechy, których każdy na jego stanowisku pożądał, ale niewielu posiadało. Był jedną z tych rzadkich osób, które mają władzę, ale jej nie nadużywają, korzystają z niej bezbłędnie i ze zrozumieniem, a był szefem policji przez czternaście lat, bez śladu skandalu, zawsze cechowała go fachowość oraz skuteczność działania.

I tak przebyłem pozbawione lamp boczne uliczki oświetlone tylko księżycem wiśszącym wyżej na niebie niż poprzednio, przebyłem płoty i ścieżki, ogrody i śmietniki, powtarzając w myślach słowa, którymi miałem nadzieję zdać przekonującą relację, przybyłem w dwie minuty, a nie w dziesięć, jak zasugerował Manuel; zjawiwszy się na parkingu za ratuszem ujrzałem szefa Stevensona w sytuacji, która pozbawiła go wszystkich przymiotów, przypisywanych mu przeze mnie. Oto ukazał się człowiek pozbawiony owej maski szlachetności, który nie zasługiwał już na uhonorowanie monetami, pomnikami ani nawet tym, by jego fotografia wisiała w komisariacie obok wizerunku burmistrza, gubernatora i prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Stevenson stał przy końcu ratusza, w pobliżu mrocznego wejścia do komisariatu, w potoku siniego światła padającego znad drzwi. Człowiek, z którym konferował, stał o metr dalej, tylko na wpół widoczny w niebieskich cieniach.

Przebiegłem parking, zmierzając w ich kierunku. Nie dostrzegli mnie, tak byli zajęci rozmową. Co więcej, byłem zasłonięty mijając śmieciarki, radiowozy, beczkowozy i samochody prywatne, które parkowały jak najdalej od trzech wysokich latarni.

Zanim wszedłem na otwartą przestrzeń, rozmówca Stevensona podszedł do niego bliżej, wyłaniając się z cieni, a ja stanąłem jak wryty. Zobaczyłem jego ogoloną głowę, kanciastą twarz. Koszula w kratę z czerwonej flaneli, niebieskie dzinsy, robocze buciorzy.

Z tej odległości nie mogłem dojrzeć kolczyka z perłą.

Stałem pomiędzy dwoma pojazdami i szybko cofnąłem się o metr, ukrywając lepiej w oleistej ciemności między nimi. Jeden z silników był nadal gorący; stygł cykając i trzeszcząc.

Chociaż słyszałem rozmowę, nie potrafiłem rozróżnić słów. Bryza od morza pieściła drzewa, rozbijając się o wszelkie dzieła człowieka i ten nieustanny szept i syk oddzielał ode mnie rozmowę.

Zdałem sobie sprawę, że pojazd po mojej prawej, ten z gorącym silnikiem, to biały ford van, w którym łysy wyjechał ze Szpitala Miłosierdzia. Ze szczątkami mojego ojca. Zastanawiałem się, czy kluczyki są w stacyjce. Przycisnąłem twarz do okna po stronie kierowcy, ale nie widziałem dokładnie wnętrza.

Kradnąc vana prawdopodobnie zyskałbym kluczowy dowód na poparcie mojej relacji. Nawet gdyby ciało ojca zabrano gdzieś indziej, ekipa techniczna znalazłaby dowody — zwłaszcza krew autostopowicza.

Nie miałem pojęcia, jak zapalić vana na krótko.

Do diabła, nie miałem pojęcia, jak prowadzić samochód!

A nawet gdybym odkrył w sobie wrodzony talent do władania pojazdami mechanicznymi, ekwiwalent Mozartowskiego geniuszu w dziedzinie kompozycji, nie potrafiłbym przejechać dwadzieścia mil na południe wzdłuż wybrzeża lub trzydzieści mil na północ, na teren jurysdykcji innej jednostki policji. Nie w oślepiającym blasku zbliżających się świateł przednich. Nie bez moich cennych szkielec przeciwslonecznych, które leżały połamane daleko pod wzgórzami na wschodzie.

Poza tym, gdybym otworzył drzwi vana, mrugnęłoby światełko kabiny. Dwaj mężczyźni zauważyliby je.

Rzuciliby się na mnie.

Zabiliby.

Otworzyły się tylne drzwi komisariatu. Wszedł Manuel Ramirez.

Lewis Stevenson i jego wspólnik natychmiast przerwali gorączkową wymianę zdań. Oddalony nie potrafiłem ocenić, czy Manuel znał łysego mężczyznę, ale wyglądało na to, że zwracał się tylko do szefa.

Nie mogłem uwierzyć, że Manuel — zacy syn Rosaliny, oplakujący małżonek Carmelity, kochający ojciec Toby'ego — uczestniczyłby w jakiejś sprawie obejmującej morderstwo i porywanie trupów. Podczas naszego życia nigdy nie uda się nam poznać, naprawdę poznać, wielu ludzi, choćbyśmy nie wiem jak głęboko wierzyli, że przejrzelismy ich na wskroś. Większość z nich to mętne stawy, zawierające nieskończone warstwy wiszących cząsteczek, poruszanych nieokreślonymi prądami z największych głębi. Ale chętnie postawiłbym o zakład moje życie, że w przejrzystym sercu Manuela nie ma miejsca na zdradę.

Jednakże nie zamierzałem stawiać na szali jego życia, bo gdybym zawołał do niego, aby przeszukał ze mną bagażnik białego vana, poddał cały pojazd szczegółowemu badaniu kryminalistycznemu, to być może podpisałbym wyrok śmierci tak na niego, jak i na siebie. Prawdę mówiąc, byłem tego pewny.

Nagle Stevenson i łysy mężczyzna odwrócili się od Manuela, przeczesując wzrokiem parking. Wtedy zrozumiałem, że powiedział im o moim telefonie. Opadłem do przysiadu i schroniłem się głębiej w mrok między vana i beczkowóz. Usiłowałem od-

czytać tablicę rejestracyjną z tyłu vana. Chociaż zwykle dokucza mi nadmiar światła, tym razem byłem upośledzony jego niedostatkiem. Gorączkowo przejechałem palcami po siedmiu cyfrach i literach. Jednakże nie udało mi się ich odczytać tak, jak zrobiłby to niewidomy, przynajmniej nie na tyle szybko, aby uniknąć odkrycia.

Wiedziałem, że łysy, jeśli nie Stevenson, zbliża się do vana. Już był w ruchu. Łysy mężczyzna, rzeźnik, handlarz trupów, złodziej oczu.

Pochylony wycofałem się drogą, którą przyszedłem, między rzędami parkujących ciężarówek i samochodów osobowych, wróciłem do tylnej uliczki, a potem przemknąłem przed siebie, kryjąc się za rzędem pojemników na śmieci, nie prostując kolan aż do śmieciarki i dalej, do rogu, i jeszcze dalej, w inną boczną uliczkę, aż ratusz znikł mi z oczu, i wyprostowałem się na całą wysokość, biegłem, szybki jak kot, ślizgając się w powietrzu jak sowa, nocny stwór, zastanawiając się, czy znajdę bezpieczne schronienie przed brzaskiem, czy też nadal będę na otwartej przestrzeni, by zwinąć się i szczerzyć pod gorącym słońcem poranka.

10

Założyłem, że bezpiecznie dotrę do siebie, ale byłoby głupotą siedzieć tam zbyt długo. Termin przybycia na komisariat minie dopiero za kolejne dwie minuty i będą czekali na mnie jeszcze przynajmniej dziesięć minut, zanim szef Stevenson zda sobie sprawę, że musiałem ujrzeć go z człowiekiem, który ukradł ciało mojego ojca.

Nawet wtedy nie muszą szukać mnie w domu. Nadal nie byłem dla nich poważnym zagrożeniem — i niepodobna, by miało się to zmienić. Nie miałem żadnego dowodu na to, co zobaczyłem.

Wiedziałem, że nie cofną się przed niczym, by zapobiec ujawnieniu tej niepojętej konspiracji. Mogliby zdecydowanie wykluczyć nawet najmniejszą szansę ujawnienia — co oznaczałoby stryczek dla mnie.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Spodziewałem się zastać Orsona, ale nie czekał na mnie. Zawołałem go, ale się nie zjawił; a gdyby zbliżał się w mroku, usłyszałbym głucho dudnienie wielkich łap o podłogę.

Prawdopodobnie przeżywał kolejną chandrę. Zwykle bywa w dobrym nastroju, chętny do zabawy, towarzyski, tryskający taką ilością energii, że mógłby zamieść ogonem wszystkie ulice Moonlight Bay. Jednakże od czasu do czasu świat ciąży mu, a wtedy leży bez sił jak omdlały, smutne ślepia ma otwarte, ale wpatrzone w jakieś psie wspomnienie lub psią wizję nie z tego świata, milczy, tylko czasem wydaje słabe westchnienie. Rzadko znajdowałem go w nastroju jakby krańcowo ponurej rezygnacji. Ów stan wydaje się zbyt poważny, aby mógł go znieść jakikolwiek pies, chociaż w tym przypadku można powiedzieć, że znajduje doskonałego wyraziciela.

Niegdyś Orson siedział niemal pół godziny przed lustrem na drzwiach garderoby w mojej sypialni — wieczność, jeśli chodzi o psi umysł, który generalnie przeżywa świat w seriach dwuminutowych zachwyków i trzypięciominutowych entuzjasmów. Nie wiem, co fascynowało go we własnym wizerunku, chociaż wykluczyłem zarówno psią próżność, jak i proste zdumienie; był bardzo smutny i składał się tylko z obwisłych uszu, zapadniętych boków i zastygłego ogona. Przysięgam, że czasem w oczach błyszczały mi łzy, które ledwo hamowałem.

— Orson...?! — zawołałem.

Wyłącznik żyrandola klatki schodowej był regulowany ściemniaczem, jak większość wyłączników w domu. Podniosłem światło do minimum potrzebnego do wejścia na górę.

Orsona nie było na półpiętrze. Nie czekał na korytarzu piętra. W moim pokoju zapaliłem słabe światło. Orsona też tam nie było.

Podszedłem prosto do najbliższej nocnej szafki. Z górnej szuflady wyjąłem kopertę, w której trzymałem zapas gotówki na drobne przyjemności. Było tam tylko sto osiemdziesiąt dolarów, ale lepsze to niż nic. Chociaż nie wiedziałem, do czego będę potrzebował gotówki, zamierzałem być przygotowany, więc przełożyłem całą sumę do kieszeni dzinsów.

Zasuważąc szufladę, zauważyłem na zasłoniętym łóżku ciemny przedmiot. Podniosłem go i zaskoczony przekonałem się, że mam przed sobą to, co wydało mi się na pierwszy rzut oka — pistolet.

Nigdy nie widziałem broni z bliska.

Ojciec nigdy jej nie miał.

Instynktownie odłożyłem pistolet i rogiem kapy starłem odciski palców. Podejrzywałem, że wrabia się mnie w coś, aby zapuszkować za niepopelnioną winę.

Chociaż każdy odbiornik telewizyjny emituje promienie ultrafioletowe, przez lata widziałem dużo filmów, ponieważ jestem bezpieczny, gdy siedzę odpowiednio daleko od ekranu. Znam wszystkie wielkie opowieści o niewinnych ludziach — od Cary'ego Granta przez Jamesa Stewarta do Harrisona Forda — nieustępliwie ściganych za zbrodnie, których nigdy nie popełnili, i osadzanych w więzieniach na podstawie sfalszowanych dowodów.

Wszedłem szybko do przyległej łazienki i włączyłem słabą żarówkę. Żadnej niezwywej blondyny w wannie.

Orsona też nie było.

W sypialni kolejny raz stałem nieruchomo i wsłuchiwałem się w ciszę. Jeśli w domu przebywali inni ludzie, byli tylko duchami sunącymi w zjawiskowej ekto plazmie.

Wróciłem do łóżka, zawahałem się, sięgnąłem po pistolet i szarpałem się z nim, aż wyjąłem magazynek. Załadowano go do pełna. Z powrotem wcisnąłem magazynek. Nie miałem doświadczenia z bronią, więc zdumiało mnie, że jest cięższa, niż się spodziewałem; ważyła prawie kilogram.

Na kremowym przykryciu łóżka, obok broni, leżała biała koperta. Wcześniej jej nie zauważyłem.

Wyjąłem z nocnego stolika latarkę punktową i skierowałem wąski snop światła na kopertę. Była gładka poza profesjonalnie wydrukowanym adresem nadawcy w górnym lewym rogu; sklep z bronią Thora w Moonlight Bay. Niezaadresowana koperta, bez

znaczką i pieczęci urzędu pocztowego, była lekko pomięta i punktowana dziwnymi zagłębieniami. Gdy ją podniosłem, okazała się miejscami wilgotna. Papiery w środku były suche.

Przejrzałem uważnie dokumenty w świetle latarki. Poznałem staranne pismo ojca na kopii standardowego podania, w którym potwierdził lokalnej policji, że nie był notowany za czyny sprzeczne z prawem, nie cierpiał na chorobę psychiczną, która pozbawiłaby go prawa do posiadania własnej broni palnej. Poza tym była kopia oryginalnej faktury na broń, informująca, że jest to dziewięćmilimetrowy glock 17 i że ojciec nabył go płacąc czekiem.

Data faktury zmroziła mi krew w żyłach; 18 stycznia, dwa lata temu. Ojciec kupił tego glocka zaledwie trzy dni po tym, jak moja matka zginęła w wypadku samochodowym na drodze nr 1. Tak jakby potrzebował obrony.

W gabinecie po drugiej stronie korytarza ładował się mój telefon komórkowy. Wyjąłem z kontaktu ładowarkę i przypiąłem sobie telefon do pasa.

Orsona nie było w gabinecie.

Wcześniej Sasza wpadła do domu go nakarmić. Może wychodząc zabrała go ze sobą. Jeśli Orson był tak smutny, jak wtedy, kiedy wyjeżdżałem do szpitala — a zwłaszcza gdy wpadł w jeszcze bardziej ponury nastrój — niewykluczone, że Sasza nie była w stanie zostawić biednego zwierzaka, bo w żyłach płynie jej tyle samo współczucia co krwi.

Nawet jeśli Orson poszedł z Saszą, kto przeniósł dziewięćmilimetrowego glocka z pokoju ojca na moje łóżko? Nie Sasza. Nie miała pojęcia o istnieniu tej broni i nie grzebałaby w rzeczach taty.

Telefon na biurku był podłączony do automatycznej sekretarki. Obok mrugającego światełka rejestracyjnego okienko licznika wskazywało dwa zgłoszenia. Według głosu automatu podającego czas i datę, pierwsze zgłoszenie było zaledwie przed półgodziną. Nagranie trwało prawie dwie minuty, chociaż dzwoniący nie odezwał się słowem.

Początkowo powoli wdychał i wydychał powietrze, niemal tak powoli, jakby miał czarodziejską moc wciągania miriadów zapachów mojego pokoju, nawet przez słuchawkę, i stąd wiedział, czy jestem w domu, czy też wyszedłem. Po chwili zaczął nucić murmurando, jakby zapomniał, że jest nagrywany, i tylko nucił do siebie, jak zagubiony w myślach marzyciel, improwizując, bez żadnej spójnej melodii, cichą, niesamowitą i powtarzającą się pieśń, jaką słyszy szalenciec, gdy wierzy, że śpiewa mu chór aniołów zniszczenia.

Byłem pewien, że to ktoś obcy. Jestem przekonany, że udałoby mi się poznać głos przyjaciela, nawet po samym nuceniu. Byłem też pewien, że to nie pomyłka; ten ktoś w jakiś sposób był uwikłany w wydarzenia, które nastąpiły po śmierci ojca.

Zanim pierwszy dzwoniący rozłączył się, przyłapałem się na tym, że dłonie mam zacisnięte w pięści, a w płucach zużyte powietrze. Wypuściłem gorący suchy oddech, wciągnąłem chłodny słodki powiew, ale dłoni nie mogłem rozprostować.

Drugi telefon, który miał miejsce zaledwie kilka minut przed moim powrotem do domu, był od Angeli Ferryman, pielęgniarki opiekującej się ojcem. Nie przedstawiła się, ale poznałem jej cieniutki, chociaż dźwięczny głos; w trakcie mówienia przyspieszała coraz bardziej, jak niespokojny ptaszek na płocie, przeskakujący ze sztachety na sztachetę.

— Chris, chciałabym z tobą pomówić. Muszę z tobą pomówić. Kiedy tylko będzie ci wygodnie. Dziś wieczór. Jeśli możesz, dziś wieczór. Teraz jestem w samochodzie, jadę do domu. Wiesz, gdzie mieszkam. Odwiedź mnie. Nie dzwoń. Nie ufam telefonom. Nie podoba mi się nawet, że dzwonię. Ale muszę się z tobą spotkać. Zajdź od tylnych drzwi. Bez względu na to, jak późno to odsłuchasz, przyjdź. Nie będę spała. Nie mogę.

Założyłem nową taśmę. Poprzednią kasetę ukryłem pod zmiętymi papierami na dnie kosza na śmieci obok biurka.

Te dwa krótkie nagrania nie przekonałyby policjanta, sędziego czy kogokolwiek. Ale były jedynymi skrawkami dowodów, jakie miałem, by wykazać, iż wokół mnie dzieją się jakieś niezwykle rzeczy — coś jeszcze dziwniejszego niż moje przyjście na świat w tej małej wyklętej przez słońce kaście. Bardziej niezwykle niż przeżycie dwudziestu ośmiu lat bez szkody ze strony *xeroderma pigmentosum*.

Byłem w domu niecałe dwie minuty. Szukając Orsona, podświadomie spodziewałem się, że usłyszę odgłos wyłamywanych drzwi albo rozbijanego szkła i kroki na schodach. Jednak dom pozostał cichy, ale była to drżąca cisza, jak napięcie powierzchniowe stawu.

Pies nie wylegiwał się w sypialni taty ani w łazience. Ani też w dużej garderobie. Z każdą chwilą coraz bardziej martwiłem się o niego. Ten, kto położył na łóżku glocka, mógł też zabrać Orsona albo zrobić mu krzywdę.

Po powrocie do mojego pokoju znalazłem zapasową parę okularów przeciwsłonecznych w szufladzie biurka. Były w miękkim futerale zapinanym na rzep. Wsunąłem go do kieszeni koszuli.

Spojrzałem na cyfrowy zegarek.

Szybko włożyłem fakturę i policyjny kwestionariusz do koperty ze sklepu z bronią. Bez względu na to, czy był to kolejny dowód, czy tylko śmieć, ukryłem go między materacem i sprężynami łóżka. Data zakupu wydawała mi się znacząca. Nagle wszystko wydało mi się znaczące.

Zatrzymałem pistolet. Może to była pułapka, jak w filmach, ale z bronią czułem się bezpieczniejszy. Głębokie kieszenie skórzanej kurtki dobrze ją ukryły. Leżała w prawej kieszeni nie jak kawał martwej stali, ale jak żywe stworzenie, jak odrętwiała, lecz nie całkowicie uśpiony wąż. Gdy się poruszyłem, wił się powoli; tłusty i ospały, śliske kłębowisko grubych zwojów.

Już miałem zejść na dół poszukać Orsona, gdy przypomniałem sobie czerwcową noc, gdy przyglądałem mu się z okna sypialni, siedzącemu w ogrodzie; przekrzywił łeb,

uniósł nos, łapiąc wietrzyk, znieruchomiały na widok czegoś na niebie, głęboko owładnięty jednym ze swoich najbardziej zdumiewających nastrojów. Nie wył, a zresztą na niebie i tak nie było księżycy; dźwięk, który wydawał, to nie był skowyt ani skomlenie, ale kwilenie, co brzmiało szczególnie przejmująco.

Teraz uniosłem żaluzję w tym samym oknie i ujrzałem Orsona na dole w ogrodzie. Zawzięcie wykopywał dół na posrebrzonym księżycem trawniku. Było to osobliwe, ponieważ jako dobrze ułożony pies nigdy nie ryl w ogrodzie.

Na moich oczach poniechał skrawka ziemi, który zawzięcie rozkopywał, przesunął się metr w prawo i zaczął kopać nową dziurę. W jego zachowaniu był jakiś gorączkowy pośpiech.

— Co się dzieje, stary? — zdziwiłem się, a pies na dole kopał, kopał, kopał.

Idąc w dół, czując ciężar glocka w kieszeni kurtki, przypomniałem sobie tamtą czerwcową noc, gdy udałem się do ogrodu i usiadłem obok kwilącego psa...

Jego piski były tak cienkie, jak gwizd-syk dmuchacza szkła kształtującego dzban nad płomieniem, tak delikatne, że nawet nie zaniepokoiły najbliższego sąsiada, lecz była w nich rozpacz, która mną wstrząsnęła. To kwilenie dawało wyraz mroczniejszej niedoli niż najmroczniejsze szkło i w postaci dziwniejszej, niż cokolwiek dmuchacz mógłby ukształtować.

Nie zranił się i nie wydawał się chory. Z tego, co zauważyłem, sam widok gwiazd rozdzierał mu serce. Lecz skoro wzrok psów jest tak marny, jak się powszechnie uważa, to nie potrafią zobaczyć gwiazd, dobrze czy wcale. A zresztą, czemu gwiazdy miałyby napełniać Orsona taką udręką — czy też noc, która nie była ciemniejsza niż poprzednie? Jednak wpatrywał się w niebo, wydawał dźwięki, jakby był na torturach i nie reagował na moje uspokajanie.

Gdy położyłem mu rękę na łbie i pogładziłem po grzbiecie, poczułem kurczowe dreszcze. Zerwał się i odbiegł na bok. Ale zaraz odwrócił się i spojrzał na mnie z oddalenia. Przysiągłbym, że przez chwilę nienawidził mnie. Kochał mnie jak zawsze, nadal był moim psem i nie mógł uciec od miłości do mnie; ale równocześnie nienawidził mnie serdecznie. W ciepłym powietrzu czerwca dosłownie czułem bijącą od niego zimną nienawiść. Przechadzał się po ogrodzie, na zmianę patrząc na mnie — wytrzymywał moje spojrzenie, jak tylko on spośród wszystkich psów potrafił — i patrząc w niebo, to sprężony i wstrząsany wściekłością, to osłabły i kwilący z rozpaczą.

Kiedy opowiedziałem o tym Bobby'emu Hallowayowi, rzekł, że psy nie potrafią nikogo nienawidzić ani czuć coś tak złożonego jak autentyczna rozpacz, że ich życie emocjonalne jest tak proste, jak intelektualne. Kiedy upierałem się przy moich wrażeniach, Bobby oświadczył:

— Słuchaj, Snow, jeśli zamierzasz dalej tu przyłazić i wiercić mi w dupie tymi pierdołami z New Age, to czemu po prostu nie kupisz spluwy i nie rozwalisz mi łba? To by-

łoby o wiele bardziej humanitarne niż ta porażająco powolna śmierć, którą teraz mi zadajesz, torturując mnie tymi swoimi opowiastkami i swoją świrowatą filozofijką. Święty Franku, ludzka wytrzymałość ma swoje granice... nawet moja.

Jednak, co wiem, to wiem, a wiem, że Orson nienawidził mnie tamtej czerwcowej nocy, nienawidził i kochał. I wiem, że dostrzegał coś na niebie, coś, co dręczyło go i napełniało rozpaczą; gwiazdy, czern, a może coś, co sobie wyobraził.

Czy psy mają wyobrażenia? Czemu nie?

Wiem, że śnią. Przyglądałem się im śpiącym, widziałem, jak przebiegają łapami, jakby goniły zające, słyszałem, jak wzdychają i jęczą, słyszałem, jak warczą na śnionych przeciwników.

Nienawiść Orsona tamtej nocy nie napawała mnie lękiem przed nim, ale o niego. Wiedziałem, że przyczyną nie jest brak opanowania czy fizyczna dolegliwość, lecz że jest to choroba duszy.

Bobby wścieka się wspaniale na wzmiankę o duszy u zwierząt i zaplują się w niesłychanie zabawnych monologach bez ładu i składu. Mógłbym sprzedawać na niego bilety, ale wolę otworzyć butelkę piwa, sięść wygodnie i mieć całe przedstawienie dla siebie.

W każdym razie przesiedziałem tamtą długą noc w ogrodzie, dotrzymując Orsonowi towarzystwa, chociaż może nie miał na nie ochoty. Patrzył na mnie wściekle, zerkał na sklepienie nieba poszczekując jak szczenię, dygotał bezwolnie, krążył i krążył po ogrodzie aż do brzasku, gdy wreszcie podszedł do mnie wyczerpany, złożył mi łeb na podółku i już mnie więcej nie nienawidził.

Tuż przed wschodem słońca wróciłem do pokoju, gotowy do łóżka znacznie wcześniej niż zwykle, i Orson poszedł za mną. Przeważnie wtedy, gdy decyduje się spać wedle mojego rozkładu, zwija się u moich stóp, ale wtedy położył się na boku, plecami do mnie i dopóki spał, gładziłem kudłaty łeb, głaskałem delikatną czarną sierść.

Tamtego dnia w ogóle nie spałem. Leżałem, myśląc o gorącym letnim poranku za żaluzjami okien. O niebie jak odwrócona misa z niebieskiej porcelany i o ptakach fruujących po jej obrzeżu. Ptakach dni, które oglądałem tylko na zdjęciach. I pszczołach, i motylach. I cieniach jak czysty atrament, ostrych na krawędziach jak nóż, jakie nigdy nie mogą być nocą. Słodki sen nie miał gdzie się we mnie wsączyć, ponieważ gorzka tęsknota napełniała mnie po brzegi.

Teraz, prawie trzy lata później, otworzyłem drzwi kuchenne i wszedłem na tylną werandę, mając nadzieję, że Orson nie jest w nastroju zniechęcenia. Tej nocy nie mieliśmy czasu na terapię ani dla niego, ani dla mnie.

Rower stał na werandzie. Zniosłem go po schodach i doprowadziłem do pracującego psa. W południowo-zachodnim rogu ogrodu wykopał pół tuzina dziur różnej średnicy i głębokości. Musiałem uważać, by nie zwichnąć sobie nogi. Jedną czwartą trawnika zasłały kępki trawy i grudy ziemi rozrzucone jego łapami.

— Orson?

Nie odpowiedział. Nawet nie przerwał gorączkowego kopania. Obszedłem go szerokim łukiem, unikając ziemnego prysznica, który tryskał spod pracujących łap. Zaszedłem go od przodu.

— Cześć, przyjacielu — powiedziałem.

Trzymał łeb nisko, z pyskiem przy ziemi, wachając badawczo w czasie kopania. Bryza wiała dalej i pełny księżyc wisiał w najwyższych konarach malaleukasów jak zaginiony dziecięcy balonik. W górze nurkowały i wzbijały się nocne jastrzębie, wołając pii-pii-pii!, gdy łowiły w powietrzu latające mrówki i pierwsze wiosenne ćmy.

Przyglądając się pracującemu Orsonowi, spytałem:

— Znalazło się ostatnio jakieś smaczne kości?

Przerwał kopanie, ale nadal nie zwrócił na mnie uwagi. Pilnie obwąchiwał ziemię, której zapach dobiegał nawet do mnie.

— Kto cię tu wypuścił?

Sasza mogła go wyprowadzić na dwór, by się załatwił, ale byłem przekonany, że zaprowadziła go z powrotem do domu.

— Sasza? — usiłowałem się jednak dowiedzieć.

Jeśli to Sasza pozwoliła mu zrujnować trawnik, Orson nie zamierzał jej wydać. Nie spojrzał mi w oczy, bym nie odczytał prawdy. Porzucił właśnie wykopaną dziurę i powrócił do poprzedniej, obwąchał ją i znów zabrał się do pracy, szukając kontaktu z psami w Chinach.

Może wiedział, że tato nie żyje. Zwierzęta wiele wiedzą, jak zauważyła wcześniej Sasza. Może to gwałtowne kopanie było sposobem Orsona na pozbycie się nerwowej energii smutku.

Położyłem rower na trawie i przykucnąłem. Złapałem psa za obrozę i łagodnie zmusiłem, by zwrócił na mnie uwagę.

— Co się z tobą dzieje?

W jego oczach była czerń poruszonej gleby, nie jaśniejszy migotliwy mrok rozgwieźdzonego nieba. Spojrzenie przepastne i nie do odczytania.

— Muszę poodwiedzać różne miejsca, przyjacielu — powiedziałem mu. — Chcę, żebyś poszedł ze mną.

Zaskomlał i odwrócił łeb, spoglądając na to całe zniszczenie dokoła, jakby chciał rzec, że ani myśli zostawić swe wielkie dzieło nieskończone.

— Kiedy przyjdzie rano, zahaczę się u Saszy i nie chcę, żebyś został tu sam.

Postawił uszy, chociaż nie na wzmiankę o Saszy, czy cokolwiek mu powiedziałem. Wykręcił potężne ciało w moim uścisku i spojrzał w kierunku domu. Gdy puściłem obrozę, popędził przez ogród, ale zatrzymał się tuż przed tylną werandą. Stał wyprostowany, z uniesionym wysoko łbem, milczący, baczny.

— Co jest, stary? — szepnąłem.

Z odległości pięciu czy siedmiu metrów, nawet przy zamarłej bryzie i ucichłej nocy, ledwo słyszałem jego basowe powarkiwanie.

Wychodząc z domu zgasiłem wszystkie lampy, zostawiając pokoje bez światła. Czerń rządziła tam nadal i nie spostrzegłem żadnej widmowej twarzy przyciśniętej do szyby. Jednakże Orson coś wyczuł, bo zaczął cofać się od domu. Nagle odwrócił się z kocią zręcznością i pognął ku mnie.

Postawiłem rower. Z nisko zwieszonym, ale nie podwiniętym ogonem, uszami płasko położonymi, przemknął obok do tylnej furtki. Polegając na psich zmysłach niezwłocznie dołączyłem do niego przy furtce. Posesję otacza płot z posrebrzonych cedrów, mojej wysokości. Furtka też jest cedrowa. Wyczułem pod palcami opuszczoną zasuwkę. Szybko ją podniosłem i zakląłem cicho słysząc skrzywienie zawiasów.

Za furtką biegnie ubita ścieżka. Po jednej stronie są domy, po drugiej stara wąska kępa eukaliptusów o czerwonej żywicy. Gdy przechodziliśmy przez furtkę, pomyślałem sobie, że ktoś będzie tam na nas czekał, ale ścieżka była pusta.

Na południe, za eukaliptusami, jest pole golfowe, a potem zajazd i klub sportowy. O tej porze, w piątkową noc, pole golfowe oglądane między pniami wysokich drzew było tak czarne i sfalowane jak morze, a migocące bursztynowe okna dalekiego zajazdu przypominały monumentalne wejścia potężnego statku wycieczkowego udającego się na wieczny rejs do Tahiti.

W lewo ścieżka prowadziła do serca miasteczka, kończąc się u cmentarza leżącego przy katolickim kościele pod wezwaniem św. Bernadetty. Na prawo szła w dół ku nizynom, portowi i Pacyfikowi.

Zmieniłem biegi i pedałowalem w górę, do cmentarza, a woń eukaliptusów przypominała mi o świetle w oknie krematorium i o pięknej młodej matce leżącej bez życia na wózku przedsiębiorcy pogrzebowego; zacny Orson truchtał obok, dalekie odgłosy muzyki dolatywały rozpierzchłe z zajazdu przez pole golfowe, niemowlę płakało w jednym z sąsiedzkich domów po lewej, glock ciążył mi w kieszenie, nocne jastrzębie w górze łapały owady w ostre dzioby. Żywi i martwi, wszyscy razem, w klatce ziemi i nieba.

11

Chciałem porozmawiać z Angelą Ferryman, bo to, co odsłuchałem z sekretarki automatycznej, brzmiało rewelacyjnie. Byłem w nastroju na wysłuchanie rewelacji.

Jednakże przede wszystkim musiałem zadzwonić do Saszy, która czekała na wiadomość o ojcu.

Zatrzymałem się na cmentarzu św. Bernadetty, moim ulubionym miejscu, porcie ciemności w jednym z najbardziej rozjaśnionych odcinków miasta. Pnie sześciu gigantycznych dębów wznosiły się kolumnowo, podtrzymując strop z przenikających się koron, a cicha przestrzeń poniżej rozkładała się wzdłuż drózek jak w bibliotece; płyty nagrobne przypominały rzędy książek noszące imiona tych, którzy zostali wytarci z kart życia i być może zostali zapomniani gdzieś indziej, ale tu są pamiętani.

Orson wałęsał się, chociaż niedaleko ode mnie, obwąchiwał ślady wiewiórek, które za dnia zebrały żołądki z grobów. Był nie łowcą tropiącym zwierzynę, ale naukowcem zaspokajającym swoją ciekawość.

Odpiąłem od pasa komórkę, włączyłem i wystukałem numer komórki Saszy Goodall. Odpowiedziała po drugim dzwonku.

— Tato odszedł — powiedziałem, mając na myśli więcej, niż znaczyło to określenie.

Wcześniej, spodziewając się śmierci taty, Sasza wyraziła swój smutek. Teraz żał ścisnął ją za gardło, ale panowała nad sobą tak dobrze, że tylko ja mogłem go słyszeć:

— Czy... czy koniec miał spokojny?

— Bez bólu.

— Był świadomy?

— Uhm. Mogliśmy się pożegnać.

„Zabij wszelki strach”.

— Parszywe życie — powiedziała Sasza.

— Tak to jest — powiedziałem. — Żeby wejść do gry, musimy zgodzić się, że kiedyś z niej wyskoczymy.

— I tak jest parszywie. Dzwonisz ze szpitala?

— Nie. Spoza i z daleka. Włóczę się. Wyrzucam nadmiar energii. A ty gdzie jesteś?

— W wozie. Jadę wrzucić śniadanie na ruszt i zrobić notatki do audycji.

— Wchodziła na antenę za trzy i pół godziny. — Ale mogę wziąć coś na wynos i zjedlibyśmy gdzieś razem.

— Naprawdę nie jestem głodny — powiedziałem szczerze. — Ale zobaczymy się później.

— Kiedy?

— Jak rano wrócisz z pracy, będę u ciebie. To znaczy, jeśli ci to odpowiada.

— Idealnie. Kocham cię, bałwanku.

— Kocham cię.

— To mantra naszego dnia powszedniego.

— To nasza prawda.

Nacisnąłem przycisk kończący połączenie, wyłączyłem telefon i przypiąłem go do pasa.

Kiedy wyjeżdżałem z cmentarza, mój czworonogi towarzysz początkowo biegł za mną nieco się ociągając. Łeb miał pełen wiewiórczych sekretów.

Do domu Angeli Ferryman podjechałem najbliżej jak się dało, bocznymi uliczkami, na których była znikoma szansa dużego ruchu i ulicami z rzadko rozstawionymi latarniami. Gdy nie miałem wyboru i musiałem jechać oświetlonymi odcinkami, mocniej naciskałem na pedały.

Orson wiernie dostosowywał swoje tempo do mojego. Wydawał się szczęśliwszy niż poprzednio, teraz gdy mógł truchtać przy moim boku, czarniejszy niż jakikolwiek cień, który mogłem rzucić. Napotkaliśmy tylko cztery pojazdy. Za każdym razem mrużyłem oczy i odwracałem głowę, rażony światłem reflektorów.

Angela mieszkała przy jednej z głównych ulic, w uroczym hiszpańskim bungalowie, chronionym przez magnolie, które jeszcze nie kwitły. We frontowych pokojach nie paliły się żadne lampy.

Otwarta furtka wpuściła mnie do kratownicowego pasażu. Ściany i łukowaty strop zarósł jaśmin. Latem fontanna białych kwiatuszków o pięciu płatkach tryśnie tak obficie, że kratownica wyda się udrapowana wieloma warstwami koronki. Nawet o tej wczesnej porze roku kwiatki przypominające szprychowe kółka ożywiały ciemnozielone listowie. Wciągnąłem głęboko w płuca zapach jaśminu, a Orson kichnął dwukrotnie.

Wyprowadziłem rower za pasaż na tyły bungalowu i oparłem go o sekwojowy słup podtrzymujący osłonę patia.

— Bądź czujny — nakazałem Orsonowi. — Bądź wielki. Bądź zły.

Sapnął, jakby rozumiał swoje zadanie. Może faktycznie je zrozumiał, bez względu na to, co Bobby Halloway i policja racjonalizmu byli gotowi sobie pomysleć.

Za kuchennymi oknami i przejrzystymi zasłonami słabo pulsowały płomyki świec. Drzwi miały cztery szybki. Delikatnie zapukałem w jedną z nich.

Angela Ferryman odsunęła zasłonę. Obrzuciła mnie szybkim, nerwowym spojrzeniem, a potem patrzyła za moimi plecami, sprawdzając, czy przyszedłem sam. Z miną spiśkowca wpuściła mnie do środka i zamknęła drzwi na zasuwę. Poprawiła zasłony, aż była pewna, że zlikwidowała wszelkie szpary, przez które ktoś mógłby nas podejrzeć.

Chociaż w kuchni było przyjemne ciepło, Angela miała na sobie nie tylko szary dres, ale granatowy rozpinany sweter. Ręcznie zrobiony na drutach, mógł należeć do jej świętej pamięci męża. Zwisał Angeli do kolan, a szwy ramion sięgały łokci. Rękawy podwinęła tyle razy, że powstałe mankiety były grube jak okowy.

Pod tymi warstwami ubrania Angela wydała się chudsza i jeszcze drobniejsza niż kiedykolwiek. Wyraźnie było jej zimno; drżała pozbawiona rumieńców.

Uściskała mnie. Jak zawsze był to gorący, silny uścisk, aż poczułem jej kości, chociaż towarzyszyło mu nietypowe znużenie. Siadła przy stole z polerowanej sosny i zaprosiła mnie do zajęcia miejsca naprzeciwko.

Zdjąłem czapkę i rozważyłem zdjęcie kurtki. W kuchni było za ciepło. Jednakże w kieszeni miałem pistolet i obawiałem się, że może wypaść na podłogę lub stuknąć o krzesło, gdy będę wyjmował ręce z rękawów. Nie chciałem niepokoić Angeli widokiem broni.

Na środku stołu stały trzy wotywnie świeczki w małych pucharkach z rubinowego szkła. Arterie drżącego czerwonego światła czołgały się po wypolerowanej sośnie. Na stole stała też butelka apricot brandy, słabego likieru morelowego. Angela przysunęła mi kieliszek i napełniła go do połowy.

Swój miała pełny. I nie była to pierwsza kolejka. Ścisnęła go oburącz, jakby dawała jej ciepło, a gdy pociągnęła łyk, nadal trzymając tak samo kieliszek, jeszcze bardziej niż zwykle przypominała porzuconą nastolatkę. Można by sądzić, że ma trzydzieści pięć lat, prawie o piętnaście mniej niż naprawdę. W tej chwili wyglądała wręcz dziecinnie.

— Od kiedy byłem małą dziewczynką, zawsze naprawdę chciałam być pielęgniarką.

— I jesteś najlepsza — powiedziałem szczerze.

Oblizła usta i spojrzała w dno kieliszka.

— Matka miała gościec przewlekły. Posuwał się szybciej niż zwykle. Bardzo szybko. Nie miałam jeszcze sześciu lat, jak nosiła klamry na nogach i używała szczudeł. Niebawem po moich dwunastych urodzinach została przykuta do łóżka. Umarła, kiedy miałam szesnaście lat.

Nie potrafiłem na to powiedzieć nic głębokiego ani pocieszającego. Nikt by nie potrafił. Ocet nie jest tak kwaśny, jak fałszywie zabrzmiałoby każde słowo, bez względu na to, jak szczerze wypowiedziane. Niewątpliwie miała mi coś ważnego do wyznania, ale

potrzebowała czasu, aby zebrać wszystkie słowa w uporządkowane kolumny i skierować ku mnie na drugą stronę blatu. Bo to, co chciała mi powiedzieć, budziło w niej lęk. Był widoczny, dygotał w jej kościach i nadawał woskowy odcień skórze.

— Lubiłam przynosić mamie różne rzeczy, kiedy sama nie mogła sobie poradzić. — Powoli znajdowała drogę ku właściwemu tematowi. — Szklanekę mrożonej herbaty. Kanapkę. Lekarstwa. Poduszkę na fotel. Cokolwiek. Później to była kaczka. Pod koniec świeże prześcieradła, gdy nie mogła utrzymać moczu. I to też nigdy mi nie przeszkadzało. Zawsze uśmiechała się do mnie, kiedy coś jej przyniosłam, gładziła mnie po włosach swoimi biednymi napuchniętymi rękami. Nie mogłam jej uleczyć ani sprawić, żeby znów biegła czy tańczyła, nie mogłam ulżyć jej w bólu ani w strachu, ale mogłam się nią opiekować, dbać o jej wygodę, kontrolować jej stan i wykonywanie tych wszystkich czynności było dla mnie ważniejsze... ponad wszystko.

Ta apricot brandy była zbyt słodka, by zasługiwać na miano brandy, ale nie tak słodka, jak tego oczekiwałem. Prawdę mówiąc, była całkiem mocna. Jednak żadna jej ilość nie mogła sprawić, żebym zapomniał o swoich rodzicach, a Angela o matce.

— Zawsze chciałam być pielęgniarką — powtórzyła. — I przez długi czas ta praca dawała mi satysfakcję. Kiedy traciliśmy pacjenta, była straszna i smutna, ale przeważnie czuliśmy się nagrodzeni. — Uniosła oczy znad kieliszka. Te wspomnienia napełniły je dumą. — Boże, tak się bałam, kiedy miałeś zapalenie wyrostka. Myślałam, że stracę mojego małego Chrisa.

— Miałem dziewiętnaście lat. Nie byłem już mały.

— Skarbie, byłam twoją pielęgniarką, od kiedy zostałeś zdiagnozowany jako raczkujące niemowlę. Dla mnie zawsze pozostaniesz chłopcem.

Uśmiechnąłem się.

— Też cię kocham. Angela.

Czasami zapominam, że bezpośredniość, z jaką wyrażam moje najlepsze uczucia, jest niezwykła, że może zaskoczyć ludzi i — jak w tym wypadku — poruszyć ich głębiej, niż się spodziewani. Łzy zasłoniły jej oczy. Powstrzymując je, przygryzła wargę, a po chwili sięgnęła po kieliszek.

Dziewięć lat temu miałem jeden z tych przypadków zapalenia wyrostka, których symptomy ujawniają się dopiero w stanie ostrym. Po śniadaniu cierpiałem na lekką niestrawność. Przed lunchem wymiotowałem, czerwony na twarzy i zlany potem. Bóle brzucha zwinęły mnie jak krewetkę smażoną w dużej ilości tłuszczu.

Moje życie było w niebezpieczeństwie z powodu zwłoki koniecznej na nadzwyczajne przygotowania w Szpitalu Miłosierdzia. Oczywiście chirurgowi nie uśmiechała się wizja rozcinięcia mi brzucha i przeprowadzenia operacji w ciemności — ani nawet przy zgaszonym świetle. Lecz moje długotrwałe przebywanie w zasięgu lampy sali operacyjnej z pewnością spowodowałyby nie tylko poważne oparzenia skóry niezabez-

pieczonej przed oślepiającym blaskiem, doprowadzając do raka skóry, ale utrudniłoby gojenie się rany pooperacyjnej. Przykrycie ciała poniżej cięcia — od krocza do stóp — było łatwe; owinięto mnie potrójną warstwą bawełnianych prześcieradeł, zabezpieczonych klamerkami, by się nie osuwały. Dodatkowych prześcieradeł użyto na wykonanie namiotu nad moją głową i torsem. Miał nie tylko chronić mnie przed światłem, ale od czasu do czasu pozwolić wsunąć się tam anestezjologowi, który w świetle latarki punktowej sprawdziłby ciśnienie krwi, temperaturę, i kontrolował, czy elektrody EKG są na swoim miejscu, na piersi i przegubach, monitorując serce. Standardowa procedura wymagała, by żołądek zasłonięte poza wąskim wycinkiem na nagiej skórze w miejscu operacji, ale w moim przypadku to prostokątne otwarcie zredukowano do możliwie najwęższej szpary. Z pomocą haków samoutrzymujących się, blokujących zamknięcie się cięcia, i taśmy przemyślnie zasłaniającej skórę aż do krawędzi nacięcia, ośmielono się rozpocząć operację. Moje flaki były gotowe znieść każdą ilość światła, którą lekarze chcieli mi zaaplikować — ale zanim dotarło w krytyczne miejsce, wyrostek pękł. Mimo metodycznego oczyszczenia wynikło zapalenie otrzewnej; powstał ropień, po którym szybko doszło do wstrząsu septycznego, wymagającego drugiej operacji w dwa dni później.

Po tym, jak doszedłem do siebie po wstrząsie i nie groziła mi bezpośrednio śmierć, miesiącami żyłem w oczekiwaniu, że te przejścia mogą doprowadzić do kłopotów neurologicznych wiążących się z XP. Przeważnie są spowodowane oparzeniem, długotrwałym skumulowanym wystawieniem na światło lub mogą wystąpić z nieznanymi powodów, ale wygląda na to, że może do nich też doprowadzić silny fizyczny wstrząs lub szok. Występuje wówczas drżenie głowy lub rąk. Utrata słuchu. Zniekształcenie mowy. Nawet upośledzenie umysłowe. Czekałem na pierwsze objawy postępujących nieodwracalnych zaburzeń — ale nigdy się nie pojawiły.

William Dean Howells, wielki poeta, napisał, że śmierć jest na dnie pucharu każdego. Ale w mojej filiżance nadal jest jeszcze łyk słodkiej herbaty.

A w kieliszku — likier morelowy.

Angela pociągnęła kolejny łyżeczek i powiedziała:

— Zawsze tylko chciałam być pielęgniarką, ale popatrz na mnie teraz.

Chciała, bym ja zapytał, więc zrobiłem to.

— O co ci chodzi?

— Pielęgniarka pilnuje życia — rzekła zahipnotyzowana płomykami za rubinowym szkłem. — Teraz ja pilnuję śmierci.

Nie wiedziałem, o co jej chodzi, ale czekałem.

— Zrobiłam straszne rzeczy — powiedziała.

— Na pewno nie.

— Widziałam, jak inni robią straszne rzeczy i nie próbowałam ich powstrzymać. Jestem tak samo winna.

— Mogłabyś ich powstrzymać, gdybyś spróbowała?

Zastanowiła się nad tym przez chwilę.

— Nie — przyznała, ale nadal była przygnębiona.

— Nikt nie potrafi unieść całego świata na swoich barkach.

— Niektórzy z nas mogliby bardziej się postarać.

Nie popędzałem jej. Likier był wyśmienity.

— Jeśli mam ci powiedzieć, to teraz. Nie mam dużo czasu. Staję się.

— Staję?

— Czuję to. Nie wiem, kim będę za miesiąc albo pół roku. Kimś, kim nie chcę być.

Kimś, kto mnie przeraża.

— Nie rozumiem.

— Wiem.

— Jak mogę ci pomóc? — spytałem.

— Nikt nie może mi pomóc. Nie ty. Nie ja. Nie Bóg. — Przeniosła wzrok z wotywnych świeczek na złoty płyn w kieliszku i odezwała się cicho, ale z naciskiem: — Pieprzmy to, Chris, jak zawsze to spieprzaliśmy, ale tym razem na większą skalę niż kiedykolwiek. Z powodu pychy, arogancji, zawiści... marnujemy to, w całości. O, Boże, tracimy to i już nie ma drogi powrotu, nie można odwrócić tego, co się zrobiło.

Chociaż nie bełkotała, podejrzewałem, że poprzednio wypła więcej niż kieliszek. Usiłowałem pocieszyć się myślą, że likier wykrzywił jej poczucie rzeczywistości; że bez względu na to, jaką katastrofę dostrzegła, nie był to huragan, ale szkwał wzmocniony łagodnym szumem w głowie.

Jednak udało jej się stworzyć nastrój przeciwwagi do ciepła kuchni wzmocnionego likierem. Już nie rozważałem zdjęcia kurtki.

— Nie mogę ich powstrzymać — powiedziała. — Ale mogę przestać dochowywać ich tajemnic. Zastługujesz, by dowiedzieć się, co spotkało twoją matkę i ojca, Chris... nawet gdy te wieści sprowadzą ból. Twoje życie i bez tego było ciężkie, bardzo ciężkie.

Nie uważam, żebym miał aż tak ciężkie życie. Było odmienne. Jeśli szalałbym z gniewu przeciwko tej odmienności i spędzał noce wzdychając z żalu za tak zwaną normalnością, pewnie życie zaciążyłoby mi jak głaz i zmiażdżyło swoim ciężarem. Ale akceptując odmiennosc i decydując się na rozkoszowanie nią prowadziłem życie nie cięższe niż większość innych, a łatwiejsze od niektórych.

Nie powiedziałem o tym słowa Angeli. Jeśli kierowała nią litość, ułożę rysy w maskę cierpienia i zaprezentuję się jako postać z czystej tragedii. Będę Makbetem. Będę szalonym Lirem. Będę Schwarzeneggerem z „Terminatora 2”, skazanym na kocioł płynnej stali.

— Masz tak wielu przyjaciół... ale nic nie wiesz o wrogach — kontynuowała Angela.

— Niebezpiecznych draniach. A niektórzy z nich są dziwni... Stają się.

Znów te słowa. „Stają się”.

Potarłem kark i przekonałem się, że pająki, które tam poczułem, były tworem wyobraźni.

— Jeśli czeka cię jakaś szansa... jakakolwiek... musisz znać prawdę — powiedziała.
— Zastanawiałam się, od czego zacząć, jak ci opowiedzieć. Chyba powinnam zacząć od małpy.

— Małpy? — powtórzyłem, przekonany, że źle ją usłyszałem.

— Małpy — potwierdziła.

W tym kontekście słowo „małpa” miało nieunikniony sens komiczny i zacząłem powątpiewać w trzeźwość Angeli. Podniosła oczy znad kieliszka i były osamotnionymi jeziorami, w których utonęła jakaś żywotna część Angeli Ferrymana znanej mi od dzieciństwa. Napotykając ten wzrok — jego ponure szarozielone lśnienie — poczułem, jak jeżą mi się włosy na karku i przestałem znajdować jakiegokolwiek komiczne znaczenie w słowie „małpa”.

12

— To była Wigilia, cztery lata temu — rzekła. — Słońce już zaszło. W kuchni piekłam ciastka. Jedne z kawałkami czekolady. Drugie z mąki owsianej i z migdałami. Używałam obu piekarników. Radio było włączone. Chyba Johnny Mathis śpiewał „Silver Bells”.

Zamknąłem oczy wyobrażając sobie kuchnię w tamtą Wigilię — ale też by mieć pretekst i umknąć przed zaszczutym wzrokiem Angeli.

— Czekałam na Roda. Oboje mieliśmy wolne przez cały świąteczny weekend.

Rod Ferryman był jej mężem.

Ponad trzy i pół roku temu, sześć miesięcy po Wigilii, o której mówiła Angela, Rod popełnił samobójstwo; w garażu wypalił do siebie ze strzelby. Przyjaciele i sąsiedzi byli zaszokowani, a Angela załamana. Należał do ludzi otwartych, o znakomitym poczuciu humoru; był lubiany, nie miał skłonności do depresji i nie sprawiał wrażenia, by dręczyły go problemy mogące stanowić powód do targnięcia się na życie.

— Tamtego dnia wcześniej ubrałam drzewko — mówiła Angela. — Mieliśmy zjeść kolację przy świecach, otworzyć butelkę dobrego wina, a potem obejrzeć „It’s a Wonderful Life”. Uwielbialiśmy ten film. Mieliśmy dla siebie podarki, masę drobnych prezencików. Boże Narodzenie to był nasz ulubiony okres w roku, a za prezentami szaleliśmy jak dzieci...

Ucichła.

Gdy odważyłem się popatrzeć, zobaczyłem, że miała zamknięte oczy. Po grymasie twarzy można było sądzić, że szybka jak rtęć pamięć oddaliła się od tamtej gwiazdkowej nocy, zbliżając się do czerwcowego wieczoru, gdy Angela znalazła w garażu ciało męża.

Światło świec migotało na jej powiekach. Po pewnym czasie otworzyła oczy, ale nadal błędziła gdzieś wzrokiem. Pociągnęła likieru.

— Byłam szczęśliwa — wyznała. — Ciastka pachniały. Muzyka wigilijna. A z kwiaciarni dostałam wielką poinsecję od mojej siostry, Bonnie. Kwiat stał tam, przy końcu lady, niesłychanie czerwony i radosny. Czułam się cudownie, naprawdę cu-

downie. To wtedy ostatni raz tak się czułam... i już nigdy się nie poczuję. Tak... kładłam ciastka na blachę, kiedy usłyszałam za sobą ten dźwięk, dziwne ciche cmokanie, a potem jakby westchnienie. Odwróciłam się i na tym właśnie stole siedziała małpa.

— Boże święty.

— Rezus z tymi okropnymi ciemnożółtymi oczami. Zupełnie innymi niż zwykle mają. Dziwne.

— Rezus? Znasz gatunki?

— By opłacić chesne za szkołę pielęgniarek, pracowałam jako pomocnica w laboratorium pewnego naukowca z UCLA. Rezusy to jeden z gatunków najczęściej używanych do eksperymentów. Widziałam ich wiele.

— I nagle jeden z nich siedział właśnie tu.

— Na stole stała waza z owocami, jabłkami i mandarynkami. Małpa obierała i jadła mandarynkę. Ta wielka małpa odkładała skórki na kupkę, grzecznie, aż miło.

— Wielka? — spytałem.

— Pewnie wyobrażasz sobie małpkę kataryniarza, jedno z tych cudownych stworzonek. Rezusy są inne.

— Ta była większa?

— Miała około sześćdziesięciu centymetrów. Ważyła może kilkanaście kilogramów.

Taka małpa mogła wydać się ogromna, gdyby ujrzało się ją nieoczekiwanie na środku kuchennego stołu.

— Musiałaś być bardzo zaskoczona — zauważyłem.

— Bardziej niż zaskoczona. Byłam trochę przestraszona. Wiem, jak te cholery potrafią być silne, mimo niewielkiego wzrostu. Większość jest spokojna, ale od czasu do czasu trafia się jakaś wredna i nie można nad nią zapanować.

— Nie jest to małpa, którą ktoś chciałby trzymać w domu.

— Boże, nie. Nikt normalny... przynajmniej według mojej definicji. No cóż, przyznaję, że rezusy potrafią być czasem milutki, z ich bladymi pyszczkami i krawatką. Ale tamta nie była milutka. — Wyraźnie zapamiętała ją dobrze, do ostatniego włosa. — Nie, nie tamta.

— Więc skąd się pojawiła?

Angela zamiast odpowiedzieć zeszytniała na krześle i przechyliła głowę na ramię, słuchając odgłosów domu.

Nie docierało do mnie nic nadzwyczajnego. Najwyraźniej do niej też nie. Lecz gdy przemówiła, nie była rozluźniona. Zacisnęła na kieliszku dłonie chude jak szpony.

— Nie mogłam pojąć, jak to stworzenie dostało się do środka, do domu. Tamtego roku grudzień nie był nadmiernie ciepły. Żadne okno ani drzwi nie były otwarte.

— Nie słyszałaś jej wchodzącej do pokoju?

— Nie. Hałasowałam blachami, misami do ucierania ciasta. Z radia leciała muzyka. Ale zresztą to draństwo musiało siedzieć na stole kilka minut, bo zanim zdałam sobie sprawę z jej obecności, zjadła połowę mandarynki.

Omiotła wzrokiem kuchnię, jakby kątem oka zobaczyła jakiś ruch w cieniach na skraju.

Kolejny raz uspokoiła nerwy alkoholem i powiedziała:

— Obrzydliwość... że też ta małpa musiała znaleźć się właśnie tutaj, na kuchennym stole.

Z grymasem na twarzy przesunęła drżącą rękę po wypolerowanej sośnie, jakby kilka włosów stworzenia nadal mogło przylegać do blatu, cztery lata po tym całym incydencie.

— Co zrobiłaś? — naciskałam.

— Doszłam do tylnych drzwi i otworzyłam je z nadzieją, że ucieknie.

— Ale ona zajadała ze smakiem mandarynkę, czując się całkiem dobrze tam, gdzie była — zgadywałam.

— No. Popatrzyła na otwarte drzwi, potem na mnie... i autentycznie się zaśmiała. Wydała taki cienki chichot.

— Przysięgam, że od czasu do czasu widziałem śmiejące się psy. Małpy zapewne też się śmieją.

Angela potrząsnęła głową.

— Nie przypominam sobie, żeby w laboratorium któraś się śmiała. Oczywiście, biorąc pod uwagę, jakie życie tam wiodły... raczej nie miały powodów do szampańskiego nastroju.

Popatrzyła niespokojnie na sufit, na którym trzy zachodzące na siebie pierścienie światła migotały jak oczy zjawy; wizerunek trzech rubinowych zniczy na stole.

— Nie wyszła na dwór... — zachęciłam ją do kontynuowania.

Zamiast odpowiedzieć, wstała, podeszła do tylnych drzwi i sprawdziła, czy zasuwana nadal broni wstępu do środka.

— Angela?

Dając mi znak, bym się uciszył, odciągnęła na bok zasłonę, wyjrzała na patio i zalany światłem księżycy ogród, odciągnęła ją uważnie, drżącą dłonią i tylko na parę centymetrów, jakby spodziewała się, że dojrzy przyciśniętą do szyby koszmarną twarz, wpatrzoną w nią.

Mój kieliszek był pusty. Sięgnąłem po butelkę, zawahałem się, a potem odstawiłem, nie dolewając sobie.

— To nie był tylko śmiech, Chris — powiedziała Angela, odwracając się od drzwi. — To był przerażający odgłos i nigdy nie potrafiłabym ci go dokładnie opisać. To był zły... zły chichocik podszyty nienawiścią. Och, wiem, co sobie myślisz, że to tylko zwie-

rzę, tylko małpa, więc nie może być zła ani dobra. Może podła, ale nie obdarzona nienawiścią, bo, oczywiście, zwierzęta mogą być skore do gniewu, ale nie świadomie wrogi. Tak sobie myślisz. No, a ja ci mówię, że ona była bardziej niż podła. Jej śmiech to był najbardziej wrogi głos, jaki słyszałam, najbardziej wrogi i najwstrętniejszy... i pełen najgorszego zła.

— Rozumiem cię — zapewniłem ją.

Zamiast wrócić do stołu, podeszła do zlewu. Każdy centymetr szkła w oknie nad nim był zasłonięty, ale pociągnęła płaszczyzny żółtej materii, upewniając się podwójnie, że całkowicie odgradzają ją od szpiegujących oczu.

— Wzięłam miotłę, bo wyobraziłam sobie, że przegonię to stworzenie na podłogę a potem do drzwi — powiedziała. Odwróciła się i wbiła spojrzenie w stół, jakby małpa siedziała tam nawet teraz. — To znaczy, nie tłukłam miotłą, tylko machnęłam nią w kierunku tego stworzenia. Wiesz?

— Jasne.

— Ale nie wystraszyła się. Dostała ataku wściekłości! Cisnęła połówkę mandarynki, złapała miotłę i chciała mi ją wyrwać. Kiedy nie puściłam, zaczęła leżeć po kiju prosto na mnie.

— Jezu.

— Naprawdę milutka. Była szybka. Obnażyła zęby i skrzeczała, pluła, idąc prosto na mnie, więc puściłam miotłę, upadła razem z nią na podłogę, a ja cofałam się, aż wpa-
dłam na lodówkę.

Teraz też wpadła na lodówkę. Z półek dobiegł przygłuszony brzęk butelek.

— Była na podłodze, na wprost mnie. Kopnęła miotłę na bok. Chris, tak była rozwścieczona. Ta wściekłość nie miała się w żaden sposób do niczego, co się wydarzyło. Nie skrzywdziłam jej, nawet nie tknęłam miotłą, ale ani myślała znieść jakiegokolwiek nieuprzejmości z mojej strony.

— Powiedziałaś, że rezusy są w gruncie rzeczy łagodne.

— Nie ten. Wargi zjechały mu z zębów, skrzeczał, rzucał się na mnie, skakał w górę i w dół, machał łapami wysuwając pazury, patrzył na mnie z taką nienawiścią, tłukł pięściami o podłogę...

Oba rękawy swetra rozwinęły się częściowo i wsunęła w nie dłonie, chowając je. Ta zapamiętana małpa była tak żywa, iż Angela miała wrażenie, że rzuci się na nią właśnie tu, właśnie teraz i odgryzie jej czubki palców.

— Była jak troll — powiedziała — jak gremlin, jakieś złe stworzenie z bajki. Te ciemnożółte oczy.

Niemal sam je widziałem. Tłące się ślepie.

— A potem nagle wskakuje na szafki, na ladę koło mnie, wszystko robi w mgnieniu oka. Jest dokładnie tu! — pokazała — obok lodówki, centymetry ode mnie, na wysokości moich oczu, kiedy odwracam głowę. Syczy na mnie, naprawdę syczy, jest blisko, czuję jej oddech, zionie mandarynkami. Wiem...

Przerwała, wsłuchując się znów w odgłosy domu. Odwróciła głowę w lewo i spojrzała na otwarte drzwi prowadzące do nieoświetlonej jadalni. Jej paranoja była zaraźliwa. A z powodu tego, co przydarzyło mi się od zachodu słońca, byłem podatny na infekcję. Stężałem na krześle i przekrzywiłem głowę, łowiąc uchem wszelkie złowrogie dźwięki, które mogły do mnie dotrzeć.

Trzy pierścienie odbitego światła migotały bezgłośnie na suficie. Zasłony zwisały w ciszy.

— Jej oddech śmierdział mandarynkami — powiedziała po chwili Angela. — Wciąż syczała. Wiedziałam, że mogłaby mnie zabić, gdyby chciała, jakoś zabić, chociaż to była tylko małpa i ważyła zaledwie ćwierć tego, co ja. Kiedy była na podłodze, może potrafiłabym zdeptać tę małą sukę, ale teraz była dokładnie przy mojej twarzy.

Bez trudu wyobraziłem sobie, jakie to było potworne. Mewa, chroniąc gniazdo na nadmorskim klifie, spada raz za razem z nocnego nieba, wrzeszczy gniewnie i bije twardo skrzydłami, dziobie w głowę i wyrывa ci kosmyki włosów, a waży ułamek tego, co małpa opisana przez Angelę, naprawdę jest przerażająca.

— Zastanawiałam się, czy nie pobiec do otwartych drzwi — powiedziała — ale bałam się, że to jeszcze bardziej ją rozżłości. Więc stałam nieruchomo tutaj. Z plecami opartymi o lodówkę. Oko w oko z tym złym stworzeniem. Po jakimś czasie, kiedy upewniło się, że jestem zastraszona, zeskoczyła z lady, przebiegła jak strzała na drugą stronę kuchni, zatrzasnęła drzwi, weszła szybko na stół i wzięła nadgryzioną mandarynkę.

Nalałem sobie jeszcze likieru.

— Więc sięgnęłam do tej szuflady przy lodówce — kontynuowała Angela. — Jest w niej tacka z nożami.

Nadal nie odrywając wzroku od stołu, jak w tamtą Wigilię, podwinęła rękaw i sięgnęła do szuflady. Chciała pokazać mi, gdzie są noże. Nie robiąc kroku w bok, musiała pochylić się i wyciągnąć całym ciałem.

— Nie zamierzałam jej zaatakować, tylko wziąć sobie coś do obrony. Ale zanim położyłam rękę na czymś w szufladzie, małpa znów poderwała się i wrzasnęła na mnie.

Macała w kierunku szuflady.

— Złapała jabłko z wazy i rzuciła we mnie — powiedziała. — Naprawdę cisnęła z całej siły. Trafiła mnie w usta. Rozbiła wargę. — Zasłoniła twarz rękami, jakby właśnie teraz była atakowana. — Próbowałam się zasłonić. Małpa rzuciła we mnie następnym jabłkiem, potem trzecim i darła się tak, że gdyby były tu jakieś kryształ, rozprysłyby się w pył.

— Czy chcesz powiedzieć, że wiedziała, co jest w szufladzie?

Opuściła ramiona, rezygnując z obronnej postawy.

— No, miała jakieś przecucie, wyczuła co tam jest.

— I już nie próbowałaś sięgnąć po nóż?

Potrząsnęła głową.

— Poruszała się jak błyskawica. Wydawało się, że potrafi zeskoczyć ze stołu i dopaść mnie znowu, równocześnie z tym, jak otworzyłabym szufladę, ugryzie mnie w rękę, nim złapię za trzonek noża. Nie chciałam, żeby mnie ugryzła.

— Nawet gdyby nie miała piany na pysku, mogła być wściekła — zgodziłem się.

— Gorzej — powiedziała tajemniczo, znów podwijając rękawy swetra.

— Gorzej niż wściekliczna? — spytałem.

— Więc stoję przy lodówce, krew cieknie mi z wargi, jestem wystraszona, próbuję sobie wyobrazić, co dalej robić, a tu Rod przychodzi do domu z pracy, mijają te drzwi, pogwizduje i wkracza w sam środek tego wariactwa. Ale nie robi niczego, czego byś się spodziewał. Jest zdziwiony... ale nie zdziwiony. Taaa, jest zdziwiony, że spotyka tu małpę, ale nie jest zdziwiony samą małpą. Dopiero spotkanie jej tu wyprowadza go z równowagi. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Chyba tak.

— Rod... przeklęty... zna tę małpę. Nie mówi: „Małpa???” Nie mówi: „Skąd, do cholery, wzięła się tu małpa?” On mówi: „O, Jezu”. Po prostu: „O, Jezu”. Tamtej nocy jest zimno, może padać, on ma na sobie trencz i wyjmuje pistolet z kieszeni... jakby spodziewał się czegoś w tym rodzaju. To znaczy... no, przychodzi do domu po pracy i jest w mundurze, ale na służbie nie nosi broni. Jest pokój. Na litość boską, on nie jest w strefie działań wojennych. Ma przydział tuż poza Moonlight Bay, przy biurku, przekłada papiery i twierdzi, że się nudzi, tylko przybiera na wadze i czeka na emeryturę, a nagle ma przy sobie pistolet, o którym nawet nie wiedziałam, dopóki go nie zobaczyłam.

Pułkownik Roderick Ferryman, oficer armii Stanów Zjednoczonych, służył w Fort Wyvern. Bazę zamknięto półtora roku temu i teraz stała opuszczona, jedna z wielu wojskowych fabryk, które uznano za zbędne i zlikwidowano po zakończeniu zimnej wojny.

Chociaż znałem Angelę — jej męża mniej — od dzieciństwa, nigdy nie wiedziałem, co dokładnie pułkownik Ferryman robił w wojsku. Może Angela też nie wiedziała. Aż przyszedł do domu w tamtą Wigilię.

— Rod... trzyma broń w prawej ręce, ramię wyprostowane sztywno, muszka skierowana prosto na małpę i wygląda na bardziej wystraszonego niż ja. Wygląda groźnie. Usta ściągnięte. Cała krew uciekła mu z twarzy, po prostu uciekła, wygląda jak kościotrup. Spogląda na mnie, widzi, że warga zaczyna mi puchnąć, mam krew na całym podbródku i nawet nie pyta o to, patrzy tylko na małpę, nie odrywa od niej oczu. Małpa trzyma ostatni kawałek mandarynki, ale teraz nie je. Patrzy twardo na broń. Rod mówi: „Angie, idź do telefonu. Podam ci numer, na który zadzwonisz”.

— Pamiętasz go? — spytałem.

— Nie ma znaczenia. Już jest wyłączony. Poznałam kierunek, bo były te same pierwsze cyfry, co w jego numerze w bazie.

— Kazał ci zadzwonić do Fort Wyvern.

— Tak. Ale facet, który odpowiada, nie przedstawia się ani nie mówi, co to za wydział. Mówi tylko „Halo”, a ja mówię mu, że dzwoni pułkownik Ferryman. Rod bierze słuchawkę lewą ręką, pistolet wciąż trzyma w prawej. Mówi facetowi: „Właśnie znalazłem tego rezusa, tu, u mnie w domu, w mojej kuchni”. Słucha, cały czas patrząc na małpę, a potem mówi: „Niech mnie diabli porwą, jeśli wiem, ale jest tu jak najbardziej i potrzebuję pomocy, żeby go zapakować”.

— A małpa tylko patrzy na to wszystko?

— Rod kończy rozmowę, małpa odrywa te swoje brzydkie ślepka od broni, patrzy prosto na niego, wyzywająco, wściekle i wypływa z siebie tamten przekłety odgłos, ten okropny śmieszek, od którego skóra ci cierpnie. Potem jakby traci zainteresowanie Rodem i mną, pistoletem. Zjada ostatnią cząstkę mandarynki i zaczyna obierać następną.

Uniosłem kieliszek z likierem, którego sobie dolałem, ale nie upiłem się. Angela tymczasem wróciła do stołu i podniosła swój do połowy opróżniony kieliszek. Zaskoczyła mnie stukając swoim szkłem o moje.

— Za co pijemy? — spytałem.

— Za koniec świata.

— Od ognia czy lodu?

— Żadnych przyjemności tego rodzaju — powiedziała.

Była śmiertelnie poważna.

Jej oczy wydawały się koloru gładkiej szuflady z nierdzewnej stali w kostnicy Szpitala Miłosierdzia, a spojrzenie było aż nazbyt bezpośrednie; spuściła oczy, wpatrując się w kieliszek, który trzymała w dłoni.

— Rod chce, żebym mu powiedziała, co się stało, więc mówię. Ma setki pytań, zwłaszcza dotyczących mojej krwawiącej wargi, docieka, czy małpa mnie dotknęła, ugryzła, jakby nie wierzył w tę historię z jabłkiem. Ale nie odpowiada na żadne moje pytanie. Mówi tylko: „Angie, wolałabyś nie wiedzieć”. Oczywiście, że wolałabym wiedzieć, ale jest jasne, co chce dać do zrozumienia.

— Tajne informacje, tajemnice wojskowe.

— Mój mąż wcześniej zajmował się sprawami objętymi tajemnicą państwową, uczestniczył w tajnych programach, ale myślałam, że ma to za sobą. Powiedział że nie może o tym mówić. Nawet ze mną. Z nikim spoza wydziału. Ani słowem.

Angela w dalszym ciągu tylko wpatrywała się w swój likier, ale ja trochę upiłem. Nie smakował tak dobrze jak poprzednio. Prawdę mówiąc, tym razem wyczułem na dnie gorycz, co przypomniało mi, że pestki moreli są źródłem cyjanku.

Kiedy się wypiło za koniec świata, to człowiek we wszystkim dostrzega potencjalne zło, nawet w niewinnym owocu. Ulegając mojemu nieuleczalnemu optymizmowi pociągnąłem kolejny długi łyk i skoncentrowałem się tylko na smaku, który poprzednio wydał mi się wyborny.

— Nie minął kwadrans, a trzech faceci pojawili się na telefon Roda — powiedziała Angela. — Musieli przyjechać z Wyvern karetką albo podobnym do niej samochodem, chociaż nie włączyli syreny. Żaden nie miał na sobie munduru. Dwaj obeszlili dom od tyłu i weszli bez pukania przez kuchenne drzwi. Trzeci musiał sforsować zamek przy drzwiach frontowych i przyszedł stamtąd, cicho jak duch; wchodzi do jadalni równocześnie z tamtymi dwoma. Rod dalej trzyma pistolet wycelowany w małpę... ramiona trzęsą mu się ze zmęczenia... a tamci trzej, wszyscy, mają broń z bertami usypiającymi.

Myślałem o cichej, oświetlonej latarniami ulicy przed frontem, czarującej architekturze domu, magnoliach, kratownicy zarosłej jaśminem. Mijając ten dom owej nocy, nikt nie zgadłby, że za jego murami rozgrywa się osobliwy dramat.

— Wygląda na to, że małpa się ich spodziewa — ciągnęła Angela. — Nie przejmuje się, nie próbuje uciec. Jeden posyła jej bełt. Ona pokazuje zęby i syczy, ale nawet nie usiłuje wyrwać igły. Rzuca resztki drugiej mandarynki, z trudem próbuje przełknąć kawałek, który ma w gębie, a potem tylko zwija się na stole, wzdycha i zasypia. Oni wychodzą z małpą, a Rod jedzie z nimi i małpa na zawsze znika mi z oczu. Rod wraca dopiero o trzeciej nad ranem, już po Wigilii, i dajemy sobie prezenty dopiero późno na Boże Narodzenie, ale wtedy już jesteśmy w piekle i nic nigdy nie będzie takie samo. Nie ma drogi wyjścia i wiem o tym.

Szybkim haustem wypila resztkę likieru i odstawiła kieliszek tak gwałtownym ruchem, że rozległ się dźwięk jak od strzału. Do tej pory okazywała jedynie lęk i melancholię, tak głębokie jak rak kości. Teraz z głębszego źródła popłynął gniew.

— Musiałam pozwolić im, żeby wzięli tę cholerną próbkę krwi w dzień po świętach.

— Kto?

— Ci z programu w Wyvern.

— Z programu...?

— I zawsze od tej pory co miesiąc biorą próbkę. Jakby moje ciało nie było moje, jakbym musiała płacić komorne krwią tylko za to, że pozwalają mi żyć.

— Wyvern zamknięto półtora roku temu.

— Niecałe. Pewne rzeczy nie umierają. Nie mogą umrzeć. Bez względu na to, jak byśmy chcieli ich śmierci.

Chociaż nazbyt szczupła, właściwie na granicy wychudzenia, Angela zawsze była na swój sposób piękna. Skóra barwy białej porcelany, łagodnie sklepione czoło, wysokie kości policzkowe, delikatny nos, wydatne usta będące przeciwwagą wertykalnych rysów

twarży i rozdające bogactwo uśmiechów — te cechy w połączeniu z nieegoistycznym sercem sprawiały, że była piękna mimo to, iż miała rzadkie włosy, a ciało, ta iluzja nieśmiertelności, nieco zbyt skąpo ukrywało kościec. Jednakże teraz jej twarz była twarda, zimna i brzydka, bo gwałtownie wyostrzona szlifierskimi tarczami gniewu.

— Gdybym kiedyś odmówiła im comiesięcznej próbki, zabiliby mnie. Jestem tego pewna. Albo umieściliby mnie w jakimś zamkniętym szpitalu, tam, gdzie mogliby mnie bardziej pilnować.

— Do czego te próbki? Czego oni się obawiają?

Już chciała mi powiedzieć, zacisnęła usta.

— Angela?

Ja sam co miesiąc oddaję próbkę doktorowi Clevelandowi i Angela często mi ją pobiera. W moim przypadku chodzi o kontrolę, gdyż na podstawie odpowiedniej analizy krwi da się wykryć wczesne oznaki raka skóry i siatkówki. Chociaż oddawanie krwi było bezbolesne i dla mojego dobra, nie lubiłem tych nakłuć i mogłem sobie wyobrazić, jak bym ich nie cierpiał, gdyby były obowiązkowe, a nie dobrowolne.

— Może nie powinnam ci mówić — rzekła. — Chociaż musisz wiedzieć... żeby się bronić. Opowiedzieć ci to wszystko, to jak zapalić lont. Wczesnej czy później cały twój świat wybuchnie.

— Czy mała była nosicielem jakiejś choroby?

— Żałuję, że nie chodzi o chorobę. Czy to nie byłoby miłe? Może do tej pory już byłabym wyleczona. Albo martwa. Wolałabym śmierć, niż to, co nadchodzi.

Porwała kieliszek, zacisnęła w pięści i przez chwilę myślałem, że nim rzuci.

— Mała wcale mnie nie ugryzła — powtórzyła z uporem — wcale mnie nie zadrapała, nawet mnie nie dotknęła, na litość boską. Ale oni nie chcieli uwierzyć. Nawet nie jestem pewna, czy Rod mi uwierzył. Nie chcieli podjąć najmniejszego ryzyka. Zmusili mnie... Rod zmusił mnie do poddania się sterylizacji.

Łzy stanęły jej w oczach, nieruchome, ale drżące jak wotywne światła w czerwonych zniczach.

— Miałam wtedy czterdzieści pięć lat — powiedziała — i nie miałam dzieci, bo już byłam bezpłodna. Tak bardzo staraliśmy się mieć dziecko... wizyty u lekarzy, terapia hormonalna, wszystko, wszystko... i nic nie skutkowało.

Pod naporem cierpienia w głosie Angeli ledwo mogłem wytrzymać na krześle, patrząc na nią bez ruchu. Miałem ochotę wstać, objąć ją, tym razem samemu wystąpić w roli pielęgniarki.

— A ci dranie i tak zmusili mnie do zabiegu, nieodwracalnego zabiegu, nie tylko podwiązali mi jajniki, ale pocięli mnie, pozbawili wszelkiej nadziei — powiedziała drżącym głosem. Mówiła z trudem, ale była silna. — Miałam czterdzieści pięć lat, zrezygnowałam z nadziei albo udawałam, że zrezygnowałam. Ale mieć to wycięte... Czułam się

ponizona, bezradna. Nawet nie powiedzieli mi, dlaczego. Dzień po Bożym Narodzeniu Rod zabrał mnie do bazy pod pozorem przeprowadzenia wywiadu o małpie, o jej zachowaniu. Nie chciał zdradzić nic więcej. Był bardzo tajemniczy. Zabrał mnie do tego miejsca... tego miejsca, o którym nawet większość ludzi w bazie nie wiedziała. Uspili mnie wbrew mojej woli, zrobili operację bez mojej zgody. A kiedy było po wszystkim, te sukinsyny nawet nie powiedziały mi, dlaczego!

Odepchnąłem krzesło od stołu i wstałem. Barki miałem obolałe, a nogi miękkie w kolanach. Nie spodziewałem się usłyszeć takich zwierzeń. Chociaż bardzo chciałem pocieszyć Angelę, nie próbowałem się zbliżyć. Kieliszek z likierem nadal był mocno zamknięty w twardej skorupie jej pięści. Zawzięty gniew wyostrzył niegdyś piękną twarz na kolekcję noży. Chyba wtedy nie chciała, żebym jej dotykał. Stałem niezręcznie przy stole przez niekończące się sekundy, a potem podszedłem do drzwi i sprawdziłem jeszcze raz zasuwę.

— Wiem, że Rod mnie kochał — powiedziała, chociaż gniew w jej głosie nie osłabł. — To, co musiał zrobić, po prostu zupełnie go załamało. Nigdy już nie był taki jak przedtem.

Odwrociłem się i zobaczyłem, że uniosła pięść. Płomyki świec wypolerowały ostre rysy twarzy.

— A gdyby jego zwierzchnicy zrozumieli, jak blisko zawsze byliśmy ja i Rod, wiedzieliby, że nie będzie dalej mógł ukrywać przede mną tajemnic, po tym, kiedy tyle wycierpiałam.

— Wreszcie opowiedział ci wszystko — spróbowałem zgadnąć.

— Tak. I wybaczyłam mu, naprawdę wybaczyłam to, co mi zrobił, ale on wciąż był pogrążony w rozpacz. Cała moja sztuka pielęgnarska okazywała się nieprzydatna. Nie mogłam go z tego wydobyć. Był tak zrozpaczony... i przerażony. — Teraz gniew przeplatał się z litością i smutkiem. — Tak przerażony, że już nic go nie cieszyło. Wreszcie zabił się... a kiedy był martwy, nie zostało we mnie już nic, co można by wyciąć.

Opuściła pięść. Otworzyła ją. Patrzyła długo na kieliszek, a potem ostrożnie postawiła go na stole.

— Angela, co było nie tak z małpą? — spytałem.

Nie odpowiedziała.

W jej oczach tańczyły wizerunki płomyków. Poważna twarz wyglądała jak kamienna świątynia ku czci zmarłej bogini. Powtórzyłem pytanie:

— Co było nie tak z małpą?

Gdy Angela odezwała się w końcu, jej głos przeszedł w szept:

— To nie była małpa.

Wiedziałem, że dobrze ją usłyszałem, ale to, co mówiła, nie miało sensu.

— Nie małpa? Ale powiedziałaś...

— Wydawało się, że to małpa.

— Wydawało się?

— I oczywiście to była małpa.

Nie odezwałem się, czując mętlik w głowie.

— Małpa i niemałpa — szepnęła. — I to było nie tak.

Wydawała się niespełna rozumu. Zacząłem się zastanawiać, czy jej opowieść nie była bardziej fantazją niż prawdą — i czy Angela zdawała sobie z tego sprawę.

Odwróciła się od świec i trafiła na moje spojrzenie. Nie była już brzydka, ale też nie odzyskała urody. Jej twarz okrywały popioły i cienie.

— Może nie powinnam do ciebie dzwonić. Byłam poruszona śmiercią twojego ojca. Nie myślałam jasno.

— Powiedziałaś, że powinienem wiedzieć... żeby się bronić.

Skinęła głową.

— Tak. To prawda. Musisz wiedzieć. Wisisz na takiej cienkiej nitce. Musisz wiedzieć, kto cię nienawidzi.

Wyciągnąłem do niej rękę.

— Angela — poprosiłem — chcę wiedzieć, co naprawdę przydarzyło się moim rodzicom.

— Oni nie żyją. Odeszli. Kochałam ich, Chris, kochałam ich jak przyjaciół, ale oni odeszli.

— Mimo to muszę wiedzieć.

— Jeśli myślisz sobie, że ktoś ma zapłacić za ich śmierć... to musisz zdać sobie sprawę, że nikt tego nie zrobi. Nie za twojego życia. Ani nikogo innego. Choćbyś nie wiem ile prawdy się dowiedział, nikogo nie zmusisz do zapłaty. Choćbyś nie wiem ile próbował.

Przyłapałem się na tym, że cofnąłem rękę i zacisnąłem je na stole w pięści. Powiedziałem po chwili:

— Przekonamy się.

— Dziś wieczór rzuciłam pracę w Miłosierdziu. — Po tym wyznaniu jakby się skurczyła; przypominała dziecko w ubraniu dorosłego. Kolejny raz stała się dziewczynką, która przynosiła mrożoną herbatę, lekarstwa i poduszki kalekiej matce. — Już nie jestem pielęgniarką.

— Co zrobisz?

Nie odpowiedziała.

— Zawsze chciałaś nią być — przypomniałem jej.

— W tej chwili to nie ma żadnego znaczenia. Opatrywanie ran podczas wojny to poważne zadanie. Opatrywanie ran w środku Armageddonu to głupota. Poza tym staję się. Staję się. Nie widzisz?

Prawdę mówiąc, nie widziałem.

— Staję się. Inną ja. Inną Angellą. Kimś, kim nie chcę być. Kimś, o kim nie śmiem myśleć.

Nadal nie wiedziałem, co sądzić o tych apokaliptycznych zapowiedziach. Czy była to racjonalna reakcja na tajemnice Wyvern, czy też rezultat bezgranicznej rozpacz z powodu utraty męża?

— Jeśli chcesz się o tym dowiedzieć, to kiedy już to nastąpi, nie pozostanie ci nic innego jak rozsiać się wygodnie, popijać, co lubisz, i patrzeć, jak wszystko się kończy.

— Mimo to, chcę wiedzieć.

— Chyba więc nadszedł czas na pogadankę — rzekła z wyraźną niechęcią Angela. — Ale... o, Chris, to złamie ci serce. — Smutek zniekształcił jej rysy. — Myślę, że musisz wiedzieć... ale to złamie ci serce.

Odwróciła się ode mnie i przecięła kuchnię. Ruszyłem za nią. Zatrzymała mnie.

— Muszę zapalić trochę świateł, żeby dostać się do tego, czego mi potrzeba. Lepiej zaczekaj tu. Wszystko przyniosę.

Przyglądałem jej się, jak idzie ciemną jadalnią. W pokoju dziennym włączyła lampę i zniknęła mi z oczu.

Nie mogąc usiedzieć na jednym miejscu, krążyłem po tym pomieszczeniu, na które zostałem skazany. W głowie miałem mętlik. Małpa była i nie była małpą, a jej nietakość leżała w jednoczesności bycia i niebycia. To trzymało się kupy tylko w świecie Lewisa Carolla, w którym Alicja leżała na dnie czarodziejskiej dziury Królika.

Kolejny raz sprawdziłem zasuwę. Zamknięta.

Odsunąłem zasłonę i zlustrowałem otoczenie. Nie dostrzegłem nigdzie Orsona. Drzewa się poruszały. Powrócił wiatr. Światło księżyca przemieszczało się. Wyglądało na to, że idzie nowy front znad Pacyfiku. Gdy wiatr przeganiał postrzępione chmury po obliczu miesiąca, wydawało się, że srebrna świetlistość faluje po nocnym krajobrazie. Tak naprawdę podróżowały cętkowane cienie chmur i ruch światła był tylko iluzją. Ogród przemienił się w zimowy strumień, a światło szemrało jak woda pod lodem.

Gdzieś z domu rozległ się krótki bezsłowny krzyk. Był tak kruchy i niepokieszony jak sama Angela.

13

Krzyk wydał się nie bardziej rzeczywisty niż ruch księżycowego światła wędrującego po ogrodzie — duch dźwięku nawiedzającego pokój w mojej wyobraźni. Jak mała równocześnie był i nie był.

Jednakże gdy zasłona na drzwiach wyslizgnęła mi się z rąk i osunęła na szkło, w domu rozległo się przytłumione tąpnięcie i weszło drzeniem w ściany. Drugi krzyk był krótszy i cieńszy niż pierwszy, ale niewątpliwie był to pisk bólu i grozy.

Może tylko spadła z taboretu i skręciła sobie kostkę. Może słyszałem tylko wiatr i ptaki spod okapu. Może księżyc jest z sera, niebo czekoladowym cukierkiem, a gwiazdy kryształkami cukru.

Zawołałem głośno Angelę. Nie odpowiedziała.

Dom nie był tak wielki, żeby nie mogła mnie usłyszeć. Milczenie było złowróżbne.

Klnąc pod nosem, wyjąłem glocka z kieszeni. Podniosłem go do świeczki, rozpaczliwie szukając bezpiecznika. Znalazłem tylko jeden przełącznik, który mógł być tym, czego potrzebowałem. Gdy go nacisnąłem, z drobnego otworu poniżej wylotu lufy wyskoczył intensywny strumień czerwonego światła, malując jasną kropkę na drzwiach lodówki.

Tato, potrzebując broni łatwej w obsłudze nawet dla łagodnych wykładowców college'u, zapłacił dodatkowo za laserowy celownik. Zaczny człowiek.

Nie znam się dobrze na broni, ale wiedziałem, że niektóre modele mają dodatkowy system zabezpieczający, działający na tej zasadzie, że blokują spust po odpaleniu i wymagają za każdym razem odblokowania. Może właśnie trzymałem w ręku tego rodzaju broń. Jeśli nie, to może albo nie uda mi się oddać strzału, kiedy dojdzie do konfrontacji z napastnikiem, albo przez nieporadność sam zrobię sobie krzywdę.

Chociaż nie byłem szkolony do tej roboty, tylko ja jeden mogłem ją wykonać. Przyznaję, myślałem o tym, by wydostać się stamtąd, wsiąść na rower, odjechać w bezpieczne miejsce i wykonać anonimowy telefon na policję. Jednakże wtedy nie mógłbym nigdy spojrzeć w swoje oczy w lustrze — albo nawet w oczy Orsona.

Denerwowało mnie, że ręce mi się trzęsły, ale byłem pewien jak cholera, że nie zrobię sobie przerwy na ćwiczenia oddechowe albo medytację.

Przeszedłem przez kuchnię do otwartych drzwi jadalni. Po drodze zastanawiałem się, czy nie schować pistoletu do kieszeni i nie wyjąć z szuflady noża. Opowiadając historię o małpie Angela wskazała mi miejsce ich przechowywania.

Zwyciężył rozsądek. Miałem nie większą wprawę w posługiwaniu się nożem niż bronią. Poza tym użycie noża, cięcie i dźganie drugiego człowieka wymagało większej bezwzględności niż potrzebnej do naciśnięcia spustu. Wyobraziłem sobie, że zrobię wszystko, co konieczne, gdyby moje życie — lub Angeli — znalazło się na szali, ale nie mogłem wykluczyć ewentualności, że bardziej nadają się do czystej roboty, jaką było strzelanie, niż do bezpośredniej mokrej roboty, czyli wypatroszenia. Podczas rozpaczliwej konfrontacji wahanie mogło być fatalne. Jako trzynastoletni chłopiec potrafiłem zajrzeć do krematorium, lecz te wszystkie lata później nadal nie byłem gotów oglądać bardziej ponurego przedstawienia w balsamiarni.

Szybko przeciąłem jadalnię, kolejny raz przywołując Angełę. Kolejny raz nie odpowiedziała. Nie zamierzałem wołać jej po raz trzeci. Jeśli w domu był jakiś intruz, za każdym wezwaniem ujawniałbym swoją pozycję.

W pokoju dziennym nie zatrzymałem się, by wyłączyć lampę, ale obszedłem ją szerokim łukiem odwracając twarz. Mrużąc oczy przed kłującym deszczem światła w holu, zerknąłem przez otwarte drzwi do gabinetu. Nie było tam nikogo. Zauważyłem uchylone drzwi toalety. Otworzyłem je na oścież. Nie potrzebowałem włączać światła, by zobaczyć, że tam też nie było nikogo.

Czując się nagi bez czapki, którą zostawiłem na kuchennym stole, wyłączyłem plafonierę w holu. Zapadł błogosławiony półmrok. Spojrzałem w kierunku podestu półpiętra, gdzie zacienione schody zawracały i znikały wyżej. Na ile mogłem to ocenić, na piętrze nie paliły się lampy — co mi odpowiadało. Moje nawykłe do ciemności oczy były teraz największym sprzymierzeńcem.

Miałem ze sobą telefon komórkowy. Ruszając w górę schodów rozważałem, czy wezwać policję. Jednak po tym, jak nie stawiłem się na umówione spotkanie, Lewis Stevenson mógł mnie szukać i w takim razie sam odebrałby telefon. Może łysy z kolczykiem też wybrałby się na przejażdżkę.

Manuel Ramirez nie mógł mnie wesprzeć, bo tego wieczoru był funkcjonariuszem dyżurnym, przypisanym do komisariatu. Jak przypuszczałem, oprócz Stevensona współdział w przestępstwie mieli też inni gliniarze z Moonlight Bay; być może każdy pracownik policji, poza Manuelem, uczestniczył w zмовie. Prawdę mówiąc, mimo naszej przyjaźni jemu też nie mogłem ufać, dopóki nie dowiedziałem się dużo więcej o sytuacji.

Wchodząc po schodach ująłem glocka w obie ręce, gotów wykorzystać laserowy celownik, gdyby ktoś się poruszył. Ciągle powtarzałem sobie, iż odgrywanie bohatera nie znaczy, że mam omyłkowo zastrzelić Angełę.

Zawróciłem na podejście. Górna część schodów była ciemniejsza niż dolna. Żadne dalekie światło z pokoju dziennego nie sięgało tak daleko. Wchodziłem szybko i cicho. Serce nie pracowało na wolnych obrotach, było niezłe podkrecone, ale ze zdziwieniem poczułem, że wibracja nie osiągnęła maksimum. Za ledwie wczoraj nie wyobraziłbym sobie, że mogę przystosować się tak szybko do bezpośredniego zagrożenia. Zacząłem nawet rozpoznawać w sobie niepokojący entuzjazm, podniecenie w obliczu niebezpieczeństwa!

Czworo drzwi wychodziło na górny korytarz. Troje było zamknięte. Zza czwartych, najdalszych od schodów, biło łagodne światło. Nie podobało mi się, że mam minąć zamknięte pokoje nie sprawdzając, czy są puste. Oznaczałoby to, że narażam się na atak z tyłu.

Jednakże biorąc pod uwagę XP, a zwłaszcza to, jak szybko oczy pieką mnie i zachodzą łzami, gdy są narażone na jaskrawe światło, mógłbym przeszukać tamte przestrzenie tylko z pistoletem w jednej ręce, a latarką punktową w drugiej. Byłoby to niewygodne, czasochłonne i niebezpieczne. Za każdym wejściem do pokoju, bez względu jak nisko bym przykucnął i jak szybko się poruszał, latarka natychmiast ujawniłaby moją lokalizację każdemu napastnikowi, zanim znalazłbym go wąskim strumieniem światła.

Moim największym pragnieniem było wykorzystać własne silne punkty, to znaczy pozostać w ciemności, wtopić się w cieniu. Sunąc bokiem wzdłuż korytarza, rozglądając się w obu kierunkach nie wydawałem żadnego dźwięku, podobnie jak i ktoś przebywający w domu.

Drugie drzwi na lewo były minimalnie uchylone, a wąska struga światła niewiele mówiła, co jest dalej. Pchnąłem drzwi łufą pistoletu.

Główna sypialnia. Wygodna. Łóżko starannie zasłane. Wesoły kolorowy szal spoczywał na oparciu fotela, podnózek przykrywała złożona gazeta. Toaletka była zastawiona flakonikami na perfumy. Na jednym z nocnych stolików paliła się lampka. Żarówka nie dawała mocnego światła, które jeszcze przyćmiewał abażur z ułożonego zakładkowego materiału.

Nigdzie nie dostrzegłem Angeli.

Drzwi garderoby stały otwarte. Być może Angela weszła na górę, żeby coś stąd zabrać. Dostrzegłem jedynie wiszące ubrania i pudełka z butami.

Drzwi przylegającej do pokoju łazienki były uchylone, wewnątrz nie paliło się światło. Dla każdego, kto mógł się w niej znajdować, stanowiłem dobrze widoczny cel. Zbliżałem się ostrożnie obrócony bokiem. Celowałem w czarną dziurę między drzwiami i ościeżnicą. Pchnąłem drzwi. Otworzyły się bez oporu.

Jakaś woń powstrzymała mnie przed wejściem do środka.

Ponieważ światło lampki nocnej słabo rozjaśniało przestrzeń przede mną, wyjąłem z kieszeni latarkę. Promień światła odsłonił czerwoną kałużę na białych płytkach podłogi. Do ścian przykleiły się rozbryzgane skrzepy krwi tętnicznej.

Angela leżała na podłodze jak łachman, z głową odchyloną w tył, opartą o brzeg sedesu. Oczy miała szeroko otwarte i pozbawione wyrazu jak u zdechłej mewy, którą kiedyś znalazłem na plaży.

Na pierwszy rzut oka wyglądało, że wielokrotnie podejrzięto jej gardło żąbkowanym nożem. Nie potrafiłem przyjrzeć się temu dokładnie ani długo. Czułem nie tylko woń krwi. Angela umierając straciła kontrolę nad zwieraczami. Przeciąg pogrążył mnie w gęstym smrodzie.

Zauważyłem okno otwarte na całą szerokość. Nie było to typowe okienko łazienkowe, ale na tyle duże, że mogło zapewnić ucieczkę zabójcy, który musiał być obficie spryskany krwią ofiary. Może to Angela zostawiła okno otwarte. Jeśli poniżej był dach werandy, zabójca mógł tędy wejść i wyjść. Orson nie zaszczekał; to okno znajdowało się od frontu domu, a pies był z drugiej strony budynku.

Ręce Angeli zwisały po bokach, zagubione w rękawach swetra. Wyglądała tak niewinnie. Wyglądała na trzynaście lat.

Porażony bólem, nie mogąc opanować dreszczy, odwróciłem się. Nie ja przyszedłem tu z pytaniami. Nie ja doprowadziłem do tego, co się stało. To ona zadzwoniła do mnie i chociaż korzystała z telefonu komórkowego, ktoś dowiedział się i uznał, że trzeba ją uciszyć na zawsze i bezzwłocznie. Może ci bezimienni spiskowcy doszli do wniosku, że pod wpływem rozpaczyny stała się niebezpieczna. Porzuciła pracę w szpitalu. Doszła do wniosku, że nie ma po co żyć. I przerażało ją, że „staje się”, cokolwiek by to znaczyło. Była kobietą nie mającą niczego do stracenia, poza ich kontrolą. Zabiliby ją, nawet gdybym nie zareagował na telefon.

Jednak ogarnęło mnie poczucie winy. Tonąłem w zimnych prądach, pozbawiony oddechu, dyszałem bezradnie. Ogarnęły mnie mdłości, falowały w moich wnętrznościach jak tłuste oślizgłe węgorze, wspięły się w górę przetyku i niemal wskoczyły do gardła. Zacisnąłem szczęki, przełknąłem ślinę i zepchnąłem je w dół.

Chciałem wydostać się stamtąd, ale nie mogłem się poruszyć. Miażdżył mnie ciężar grozy i poczucia winy. Prawe ramię obciążone bronią zwisało jak lina sondy. Latarka zacisnięta w lewej dłoni rysowała na ścianie pogmatwane wzory. Nie rozumowałem jasno. Gęstwina myśli przewalała mi się w głowie jak splątane wodorosty w brudnej fali przyплиwu.

Zaterkotał telefon na bliższym stoliczku.

Nie zbliżyłem się do niego. Miałem przedziwne wrażenie, że dzwoni ten głęboko oddychający ktoś, kto zostawił wiadomość na sekretarce, i teraz wciągając powietrze spróbuje ukraść jakieś żywotne elementy mojego organizmu, jakby mógł wysssać i przewlec na drugi koniec linii telefonicznej samą duszę. Nie chciałem usłyszeć tego basowego, dziwnego, pozbawionego melodii mrużanda.

Chociaż aparat wreszcie zamilkł, natarczywe dzwonięcie wreszcie rozjaśniło mi w głowie. Wyłączyłem latarkę, wsunąłem ją do kieszeni, uniosłem pistolet ciężący w dłoni — i zdałem sobie sprawę, że ktoś włączył światło w górnym holu.

Poprzednio widząc otwarte okno i krew na ramie założyłem, że jestem w domu sam z trupem Angeli. Myliłem się. Intruz nadal był obecny — czekał na drodze do schodów.

Zabójca nie mógł wyslizgnąć się z łazienki przez sypialnię. Zostawiłby gęsty krwawy ślad na kremowym dywanie. Ale czemu miałby uciekać z górnego piętra, by natychmiast wracać parterowymi drzwiami lub oknem? Jeśli po ucieczce zmieniłby zdanie co do potencjalnego świadka, zdecydował się wrócić i pozbyć mnie, nie obwieszczałby przybycia włączając światło. Wolałby dopaść mnie z zaskoczenia.

Zmrużyłem oczy przed światłem i ostrożnie wysunąłem się na korytarz. Był pusty. Gdy wszedłem na górę, trzy pary drzwi były zamknięte. Teraz stały szeroko otwarte. Bił z nich oślepiający, groźny blask.

14

Cisza jak krew z rany sączyła się z parteru na korytarz piętra. Potem dobiegł mnie dźwięk, ale pochodził z zewnątrz; jęklive zawroźnienie wiatru pod okapem.

Wyglądało na to, że toczy się dziwna gra. Nie znałem jej zasad. Nie znałem przeciwnika. Byłem załatwiony.

Wyłączyłem światło i korytarz wypełniła uspokajająca fala cieni, przez co blask otwartych pokoi wydał się tym jaskrawszy.

Chciałem pobiec do schodów. Na dół, na dwór, byle dalej. Lecz tym razem nie śmiałem zostawić za sobą niesprawdzonych pokoi. Skończyłbym jak Angela, z poderżniętym gardłem, zaatakowany od tyłu.

Moją największą szansą na przeżycie było zachowanie spokoju. Trzeba logicznie myśleć. Zbliżyć się ostrożnie do każdych drzwi. Wyjść z domu krok po kroczku. Przez cały czas mieć pewność, że nikt nie może zaatakować mnie od tyłu.

Mniej mrużyłem oczy, pilniej nadśluchiwałem, nie usłyszałem niczego i podszedłem do drzwi naprzeciwko sypialni. Nie przekroczyłem progu, ale zatrzymałem się w cieniach, lewą dłonią jak daszkiem czapki chroniąc oczy przed bijącym ostrym światłem.

To byłby pokój syna lub córki Angeli, gdyby mogła mieć dzieci. Ale teraz znajdowała się tu pracownia, z szafką narzędziową z wieloma szufladami, wysokim barowym stołkiem w głębi, dwoma wysokimi stołami roboczymi ustawionymi w „L”. Tu spędzała czas poświęcając się swojemu hobby, robieniu lalek.

Szybko rozejrzałem się po korytarzu. Nikogo nie dostrzegłem.

Ruszaj się. Nie ułatwiał życia zabójcy — nakazywałem sobie w myślach.

Pchnąłem do oporu drzwi pracowni. Nikt się za nimi nie krył.

Wszedłem szybko do jasno oświetlonego pomieszczenia, ustawiając się bokiem do korytarza. Kontrolowałem obie strony.

Angela była znakomitym rzemieślnikiem, czego dowodziły lalki umieszczone na półkach etażerki w głębi pracowni. Przystroiła je w bogato zaprojektowane, nadzwyczaj starannie wykonane kostiumy, szyte przez nią samą; stroje kowboja i jego dziewczyny,

strój marynarski, strój balowy ze sztywnymi halkami... Jednakże cudem zręczności były twarze lalek. Wyrzeźbiła każdą główkę cierpliwie, z prawdziwym talentem i wypaliła w piecu stojącym w garażu. Niektóre miały glazurę matową. Inne lśniąco. Wszystkie pomalowała ręcznie z taką dbałością szczegółu, że twarze wyglądały jak prawdziwe.

Przez lata sprzedawała niektóre lalki, a wiele rozdała. Pozostałe były wyraźnie jej ulubienicami i nie mogła się zdobyć na rozstanie. Nawet w tych okolicznościach, przygotowany na pojawienie się psychopaty z ząbkowanym nożem, zauważyłem, że każda twarz była inna — jakby Angela nie tylko robiła lalki, ale z miłością wyobrażała sobie twarze dzieci, których nigdy nie nosiła w łonie.

Wyłączyłem sufitową lampę, zostawiając tylko oświetlenie robocze. W nagle rozświetlonych cieniach lalki jakby poruszyły się na półkach. Sprawiały wrażenie, że chcą zeskoczyć na podłogę. Ich namalowane oczy — jasne, z iskierkami odbitego światła, inne o przenikliwym mrocznym spojrzeniu — wydawały się czujne i uważne.

Miałem straszliwego pietra.

Ale to przecież tylko lalki. Nie mogły zrobić mi krzywdy.

Cofnąłem się na korytarz, skierowałem glocka na lewo, na prawo, jeszcze raz na lewo. Nikogo.

Następne drzwi prowadziły do łazienki. Gdy zmrużyłem powieki, broniąc się przed oślepiającym błyskiem porcelany, szkła, luster i złotych płytek, udało mi się zajrzeć w każdy kąt. Nikt tam nie czekał.

Sięgnąłem do wyłącznika. Za mną rozległ się jakiś hałas. Dochodził z głównej sypialni. Szybkie postukiwanie, jakby kłękami o drewno. Kątem oka dostrzegłem ruch.

Odwróciłem się w tamtym kierunku unosząc glocka dwuręcznym chwytem, jakbym, do diabła, znał się na tym, imitując Willisa, Stallone'a, Schwarzeneggera, Eastwooda i Cage'a z setki filmów „zabili go i uciekł”, jakbym faktycznie wierzył, że oni, do diabła, znali się na tym. Spodziewałem się ujrzeć ogromną postać, szalone oczy, uniesione ramię, spadający łukiem nóż, ale nadal byłem sam w korytarzu.

Ruch, który widziałem, to zamykanie od środka drzwi głównej sypialni. W malejącym trójkącie światła między skrzydłem i ościeżnicą czał się, wił, kulił wykręcony cień. Drzwi zatrzasnęły się z głuchym hukiem jak skarbiec bankowy.

Tamten pokój pozostał pusty, kiedy z niego wychodziłem, i nikt nie przeszedł obok mnie, odkąd znalazłem się na korytarzu. Mógł tam być tylko morderca — i tylko gdyby wrócił łazienkowym oknem z dachu werandy, na którym się ukrył, kiedy odkryłem ciało Angeli. Jednakże jeśli zabójca był już wcześniej w sypialni, nie mógł prześlizgnąć się za mną przed chwilą, by włączyć światła na korytarzu. Więc było dwóch intruzów. Znalazłem się w potrzasku.

Iść przed siebie czy cofnąć się? Parszywy wybór. I tu, i tam lądowałem w gnoju po szyję, a nie miałem nawet gumiaków.

Tamci oczekiwali, że pobiegnę do schodów. Ale bezpieczniej było zrobić coś niespodziewanego, więc bez wahania popędziłem do sypialni. Nie zawracałem sobie głowy gałką u drzwi, kopnąłem je, wylamując zasuwkę i wpadłem do środka trzymając glocka przed sobą, gotów wsadzić cztery albo pięć pocisków we wszystko, co się rusza.

Byłem sam.

Nocna lampka nadal się paliła.

Żadnych krwawych odcisków na dywanie, więc nikt nie mógł wejść jeszcze raz z zewnątrz do pochłapanej krwią łazienki, a potem wrócić, by zamknąć drzwi na korytarz. Mimo to sprawdziłem łazienkę. Tym razem zostawiłem latarkę w kieszeni, polegając na dopływie słabego światła z sypialni, bo nie potrzebowałem — ani nie chciałem — oglądać jeszcze raz wszystkich natarczywie narzucających się szczegółów. Mimo ciągle otwartego okna straszliwie śmierdziało. Kształt oparty o sedes to była Angela. Chociaż mrok zasłonił ją litościwie, widziałem rozdziawione, jakby w zdumieniu, usta, rozszerzone nieruchome oczy.

Odwróciłem się i popatrzyłem nerwowo przez otwarte drzwi na korytarz. Nikt nie szedł tu za mną. Ogłupiały wycofałem się na środek sypialni. Przeciąg z okna łazienki nie był na tyle silny, by zamknąć drzwi pokoju. Poza tym żaden przeciąg nie rzucał wykręconego cienia, który zauważyłem.

Chociaż przestrzeń pod łóżkiem mogła ukryć człowieka, byłby niewygodnie sprawowany między podłogą i sprężynami, a listwy pod materacem wpijałyby mu się w plecy. A zresztą i tak nikt nie wcisnąłby się do tej kryjówki, zanim kopnięciem otworzyłem drzwi pokoju.

Przez otwarte drzwi wyraźnie widziałem garderobę, w której raczej się nie ukrywał żaden intruz. Mimo to przyjrzałem jej się z bliska. Światło latarki ujawniło sufitowy właz na strych. Nawet gdyby krył składane schody, nikt nie miał takiej pajęczej zwinności, by wspiąć się na strych i ściągnąć je w te kilka sekund, które zabrało mi wybiegnięcie z korytarza.

Po obu stronach wezgłowia łóżka były okna z firankami. Sprawdziłem. Zamknięte od wewnątrz. Nie wyszedł tamtędy, ale ja mógłbym. Nie chciałem wracać korytarzem. Co raz zerkając na drzwi sypialni spróbowałem otworzyć okno. Spoiny futryn i ościeżnicy zamalowano farbą. To były francuskie okna z grubymi szprosami, więc wybicie szybki nic mi nie dawało, bo i tak nie mogłem wyjść na zewnątrz.

Stałem plecami do łazienki. Nagle poczułem się tak, jakby pająki lały mi wewnątrz kręgosłupa. Oczami wyobraźni ujrzałem za sobą Angelę, nie leżącą przy klozecie, ale powstałą, czerwoną, ociekającą krwią, z oczami jasnymi i płaskimi jak srebrne monety. Rana na szyi zagulgoce, gdy trup spróbuje przemówić.

Odwróciłem się, czując rozbiegane mrówki dzikiego przerażenia. Nie było jej za mną, ale oddech ulgi, który buchnął mi z płuc, dowodził, jak głęboko zagnieżdżyła się we

mnie ta upiorna wizja. I gnieździła się nadal; oczekiwałem, że leżąca w łazience Angela z hałasem zerwie się na nogi. Strach o własne życie był teraz większy, niż ból spowodowany jej śmiercią. Angela przestała być dla mnie osobą. Była stworem, samą śmiercią, potworem, którego wizerunek nokautującym ciosem przypominał mi, że wszyscy kiedyś umrzemy i zamienimy się w gnój i proch. Ze wstydem przyznam, że nienawidziłem jej trochę, bo czułem się zobowiązany przyjść na górę i udzielić jej pomocy, nienawidziłem za to, że włożyła mnie w to imadło, nienawidziłem samego siebie za to, że nienawidziłem jej, mojej kochającej pielęgniarki, nienawidziłem za to, że doprowadziła mnie do nienawidzenia samego siebie.

Czasem nie ma mroczniejszego miejsca niż wylęgarnia własnych myśli; bezksiężycowa północ umysłu.

Dłonie miałem lepkie. Kolba pistoletu była śliska od zimnego potu.

Przestałem ścigać duchy i niechętnie wróciłem na korytarz. Czekala na mnie lalka.

To był jeden z największych egzemplarzy, znajdujący się na półkach w pracowni Angeli, ponad półmetrowy. Siedziała na podłodze z rozrzuconymi nogami, zwrócona do mnie twarzą. Padało na nią światło z otwartych drzwi jedyne go pokoju, którego jeszcze nie sprawdziłem, tego naprzeciw korytarzowej łazienki. Ręce wyciągnęła przed siebie, jakby coś w nich trzymała.

To było niedobre.

Kiedy widzę coś niedobrego, wiem, co widzę, a to było na pewno, całkowicie, ze szczętem niedobre.

W filmach taki zwrot w akcji, pojawienie się lalki tego rodzaju, nieuchronnie poprzedza dramatyczne wkroczenie naprawdę wielkiego faceta mającego wrogie zamiary. Naprawdę wielkiego faceta w superowej masce hokejowej. Albo w kapturze. Dźwigałby jeszcze bardziej superową piłę łańcuchową lub kuszę na sprężone powietrze, a w razie ochoty na coś bardziej niewyrafinowanego, machałby siekierą odpowiednią do ścięcia łba *tyrannosaurus rex*a.

Zajrzałem do pracowni, nadal w połowie oświetlonej lampą roboczą. Nie czaił się tam żaden intruz.

Dalej. Do korytarzowej łazienki. Była w dalszym ciągu opuszczona. Musiałem skorzystać z toalety. Pora niezbyt odpowiednia. Dalej.

Teraz do lalki. Miała na sobie czarne skórzane kamaszki, czarne dzinsy i czarny T-shirt. Przedmiot, który trzymała w rękach, to była granatowa czapka z dwoma słowami wyszytymi rubinową nitką nad daszkiem: „Pociąg Tajemnica”.

Przez chwilę myślałem, że czapka jest podobna do mojej. Potem zorientowałem się, że to moja czapka, zostawiona na kuchennym stole.

Patrzyłem to na szczyt schodów, to na otwarte drzwi jedyne go pomieszczenia, którego nie przeszukałem; spodziewając się kłopotów stąd lub stamtąd, wyrwałem czapkę z drobnych porcelanowych rączek. Nałożyłem na głowę.

W odpowiednim świetle i okolicznościach każda lalka może mieć niesamowity albo złowieszczy wyraz. Tu było inaczej, gdyż rysy jej niewypolerowanego oblicza nie wydawały mi się szpetne, a jednak czułem, jak marszczy mi się skóra na karku.

Nie wystraszyła mnie obecność lalki, ale coś zupełnie innego: miała moją twarz. Ukształtowano ją na moje podobieństwo.

Byłem jednocześnie wzruszony i ogarnięty niewytłumaczalnym lękiem. Angela na tyle mnie lubiła, że starannie wyrzeźbiła moją twarz, upamiętniła mnie z miłością w jednej ze swoich kreacji i zachowała na półce z ulubienicami. Jednakże niespodziewane zobaczenie takiego wizerunku własnej osoby budzi prymitywne lęki — jakbym dotykając owego fetysza w jednej chwili doprowadzał do uwięzienia w nim swojego umysłu i duszy, podczas gdy jadowity duch, poprzednio ubezwłasnowolniony w lalce, wydostawał się, by zamieszkać w moim ciele. Złośliwie rozradowany uwolnieniem nawiedzałby noc w moim imieniu, rozbijając czaszki dziewic i zjadając serca niemowląt.

W normalnych chwilach — jeśli takie chwile się zdarzają — jestem obdarzony niezwykle żywą wyobraźnią. Bobby Hallowsy mówi z pewnym szyderstwem, że mam w głowie „cyrk z trzystoma arenami”. Niewątpliwie jest to cecha odziedziczona po mamie i tacie, którzy byli na tyle inteligentni, że widzieli, iż niewiele da się poznać, na tyle dociekliwi, by nigdy nie przestać się uczyć, i na tyle lotni, by zrozumieć, że we wszystkich istotach i wydarzeniach tkwią nieskończone możliwości. Kiedy byłem dzieckiem, czytali mi A. A. Milne’a i Beatrix Potter, ale też przekonani, że jestem nad wiek rozwinięty — Donalda Justice’a i Wallace’a Stevensa. Stąd w mojej wyobraźni zawsze kłębiły się obrazki z dzieł tych twórców: od dziesięciu różowych paluszków u nóg Timothy Tima do ciem podrygujących we krwi. W niezwykłych chwilach — takich jak noc kradzieży trupów — mam nazbyt żywą wyobraźnię, żeby mogło mi to wyjść na dobre, a w cyrku z trzystoma arenami w mojej głowie wszystkie tygrysy zabijają treserów i wszyscy klauni ukrywają rzeźnickie noże i złe serca pod workowatymi bluzami.

Dalej!!!

Jeszcze jeden pokój. Sprawdzić, pilnować się przed atakiem z tyłu i prosto na dół schodami. Przesądnie unikając kontaktu z lalką sobowtórem, ominąłem ją szerokim łukiem i skierowałem się do otwartych drzwi pokoju naprzeciwko. Gościenna sypialnia, z prostotą urządzona.

Nasunąłem czapkę głębiej na czoło i mrużąc oczy przed natarczym blaskiem górnej lampy penetrowałem pomieszczenie; nie wykryłem intruza. Łóżko miało boczne listwy i oparcie nóg, za które założono kapę, tak że przestrzeń pod skrzynią była widoczna. Zamiast toaletki stała długa komoda z szufladami oraz potężna szafa z parą szuflad obok siebie i wysokimi drzwiami nad nimi. Szafa była na tyle głęboka, że ukryłaby dorosłego mężczyznę z piłą łańcuchową albo bez niej.

Czekała na mnie kolejna lalka. Siedziała na środku łóżka wyciągając ramiona, ale przez całun jasności nie widziałem, co trzyma w różowych dłoniach.

Wyłączyłem górne światło. Jedna czynna nocna lampka wskazywała mi drogę. Cofnąłem się do gościnnego pokoju, gotowy otworzyć ogień z pistoletu do każdego, kto pojawiłby się w korytarzu. Szafa majaczyła na krawędzi mojego pola widzenia. Gdyby drzwi się otwały, nie potrzebowałem nawet laserowego celownika, by podziurawić ją 9-milimetrowymi pociskami.

Dopałem do łóżka, by przyrzeć się lalce. Na każdej odwróconej dłoni było oko. Nie malowane ręcznie. Nie szklane wyjęte z szafki z gotowymi elementami rzemieślnika. Ludzkie oko.

Drzwi szafy wisiały na grubych zawiasach.

W korytarzu poruszał się tylko czas.

Zamarłem, jak prochy w urnie, ale wewnątrz mnie życie trwało dalej. Serce waliło mi jak nigdy przedtem, nie stukało przyjemnie — szalało. Panika gnała mi żyłami, jak zwierzątko w kołowrotku.

Kolejny raz popatrzyłem na gałki oczne trzymane w tych wyciągniętych ofiarnym gestem porcelanowych rączkach — nabiegłe krwią oczy, mleczone i wilgotne, zaskakujące i zaskoczone w bezpowiekowej nagości. Wiem, że jedna z ostatnich rzeczy, które widziały, to biały van, zjeżdżający na pobocze w odpowiedzi na gest kciuka. A potem mężczyznę z ogoloną głową i perłą w uchu.

Jednak nie byłem pewien, że tu i teraz, w domu Angeli mam do czynienia z tym samym łysym mężczyzną. Ta zabawa była nie w jego stylu, to drażnienie się, ta gra w chowanego. W jego stylu było niewątpliwie szybkie, okrutne, gwałtowne działanie.

Tu miałem wrażenie, że trafiłem do uzdrowiska dla socjopatycznej młodzieży, w którym psychicznie nie zrównoważone dzieci okrutnymi sposobami pokonały strażników i gdy wolność uderzyła im do głowy, wzięły się do zabawy. Prawie słyszałem ukryty śmiech w innych pokojach; srebrzyste dzwonki makabrycznych śmieszek, zduszone lodowatymi rączkami.

Nie potrafiłem zdobyć się na otwarcie szafy.

Przyjechałem tu pomóc Angeli, ale nie było dla niej pomocy ani teraz, ani nigdy. Chciałem tylko zejść na dół, wyjść na dwór, wsiąść na rower i odjechać gdziekolwiek, byle daleko.

Ruszyłem do drzwi. Zgasły światła. Ktoś wyłączył bezpieczniki.

Ciemność była tak nieprzenikniona, że nawet ja nie przywitałem jej radośnie. Na oknach wisiały gęste zasłony i mleczone światło księżycy nie potrafiło znaleźć szczeliny, przez którą mogłoby się wlać. W czerni zaległa czern.

Po omacku szedłem w stronę drzwi. W pewnej chwili zboczyłem, przekonany, że ktoś jest na korytarzu i na progu dostanę pchnięcie ostrą klingą. Słuchałem przyklejony plecami do ściany sypialni. Wstrzymywałem oddech, ale nie mogłem uciszyć serca, które tłuło jak końskie kopyta na bruku, jak spłoszona parada hippiczna!; czułem się zdradzony przez własne ciało.

Jednak spoza huczącej lawiny serca dosłyszałem skrzyp potężnych zawiasów. Drzwi szafy otwierały się.

Jezu!!!

To była modlitwa, nie przekleństwo. A może jedno i drugie.

Trzymając glocka dwuręcznym chwytem, wycelowałem znów tam, gdzie, jak sądziłem, stała wielka szafa. Po zastanowieniu skierowałem wylot lufy dziesięć centymetrów w lewo. Tylko po to, aby natychmiast skierować ją z powrotem w prawo.

Absolutna ciemność powodowała dezorientację. Chociaż przekonany, że trafię w szafę, nie mogłem być pewien, że właduję kulę dokładnie w środek przestrzeni nad szufladami. Pierwszy strzał musiał być celny, ponieważ błysk z lufy wyjawiał moją pozycję.

Nie mogłem ryzykować serii strzałów na lewo i prawo. Chociaż grad kul zapewne wykończyłby tego bezimiennego drania, była szansa, że tylko go zranię, i mniejsza, ale nadal bardzo realna szansa, że tylko go wkurzę.

Kiedy magazynek pistoletu opustoszeje... co wtedy?

Co wtedy???

Przesunąłem się bokiem na korytarz, ryzykując spotkanie, ale nie nastąpiło. Przechodząc przez próg zamknąłem za sobą drzwi, oddzielając się od tego kogoś, kto wyszedł z szafy — zakładając, że skrzyp zawiasów nie był moim omamem słuchowym.

Światła parteru najwyraźniej miały własny obwód. Blask idący przez klatkę schodową docierał do końca czarnego korytarza.

Nie sprawdzając, kto — jeśli ktoś tam był — wypadnie z pokoju gościnnego, pobiegłem do schodów.

Za plecami usłyszałem odgłos otwieranych drzwi.

Dysząc zbiegłem po dwa stopnie. Byłem prawie na półpiętrze, kiedy obok przeleciała miniaturka mojej głowy. Roztrzaskała się o ścianę przede mną. Zaskoczony uniosłem rękę, zasłaniając oczy. Porcelanowy szrapnel rozłożył się tatuażem na mojej twarzy i piersiach. Prawa stopa wylądowała na listwie obiegającej krawędź stopnia i ześlizgnęła się. Prawie się wywróciłem, poleciałem w przód uderzając o ścianę półpiętra, ale utrzymałem równowagę.

Miażdżąc stopą odłamki mojej porcelanowej twarzy, błyskawicznie odwróciłem się, gotów stawić czoło napastnikowi.

W dół leciało zdekapitowane ciało lalki, ubrane jak należy w pozbawioną ozdóbek czern. Uchyliłem się i przeleciało mi nad głową, uderzyło o ścianę za moimi plecami.

Gdy spojrzałem na ciemny szczyt schodów celując tam z pistoletu, nie było do kogo strzelać — jakby lalka oderwała sobie głowę, rzuciła nią we mnie, a potem cisnęła samą siebie na schody.

Światła parteru zgasły.

W groźnej czerni rozeszła się woń spalenizny.

15

Wymacując drogę w nieprzeniknionej ciemności wreszcie znalazłem poręcz. Spoconą ręką złapałem się gładkiego drewna i ruszyłem w dół. Gdy szedłem, czerń falowała dziwnie, jakby zwijała się i wiła wokół mnie. Potem zdałem sobie sprawę, że czułem powietrze, nie ciemność; wężowe prądy ciepłego powietrza unosiły się klatką schodową.

W chwilę potem macki, czułki, a wreszcie masa cuchnącego dymu wylała się z dołu na klatkę schodową, niewidzialna, ale obejmując mnie, jak jakiś gigantyczny morski anemon mógłby objąć nurka. Kaszlałem, dusiłem się, walczyłem o oddech. Zmieniłem kierunek z nadzieją, że ucieknę przez okno piętra, chociaż nie przez sypialnię. Wróciłem na półpiętro i wdrapałem się kilka stopni w górę; stanąłem jak wryty. Oczy piekły mnie od dymu, ale przez łzy — i całun dymu — zobaczyłem w górze pulsujące światło.

Ogień.

Ogień podłożono w dwóch miejscach, na górze i na dole. Te niewidoczne, chore psychicznie dzieci przystąpiły do swojej szaleńczej zabawy. Wyglądało na to, że jest ich wiele. Przypomniał mi się pluton poszukiwaczy, który, zdawało się, wyskoczył spod ziemi przy zakładzie pogrzebowym, jakby Sandy Kirk miał władzę wzywania zmarłych z grobów.

Kolejny raz szybko skierowałem się w dół, wiedziony jedyną nadzieją zaczerpnięcia odżywczego powietrza. Znajdę je, jeśli w ogóle mi się to uda, w najniższym punkcie budowli, ponieważ dym i wyziewy unoszą się, podczas gdy pożar zasysa z dołu chłodniejsze powietrze, żeby mieć się czym karmić.

Każdy wdech wywoływał spazm kaszlu, pogłębiając wrażenie duszenia się i potęgując panikę, więc wstrzymałem oddech, aż doszedłem do holu. Tam upadłem na kolana, wyciągnąłem się na podłozie i odkryłem, że mogę oddychać. Powietrze było gorące i cuchnęło kwasem, ale jako że wszystko jest względne, smakowało mi stokroć bardziej niż ostry świeży powiew napływający z nad tarki Pacyfiku.

Nie spocząłem oddając się respiracyjnej orgii. Zwlekałem na tyle długo, by zaczerpnąć kilka głębokich oddechów, które oczyściły zatłoczone płuca, i zebrać na tyle śliny w ustach, by wypluć trochę sadzy.

Podniosłem głowę próbując powietrza i sprawdzając, jak wysoko sięga cenna strefa. Niewysoko. Od dziesięciu do piętnastu centymetrów. Jednak ta płytka warstwa powinna wystarczyć, by podtrzymać mnie przy życiu, gdy będę szukał drogi wyjścia z domu.

Oczywiście tam, gdzie zajęła się wykładzina, nie będzie żadnej bezpiecznej warstwy powietrza.

Światła nadal się nie paliły, dym był oślepiająco gęsty, a ja czołgałem się, gorączkowo zmierzając w kierunku, w którym, jak mi się wydawało, były frontowe drzwi — najbliższe wyjście. W mroku wpadłem na kanapę. Tak przynajmniej oceniłem na podstawie dotyku. Znaczyło to, że minąłem łukowate przejście między pomieszczeniami i znalazłem się w pokoju dziennym, przynajmniej dziewięćdziesiąt stopni od kursu, którym, jak sądziłem, podążałem.

Świetliste oranżowe pulsowanie przebiegło warstwą stosunkowo czystego powietrza nad podłogą, podświetlając skłębione masy dymu, jakby były to groty błyskawic czyhające nad równiną. Z mojej nadwykładzinowej perspektywy włókna beżowego nylonu prężyły się jak szerokie pole suchej trawy, kapryśnie rozjaśnione elektrycznymi wyładowaniami. To wąskie życiodajne królestwo pod dymem wydawało się innym światem, w który wpadłem przez jakieś drzwi między wymiarami.

Złowieszcze błyski były odbiciami pożaru w innym miejscu pokoju, ale nie rozjaśniały na tyle mroku, by pomóc mi znaleźć drogę wyjścia. Stroboskopowe migotanie tylko zwiększało dezorientację i wystraszyło mnie jak diabli. Tak długo, jak nie widziałem łuny, wmawiałem sobie, że płonie daleki kąt domu. Teraz nie mogłem już uciec w samooszukiwanie. Przy tym odbity blask pożaru nic mi nie dawał, bo nie potrafiłem ocenić, czy płomienie są o centymetry czy decymetry, tak że światło zwiększało mój niepokój, nie dostarczając wskazówek.

Wdychanie dymu albo miało gorszy skutek, niż zdawałem sobie z tego sprawę, bo zniekształcało poczucie czasu, albo pożar rozprzestrzeniał się z niezwykle szybką szybkością. Zapewne podpalacze użyli przyspieszacza, może benzyny.

Zdecydowany wrócić do holu, a potem wyjść frontowymi drzwiami, rozpaczliwie wciągałem coraz bardziej gryzące powietrze, wbijałem łokcie w wykładzinę, podciągając się, objając o meble, aż walnąłem solidnie w ceglane obramowanie paleniska kominka. Maksymalnie oddaliłem się od holu, a raczej nie wczołgałbym się do paleniska i kominem w górę jak święty Mikołaj, powracający do sań.

Miałem zawroty głowy. Ból rozsadzał mi czaszkę skośną linią od lewej brwi do nasady włosów po prawej. Oczy gryzł dym i skórę zalewał słony pot. Już nie kaszlałem, ale dusiłem się ostrymi wyziewami, które nasączały nawet najczystsze powietrze przy podłodze. Pomyślałem, że chyba nie przeżyję.

Za wszelką cenę starałem się przypomnieć sobie usytuowanie kominka w stosunku do przejścia do holu, pełzłem wzdłuż krawędzi paleniska, a potem kolejny raz skręciłem w głąb pokoju.

To, że nie mogę znaleźć wyjścia, wydawało mi się absurdalne. Na litość boską, to nie była rezydencja, nie zamek, jedynie skromny dom. Miał siedem pokoi, z których żaden nie był wielki, oraz dwie i pół łazienki. Nawet najsprytniejszy pośrednik sprzedaży nieruchomości nie potrafiłby tak go opisać, by stworzyć wrażenie, że księżę Walii i jego świta mieliby gdzie się tu rozpierzchnąć.

Od czasu do czasu w wieczornych wiadomościach są relacje o ludziach ginących w pożarach i nigdy do końca nie wiadomo, czemu nie udało im się dobiec do drzwi lub okna, kiedy jedna bądź druga osoba znajdowała się, a jakże, w odległości kilkunastu kroków. Chyba że oczywiście ofiary były pijane. Albo pod wpływem narkotyków. Albo na tyle głupie, że biegły z powrotem w płomienie ratować Mufkę, koteczkę, chociaż ta uwaga może wydać się niewdzięcznością z mojej strony, po tym, jak sam w pewnym sensie zostałem tej nocy wyratowany przez kota. Ale teraz zrozumiałem okoliczności tych śmiertelnych wypadków: dym i kłębiące się ciemności powodowały dezorientację, działając silniej niż narkotyki czy woda, a im dłużej wdychałeś skażone powietrze, tym bardziej otępiały był twój umysł, myślenie stawało się chaotyczne, a narastająca panika uniemożliwiała skupienie.

Gdy po raz pierwszy wchodziłem po schodach, byłem zdumiony własnym spokojem i koncentracją, mimo świadomości bezpośredniego zagrożenia. A przy tłustej miarce męskiej dumy, tak sycącej jak kubek majonezu, serce nawet wezbrało mi niepokojącym entuzjazmem wobec niebezpieczeństwa!

Jaką różnicę potrafi sprawić dziesięć minut. Teraz, gdy brutalnie uświadomiono mi, że nigdy nie dorównam tym sytuacjom, nawet z połową zimnej krwi Batmana, zew niebezpieczeństwa stracił wabiącą moc.

Nagle coś wypęzło z posępnej czerni, otarło się o mnie i obwęchało mi kark, podbródek; coś żywego! W trzystuarenowym cyrku mojej wyobraźni ujrzałem Angelę Ferryman, jak reanimowana przez jakieś złe voodoo zbliża się ku mnie wijąc po podłodze i kładzie zimne, krwawe pocałunki na gardle. Brak tlenu stawał się tak dotkliwy, że nawet ten koszmarny obraz nie wstrząsnął mną na tyle, bym zaczął trzeźwiej myśleć i odruchowo nacisnąłem spust pistoletu.

Dzięki Bogu wypaliłem niecelnie, bo równo z tym, jak trzask wystrzału rozszedł się echem po pokoju, zdałem sobie sprawę, że zimny nos na gardle i ciepły jęzor w uchu należą do mojego jednego, jedyne go psa, mojego wiernego towarzysza, mojego Orsona.

— Cześć, przyjacielu — powiedziałem, z tym że był to tylko pozbawiony sensu skrzek.

Polizał mnie po twarzy. Cuchnął psio, ale naprawdę nie miałem o to do niego pretensji.

Czerwone światło pulsowało jaśniej niż kiedykolwiek. Mrugałem wściekle, by odzyskać jasność widzenia, ale i tak zdołałem dojrzeć tylko zamazany wizerunek kudłatego łba przyciśniętego do podłogi przede mną.

Wtem zdałem sobie sprawę, że jeśli on zdołał wejść do domu i mnie znaleźć, mógłby pokazać mi drogę wyjścia, zanim pożar nas dopadnie i zaczniemy wydzielać smród płonącego dżinsu i kudłów. Zebrałem w sobie tyle sił, aby podnieść się na drżących nogach. Tamten uparty węgorz wymiotów znów podpłynął mi do gardła, ale jak poprzednio przełknąłem ślinę, spychając go w dół.

Zacisnąłem mocno powieki. Staralem się nie myśleć o fali intensywnego żaru, która nagle mnie objęła. Sięgnąłem w dół i złapałem grubą skórzaną obrożę Orsona, co poszło mi łatwo, gdy przyciskał mi się do nogi. Trzymał pysk przy podłodze, gdzie mógł lepiej oddychać i ignorując łaskoczący nozdrza dym, wyprowadził mnie z pokoju jak pies przewodnik. Wepchnął mnie na tak niewiele mebli, jak tylko potrafił, i nie mam żadnych podejrzeń, że zabawiał się w samym środku tragedii i sceny grozy. Kiedy walnąłem twarzą w ościeżnicę drzwi, nie wybiłem sobie zębów. Podczas tej krótkiej podróży wielokrotnie dziękowałem Bogu, że doświadczył mnie raczej XP niż ślepotą. Właśnie kiedy myślałem, że zaraz zemdleję, jeśli nie upadnę na podłogę i nie zaczerpnę trochę powietrza, poczułem na twarzy zimny przeciąg, a kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem otoczenie. Byliśmy w kuchni, do której pożar jeszcze nie dotarł. Nie było tu też dymu, bo powiew wpadający tylnymi drzwiami pchał ogień do jadalni.

Na stole zauważyłem wotywny świeczki w zniczach z rubinowego szkła, kieliszki i otwartą butelkę morelowego likieru. Patrzyłem z niedowierzaniem, nie mogłem wprost uwierzyć, że wydarzenia ostatnich chwil nie były tylko koszmarnym snem, i że Angela wciąż tonąc w mężowskim swetrze nie siedzi tu ze mną, nie dolewa sobie trunku i nie kończy dziwnej opowieści.

Usta miałem tak wyschnięte i pełne wstrętnego smaku, że mało brakowało, a wziąlbym ze sobą butelkę. Jednak Bobby Halloway będzie miał piwo i ono posłuży mi znacznie lepiej.

Zobaczyłem, że zasuwę w kuchennych drzwiach była cofnięta. Orson był sprytny, ale nie na tyle, by otworzyć zamek i udzielić mi pomocy. Przede wszystkim nie miał klucza. Najwyraźniej zabójcy uciekli tą drogą.

Na dworze porządziłem jakiś czas, pozbywając się ostatnich śladów dymu z płuc. Wepchnąłem glocka do kieszeni. Nerwowo rozejrzałem się po ogródku, wypatrując nastupników, ocierałem spocone dłonie o spodnie.

Cienie chmur przemknęły po rozjaśnionym księżycem trawniku jak ławice ryb pod srebrną powierzchnią stawu. Poza tym nic się nie poruszało z wyjątkiem wstrząsanej wiatrem roślinności.

Złapałem rower i poprowadziłem go przez patio w kierunku żywego tunelu. Popatrzyłem na dom, zdumiony, że nie jest całkowicie ogarnięty płomieniami. Z zewnątrz widać było jedynie drobne oznaki pożaru, rozprzestrzeniającego się na kolejne pokoje; jasne winoroślą płomieni rozdwajały się na zasłonach dwóch górnych okien, białe płatki dymu rozkwitały z otworów wentylatorów w okapach.

Poza łoskotem i pomrukiem zmiennego wiatru noc była nienaturalnie cicha. Moonlight Bay nie jest dużym miastem, jednak zwykle ma wyraźne nocne brzmienie — odgłosy dają jadące samochody, daleka muzyka z baru lub dzieciak ćwiczący na gitarze na werandzie, szczekający pies, rozmowy spacerowiczów, śmiech młodzieży z liceum zbierającej się przy sali gier Millenium, w dole, przy Embarcadero Way, od czasu do czasu melancholijny gwizd pociągu pasażerskiego Amtracka lub skład towarowy dojeżdżający do skrzyżowania przy Ocean Avenue... Jednakże nie w tej chwili i nie tej nocy. Równie dobrze moglibyśmy się znajdować w najbardziej martwym zakątku upiornego miasteczka na pustyni Mojave.

Wyglądało na to, że trzask wystrzału w pokoju dziennym nie rozszedł się tu na tyle głośno, aby zwrócić czyjąś uwagę.

Prowadziłem rower w ażurowym tunelu, chłonąc słodką woń jaśminu. Łóżyska kół dźwięczały cicho, serce waliło mi nie-cicho, gdy szedłem za Orsonem do frontowej furtki. Podskoczył i otworzył łapą zasuwę. Widziałem już wcześniej tę sztuczkę. Razem pokonaliśmy ścieżkę do ulicy idąc szybko, ale nie biegiem.

Mieliśmy szczęście; żadnych świadków. Żadnego ruchu ulicznego. I żadnych pieszych.

Gdyby jakiś sąsiad zobaczył mnie wybiegającego z domu, właśnie gdy budynek stał w płomieniach, szef Stevenson miałby pretekst, aby zacząć mnie szukać. Aby mnie zastrzelić, kiedy stawiałbym opór podczas aresztowania. Bez względu na to, czy stawiałbym go, czy nie.

Wsiadłem na rower i trzymając nogę na chodniku obejrzałem się na dom. Wiatr trzął liśćmi. Przez gałęzie wielkich magnolii widziałem ogień skaczący do górnych i dolnych okien.

Pełen żalu i podniecenia, ciekawości i grozy, smutku i zdumienia pojechałem wzdłuż chodnika, kierując się do słabiej oświetlonej ulicy. Orson głośno dysząc pędził u mojego boku.

Dochodziliśmy do najbliższej przecznicy, gdy usłyszałem huk; eksplodowały okna, wypychane nieznośnym żarem.

16

Gwiazdy między gałęziami, światło księżyca filtrowane liśćmi, gigantyczne dęby, kojąca ciemność, cisza nagrobków — i dla jednego z nas nieustannie intrygujący zapach ukrytych wiewiórek. Znajdowaliśmy się znów na cmentarzu przylegającym do katolickiego kościoła pod wezwaniem św. Bernadetty.

Mój rower był oparty o granitowy nagrobek zwieńczony aniołem z aureolą nad głową. Siedziałem — bez aureoli — oparty plecami o inny kamień mający na szczycie krzyż.

Nie przejechałem całej drogi do Bobby'ego Hallowaya, bo dostałem niepohamowanego ataku kaszlu, który uniemożliwił mi kierowanie rowerem. Orson też biegł coraz marniej, gdy pozbywał się seriami gwałtownych kichnięć upartego smrodu pożaru.

Teraz w towarzystwie tłumu zbyt martwego, by mógł czuć się obrażony, odchrząknąłem pełną sadzy flegmą i wyplułem ją między poskręcane powierzchniowe korzenie najbliższego dębu z nadzieją, że nie zabijam tego potężnego drzewa, które przeżyło dwa wieki trzęsień ziemi, burz, pożarów, insektów, chorób i — ostatnio — pasji Ameryki do wznoszenia na każdym rogu minipasaży handlowych. Smak w ustach nie różniłby się, gdybym zjadł pierożki z węglem drzewnym w barszczyku z podpałki grillowej.

Przebywając w płonącym domu krócej niż jego nierozważny pan, Orson doszedł do siebie szybciej. Zanim ja uporałem się z odchrząkiwaniem i wypluwaniem, on już biegał między najbliższymi grobami, starannie tropiąc puszyste ogoniaste gryzonie.

Pomiędzy atakami odchrząkiwania i wypluwania mówiłem do Orsona, jeśli się pojawia, i chwilami unosił szlachetny czarny łeb udając, że słucha. Od czasu do czasu machał ogonem, co miało mnie zachęcić, chociaż często nie potrafił oderwać uwagi od zapachów wiewiórek.

— Do diabła, co wydarzyło się w tamtym domu? — pytałem. — Kto zabił Angelę, dlaczego bawili się ze mną, jaki sens miała ta historia z lalkami, czemu po prostu nie poderżnęli mi gardła?

Orson potrząsnął łbem i zrobiłem sobie zabawę z interpretowania jego odpowiedzi. Nie wiedział. Potrząsnął głową w zdumieniu. Bezradny. Był bezradny. Nie wiedział, dlaczego nie poderżnęli mi gardła.

— Nie wydaje mi się, że to z powodu glocka. Chcę powiedzieć, że było ich więcej niż jeden, przynajmniej dwóch, prawdopodobnie trzech, więc gdyby chcieli, pokonaliby mnie. I chociaż poderżnęli gardło Angeli, musieli mieć broń palną. Chcę powiedzieć, że to naprawdę dranie, nieprawdopodobnie zdeprawowani zabójcy. Wyłupiają ludziom oczy dla samej zabawy. Nie mieliby skrupułów z użyciem broni, więc nie przstraszyliby się glocka.

Orson przekrzywił łeb, rozważał problem. „Może to glock. Może nie. A może jednak tak. Kto wie? A zresztą, co to glock? A co to za zapach? Taki zdumiewający zapach. Taka cudowna woń. Czy to wiewiórcze szczyny? Proszę wybaczyć, panie Snow. Ważne sprawy. Tu mam ważne sprawy do załatwienia”.

— Nie wydaje mi się, że podpalili dom chcąc mnie zabić. Naprawdę nie zależało im na tym. Gdyby było inaczej, wykonaliby bezpośrednią akcję. Podłożyli ogień, żeby zamaskować zamordowanie Angeli. To jedyna przyczyna.

„Niuch, niuch, niuch-niuch-niuch”. Precz resztki zepsutego powietrza płonącego domu, witaj odświeżający zapachu wiewiórki. Precz zło, witaj dobro.

— Boże, ona była taka dobra, tak ofiarna — powiedziałem z goryczą. — Nie zasłużyła na taką śmierć, w ogóle nie zasłużyła na śmierć.

Orson przerwał niuchanie, ale tylko na krótko. „Ludzkie cierpienie. Straszne. Straszna sprawa. Niedola, śmierć, rozpacz. Ale nic nie dało się poradzić. Nic nie dało się na to poradzić. Taki jest świat, natura ludzkiej egzystencji. Straszne. Chodź, wachaj ze mną wiewiórki, panie Snow. Poczujesz się lepiej”.

Klucha urosła mi w gardle, nie piekący żal, ale coś bardziej prozaicznego, więc odchrząknąłem z gruźliczą gwałtownością i wreszcie rozpląszczyłem czarną rozgwiadę między konarami drzewa.

— Ciekawe, czy gdyby Sasza tu była — powiedziałem — czy w tej chwili tak bardzo przypominałbym jej Jamesa Deana?

Twarz miałem zatłuszczoną i napuchniętą. Otarłem ją dłonią, która również była zatłuszczona.

Cienie potrząsanych wiatrem liści tańczyły jak cmentarne elfy na cienkiej trawie rosnącej na grobach i na wypolerowanych granitowych płytach.

Nawet w tym szczególnym świetle widziałem, że dłoń, którą położyłem na twarzy, była posmarowana sadzą.

— Muszę cuchnąć pod same niebiosy.

Orson natychmiast stracił zainteresowanie wiewiórczymi zapachami i chętnie podbiegł do mnie. Energicznie obwąchał moje buty, nogi, tors, a wreszcie wsadził mi nos pod pachę.

Czasami podejrzewam, że Orson nie tylko rozumie więcej, niż spodziewalibyśmy się tego po psie, ale ma poczucie humoru i smykałkę do okazywania sarkazmu.

Na siłę wyciągnąłem jego nos spod pachy. Przytrzymując psi łeb obiema rękami, powiedziałem:

— Sam nie jesteś różyczką, przyjacielu. A w ogóle co z ciebie za pies obronny? Może tamci byli już w domu, kiedy się pojawiłem, i Angela o tym nie wiedziała. Ale dlaczego nie pogryzłeś im tyłków, kiedy wychodzili? Jeśli uciekali kuchennymi drzwiami, to przechodzili ci przed samym nosem. Czemu nie znalazłem bandy opryszków wijących się w ogrodzie, wypluwających flaki i wyjących z bólu?

Orson wytrzymał spokojnie mój wzrok, a patrzyłem mu głęboko w oczy. Wstrząsnęło nim pytanie, ukryte oskarżenie. Naprawdę wstrząsnęło. Był psem nastawionym pokojowo. Psem pełnym pokoju, tak. Ścigaczem gumowych piłeczek, lizaczem twarzy, filozofem i wesołym kompanem. „Poza tym, panie Snow, miałem za zadanie zapobiec wejściu złoczyńców do domu, nie wyjściu. Dobrej podróży, złoczyńcy. A kto chce ich mieć pod bokiem? Złoczyńców i pchły. Dobrej podróży”.

Siedząc nos w nos z Orsonem i wpatrując mu się w oczy poczułem, jak ogarnia mnie wrażenie niesamowitości — a być może było to przelotne szaleństwo — i przez chwilę wyobrażałem sobie, że mogę odczytać jego prawdziwe myśli, różniące się od dialogu, który wymyśliłem w jego imieniu. Różne i niepokojące.

Opuściłem dłonie ściskające jego łeb, ale nie odwrócił się ode mnie ani nie opuścił wzroku.

Ja nie mogłem uciec wzrokiem.

Napomykając o tym Bobby'emu Hollowayowi sprowokowałbym go do rekomendacji lobotomii, a jednak wyczułem, że pies boi się o mnie. Żałował mnie, bo tak bardzo starałem się nie okazać prawdziwej głębi mojego bólu. Żałował mnie, bo nie mogłem wyznaczyć, jak bardzo przerażała mnie wizja życia w samotności. Jednakże jeszcze bardziej bał się o mnie, jakby wyczuwał nadciągającą niszczycielską siłę, której byłem nieświadomy: wielkie białe rozjarzone koło wielkości góry, które przetoczy się po mnie miążdżąc na proch i kurz.

— Co, kiedy, gdzie? — zastanawiałem się.

Spojrzenie Orsona było przenikliwe. Anubis, psiogłowy egipski bóg grobów, nosiciel serc zmarłych, nie mógłby spoglądać bardziej przeszywająco. Ten mój pies to nie była Lassie ani disneyowska psina o kokieteryjnym sposobie bycia i niewyczerpanym talencie do złośliwych psikusów.

— Czasem — powiedziałem — udaje ci się mnie wystraszyć.

Zamrugał, pokręcił łbem, odskoczył i człapał wokół grobów, z przejściem obwąchując opadłe liście kasztanów, udając, że znów jest tylko psem.

Może to nie Orson mnie wystraszył. Może sam siebie wystraszyłem. Może jego lśniące oczy były lustrami, w których zobaczyłem własne oczy; a może w ich odbiciu ujrzałem prawdę własnego serca, przed którą uciekałem.

— To była interpretacja a la Halloway — powiedziałem.

Orson z nagłym podnieceniem przeczłapał po stosie pachnących liści, nadal wilgotnych po popołudniowym podlewaniu, wsadził w nie głęboko nos, jakby szukał trufli, tłukł ogonem o ziemię.

„Wiewiórki. Wiewiórki uprawiały seks. Wiewiórki uprawiały seks, uprawiały seks właśnie tu. Wiewiórki. Właśnie tu! Zapach wiewiórczego podniecenia właśnie tu, panie Snow, tu, chodź powąchać tu, chodź powąchać, szybko, szybko, szybko, chodź powąchać seks wiewiórek”.

— Mieszasz mi w głowie — powiedziałem mu.

W ustach nadal miałem smak z dna popielniczki, ale już nie odchrząkiwałem flegmy szatana. Teraz powinienem szybko dojechać do domu Bobby’ego.

Zanim wziąłem rower, ukląknęłam i odwróciłam się do nagrobka, o który się opierałam.

— Co u ciebie, Noah? Nadal spoczywasz w spokoju?

Nie musiałem używać latarki, by przeczytać napis na kamieniu. Czytałem go już tysiące razy i spędziłem wiele godzin rozpamiętując nazwisko i daty poniżej.

NOAH JOSEPH JAMES

5 VI 1888 — 2 VII 1984

Człowiek o trzech imionach. To nie one napawają mnie zdumieniem; to twoja wyjątkowa długowieczność.

Dziewięćdziesiąt sześć lat życia.

Dziewięćdziesiąt sześć wiosen, lat, jesieni, zim.

Wbrew przygniatającemu wskaźnikowi prawdopodobieństwa, jak do tej pory przeżyłem dwadzieścia osiem lat. Jeśli pani Fortuna przyjdzie do mnie z pełnymi rękami, mogę dożyć trzydziestu ośmiu. Jeśli lekarze okażą się złymi diagnostykami, jeśli prawa prawdopodobieństwa uległy zawieszeniu, jeśli los weźmie sobie urlop, może dożyję czterdziestu ośmiu. Wtedy będę rozkoszował się połową długości życia przyznaną Noahowi Josephowi Jamesowi.

Nie wiem, kim był, co robił na ziemi przez większą część stulecia, czy miał jedną żonę, z którą dzielił swoje dni, czy przeżył trzy, czy dzieci, które spłodził, zostały księżmi czy wielokrotnymi zabójcami — i nie chcę wiedzieć. Wymyśliłem temu człowiekowi bogate i cudowne życie. Wierzę, że wiele podróżował, był na Borneo i w Brazylii, w Mobil Bay w jubileuszowy rok, w Nowym Orleanie podczas Mardi Gras, na skąpanych w słońcu wyspach Grecji i w tajemniczym Shangrila, wysoko w twierdzy Tybetu. Wierzę, że kochał prawdziwie i był głęboko kochany; muzyk, artysta i żeglarz, który przepłynął siedem mórz, i śmiało odrzucał wszelkie narzucone ograniczenia jeśli ta-

kowe były. Tak długo, jak pozostaje dla mnie tylko nazwiskiem, a poza tym jest tajemnicą, może odgrywać rolę, którą mu wyznaczę, a ja zastępczo doświadczam jego bardzo długiego życia w słońcu.

— Hej, Noah, założę się, że kiedy umarłeś tu w 1984 roku, przedsiębiorcy pogrzebowi jeszcze nie nosili broni.

Wstałem i podszedłem do najbliższego grobu, o który opierał się mój rower pilnowany przez granitowego anioła.

Orson warknął cicho. Nagle stężał, stał się czujny. Łeb uniósł wysoko, postawił uszy. Chociaż światło było słabe, wydało mi się, że podkulił ogon. Poszedłem za spojrzeniem ciemnych ślepi i zobaczyłem wysokiego przygarbionego mężczyznę, idącego szybkim krokiem między płytami nagrobkowymi. Nawet w łagodzącym cieniu był zbiorem kątów i ostrych krawędzi, jak kościotrup w czarnym garniturze, jakby jeden z sąsiadów Noaha wyszedł z trumny i udał się z wizytą.

Zatrzymał się dokładnie w tym rzędzie grobów, w którym staliśmy ja i Orson, w lewej ręce trzymał jakiś dziwny przedmiot, który przypominał telefon komórkowy z podświetlonym ekranem.

Mężczyzna wystukał coś na klawiaturze. Przez cmentarz przetoczyła się krótka melodia elektronicznych dźwięków, ale to nie były sygnały przycisków telefonu.

Właśnie gdy szarfa chmur została zdmuchnięta z księżyca, nieznajomy podniósł bliżej oczu ekran koloru niedojrzałych jabłek, dokładniej przyglądając się danym, i te dwa źródła łagodnego światła ukazały dosyć, żebym mógł dokonać identyfikacji. Nie widziałem koloru rudych włosów ani piwnych oczu, ale wystarczył znajomy profil pyszczka łasicy i zarys cienkich ust, by dreszcz przeleciał mi po kręgosłupie; Jesse Pinn, pomocnik przedsiębiorcy pogrzebowego.

Nie zauważył Orsona ani mnie, chociaż staliśmy zaledwie dziesięć, dwanaście metrów na lewo od niego.

Udawaliśmy dwa kawałki granitu. Orson już nie warczał, chociaż westchnienia wiatru w dębach z pewnością zamaskowałyby jego pomruki.

Pinn podniósł twarz znad przyrządu, spojrział w prawo, na św. Bernadettę, a potem jeszcze raz na ekran. Wreszcie ruszył w kierunku kościoła.

Nadal nie zdawał sobie sprawy z naszej obecności, chociaż byliśmy w pobliżu.

Popatrzyłem na Orsona.

On popatrzył na mnie.

Mniejsza o wiewiórki. Pośpieszyliśmy za Pinnem.

17

Pomocnik Sandy'ego Kirka udał się na tyły kościoła. Ani razu się nie obejrzał. Zszedł szerokimi kamiennymi schodami prowadzącymi do piwnicy.

Pilnowaliśmy, by go nie zgubić. Przystanąłem zaledwie trzy metry od szczytu schodów, nieco na ukos i nie spuszczałem go z oczu. Gdyby się odwrócił i spojrzął w górę, zobaczyłby mnie, zanim zniknąłbym z pola widzenia, ale nie był przesadnie ostrożny. Wydawał się tak zajęty swoimi sprawami, że wezwanie niebiańskich trąb i łoskot wstawania z grobu umarłych nie zwróciłby jego uwagi.

Uważnie przyjrzał się tajemniczemu przyrządowi, który miał w dłoni, wyłączył go i włożył do wewnętrznej kieszeni marynarki. Z innej kieszeni wyjął jakiś inny przedmiot, ale światło było zbyt skąpe, żebym mógł go zobaczyć. W przeciwieństwie do pierwszego urządzenia, to „coś” nie świeciło.

Przez zawrodozienie wiatru w listowiu dębów dobiegła mnie seria kliknięć i zgrzytów. Po nich nastąpił ostry trzask, drugi i trzeci. Przy czwartym rozpoznałem to szczególne urządzenie. Lockaid. Wytrych pistoletowy. Urządzenie z cienkim sztyftem, wsuwane w dziurkę od klucza, pod zastawki. Pociągając za spust, zwalnia się stalową sprężynę, która wciska zastawki.

Kilka lat temu Manuel Ramirez zademonstrował mi działanie lockaida. Owym przyrządem mogą się posługiwać wyłącznie stróże prawa; jeśli posiadają go osoby cywilne, jest to nielegalne.

Chociaż Jesse Pinn potrafił wymodelować swoją facjatę tak przekonywająco jak Sandy Kirk spalał ofiary morderstw w piecu krematoryjnym, biorąc udział w niszczeniu dowodów morderstwa, więc niepodobna, by przejmował się regulacjami prawnymi utrudniającymi posiadanie lockaida. Może miał swoje zasady. Może na przykład przynigdy nie zepchnąłby zakonniczy ze skały do morza. Jednakże przypominając sobie ostrą twarz Pinna i sztylceci błysk piwnych oczu, gdy tego popołudnia zbliżał się do okna krematorium, nie postawiłbym centa na życie zakonniczy, bez względu na stosunek zakładu.

Musiał użyć wytrychu pistoletowego pięć razy, by podbić w górę wszystkie zastawki i uwolnić zasuwę. Ostrożnie uchylił drzwi i schował lockaida do kieszeni.

Po otwarciu drzwi okazało się, że pozbawiona okien piwnica jest oświetlona. Pinn stał w progu około minuty. Nasłuchiwał, kościste ramiona pochylił w lewo, zwieszoną głowę przekrzywił w prawo, zmierzwione wiatrem włosy przypominały wiecheć słomy. Nagle wyprostował się, jak zniecka ożywiony strach na wróble odrywający się od szkieletu krzyża i wszedł do środka, zostawiwszy drzwi częściowo otwarte.

— Zostań — szepnąłem Orsonowi.

Zszedłem po schodach, a mój zawsze posłuszny pies za mną. Przyłożyłem ucho do drzwi. Nie usłyszałem żadnych odgłosów. Orson wsunął pysk przez kilkudziesięciocentymetrową szparę i powąchał. Chociaż stuknąłem go w łeb, nie cofnął się. Pochyliłem się nad psem i też wsunąłem swój pysk w szparę, nie żeby wąchać, ale przyjrzeć się, co jest dalej. Mrużąc oczy od blasku jarzeniowych lamp, zobaczyłem pomieszczenie mniej więcej siedem metrów na dwanaście, z betonowymi ścianami i sufitem, obstawione urządzeniami, które służyły kościołowi i skrzydłu, mieszczącemu szkółkę niedzielną: pięć pieców na gaz, wielki bojler, panele bezpieczników i sterowania światłem oraz maszyna niewiadomego przeznaczenia.

Jesse Pinn był w trzech czwartych drogi do zamkniętych drzwi w głębi, widziałem jego plecy.

Odsunąłem się do wejścia i wyjąłem z kieszeni oprawkę z okularami. Zapięcie na rzepy odskoczyło z dźwiękiem, który nie wiem dlaczego skojarzył mi się z pierdzącym węzem, bowiem nigdy w życiu nie słyszałem węża puszczającego bąka. Moja poprzednio rozbuchana wyobraźnia skręciła w korytarz z napisem „Skatologia”.

Zanim zdążyłem nałożyć okulary i zajrzeć kolejny raz do środka, Pinn znikł w dalszym pomieszczeniu piwnicy. Następne drzwi również były uchylone i płynęło z nich światło.

— Tu jest betonowa podłoga — szepnąłem do psa. — Moje niki nie wydadzą dźwięku, ale twoje łapy będą szurać. Zostań.

Pchnąłem drzwi i wszedłem do piwnicy. Orson pozostał na zewnątrz, u stóp schodów. Może tym razem był posłuszny, bo wiedział, że dalsza wędrówka nie wróży niczego dobrego. Psy mają zmysł węchu tysiące razy ostrzejszy od naszego, dostarczający im więcej danych niż wszystkie ludzkie zmysły razem.

Okulary zabezpieczały mnie przed światłem, przy czym drogę widziałem aż nadto dobrze. Unikałem środka pomieszczenia, trzymałem się blisko pieców i reszty urządzeń, między które mogłem się wcisnąć z nadzieją, że znajdę tam kryjówkę, gdybym usłyszał powrót Jessego Pinna.

Do tej pory czas i pot zmniejszyły skuteczność kremu ochronnego na twarzy i rękach, ale liczyłem, że zabezpieczy mnie warstwa sadzy. Dłonie kryły mi jakby czarne jedwabne rękawiczki i założyłem, że twarz jest tak samo zamaskowana.

Doszedłem do drzwi wewnętrznych i usłyszałem dochodzące z oddali dwa męskie głosy. Jeden należał do Pinna. Oba były przygłuszone i nie mogłem zrozumieć słów.

Zerknąłem na drzwi zewnętrzne, zza których spoglądał na mnie Orson. Jedno ucho postawił, drugie położył.

Za wewnętrznymi drzwiami było długie, wąskie pustawe pomieszczenie. Paliło się zaledwie kilka górnych świateł, zawieszonych na łańcuchach między przewodami z wodą i centralnego ogrzewania, ale nie zdjąłem okularów. To pomieszczenie łączyło się z następnym, tworząc literę „L”, a następny obszar, otwierający się na prawo, był dłuższy i szerszy niż poprzedni, chociaż również słabo oświetlony. Tę drugą część wykorzystywano na magazyn, i tropiąc głosy prześlizgnąłem się obok rzędów kartonów z dostawami, dekoracjami na różne święta czy obchody, oraz szafek pełnych kościelnych zapisków. Wszędzie zebrały się cienie — zgromadzenie mnichów w habitach i kapturach. Zdjąłem okulary.

W miarę jak się posuwałem, głosy przybliżyły się, ale akustyka była zła i nie rozróżniałem słów. Pinn nie krzyczał, chociaż był zły, co wywnioskowałem z tonu cichej groźby, którego używał. Drugi mężczyzna jakby pragnął uspokoić pracownika zakładu pogrzebowego.

Połowę pomieszczenia zajmowały rekwizyty żłobka betlejemskiego naturalnej wielkości: nie tylko św. Józef i Matka Boska przy kołysce z Dzieciątkiem, ale też cała scena hołdu z mędrkami, wielbłędami, osiołkami, owcami i zwiastującymi aniołami. Stajenka była z drewna, a snopki słomy prawdziwe; ludzi i zwierzęta ulepiono z gipsu na cienkim elastycznym drucie i deszczułkach, ubrania i twarze namalował utalentowany artysta, pokrywając wszystko lakierem wodoodpornym, który dawał niezwykły blask, nawet w tym słabym świetle. Sądząc po narzędziach, farbie i innych zgromadzonych materiałach dokonywano zabiegów konserwacyjnych, po których stajenka zniknie pod pokrowcami aż do następnych świąt Bożego Narodzenia.

Zaczynałem wychwytywać strzępy rozmowy Pinna z nieznanym mężczyzną. Przeszedłem między postaciami, z których wiele górowało nade mną. Czułem się zagubiony, jako że żaden z elementów nie był gotowy do wystawienia; zabrakło właściwych skojarzeń. Jeden z mędrków stał twarzą do uniesionej trąby anielskiej, a św. Józef pograżył się w rozmowie z wielbłądem. Dzieciątko Jezus leżało bez opieki w kołysce, stojącej z boku na snopkach słomy. Maryja siedziała promiennie uśmiechnięta i z uwielbieniem w oczach, ale obiektem jej admiracji nie było Dziecię, lecz ocynkowane wiadro. Kolejny mędrzec zdawał się zagładać wielbłądowi do tyłka.

Przemknąłem krętym szlakiem przez pogrążoną w chaosie stajenkę i w końcu ukryłem się za grającym na lutni aniołem. Byłem w cieniach, lecz wyglądając zza jego uniesionego skrzydła, mniej więcej w odległości sześciu metrów ode mnie ujrzałem oświetlonego Jessego Pinna. Rugał innego mężczyznę. Stali w pobliżu schodów prowadzących na parter kościoła.

— Ostrzegano cię — mówił Pinn podnosząc głos, aż przeszedł niemal w warkot.
— Ile razy cię ostrzegano?!

Początkowo nie dostrzegłem tego drugiego. Był zasłonięty przez Pinna. Mówił cicho, monotonnym, słabo słyszalnym głosem. Pracownik zakładu pogrzebowego zareagował z obrzydzeniem i zaczął chodzić wzburzony, przeczesując ręką potargane włosy.

Teraz zobaczyłem, że tym drugim jest ojciec Tom Eliot, proboszcz św. Bernadetty.

— Ty durniu, ty głupie gównu — dławiał się wściekłością i goryczą Pinn. — Ty wiecznie bełkocący o Bogu kretynie!

Ojciec Tom był niewysoki, pulchny, o wyrazistej, ruchliwej i pomarszczonej twarzy urodzonego komika. Chociaż nie należałem do jego — ani innego — Kościoła, rozmawiałem z nim przy kilku okazjach i zrobił na mnie wrażenie niezwykle dobronudusznego człowieka o autoironicznym poczuciu humoru i prawie dziecięcym entuzjazmie wobec życia. Bez trudu zrozumiałem, dlaczego parafianie go uwielbiali.

Pinn go nie uwielbiał. Uniósł szkieletowatą dłoń i wskazał księdza kościstym palcem.

— Rzygać mi się chce na twój widok, ty obłudny skurwysynu.

Ojciec Tom wyraźnie zdecydował się nie reagować na atak.

Finn krążąc ciął powietrze ostrą krawędzią dłoni, jakby usiłował — z wyraźną bezradnością i wściekłością — nadać swoim słowom kształt, który duchowny mógłby zrozumieć.

— Mamy dość twojego pieprzenia, twojego wtrącania się w nasze sprawy. Nie będę ci groził, że sam kopniakami wybije ci zęby, chociaż piekło mi świadkiem, że nic nie sprawiłoby mi większej rozkoszy. Wiesz, nigdy nie lubiłem tańczyć, ale z rozkoszą zatańczyłbym na twojej głupiej mordzie. Ale tym razem żadnych gróźb, nie, nie tym razem, już nigdy. Nawet nie będę ci groził, że wyślę ich za tobą, bo wydaje mi się, że tak naprawdę to by ci się spodobało. Ojciec Eliot, męczennik, cierpiący dla Boga. Och, spodobałoby ci się to... no nie?... być męczennikiem, bez skargi wycierpieć taką paskudną śmierć.

Ojciec Tom stał z pochyloną głową, spuszczonej oczami, rękami przyciśniętymi do boków, jakby czekał cierpliwie na minięcie tej burzy. Jego pasywność rozwścieczyła Pinna. Zaciśnął prawą dłoń w pięść i ostrymi kłykciami tłukł we wnętrze drugiej dłoni, jakby był zmuszony do bicia. Ogarnięty furią szydził:

— Obudzisz się któreś nocy i pokryją cię całego, a może zaskoczą cię w dzwonnicy albo w zakrystii, kiedy jesteś na klęczniku i poddasz się im w ekstazie, w chorej ekstazie, rozkoszując się bólem, cierpiąc dla twojego Boga, cierpiąc prosto na drodze do nieba. Ty tępym draniu. Ty beznadziejny kretynie. Ty nawet będziesz modlił się za nich, modlił się całym sercem, kiedy będą rozrywali cię na kawałki. No nie, księżulku?

Pulchny ksiądz odpowiedział na to wszystko opuszczeniem oczu i bezsłownym znieruchomieniem.

Milczenie wiele mnie kosztowało. Miałem pytania do Jessego Pinna. Wiele pytań. Jednak tu brakowało krematoryjnego ognia, do którego mógłbym przysunąć jego stopy i wymusić odpowiedzi.

Pinn przestał krząć i zawisł groźnie nad ojcem Tomem.

— Koniec z groźbami, księżulku. To bez sensu. Tylko rozkoszujesz się wizją cierpienia dla twojego Pana. Więc posłuchaj, co się stanie, kiedy nie zejdziesz nam z drogi... wykończę twoją siostrę. Piękną Laurę.

Ojciec Tom podniósł głowę i spojrział Pinnowi w oczy, ale nadal nie odezwał się słowem.

— Sam ją zabiję — obiecał Pinn. — Tą bronią.

Wyjął spod marynarki pistolet, na pewno wiszący w kaburze na szelkach. Nawet z pewnej odległości i w słabym świetle widziałem, że lufa jest niezwykle długa.

Obronnym gestem wsadziłem rękę do kieszeni kurtki i położyłem na lufie glocka.

— Daj jej spokój — poprosił ksiądz.

— Nigdy nie damy jej spokoju. Jest zbyt... interesująca. Po prawdzie, zanim zabiję Laurę, zgwałcę ją. Wciąż z niej ładna babka, chociaż dziwaczne.

Laura Eliot, przyjaciółka i koleżanka mojej matki, była naprawdę śliczną kobietą. Chociaż nie widziałem jej od roku, łatwo przypomniałem sobie jej twarz. Po tym, jak Ashdon zlikwidował jej stanowisko pracy, otrzymała zatrudnienie w San Diego. Tato i ja dostaliśmy od niej list i doznaliśmy zawodu, gdy nie wpadła, aby się pożegnać. Najwyraźniej zmiana pracy to bujda i nadal trzymano ją w naszej okolicy, wbrew woli.

Ojciec Tom odzyskał w końcu głos i rzekł:

— Niech Bóg ci pomoże.

— Nie potrzebuję pomocy — odparł Pinn. — Kiedy wsadzę jej lufę do gardła, to zanim nacisnę spust, powiem, że jej braciszek spotka się z nią niedługo, spotka się z nią niedługo w piekle, a potem rozwalę jej łeb.

— Niech Bóg mi pomoże.

— Co powiedziałaś, księżulku? — spytał szyderczo Pinn.

Ojciec Tom nie odpowiedział.

— Powiedziałaś: „Niech Bóg mi pomoże”? — naigrywał się Pinn. — „Niech Bóg mi pomoże”? Nie pomoże ci, ni cholery. Przecież już nie jesteś jednym z Jego baranów, no nie?

Na to dziwne stwierdzenie ojciec Tom oparł się o ścianę i zakrył twarz rękoma. Może łkał; nie byłem pewien.

— Wyobraź sobie śliczną buziuchną twojej siostruni — powiedział Pinn. — A teraz wyobraź sobie powykręcane, połamane kości, a czubek czaszki oderwany.

Wystrzelił w sufit. Lufa była długa; zaopatriono ją w tłumik i zamiast głośnego huków dał się słyszeć odgłos, z jakim pięść uderza o poduszkę. W tej samej chwili pocisk z twardym BAĄĄG uderzył w prostokątną osłonę lampy wiszącej dokładnie nad Pinnem. Jarzeniowa rurka pozostała nieuszkodzona, ale lampa zakotyła się dziko na długich łańcuchach; lodowate ostrze światła, jak żnąca kosa wycięło w pomieszczeniu

jasny łuk. Choć Pinn się nie poruszył, to w rytmicznie kołyszącym się świetle jego przypominający stracha na wróble cień rzucił się na inne cienie, które załopotwały skrzydłami jak ptaki. Następnie wsunął broń pod pachę.

Łańcuchy lampy kołowały, ogniwa tłukły o siebie z wystarczającą mocą, by powstało niesamowite dzwonięcie, jakby ministranci o jaszczurzych oczach, w nasączo-nych krwią sutannach i komeżkach wzywali fałszywie brzmiącymi dzwonami na sata-nistyczną mszę.

Piskliwe dźwięki i płasające cienie podnieciły Pinna. Wydał nieludzki krzyk, pry-mitywny i szaleńczy, określany zwykle kocią muzyką, która czasem budzi cię w środku nocy i każe zastanowić się nad pochodzeniem naszego gatunku. Gdy Wrzasnął, pryska-jąc obficie śliną, zadał księdzu dwa silne ciosy w splot słoneczny.

Szybko wyszedłem zza anioła grajka, szarpiąc się z glockiem, który zaczepił się o podszewkę kieszeni kurtki.

Ojciec Tom zgiął się wpół, na co Pinn złączył ręce i jak obuchem uderzył w plecy duchownego. Ten upadł na podłogę, a ja wreszcie wyszarpnąłem pistolet. Pinn kopnął księdza w zębra. Podniosłem glocka, włączyłem laserowy celownik. Gdy śmiercionośna czerwona kropka pojawiła się między łopatkami napastnika, już chciałem powiedzieć „Dosyć!”, ale Pinn zaprzestał bicia i cofnął się.

Zachowałem milczenie, kiedy znów odezwał się do ojca Toma:

— Jak nie jesteś częścią rozwiązania, jesteś częścią kłopotów. Jak nie chcesz być czę-ścią przyszłości, wynoś się do diabła.

To zabrzmiało jak kwestia na zejście ze sceny. Wyłączyłem laserowy celownik i wy-cofałem się za anioła, w tej samej chwili, w której Pinn odwrócił się od ojca Toma. Nie zauważył mnie.

Jess odszedł drogą, którą przyszedł. Towarzyszyło mu dzwonięcie łańcuchów, a ten brzęk zdawał się nie pochodzić znad jego głowy, ale wydobywał się z niego, jakby sza-rańcza krążyła mu we krwi. Cień na zmianę wybiegł przed niego, a potem skakał w tył, aż Pinn minął koszący miecz światła, wtopił się w ciemność i skręcił za róg, w drugą część pomieszczenia.

Wsunąłem glocka do kieszeni. Ukryty w stajence betlejemskiej przyglądałem się ojcu Tomowi Eliotowi. Leżał skurczony u stóp schodów, płód rodzący płód, ból.

Powinienem podejść i sprawdzić, czy jest poważnie ranny, a także dowiedzieć się o okolicznościach będących przyczyną zajścia, którego właśnie byłem świadkiem, ale że nie chciałem się ujawnić, pozostałem na miejscu. Nieprzyjaciel Jessego Pinna winien być moim sprzymierzeńcem, ale nie mogłem mieć pewności co do dobrej woli ojca Toma. Adwersarze, ksiądz i pomocnik przedsiębiorcy pogrzebowego, byli zamieszani w machinacje tego samego podziemnego świata, o którego istnieniu nie wiedziałem aż do tego wieczoru, więc mieli ze sobą więcej wspólnego niż ze mną. Łatwo mogłem sobie

wyobrazić, że ojciec Tom zobaczywszy mnie, wrzaskiem wezwie Jessego Pinna, a tamten wróci pędem jak na skrzydłach, powiewając połami czarnej marynarki, wydając potworne dźwięki spomiędzy cienkich warg.

Pinn i jego ekipa najwyraźniej więzili siostrę księdza. To dawało im możliwość nacisku na ojca Toma, podczas gdy ja nie miałem na niego żadnego wpływu.

Przeszywająca dreszczem muzyka kołujących łańcuchów cichła, a miecz światła powoli zataczał coraz mniejszy łuk.

Bez słowa skargi ksiądz dźwignął się na kolana. Nie mógł się wyprostować. Zgarbiony jak małpa, ale w żadnym razie nie wyglądający komicznie ani jeśli chodziło o oblicze, ani o postawę, z ręką na poręczy, ruszył pracowicie stopień po trzeszczącym stopniu na parter kościoła. Pomyślałem, że gdy wreszcie dotrze na szczyt i wyłączy światła, ja pozostanę w takiej ciemności, że nawet św. Bernadetta, cudotwórczyni z Lourdes, mogłaby się wystraszyć. Czas się zbierać.

Zanim wycofałem się między naturalnej wielkości postaci stajenki, po raz pierwszy spojrzałem w oczy grającego na lutni anioła, który stał tuż przede mną, i zobaczyłem, że błękit jego i moich oczu ma ten sam odcień. Patrzyłem na gipsową polakierowaną twarz i chociaż światło było słabe, byłem pewien, że mamy identyczne rysy.

To podobieństwo sparaliżowało mnie i wprawiło w popłoch. Usiłowałem zrozumieć, jak ten, dosłownie anielski, Christopher Snow mógł tu na mnie czekać. Rzadko widuję swoją twarz w jasnym oświetleniu, ale napotykam jej odbicie w lustrach moich słabo rozjaśnionych pokojów, a tu światło było podobne. To byłem niewątpliwie ja; uszczęśliwiony jak nie ja, wyidealizowany, ale ja.

Od czasu przeżyć w szpitalnym garażu zdawało mi się, że każde zdarzenie i przedmiot mają jakieś znaczenie. Już nie brałem pod uwagę możliwości przypadku. Gdziekolwiek spojrzałem, świat ociekał niesamowitościami.

Oczywiście, taka była droga do utraty zmysłów; uznanie, że świat, cały świat, to jeden kunsztowny spisek zarządzany przez elitę manipulatorów, którzy widzą i wiedzą wszystko. Zdrowi na umyśle pojmują, że ludzie nie potrafią przeprowadzić spisku na wielką skalę, ponieważ nasz gatunek odznacza się takimi cechami, jak brak dbałości o szczegóły, skłonność do wpadania w panikę i niezdolność do trzymania gęby na kłodę. Ledwo udaje się nam zawiązać sznurówki i to w skali kosmicznej. Jeśli w istocie panuje jakiś porządek we wszechświecie, to nie jest naszym dziełem i zapewne nawet nie potrafimy go zgłębić.

Ksiądz pokonał jedną trzecią drogi na górę.

Oszołomiony i ogłupiały wpatrywałem się w oblicze anioła.

Przez wiele nocy w okresie Bożego Narodzenia, rok po roku jeździłem rowerem ulicą, przy której znajdował się kościół św. Bernadetty. Stajenka stała na frontowym trawniku, każda figura na swoim miejscu, żaden z mędrców nie przeprowadzał specjali-

stycznego badania wielbłądziej odbytnicy — natomiast anioła nie było. Albo nie zdawałem sobie z tego sprawy. Narzucało się wytłumaczenie, iż szopka była tak jasno oświetlona, że nie mogłem jej się przyjrzeć; anioł Christopher Snow stanowił część obrazu, ale zawsze odwracałem głowę, mrużąc oczy.

Ksiądz był w połowie schodów i poruszał się szybciej.

Wtedy przypomniałem sobie, że Angela Ferryman chodziła na msze do św. Bernadetty. Niewątpliwie budując szopkę wykorzystano jej umiejętność robienia lalek.

Koniec tajemnicy.

Nadal nie mogłem pojąć, dlaczego dała moją twarz aniołowi. Jeśli już ktoś powinien mieć moje rysy, to osioł. Wyraźnie miała o mnie lepsze zdanie niż ja sam.

Wyobraźnia, niewzywana, ukazała mi ostatni wizerunek Angeli; Angeli siedzącej na podłodze łazienki, sięgającej wzrokiem za Andromedę, z odchyloną głową, wspartą na klozecie, z poderżniętym gardłem.

Nagle ogarnęło mnie przekonanie, że znalazłszy jej zmasakrowane ciało pominąłem ważny szczegół. Ogarnięty obrzydzeniem na widok skrzepów krwi, ściśnięty żalem, zszokowany i wystraszony, unikałem jej widoku — tak jak przez lata unikałem widoku jasno oświetlonej szopki przed kościołem. Zobaczyłem istotny ślad, ale świadomość go nie zarejestrowała. Teraz podświadomość nie dawała mi spokoju.

Gdy ojciec Tom dotarł do szczytu schodów, rozszlochał się. Siadł na podeście i łkał niepokieszony.

Nie mogłem dłużej rozpatrywać wizerunku Angeli. Później będzie czas się z tym zmierzyć i niechętnie zbadać wspomnienie tamtego teatru makabry.

Od wielbłąda, przez mędrca, św. Józefa, osiołka, Matkę Boską i baranka cicho przekradałem się stajenką; minąłem szafki z aktami i kartony z dekoracjami, aż wszedłem w krótszą i węższą przestrzeń, gdzie niewiele magazynowano, i ruszyłem do drzwi kółtłowni.

Odgłosy księżej rozpaczy rezonowały o betonowe ściany, gasły — jęki umęczonej istoty, której głos ledwo przebija lodowatą barierę między tym i następnym światem.

Ponuro wspomniałem katusze żalu, jakich doświadczał ojciec w kostnicy Szpitala Miłosierdzia w noc śmierci mojej matki.

Z przyczyn całkowicie niepojętych ja zachowuję ból dla siebie. Gdy rośnie we mnie jakiś rozpaczliwy krzyk, zaciskam szczęki i wysysam z niego energię, a w końcu połkam, niewypowiedziany. We śnie zagryzam zęby, aż budzę się czasem z obolałymi szczękami — nic dziwnego. Być może sniąc lękam się użyć głosu uczuciom, których zdecydowałem się nie wyrażać na jawie.

Idąc podziemiami kościoła spodziewałem się, że pomocnik przedsiębiorcy pogrzebowego — woskowy i blady, z oczami przypominającymi świeżo zaschłe krwawe strupy — spadnie na mnie z góry, wzbije się z cieni obok moich stóp lub wyskoczy z drzwi pieca jak diabełek z pudełka. Nie czekał na mnie nigdzie po drodze.

Na dworze podszedł do mnie Orson, wyłoniwszy się spomiędzy nagrobków, gdzie krył się przed Pinnem. Sądząc po jego zachowaniu, Pinn odszedł. Pies przyglądał mi się z wielką ciekawością — takie przynajmniej odniosłem wrażenie.

— Naprawdę nie mam pojęcia, co się tam stało. Nie wiem, co to znaczyło.

Zrobił taką minę, jakby powątpiewał w moje słowa. Miał dar wyrażania powątpiewania; pozbawiony wyrazu pysk, nieruchome oczy.

— Naprawdę — upierałem się.

Z Orsonem drepczącym u boku wróciłem do roweru. Granitowy anioł pilnujący mojego środka lokomocji nie przypominał mnie w najmniejszym stopniu.

Niespokojny wiatr znów opadł do pieszczącej bryzy i dęby stały milczące. Sunący ażur chmur migotał na srebrnym księżycu. Chmara jerzyków opadła z kościelnego dachu i zawisła na drzewach, powróciło też kilka słowików, jakby cmentarz bezcześciła obecność Pinna.

Trzymając rower za kierownicę spojrzałem z namysłem na rzędy grobów i zacytowałem:

— „...ciemność zgęstniała wokół nich, wreszcie przyjmując postać ziemi”. To Louise Glück, wielka poetka.

Orson mruknął potwierdzająco.

— Nie wiem, co się tu dzieje, ale myślę, że dużo istot umrze, zanim się to skończy... a możliwe, że niektóre z nich to istoty, które kochamy. Może nawet ja. Albo ty.

W spojrzeniu Orsona była powaga.

Popatrzyłem na ulice mojego rodzinnego miasteczka, które nagle wydało mi się dużo bardziej straszne niż miejsce pochówku zmarłych.

— Napijmy się piwa — powiedziałem.

Wsiadłem na rower, Orson zatańczył psi taniec na trawie cmentarza i na razie opuściliśmy zmarłych.

Część Trzecia

Północ

18

Ten letniskowy domek stanowi idealne miejsce stałego zamieszkania dla takiego chorego na deskę jak Bobby. Stoi na południowym cyplu zatoki, daleko wysunięty, jedyna budowla na kilometrze kwadratowym. Wokół rozbijają się fale.

Z miasta światła domu Bobby'ego Hollowaya wydają się tak odległe od światła wewnętrznej linii zatoki, iż turyści sądzą, że to łódź kotwicząca w kanale za wodami przybrzeżnymi. Dla wieloletnich stałych mieszkańców domek jest punktem orientacyjnym. Zbudowano go czterdzieści pięć lat temu, kiedy jeszcze dawano pozwolenia na budownictwo przybrzeżne; nigdy nie przybyło mu sąsiadów, bo w tamtych czasach była masa tanich terenów wzdłuż plaży. Tam wiatr i pogoda były przyjaźniejsze niż na cyplu, były ulice i możliwość korzystania z mediów. Zanim działki przybrzeżne — a potem wzgórze za nimi — wypełniły się, Kalifornijska Komisja Brzegowa zakazała wznoszenia domów na cyplach zatoki.

Na długo przed tym, jak Bobby wszedł w posiadanie tej własności, była ona bezpieczna, zgodnie z zasadą, że prawo nie działa wstecz. Bobby zamierzał umrzeć otulony łoskotem fal bijących o brzeg, w tym wyjątkowym domu — ale dopiero dobrze po połowie pierwszego stulecia nowego tysiąclecia.

Wokół cypla nie biegła żadna asfaltowa ani żwirowana droga, jedynie szeroki kamienny szlak, obrzeżony niskimi wydmami. Niepewnie chroniła go wysoka, rzadko porośla trawa wydmowa. Cyple obejmujące zatokę są naturalnymi formacjami, zakrzywionymi przylądkami — pozostałości pierścienia potężnego wygasłego wulkanu. Sama zatoka to wulkaniczny krater okryty piaskiem naniesionym tysiącami lat przypliwów. U podstawy południowy cypel rozszerza się na sto, sto trzydzieści metrów, ale u szczytu ma tylko trzydzieści.

Po przebyciu trzech czwartych drogi musiałem zsiąść z roweru i iść. Delikatny naniesiony piasek, nie głębszy niż na trzydzieści centymetrów, zalegał na skale. Nie stanowił przeszkody dla kombi Bobby'ego — miało napęd na obie osie — ale koła roweru zapadały się.

Ten spacer był niezwykle spokojny, zachęcał do rozmyślań. Nocą na cyplu panowała słodka cisza, ale miejsce wydawało mi się niezmiernie; miałem wrażenie, że przemierzam skalny grzbiet na Księżycu i wciąż oglądałem się w tył, spodziewając się pogoni.

Parterowy domek był z drzewa tekowego, krytego cedrową dachówką. Zmienna pogoda nadała mu srebrnoszary połysk i drewno przyjmowało pieśczętę księżycy, jak kobieta przyjmuje dotknięcia kochanka. Z trzech stron otaczała go głęboka weranda pełna bujanych foteli i kanap-huśtawek.

Nie rosną tam drzewa. Pejzaż wypełnia jedynie piasek i dzika wydmowa trawa. Ale i tak oko zniecierpliwione najbliższym widokiem preferuje niebo, morze i migocące światła Moonlight Bay, które wydają się bardzo odległe.

Nie śpieszyłem się, chcąc uspokoić nerwy. Oparłem rower o frontową poręcz werandy i poszedłem obok domku, na najdalszy punkt cypla. Stałem tam z Orsonem na zwieńczeniu dziesięciometrowego stoku opadającego w stronę plaży.

Fala była tak powolna, że trzeba by mocno się natrudzić, chcąc wspiąć się na jej grzbiet, a jazda trwałaby krótko. Był niewysoki przypływ, chociaż księżyc dochodził ostatniej kwadry. Poza tym fala łamała się nieco z powodu wiatru od morza, na tyle mocnego, że ciął wodę, chociaż w miasteczku powietrze nawet nie drgnęło.

Najlepszy jest wiatr od lądu, taki który wygładza powierzchnię oceanu. Porywa pienne grzywy, przedłuża chwilę, w której fala osiąga najwyższy punkt, i sprawia, że grzbiety zawijają się, zanim runą w dół.

Bobby i ja surfujemy od jedenastego roku życia; on dniem, obaj nocą. Wielu surfuje przy świetle księżycy, nieliczni, gdy srebrny talerz zanika, ale Bobby i ja uwielbiamy fale sztormowe, kiedy nawet nie ma gwiazd.

Od małego byli z nas dwie pijawki deskowe, maksymalnie wkurzające surfowe kundle, ale nie skończyliśmy czternastki, a już zdaliśmy egzamin na surfowych nazi. Chorymi na deskę staliśmy się, zanim Bobby skończył liceum, a ja otrzymałem świadectwo ukończenia edukacji domowej. Teraz Bobby jest kimś więcej niż chorym na deskę; to surfowy mensch, a ludzie z całego świata zasięgają u niego informacji, gdzie pojawią się następne wielkie fale.

Boże, kocham morze nocą. To czerń przedestylowana w płyn i nigdzie nie czuję się bardziej u siebie niż w tych czarnych falach. Jedyne światło, które wylania się z oceanu, pochodzi od biożaru planktonu, który świeci poruszony, i chociaż bywa, że cała fala jarzy się intensywną cytrynową zielenią, nie szkodzi moim oczom. W nocnym morzu nie ma niczego, przed czym musiałbym się ukrywać lub od czego musiałbym chociażby odwracać wzrok.

Zanim doszedłem do chaty, Bobby stał w otwartych frontowych drzwiach. W imię naszej przyjaźni wszystkie światła u niego są na ściemniaczach; teraz zmniejszył je do poziomu blasku świec.

Nie mam pojęcia, jak dowiedział się, że przyszedłem. Ani ja, ani Orson nie wydaliśmy żadnego dźwięku. Po prostu, Bobby zawsze wie.

Był bosy, nawet w marcu, ale zamiast spodenek pływackich albo szortów nosił dżinasy. Koszulka była hawajska — Bobby nie uznaje żadnego innego stylu — ale zrobił ustępstwo na rzecz pory roku. Pod koszulkę z krótkimi rękawami — wymalowaną w jaskrawe dziwaczne papugi i gęste wachlarze palm — włożył białą bawełnianą bluzę bez kołnierzyka, z długimi rękawami.

Gdy wchodziłem po schodach, Bobby obdarzył mnie szaką, pozdrowieniem surferów, które łatwiej przekazać niż gest ze „Star Trek”, zapewne oparty na szace. Składasz palec wskazujący, środkowy i serdeczny do wnętrza dłoni, prostujesz kciuk oraz mały palec i leniwie machasz dłonią. To ma wiele znaczeń — cześć, co jest grane?, bujaj się, dobrej przejażdżki — wszystko przyjazne i nigdy nie może być uznane za obrazę, chyba że jest skierowane do kogoś, kto nie surfuje, na przykład członka jakiegoś gangu w Los Angeles, a w takim wypadku możesz zaliczyć kulę w głowę.

Pałilem się, by opowiedzieć mu wszystko, co wydarzyło się od zachodu słońca, ale Bobby ceni sobie spoczynkowy stosunek do życia. Bardziej spoczynkowy może być już tylko spoczynek wieczny. Kiedy nie dosiada fali, ceni spokój. Nade wszystko. Jeśli chcesz być przyjacielem Bobby’ego Hollowaya, musisz zaakceptować jego pogląd na życie; nic, co dzieje się ponad pięćset metrów od plaży, nie jest na tyle ważne, by się tym przejmować, i żadne wydarzenie nie jest na tyle uroczyste lub ceremonialne, by włożyć krawat. Lepiej reaguje na rozwlekłą rozmowę niż na trzaskanie dziobem, na „wymijające” niż na „wprost”.

— Rzucisz mi piwko? — spytałem.

— Corona, heineken czy löwenbrau?

— Dla mnie corona.

Bobby ruszył przez pokój i spytał:

— Czy ogoniasty grzeje coś dzisiaj?

— Ma ochotę na heiniego.

— Jasne czy ciemne?

— Ciemne — wybrałem.

— Pewnie była ciężka noc dla psów.

— Warczenia po uszy.

Domek składa się z pokoju dziennego, gabinetu, w którym Bobby śledzi fale na całym świecie, sypialni, kuchni, łazienki. Ściany są z drewna dobrze nasączonego olejem tekowym, ciemnym i soczystym, okna wielkie, podłogi z łupku, meble wygodne.

Wystrój — poza elementami naturalnymi — ogranicza się do ośmiu olśniewających akwareli Pia Klick, kobiety, którą Bobby nadal kocha, mimo że opuściła go, by spędzać czas nad Waimea Bay, na północnym brzegu Oahu. Chciał pojechać z nią, ale powiedziała, że musi być sama nad Waimea, którą nazywa swoim duchowym domem; po-

dobno harmonia i piękno tamtych okolic zapewniają jej spokój umysłu, potrzebny do podjęcia decyzji, czy ma żyć czy też nie, zgodnie z jej przeznaczeniem. Nie wiem, co to znaczy. Bobby też nie wie. Pia miała wyjechać na miesiąc, dwa. Było to prawie trzy lata temu. W Waimea przybój pojawia się z wyjątkowej głębi. Jest wielki, wysokości muru. Pia powiada, że ma kolor przezroczystego jadeitu. Są dni, w które śniąc chodzę po tym brzegu i słyszę ryk oceanu. Raz na miesiąc Bobby dzwoni do Pia albo ona do niego. Czasem rozmawiają przez kilka minut, czasem kilka godzin. Ona nie jest z innym mężczyzną i naprawdę kocha Bobby'ego. Jest jedną z najmiłszych, najłagodniejszych, najmądrzejszych kobiet, jakie poznałem w życiu. Nie rozumiem, czemu się tak zachowuje. Bobby też nie rozumie. Dni mijają. On czeka.

W kuchni Bobby wyjął z lodówki butelkę corony i podał mi.

Pozbyłem się zakrętki i pociągnąłem łyk. Bez cytryny, bez soli, bezpretensjonalnie.

Otworzył heinekena dla Orsona.

Pół czy cała?

— To noc pełnych butelek — powiedziałem. Mimo przerażających nowin falowałem tropikalnym rytmem Bobbylandu.

Opróżnił butelkę do głębokiej emaliowanej miski na podłodze. Trzymał ją dla Orsona. Na misce namalował drukowanymi literami RÓŻYCZKA, co wiązało się z sancenckami z „Obywatela Kane’a” Orsona Wellesa.

Nie zamierzałem robić z mojego psiego kompana alkoholika. Nie dostaje piwa codziennie i zwykle dzielę się z nim butelką. Ma jednak swoje rozkosze, a ja nie zamierzam zabraniać mu tego, co sprawia mu przyjemność. Jego waga uniemożliwia, żeby upił się jednym piwkiem. Ale tylko daj mu dwa, a termin „zwierzę towarzyskie” zyskuje w jego postaci nowy sens.

Podczas gdy Orson hałaśliwie żłopał heinekena, Bobby otworzył sobie coronę i oparł się o lodówkę. Ja oparłem się o ladę koło zlewu. Stał tam stół i krzesła, ale w kuchni Bobby i ja przejawiamy skłonność do opieractwa.

Jesteśmy podobni do siebie na wiele sposobów. Mamy ten sam wzrost, dokładnie tę samą wagę i tę samą budowę. Chociaż on ma ciemnobrązowe włosy i oczy tak czarne, że zdają się mieć niebieskie cętki, mylnie uznaje się nas za braci.

Obaj też mamy kolekcję guzów surfiarzy; Bobby, gdy tak oparł się o lodówkę, z roztargnieniem tarł podeszwą bosej stopy o guzy na podbiciu drugiej. Są to twarde wapniowe odleżyny, które powstają wskutek długiego leżenia na desce surfingowej; wyrastają na dużych palcach u nóg i górnej części podbicia, kiedy wiosłujesz dłońmi na leżąco. Mamy je też na kolanach, a Bobby'emu wyrosły dodatkowo na dolnych żebrach.

Oczywiście, nie jestem opalony jak Bobby. To zresztą już nie opalenizna. Przez okrągły rok jest maksymalnie brązowym bogiem słońca, a w lecie — dobrze przyrumienioną grzanką. Tańczy mambę z melanoma i może któregoś dnia umrze od tego samego słońca, któremu składa hołdy, a któremu ja wypowiadam posłuszeństwo.

— Dzisiaj było trochę naprawdę niesamowitych czubów — powiedział.
— Dwumetrówki, idealna linia.

— Teraz wygląda na to, że przysiadają.

— No. Przejrzejwają koło zachodu słońca.

Ciągnęliśmy nasze piwa. Szczęśliwy Orson chleptał swoje.

— No, to twój tato umarł — powiedział Bobby.

Kiwnąłem głową. Sasza musiała do niego zadzwonić.

— Dobrze — powiedział.

— No.

Bobby nie jest okrutny czy niewrażliwy. Chciał powiedzieć, że to dobrze, iż tato przestał cierpieć. Komunikując się między sobą, często przekazujemy sobie wiele, używając niewielu słów. Ludzie mylnie uznają nas za braci nie tylko z powodu tego samego wzrostu, wagi i budowy.

— Zdążyłeś do szpitala na czas. To super.

— Super.

Nie spytał mnie, jak sobie z tym radzę. Wiedział.

— A po szpitalu odśpiewałeś parę numerów w teatrzyku tych facetów, którzy malują się na czarno — powiedział.

Dotknąłem ubrudzoną sadzą ręką ubrudzonej sadzą twarzy.

— Ktoś zabił Angelę Ferryman, podpalił jej dom, żeby ukryć ślady. Prawie załapałem się na tę wielką *onaulaloa* w niebie.

— Kim jest ten ktoś?

— Sam chciałbym wiedzieć. Ci sami ludzie ukradli ciało taty.

Bobby popił piwa i nie odezwał się.

— Zabili włóczęgę, wymienili go na tatę. Może wolałbyś o tym nie wiedzieć.

Przez chwilę porównywał mądrość niewiedzy z przyciąganiem ciekawości.

— Zawsze mogę zapomnieć, że słyszałem, jeśli tak będzie mądrzej.

Orson czknał. Ma wzdęcia od piwa.

Kiedy pomachał ogonem i podniósł łeb z błagalną miną, Bobby rzekł:

— Nie dostaniesz więcej, kudłata mordko.

— Jestem głodny — powiedziałem.

— I brudny. Weź prysznic, włóż jakieś moje rzeczy. Przygotuję parę morderczych *taco*.

— Myślę, że umyję się pływając.

— Tam stają brodawki.

— Jest z piętnaście stopni.

— Mówię o temperaturze wody. Wierz mi, wskaźnik brodawkowy skoczył. Lepiej wziąć prysznic.

— Orsonowi też przyda się pucunek.

— Weź go ze sobą do kabiny. Tam jest masa ręczników.

— Bratek z ciebie — powiedziałem. „Bratek” to od „brat”.

— No, mam takie chrześcijańskie podejście, że już nie pływam po wodzie... chodzę po niej.

Po dłuższej chwili pobytu w Bobbylandzie byłem zrelaksowany i chciałem przejść do przekazania wiadomości. Bobby to więcej niż ukochany przyjaciel. To środek uspokajający.

Nagle odsunął się od lodówki i przekrzywił głowę. Słuchał.

— Coś? — spytałem.

— Ktoś.

Nie słyszałem niczego poza równomiernie cichnącym głosem wiatru. Przy zamkniętych oknach i tak spokojnej fali nie słyszałem nawet morza, ale zauważyłem, że Orson też zwiększył czujność.

Bobby ruszył na zewnątrz, sprawdzić, co to za gość, a ja powiedziałem, podsuwając mu glocka:

— Bratku.

Spojrzał powątpiewająco na pistolet, potem na mnie.

— Trzymaj wolne obroty.

— Po co?

— Tamten włóczęga. Wydłubali mu oczy.

Wzruszyłem ramionami.

— Bo mogli?

Przez chwilę Bobby zastanawiał się nad tym, co powiedziałem. Potem wyjął z kieszeni spodni klucz i otworzył schowek na miotły, który, jak sięgam pamięcią, poprzednio nigdy nie był zaopatrzony w zamek. Z wąskiej szafki wyjął dubeltówkę z chwytem pistoletowym i dolnym przeładowaniem, „pompkę”.

— Oho, nowość — powiedziałem.

— Środek do odstraszania hołoty.

To nie mieściło się w codziennym rytmie Bobbylandu. Nie potrafiłem się powstrzymać:

— Trzymaj wolne obroty.

Poszliśmy z Orsonem za Bobbym przez pokój dzienny i na frontową werandę. Morska bryza niosła lekki zapach wodorostów. Dom stał frontem ku północy. W zatoce nie było łodzi — przynajmniej z włączonymi światłami. Na wschodzie miasteczko migotało światelkami wzdłuż brzegu i na wzgórzach.

Wokół domku, do końca cypla, były niskie wydmy i przybrzeżna trawa pokryta szronem księżycowego światła. Nikogo w zasięgu wzroku.

Orson podszedł do szczytu schodów i stał tam napięty, z łbem uniesionym i wysuniętym; łapał wiatr i rozpoznawał wonie bardziej interesujące niż zapach wodorostów.

Polegając być może na szóstym zmysle Bobby nawet nie spojrzał na psa, by upewnić się co do swoich podejrzeń.

— Zostań tu. Gdybyś kogoś wypłoszył, powiedz mu, że nie odejdzie, aż sprawdzimy, czy ma ważną kartę parkingową.

Bosy zszedł po stopniach i przeciął wydmy, sprawdzając stromy stok zbiegający do plaży. Ktoś tam mógł leżeć, obserwować domek z ukrycia. Bobby szedł wzdłuż krawędzi stoku, w kierunku cypla, uważnie przyglądał się stokowi i plaży, co kilka kroków zwracał i sprawdzał teren między sobą i domem. Trzymał dubeltówkę gotową do strzału w obu rękach i przeszukiwał teren z wojskową dokładnością.

Najwyraźniej miał wprawę w wykonywaniu tej czynności. Wcześniej nie wspominał, że był nachodzony przez kogoś lub niepokojony przez intruzów. Zwykle, gdy miał poważne kłopoty, zwierzał mi się.

Zastanawiałem się, jakie tajemnice ukrywa.

19

Orson odwrócił się od schodów i wsunął pysk między tralki wschodniego krańca werandy. Spoglądał nie ku zachodowi, gdzie był Bobby, ale w kierunku cypla i miasteczka. Cicho warczał.

Poszedłem za jego spojrzeniem. Nawet przy pełni księżyca, którego nie zasłaniały porwane strzępy chmur, nie mogłem nikogo dojrzeć. Pies nadal warczał, równomiernie jak pracujący silnik.

Na zachodzie Bobby dotarł do cypla i nadal szedł wzdłuż krawędzi stoku. Widziałem go, ale był zaledwie szarym kształtem na całkowicie czarnym tle morza i nieba. Gdy przed chwilą patrzyłem w innym kierunku, ktoś mógł zdmuchnąć Bobby'ego tak szybko i pewnie, że nie zdążyłby nawet krzyknąć, a ja nie miałbym o niczym pojęcia. Teraz ta niewyraźna szara figura okrążająca cypel i zbliżająca się do domku południową flanką przylądka mogła być nie wiadomo kim.

— Ciarki chodzą mi po skórze od tego twojego warczenia — powiedziałem psu.

Chociaż wysilałem oczy, nadal nie mogłem dostrzec zagrożenia na wschodzie, gdzie nieprzerwanie patrzył Orson. Ruszała się jedynie wysoka rzadka trawa. Gasnący wiatr nie był nawet na tyle silny, by zdmuchiwać piasek z ubitych wydm.

Orson przestał warczeć i zbiegł po stopniach, jakby w pogoni za zwierzyną. Ale skoczył na piasek niedaleko od schodów. Uniósł tylną łapę i opróżnił pęcherz. Gdy wrócił na werandę, boki drżały mu wyraźnie. Znów wypatrywał ku wschodowi. Już nie warczał, piszczał nerwowo.

Ta zmiana w zachowaniu zaniepokoiła mnie bardziej, niż gdyby zaczął szaleńczo szczekać.

Przeszedłem bokiem po werandzie do zachodniego kąta domku, starając się mieć na oku piaszczyste przedpole, ale też i Bobby'ego — jeśli faktycznie był to Bobby — najdłużej, jak to możliwe. Jednakże wkrótce znikł za domem, jako że nadal szedł południowym stokiem.

Orson przestał piszczeć. Gdzieś przepadł. Musiał za czymś pognać, chociaż to znające, że pobiegł tak bezszelestnie. Niespokojny wróciłem drogą, którą dopiero co przebyłem, i skierowałem się do schodów. Na oświetlonych księżycem wydmach nie dostrzegłem psa.

Zauważyłem go w otwartych frontowych drzwiach. Zerkał ostrożnie. Wycofał się do pokoju dziennego, tuż za próg. Uszy położył po sobie. Opuścił łeb. Sierść miał zjeżoną, jakby przeżył wstrząs elektryczny. Nie warczał ani nie piszczął, drżał tylko na całym ciele.

Wiele można by o nim powiedzieć, a już na pewno, że jest dziwny, ale nie tchórz czy głupi. Jego strach musiał być w pełni uzasadniony.

— W czym kłopot, przyjacielu?

Nawet na mnie nie spojrział. Nadal obsesyjnie wpatrywał się w przestrzeń za werandą. Chociaż obnażył zęby, nie zawarczał, nie był agresywny; ten grymas wyrażał wyjątkowy niesmak, obrzydzenie. Gdy odwróciłem się, by zlustrować otoczenie, kątem oka zauważyłem ruch, rozmyty zarys skulonego biegnącego człowieka. Mijał domek ze wschodu na zachód, pokonując płynnymi długimi susami ostatnią linię wydmy, wyznaczającą krawędź stoku nad plażą, jakieś piętnaście metrów ode mnie.

Odwróciłem się błyskawicznie, podnosząc glocka. Biegnący albo przypadł do ziemi, albo był zjawą. Przez moment zastanawiałem się, czy to Pinn. Nie. Orson nie przestraszyłby się Jessego Pinna.

Przeziąłem werandę, zszedłem po trzech drewnianych stopniach i zatrzymałem się na piasku. Dokładniej obejrzałem okoliczne wydmy. Rozrzucone kępki trawy falowały w powiewie. Część światła brzegowych migotała nad rozkołysanymi lekko wodami zatoki. Poza tym nic się nie poruszało.

Długa wąska chmura odwinęła się z podbródka księżycy, jak porwany bandaż osuwa się z oblicza wyschłej mumii faraona. Biegnący mógł być jedynie cieniem chmury. Być może. Ale miałem na ten temat inne zdanie.

A poza tym nie czułem się całkiem bezpiecznie.

Gwiazdy. Księżyc. Piasek. Trawy. I poczucie, że jestem obserwowany.

Ze stoku opadającego do plaży lub z płytkiego zagłębienia między wydmy, zza ekranu traw ktoś mnie obserwował. Spojrzenie może mieć swój ciężar i to docierało do mnie jak seria fal, nie jak leniwy przybój, ale jak w pełni rozpędzone zdwojone bałwany, bijące z siłą kowalskiego młota.

Teraz nie tylko psu zjeżyła się sierść.

Akurat kiedy zacząłem się martwić, że nieobecność Bobby'ego trwa tak długo, pojawił się zza wschodniego węgła domu. Szedł wzbijając obłoczki piasku wokół bosych stóp i nawet nie spojrział w moim kierunku; jego wzrok bez przerwy sunął od jednej wydmy do następnej.

— Orson się wystraszył — powiedziałem.

— Nie wierzę — rzekł Bobby.

— Wystraszył się śmiertelnie. Jak nigdy dotąd. A ten pies ma jaja jak wieloryb.

— No, jak się wystraszył, to nie mam do niego pretensji — powiedział Bobby.

— Sam prawie się wystraszyłem.

— Ktoś tam jest.

— Niejeden ktoś.

— Kto?

Bobby nie odpowiedział. Przesunął dłonie na dubeltówce, ale nadal trzymał ją w pogotowiu, i nie przestawał się rozglądać.

— Już tu byli — próbowałem zgadnąć.

— No.

— Po co? Czego chcieli?

— Nie wiem.

— Kim są? — spytałem kolejny raz.

Jak poprzednio, nie dostałem odpowiedzi.

— Bobby...? — naciskałem go.

Ogromna biała masa, wysoka na dobre kilkadziesiąt metrów, stopniowo napłynęła z zachodu, z ciemności nad oceanem; front mgły oświetlony księżycowym blaskiem, rozciągnięty daleko na północ i południe. Bez względu na to, czy napływał nad ląd, czy też wisiał całą noc nad brzegiem, walec mgły miażdżył wszelkie odgłosy. Formacja pelikanów bezszelestnie przeleciała nisko nad półwyspem i znikła za czarnymi wodami zatoki. Resztki bryzy od morza zgasły i wysokie trawy opadły, znieruchomiały. Teraz lepiej słyszałem powolne fale bijące o brzeg zatoki, chociaż nie był to łoskot, ale raczej szep-tana kołysanka.

Z daleka, z wysuniętego cypla coraz głębszą ciszę rozciął okrzyk tak niesamowity, jak wołanie nura. Z wydm koło domu odpowiedział mu drugi krzyk, równie ostry i ścinający krew w żyłach.

Przypomniały mi się stare westerny, w których Indianie nawołują się nocą, naśladowując głosy ptaków i kojotów, koordynują posunięcia bezpośrednio przed atakiem na pierścień wozów osadników.

Bobby wystrzelił w pobliskie wzgórze piasku. Tak mnie zaskoczył, że niewiele brakowało, a krew rozsądziłaby mi aortę szyjną.

Kiedy huk wrócił odbity od zatoki, rozszedł się dalej i wsączył w rozległą poduszkę mgły, powiedziałem:

— Czemu to zrobiłeś?

Zamiast odpowiedzieć Bobby przeładował broń i nasłuchiwał. Przypomniałem sobie Pinna, jak strzelił w sufit piwnicy kościoła, wzmacniając groźbę, którą wysunął pod adresem ojca Toma Eliota.

Nie usłyszawszy następnych nuropodobnych wrzasków, Bobby wreszcie się odezwał, prawie jakby mówił do siebie:

— Pewnie to niekonieczne, ale od czasu do czasu nie zawadzi dać im do zrozumienia, że trochę grubego śrutu może im spłaszczyć fryzurę.

— Komu? Kogo ostrzegasz?

Dawniej bywał tajemniczy, ale nigdy aż do tego stopnia.

Wydmy nadal przykuwały jego uwagę. Czas znów chwilowo zastygł, aż wreszcie Bobby nagle popatrzył na mnie, jakby poprzednio zapomniał, że stoję obok.

— Wejźmy do środka. Zedrzesz z siebie tę marną charakteryzację na Denzela Washingtona, a ja rzucę na patelnię parę morderczych *taco*.

Miałem na tyle oleju w głowie, żeby go nie naciskać. Był tajemniczy, chcąc zaostriżyć moją ciekawość i podkreślić swoją oryginalność dziwaka, albo dlatego że miał istotny powód kryć sekret nawet przede mną. Tak czy siak przebywał w tej wyjątkowej Bobbosferze, w której był równie niedostępny jak na swojej desce, w połowie narodzin fali, nad niesamowitą pustką.

Gdy szedłem za nim do domu, nadal miałem świadomość, że jestem obserwowany. Uwaga tego nieznanego obserwatora sprawiła, że zjeżyły mi się włosy na karku, jakby przeszedł tam krab pustelnik. Zanim przymknąłem drzwi, jeszcze raz rozejrzałem się wokół, ale nasi goście pozostali dobrze ukryci.

Łazienka jest wielka i luksusowa; całkowicie czarna granitowa podłoga, takie same blaty, ładne tekowe szafki i akry szlifowanych luster. Wielka kabina prysznicowa mogła pomieścić czwórkę ludzi, dzięki czemu idealnie nadawała się do robienia psiej toalety.

Corky Collins — który zbudował znakomity dom Bobby'ego na długo przed urodzeniem się tego ostatniego — był bezpretensjonalnym facetem, ale uwielbiał przyjemności życiowe, jak czteroosobową, wyłożoną marmurem łaźnię po przekątnej prysznicowa. Może Corky — którego prawdziwe imię i nazwisko brzmiało Toshiro Tokugawa, zanim je zmienił — fantazjował o orgiach z trzema plażowniczkami, a może po prostu uwielbiał być całkowicie, niesamowicie czysty.

W 1941 roku Toshiro — młodego człowieka — cudowne dziecko, liczące sobie zaledwie dwadzieścia jeden lat, prosto ze szkoły prawniczej internowano w Manzanar, obozie, w którym podczas drugiej wojny światowej więziono lojalnych Amerykanów pochodzenia japońskiego. Po wojnie, rozgniewany i poniżony, stał się aktywistą walczącym o prawa uciskanych. Po pięciu latach stracił wiarę w równość przed obliczem sprawiedliwości, doszedłszy przy tym do wniosku, że uciskani, gdy tylko mogą, natychmiast z całym przekonaniem uciskają innych.

Zajął się odszkodowaniami dla osób fizycznych. Ponieważ wykres jego wiedzy piał się tak stromo, jak te gigantyczne wodne walce pędzone tajfunami z Południowego Pacyfiku, szybko stał się najbardziej wziętym adwokatem, specjalistą od odszkodowań w okręgu San Francisco.

W ciągu następnych czterech lat uzbierał znaczną ilość gotówki i zrezygnował z praktyki adwokackiej. W 1956 roku, mając lat trzydzieści sześć, zbudował ten dom

na południowym cyplu Moonlight Bay, doprowadzając za cenę znacznych kosztów wodę, elektryczność i linię telefoniczną. Z cierpkim poczuciem humoru, który pozwolił mu uchronić jego cynizm przed zgorzknieniem, Toshiro Tokugawa urzędowo zmienił imię i nazwisko na Corky Collins. Było to w dniu wprowadzenia się do nowego domu, a każdy następny dzień życia poświęcił plaży i oceanowi.

Wyhodował sobie guzy surfera na dużych palcach u nóg, stopach, poniżej rzepek kolanowych i na dolnych żebrach. Pragnąc słyszeć bezpośrednio huk fal, Corky surfując nie używał zatyczek do uszu, więc dorobił się egzostazy, wyrostka kostnego. Polega to na tym, że kanalik ucha wewnętrznego kurczy się, gdy zapełnia go zimna woda i w wyniku powtarzającego się podrażnienia rozwija się złośliwy rak kości. Nim dobił pięćdziesiątki, trwale ogłuchł na lewe ucho. Każdy surfer po burzliwej przejażdżce smarcze wodą, kiedy jego zatoki gwałtownie pozbywają się wtłoczonej tam wody, następuje to wówczas, gdy fale porywają go z deski w głębinę. To niekulturalne zachowanie zwykle ma miejsce, kiedy rozmawiasz z kapitalną dziewczyną ubraną w bikini szerokości włosa. Po dwudziestu latach epokowych przewrotek na fali i związanych z tym nosowych niagar u Corky'ego rozwinęła się egzostaza kanalików zatok, co wymagało operacji chirurgicznej, w celu zapobieżenia bólom głowy i przywrócenia kanalikom prawidłowej drożności. W każdą rocznicę tej operacji wydawał przyjęcie ku chwale Prawidłowej Drożności. Po latach wystawiania się na palące słońce i słoną wodę w oczach Corky'ego, jak u każdego zaprzysięgłego surfera, pojawił się skrzydlik — skrzydełkowate zgrubienie spojówki na białku oka, sięgające tęczówki. Jego wzrok stopniowo słabł.

Dziewięć lat później umknął spod noża chirurga, zabity nie przez malanomę, nie przez rekina, ale przez samą wielką mamę, ocean. Chociaż Corky miał wtedy sześćdziesiąt dziewięć lat, wypłynął podczas sztormu na falach potworach, siedmiometrowych behemotach, górach wodnych, bałwanach, których większość surferów mających jedną trzecią jego lat nie próbowałyby dotrzeć, i zgodnie z tym, co mówili świadkowie, dopadł jednego takiego diabła i pokrzykując z uciechy, niemal fruując w powietrzu pędził na krawędzi, zostawiając za sobą prawdziwie święte ślady, raz za razem koziołkując — aż zmiotło go naprawdę wielkie monstrum i przygniotło następne. Takie lewiatany ważą tysiące ton, co oznacza dużo wody, zbyt dużo, aby z nią walczyć i nawet znakomity pływak bywa trzymany na dnie przez pół minuty, może dużo dłużej, zanim zaczerpnie powietrza. Co gorsza, Corky wynurzył się w złym momencie, akurat przygniotła go następna fala i został przytopiony podwójnie.

Surferzy w całej Kalifornii podzielają opinię, że Corky wiódł idealne życie i zmarł idealną śmiercią. Egzostaza ucha, egzostaza zatok, skrzydlik obu oczu — wszystko to głównie znaczyło dla Corky'ego, i wszystko było lepsze niż nuda albo atak serca, lepsze niż dostatnia emerytura, którą trzeba zarobić siedząc całe życie w biurze. Życie to było surfowanie, śmierć to było surfowanie, potęga natury wielka i wszechogarniająca, i serce się ścisnęło na myśl o godnym zazdrości słodkim przejściu Corky'ego przez świat, który innym sprawia tyle kłopotów.

Bobby odziedziczył domek.

Ten rozwój wypadków był dla niego zaskoczeniem. Obaj znaliśmy Corky'ego Collinsa, od kiedy mieliśmy jedenaście lat i po raz pierwszy zawędrowaliśmy na koniec cypla z deskami na bagażnikach naszych rowerów. Był mentorem każdego szczonego deskowego, głodnego przygód i pragnącego zapanować nad grzbietem fali. Nie zachowywał się, jakby grzbiet był jego, ale wszyscy szanowali Corky'ego, jakby faktycznie miał na własność wszystkie plaże od Santa Barbara aż po Santa Cruz. Irytował go każdy kręcidupiec, który ciął i kaleczył zacząć falę, pozbawiając innych przyjemności. Miał tylko pogardę dla ekspresowych surferów i gdybających typków wszelkiego rodzaju, ale był przyjacielem i natchnieniem nas wszystkich, którzy kochają morze i żyją w jednym rytmie z jego rytmem. Corky miał legion przyjaciół i wielbicieli, a część z nich znał od ponad trzech dziesięcioleci, więc nie posiadaliśmy się ze zdumienia, gdy zapisał wszystkie swoje ziemskie dobra Bobby'emu, którego znał zaledwie od lat ośmiu.

Jako wyjaśnienie wykonawca testamentu przekazał Bobby'emu list Corky'ego, arcydzieło zwięzłości:

Bobby,

to, co większość ceni — Ty nie. Oto mądrość.

Temu, co uważasz za istotne, jesteś gotów oddać

umysł, serce i duszę. Oto łaska.

Mamy tylko morze, miłość i czas. Morze dał Ci

Bóg. Miłość znajdziesz zawsze dzięki własnym czynom.

Więc ja daję Ci czas.

Corky dostrzegł w Bobbym kogoś, kto od dzieciństwa ma wrodzone zrozumienie tych prawd, których on nauczył się dopiero w trzydziestym szóstym roku życia. Chciał uhonorować i poprzeć owo zrozumienie. Niech Bóg go za to błogosławi.

Tego lata, kiedy Bobby zaliczył pierwszy rok w Ashdon College, dostał w spadku, po odliczeniu podatków, dom i skromną sumę w gotówce. Rzucił szkołę. To doprowadziło do białej gorączki jego rodziców. Jednakże mógł wzruszyć na to ramionami, ponieważ miał plażę, morze i przyszłość.

Poza tym jego starzy ciągle dostawali białej gorączki to z powodu tego, to z powodu owego, przez całe życie, i Bobby uodpornił się na to. Rodzice są właścicielami i redaktorami miejskiej gazety i zabawiają się krucjatami mającymi oświecić szeroki ogół, co oznacza, że według nich większość obywateli jest albo zbyt egoistyczna, by postępować właściwie, albo zbyt głupia, aby wiedzieć co dla nich najlepsze. Spodziewali się, że Bobby będzie dzielił ich, jak to nazywali, „namiętność do najistotniejszych problemów naszych czasów”, ale Bobby chciał uciec od ekspansji idealizmu swojej rodziny i od ich wszelkiej — źle ukrywanej — zazdrości, urazy i egoizmu. Bobby chciał tylko jednego — spokoju. Jego starzy też chcieli, ale dla całej planety, w każdym zakątku Statku Kosmicznego Ziemia, ale nie potrafili do tego doprowadzić w murach własnego domu.

Z letniskowym domkiem i forszą na rozruch interesu, który teraz zapewniał mu utrzymanie, Bobby znalazł spokój.

Wskazówki każdego zegara to ostrza nożyc, odcinających czas kawałeczki po kawałeczku, a każdy czasomierz z cyfrowym wskaźnikiem migotanie po migotaniu zbliża nas do implozji. Czas jest tak cenny, że nie można go kupić. Tak naprawdę, to Corky nie dał Bobby'emu czasu, ale szansę życia bez zegarów, bez świadomości zegarów, dzięki czemu wydaje się, że czas upływa łagodniej, mniejszymi kawałeczkami. Moi rodzice usiłowali zrobić to samo w stosunku do mnie. Jednakże z powodu XP niekiedy słyszę tykanie. Może Bobby też je niekiedy słyszy. Może nie ma sposobu na to, aby którykolwiek z nas całkowicie pozbył się świadomości istnienia zegarów.

Prawdę mówiąc, noc rozpaczy Orsona, gdy obserwował gwiazdy z takim przygnębieniem i odrzucał wszelkie moje pocieszenia, mogła być spowodowana świadomością przemijania. Słyszymy, że proste umysły zwierząt nie potrafią przyswoić sobie pojęcia śmiertelności. Lecz każde zwierzę ma instynkt przetrwania i rozpoznaje niebezpieczeństwo. Jeśli walczy o przetrwanie, to rozumie śmierć, choćby naukowcy i filozofowie mówili nie wiem co. To nie sentymentalizm New Age. To zwyczajny zdrowy rozsądek.

Teraz, w kabinie prysznic Bobby'ego, gdy zmywałem sadzę z Orsona, pies nadal miał dreszcze. Woda była ciepła. Dreszcze nie miały nic wspólnego z myciem.

Zanim wytarłem psa kilkoma ręcznikami i osuszyłem suszarką do włosów zostawioną przez Pia Klick, dreszcze ustały. Gdy wkładałem niebieskie dżinsy Bobby'ego i bawełnianą bluzę z długimi rękawami, Orson kilkakrotnie zerkał na okno z mlecznego szkła, jakby ku czemuś tam na dworze, ale chyba odzyskiwał pewność siebie.

Otarłem papierowymi ręcznikami skórzaną kurtkę i czapkę. Nadal zalatywały dymem, czapka bardziej niż kurtka. W słabym świetle ledwo mogłem odczytać napis nad daszkiem: „Pociąg Tajemnica”. Przesunąłem opuszką kciuka po wyszywanych literach, wspominając ślepe betonowe pomieszczenie, w którym znalazłem tę czapkę, w jednym z bardziej niesamowitych, opuszczonych obszarów Fort Wyvern.

Znów usłyszałem słowa Angeli Ferryman, odpowiedź na moje stwierdzenie, że Fort Wyvern jest zamknięty od półtora roku: „Pewne rzeczy nie umierają. Bez względu na to, jak byśmy chcieli ich śmierci”.

Ujrzałem kolejną scenę z przeszłości. Łazienka Angeli; wizerunek zaskoczonych śmiercią oczu i półotwarte usta wyrażające zdziwienie. Kolejny raz byłem głęboko przekonany, iż przeoczyłem jakiś ważny szczegół dotyczący stanu jej ciała i jak poprzednio, gdy próbowałem dokładniej przypomnieć sobie zbryzgane krwią oblicze, zamiast ujrzeć je wyraźniej, odpłynęło zamazując się.

„Pieprzmy to, Chris, jak zawsze to spieprzaliśmy... na większą skalę niż kiedykolwiek... i już nie ma drogi powrotu, żeby odkręcić, co się zrobiło”.

Taco — nadziewane siekanym mięsem kurczaka, sałatą, serem i salsą — były pyszne. Jedliśmy siedząc przy kuchennym stole zamiast opierać się o zlew i popijaliśmy piwo.

Chociaż Sasza nakarmiła go wcześniej, Orson wpakował w siebie parę kawałków kurczaka, ale nie potrafił mnie zauroczyć, żeby dostać jeszcze jednego heinekena.

Bobby włączył radio. Było nastawione na rozgłośnie, która właśnie zaczęła nadawać audycję Saszy. Przyszła północ. Sasza nie wspomniała o mnie ani nie poprzedziła piosenki dedykacją, ale puściła „Heart Shaped World” Chrisa Isaaka, mój ulubiony kawałek.

W ogromnym skrócie opowiedziałem Bobby’emu wydarzenia tego wieczora. Opowiedziałem mu o scenach w szpitalnym garażu, w krematorium Kirka i plutonie nieznanym ludzi, którzy ścigali mnie wzgórzami za zakładem pogrzebowym. W ciągu tej całej relacji spytał tylko:

— Tabasco?

— Co?

— Do salsy.

— Nie — powiedziałem. — Już jest dość mordercza.

Sięgnął do lodówki i trysnął tabasco w zjedzone do połowy *taco*.

Teraz Sasza puszczała „Two Hearts” Chrisa Isaaka.

Przez jakiś czas co chwila spoglądałem w okno, zastanawiając się, czy jesteśmy obserwowani. Początkowo myślałem, że Bobby nie dzieli mojego niepokoju, ale w pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że od czasu do czasu celowo, choć z pozorną niedbałością, zerka w ciemność na dworze.

— Spuścić żaluzję? — zasugerowałem.

— Nie. Oni jeszcze pomyślą, że mnie to obchodzi.

Udawaliśmy, że nie jesteśmy skrępowani.

— Co to za „oni”?

Milczał, ale przeczekałem to i wreszcie powiedział:

— Nie jestem pewien.

To nie była szczerza odpowiedź, ale nie naciskałem.

Kontynuowałem moją opowieść i nie chcąc narażać się na drwiny Bobby’ego nie wspomniałem, że kot doprowadził mnie do tunelu pod wzgórzami, ale opisałem kolekcję czaszek na stopniach przelewu spływowego. Opowiedziałem mu o szefie Stevensonie rozmawiającym z łysym mężczyzną z kolczykiem i o znalezieniu pistoletu na moim łóżku.

— Broń po byku — ocenił podziwiając glocka.

— Tato zamówił celownik laserowy.

— Cudo.

Czasem Bobby jest niewzruszony jak skała, tak spokojny, że zadajesz sobie pytanie, czy faktycznie cię słucha. Okazywał to niesamowite opanowanie już jako chłopiec, a im starszy, tym częściej. Właśnie przyniosłem mu zdumiewające wieści o niesłychanych przygodach, a on reagował tak, jakby słuchał wyników meczu koszykówki.

Spojrzałem w ciemność za okno i zastanawiałem się, czy tam ktoś trzyma mnie na muszce, może na celowniku noktowizora. Ale zdałem sobie sprawę, że gdyby chciano nas zastrzelić, zdmuchnięto by nas, kiedy byliśmy na wydmach.

Opowiedziałem Bobby'emu wszystko, co zdarzyło się w domu Angeli Ferryman.

— Likier morelowy. — Skrzywił się.

— Nie wypilem dużo.

— Dwa kieliszki dziadostwa i zaczniesz gadać z mewami. — To było powiedzonko surferów, oznaczające wymiotowanie.

Zanim doszedłem do tego, jak Jesse Finn terroryzował ojca Toma w kościele, każdy z nas wykończył trzy *taco*. Bobby zrobił następne dwa i przyniósł do stołu. Sasza puszczała „Graduation Day”.

— Normalny festiwal Chrisa Isaaka.

— Puszczaj go dla mnie.

— No. Nie pomyślałem, że Chris Isaak jest w rozgłośni, i trzyma sfluwę przy głowie Saszy.

Żaden z nas nie odezwał się już, dopóki nie skończyliśmy ostatniej porcji *taco*. Gdy wreszcie Bobby zadał pytanie, chciał tylko dowiedzieć się, co powiedziała Angela:

— Więc mówiła ci, że to była małpa i nie była.

— O ile dokładnie sobie przypominam, brzmiało to: „Wydawało się, że to małpa. I to była małpa. Małpa i niemałpa. I to było nie tak”.

— Myślałeś, że całkiem jej odbiło?

— Była załamana, przerażona, mocno przerażona, ale nie świrowała. Poza tym, ktoś ją zabił, żeby zamknąć jej usta, więc w tym, co mówiła, musiało coś być.

Pokiwał głową i wypił trochę piwa. Milczał tak długo, że wreszcie zapytałem:

— Co teraz?

— Mnie pytasz?

— Nie zwracałem się do psa — powiedziałem.

— Machnij na to ręką.

— Co?

— Zapomnij o tym, żyj jakby nigdy nic.

— Wiedziałem, że to powiesz — wyznałem.

— To po co mnie pytałeś?

— Bobby, może śmierć mamy to nie był wypadek.

— Wygląda na to, że bardziej niż „może”.

— I może rak taty to było coś więcej niż rak.

— Więc chcesz wejść na ścieżkę pomsty?

— Morderstwo nie może ujść tym ludziom na sucho.

— Pewnie, że może. Morderstwa stale uchodzą ludziom na sucho.

— No, ale nie powinny.

— Nie powiedziałem, że powinny. Powiedziałem tylko, że uchodzą.

— Wiesz, Bobby, życie nie sprowadza się tylko do surfowania, seksu, jedzenia i piwa.

— Nigdy nie mówiłem, że się sprowadza. Mówiłem tylko, że powinno się sprowadzać.

— No, ja nie mam stracha — rzekłem, przeczesując wzrokiem ciemność za oknem. Bobby westchnął i rozsiadł się wygodniej na krześle.

— Jak czekasz na złapanie fali i warunki są bajeczne, naprawdę wielka zadyma nadciąga nad wybrzeże, przylatuje seria siedmiometrówek i sprawdza granice twoich możliwości, ale wiesz, że potrafisz je przesunąć, dasz sobie radę, a ty tylko siedzisz na desce i udajesz boję do końca serii, wtedy masz stracha. Ale powiedzmy, że nagle przylatuje długa seria dziesięciometrówek, potężnych, gęstych walców, które zgniotą cię równo z dnem, zedrą cię z deski, wcisną w dół i przytrzymają tak, że będziesz żuł wodorosty i modlił się do Jezusa. Jak masz wybór... albo zostać zdmuchnięty, albo być boją, to nie masz stracha, kiedy tylko siedzisz na desce i mokniesz przez całą serię. Demonstrujesz dojrzały sąd. Nawet kompletny surfowuszczyk buntowuszczyk trochę tego potrzebuje. A lalusz, który próbuje fali, chociaż wie, że zleci jak z wodospadu, chociaż wie, że będzie wciśnięty w dno... no cóż, to duppek.

Byłem wzruszony faktem, iż wygłosił tak długą przemowę, bo to znaczyło, że jest bardzo przejęty moim losem.

— Więc nazywasz mnie dupkiem — podsumowałem.

— Jeszcze nie. Zależy od tego, co z tym zrobisz.

— Więc jestem materiałem na dupka.

— Powiedzmy tylko, że twój potencjał dupkowatości nie mieści się w skali Richtera.

Potrząsnąłem głową.

— No, z miejsca, w którym siedzę, to nie wygląda na dziesięciometrowe.

— Może na piętnastometrówkę.

— Wygląda maks na siódemkę.

Wywrócił oczami, jakby chciał powiedzieć, że jedyne miejsce, w którym spodziewa się ujrzeć zdrowy rozsądek, to jego głowa.

— Z tego, co mówiła Angela, wynika, że wszystko sprowadza się do tego samego programu w Fort Wyvern.

— Poszła na górę wziąć coś, co chciała mi pokazać... chyba jakiś dowód, coś, co jej mąż pewnie zwał. To coś zostało zniszczone w pożarze.

— Fort Wyvern. Wojo. Armia.

— Co z tego?

— Mówimy tu o państwie — powiedział Bobby. — Bratku, państwo to nie dziesięciometrowa. To trzydziecia. To tsunami.

— Tu jest Ameryka.

— Bywałem w tym kraju.

— Mam tu obowiązek.

— Co za obowiązek?

— Moralny obowiązek.

Zafalował brwiami, ścisnął palcami garbek nosa, jakby słuchanie mnie przyprawiło go o ból głowy, i powiedział:

— Zdaje mi się, że jak włączysz wieczorne wiadomości i usłyszysz, że zbliża się kometę i zniszczy ziemię, to, Supermanie, naciągniesz rajstopki, owiniesz się peleryną i polecisz w kosmos, dać kopa draniowi w drugi koniec galaktyki.

— Chyba że peleryna jest w pralni chemicznej.

— Dupek.

— Dupek.

20

— Spójrz — powiedział Bobby. — Właśnie spływają dane. To z brytyjskiej rządowej agencji meteorologicznej. Wpuścisz w komputer i możesz zmierzyć wysokość fali na całym globie, z dokładnością do kilku centymetrów.

Nie włączył świateł w gabinecie. Ogromne monitory różnych końcówek komputerowych dawały mu dosyć światła i więcej niż dosyć mnie. Kolorowe mapy baryczne, powiększone zdjęcia satelitarne i ruchome mapy frontów atmosferycznych przesuwały się przez ekrany.

Nie wielbię epoki komputerów i nigdy nie będę jej wielbił. W okularach chroniących przed promieniami ultrafioletowymi trudno mi coś odczytać na monitorze i kiedy te wszystkie promienie mnie bombardują, nie mogę ryzykować wielogodzinnego przebywania w tych warunkach, nawet jeśli ekrany mają filtry. To źródła niskiej emisji, ale biorąc pod uwagę kumulację szkodliwego oddziaływania, parę godzin przy komputerze byłoby dla mnie burzą świetlną. Piszę ręcznie w notatnikach; okazjonalny artykuł czy bestseller, który sprawił, że „Time” zamieścił długi artykuł o mnie i XP.

Wypełnione komputerami pomieszczenie to serce Surfcastu, służby meteorologicznej Bobby'ego, przepowiadającej warunki surfingu, która faksuje codzienne informacje subskrybentom na całym świecie, ma własną stronę w Internecie i dysponuje numerem automatycznej informacji. Cztery osoby pracują poza biurem, w Moonlight Bay; mają połączenie siecią komputerową z Bobbym, ale on sam przeprowadza finalną analizę danych i prognozuje warunki surfingu.

Na wybrzeżach oceanów świata około sześciu milionów surferów regularnie ujeżdża fale, w tym około pięciu i pół miliona zadowolona się takimi, które sięgają — od podstawy do grzbietu — dwa, dwa i pół metra. Oceaniczne wybrzuszenia ukrywają swoją moc pod powierzchnią, sięgają w dół aż na trzysta metrów i nie są falami, aż podpłyną pod brzeg i rozbiją się o niego; w związku z tym do końca lat 80, XX wieku nie było sposobu, by móc w miarę wiarygodnie przewidzieć, gdzie i kiedy uda się znaleźć dwumetrowe garby. Narkosurfingowcy czasem spędzają na plaży całe dni przeczekując średnie, słabe albo nawet nijakie fale, podczas gdy kilkaset kilometrów w lewo lub

w prawo wielkie fale biją o brzeg, zasłaniając cały horyzont. Znaczący procent tych pięciu milionów woli raczej zapłacić Bobby'emu kilka dolców, by dowiedzieć się, gdzie będzie lub nie będzie się coś działo, niż polegać wyłącznie na dobrej woli Kahuna, boga wszelkich fal.

Kilka dolców. Sama automatyczna linia informacyjna przyjmuje osiemset tysięcy telefonów każdego roku, po dwa dolary za usługę. To ironia losu, że leniuch i surfowuszczyk buntowuszczyk Bobby jest prawdopodobnie najbogatszym mieszkańcem Moonlight Bay — chociaż nikt nie zdaje sobie z tego sprawy i chociaż on sam rozdaje większość zysków.

— Proszę — powiedział Bobby zapadając się w fotel przed jednym z komputerów.
— Zanim pomkniesz ratować świat i dasz sobie odstrzelić głowę, pomyśl o tym.

Orson przekrzywił łeb obserwując ekran, a Bobby zastukał w klawiaturę, przywołując nowe dane.

Większość spośród tego pozostałego pół miliona czeka na fale sięgające, powiedzmy, ponad pięć metrów, a zapewne niecałe dziesięć tysięcy umie dosiadać siedmiometrowek, lecz chociaż tych zdumiewająco wyszkolonych i zuchowatych typów jest mniej, prawie wszyscy zamawiają prognozy u Bobby'ego. Oni żyją i umierają dla jazdy na fali; przegapić serię tych wielkich potworów, zwłaszcza w sąsiedztwie, byłoby czymś w rodzaju szekspirowskiej tragedii zamków wznoszonych z piasku, niszczonych wiatrem.

— Niedziela — oznajmił Bobby, nadal stukając w klawiaturę.

— Ta niedziela?

— Lepiej żebyś tu był za dwie noce. Znaczy się, lepsze to, niż dać się zabić.

— Nadchodzi wielka fala?

— Ta będzie święta.

Może trzystu lub czterystu spośród wszystkich surferów na ziemi ma doświadczenie, talent i jaja, by wspiąć się na fale sięgające powyżej siedmiu metrów i część spośród nich dobrze płaci Bobby'emu za śledzenie prawdziwych gigantów, chociaż są zdradzieckie i zdolne zabić. Paru tych maniaków to bogacze, którzy polecą w każdy zakątek świata rzucić wyzwanie falom sztormowym, dziesięcio-, a nawet piętnastometrowym behemotom, na które często wciągają ich pomocnicy na skuterach wodnych, bo dopadnięcie tak wielkich monolitów w zwykły sposób jest często niemożliwe. Dobrze uformowane, warte, by je dosiąść, plus dziesięciometrowy pojawiają się na całym świecie nie częściej niż trzydzieści dni w roku, a często przyplývają do egzotycznych brzegów. Korzystając z map, zdjęć satelitarnych i danych pogodowych z licznych źródeł Bobby potrafi dostarczyć dwu — lub trzydniowe ostrzeżenie i jego prognozy są tak godne zaufania, że większość z najbardziej wymagających klientów nigdy nie narzekała.

— Masz. — Bobby wskazał profil fali na monitorze. Orson przyglądał jej się dokładnie, podczas gdy Bobby mówił: — Moonlight Bay, fala łamiąca się na grzbiecie. Zapowiada się klasyczne niedzielne popołudnie, wieczór i aż do poniedziałkowego brzasku — walce pełną gębą.

Widok na ekranie nappełnił mnie zdziwieniem.

— Czyżbym widział czterometrówki?

— Trzy do czterech metrów i może parę serii do pięciu. Niedługo dotrą do Haiti, a potem... do nas.

— To będzie na żywo.

— Całkowicie na żywo. Powoli nadchodzi wielki sztorm od północy Tahiti. Zapowiada się też wiatr od lądu, tak że te potwory utworzą bardziej puste, wariacko wydrażone becзки, niż ci się to kiedykolwiek śniło.

— Super.

Odwrócił się z fotelem i spojrzał na mnie.

— Więc czego chcesz osiąść... niedzielnego sztormu z Tahiti czy rurociągu śmierci, prawdziwego tsunami z Wyvern.

— Jednego i drugiego.

— Kamikadze — powiedział uszczypliwie.

— Kaczka — przezwiałem go z uśmiechem, co było tym samym, jakbym nazwał go „boja”, jak się mówi na takiego, który siedzi na desce i zawsze brak mu jaj, żeby wspiąć się na falę.

Orson wodził głową od jednego z nas do drugiego i z powrotem, jakby obserwował mecz tenisowy.

— Głęb — powiedział Bobby.

— Wabik — rzuciłem, a było to równoznaczne z „boją”.

— Dupek — rzekł, co ma identyczną konotację w slangu surferów, jak i w mowie potocznej.

— Rozumiem więc, że nie wchodzisz w to ze mną.

— Nie możesz iść na policję — powiedział wstając. — Nie możesz iść do FBI. Wszyscy są opłacani przez drugą stronę. Masz nadzieję się dowiedzieć o jakimś niezwykle tajnym programie w Wyvern?

— Już trochę odkryłem.

— No i z kolei dowiesz się czegoś, za co zostaniesz zabity. Słuchaj, Chris, nie jesteś Sherlockiem Holmesem ani Jamesem Bondem. W najlepszym razie jesteś Nancy Drew.

— Nancy Drew ma nieprawdopodobny wskaźnik odkryć — przypomniałem mu. — Przyszpiliła sto procent drani, do których się zabrała. Będę zaszczycony, kiedy uzna się mnie za osobę dorównującą takiemu wystrzałowemu przeciwnikowi zbrodni jak pani Nancy Drew.

— Kamikadze.

— Kaczka. Głęb.

— Wabik.

Bobby roześmiał się cicho, potrząsnął głową i podrapał szczecinę na brodzie.

— Rzygać mi się chce od ciebie — powiedział.

— Nawzajem.

Zadzwoił telefon. Bobby odebrał.

— Hej, boska, totalnie odpadam od tego nowego pomysłu — cały czas tylko Chris Isaak. Puść dla mnie „Dancin”, dobra? — Podał mi słuchawkę. — To do ciebie, Nancy.

Lubię radiowy głos Saszy. Tylko niewiele różni się od jej „normalnego” głosu; jest nieco głębszy, miększy i jedwabistszy, ale efekt jest piorunujący. Kiedy słyszę Saszę dżezja, chcę kłębić się z nią w łóżku. Chcę kłębić się z nią w łóżku i tak, najczęściej jak to możliwe, ale kiedy używa swojego radiowego głosu, to chcę kłębić się z nią natychmiast. Ten głos pojawia się u niej z chwilą, w której wkracza do studia, i jest z nią nawet wtedy, kiedy schodzi z anteny, aż do opuszczenia miejsca pracy.

— Ten kawałek kończy się za jakąś minutę i muszę coś paplać przed następnym — oświadczyła mi — więc będę się zwiącać. Ktoś tu przed chwilą wpadł i chciał się z tobą skontaktować. Mówi, że to sprawa życia i śmierci.

— Kto?

— Nie mogę podać nazwiska przez telefon. Obiecałam. Kiedy powiedziałam, że pewnie będziesz u Bobby’ego... ta osoba nie chciała tam do ciebie dzwonić ani tam pójść.

— Dlaczego?

— Dokładnie nie wiem. Ale... ta osoba była naprawdę zdenerwowana, Chris. „To ja zaznajomiłem się z nocą”. Wiesz, o co chodzi?

„To ja zaznajomiłem się z nocą”.

Fragment wiersza Roberta Prosta.

Tato wpoił mi uwielbienie poezji. Ja zaraziłem nią Saszę.

— Tak — powiedziałem. — Chyba wiem o co chodzi.

— Chce spotkać się z tobą najszybciej, jak to możliwe. Mówi, że to sprawa życia i śmierci. Co się dzieje, Chris?

— Wielka fala przyplywa w niedzielę wieczorem — powiedziałem.

— Nie o to mi chodziło.

— Wiem. Resztę powiem ci później.

— Wielka fala. Dałabym sobie na niej radę?

— Czterometrówki.

— Dziękuję, postoję i pobawię się na plaży.

— Kocham twój głos — powiedziałem.

— Gładki jak zatoka.

Odłożyła słuchawkę, więc ja też.

Bobby słyszał tylko część rozmowy, ale dzięki swojej niebywale intuicji wyobraził sobie nastrój i cel telefonu Saszy.

- W co się pakujesz?
- To tylko coś dla Nancy. Nie zaciekałoby cię.

Podczas gdy Bobby i ja szliśmy na werandę, a za nami podążał wciąż niespokojny Orson, radio w kuchni zaczęło swingować z „Dancin” Chrisa Isaaka.

- Sasza to niesamowita kobieta — powiedział Bobby.
- Nierzeczywista — zgodziłem się z nim.
- Nie będziesz mógł z nią być, jak zostaniesz martwy. Nie jest taka zboczona.
- Rozumiem, co masz na myśli.
- Masz okulary przeciwsłoneczne?

Poklepałem się po kieszeni.

- No.
- Natarłeś się kremem z filtrem?
- Tak, mamo.
- Głęb.
- Myślałem... — powiedziałem.
- Najwyższy czas zacząć.
- Pracowałem nad nową książką.
- Wreszcie ruszyłeś swój leniwy tyłek.
- Jest o przyjaźni.
- Występuję w niej?
- Niesłychane, ale tak.
- Nie używasz mojego prawdziwego nazwiska, co?

— Nazywam cię „Igor”. Rzecz w tym... obawiam się, że czytelnicy mogą skojarzyć, co chcę powiedzieć, bo ty i ja... wszyscy moi przyjaciele... prowadzimy takie odmienne życie.

Bobby zatrzymał się u szczytu schodów i rzucił mi swoje osobliwe szydercze spojrzenie, mówiąc:

- Myślałem, że do pisania książek trzeba być mądrym.
- To nie prawo federalne.
- Najwyraźniej nie. Nawet literacki odpowiednik kręcidupca powinien wiedzieć, że każdy z nas przeżywa odmienne życie.
- Coś ty? Maria Cortez przeżywa odmienne życie?

Maria jest młodszą siostrą Manuela Ramireza, ma dwadzieścia osiem lat, jak Bobby i ja. Jest fryzjerką, a jej mąż pracuje jako mechanik samochodowy. Mają dwójkę dzieci, jednego kota i mały własnościowy domek z wielką hipoteką.

— Ona nie przeżywa swojego życia w salonie fryzjerskim, robiąc komuś włosy... ani w domu odkurzając dywan — powiedział Bobby. — Ona przeżywa swoje życie między

uszami. Tam, w jej czaszce, jest cały świat i to pewnie znacznie dziwniejszy i o wiele kapitalniejszy, niż ty czy ja z naszymi płytkimi garnkami zamiast mózgów możemy sobie wyobrazić. Sześć miliardów nas łączących po tej planecie, sześć miliardów mniejszych światów na większym. Obwoźni sprzedawcy butów i kucharze w jadłodajniach, którzy z zewnątrz wyglądają na nudziarzy... niektórzy z nich żyją bardziej niesamowitym życiem niż ty. Sześć miliardów opowieści, każda jak epepeja, pełna tragedii i triumfów, dobra i zła, rozpacz i nadziei. Ty i ja... nie jesteśmy tacy nadzwyczajni, bratku.

Na chwilę przytknęło mnie. Skubnąłem rękaw jego pstrokatej koszuli i powiedziałem:

— Nie przypuszczałem, że taki z ciebie filozof.

Wzruszył ramionami.

— Ten klejnocik mądrości? Do diabła, to tylko wpadło mi w ciasteczku z przepowiednią.

— To musiał być solidny glon ciasta.

— Hej, to był wielki monolit, lalusi — rzekł posyłając mi chytry uśmiešek.

Wielka ściana oświetlonej księżycem mgły majaczyła niecały kilometr od brzegu, ani bliżej, ani dalej niż poprzednio. Nocne powietrze było tak nieruchome, jak w kostnicy Szpitala Miłosierdzia.

Kiedy zeszliśmy ze stopni werandy, nikt do nas nie strzelił. Nikt też nie krzyknął jak nur. Jednakże oni byli gdzieś tam, ukrywali się wśród wydm lub poniżej krawędzi stoku opadającego do plaży. Wyczuwałem ich skupienie, jak niebezpieczną energię w zwojach nieruchomego, szykującego się do ukąszenia grzechotnika, domagającą się uwolnienia.

Chociaż Bobby zostawił dubeltówkę wewnątrz, był czujny. Rozglądając się wkoło, gdy towarzyszył mi w drodze do roweru, zaczął okazywać, trochę więcej niż poprzednio, zainteresowania moją opowieścią.

— Ta małpa, o której wspomniała Angela...

— Co z nią?

— Jaka była?

— Małpiasta.

— Jak szympan, orangutan, czy co?

Złapałem rower za kierownicę, odwróciłem w kierunku miękkiego piasku.

— To był rezus — powiedziałem. — Nie wspomniałem o tym?

— Jak duży?

— Powiedziała, że mierzył około sześćdziesięciu centymetrów, ważył kilkanaście kilogramów.

Spoglądając w kierunku wydm, powiedział:

— Sam widziałem parę.

Zaskoczony oparłem rower o balustradę i powiedziałem:

— Rezusy? Tutaj?

— Ten sam gatunek małpy, tych rozmiarów. Oczywiście w Kalifornii nie żyją żadne małpy. Jedyne naczelne w lasach i na polach to ludzie. Raz w nocy przyłapałem jedną na gapieniu się przez okno — powiedział Bobby. — Wyszedłem na dwór, a jej nie było.

— Kiedy to się wydarzyło?

— Może jakieś trzy miesiące temu.

Orson poruszał się między nami, jakby dodając sobie otuchy.

— Widziałeś je od tamtej pory? — spytałem.

— Sześć, siedem razy. Zawsze nocą. Są skryte. Ale ostatnio coraz śmielsze. I wędrują gromadą.

— Gromadą?

— Wilki wędrują watahą. Konie stadem. U małp to się nazywa „gromada”.

— Robiłeś badania źródłowe. Czemu mi nie powiedziałeś?

Milczał. Obserwował wydmy.

Ja też je obserwowałem.

— To one są tam teraz?

— Może.

— Ile jest w tej gromadzie?

— Nie wiem. Może sześć albo osiem. To tylko przypuszczenie.

— Kupiłeś dubeltówkę. Myślisz, że są niebezpieczne?

— Może.

— Zgłosiłeś o nich komuś? Na przykład urzędowi kontroli zwierząt?

— Nie.

— Dlaczego?

Zamiast odpowiedzieć zawahał się i po chwili rzekł:

— Dostanę świra z tą Pia.

Pia Klick. Miała posiedzieć nad Waimea dwa, trzy miesiące, siedzi trzeci rok.

Nie rozumiałem związku między Pia a niemożnością zgłoszenia małp urzędowi kontroli zwierząt, ale wyczuwałem, że Bobby wskaże mi tę więź.

— Mówi, iż odkryła, że jest wcieleniem Kaha Huna — powiedział Bobby.

Kaha Huna to mityczna hawajska bogini surfingu, która przede wszystkim nigdy tak naprawdę nie miała ciała, stąd też nie mogła się w żadne ciało wcielić. Biorąc pod uwagę, że Pia nie była *kamaaina*, Hawajką, ale *haole*, rdzenną mieszkanką Oskaloosa, Kansas i mieszkała tam do siedemnastego roku życia, nie wydawała się wymarzoną kandydatką na mitologiczną *uber wahine*.

— Nie ma referencji — orzekłem.

— Traktuje to ze śmiertelną powagą.

— No, jest dość śliczna, żeby być Kaha Huna. Zresztą inną boginią też.

Stojąc obok Bobby'ego nie widziałem zbyt dobrze jego oczu, ale twarz miał pozbawioną wyrazu. Nigdy poprzednio nie widziałem, żeby miał twarz pozbawioną wyrazu. W jego wypadku to było niemożliwe.

— Rozważa, czy będąc Kaha Huna nie powinna zachować celibatu.

— Uuuuch.

— Pewnie wyobraża sobie, że nie powinna nigdy żyć z normalnym lalusem, to znaczy śmiertelnym mężczyzną. To byłoby bluźniercze odrzucenie przeznaczenia.

— Brutalne — powiedziałem ze zrozumieniem.

— Ale byłoby super z jej strony, gdyby zadała się z bieżącym wcieleniem Kahuna.

Kahuna to mityczny bóg surfingu. W głównej mierze stwór współczesnych surferów, którzy stworzyli tę legendę z biografii dawnego hawajskiego znachora.

— A ty nie jesteś wcieleniem Kahuna.

— Ani mi się śni.

Z tej odpowiedzi wysnułem wniosek, że Pia usiłuje go przekonać, że w istocie jest bogiem surfingu.

— Ona jest taka inteligentna, taka uzdolniona — powiedział Bobby z widoczną żalnością i zakłopotaniem.

Pia skończyła UCLA z *summa cum laude*. Opłacała szkołę malując portrety; teraz jej hiperrealistyczne dzieła szły za spore sumy, tak szybko, jak chciało jej się malować.

— Jak ktoś może być tak inteligentny i tak uzdolniony — pytał podniesionym głosem Bobby — a potem... to?

— Może jesteś Kahuna?

— To wcale nieśmieszne — rzekł, co było zdumiewającym stwierdzeniem, ponieważ wszystko w takim czy innym stopniu było dla Bobby'ego śmieszne.

Trawy wydmowe omdlewały w świetle księżyca, ani źdźbło nie zadrzało w bezwietrznym powietrzu. Łagodny rytm przyboju unoszący się z plaży był jak mruçando odległego rozmodlonego tłumu.

Sprawa Pia była fascynująca, ale w sposób zrozumiały bardziej interesowałem się małpami.

— Te ostatnie kilka lat — powiedział Bobby — kiedy Pia zachłystywała się New... no, czasem dało się wytrzymać, ale czasem to było jak wystawianie się na najgorsze błocko.

„Błocko” to fala wymieszana dokładnie z piaskiem i drobnymi kamyczkami, siekająca po twarzy, kiedy wchodzisz do wody. Nie są to miłe warunki do surfingu.

— Czasem, kiedy kończę z nią rozmawiać przez telefon — powiedział Bobby — jestem tak zamotany, tak mi jej brak, tak bardzo chciałbym z nią być... Mało brakuje, a przysięgłbym, że ona jest Kaha Huna. Jest tak szczerą. I wiesz, ona wcale o tym nie nawija. Właśnie ten jej spokój najbardziej wywraca mi flaki.

— Nie wiedziałem, że coś jest w stanie wywrócić ci flaki.

— Ja też nie wiedziałem. — Westchnął, rozkopując piasek bosą stopą i zaczął wykazywać związek między Pia i małpami: — Kiedy pierwszy raz zobaczyłem małpę w oknie, było spoko, rozśmieszyła mnie. Pomyślałem, że komuś uciekło oswojone zwierzę... ale drugi raz była już niejedna. I to było tak zwariowane, jak to całe gównno z Kaha Huna, bo wcale nie zachowywały się jak małpy.

— O co ci chodzi?

— Małpy lubią się bawić, błaznować. A te stwory... one się nie bawiły. Te poważne, małe dziwadła miały jakiś cel. Obserwowały mnie i dom nie z ciekawości, ale realizując jakiś plan.

— Jaki plan?

Bobby wzruszył ramionami.

— Były takie dziwne...

Chyba brakowało mu słowa, więc zapożyczyłem je od H.P. Lovecrafta, którego opowieściami tak entuzjasmowaliśmy się, mając trzynaście lat:

— Przerażliwe.

— No. Były przeraźliwe do maksimum. Wiem, że nikt by mi nie uwierzył. Jakbym prawie miał halucynacje. Złapałem aparat, ale nie udało mi się zrobić zdjęcia. Wiesz, czemu?

— Paluchy na obiektywie?

— Nie chciały dać się sfotografować. Na widok aparatu cofały się, a były wariacko szybkie. — Zerknął na mnie, odczytując reakcję, a potem znów skierował wzrok na wydmy. — Wiedziały, do czego służy aparat fotograficzny.

Nie mogłem się oprzeć.

— Hej, ty ich nie antropomorfizujesz, no nie? Wiesz, nie przypisujesz ludzkich cech i zachowań zwierzętom.

— Po tamtej nocy — kontynuował ignorując moją uwagę — nie odkładałem aparatu do szafy. Trzymałem go na ladzie kuchennej, pod ręką. Pomyślałem, że jak się znów pokażą, to może uda mi się trzasnąć zdjęcie, zanim zorientują się, co jest grane. Pewnej nocy, jakieś półtora miesiąca temu, waliły dwuipółmetrowki przy dobrym wietrze od lądu, beczka po beczce, więc chociaż było trochę chłodnawo, wrzuciłem na siebie skafander i przez kilka godzin kotłowałem się daleko w wodzie. Nie zabrałem ze sobą aparatu na plażę.

— Dlaczego?

— Nie widziałem cholernych małp od tygodni. Pomyślałem sobie, że może już nigdy ich nie zobaczę. W każdym razie, kiedy wróciłem do domu, zrzuciłem z siebie neopren, poszedłem do kuchni i wziąłem piwo. Odwróciłem się, a tu dwie małpy wiszą w oknach na zewnątrz i patrzą się na mnie. Sięgnąłem po aparat... ale on znikł.

— Gdzieś go zapodziałeś.

— Nie. Przepadł na dobre. Wychodząc na plażę nie zamknąłem drzwi na klucz. Nigdy więcej już tego nie zrobię.

— Chcesz mi powiedzieć, że małpy zabrały aparat?

— Następnego dnia kupiłem nowy. Znow położyłem go na ladzie przy piekarniku. Zostawiłem włączone światła, zamknąłem drzwi na klucz i poszedłem z deską na plażę.

— Dobrze się surfowało?

— Wolno. Ale chciałem dać im szansę. I wykorzystały ją. Kiedy mnie nie było, rozbiły szybę, otworzyły okno i ukradły ten nowy dziecienny aparat. Nic poza tym. Tylko aparat.

Teraz zrozumiałem, czemu dubeltówka jest trzymana w zamkniętym schowku na miotły.

Domek na cyplu, bez sąsiadów, zawsze mi się podobał. Był znakomitym miejscem odosobnienia. Wieczorem, kiedy surferzy odeszli, niebo i morze tworzyły sferoidę, w której dom stał jak diorama w jednym z tych szklanych przycisków na papiery, który po potrząśnięciu wypełnia się wirującym śniegiem, chociaż zamiast zadymki panuje tam spokój i cudowna samotność. Jednakże teraz ta kształcząca samotność stała się denerwującą izolacją. Noc zamiast oferować spokój zgęstniała od stężonego oczekiwania.

— I zostawiły mi ostrzeżenie — powiedział Bobby.

Wyobraziłem sobie groźbę wypisaną niekształtnymi drukowanymi literami: PILNUJ WŁASNEJ DUPY. Podpis: MY, MAŁPY.

Jednakże były zbyt mądre, by zostawić pisemny dowód rzeczowy, i zbyt bezpośrednio.

— Jedna nasrała mi na łóżko — powiedział Bobby.

— Och, miłe.

— Powiedziałem, że są skryte. Zdecydowałem, że nawet nie będę próbował ich fotografować. Gdyby którejs nocy udało mi się zniecka którąś cyknąć... chyba by się jakoś wkurzyły.

— Boisz się ich. Nie wiedziałem, że coś może wywrócić ci flaki i nie wiedziałem, że w ogóle możesz się bać. Dzisiejszej nocy wiele się o tobie dowiaduję, bratku.

Nie chciał przyznać się do tego, że się bał.

— Kupiłeś dubeltówkę — naciskałem.

— Bo to chyba dobrze postawić się im od czasu do czasu, dobrze pokazać tym małym draniom, że cenię swoje terytorium, a to, na Boga, jest moje terytorium! Ale tak naprawdę to się nie boję. To tylko małpy.

— Ale z drugiej strony nie.

— Czasami zastanawiam się, czy nie dostałem jakiegoś wirusa New Age od Pia przez telefon, aż z Waimea... i teraz, kiedy ona ma obsesję Kaha Huna, ja mam obsesję małp nowego millenium. Chyba tak byłoby na tabloidach, no nie?

— Millenijne małpy. To brzmi.

— Dlatego nie zgłosiłem o nich. Nie zamierzam podkładać się prasie ani nikomu innemu. Nie mam zamiaru być dziwadłem, które zobaczyło yeti, albo kosmitów w statku międzyplanetarnym, mającym kształt czterogrzątkowego toastera. Po czymś takim moje życie już nie byłoby takie samo, no nie?

— Byłbyś cudakiem, jak ja.

— Dokładnie.

Poczucie, że jestem obserwowany, wzrosło. Czułem, że za chwilę, zwyczajem Orsona, będę warczał. Pies stał między Bobbym a mną, czujny i cichy; unióś łeb i postawił jedno ucho. Już się nie trząsał, ale wyraźnie traktował z szacunkiem to coś, co obserwowało nas na dworze.

— Teraz, kiedy opowiedziałem ci o Angeli, wiesz, że małpy mają coś wspólnego z tym, co dzieje się w Fort Wyvern — powiedziałem. — To już nie wymysły z tabloidów. To jest prawdziwe, całkowicie żywe i musimy z tym coś zrobić.

— Wciąż czynna — powiedział.

— Co?

— Z tego, co Angela ci powiedziała, wynika, że baza w Wyvern nie jest do końca zlikwidowana.

— Ale półtora roku temu była porzucona. Jeśli byłby tam personel i kierowałby jakąś operacją, wiedzielibyśmy o tym. Nawet gdyby mieszkali w bazie, przyjeżdżaliby do miasta po zakupy, do kina.

— Powiedziałeś, że Angela nazwała to „Armageddon”. To koniec świata, mówiła.

— No. I co z tego?

— Więc może kiedy jesteś zajęty przy programie zniszczenia świata, nie masz czasu wpaść do kina. W każdym razie, to tsunami, Chris. Państwowa sprawa. Nie sposób posurfować na tych wodach i przeżyć.

Złapałem rower za kierownicę i postawiłem go prosto.

— Pomimo małego i tego, co widziałeś, zamierzasz tylko leżeć do góry brzuchem?

Skinął głową.

— Jeśli nie dam się wytrącić z równowagi, myślę, że one wreszcie dadzą mi spokój. Zresztą nie przychodzą tu co noc. Raz, dwa razy tygodniowo. Jak przeczekam... Możliwe, że będę żył jak dawniej.

— No, ale założmy, że to nie były tylko zwidy Angeli. Może to nie nierealne, żeby wszystko było jak kiedyś.

— Po co więc bawić się w Supermana, jeśli to stracona sprawa?

— Dla Wielkiego Ikspera — oznajmiłem z żartobliwą powagą — nie ma straconych spraw.

— Kamikadze.

— Kaczka.

— Głęb.

— Wabik — powiedziałem ciepło i poprowadziłem rower po miękkim piasku.

Orson zaprotestował cichym skomleniem, gdy opuściliśmy stosunkowo bezpieczne schronienie, jakim był domek, ale nie stawiał oporu. Trzymał się blisko mnie, łapał wiatr, gdy szliśmy w kierunku łądu.

Przeszliśmy jakieś dziesięć metrów, gdy Bobby wzbijając obłoczki piasku szybko nas przegonił i zablokował drogę.

— Wiesz, na czym polega twoje nieszczęście? — zapytał retorycznie.

— Na doborze przyjaciół?

— Twoje nieszczęście to chęć zostawienia po sobie śladu. Chcesz, żeby zostało po tobie coś, co by mówiło: „Byłem tu”.

— Nie dbam o to.

— Gówno prawda.

— Uważaj, co mówisz. Tu jest pies.

— Właśnie dlatego pisujesz te artykuły, książki. — Żeby zostawić ślad.

— Piszę, bo lubię pisać.

— Zawsze na to narzekasz.

— Ponieważ to najtrudniejsza rzecz, którą robiłem, ale i najbardziej satysfakcjonująca.

— Wiesz, czemu jest tak ciężko? Bo to zajęcie sprzeczne z naturą.

— Może dla ludzi, którzy nie umieją czytać i pisać.

— Nie żyjemy po to, żeby zostawić ślad. Pamiątki historyczne, spuścizna, ślady... to właśnie jest nasz błąd. Jesteśmy tu, żeby podziwiać świat, nurzać się w jego cudownej niesamowitości, rozkoszować dosiadaniami fali.

— Orson, popatrz, znów odezwał się filozof Bob.

— Świat jest maksowo doskonały taki, jaki jest, piękny od horyzontu do horyzontu.

Każdy ślad, który ktoś z nas próbuje zostawić... do diabła, to tylko graffiti.

— Muzyka Mozarta — powiedziałem.

— Wandalizm — rzekł Bobby.

— Dzieła Michała Anioła.

— Graffiti.

— Renoir.

— Graffiti.

— Bach, Beatlesi.

— Dźwiękowe graffiti — rzekł z pasją.

Orson zaczął tłuc ogonem po bokach, jakby śledził naszą rozmowę.

— Matisse, Beethoven, Wallace, Stevens, Szekspir.

— Wandale, chuligani.

— Dick Dale — rzuciłem święte imię króla gitary surfingu, ojca wszelkiej muzyki surfingu.

Bobby zamrugał, ale powiedział:

— Graffiti.

— Jesteś chory psychicznie.

— Jestem najzdrowszą osobą, jaką znasz. Porzuć tę chorobliwie bezużyteczną krucjatę, Chris.

— Naprawdę muszę pływać w ławicy próżniaków, jeśli ta odrobina ciekawości robi wrażenie krucjaty.

— Używaj życia. Nurzaj się w nim. Oto, po co tu jesteśmy.

— Bawię się po swojemu — zapewniłem go. — Nie przejmuj się... jestem tak samo wielkim obibokiem i świrem jak ty.

— Chciałbyś.

Spróbowałem go obejść, ale znów zastąpił mi drogę.

— Dobra — powiedział z rezygnacją. — W porządku. Ale prowadź rower jedną ręką, a w drugiej trzymaj glocka, aż wrócisz na twardą nawierzchnię i znów będziesz mógł jechać. Wtedy pedału, ile sił.

Poklepałem się po kurtce, której poła obwisła pod ciężarem pistoletu. Jedną kulę wystrzeliłem przypadkowo u Angeli. W magazynku zostało dziewięć.

— Ale to tylko małpy — powtórzyłem słowa Bobby'ego.

— I nie tylko.

— Masz coś jeszcze, co powinienem wiedzieć? — spytałem szukając jego wzroku.

Przygryzł dolną wargę.

— Może jestem Kahuna — rzucił.

— Nie to chciałeś mi powiedzieć.

— Nie, ale to mniejsze wariactwo niż to, co zaraz usłyszysz. — Obrzucił wzrokiem wydmy. — Przywódca gromady... Widziałem go tylko przelotnie i z daleka, w ciemności, zaledwie cień. Jest większy niż reszta.

— Jak duży?

Spojrzał mi w oczy.

— Myślę, że to lalusz mniej więcej mojego wzrostu.

Poprzednio, gdy stałem na werandzie czekając na Bobby'ego, zauważyłem kątem oka ruch. Niewyraźny zarys człowieka pokonującego wydmy długimi płynnymi susami. Kiedy wycelowałem glocka w tamtym kierunku, nikogo nie było.

— Człowiek? — powiedziałem. — Biegający z millenijnymi małpami, przywódca gromady? Nasz Tarzan Moonlight Bay?

— No cóż, mam nadzieję, że to człowiek.

— Co to ma znaczyć?

Bobby odwrócił wzrok i wzruszył ramionami.

— Mówię po prostu, że widziałem nie tylko małpy. Tam z nimi jest wielki ktoś; albo coś.

Popatrzyłem na Moonlight Bay.

— Mam wrażenie, że gdzieś tyka zegar, mechanizm bomby zegarowej i całe miasteczko jest zaminowane.

— O to mi chodzi, bratku. Trzymaj się z daleka od strefy wybuchu.

Trzymając rower jedną ręką, drugą wyjąłem glocka.

— Jeśli zamierzasz kontynuować swoje niebezpieczne i głupie przygody, Wielki Iksperze, pamiętaj jedno.

— Kolejna porcja mądrości chorego na deskę.

— To co działo się tam w Wyvern... i może dalej się dziać... musiało angażować wielki zespół naukowców. Niesłuchanie uczonych lalusiów z czółkami wyższymi niż cała twoja gęba. Typy z rządu i armii i to duża ich liczba. Elita systemu. Ci od ruszania pionkami. Wiesz, dlaczego brali w tym udział, zanim wszystko się pochrzało?

— Rachunki do zapłacenia, rodziny na utrzymaniu?

— Do ostatniego typu chcieli zostawić po sobie ślad.

— Tu nie chodzi o ambicję — powiedziałem. — Chcę tylko wiedzieć, czemu moja mama i tato musieli umrzeć.

— Głowę masz twardą jak muszla ostrygi.

— No, ale w środku jest perła.

— Nie ma perły — uspokoił mnie. — To tylko obrosłe piaskiem mewie gównno.

— Umiesz mleć ozorem. Powinieneś napisać książkę.

Zrobił minę kwaśniejszą niż sok z zielonej cytryny.

— Wolałbym przelecieć kaktusa.

— Dokładnie tak to smakuje. Ale jest satysfakcjonujące.

— Ta fala wypłucze cię i ciśnie w kolektor kanalizacyjny.

— Może. Ale na fali będzie total super. A czy to nie ty powiedziałeś, żebym rozkoszował się dosiadaniami fali?

Wreszcie pokonany, zszedł mi z drogi, uniósł rękę i zrobił szakę. Przytrzymałem rower dłonią, w której trzymałem broń i pozdrowiłem go znakiem ze „Star Trek”. W odpowiedzi pokazał mi ptaka.

Z Orsonem u boku szedłem po piasku ku wschodowi, tam gdzie półwysep był bardziej kamienisty. Po przejściu paru metrów usłyszałem, że Bobby coś mówi, ale jego słowa nie dotarły do mnie wyraźnie. Zatrzymałem się, odwróciłem i zobaczyłem, że wraca do domku.

— Co mówiłeś?!

— Oto nadchodzi mgła — powtórzył.

Popatrzyłem za niego i ujrzałem potężną białą masę opadającą z zachodu, lawinę kłębiących się oparów, spatynowaną blaskiem księżyca. Jak widziana we śnie, osuwająca się bezgłośnie ściana zagłady.

Światła miasteczka wydawały się o kontynent dalej.

Część Czwarta

Przed Brzaskiem

21

Zanim Orson i ja wyszliśmy poza obszar wydm i dotarliśmy do tej części przylądka, po której biegła kamienna ścieżka, pochłonęły nas gęste chmury. Front mgły miał głębokość około stu metrów i chociaż rozrzedzone światło księżyca przenikało opary aż do ziemi, znaleźliśmy się w szarej brei, w której widzialność była gorsza niż poprzednio, w bezgwiazdnej, bezksiężycowej nocy.

Światła miasta zniknęły.

Mgła płatała figle z dźwiękiem. Nadal słyszałem chrapliwy pomruk fal bijących o brzeg, ale zdawał się dochodzić ze wszystkich stron, jakbym znalazł się na wyspie, a nie na półwyspie. Nie odważyłem się wsiąść na rower w tym śpiworze mroku. Widzialność bez przerwy wahała się od zera do dwóch metrów. Chociaż na zakrzywionym przylądku nie znajdowały się drzewa ani inne przeszkody, łatwo mogłem stracić orientację i zjechać z nadmorskiej skarpy; rower poleciałby w przód, przednie koło zaryłoby się w miękkim piasku poniżej krawędzi skarpy, a ja zatrzymany gwałtownie fiknąłbym koziółka, prawdopodobnie złamał rękę czy nogę albo nawet kark. Poza tym, aby nabrać szybkości i utrzymać równowagę, musiałbym kierować rowerem obiema rękami, trzeba by więc schować pistolet do kieszeni. Po rozmowie z Bobbym ani mi się śniło rozstawać z glockiem. We mgle coś mogło zbliżyć się do mnie na odległość pół metra, zanim zdałbym sobie sprawę, co się dzieje, nie zdążyłbym wyszarpnąć broni z kieszeni kurtki i oddać strzał.

Szedłem szybkim krokiem, prowadząc rower lewą ręką, udając bardzo pewnego siebie. Orson truchtał przede mną. Był niespokojny; nie udawał bohatera. Bezustannie się rozglądał.

Terkot łożysk i brzęk łańcucha zdradzały moją pozycję. Nie dało się wyciszyć roweru. Pozostawało mi tylko nieść go, co mogłem zrobić jedną ręką i jedynie na krótką odległość. Zresztą hałas właściwie nie miał znaczenia. Małpy swymi wyczulonymi zmysłami odbierały najsłabsze bodźce; prawdę powiedziawszy, niewątpliwie wyśledziłyby mnie samym węchem. Orson też mógłby je wywęszyć. W tej zamglonej nocy był ledwie widoczny i nie dostrzegałem, czy zjeżyły mu się włosy na grzbiecie, co byłoby pewnym sygnałem, że małpy są w pobliżu.

Idąc zastanawiałem się, czym różni się od zwyczajnych reżusów. Przynajmniej jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, to zwierzę w kuchni Angeli było typowym przedstawicielem swojego gatunku, choć może o maksymalnych wymiarach. Miało tylko „okropne ciemnożółte oczy”, ale o ile wiedziałem, była to barwa charakterystyczna dla tej grupy naczelnych. Bobby nie wspominał o niczym, co by go uderzyło poza dziwnym zachowaniem i niezwykle wysokim wzrostem słabo widocznego przywódcy; żadnego cofnięcia czaszki, trzeciego ślepień na czole, sworzni w karku, wskazujących, że pozszywano je i pospinano w tajnym laboratorium pra-pra-pra-wnuczki doktora Victora Frankensteina, megalomaniaczki Heather Frankenstein.

Kierujący programem w Fort Wyver lękali się, że małpa podrapała Angelę lub ją ugryzła. Biorąc pod uwagę obawy naukowców, nasuwał się logiczny wniosek, że zwierzę było nosicielem choroby zakaźnej przekazywanej przez krew, ślinę czy inne płyny ciała. Ten wniosek potwierdzały badania, którym została poddana. Przez cztery lata pobierano jej raz w miesiącu próbki krwi, co oznaczało, że choroba miała długi okres inkubacyjny.

Broń biologiczna. Przywódcy każdego kraju na ziemi zaprzeczają, jakoby przygotowywali ten koszmarny oręż. Przysięgają się na Boga, wzywają sąd historii i z powagą podpisują traktaty gwarantujące, że nigdy nie podejmą się badań i rozwoju tego typu broni. Tymczasem każdy naród zakasuje rękawy i warzy koktajle z węglikiem, gromadzi aerozole z dymienicą morową i z takim zapałem tworzy pierwszorzędne kolekcje nowych egzotycznych wirusów i bakterii, że na tej planecie w żadnej kolejce do urzędu zatrudnienia nie uświadczysz jednego szalonego naukowca.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego zmusili Angelę do poddania się sterylizacji. Bez wątplenia pewne choroby zwiększają możliwość uszkodzenia płodu. Jednakże oceniając po tym, co powiedziała mi Angela, nie sądziłem, by ludzie z Wyvern wysterylizowali ją ze względu na nią lub jej ewentualne potomstwo. Kierowało nimi nie współczucie, lecz strach rozdęty do granic paniki.

Pytałem Angelę, czy małpa przenosiła chorobę. Na dobrą sprawę zaprzeczyła temu: „Czy to nie byłoby miłe? Może do tej pory już byłabym wyleczona. Albo martwa. Śmierć byłaby lepsza niż to, co nadchodzi”.

Ale jeśli nie chodziło o chorobę, to o co?

Nagle krzyk nura, słyszany już wcześniej, znów przeszył noc, wyrrywając mnie z rozmyślań.

Orson zadrżał i stanął jak wryty. Również ja zastygłem i zamilkło pobrzękiwanie roweru.

Wydawało się, że krzyk doleciał z zachodu i południa, a po krótkiej chwili rozległ się znowu jakby w odpowiedzi na poprzedni. Na ile mogłem to ocenić — dochodził z północy i wschodu. Byliśmy tropieni. Ponieważ dźwięk rozchodził się we mgle tak zwodniczo, nie potrafiłem ocenić, jak daleko znajdowały się źródła krzyków. Postawiłbym o zakład jedno płuco, że blisko.

Rytmiczne jak bicie serca pulsowanie fal przetaczało się przez noc. Zastanawiałem się, którą piosenkę Chrisa Isaaka Sasza właśnie posyła na falach eteru.

Orson ruszył, więc i ja też, trochę szybciej niż poprzednio. Bezpieczni byłibyśmy dopiero za bezludnym półwyspem, w miasteczku — a może nawet i nie.

Nie przeszliśmy więcej niż dziesięć, dwanaście metrów, gdy znów rozległo się niesamowite zawrodożenie. Za chwilę był odzew.

Tym razem szliśmy dalej. Serce waliło mi młotem i nie zwolniło, gdy napomniałem siebie, że to tylko małpy. Nie drapieżniki. Zjadacze owoców, jagód, orzechów. Członkowie królestwa pokoju.

Nagle, w jakimś odruchu perwersji, pamięć jednym błyskiem podsunęła mi oblicze trupa Angeli. Zdałem sobie sprawę, jakiego błędu dopuściłem się pod wpływem szoku i żalości. Ponieważ rana wyglądała na szarpaną, sądziłem, że gardło kilkakrotnie podcięto ząbkowanym nożem. W rzeczywistości to nie było podcięcie nożem; szyję gryziono, rwano, żuto. Teraz widziałem wyraźniej straszliwą ranę, niż miałem na to ochotę stojąc na progu łazienki. Co więcej, zacząłem przypominać sobie inne ślady, rany, nad którymi w owym czasie nie miałem ochoty się zastanawiać. Sine ślady ugryzień na dłoniach. Może nawet na twarzy.

Małpy. Ale niezwykłe małpy.

Działania zabójców w domu Angeli — sprawa z lalkami, gra w chowanego — wyglądały na zabawę zwyrodniałych dzieciaków. Więcej małp musiało być w tych pokojach; na tyle małych, że pochowały się tam, gdzie człowiek by się nie zmieścił, tak nie-ludzko szybkie, że wydawały się zjawami.

Kolejny krzyk rozległ się z mroku i odpowiedziało mu ciche pohukiwanie z dwóch miejsc!

Szliśmy szybko, ale pohamowałem ogromną chęć przejścia w bieg. Pośpiech zostałby odczytany — i to słusznie — jako oznaka strachu. Dla drapieżcy strach to słabość. Jeśli małpy zauważyłyby, że się boję, mogłyby zaatakować.

Ścisnąłem glocka tak mocno, że broń była jak zespawana z dłonią. Nie wiedziałem, ile stworów może być w gromadzie; może tylko trzy lub cztery, może dziesięć, a może nawet więcej. Biorąc pod uwagę, że nigdy poprzednio nie strzelałem z pistoletu — poza jednym razem, tego wieczoru, przypadkiem — było nieprawdopodobne, bym załatwił te wszystkie zwierzęta, zanim by mnie pokonały.

Chociaż nie chciałem podsuwać rozgorączkowanej wyobraźni mrocznego materiału, którym mogłaby się sycić, mimo woli wciąż zastanawiałem się, jakie zęby ma rezus. Wyłącznie tępe dwuguzkowce? Nie. Nawet roślinożerne — zakładając, że te rezusy były faktycznie roślinożerne — potrzebowały czegoś do rozdierania skórki owocu, łupiny, skorupy. Na pewno miały siekacze, może nawet spiczaste zęby boczne, jak ludzie. Chociaż te szczególne okazy może prześladowały Angelę, ewolucja nie wyznaczyła rezusowi roli mięsożercy, stąd też nie miały kłów. Jednak pewne małpy były w nie wypo-

sażone. Pawiany mają ogromne, silne zęby. W każdym razie siła zacisku szczęk rezusa była sprawą sporną, ponieważ niezależnie od użębienia gatunku te szczególne okazy były na tyle dobrze wyposażone, by zabić Angelę Ferryman okrutnie i szybko.

Najpierw raczej usłyszałem lub wyczułem, niż zobaczyłem ruch we mgle, jakiś metr od moich stóp. Potem zauważyłem ciemny niewyraźny kształt blisko ziemi, nadciągający szybko i cicho. Odwróciłem się w tym kierunku. Jakieś stworzenie otarło się o moje nogi i znikło we mgle, zanim zdążyłem dokładnie mu się przyjrzeć.

Orson warknął, jakby ostrzegając, ale nie ryzykował wyzwania do walki. Stał przed kłębiącym się wałem szarej mgły, którą wiatr pędził w mroku po drugiej stronie roweru, i w tym świetle wydawało mi się, że zjeżyła mu się sierść na grzbiecie. Patrzyłem w dół, spodziewając się, że ujrzę lśniące ciemnożółte ślepia, o których mówiła Angela. Lecz kształt nagle wyrósł groźnie we mgle i stał się prawie równie wielki jak ja. Może większy. Cienisty, nieokreślony, jak anioł śmierci rozwijający skrzydła we śnie, był bardziej zapowiedzią niż materią, budząc lęk właśnie dlatego, że nienamacalny. Żadnych groźnych żółtych oczu. Żadnych wyraźnych rysów. Żadnej określonej postaci. Człowiek albo małpa, albo ani to, ani to; przywódca gromady, był i znikł.

Orson i ja znów stanęliśmy jak wryci.

Odwróciłem głowę, powoli badając wzrokiem płynne ciemności, łowiąc uchem wszelkie pomocne odgłosy. Ale gromada poruszała się równie cicho jak mgła. Czułem się, jakbym był nurkiem głęboko pod powierzchnią morza, uwięzionym w oślepiających prądach gęstych od planktonu i alg, który ujrzawszy krążącego rekina, oczekuje rozpoczęcia ataku.

Coś otarło się z tyłu o moje nogi, szarpnęło za dzinsy, i nie był to Orson, bo groźnie zasyczało. Kopnąłem to coś, ale nie trafiłem; znikło we mgle. Orson zaskomlał, jakby też doznał niemiłego wrażenia.

— Do mnie, stary! — przywołałem go z naciskiem i pies natychmiast podbiegł.

Opuściłem rower, który upadł z klekotem na piasek. Złapałem pistolet w obie dłonie i wykonałem pełny obrót wokół własnej osi szukając czegoś, w co mógłbym strzelić.

Rozległy się piskliwe, gniewne skrzeki. To wyraźnie były głosy małp. Przynajmniej sześciu małp.

Gdybym zabił jedną, inne mogłyby uciec wystraszone. Lub mogłyby zareagować tak, jak smakoszka mandarynek na miotłę Angeli — z pełną furii agresywnością. W każdym razie widzialność była dosłownie zerowa i nie widziałem lśniących oczu lub cieni, więc nie ośmieliłem się marnować amunicji strzelając na oślep w mgłę. Kiedy glock byłby pusty, stałbym się łatwą ofiarą.

Skrzeki nagle ucichły.

Teraz gęste, nieprzerwanie kipiące chmury zagłuszały nawet dźwięk przyboju; słychać było tylko dyszenie Orsona i mój zbyt szybki oddech, nic innego.

Wielka czarna postać przywódcy gromady wyłoniła się znów z szarych falujących oparów. Opadł jak uskrzydłony, chociaż ten pozór lotu był iluzją.

Orson warknął, a ja odskoczyłem gwałtownie w tył, uruchamiając mechanizm laserowego celownika. Czerwona kropka zafalowała na zmiennym obliczu mgły. Przywódca gromady, nie bardziej wyrazisty niż cień przemykający po oszronionym oknie, został całkowicie połknięty przez mgłę, nim zdążyłem przyszpilić laserem ten zmienny jak rtęć kształt.

Przypomniałem sobie zbiór czaszek na betonowych stopniach w przepuście burzowym. Może tamten kolekcjoner nie był jakimś nastoletnim socjopatą rozpoczynającym karierę. Przyszła mi do głowy szczególna i niepokojąca myśl — może czaszki to trofea, zbierane i układane przez małpy.

Przyszła mi do głowy jeszcze bardziej makabryczna myśl: może czaszki — moja i Orsona — odarte ze skóry, z pustymi oczodołami, błyszczące — zostaną dodane do kolekcji.

Orson zawył, gdy skrzecząca małpa wyskoczyła z welonów mgły i spadła mu na grzbiet. Pies wykręcił łeb, kłapał zębami starając się ugryźć i strząsnąć niepożądanego jeźdźca. Byliśmy tak blisko, że nawet w słabym świetle i kotłującej się mgle widziałem żółte ślepia. Promieniujące, zimne i przenikliwe. Patrzące z furją. Oddając strzał mogłem zabić Orsona.

Ledwo małpa wylądowała na grzbiecie psa, odbiła się w górę. Uderzyła we mnie całą masą, kilkunastoma kilogramami żylastych mięśni i kości. Popchnęła mnie w tył. Wspięła mi się po klatce piersiowej, czepiając się skórzanej kurtki i w tym zamieszaniu nie potrafiłem wypalić, nie ryzykując samopostrzelenia.

Przez moment znaleźliśmy się oko w oko. Stwór obnażył zęby, syczał zajadle, tchnąc cuchnącym, obrzydliwym oddechem. To była małpa i równocześnie niemalpa, a jej upiorne spojrzenie było przerażające.

Zerwała mi czapkę z głowy, chociaż tłukłem ją lufą glocka. Ściskając czapkę zeskokczyła na piasek. Kopnąłem i trafiłem, wytrąciłem jej czapkę z łap. Rezus piszcząc potoczył się, przepadł we mgle, znikł mi z oczu.

Orson szczekając rzucił się za zwierzęciem, zapominając o całym strachu. Kiedy go zawołałem, nie usłuchał.

Wtem znów objawiła się postać przywódcy, jeszcze bardziej ulotna niż poprzednio — giętki kształt, wydęty jak peleryna unoszona wiatrem. Znikł równie szybko, jak się pojawił, ale był na tyle długo, że Orson miał czas rozważyć sensowność pogoni za rezu- sem, który usiłował skraść mi czapkę.

— Jezu! — szepnąłem, oddychając z głębi płuc, gdy pies zaskomlał i zrezygnował z pogoni.

Porwałem czapkę z ziemi, ale nie włożyłem jej na głowę, jedynie złożyłem i wcisnąłem do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Trzęsąc się sprawdziłem, czy nic mi się nie stało, czy nie zostałem ugryziony. Jeśli małpa mnie podrapała, nie poczułem ukłucia, ani na rękach, ani na twarzy. Nie, nie zostałem podrapany. Dzięki Bogu. Jeśli była nosicielem zaraźliwej choroby, przekazywanej tylko za pośrednictwem płynów ciała, nie zakaziłem się. Jednak wciągnąłem w płuca jej cuchnący oddech, kiedy byliśmy oko w oko, oddychałem tym samym powietrzem, które ona wypuściła. Jeśli byłoby to zarażenie kropelkowe, już miałem w kieszeni bilet w jedną stronę do kostnicy.

Za mną rozległ się niegłośny brzęk. Wykręciłem się na pięcie i okazało się, że rower oddala się we mgle, ciągniony przez coś niewidocznego. Leżał płasko na boku, bronując piasek szprychami. Widoczne było jedynie tylne koło, a i ono prawie zniknęło w mroku, zanim pochyliłem się i złapałem je jedną ręką.

Niewidoczny złodziej roweru i ja zaczęliśmy krótkie przeciąganie liny, które z łatwością wygrałem, co sugerowałoby, że zmierzyłem się z jednym czy dwoma rezusami, a nie ze znacznie większym przywódcą gromady. Postawiłem rower, oparłem o siebie, żeby się nie przewrócił i kolejny raz uniosłem glocka.

Orson wrócił do mnie. Nerwowo wysikał się, oddając ostatnie krople piwa. Byłem zdziwiony, że sam nie nasikałem w spodnie. Przez chwilę hałaśliwie łapałem oddech, trzęsąc się tak bardzo, że nawet pistolet, który trzymałem oburącz, skakał w górę i w dół. Uspokajałem się stopniowo. Serce z mniejszą energią niż poprzednio usiłowało połamać mi żebra.

Obok przepłynęły szare ściany mgły, burty widmowych statków, niekończąca się flotylla, holująca nienaturalną ciszę. Żadnych skrzeków. Żadnych wrzasków ani pisków. Żadnych nuropodobnych krzyków. Żadnego westchnienia wiatru czy szmeru przyboju. Poczułem się tak, jakbym nawet nie zdając sobie z tego sprawy, został zabity podczas ostatniego starcia i teraz stał w lodowatym przedpokoju na zewnątrz korytarza życia, czekając, aż otworzą się drzwi, za którymi odbywa się Sąd Ostateczny.

Wreszcie zdałem sobie sprawę, że gry ustały na jakiś czas. Trzymając glocka jedną ręką ruszyłem na wschód półwyspu, prowadząc rower. Orson truchtał obok. Byłem pewien, że gromada nadal nas śledzi, chociaż z większej odległości niż poprzednio. We mgle nie dostrzegałem żadnych tropiących postaci, ale były tam z pewnością.

Małpy. Ale niemałpy. Prawdopodobnie uciekinierki z laboratorium w Wyvern.

Koniec świata, powiedziała Angela.

Nie od ognia.

Nie od lodu.

Coś gorszego.

Małpy. Koniec świata z powodu małp.

Armageddon. Koniec, fini, omega, dzień Sądu Ostatecznego, zamknij drzwi i wyłącz światła na zawsze.

To było całkowicie, w pełni krańcowo zwariowane. Za każdym razem, kiedy próbowałem objąć umysłem fakty i nadać im jakiś logiczny ciąg, ogarniał mnie zamęt, byłem doszczętnie skotłowany wielką falą nieobliczalności.

Postawa Bobby'ego, jego uparta determinacja w dystansowaniu się wobec nierozwiązywalnych problemów współczesności i w zdobywaniu tytułu mistrza próżniactwa zawsze robiła na mnie wrażenie. Teraz jego wybór wydał mi się nie tylko uzasadniony, ale rozsądny, logiczny i mądry.

Jako że nie spodziewano się, że dożyję dorosłości, rodzice wychowali mnie tak, abym się bawił, cieszył życiem, zachwycał światem, jak długo się da żył bez zmartwień i strachu, jedynie chwilą, nie martwiąc się o przyszłość. Krótko mówiąc, chcieli, bym żył ufając Bogu i wierząc, że jak każdy jestem tu w jakimś celu i powinienem być tak samo wdzięczny za ograniczenia, jak i umiejętności i cnoty, ponieważ one wszystkie są częścią planu, niepoznawalnego ludzkim rozumem. Oczywiście dostrzegali potrzebę samodyscypliny i szacunku dla innych. Ale prawdę mówiąc, to przychodzi bezwiednie, gdy naprawdę wierzysz, iż twoje życie ma wymiar duchowy i że jesteś starannie zaprojektowanym elementem w tajemniczej mozaice życia. Chociaż wydawało się, iż nie mam szansy przeżyć rodziców, mama i tato poczynili przygotowania na wypadek, gdyby stało się inaczej. Kupili wysoką polisę ubezpieczeniową na życie, która teraz zabezpieczała mnie szczerze, nawet gdybym już nigdy nie miał zarobić centa z książek i artykułów. Urodzony do zabawy, uciechy i zachwyty, z góry wolny od wszelkiej pracy, z góry odciążony od wszelkiej odpowiedzialności, od wszystkiego, co przygniata większość ludzi, mogłem zrezygnować z pisania i zostać takim totalnym surfującym obibokiem, że w porównaniu ze mną Bobby Hallowsay byłby maniakiem pracoholikiem, mającym nie większe zdolności do zabawy niż główka kapusty. Co więcej, mogłem ulec absolutnemu próżniactwu bez jakiegokolwiek poczucia winy, bez wahań i wątpliwości, ponieważ wychowano mnie na to, czym mogła być cała ludzkość, gdybyśmy nie pogwałcili warunków najmu i nie zostali wygnani z raju. Jak wszyscy zrodzeni z kobiety i mężczyzny żyłem skazany na kaprysy losu. Z powodu XP jestem bardziej wrażliwy na jego machinacje niż większość ludzi i ta świadomość jest wyzwalająca.

A jednak, gdy pchałem rower w kierunku wschodniego skrawka przylądka, nieustannie rozmyślałem o wszystkim, co widziałem i słyszałem od zachodu słońca; poszukiwałem sensu.

Zanim gromada zjawiała się dręczyć Orsona i mnie, próbowałem ustalić, czym wyróżniały się te małpy. Teraz wróciłem do owej zagadki. W przeciwieństwie do typowych rebusów były śmielsze, raczej ponure, gwałtowne i pełne nienawiści. Jednakże zdolność do przemocy nie stanowiła pierwszorzędnej cechy, odróżniającej owe małpy od typowych rebusów; był to raczej skutek innej, głębszej różnicy, którą dostrzegałem, ale nie wiedzieć czemu nie chciałem rozważyć.

Gęste kłęby mgły stopniowo zaczęły rzednieć. W mroku pojawiły się rozmazane światła; budynki i latarnie wzdłuż wybrzeża. Orson zaskomlał zachwycony — albo może po prostu z ulgą — na te oznaki cywilizacji, lecz wcale nie byliśmy bezpieczniejsi w miasteczku niż poza nim.

Gdy opuściliśmy półwysep i wkroczyliśmy na Embarcadero Way, przystanąłem wyjmując z kieszeni czapkę. Włożyłem ją na głowę i naciągnąłem daszek na czoło. Człowiek Słoń poprawia swoje przebranie.

Orson zerknął na mnie, przypatrując się przekrzywiwszy łeb, a potem mruknął, jakby aprobująco. Przecież był psem Człowieka Słonia i stąd częściowo postrzegał siebie zależnie od stylu i szyku, z jakim nosiłem się ja.

Dzięki latarniom widzialność wzrosła do jakichś trzydziestu metrów. Jak widmowe fale starożytnego i dawno martwego morza mgła napływała z zatoki w ulice, każda delikatna kropla mgiełki rozszczepiała złote światło lamp sodowych i przekazywała następnej kropli.

Jeśli gromada nadal nam towarzyszyła, chcąc pozostać niewidoczna była zmuszona kryć się w większej odległości niż na nagim półwyspie. Jakby odgrywając w zmienionej obsadzie „Morderców z rue Morgue” Poego, była skazana na parki, nieoświetlone zaułki, balkony, wysokie występy, parapety i dachy.

O tej późnej porze nie widziało się pieszych ani pojazdów. Miasteczko wydawało się wymarłe. Ogarnęło mnie niepokojące przekonanie, że te ciche i puste ulice zapowiadają prawdziwe, przerażające wyludnienie, które w niedalekiej przyszłości dotknie Moonlight Bay. Nasza miejscina przygotowywała się do objęcia roli widmowej osady.

Wsiadłem na rower i udałem się na północ Embarcadero Way. Człowiek, który chciał skontaktować się ze mną przez Saszę, miał czekać na swojej łodzi w basenie jachtowym.

Pedałowałem wyludnioną aleją i wróciłem myślami do małp. Byłem przekonany, że odkryłem fundamentalną różnicę między zwyczajnymi małpami i tą niezwykłą gromadą, która skrycie nawiedzała noc, ale mimo że konkluzja była nieodparta, nie chciałem jej zaakceptować: te małpy były inteligentniejsze niż zwyczajne małpy!

Znacznie inteligentniejsze, nieporównywalnie inteligentniejsze.

Wiedziały, do czego ma posłużyć aparat fotograficzny Bobby’ego i ukradły go. Zwinęły też Bobby’emu nowy aparat.

Rozpoznały moją twarz wśród trzydziestu lalek w pracowni Angeli i wykorzystały ją do naigrywania się ze mnie. Później spowodowały pożar, by ukryć zamordowanie Angeli.

Tęgie głowy w Fort Wyvern mogły się zajmować poszukiwaniem tajnej broni biologicznej, i to wyjaśniało, dlaczego ich doświadczalne małpy były znacznie inteligentniejsze niż wszystkie małpy, które poprzednio chodziły po ziemi.

Ale jak inteligentne były te „znacznie inteligentniejsze”? Może nie na tyle, by wygrać główną nagrodę w „Idź na całość.” Może nie na tyle, by nauczać poezji na poziomie uniwersyteckim lub udanie prowadzić audycję radiową, lub śledzić fale surfingowe na całym świecie, może nawet nie na tyle, by napisać bestseller, który znajdzie się na liście „New York Timesa” — ale może na tyle inteligentne, by być najbardziej niebezpieczną, umykającą kontroli *zarazą*, która dotknęła ludzkość. Pomyślmy tylko, jakie szkody potrafią wyrządzić szczury i jak szybko by się płodziły, gdyby były w połowie tak inteligentne jak ludzie i nauczyły się unikać pułapek i trucizn.

Czy te małpy naprawdę uciekły z laboratorium, cieszyły się swobodą i chytrze uniknęły złapania? Jeśli tak, to przede wszystkim, jak udało im się osiągnąć taki poziom inteligencji? Czego chcą? Jaki mają plan? Dlaczego nie zadano sobie trudu wysledzenia ich, okrażenia i umieszczenia w klatkach, z których by się nie uwolniły?

Czy są narzędziem kogoś z Wyvern? Policja używa szkolonych psów. Marynarka wojenna wykorzystuje delfiny do poszukiwania okrętów podwodnych i — jak plotka głosi — podczas wojny nawet umieszczały one namagnesowane ładunki wybuchowe na kadłubach wskazanych okrętów.

Tysiące innych pytań kłębiło mi się w głowie, wszystkie jednakowo szalone. Wykorzystanie podwyższonej małpiej inteligencji mogło oznaczać globalną katastrofę. Konsekwencje dla ludzkiej cywilizacji byłyby alarmujące, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę zajadłość tych zwierząt i ich wrodzoną wrogość.

Przepowiednia Angeli, zapowiedź ostatecznej zagłady, nie musiała być przesadzona, a nawet mogła być mniej pesymistyczna niż moja ocena sytuacji, kiedy poznałbym wszystkie fakty. Cóż, jeśli chodzi o Angelę, to doświadczyła owej zagłady w swoim własnym domu.

Miałem również przeczucie, że małpy to nie cała historia. Były jedynie rozdziałem epepei. Inne zdumiewające fakty czekały na odkrycie. W porównaniu z programem w Wyvern osławiona puszka Pandory, z której wyłoniły się wszelkie zła, nawiedzające ludzkość — wojny, zarazy, choroby, głody, powodzie — mogła okazać się tylko zbiorem drobnych uprzykrzeń.

Tak spieszyłem się do basenu jachtowego, że Orson z trudem dotrzymywał mi kroku. Gnał, ile sił w łapach, uszy mu fruwały, dyszał ciężko, ale odstawał coraz bardziej. Prawdę mówiąc, pędziłem nie dlatego, że chciałem jak najszybciej dopaść basenu jachtowego, ale dlatego, że nieświadomie chciałem przegonić toczącą się ku nam potężną falę grozy. Jednakże nie było przed nią ucieczki i bez względu na to, jak mocno naciskałbym na pedały, mogłem tylko prześcignąć własnego psa.

Przypomniałem sobie słowa taty, wyhamowałem i kręciłem wolniutko pedałami, tak że Orson mógł utrzymać się przy moim boku bez heroicznego wysiłku.

„Nigdy nie zostawiaj przyjaciela. Przyjaciele to wszystko, dzięki czemu udaje się nam przebyć ten świat — i jedyne z tego świata, co może uda nam się spotkać w następnym”.

Poza tym, najlepszy sposób na poradzenie sobie z morzem kłopotów, to dopaść falę w zerowym punkcie załamania, przegonić ją, ślizgać się wzdłuż ściany prosto pod jej katedralny nawis, dać się całkowicie zamknąć w zielonej sali, sunąć na desce do końca beczki, pohukując bez cienia strachu. Tak jest nie tylko super; to klasyka.

22

Z łagodnym, a nawet czułym odgłosem, jak ciało na ciele w łóżku nowożeńców, niskie fale wślizgiwały się między pale pomostu i uderzały o nabrzeże. Wilgotne powietrze oferowało słaby, przyjemny melanz morza, świeżych wodorostów, kreozotu, rdzewiejącego żelaza i innych woni, których nie potrafiłem do końca zidentyfikować.

Basen jachtowy, wciśnięty między północno-wschodni wyrostek zatoki, daje miejsce niewiele ponad trzystu jednostkom, z których zaledwie sześć to stałe miejsce zamieszkania ich właścicieli. Chociaż życie towarzyskie Moonlight Bay nie koncentruje się wokół jachtingu, jest długa lista czekających na każde wolne stanowisko przy pomoście.

Prowadziłem rower w kierunku zachodniego krańca głównego pirsu biegnącego równoległe do brzegu. Koła syczały i podskakiwały lekko na zmoczonych rosą, nierównych deskach. O tej porze tylko jedna łódź migotała światłem w oknach. Latarnie nabrzeża, chociaż słabe, wskazywały mi drogę przez mgłę.

Ponieważ flotylla rybacka cumuje nieco dalej przy północnym przylądku zatoki, osłonięty w części basen jachtowy jest przeznaczony dla jednostek rekreacyjnych. Cumują tu słupy, kecze i Jole od skromnych do imponujących chociaż więcej tych pierwszych niż ostatnich — motorówki oceaniczne, przeważnie łatwe w obsłudze i o przystępnej cenie, kilka bostonów whalerów i nawet dwie koszarki, beznapędowe statki przeznaczone na mieszkania dla robotników portowych. Największa łódź żaglowa — prawdę powiedziawszy, w ogóle największa jednostka — to „Sunset Dancer”, dwudziestometrowy kuter klasy *windship*. Z motorówek największy jest „Nostromo”, osiemnastometrowy kabinowiec przybrzeżny klasy *bluewater*, i to była właśnie łódź, do której zmierzałem.

Przy zachodnim końcu pirsu skręciłem pod kątem prostym i wszedłem na pomost, przy którym z obu stron cumowały jachty. „Nostromo” kołysał się przy ostatnim pachółku z prawej.

„To ja zaznajomiłem się z nocą”.

Takie hasło przekazała mi Sasza, mówiąc o człowieku, który mnie poszukiwał. Posłużył się wersem z wiersza Roberta Prosta, raczej nie do rozpoznania przez podsłuchujących, i założyłem, że odnosi się do Roosevelta Prosta, właściciela „Nostromo”.

Kiedy oparłem rower o balustradę pomostu, w pobliżu trapu motorówki Roosevelta, przyплыw sprawił, że łodzie zakołysały się na miejscach postoju. Trzeszczały i jęczały jak nękany reumatyzmem starzec, narzekający bezsilnie przez sen. Nigdy nie zawracam sobie głowy zabezpieczaniem pozostawionego roweru, bo aż do tej nocy Moonlight Bay była azyłem przed przestępczością, która zaraziła współczesny świat. Do końca weekendu nasze urokliwe miasteczko mogło zająć pierwszą pozycję w kraju, jeśli chodzi o liczbę morderstw, okaleczeń i pobic księży, ale prawdopodobnie nie musieliśmy się martwić dramatycznym wzrostem kradzieży rowerów.

Ponieważ przyплыw nie sięgał wysoko, trap był stromy i śliski od skroplonej wilgoci. Orson schodził równie uważnie jak ja. Byliśmy w dwóch trzecich drogi, od nawietrznej strony pomostu, gdy niski głos, niewiele silniejszy niż chrapliwy szept, zapytał rozkazująco, jakby z mgły nad moją głową:

— Kto idzie?

To nagłe objawienie ludzkiej obecności wydało mi się jakąś czarodziejską sztuczką. Zaskoczony mało nie upadłem, ale złapałem się ociekającej wodą barierki trapu i udało mi się zachować równowagę.

Bluewater 563 jest wąską, białą, nierzucającą się w oczy dwupokładową motorówką, z górną sterówką osłoniętą na stałe mocowanym dachem i płóciennymi ścianami. Jedyne światło na pokładzie padało zza firanek mniejszej kabiny rufowej i kabiny na śródokręciu, na niższym pokładzie. Otwarta część góry oraz sterówka były w mroku i mgłę, tak że nie mogłem dojrzeć osoby, która się odezwała.

— Kto idzie? — znów szepnął ten sam człowiek, nie głośniejszym, ale twardszym głosem.

Po głosie poznałem, że mam do czynienia z Rooseveltem Frostem. Naśladowując jego zachowanie szepnąłem:

— To ja, Christopher Snow.

— Zasłoń oczy, synu.

Zrobiłem z ręki daszek i zmrużyłem oczy, gdy rozbłysło światło latarki i przyszpiliło mnie tam, gdzie stałem. Zgasło prawie natychmiast, a Roosevelt spytał, nadal szepem:

— Czy to twój pies jest z tobą?

— Tak, proszę pana.

— I nic innego?

— Przepraszam...?

— Nie ma z tobą nikogo innego?

— Nie, proszę pana.

— No, to wchodzi na pokład.

Teraz go widziałem, bo podszedł bliżej relingu górnego pokładu, za sterówką. Jednakże nie mogłem go zidentyfikować nawet z tego stosunkowo bliskiego dystansu, bo zasłaniała go mgła gęsta jak zupa z groszku, mrok i cień, jaki sam rzucał.

Popędzając Orsona przed sobą wszedłem na motorówkę furtą wejściową i szybko wspiałem się po stopniach na wyższy pokład. Gdy tam dotarłem, przekonałem się, że Roosevelt Frost trzyma dubeltówkę. Niebawem Narodowe Towarzystwo Strzeleckie przeniesie kwaterę główną do Moonlight Bay. Nie celował we mnie, ale byłem pewien, że trzymał na muszce, aż do chwili, w której mógł mnie zidentyfikować w świetle larkarki.

Nawet bez dubeltówki prezentował się okazale. Sto dziewięćdziesiąt dwa centymetry. Kark jak słup mola. Barki szerokie jak bom sztaksła. Potężna klatka piersiowa. Rozstaw ramion szerszy niż przeciętne koło sterowe. To był facet, którego Ahab powinien był wezwać do pokonania Moby Dicka. Był gwiazdą footballu w latach 60. i na początku 70., a dziennikarze sportowi zwykle nazywali go Młot Kowalski. Chociaż liczył sobie już sześćdziesiąt trzy lata, odniósł sukces w biznesie, miał sklep z odzieżą męską, minipasaż handlowy oraz połowę zajazdu i klubu sportowego; mógłby zrobić miazgę z każdego genetycznego mutanta faszzerowanego steroidami, który obecnie grał na pozycji głównego napastnika.

— Cześć, piesku — mruknął.

Orson sapnął.

— Potrzymaj, synu — cicho powiedział Frost, podając mi dubeltówkę.

Na szyi miał zawieszoną dziwną, nowoczesną lornetkę. Podniósł ją do oczu i z tego punktu obserwacyjnego, jakim był górny pokład, zlustrował łodzie dookoła i pomost, którym szedłem do „Nostromo”.

— Pan coś widzi? — dałem wyraz zdziwieniu.

— Noktowizor. Wzmacnia światło osiemnaście tysięcy razy.

— Ale mgła...

Nacisnął guzik i coś zamruczało wewnątrz lornetki.

— Może też pracować na podczerwień, pokazując jedynie źródła ciepła.

— W basenie jachtowym musi być wiele źródeł ciepła.

— Nie, kiedy wyłączono silniki. Poza tym interesują mnie tylko poruszające się źródła ciepła.

— Ludzie.

— Może.

— Kto?

— Ktokolwiek mógłby cię śledzić. Teraz bądź cicho, synu.

Zastosowałem się do nakazu. Podczas gdy cierpliwie penetrowałem wzrokiem basen jachtowy, przez następną minutę myślałem o tym eksgwiazdorze footballu i miejscowym biznesmenie, który jednak nie był tym, na kogo wyglądał.

Szczerze mówiąc, nie zaskoczył mnie. Od zachodu słońca spotykani przeze mnie ludzie odsłaniali nieznanne mi poprzednio tajemnice swojego życia. Nawet Bobby miał sekrety; dubeltówka w schowku na miotły, gromada małp. Kiedy zastanawiałem się nad

przekonaniem Pia Klick, że jest reinkarnacją Kaha Huna, co Bobby do tej pory zachowywał dla siebie, lepiej rozumiałem jego gorzkie i negatywne reakcje na każdy pogląd zatracający o New Age, w tym moje przypadkowe, niewinne uwagi o Orsonie. Jedyne on zachował jak dotąd charakter — chociaż biorąc pod uwagę, jak układały się sprawy, nie osłupiałbym ze zdziwienia, gdyby nagle stanął na tylnych łapach i z hipnotyzującym kunsztem ujawnił talent do stepowania.

— Nikt cię nie śledził, synu — oznajmił Roosevelt, gdy opuścił noktowizor i wziął z powrotem strzelbę. — Tędy, synu.

Poszedłem za nim do otwartego luku po prawej burcie. Roosevelt zatrzymał się i spojrzął w stronę relingu, przy którym został Orson.

— Do nogi. Chodź, piesku.

Pies trzymał się z tyłu, ale nie dlatego że wyczuł coś czającego się w mroku. Znalazłszy się w pobliżu Roosevelta, jak zwykle w jego obecności stał się przedziwnie i nietypowo nieśmiały. Hobby naszego gospodarza to było „komunikowanie się ze zwierzętami” — jeden z zasadniczych elementów New Age, chociaż Roosevelt był dyskretny co do swojego talentu i korzystał z niego tylko na życzenie sąsiadów i przyjaciół. Sama wzmianka o komunikowaniu się ze zwierzętami potrafiła wywołać pianę na ustach Bobby’ego na długo przedtem, zanim Pia Klick zdecydowała, że jest boginią surfingu poszukującą swojego Kahuna. Roosevelt utrzymywał, że potrafi rozpoznawać niepokoje i pragnienia znerwicowanych zwierząt domowych, które mu przyprowadzano. Nie żądał opłat za swoje usługi, ale ten brak zainteresowania pieniędzmi nie przekonywał Bobby’ego: „Do diabła, Snow, nigdy nie twierdziłem, że to szarlatan, który chce dość naiwnych. Ma dobre zamiary. Ale po prostu raz za dużo dał łbem w słupek”.

Według Roosevelta jedyne stworzenie, z którym nie udało mu się skomunikować, to mój pies. Orson był dla niego wyzwaniem, więc nigdy nie pomijał możliwości, by go zagadnąć.

— No, chodź tu, kochany piesku.

Orson z wyraźnym oporem wreszcie przyjął zaproszenie. Jego łapy zastukały o pokład. Roosevelt Frost, niosąc strzelbę pierwszy wszedł do otwartego luku i ruszył w dół składanymi schodami z włókna szklanego, oświetlonymi tylko z dołu perłowym blaskiem. Pochylił głowę, zgarbił potężne barki, przycisnął do boku ramiona, starając się zmniejszyć, niemniej jednak pozostawał narażony na ryzyko utknięcia w ciasnym zejściu.

Orson zawahał się, podkulił ogon, ale wreszcie zszedł za Rooseveltem, a potem ja. Schody prowadziły na werandowy pokład rufowy przysłonięty wspornikowym pokładem słonecznym. Orson miał opory przed wejściem do wygodnej kabiny, która kusiała miękkim, przygaszonym światłem nocnej lampki. Jednakże po tym, jak Roosevelt i ja wkroczyliśmy do środka, energicznie otrzepał się z mgły, która zebrała się na jego futrze, rosząc cały tylny pokład, a potem poszedł za nami. Byłem gotów uwierzyć, że został z tyłu z grzeczności, aby nas nie opryskać.

Po wejściu Orsona Roosevelt zamknął drzwi na zamek. Sprawdził dla pewności. Jeszcze raz.

Kabina główna obejmowała kuchnię z białymi mahoniowymi szafkami i podłogą ze sztucznego mahoni, jadalnię i salonik, wszystko w jednym, przestronnym otwartym pomieszczeniu. Ze względu na mnie było ono rozjaśnione jedynie dwiema grubymi zielonymi świecami, stojącymi na jadalnianym stoliku i żarówką w gablotce pełnej nagród po sukcesach footballowych, w saloniku.

W powietrzu unosił się zapach świeżo parzonej kawy, a gdy Roosevelt zaproponował mi filiżankę, przyjąłem poczęstunek.

— Przykro mi z powodu twojego taty — powiedział.

— No cóż, przynajmniej jest po wszystkim.

Uniósł brwi.

— Naprawdę?

— To znaczy, dla niego.

— Ale nie dla ciebie. Nie po tym, co widziałeś.

Zmarszczyłem czoło.

— Wie pan, co widziałem?

— Sprawy się roznoszą — rzekł tajemniczo.

— Co pan ma na...

Podniósł dłoń wielkości kołpaka na koło.

— Pomówimy o tym za chwilę. Dlatego poprosiłem cię, żebyś przyszedł. Ale wciąż zastanawiam się nad tym, co powinienem ci powiedzieć. Pozwól, że sam do tego dojdę, synu.

Podawszy kawę zdjął nylonową wiatrówkę, powiesił na oparciu jednego z wielkich krzeseł i siadł przy stole. Wskazał mi miejsce naprzeciwko i nogą odepchnął od stołu kolejne krzesło, wskazując miejsce psu.

— Siadaj tu, piesku — powiedział do Orsona.

Chociaż była to standardowa procedura podczas odwiedzin u Roosevelta, Orson udawał, że jej nie rozumie. Siadł na podłodze przed lodówką.

— To nie do przyjęcia — spokojnie poinformował go gospodarz.

Orson ziewnął.

Roosevelt łagodnie zakolebał krzesłem odsuniętym od stołu.

— Bądź dobrym pieskiem.

Orson ziewnął wymowniej niż poprzednio. Przesadzał z brakiem zainteresowania.

— Jak będę musiał, piesku, podejść tam, podniosę cię i posadzę na tym krześle — oświadczył Roosevelt — co będzie krępujące dla twojego pana, który chce, żebyś umiał zachować się w gościach.

Uśmiechał się pogodnie, mówiąc bez cienia irytacji w głosie. Jego szeroka twarz przypominała oblicze Buddy, a spojrzenie wyrażało dobroć i rozbawienie.

— Bądź dobrym pieskiem — powtórzył.

Orson zamiatał podłogę ogonem. Zreflektował się i przestał. Nieśmiało przeniósł wzrok z Roosevelta na mnie i przekrzywił łeb.

Wzruszyłem ramionami.

Roosevelt kolejny raz zakolebał krzesłem.

Chociaż Orson podniósł się z podłogi, nie podszedł do krzesła.

Z kieszeni wiatrówki Roosevelt wyjął psiego biskopta w kształcie kości. Trzymał go w świetle świec, tak że Orson mógł go wyraźnie obejrzeć. Między wielkim kciukiem i palcem wskazującym psi smakołyk wydawał się tak drobny, jak ozdóbka z bransoletki odganiającej uroki, ale naprawdę był to spory kęs. Ceremonialnie, z powagą Roosevelt położył go na stole przed krzesłem zarezerwowanym dla psa.

Orson pożądlawie śledził ruchy dłoni, trzymającej biskopt. Podszedł do stołu, ale zatrzymał się w pewnej odległości. Był ostrożniejszy niż zwykle.

Roosevelt wyjął drugi biskopt. Podsunął go blisko do świec, obracał, jakby był niezwykłym klejnotem, lśniącym w blasku płomienia, a potem odłożył na stół obok pierwszego.

Chociaż zaskomlał z pożądania, Orson nie podszedł do krzesła. Opuścił nieśmiało łeb, a potem nie unosząc go zerknął na gospodarza. To był jedyny człowiek, w którego oczy Orson nie zawsze miał ochotę patrzeć.

Roosevelt wyjął z kieszeni kurtki trzeci biskopt. Podniósł go pod swój szeroki i często łamany nos, wciągając głęboko powietrze, przesadnie, jakby smakował nieporównywalny aromat przysmaku w kształcie kości.

Orson podniósł łeb i też wciągnął zapach w nozdrza.

Roosevelt uśmiechnął się chytrze, mrugnął do psa... i wsadził sobie biskopt do ust. Pogryzł go z ogromną rozkoszą, popił kawą i westchnął z zadowoleniem. Byłem pod wrażeniem.

— Jak smakuje?

— Nieźle. Jak zmielona pszenica. Masz ochotę?

— Nie, proszę pana. Dziękuję — powiedziałem, zadowolając się kawą.

Orson strzygł uszami. Teraz Roosevelt całkowicie zawładnął jego uwagę. Jeśli ten zamiatający głową sufit czarny człowiek gigant o łagodnym głosie naprawdę rozkoszował się biskoptem, to mogło ich wkrótce zabraknąć.

Roosevelt wyjął z wiatrówki kolejny biskopt. Potrzymał go też pod nosem i wciągnął powietrze tak zaborczo, że zagroziło mi to brakiem tlenu. Przymknąłem zmysłowo powieki. Przeszedł go dreszcz udawanej rozkoszy, niemal omdlał i wpadł w szaleństwo rozkoszowania się biskoptem.

Orson był wyraźnie zaniepokojony. Skoczył z podłogi na krzesło naprzeciw mnie, tam gdzie Roosevelt sobie życzył, przysiadł i wyciągnął szyję tak, że pysk miał zaledwie pięć centymetrów od Rooseveltowego nosa. Razem obwąchiwali zagrożony biskopt.

Roosevelt zamiast wsadzić go sobie do ust, położył ceremonialnie przysmak obok ciastek leżących już przed Orsonem.

— Dobra, kochana psina.

Nie byłem pewien, czy wierzę w domniemaną zdolność Roosevelta Frosta do komunikowania się ze zwierzętami, ale w mojej opinii był on niewątpliwie znakomitym psim psychologiem.

Orson powąchał biszkopty na stole.

— No, no, no — ostrzegł go Roosevelt.

Pies popatrzył na gospodarza.

— Nie wolno ci ich zjeść; dopiero kiedy ci pozwolę — powiedział Roosevelt.

Pies oblizał siekacze.

— Przysięgam, piesiu, że jeśli zjesz bez mojego pozwolenia, to już nigdy nie dostaniesz biszkopta.

Orson wydał cienki, błagalny pisk.

— Mówię poważnie, piesku — rzekł Roosevelt spokojnie, ale stanowczo. — Nie mogę cię zmusić do rozmowy ze mną, jeśli nie chcesz. Ale mogę wymagać od ciebie minimum dobrych manier na mojej łodzi. Nie możesz tu sobie wejść i zeżreć wszystkich kanapek, nie jesteś jakąś dziką bestią.

Orson wpatrywał się w Roosevelta, jakby usiłował ocenić, w jakim stopniu będzie on stosował to prawo niezżerania.

Roosevelt ani mrugnął.

Wyraźnie przekonany, że nie jest to pusta groźba, pies skierował całą uwagę na trzy biszkopty. Wpatrywał się w nie z tak rozpaczliwym pragnieniem, że sam nabrałem ochoty, by spróbować to cholerne ciastko.

— Dobra psinka — pochwalił go Roosevelt.

Podniósł ze stołu pilota i nacisnął jeden z guzików, chociaż czubek jego palca był tak wielki, że wydawało się, iż przykrywa jednocześnie co najmniej trzy. Za Orsonem uniosły się i znikły żaluzjowe drzwi, odsłaniając wnękę z dwiema kolumnami ciasno upakowanych urządzeń elektronicznych lśniących diodami.

Orson okazał minimum zainteresowania odwracając na moment głowę, zanim powrócił do wielbienia zakazanych biszkoptów.

We wnęcie włączył się wielki monitor. Podzielony na cztery części ekran ukazywał mroczny, otulony mgłą basen jachtowy i zatokę ze wszystkich stron „Nostromo”.

— Co to jest? — zdziwiłem się na głos.

— Ochrona. — Roosevelt odłożył pilota. — Detektory ruchu i czujniki na podcierwień wyłapią każdego, kto by się zbliżał do łodzi i natychmiast nas ostrzegą. Potem te leobiektywy automatycznie wybierają i robią zbliżenie intruza, zanim się tu dostanie, więc wiemy, z kim mamy do czynienia.

— A z kim mamy do czynienia?

Człowiek góra pociągnął dwa malutkie łyeczki kawy, zanim powiedział:

— Może już wiesz o tym za dużo.

— O co panu chodzi? Kim pan jest?

— Jestem tylko sobą. Kochany, stareńki Rosie Frost. Jeśli myślisz, że może jestem jednym z owych ludzi stojących za tym wszystkim, to się mylisz.

— Jakich ludzi? Za czym?

Przyglądając się czterem obrazkom z kamer ochrony, powiedział:

— Przy odrobinie szczęścia oni może nawet nie zdają sobie sprawy, że o nich wiem.

— Kto? Ludzie z Wyvern?

Wrócił do mnie wzrokiem.

— Oni już nie są tylko w Wyvern. Teraz siedzą w tym miejscu. Nie wiem ilu. Może kilka setek, może pół tysiąca, ale pewnie nie więcej, przynajmniej jeszcze nie. Niewątpliwie to stopniowo obejmuje innych... i sięga już poza Moonlight Bay.

— Próbuje się pan bawić w sfinksa? — spytałem, rozdrażniony i bezradny.

— Tak, na ile potrafię.

Wstał, sięgnął po dzbanek z kawą i bez dalszych komentarzy uzupełnił filiżanki. Wyraźnie chciał mnie zmusić, żebym czekał na okruchy informacji, podobnie jak biedny Orson, zmuszony czekać cierpliwie na swój smakołyk. Pies oblizał blat wokół biszkoptów, ale ani razu nie dotknął ich językiem. Gdy Roosevelt powrócił na swoje miejsce, spytałem:

— Jeśli nie jest pan w to zamieszany, jakim cudem tyle pan wie?

— Niewiele wiem.

— Wygląda na to, że dużo więcej ode mnie.

— Wiem tylko tyle, ile powiedzą mi zwierzęta.

— Jakie zwierzęta?

— No, na pewno nie twój pies.

Orson podniósł wzrok znad biszkoptów.

— Z niego to prawdziwy sfinks — stwierdził Roosevelt.

Chociaż nie zdawałem sobie z tego sprawy, po zachodzie słońca najwyraźniej prze-
lazłem na drugą stronę czarodziejskiego lustra. Zdecydowany postępować wedle szar-
leńczych zasad tego nowego dla mnie królestwa, powiedziałem:

— Więc... wykluczając mojego flegmatycznego psa, co inne zwierzęta panu mówią?

— Nie powinienesz wiedzieć wszystkiego. Tylko tyle, aby zdać sobie sprawę, że
w twoim najlepszym interesie jest zapomnieć, co widziałeś w szpitalnym garażu i w za-
kładzie pogrzebowym.

Wyprostowałem się na krześle.

— Jest pan jednym z ludzi...

— Nie. Rozluźnij się, synu. Przy mnie nic ci nie grozi. Od jak dawna jesteśmy przyjaciółmi? To już ponad dwa lata temu, jak przyszedłeś tu pierwszy raz ze swoim psem. I myślę, że wiesz, iż możesz mi ufać.

Prawdę powiedziawszy, byłem prawie pewny, że mogę ufać Rooseveltowi Frostowi, chociaż nie ufałem już swojej ocenie ludzi tak jak poprzednio.

— Ale jeśli nie zapomnisz, co widziałeś — kontynuował — jeśli spróbujesz kontaktować się z władzami poza miasteczkiem, narazisz ludzkie życie.

— Dopiero co mówił pan, że mogę mu ufać, a teraz mi pan grozi — powiedziałem, czując, jak klatka piersiowa zaciska mi się wokół serca.

Chyba go to zraniło.

— Jestem twoim przyjacielem, synu. Nie groziłbym ci. Mówię ci tylko...

— No. To, co powiedzą panu zwierzęta.

— To ludzie z Wyvern chcą wszystko ukryć za wszelką cenę, nie ja. W każdym razie tobie nic nie grozi — nawet gdybyś próbował się skontaktować z władzami spoza — przynajmniej nie od razu. Nie dotkną cię. Nie ciebie. Czczą cię.

Byłem zaszokowany.

— Czczą?

— Tak. Budzisz lęk i grozę.

Zdałem sobie sprawę, że Orson wpatruje się we mnie przenikliwie, chwilowo zapomniawszy o obiecanych biszkoptach.

Stwierdzenie Roosevelta było nie tylko zdumiewające; było najzwyczajniej porąbane.

— Czemu miałbym w kimkolwiek budzić grozę? — zapytałem stanowczo.

— Z powodu tego, kim jesteś.

Moje myśli wywinęły koziołka i poleciały gdzieś w przepaść jak kołująca mewa.

— Kim jestem?

Roosevelt zmarszczył czoło i zamyślony przeciągnął dłonią po twarzy, zanim powiedział:

— Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem. Powtarzam tylko, co mi powiedziały.

Co zwierzęta mu powiedziały?! Murzyński doktor Doolittle.

Poczułem w sobie kropelkę przekory Bobby'ego.

— Rzecz w tym — powiedział — że ci z Wyvern zabiją cię, dopiero kiedy nie dasz im wyboru, kiedy nie będzie absolutnie innego sposobu, żeby zamknąć ci usta.

— Kiedy rozmawiał pan dziś z Saszą, powiedział jej pan, że to sprawa życia i śmierci.

Roosevelt skinął z powagą głową.

— Bo jest. Jej i innych. Z tego, co słyszałem, ci dranie spróbują cię powstrzymać, zabijając istoty, które kochasz; aż przestaniesz mówić i ustąpisz, aż zapomnisz, co widziałeś i będziesz żył tylko tak jak do tej pory.

— Istoty, które Kocham?

— Sasza. Bobby. Nawet Orson.

— Będą zabijać moich przyjaciół, żeby zamknąć mi usta?

— Aż zamkniesz usta. Jedno po drugim, będą zabijali jedno po drugim, aż zamkniesz usta, ratując te, które zostały.

Byłem gotów zaryzykować własne życie, by się dowiedzieć, co przydarzyło się mojej matce i ojcu — i dlaczego — ale nie mogłem położyć na szali życia przyjaciół.

— To koszmarnie. Zabijanie niewinnych...

— Tacy są ci, z którymi masz do czynienia...

Pomyślałem, że dopiero kiedy czaszka mi pęknie, ustanie poczucie bezradnej wściekłości.

— Z kim mam do czynienia?! Potrzebuję czegoś bardziej konkretnego niż „ci z Wyvern”.

Roosevelt popijał kawę i nie odpowiadał.

Może był moim przyjacielem, ale chciałem mu przywalić. Mógłbym to zrobić, mógłbym stłuc go serią bezlitosnych ciosów, gdybym miał jakąkolwiek szansę, że nie połamię sobie rąk.

Orson położył łapę na stole, ale nie zamierzał zrzucić biszkoptów na podłogę, by cichcem się z nimi wymknąć; podparł się, pochyliwszy na krześle i patrzył na coś za moimi plecami. Coś w saloniku, za kuchnią i jadalenką przyciągnęło jego uwagę.

Kiedy odwróciłem się, ujrzałem kota siedzącego na poręczy kanapy, oświetlonego od tyłu światłem z gablotki. Wydawał się bladoszary. W cieniach maskujących pyszczek ślepia jarzyły się zielenią i były w nich złote cętki.

To mógł być ten sam kot, którego napotkałem w nocy pod wzgórzami, za zakładem pogrzebowym Kirka.

23

Kot siedział bez ruchu, jak egipska rzeźba na grobowcu faraona, i wydawał się gotowy spędzić wieczność na poręczy kanapy. Chociaż był tylko kotem, wydało mi się niewłaściwe siedzenie do niego plecami. Przesiadłem się na krzesło naprzeciwko Roosevelta Prosta, z którego po swojej prawej stronie miałem widok na cały salonik i kanapę w głębi.

— Odkąd ma pan kota? — zapytałem.

— To nie mój — odparł Roosevelt. — To tylko gość.

— Wydawało mi się, że widziałem go tej nocy.

— Tak, to prawda.

— Powiedział panu, co? — spytałem z odcieniem przekory Bobby'ego.

— Mieliliśmy pogaduszkę z Mungojerrie — potwierdził Roosevelt.

— Z kim?

Roosevelt wskazał na kota.

— Mungojerrie. — Potem przeliterował imię.

Było egzotyczne, a jednocześnie dziwnie znajome. Jako syn swojego ojca, nie tylko jeśli chodziło o krew i imię, potrzebowałem tylko chwili na poznanie źródła.

— To jeden z kotów z „Księgi praktycznych kotów starego oposa” T.S. Eliota.

— Większość tych kotów lubi imiona z Eliota.

— Tych kotów?

— Nowych kotów, jak Mungojerrie.

— Nowych kotów? — spytałem usiłując nadażyć za jego myślami.

Zamiast dokładnie mi wyjaśniać, Roosevelt powiedział:

— One wolą te imiona. Nie wiadomo, dlaczego... ani jak na nie trafiły. Znam jednego, który nazywa się Rum Tum Tugger. Inny to Rumpelteazer Coricopat i Growltiger.

— Wolą? Tak to brzmi, jakby same wybierały sobie imiona.

— Prawie.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem.

— Kompletnie pokręcone.

— Po tych wszystkich latach porozumiewania się ze zwierzętami — powiedział Roosevelt — czasem i mnie wydaje się to pokręcone.

— Bobby Halloway myśli, że uderzył się pan w głowę jeden raz za dużo.

Roosevelt uśmiechnął się.

— Nie jest odosobniony w tej opinii. Ale, wiesz, byłem graczem w football, nie bokserem. A co ty myślisz, Chris? Czy połowa mojego mózgu zamieniła się w gąbkę?

— Nie, proszę pana — stanowczo zaprzeczyłem. — Jest pan bystry jak mało kto.

— Z drugiej strony inteligencja i ekscentryczność nie wykluczają się wzajemnie, prawda?

— Poznałem zbyt wielu kolegów z pracy rodziców, aby kłócić się z panem na ten temat.

Mungojerrie nadal przyglądał się nam z saloniku, a Orson ze swojego krzesła nadal obserwował kota, nie z typową psią wrogością, ale ze szczególnym zainteresowaniem.

— Czy kiedyś powiedziałem ci, jak wpadłem na to, by komunikować się ze zwierzętami? — zapytał Roosevelt.

— Nie, proszę pana. Nigdy nie pytałem. — Zwracanie uwagi na taką ekscentryczność wydawało mi się równie nieuprzejme, jak wzmianka o kalectwie, więc zawsze udawałem, że przyjmuję do wiadomości tę cechę Roosevelta, jakby nie była w najmniejszym stopniu godna uwagi.

— No cóż — powiedział — jakieś dziewięć lat temu miałem naprawdę wspaniałego psa. Nazywał się Sloopy, był czarny, podpalany i mniej więcej połowy rozmiarów twojego Orsona. Kundel, ale wyjątkowy.

Orson przeniósł swoją uwagę z kota na Roosevelta.

— Sloopy miał wspaniały humor. Zawsze był chętny do zabawy, pogodny, nigdy nie grymasił. Potem się zmienił. Nagle zrobił się nieobecny duchem, nerwowy, nawet załamany. Miał dziesięć lat, dawno nie był szczeniakiem, więc poszedłem z nim do weterynarza, bojąc się, że usłyszę najgorszą diagnozę. Ale weterynarz stwierdził, że nic poważnego psu nie dolega. Sloopy cierpiał na lekki reumatyzm, schorzenie, które ja, starzejący się były obrońca z wielokrotnie rozbijanymi kolanami, znałem aż za dobrze, ale nie było ono na tyle groźne, żeby mu bardzo doskwierało; i to wszystko. A jednak tydzień po tygodniu coraz mniej chętnie opuszczał swoje legowisko.

Mungojerrie poruszył się. Wspiął się z poręczy na oparcie i podchodził ukradkiem.

— Więc pewnego dnia — ciągnął Roosevelt — przeczytałem w gazecie artykuł o tej kobiecie w Los Angeles, która nazywała siebie spowiednikiem zwierząt domowych. Gloria Chan. Była w wielu programach telewizyjnych, doradzała wielu ludziom z branży filmowej, którzy mieli kłopoty ze swoimi zwierzętami, i napisała książkę. Dziennikarz potraktował ją z góry, bo Gloria rzeczywiście robiła wrażenie typowej hollywoodzkiej dziwaczki. O ile się znam na życiu, pewnie z góry ją sklasyfikował. Pamiętasz, że po tym,

jak skończyłem karierę sportową, nakręciłem kilka filmów. Poznałem wiele sław, aktorów, piosenkarzy rockowych i aktorów kabaretowych. Producentów i reżyserów też. Niektórzy byli nawet mili, a paru z nich to naprawdę bystrzy ludzie, ale tak szczerze mówiąc, sporo z tej bandy i sporo ludzi, którzy się przy niej kręcili, było tak kompletnie popieprzonych, że nie miało się ochoty bywać w tym środowisku, chyba że z kopytem dużego kalibru pod marynarką.

Kot przemierzywszy całą długość kanapy zszedł na bliższą poręcz. Skulił się, przysiadł, napiął mięśnie, obniżył i wysunął łepkę, uszy położył płasko, jakby szykował się do skoku na nas, chcąc susem pokonać całe dwa metry między kanapą i stołem.

Orson był czujny, znów skupiony na Mungojerrie, zarówno Roosevelt, jak i biskopki poszły w zapomnienie.

— Miałem pewien interes w Los Angeles — wspominał Roosevelt, więc zabrałem ze sobą Sloopy'ego. Popłynęliśmy łodzią, powolutku wzdłuż wybrzeża. Nie miałem wtedy „Nostromo”. Sterowałem tym naprawdę słodkim dwudziestometrowym roamerem Chris-Craft. Zacamowałem w basenie jachtowym Marina Del Rey, wynająłem samochód, przez dwa dni zajmowałem się interesami. Dostałem numer Glorii od moich przyjaciół z branży filmowej; zgodziła się ze mną spotkać. Mieszkała w Palisades i któregoś przedpołudnia pojechałem tam ze Sloopym.

Na poręczy kanapy kot nadal szykował się do skoku. Jeszcze bardziej napiął mięśnie. Mała szara pantera.

Orson zeszywniał, znieruchomiał jak kot. Wydał cienki pisk znamionujący niepokój i ucichł.

— Gloria była Amerykanką chińskiego pochodzenia w czwartym pokoleniu — opowiadał Roosevelt. — Drobną osobką, wyglądała jak laleczka. Piękna, naprawdę piękna. Delikatne rysy, wielkie oczy. Chiński Michał Anioł mógłby wyrzeźbić kogoś takiego z kawałka świetlistego bursztynowego jadeitu. Spodziewałbyś się, że będzie szczebiotać jak mała dziewczynka, ale mówiła jak Lauren Bacall; głębokim, zachrypniętym głosem wydobywającym się z ciała małej kobietki. Sloopy od razu ją polubił. Zanim się zorientowałem, wzięła go na kolana, przytuliła, mówiła do niego, pieściła, i zaczęła mi wyjaśniać powody jego przypadłości.

Mungojerrie zeskoczył z kanapy, nie na stolik jadalniany, ale na podłogę, a potem zaraz na krzesło, z którego przed chwilą wstałem. Równocześnie z tym, jak żwawy kot wylądował na krześle, Orson i ja drgnęliśmy. Mungojerrie stanął na tylnych łapkach, przednie oparł na stole i utkwiał ślepią w psa. Orson kolejny raz cienko, z niepokojem, zaskomlał — i nie odrywał ślepi od kota.

— Gloria powiedziała mi — rzekł Roosevelt, nie przejmując się Mungojerrie — że popadł w depresję głównie dlatego, że znacznie mniej spędzałem z nim czasu. „Jesteś ciągle z Helen — powiedziała. — A Sloopy wie, że ona go nie lubi. Myśli, że będziesz musiał wybrać między nim a Helen, i wie, że będziesz musiał wybrać ją”. A ja, synu, słu-

chałem tego wszystkiego z najgłębszym zdumieniem, bo faktycznie chodziłem z kobietą imieniem Helen tu, w Moonlight Bay, ale Gloria Chan żadnym cudem nie mogła o niej wiedzieć. I faktycznie miałem obsesję na punkcie Helen, spędzałem z nią większość wolnego czasu, a ona nie lubiła psów, co znaczyło, że Sloopy zawsze był opuszczony. Wyobrażałem sobie, że z czasem polubi Sloopy'ego, bo nawet Hitler nie mógł nic poradzić na to, że miał słabość do psów. Ale jak się okazało, Helen już patrzyła na mnie równie niechętnym okiem jak na psa, chociaż o tym nie wiedziałem.

Mungojerrie wbijając ślepią w Orsona obnażył zęby. Orson odchylił się na krześle, jakby w obawie, że kot się na niego rzuci.

— Potem Gloria opowiedziała mi o kilku sprawach, które martwią mojego przyjaciela, między innymi o tym pikapie, kupionym przeze mnie. Zmiany reumatyczne Sloopy'ego były niewielkie, ale biedny pies nie mógł wsiadać do wozu i wysiadać z niego tak łatwo jak z limuzyny i bał się, że coś sobie uszkodzi.

Nadal obnażając zęby, kot fuknął. Orson zadygotał, zawył krótko i wysoko, z niepokojem. Brzmiało to jak syk pary uchodzącej z gotującego się imbryka.

Wyraźnie obojętny na ten psio-koci dramat, Roosevelt dalej mi opowiadał:

— Zjedliśmy z Glorią lunch i spędziliśmy całe popołudnie na rozmowie o wykonywanej przez nią pracy spowiednika zwierząt. Powiedziała mi, że nie ma żadnego nadzwyczajnego talentu, że w grę nie wchodzi jakieś paranormalne mediumiczne bzdury, a sprawa polega wyłącznie na wrażliwości na inne gatunki, którą wszyscy mamy, ale uśpioną. Powiedziała, że każdy to potrafi, że ja też to potrafię, jeśli nauczę się odpowiednich technik i poświęcę im czas, co wydawało mi się niedorzeczne.

Mungojerrie fuknął znów, tym razem z większą zjadliwością i Orson kolejny raz zadrdzał, a potem przysiągłbym, że kot się uśmiechnął lub zrobił minę na tyle przypominającą uśmiech, na ile kot jest do tego zdolny.

Co jeszcze dziwniejsze, Orson jakby uśmiechnął się od ucha do ucha — co można wyobrazić sobie bez specjalnego wysiłku, ponieważ wszystkie psy potrafią się uśmiechać. Sapał uszczęśliwiony, szczyrzył się przyjaźnie do uśmiechniętego kota, jakby ich starcie było zabawnym żartem.

— Pytam cię, synu, kto nie chciałby się nauczyć czegoś takiego? — powiedział Roosevelt.

— Faktycznie, kto? — powtórzyłem odrętwiały.

— Więc Gloria uczyła mnie i to zabrało denerwująco dużo czasu, wiele miesięcy, ale wreszcie byłem tak dobry jak ona. Pierwsza wielka przeszkoda to brak wiary, że naprawdę możesz to zrobić. Odłóż wątpliwości, cynizm, wszystkie wpojone przekonania o tym, co jest możliwe, a co nie. Najtrudniejsze ze wszystkiego jest przestać się przemawiać, że robisz z siebie durnia, bo lęk przed poniżeniem naprawdę cię ogranicza. Większość ludzi nie może przez to przebrnąć i jestem zaskoczony, że mnie się udało.

Orson wychylił się na krzesło, wyciągnął nad stołem i obnażył zęby patrząc na Mungojerrie.

Kot wybałuszył ślepią ze strachu. Powoli, ale groźnie, Orson wyszczerzył kły.

Żalność wypełniła dudniący głos Roosevelta:

— Sloopy umarł trzy lata później. Boże, ale ja go opłakiwałem. Ale co to były za trzy fascynujące i wspaniałe lata, kiedy mogłem nadawać i odbierać z nim na jednej fali.

Nadal szczerząc kły Orson warknął cicho na Mungojerrie i kot zapiszczał. Orson znów warknął, a kot zamiauczał żalnością i z głębokim lękiem — a potem obydwaj zwierzęta uśmiechnęły się szeroko.

— Co się tu, do diabła, dzieje? — spytałem.

Orson i Mungojerrie wydawały się przejęte nerwowym drżeniem mojego głosu.

— Po prostu się bawią — wyjaśnił Roosevelt.

Zamrugalem, patrząc na niego.

W blasku świec jego twarz lśniła jak zabarwione na ciemno i doskonale wypolerowane drzewo tekowe.

— Bawią się przedrzeźniając stereotypy swoich gatunków — dodał.

Nie mogłem uwierzyć, że dobrze go słyszę. Biorąc pod uwagę, że z pewnością całkowicie źle go zrozumiałem, potrzebowałem węża z wodą pod wysokim ciśnieniem i „żmijki” hydraulika do przeczyszczenia uszu.

— Przedrzeźniają stereotypy swoich gatunków?

— Tak, zgadza się. — Pokiwał głową. — Oczywiście nie nazwałyby tego tak, ale to robią. Uważa się, że koty i psy dzieli bezmyślna wrogość. Te stworzenia bawią się, kpiąc z owych wyobrażeń.

Teraz Roosevelt szczerzył zęby w moim kierunku tak idiotycznie, jak robiły to kot i pies. Wargi miał sinopurpurowe, prawie czarne, a zęby tak białe i wielkie jak kostki cukru.

— Proszę pana — rzekłem — cofam to, co powiedziałem wcześniej. Po starannym namyśle zdecydowałem, że jest pan straszliwie, do oporu zwariowany, przekręcony na maks.

Znów pokiwał głową, nadal szczerząc do mnie zęby. Nagle, jak mroczny snop światła czarnego księżyca, w twarzy błysnęło mu szaleństwo.

— Uwierzyłyś mi, cholera, bez niczego, gdybym był biały! — I gdy wywarczał ostatnie słowo, walnął o stół potężną pięścią tak mocno, że filiżanki zadzwoniły na spodeczkach.

Gdybym mógł zatoczyć się w tył siedząc na krzesle, zrobiłbym to, ponieważ jego oskarżenie poraziło mnie. Nie słyszałem ani razu, by któreś z rodziców wypowiedziało obelżywą uwagę pod adresem jakiejś mniejszości etnicznej czy rasy; wychowano mnie bez przesądów. W rzeczy samej, jeśli w tym świecie był jakiś wyrzutek, to ja sam! Ja sam

byłem mniejszością, jedoosobową mniejszością; Nocny Robak, jak nazywali mnie chuligani, kiedy byłem dzieckiem, zanim poznałem Bobby'ego i miałem kogoś, kto by stanął u mojego boku. Chociaż nie albinos, ponieważ moja skóra miała pigment, w oczach wielu ludzi byłem większym dziwadłem niż Dzwonnik z Notre Dame i Chłopiec o Psiej Twarzy. Dla innych byłem jedynie nieczysty, skażony, jakbym poprzez kichnięcie mógł zarazić alergią na promienie ultrafioletowe; w pewnych ludziach budziłem lęk i nienawiść większe niż trzyoki Człowiek Żaba, obwożony po jarmarkach.

Roosevelt Frost uniósł się na krześle, pochylił nad stołem i trzęsąc łapą wielką jak melon odezwał z nienawiścią, która zdumiała mnie i zaboląła:

— Rasista! Ty kłamliwy rasistowski draniu!

Ledwo wydukałem:

— Od...od kiedy to rasa ma dla mnie znaczenie? Dlaczego miałyby coś znaczyć?!

Popatrzył na mnie, jakby zamierzał sięgnąć nad stołem, poderwać mnie z krzesła i przydusić tak, że język wypadłby mi do butów. Obnażył zęby i zawarczał na mnie, zawarczał jak pies, zupełnie jak pies, podejrzenie jak pies.

— Co się tu, do diabła, dzieje? — znów spytałem, ale tym razem przyłapałem się na tym, że pytam psa i kota.

Roosevelt znów zawarczał, a gdy tak gapiłem się na niego jak idiota, powiedział:

— Śmiało, synu, jeśli nie umiesz mnie zwymyślać, przynajmniej warknij na mnie troszeczkę. No, warknij. Śmiało, synu, uda ci się.

Orson i Mungojerrie patrzyły na mnie z wyczekiwaniem.

Roosevelt warknął raz jeszcze, kończąc to jakby pytającym zawieszeniem głosu. Potem warknął głośniej niż poprzednio, a ja zrewanżowałem mu się tym samym. Odwarknąłem.

Uśmiechnięty od ucha do ucha powiedział:

— Wrogość. Pies i kot. Murzyn i biały. Po prostu bawią się przedrzeźniając stereotypy.

Podczas gdy Roosevelt znów rozsiadał się na krześle, moje oszołomienie zaczęło ustępować miejsca drzeniu, jakie towarzyszy wrażeniu przeżywania cudu. Byłem świadom, że zbliża się iluminacja, nastąpi coś, co na zawsze zmieni moje życie, odsłoni wymiary świata, którego teraz sobie nie wyobrażałem, lecz chociaż usiłowałem ją uchwycić, wymykała mi się, drażniła i nęciła tuż poza granicami mojego pojmowania.

Popatrzyłem na Orsona. W te atramentowe, płynne ślepie.

Popatrzyłem na Mungojerrie.

Kot obnażył zęby.

Orson obnażył swoje.

Słaby zimny lęk wlał mi się w żyły, jak wyraziłby to Bard znad Avonu, nie dlatego, że pies i kot mogłyby mnie zaatakować, ale z powodu tego, co owe zabawne szczerzenie zębów implikowało. Jednakże przeszył mnie nie tylko lęk, ale cudowny chłód zachwytu i uderzającego do głowy podniecenia.

Chociaż taki czyn nie licowałby z jego charakterem, naprawdę zastanawiałem się, czy Roosevelt Frost nie zaprawił czymś kawy. Nie winiakiem. Środkami halucynogennymi. Byłem jednocześnie zdezorientowany i trzeźwiej myślący niż kiedykolwiek, jakbym doświadczał wyższego stanu świadomości.

Kot zasyczał na mnie i ja zasyczałem na kota.

Orson zawarczał na mnie i ja zawarczałem na niego.

W najbardziej zadziwiającej chwili mojego życia siedzieliśmy przy jadalnianym stoliku, uśmiechnięci od ucha do ucha, ludzie i zwierzęta, i przypomniały mi się te miluśkie, chociaż staromodne obrazki, niegdyś tak popularne: psy grające w pokera. Oczywiście tylko jeden z nas był psem, więc scena widziana oczami wyobraźni nie przystawała do tej sytuacji, a jednak im dłużej ją rozpatrywałem, tym bliżej byłem iluminacji, epifanii, zrozumienia wszystkich uwarunkowań tego, co wydarzyło się przy tym stole przez ostatnie kilka minut...

... i wtem ciąg myśli urwał mi się zastopowany piskiem elektronicznych urządzeń systemu ochronnego, znajdujących się we wnęce obok stołu.

W momencie, w którym Roosevelt i ja spojrzeliśmy na monitor, cztery ujęcia zamieniły się w jedno. Automatyczny system dokonał zbliżenia intruza i ukazał go w nieziemskim, spotęgowanym świetle noktowizora.

Gość stał w wirującej mgłę po rufowej stronie lewego pomostu, przy którym cumował „Nostromo”. Wyglądał, jakby żywcem przeniesiony w naszą epokę z okresu jurajskiego; metr dwadzieścia wzrostu, skrzydła jak pterodaktyl, długi, złowieszczy dziób.

Głowę miałem tak pełną gorączkowych spekulacji związanych z psem i kotem — i byłem tak wyprowadzony z równowagi innymi wydarzeniami tej nocy, że widziałem niesamowite w zwyczajności, tam, gdzie naprawdę go nie było. Serce waliło mi jak szalone. W wyschniętych ustach poczułem kwaśny smak. Gdybym nie był osłupiały z powodu szoku, zerwałbym się na równe nogi, przewracając krzesło. Jeszcze pięć sekund i zrobiłbym z siebie durnia, gdyby nie Roosevelt. Albo z natury był bardziej analityczny, albo żył tak długo z niesamowitym, że szybko potrafił odróżnić autentycznie przeraźliwe od fałszywie przeraźliwego.

— Niebieska czapla — powiedział. — Łowi sobie.

Znałem niebieską czaplę równie dobrze, jak każdy gatunek ptaka żyjący w i dokoła Moonlight Bay. Teraz, kiedy Roosevelt nazwał po imieniu naszego gościa, rozpoznałem go.

Odwołać telefon do pana Spielberga. Nie ma materiału na film.

Na swoją obronę zauważyłem, że mimo ładnej budowy i niewątpliwego wdzięku, ta czapla miała dziką aurę drapieżcy i zimne gadzie spojrzenie, wskazujące na przeżytek z ery dinozaurów.

Ptaka zajął stanowisko na samej krawędzi pomostu, pilnie gapiąc się w wodę. Nagle pochylił się, błyskawicznie wysunął łeb, wbił dziób w lustro wody i złapał rybkę. Odchylił gwałtownie łeb, połknął zdobycz. Niektórzy giną, by inni mogli żyć.

Biorąc pod uwagę pośpiech, z jakim przypisałem nadnaturalne cechy zwyczajnej czapli, zacząłem się zastanawiać, czy nie przypisuję zbyt dużego znaczenia ostatniemu epizodowi z psem i kotem. Pewność ustąpiła miejsca zwątpieniu. Nadciągająca, powalająca fala epifanii nagle opadła nie załamując się, i błocko dezorientacji zbryzgało mnie kolejny raz.

Roosevelt przestał się zajmować monitorem i rzekł:

— Przez te lata, od kiedy Gloria Chan nauczyła mnie międzygatunkowej komunikacji, co w gruncie rzeczy polega na tym, żeby być kosmicznościowo dobrym słuchaczem, moje życie wzbogaciło się niepomierne.

„Kosmicznościowo dobry słuchacz” — powtórzyłem, zastanawiając się, czy Bobby nadal zdoła zagrać jedną ze swoich cudownie zabawnych melodii na takim „instrumencie”. Jeżeli przeżycia z małpami trwale pozbawiły go sarkazmu i sceptycyzmu. Mam nadzieję, że nie. Chociaż zmiana może jest fundamentalną zasadą wszechświata, niektórym rzeczom jest sądzona bezczasowość, w tym uparte trzymanie się przez Bobby’ego takiego życia, w którym było miejsce jedynie na tak bazowe elementy jak słońce, surfing i piach.

— Miałem wspaniałą zabawę ze zwierzętami, które pojawiały się u mnie przez lata — powiedział Roosevelt tak sucho, jakby był weterynarzem, wspominającym o karierze zawodowej. Pogładził Mungojerrie po łebku, podrapał za uszami. Kot przeciągnął się pod wielką dłońią i zamruczał. — Ale te nowe koty, z którymi spotykam się przez jakieś ostatnie dwa lata... otwierają o wiele bardziej ekscytujące wymiary komunikowania się. — Odwrócił się do Orsona:

— Ty z pewnością jesteś absolutnie tak samo interesujący jak koty.

Dysząc, ze zwieszonym językiem, Orson przybrał minę, idealnie wyrażającą psią bezmyślność.

— Słuchaj, piesku, nigdy mnie nie oszukałeś — zapewnił go Roosevelt. — I po tej twojej małej gierce z kotem mógłbyś właściwie dać sobie spokój z udawaniem.

Ignorując Mungojerrie Orson popatrzył na trzy biszkopty leżące na stole.

— Możesz udawać, że jesteś tylko i wyłącznie zachłannym psem, udawać, że nic nie jest dla ciebie ważniejsze niż te smakołyki, ale wiem co innego.

Nie spuszczać wzroku z biszkoptów Orson zaskomlał pożądliwie.

— To przecież nie nikt inny, ale ty przyprowadziłeś tu Chrisa po raz pierwszy, kochana psinko, więc po co się zjawiłeś, jeśli nie na rozmowę — rzekł Roosevelt.

W Wigilię, ponad dwa lata temu, niecały miesiąc przed śmiercią mojej matki, Orson i ja jak zwykle włóczyliśmy się nocą. Miał wówczas rok. Był rozbrykanym i chętnym do zabawy roczniakiem, ale nigdy nie przesadzał, jak większość młodych psów. Niemniej jednak mając rok nie zawsze potrafił zapanować nad swoją ciekawością i nie zawsze zachowywał się tak dobrze jak później. Byliśmy na odkrytym boisku do koszykówki, za szkołą, mój pies i ja; rzucając piłką mówiłem Orsonowi, że Michael Jordan powi-

nien być cholernie wdzięczny losowi, że urodziłem się z XP i że nie mogę grać w świecie, gdy nagle pies mi uciekł. Wzywałem go kilkakrotnie, ale tylko się zatrzymywał, oglądał i znów biegł przed siebie. Zanim zdałem sobie sprawę, że nie zamierza wracać, było już nawet za późno, by wcisnąć piłki do siatki, przywiązanej do kierownicy roweru. Pedalowałem więc za uciekającą futrzaną piłką ulicą, zaułkiem, ulicą, przez Quester Park, w dół do basenu jachtowego i wreszcie wzdłuż pomostu do „Nostromo”. Choć rzadko czekał, tej nocy darł się jak oszalały, gdy zeskoczył dokładnie na werandowy pokład rufowy motorówki i zanim wyhamowałem ślizgając się na wilgotnych deskach, Roosevelt wyszedł z kabiny, pogłaskał i uspokoił psa.

— Chcesz pogadać — rzekł teraz Orsonowi. — Pierwszy raz przyszedłeś do mnie, bo chciałeś pogadać, ale podejrzewam, że mi nie ufasz.

Orson trzymał łeb nisko, wpatrzony w biskopaty.

— Nawet po dwóch latach częściowo podejrzewasz mnie, że może trzymam z ludźmi z Wyvern, i będziesz tylko kwintesencją psowatości, dopóki nie upewnisz się co do mnie.

Orson obwąchał biskopaty, kolejny raz oblizał stół wokół nich i jakby nawet nie uważał, że ktoś do niego mówi.

Roosevelt skupił się na mnie.

— Te nowe koty pochodzą z Wyvern. Niektóre w pierwszym pokoleniu, autentyczni uciekinierzy, a niektóre w drugim pokoleniu, urodzone na wolności.

— Króliki doświadczone? — spytałem.

— Pierwsze pokolenie tak. One i ich potomstwo różnią się od innych kotów. Różnią na wiele sposobów.

— Inteligencją — powiedziałem, przypominając sobie zachowanie małą.

— Wiesz więcej, niż myślałem.

— Trochę przeżyłem tej nocy. Mają dużo wyższy stopień inteligencji?

— Nie wiem, jak to skalować — powiedział i dostrzegłem, że celowo mówi wymijająco. — Ale są inteligentniejsze i różnią się od normalnych kotów.

— Dlaczego? Co im zrobiono?

— Nie wiem — powiedział.

— Jak uciekły?

— Wiem tyle, co ty.

— Dlaczego nie udało się ich złapać?

— Zabij mnie, nie wiem.

— Proszę wybaczyć, ale marny z pana kłamca.

— Zawsze tak było — powiedział z uśmiechem. — Słuchaj, synu, też nie wiem wszystkiego. Tylko tyle, ile zwierzęta mi powiedzą. Ale to niedobrze dla ciebie wiedzieć nawet tyle. Im więcej wiesz, tym więcej będziesz chciał wiedzieć. A musisz myśleć o twoim psie i przyjaciółkach.

— To brzmi jak groźba — powiedziałem bez wrogości.

Gdy wzruszył potężnymi ramionami, wydało się, że powietrze drgnęło i rozległ się basowy huk grzmotu.

— Jeśli myślisz, że skumplowałem się z tamtymi w Wyvern, to jest groźba. Jeśli myślisz, że jestem twoim przyjacielem, to jest rada.

Chociaż chciałem ufać Rooseveltowi, podzielałem wątpliwości Orsona. Przyłapałem się na tym, iż trudno mi było uwierzyć, że ten człowiek jest zdolny do zdrady. Ale tu, po zwariowanej stronie czarodziejskiego lustra musiałem założyć, że każda twarz jest maską.

Podkręcony wypitą kawą, ale nadal jej spragniony, podszedłem z filizanką do ekspresu i napełniłem ją.

— Ale mogę ci powiedzieć — rzekł Roosevelt — że z Fort Wyvern poza kotami dostały się podobno także psy.

— Orson nie przybył z Wyvern.

— A skąd?

Stałem oparty plecami o lodówkę, popijając gorącą kawę.

— Jeden z kolegów mamy dał go nam. Ich suka miała duży miot i musieli szczeniakiem znaleźć domy.

— Kolega mamy z uczelni?

— No. Wykładowca z Ashdon.

Roosevelt Frost wpatrywał się we mnie bez słowa i straszliwa chmura litości przysłoniła mu twarz.

— Co? — spytałem i usłyszałem w swoim głosie drżenie, które mi się nie podobało.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zreflektował się i zachował milczenie. Nagle zaczął unikać mojego wzroku. Teraz i on, i Orson z wielkim zainteresowaniem wbijali gały w te cholerne psie biszkopty.

Kotu biszkopty były obojętne. Zamiast im, przyglądał się mnie.

Gdyby inny kot, wykonany ze szczerego złota, z oczami z drogich kamieni, pilnujący w milczeniu przez tysiąclecia najświętszej komory piramidy, głęboko pod mierzem piasku, nagle ożył na moich oczach, nie wydałoby mi się to bardziej tajemnicze niż widok siedzącego tu tego kota o uporczywym, w jakiś sposób sygnalizującym prawdziwą mądrość, spojrzeniu.

— Chyba nie uważa pan, że Orson jest stamtąd? — spytałem Roosevelta. — Z Wyvern? Czemu kolega mamy miałby kłamać?

Potrząsnął głową, jakby nie wiedział. Ale świetnie wiedział.

Byłem sfrustrowany tym, jak przechodził od wyjawiania do ukrywania sekretów i na odwrót. Nie rozumiałem tej gry, nie potrafiłem pojąć, czemu raz jest otwarty, a raz skryty.

Przeszywany spojrzeniem kota, tak nieodgadnionym jak hieroglify, w blasku świec, falującym od przeciągu, w wilgotnym powietrzu zagęszczonym przez tajemnice, tak wyraźnie obecne jak woń kadzidła, powiedziałem:

— Potrzeba panu tylko kryształowej kuli, srebrnych kolczyków, cygańskiej przepaski na czoło, rumuńskiego akcentu i pańska zgrywa będzie kompletna.

Nie potrafiłem wyprowadzić go z równowagi.

Wróciłem do mojego krzesła i usiłowałem wykorzystać tę niewielką wiedzę, którą miałem, by przekonać Roosevelta, że wiem jeszcze więcej. Może jednak otworzy się bardziej, jeśli pomyśli, że niektóre jego sekrety wcale nie są sekretami. Powiedziałem więc:

— W tych laboratoriach w Wyvern nie były tylko koty i psy. Tam były małpy.

Nie odpowiedział i nadal unikał mojego wzroku.

— Wie pan o małpach? — spytałem.

— Nie — odparł stanowczo, ale zerknął na monitor kamery.

— Podejrzewam, że to właśnie z powodu małp trzy miesiące temu załatwił pan sobie miejsce cumowania poza basenem.

Zdając sobie sprawę, że zdradził się ze swoją wiedzą, patrząc na monitor, kiedy wspomniałem o małpach, wrócił spojrzeniem do psich biszkoptów.

Na wodach zatoki, poza basenem jachtowym było tylko sto miejsc cumowania i ceniono je niemal tak samo jak stanowiska przy pomostach, chociaż łączyła się z tym nieodłączna niedogodność w postaci kursowania tam i z powrotem inną łodzią. Roosevelt podnajął miejsce od Dietera Gessela, rybaka, którego trawler cumował dalej, wzdłuż północnego przylądka, z resztą flotylli rybackiej, ale który trzymał zapuszczoną łajbę poza basenem jachtowym, oczekując aż przejdzie na emeryturę i kupi sobie łódź rekreacyjną. Plotka głosiła, że Roosevelt płacił Dieterowi pięciokrotność ceny oficjalnej. Poprzednio nigdy o to nie pytałem, ponieważ nie była to moja sprawa. Teraz powiedziałem:

— Każdego wieczoru odprowadza pan „Nostromo” od tego pomostu na miejsce cumowania i tam śpi. Każdziutkiego wieczoru... z wyjątkiem dzisiejszej nocy, kiedy czekał pan tu na mnie. Ludzie myśleli, że zamierza pan kupić drugą łódź, coś mniejszego i do zabawy, ot, nic poważnego. Kiedy pan tego nie zrobił, kiedy tylko pan wypływał tam co noc, żeby uderzyć w kimono, pomyśleli: „No, w porządku, i tak jest trochę ekscentryczny, kochany Roosevelt, rozmawia z domowymi zwierzakami i z Bóg wie z czym”.

Zachował milczenie.

On i Orson sprawiali wrażenie tak bardzo i w równym stopniu zafascynowanych tymi trzema psimi biszkoptami, że prawie uwierzyłem, iż któryś z nich nagle złamie dyscyplinę i pochłonie smakołyki.

— Od dzisiaj chyba będę wiedział, dlaczego pan tam śpi — powiedziałem. — Doszedł pan do wniosku, że tak będzie bezpieczniej. Bo może małpy nie pływają do brze... albo przynajmniej nie przepadają za tym.

— W porządku, piesku — rzekł, jakby mnie nie słyszał — możesz zjeść swoje mniam-mniam.

Orson zaryzykował bezpośredni kontakt wzrokowy ze swoim inkwizytorem, szukając potwierdzenia.

— Śmiało — zachęcił go Roosevelt.

Orson popatrzył na mnie z powątpiewaniem, jakby pytał, czy według mnie pozwolenie Roosevelta to podstęp.

— Jest tu gospodarzem — powiedziałem.

Pies porwał biskopt i rozanielony pogryzł go.

Roosevelt wreszcie poświęcił mi uwagę i z tą denerwującą litością, nadal widoczną w wyrazie twarzy, rzekł:

— Ci ludzie, stojący za programem w Wyvern... może na początku mieli dobre intencje. W każdym razie niektórzy z nich. I myślę, że ich praca mogła dać pewne dobre rezultaty. — Znów pogładził kota, który rozluźnił się, lecz ani na chwilę nie spuszczał ze mnie przeszywającego spojrzenia. — Ale ten interes ma i złą stronę, bardzo złą. Z tego, co powiedziano, mały to tylko jedno objawienie całego zła.

— Tylko jedno?

Roosevelt wytrzymał mój wzrok przez długi czas, na tyle długi, że Orson mógł zjeść drugi biskopt, a kiedy wreszcie się odezwał, ściszył głos prawie do szeptu:

— W tamtych laboratoriach było coś więcej niż tylko koty, psy i mały.

Nie wiedziałem, o co mu chodzi.

— Podejrzewam, że nie mówisz o świnkach morskich albo białych myszkach.

Odwrócił wzrok i wydawało się, że patrzy na coś będącego bardzo daleko poza kabiną tej motorówki.

— Nadchodzi wiele zmian.

— Mówią, że zmiana jest dobra.

— Niektóre zmiany.

Podczas gdy Orson zajął się trzecim biskoptem, Roosevelt podniósł się z krzesła. Wziął kota, przytulił do piersi, gładził i chyba rozważał, co jeszcze muszę — lub powinienem — wiedzieć.

Gdy wreszcie się odezwał, przeszedł z fazy ujawniania w tajemniczość.

— Jestem zmęczony, synu. Powinienem być w łóżku od dobrych paru godzin. Poproszono mnie, abym cię ostrzegł, że twoi przyjaciele znajdą się w niebezpieczeństwie, jeśli nie zostawisz sprawy w spokoju, jeśli nadal będziesz węszył.

— Kot poprosił, żebyś mnie ostrzegł.

— Zgadza się.

Podniosłem się i poczułem kołysanie motorówki. Przez chwilę miałem zawroty głowy i złapałem się oparcia krzesła, by dojść do siebie.

Temu fizycznemu odczuciu towarzyszył zamęt w umyśle i mój kontakt z rzeczywistością wydawał się coraz węższy. Czułem się, jakbym sunął po krawędzi wiru, wysysającego mnie coraz szybciej i szybciej, aż przeleciałem przez dno leja — moja autorska wersja tornada Dorotki — i znalazłem się nie w Krainie Oz, ale nad Waimea Bay, na Hawajach, poważnie roztrząsając z Pia Klick delikatne kwestie reinkarnacji.

Zdając sobie sprawę z ekstremalnej ekscentryczności swojego pytania, jednak postawiłem je:

— A ten kot, Mungojerrie... nie jest w spóle z ludźmi z Wyvern?

— Uciekł im.

Oblizując siekacze — zapewne chciał się upewnić, że żaden cenny okruch biszkopta nie przykleił się do warg ani sierści przy pysku — Orson zszedł z krzesła i stanął przy mnie.

— Dziś w nocy opisano mi ten program z Wyvern, jakby to była apokalipsa... koniec świata — powiedziałem.

— Świata, jaki znamy.

— Naprawdę pan w to wierzy?

— Tak, to mogło się tak potoczyć. Ale może w końcu się okaże, że będzie więcej dobrych zmian niż złych. Koniec świata, jaki znamy, to niekoniecznie to samo, co koniec świata.

— Niech pan powie to dinozaurom, po uderzeniu meteorytu.

— Mam chwile, w których nachodzi mnie strach — przyznał.

— Jeśli jest pan na tyle wystraszony, że co wieczór płynie na stanowisko cumowania, i jeśli naprawdę pan wierzy, że to, co robili w Wyvern, było tak niebezpieczne, dlaczego nie wyjedzie pan z Moonlight Bay?

— Rozwazałem to. Ale tu mam swój biznes. Swoje życie. Poza tym, nie nadaję się na uciekiniera. To byłoby tylko odwlekanie nieuniknionego. Właściwie nigdzie nie jest bezpiecznie.

— To ponura ocena.

— Chyba tak.

— Nie robi pan nawet wrażenia załamane.

Niosąc kota Roosevelt wyprowadził nas z głównej kabiny i przez sterówkę.

— Dawałem sobie radę ze wszystkim, co mnie w życiu spotkało, synu, na wozie i pod wozem, byle tylko było interesująco. Zaznałem błogosławieństwa pełnego oraz różnorodnego życia, i jedyne, co mnie przeraża, to nuda.

Wyszliśmy na pokład rufowy, w lepkie objęcia mgły. Tu, w klejnocie Środkowego Wybrzeża sprawy mogą potoczyć się tak, że włosy staną wszystkim na głowie, ale tak czy siak, jest cholernie pewne, że nie będzie nudy.

Roosevelt miał więcej wspólnego z Bobbym Hollowayem, niż mógłbym się tego spodziewać.

— No cóż, proszę pana... chyba muszę panu podziękować za radę. — Siadłem na obramowanie kokpitu i ześlizgnałem się z motorówki, na trap, niecały metr niżej. Orson jednym skokiem znalazł się obok mnie.

Wielka czapla odeszła wcześniej. Mgła wirowała wokół, czarna woda przelewała się pod pomostem, a wszystko inne było tak nieruchome jak sen śmierci.

Zrobiłem kilka kroków, gdy Roosevelt powiedział:

— Synu...?

Zatrzymałem się i obejrzałem.

— Naprawdę wchodzi tu w grę nie tylko bezpieczeństwo twoich przyjaciół, ale i twoje własne szczęście. Wierz mi, lepiej, żebyś więcej nie wiedział. Masz dość kłopotów... tak jak żyjesz.

— Nie mam żadnych kłopotów — zapewniłem go. — Tylko plusy i minusy codziennego życia, inne, porównując z resztą ludzi.

Miał tak czarną skórę, że mógł być mirażem we mgle, fałszywym cieniem. Trzymany przez niego kot był niewidzialny, poza ślepiami, które wydawały się pozbawione związku z resztą ciała — tajemnicze, jasnozielone kule, unoszące się w powietrzu.

— Tylko inne plusy... czy ty naprawdę w to wierzysz?

— Tak, proszę pana — odparłem, chociaż nie byłem pewien, czy wierzę, bo to prawda, czy też dlatego, że przez większość życia przekonywałem siebie, że tak jest. Często rzeczywistość jest tworem twojej woli.

— Powiem ci jeszcze jedną rzecz — rzekł. — Jedną rzecz więcej, bo może to przekaże cię, żebyś dał wszystkiemu spokój i żył swoim życiem.

Czekałem.

Wreszcie ze smutkiem w głosie powiedział:

— Twoja matka była, jaka była, i to powód, dla którego większość z nich nie chce cię zabić, powód, dla którego woleliby cię raczej kontrolować, zabijając twoich przyjaciół, powód, dla którego cię czczą.

Lęk, śmiertelnie lodowaty, wspiął mi się po krzyżu i przez chwilę doznałem takiego skurczu płuc, że nie mogłem oddychać — chociaż nie miałem pojęcia, dlaczego enigmatyczne stwierdzenie Roosevelta wywołało tak gwałtowną reakcję. Może rozumiałem więcej, niż mi się wydawało. Może prawda już czekała na wyjawienie w kanionach podświadomości — lub w otchłani serca.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — spytałem, kiedy powrócił oddech.

— Jak się nad tym chwilę zastanowisz, głęboko zastanowisz, może zrozumiesz, że nie masz nic do zyskania śledząc tę sprawę... a wiele do stracenia. Wiedza rzadko przynosi pokój, synu. Sto lat temu nie wiedzieliśmy nic o budowie atomu, DNA ani czarnych dziurach, ale czy nie byliśmy szczęśliwsi i nie częściej dostępowaliśmy spełnienia niż ludzie teraz?

Gdy wypowiedział ostatnie słowo, mgła wypełniła przestrzeń na pokładzie. Drzwi kabiny zamknęły się cicho, głośniejsze rozległ się szcęk zasuw.

24

Wokół skrzypiącego „Nostromo” miękko osiadała mgła. Wydawało się, że nocne stwory wychodzą z niej, wiszą groźne, a potem rozpływają się.

Pod wpływem ostatnich niesamowitych wieści Roosevelta Prosta w mojej głowie nabierały kształtu groźniejsze potwory niż te, które tworzyła mgła, ale nie miałem ochoty o nich rozmyślać, bo przez to nabrałyby trwalszej postaci. Niewykluczone, że miał rację. Gdybym dowiedział się wszystkiego, czego pragnę, być może pożałowałbym, że nie pozostałem w niewiedzy.

Bobby mawia, że prawda jest słodka, ale niebezpieczna. Powiada, że ludzie nie dałoby rady żyć, gdyby poznali każdą beznamietną prawdę o nich samych.

Ja odpowiadam, że w takim razie nigdy nie grozi mu samobójczy nastrój.

Orson szedł przede mną, a ja rozważałem, jakie mam możliwości, dokąd mogę teraz pójść i co zrobić. Rozlegała się pieśń syreny i tylko ja słyszałem te niebezpieczne pienia; a chociaż lękałem się skał prawdy, nie potrafiłem się oprzeć tej hipnotyzującej melodii.

— Więc... gdybyś kiedyś miał ochotę mi to wytłumaczyć, wal śmiało — powiedziałem do psa.

Nawet gdyby Orson mógł mi odpowiedzieć, nie wydawał się w nastroju do rozmowy.

Rower nadal stał oparty o balustradę pomostu. Gumowe rączki kierownicy były zimne i śliskie, mokre od skroplonej wilgoci. Za nami było słychać pracujące silniki „Nostromo”. Gdy się obejrzałem, zobaczyłem, jak światła pozycyjne motorówki rozpływają się we mgle. Nie mogłem dojrzeć Roosevelta w sterówce, na górnym pokładzie, ale wiedziałem, że tam stoi. Chociaż ciemność miała trwać zaledwie kilka godzin, wyprowadzał swoją jednostkę na stanowisko cumowania, nawet przy tak słabej widoczności.

Idąc z rowerem do brzegu przez basen jachtowy, pomiędzy łagodnie kołyszącymi się łodziami, obejrzałem się kilkakrotnie, sprawdzając, czy wśród mdłych świateł pomostu dojrzę Mungojerrie. Jeśli podążał za nami, to dyskretnie. Podejrzewałem, że nadal przebywa na pokładzie „Nostromo”.

„... twoja matka była, jaka była, i to powód, dla którego cię czczą”.

Gdy skręciliśmy w prawo na główny pirs i szliśmy w kierunku wejścia do basenu, owionął nas fetor unoszący się z wody. Najwidoczniej pływ zniósł między fundamenty pomostu zdechłą ośmiornicę, fregatę lub rybę. Gnijące ścierwo musiało zaplątać się powyżej linii wodnej splątanej masy wodorostów, obrastających betonowe kesony. Smród musiał być tak gęsty, bo powietrze było nim nie tyle przesiąknięte, co przeciążone, i cuchnęło tak odrażająco jak rosół na czarcim stole. Wstrzymałem oddech i zaciśnąłem mocno usta, nie chcąc wchłaniać obrzydliwego odoru, który przeniknął mgłę.

Warkot silników „Nostromo” rozpływał się, gdy motorówka sunęła do stanowiska cumowania. Teraz rytmiczny łomot, dobiegający z lustra wody, bynajmniej nie wydawał się odgłosem silnika, lecz złowieszczym biciem serca lewiatana, jakby potwór z przepastnych głębi mógł wynurzyć się w basenie, zatopić wszystkie jachty, rozedrzeć pomosty i pogrążyć nas w zimnym, mokrym grobowcu.

Gdy dotarliśmy do połowy pirsu, obejrzałem się i nie dostrzegłem kota ani żadnej bardziej budzącej lęk postaci, która deptałaby nam po piętach.

Rzekłem Orsonowi:

— Niech to szlag trafi, naprawdę mam takie wrażenie, jakby zbliżał się koniec świata.

Mruknął zgadzając się ze mną, gdy zostawiliśmy za sobą smród i szliśmy w kierunku starych latarni okrętowych, umocowanych na masywnych tekowych słupach, u początku głównego pirsu.

Lewis Stevenson, szef policji, nadal w mundurze, w jakim widziałem go wcześniej tej nocy, wynurzył się z prawie płynnej ciemności obok kapitanatu basenu i stanął w świetle.

— Mam ten stan — powiedział.

Przez chwilę, w której wyłaniał się z cieni, było w nim coś tak niesamowitego, że chłód jak korkociąg przewiercił mi kręgosłup. Jednakże to, co zobaczyłem — lub co wydało mi się obecne — minęło w mgnieniu oka i przyłapałem się na tym, że drzę, poruszony do głębi, owładnięty przekonaniem, iż znalazłem się w obliczu jakiegoś zjawiska paranormalnego i złowrogiego, równocześnie nie umiejąc zidentyfikować źródła tego odczucia.

Szef Stevenson trzymał potężny pistolet. Lufa była skierowana na Orsona, który stał dwa kroki za mną, na granicy kręgu światła latarni, podczas gdy ja znajdowałem się w cieniach.

— Chcesz widzieć, jaki mam stan? — spytał zatrzymując się nie dalej niż trzy i pół metra przed nami.

— Nie najlepszy? — zaryzykowałem.

— W tym stanie nie lubię, jak mnie ktoś roluje.

Mówił jak nie on. Jego głos był znajomy, timbre i akcentowanie niezmienione, ale tam, gdzie poprzednio dźwięczała spokojna pewność siebie, brzmiała twarda nuta. Zwykle słowa płynęły mu z ust strumieniem, który jakby cię niósł, spokojny, ciepły i bezpieczny; ale teraz ten nurt był szybki i kotłujący się, zimny i kłujący.

— Nie czuję się dobrze — powiedział. — Wcale nie czuję się dobrze. Prawdę mówiąc, czuję się gównianie i nie zniosę niczego, co jeszcze bardziej schrzaniłoby mi humor. Rozumiesz, co mówię?

Chociaż wcale go nie rozumiałem, pokiwałem głową i rzekłem:

— Tak. Tak, proszę pana, rozumiem.

Orson stał nieruchomo jak posąg i nie spuszczał wzroku z wylotu lufy policjanta. Doskwierała mi niemiła świadomość, że o tej porze w basenie jachtowym nie ma żywego ducha. Poza Rooseveltem tylko sześciu jachtmanów mieszkało na pokładzie swoich jednostek i niewątpliwie twardo spali. Pomosty były nie mniej samotne niż granitowe rzędy wieczystych koi na cmentarzu św. Bernadetty.

Mgła zacierała nasze głosy. Niepodobna, by ktoś się zbliżył, zwabiony odgłosami rozmowy.

Przewiercając wzrokiem Orsona, ale zwracając się do mnie, Stevenson rzekł:

— Nie mogę dostać tego, czego chcę, bo nawet nie wiem, co to jest. Czy to nie draństwo?

Wyczułem, że ten człowiek jest na granicy rozstroju nerwowego i ledwie nad sobą panuje. Przestał wyglądać szlachetnie. Nawet brzydził, gdy wściekłość i dorównujący jej niepokój wykrzywiały mu twarz.

— Czułeś kiedyś tę pustkę, Snow? Czułeś kiedyś taką pustkę, że byłeś gotów ją zapęłnić albo umrzeć, ale nie wiedziałeś, gdzie ona jest i czym, na Boga, miałbyś ją zatkać?

Teraz nie rozumiałem go kompletnie, ale nie wydawało mi się, żeby był w nastroju do tłumaczenia się, więc zrobiłem szalenie mądrą minę i skinąłem głową ze zrozumieniem.

— Tak, proszę pana. Znam to uczucie.

Czoło i policzki miał wilgotne, ale nie od lepkiego powietrza, lśniły tłustym potem. Jego twarz była nieziemsko biała, a mgła, kłębiące się lodowate opary, wydobywały się spod skóry, buchały, jakby parowało wewnątrz jego ciała.

— Dopada cię szkaradnie w nocy — powiedział.

— Tak, proszę pana.

— Dopada cię o każdej porze, ale zwłaszcza szkaradnie w nocy. — Wykrzywił twarz. To chyba był wyraz obrzydzenia. — A w ogóle, co to za cholerny pies?

Ręka trzymająca broń zeszytniała i palec zacisnął się na spuście.

Orson obnażył zęby, ale nie poruszył się i nie wydał żadnego dźwięku.

— To tylko skundlony labrador — powiedziałem szybko. — Dobry pies, kota by nie skrzywdził.

Gniew w nim wzbierał bez żadnej konkretnej przyczyny.

— Tylko skundlony labrador, co? Diabła tam. Nic nie jest „tylko”. Nie tu. Nie teraz. Już nigdy.

Zastanawiałem się, czy nie sięgnąć po glocka. Rower trzymałem lewą ręką. Prawą miałem wolną, a pistolet blisko w kieszeni. Jednakże Stevenson, chociaż wyprowadzony z równowagi, na pewno zareagowałby z morderczym profesjonalizmem na agresywne zachowanie. Nie pokładałem zbytnej wiary w dziwne zapewnienie Roosevelta, że jestem czczony. Nawet gdybym upuścił rower, by odwrócić jego uwagę, Stevenson położyłby mnie trupem, zanim wyjąłbym glocka z kieszeni.

Poza tym nie zamierzałem wyciągać broni przeciwko szefowi policji, chyba że nie miałbym innego wyboru. A gdybym go zastrzelił, to byłby koniec mojego życia, strącenie słońca.

Stevenson zniecierpliwiony poderwał głowę, odrywając wzrok od Orsona. Głęboko odechnął, a potem kilka razy szybko i płytko, jak wyżeł tropiący ofiarę.

— Co to?

Miał ostrzejszy węch niż ja, ponieważ dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że prawie niewyczuwalna bryza przyniosła smród rozkładającego się stworzenia morskiego pod głównym pirsem.

Chociaż Stevenson już zachowywał się na tyle dziwnie, że skóra na czaszce zbiegła mi się jak sztuczny zamsz, stawał się coraz dziwniejszy. Stęzał, zgarbił się, wyciągnął szyję i uniósł twarz, jakby smakował fetor zgnilizny. Oczy płonęły mu w bladej twarzy i odezwał się nie z umiarkowaną dociekliwością gliniarza, ale z nagłą, nerwową ciekawością, która robiła wrażenie perwersyjnej:

— Co to jest? Czujesz ten zapach? Coś zdechłego, no nie?

— Coś tam pod pirsem — potwierdziłem. — Chyba jakaś ryba.

— Zdechła. Zdechła i gnijąca. Coś... coś w tym jest, no nie? — Chyba chciał się oblizać. — No. No. Jest w tym coś, bez dwóch zdań.

Albo usłyszał w swoim głosie ten niesamowity ton, albo wyczuł moją czujność, bo spojrzał na mnie z niepokojem i podjął walkę, by nad sobą zapanować. Prawdziwą walkę. Chwiał się na pękającej krawędzi emocji.

Wreszcie odzyskał prawie normalny głos.

— Muszę z tobą pomówić, dogadać się. Teraz. Dzisiaj. Chodź do mnie, Snow.

— Dokąd?

— Do radiowozu.

— A rower?

— Nie aresztuję cię. Chcę zamienić tylko parę zdań. Żeby mieć pewność, żeśmy się dogadali.

Nie uśmiechało mi się wsiadanie do radiowozu Stevensona. Jednakże gdybym odmówił, mógłby zaprosić mnie bardziej urzędowo, zabierając do aresztu.

A gdybym próbował uniknąć aresztowania, gdybym wsiadł na rower i pedałowal tak mocno, aż piasty kół by się zadymiły — dokąd miałbym jechać? Do wschodu słońca było kilka godzin i tym samotnym kawałkiem wybrzeża dojechałbym zaledwie do następnego miasteczka. A nawet gdybym dysponował nieograniczonym czasem, XP wyznaczało mój świat do obszaru Moonlight Bay, gdzie mogłem powrócić do domu przed wschodem lub znaleźć wyrozumiałego przyjaciela, który wzięłby mnie do siebie i zapewniłby mrok.

— Znów mam ten stan — powtórzył Lewis Stevenson, cedząc słowa. Twardy ton głosu powrócił. — Znów mam ten stan. Bankowo. Idziesz ze mną?

— Tak, proszę pana.

Super-zaproszenie.

Ruchem pistoletu wskazał, że Orson i ja mamy iść przodem. Podprowadziłem rower do początku wejściowego pirsu. Strasznie mi się nie podobało, że szef z bronią jest za mną. Nie musiałem być spowiednikiem zwierząt, by wiedzieć, że Orson też jest zdenerwowany.

Deski pirsu kończyły się betonowym chodnikiem. Okalały go kwietniki obsadzone przypołudnikiem okroplonym, którego kwiaty otwierały się szeroko w promieniach słońca i zamykały nocą. W świetle niskich lamp ślimaki pokonywały chodnik, błyszcząc antenkami, ciągnąc srebrzyste pasmo śluzu. Niektóre pokorne mięczaki pełzły z prawej na lewo, inne odwrotnie, jakby dzieliły ludzką niecierpliwość i niezadowolenie z warunków egzystencji.

Prowadziłem rower zygzakiem, omijając ślimaki, a Orson, chociaż je obwąchiwał, nie czynił im krzywdy.

Za naszymi plecami rozlegał się odgłos miażdżonych skoruppek, pisk i chlupot galaretowatych ciałek deptanych podszwami butów. Stevenson deptał nie tylko te ślimaki, które miał wprost na drodze, ale każdego nieszczęsnego gastropoda w zasięgu wzroku. Niektórych pozbywał się szybkim kopnięciem, ale inne deptał, następował na nie z taką siłą, że podeszwa buta lądowała na betonie z hukiem kowalskiego młota.

Nie oglądałem się.

Dręczyła mnie obawa, że zobaczę okrutną, szyderczą radość, zapamiętaną aż nadto dobrze z gęb młodych bysiorów, którzy znęcali się nade mną w dzieciństwie, zanim stałem się na tyle mądry i duży, żeby się nie dać. Chociaż ten grymas wyprowadzał z równowagi, gdy widziało się go na twarzy dziecka — paciorkowate oczy, idealna replika gadzich ślepi nawet bez eliptycznych źrenic, policzki zaczerwienione nienawiścią, bezkrwiste wargi, odsłaniające szyderczo lśniące śliną zęby — byłby nieskończenie bardziej niepokojący na obliczu dorosłego, zwłaszcza gdy ów dorosły miał broń i nosił oznakę policyjną.

Czarno-biały radiowóz Stevensona stał w strefie zakazu parkowania, dziesięć metrów na lewo od wjazdu do basenu jachtowego, poza zasięgiem kwietnikowych lamp, w głębokim nocnym cieniu rozłożystego parasola ogromnego wawrzynu.

Oparłem rower o pień drzewa, na którym mgła wisiała jak „hiszpański mech”. W końcu odwróciłem się ze znużeniem do szefa policji. Otwierał tylne drzwi od strony pasażera. W ciemności rozpoznałem ten wyraz jego twarzy, który nawet w myślach wywoływał we mnie paraliżujące przerażenie: nienawiść, bezpodstawny, lecz niepowstrzymany gniew, sprawiający, że niektórzy ludzie sięją na ziemi większe pokłosie śmierci niż jakiegokolwiek zwierzę.

Stevenson nigdy nie ujawnił tej mrocznej strony swojej osobowości. Sprawiał wrażenie, że nie potrafi być nieuprzejmy, więc tym bardziej absurdalne wydawało się, iż może bezsensownie nienawidzić. Gdyby nagle okazało się, że nie jest prawdziwym Lewitem Stevensonem, lecz jakąś pozaziemską formą życia, osobnikiem, który wcielił się w postać szefa policji, uwierzyłbym w to.

Gestykulując bronią nakazał Orsonowi:

— Ładuj się do wozu, facet.

— Tu mu będzie całkiem dobrze — powiedziałem.

— Wsiadaj — popędzał psa.

Orson zerknął podejrzliwie na otwarte drzwi radiowozu i zapiszczał nieufnie.

— Zaczeka — rzekłem. — Nigdy by nie uciekł.

— Chcę, żeby wsiadł do wozu — powiedział lodowato Stevenson. — W tym mieście obowiązuje prowadzenie psów na smyczy, Snow. Nigdyśmy ci tego nie narzucali. Zawsze odwracaliśmy głowę, udawaliśmy, że niczego nie widzimy, bo... bo jeśli pies jest przewodnikiem osoby upośledzonej, przepis go nie dotyczy.

Nie chciałem zrazić do siebie Stevensona, sprzeciwiając się określeniu „upośledzony”. W każdym razie mniej interesowało mnie to jedno słowo niż sześć innych, które na pewno był gotów powiedzieć, zanim ugryzł się w język: „bo twoja matka była, jaka była”.

— Ale tym razem — powiedział — nie zamierzam siedzieć tu beczynnienie, kiedy ten cholerny pies pałęta się luzem, paskudzi na chodnik, puszy się, że nie jest na smyczy.

Chociaż mogłem zauważyć, że jest sprzeczność między faktem, iż pies osoby upośledzonej nie musi być obowiązkowo prowadzony na smyczy, a twierdzeniem, że Orson pyszni się tym, że na smyczy nie jest, nie otworzyłem ust. Nie wygrałbym żadnego sporu z wrogo nastawionym Stevensonem.

— Jeśli nie chce wejść do samochodu, kiedy ja mu każę — powiedział Stevenson — to ty go zmuś.

Zawahałem się, szukając sensownej alternatywy potulnego posłuszeństwa. Z każdą sekundą nasza sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Czułem się pewnie w oślepiającej mgłę na półwyspie, kiedy gromada deptała nam po piętach.

— Już ładuj tego cholernego psa do cholernego samochodu!!! — rozkazał Stevenson, tryskając takim jadem, że uznałem, iż poprzednio niepotrzebnie wysiłał się depcząc ślimaki. Zabiłby je samym głosem.

Ponieważ trzymał w dłoni broń, miał nade mną przewagę, ale znajdowałem wątłe pocieszenie w fakcie, że chyba nie ma pojęcia, co spoczywa w kieszeni mojej kurtki. Na razie nie miałem innego wyjścia, musiałem się podporządkować.

— Do auta, przyjacielu — powiedziałem Orsonowi, tłumiąc strach, tłumiąc łomot serca, by nie zadrżał mi głos.

Pies usłuchał niechętnie.

Lewis Stevenson zatrzasnął tylne drzwi, a potem otworzył przednie.

— Teraz ty, Snow.

Usiadłem na siedzeniu pasażera, podczas gdy Stevenson obszedł samochód i siadł za kierownicą. Zatrzasnął drzwi i kazał mi zamknąć moje. Poprzednio miałem nadzieję, że nie będę musiał tego robić.

Zwykle nie cierpię na klaustrofobię w niewielkich pomieszczeniach, ale żadna trumna nie była ciaśniejsza od tego radiowozu. Mgła napierająca na szyby dusiła jak sen o pogrzebaniu żywcem.

Wnętrze samochodu wydawało się chłodniejsze i bardziej wilgotne niż powietrze na zewnątrz. Stevenson zapalił silnik, chcąc włączyć ogrzewanie. Zatrzeszczało policyjne radio i głos dyżurnego, zniekształcony wyładowaniami elektrycznymi, zaskrzeczał jak pieśń ropuchy. Stevenson wyłączył radio.

Orson stał z tyłu na podłodze, przednimi łapami opierając się o kratę i zerkał na nas z niepokojem. Szef wcisnął przycisk blokując zamek tylnych drzwi i rozległ się ostry dźwięk, z nutą takiej nieodwołalności jak szczęk gilotyny.

Miałem nadzieję, że Stevenson, kiedy wsiedliśmy do wozu, schowa pistolet do kabury, ale nadal trzymał go w dłoni. Oparł dłoń na udzie, lufę pistoletu obracając w kierunku tablicy rozdzielczej. W zielonym świetle tarcz i wskaźników wydawało mi się, że palce trzyma teraz raczej na kabłąku osłony niż na samym spuście, ale to w żadnym istotnym stopniu nie zmniejszyło jego przewagi. Na chwilę opuścił głowę i zamknął oczy, jakby się modlił lub usiłował skoncentrować.

Mgła zbierała się na wawrzynie i krople wody kapały z koniuszków liści, wybijając nierówny rytm na masce i dachu auta.

Niedbale, spokojnie wsadziłem dłonie w kieszenie kurtki. Zacisnąłem prawą na glocku. Powiedziałem sobie, że moja bujna fantazja wyolbrzymia zagrożenie. Tak, Stevenson był w fatalnym nastroju; przypomniawszy sobie zdarzenie na tyłach komisarjatu, wiedziałem, że wbrew temu, co długo udawał, nie jest ramieniem sprawiedliwości. Ale nie znaczyło to, że ma jakieś wrogie zamiary. Może faktycznie chciał tylko pogadać i powiedziawszy swoje, wypuści nas nie robiąc krzywdy.

Kiedy uniósł głowę, jego oczy były jeziorkami żrącego kwasu. Spojrzał i kolejny raz zmroziło mnie wrażenie obcowania z niehumanitarną wrogością, jak wtedy, gdy wyłonił się z mroku za kapitanatem basenu, lecz tym razem wiedziałem, dlaczego moje naciągnięte do granic wytrzymałości nerwy brzęczą melodię przerażenia. Przez krótką chwilę, i patrząc pod pewnym kątem, w jego szklistym spojrzeniu dojrzałem żółtawe lśnienie, blask ślepi wielu zwierząt nocą; zimne, tajemnicze wewnętrzne światło, jakiego nigdy nie ujrzałem u żadnego człowieka, którego zrodziła kobieta.

25

Migotanie, nieczułe i zabójcze jak prąd elektryczny, pojawiło się w oczach Stevensona tak przelotnie, że gdy odwrócił do mnie głowę, to każdej poprzedniej nocy może zlekceważyłbym ów fenomen, uznawszy go jedynie za dziwne odbicie tablicy rozdzielczej. Lecz od zachodu słońca widziałem mały, który nie były jedynie małpami, kota, który był więcej niż kotem, i brodziłem w tajemnicach, które niczym rzeki płynęły ulicami Moonlight Bay, więc nauczyłem się oczekiwać znaczącego w pozornie nieznaczącym. Teraz jego oczy znów stały się atramentowe, matowe. Gniew w głosie opadł, podczas gdy prąd powierzchniowy był pełen nieutulonej rozpacz i żalu.

— Teraz wszystko się zmieniło, wszystko się zmieniło i nie ma powrotu.

— Co się zmieniło?

— Nie jestem tym, kim byłem. Trudno mi przypomnieć sobie, kim byłem. Jakim człowiekiem. Jestem stracony.

Miałem wrażenie, że mówi w równej mierze do siebie jak i do mnie, oplakując swoją utraconą tożsamość.

— Nie mam nic do stracenia. Wszystko, co się liczyło, zostało mi zabrane. Jestem chodzącym trupem, Snow. Niczym więcej. Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak się czuję?

— Nie.

— Bo nawet ty, z twoim zasranym życiem, unikając dnia, wychodząc na dwór tylko nocą, jak jakiś nagi ślimak wypływający spod kamienia... nawet ty masz po co żyć.

Chociaż urząd szefa policji był w naszym miasteczku obieralny, odnosiłem wrażenie, że Lewis Stevenson nie zabiega o mój głos.

Chciałem mu powiedzieć, żeby się ode mnie odkopulował. Ale jest różnica między nieokazywaniem strachu i dopraszaniem się o kulę w łeb.

Odwrócił głowę ku gęstym zwałom białej mgły, ślizgającej się po przedniej szybie i zimny płomień znów zamigotał mu w oczach, błyskiem krótszym i mniej wyraźnym niż poprzednio, a jednak bardziej niepokojącym, gdyż nie był tylko wytworem mojej wyobraźni.

Stevenson zniżył głos, jakby obawiał się podsłuchu i rzekł:

— Mam straszne koszmary senne, potworne, pełne seksu i krwi.

Poprzednio nie bardzo wiedziałem, czego się spodziewać po tej rozmowie, ale ujawnienie osobistych udręk nie figurowało na mojej liście oczekiwanych tematów.

— Zaczęły się mniej więcej rok temu — ciągnął. — Początkowo raz w tygodniu, potem zdarzały się coraz częściej. Najpierw przez jakiś czas kobiety w tych koszmarach nie były mi znane. Czyste wytwory wyobraźni. Jak w snach okresu dojrzewania; dziewczyny o jedwabistej skórze, tak piękne i chętne do oddania się... ale w tych snach nie tylko uprawiałem z nimi seks...

Chyba odpłynął myślami wraz z tumanem mgły gdzieś dalej w mrok. Widziałem tylko profil szeryfa, słabo oświetlony i błyszczący od kwaśnego potu, jednak mający w sobie coś tak okrutnego, że wolałem nie oglądać całej twarzy. O to przynajmniej się modliłem. Zniżył jeszcze bardziej głos i ciągnął swoje wyznania:

— W tych snach biłem je, tłukłem po twarzy, tłukłem, tłukłem i tłukłem na miazgę, której nie dało się rozpoznać. Dusilem, aż język wyłaził z ust...

Na początku owej makabrycznej relacji wyczuwałem przerażenie w tonie jego głosu. Teraz oprócz przerażenia wyraźnie rosło perwersyjne podniecenie, obecne nie tylko w chrapliwym głosie, ale i w napięciu, które nagle wygięło mu ciało.

— ...a kiedy krzyczały z bólu, uwielbiałem ich krzyki, rozdzierającą mękę na twarzach, widok krwi. To takie rozkoszne. Takie podniecające. Budzę się w dreszczach rozkoszy, przeniknięty pożądaniem. I czasem... chociaż mam pięćdziesiąt lat, na litość boską, szczytuję we śnie albo zaraz po obudzeniu.

Orson cofnął się i siadł na tylnej kanapie.

Ja też żałowałem, że nie mogę odsunąć się od Stevensona. Siedząc w ciasnym radiowozie miałem wrażenie, że jesteśmy spychani ku sobie i prasowani w zgniatarce na złomowisku.

— Potem w tych snach zaczęła pojawiać się Louisa, moja żona... i moje dwie... dwie córki. Janine, Kyra. Boją się mnie w tych snach, i nie bez powodu, bo ich przerażenie mnie podnieca. Czuję obrzydzenie... ale też zachwyt i podniecenie tym, co im robię...

Gniew, rozpacz i perwersyjna ekscytacja nadal były obecne w jego głosie, w powolnym ciężkim oddechu, w zgarbieniu ramion i subtelnych, ale upiornych zmianach rysów twarzy, widocznych nawet z profilu. Lecz pośród tych gwałtownych, krańcowo różnych emocji, walczących o panowanie nad umysłem, była też desperacka nadzieja, na uratowanie się przed runięciem w otchłań szaleństwa i zezwierzęcenia, na której granicy tak niepewnie balansował, i ta nadzieja wyraźnie objawiła się w udręce, teraz tak dostrzegalnej w głosie i zachowaniu jak gniew, rozpacz i wynaturzone pożądanie.

— Te nocne koszmary coraz bardziej mnie przerażały, wszystko, co się w nich działo, było tak chore, ohydne i obrzydliwe, że bałem się zasnąć. Nie zasypiałem aż do wyczerpania, aż do chwili, w której żadna ilość kofeiny nie mogła utrzymać mnie na nogach.

Robiłem sobie okłady z lodu na kark, ale powieki same opadały. Lecz kiedy zasypiałem, koszmary się nasilały, jakby wyczerpanie sprowadzało mocniejszy sen, odkrywało głębsze pokłady mroku wewnątrz mnie, w którym żyły gorsze potwory. Kopulowanie i rzeź, nieustanne i żywe, pierwsze moje kolorowe sny, takie intensywne kolory i dźwięki, błagania i moje bezlitosne odpowiedzi, krzyki i łkania, konwulsje i przedśmiertny bełkot, kiedy rozszarpywałem gardła zębami i równocześnie gwałciłem.

Lewis Stevenson chyba widział te odrażające sceny tam, gdzie ja widziałem tylko kłęby mgły, jakby szyba była ekranem, na którym odbywała się projekcja jego obłąkańczych fantazji.

— I po pewnym czasie... już nie walczyłem ze snem. Przez jakiś okres po prostu mogłem to wytrzymać. Aż nadszedł moment... nie pamiętam dokładnie, której nocy... te sny przestały mnie przerażać i stały się wyłącznie źródłem rozkoszy, choć poprzednio wywoływały o wiele silniejsze poczucie winy niż przyjemności. Chociaż początkowo nie potrafiłem przyznać się do tego przed samym sobą, zacząłem wyczekiwać chwili, w której szedłem spać. Te kobiety były mi tak drogie na jawie, ale gdy spałem... wtedy... wtedy dygotałem z rozkoszy mogąc je upadlać, poniżać, torturować na najbardziej wymyślne sposoby. Po tych koszmarach już nie budziłem się ogarnięty strachem... ale dziwną błogością. I leżałem w ciemności, zastanawiając się, o ile bardziej smakowałyby mi te potworności na jawie niż tylko we śnie. Wystarczyło, że pomyślałem o ziszczeniu się moich snów, a odczuwałem potężną żądzę tętniącą w moim ciele i doświadczałem wrażenia wolności, całkowitej wolności, jakiego nigdy przedtem nie zaznałem. Prawdę mówiąc, miałem poczucie, że spędziłem całe życie w kajdanach, skrzepowany łańcuchami, z kamiennymi blokami u nóg. Wydawało się, że poddanie się temu pożądanemu nie będzie zbrodnią, nie będzie miało żadnego moralnego wymiaru. Nie będzie prawe ani nieprawe. Ani dobre, ani złe. Jedynie niesłuchanie wyzwajające.

Albo powietrze w radiowozie było coraz bardziej stęchłe, albo ogarnęło mnie obrzydzenie na samą myśl, że mam wdychać opary, które szef wydychał — nie wiem. Usta wypełnił mi metaliczny smak, jakbym trzymał pod językiem monetę, żołądek skurczył się wokół jakiejś grudki, zimnej jak arktyczny kamień, serce pokrył lód.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Stevenson odkrywa przede mną udręczoną duszę, ale miałem przeczucie, że te wyznania są tylko wstępem do bardziej makabrycznej rewelacji, której wolałbym nigdy nie usłyszeć. Chciałem zamknąć mu usta, zanim powali mnie najbardziej tajemnym sekretem, ale wyczuwałem, jak potężny przymus nakazuje mu opowiedzieć o tych straszliwych fantazjach — być może spowodowany tym, że byłem pierwszą osobą, przed którą zdecydował się otworzyć. Nie było sposobu go powstrzymać — chyba że śmiertelną kulą.

— Później — ciągnął poządlwym szeptem, wszystkie sny skupiły się na mojej wnuczce, Brendzie. Ma dziesięć lat. Śliczna dziewczynka. Prześliczna. Taka szczupła

i wdzięczna. Co za rzeczy robię jej w tych snach! Ach, co to są za rzeczy! Nie jesteś w stanie wyobrazić sobie aż takiej brutalności. Takiej wyjątkowej, rozpustnej zmysłowości. A gdy się budzę... nie ma słów, by opisać moje szczęście. Nieziemskie. Upojne. Leżę w łóżku obok żony, która śpi nie wiedząc, jakie dziwne obsesje mną rządzą, która nigdy się o nich nie dowie, a mnie rozsadza świadomość, że absolutna wolność jest na wyciągnięcie ręki, mogę jej doświadczyć, kiedy tylko zechcę. W każdej chwili. W przyszłym tygodniu. Jutro. Teraz!

W górze przemówił milczący dotąd wawrzyn, jakby szybko jeden po drugim odezwały się spiczaste zielone listki, poddane zbyt wielkiemu ciężarowi zgęstniałej mgły. Każdy strącał pojedynczą wilgotną nutę i drgnąłem na ten nagły dźwięk werbelka opadłych kropli tłukących o samochód, na wpół zaskoczony, że to co spłynęło w dół szyby i w poprzek maski, nie jest krwią.

Mocniej zacisnąłem dłoń na glocku. Po tym, co Stevenson mi powiedział, nie wyobrażałem sobie, by jakimś cudem wypuścił mnie żywego. Lekko zmieniłem pozycję — nie wzbudzając w nim podejrzeń — na bardziej dogodną, gdybym musiał strzelać.

— W zeszłym tygodniu — szeptał — Kyra i Brandy przyszły do nas na kolację i nie mogłem oderwać oczu od małej. Wystarczyło mi na nią popatrzeć i w wyobraźni widziałem ją nagą, jak w moich snach. Tak szczupłą. Tak delikatną. Bezbronną. Podnieciłem się tą bezbronnością, delikatnością, słabością i musiałem ukryć mój stan przed Kyrą i Brandy. Przed Louisą. Chciałem... chciałem... musiałem...

Jego nagły szloch mnie zaskoczył. Kolejny raz targnęły nim fale żalu i rozpacz, jak na początku naszego spotkania. Te jego niesamowite potrzeby, obsceniczne pożądanie zatoneły w przypiływie słabości, żalości i nienawiści do samego siebie.

— Jakaś część mnie chce, żebym się zabił — wyznał — ale tylko mniejsza część, mniejsza i słabsza, cząsteczka mojego dawnego ja. Potwór, którym się stałem, nigdy się nie zabije. Nigdy. Jest zbyt żywotny.

Uniósł do ust i wcisnął między zęby dłoń zwiniętą w pięść, tak mocno gryząc palce, że nie byłbym zaskoczony, gdyby ssał własną krew; usiłował zdusić łkanie; najbardziej rozdzierające, jakie kiedykolwiek słyszałem.

W człowieku, którym się stał, nie było cienia spokoju i opanowania, nadających zwykle Lewisowi Stevensonowi tak wiarygodny polor władzy i sprawiedliwości. Przepływały przezeń niekontrolowane emocje, gwałtownym, rwącym nurtem, fala za falą, bez chwili uspokojenia.

Mój lęk ustąpił miejsca litości. Już miałem położyć mu dłoń na ramieniu, pocieszyć, ale powstrzymałem się, bo wyczułem, że potwór, którego słuchałem chwilę temu, nie znikł ani nawet nie został skuty łańcuchami.

Opuścił pięść, zwrócił ku mnie głowę, pokazując twarz wykrzywioną tak straszliwą udręką, takim przeraźliwym bólem, że nie mogłem na niego patrzeć. On też odwrócił wzrok, znów patrzył na szybę i podczas gdy wawrzyn strzelał na oślep salwami destylatu mgły, Stevenson przestawał łkać; uspokoiwszy się mógł znów mówić.

— Od zeszłego tygodnia znajdowałem wymówki, żeby odwiedzić Kyrę, być koło Brandy. — Drzenie zniekształciło mu głos, ale szybko ustało i wrócił pożądlivy głos stwora z wyżartą duszą. — I czasem, późno w nocy, gdy ten cholerny stan znów mnie napada, kiedy czuję w środku taki lód i pustkę, że chce mi się wyć i wyć bez końca, myślę, że sposób na wypełnienie tej pustki, jedyny sposób ukrócenia tego okropnego ssania w bebeczach... to zrobić to, co uszczęśliwia mnie we snach. I będę to robić. Wcześniej czy później będę to robić. Wcześniej czy później. — Fala emocji przeszła całkowicie z winy i niepokoju w spokojną, ale demoniczną uciechę. — Będę to robić i robić. Rozglądałem się za dziewczynkami w wieku Brandy, właśnie dziewięcio — czy ośmiolatkami, szczupłymi jak ona, ślicznymi jak ona. Będzie bezpieczniej zacząć od kogoś obcego. Bezpieczniej, ale nie mniej przyjemnie. Poczuję się dobrze. Poczuję się tak bardzo dobrze, zakosztuję władzy zniszczenia, zerwę kajdany, w które mnie zakuli, zburzę ściany, będę całkowicie wolny, wreszcie całkiem wolny. Kiedy dopadnę jakąś dziewczynkę, to będę ją gryźć, będę ją gryźć bez końca. W snach liżę skórę dziewczynek, ma taki słony smak, a ja gryzę je i czuję ich krzyk wibrujący w moich zębach.

Nawet w mdłym świetle widziałem walący puls w skroni, nabrzmiąte mięśnie szczęk i kącik ust drgający podnieceniem. Stevenson wydawał się bardziej zwierzęcy niż ludzki — lub ani ludzki, ani zwierzęcy.

Ścisnąłem glocka tak, że ręka bolała mnie aż do barku. Nagle zdałem sobie sprawę, iż palec zacisnąłem na spuście, co groziło, że strzelę bezwiednie, chociaż nie wziąłem jeszcze Stevensona na muszkę. Zdjąłem palec ze spustu.

— Co to sprawiło? — zapytałem.

Kiedy odwrócił do mnie głowę, w jego oczach znów zamigotał przelotny błysk. Zgasł i wzrok Stevensona stał się ponury i morderczy.

— Mały goniec — powiedział tajemniczo. — Ot, po prostu mały goniec, który nigdy nie umrze.

— Dlaczego opowiada mi pan sny o tym, co zamierza zrobić jakiejś dziewczynce?

— Bo, cholerny świrze, mam zamiar postawić ci ultimatum i chcę, żebyś wiedział, jaka to poważna sprawa, jak niebezpieczna i jak mało mam do stracenia, i z jaką radością cię wypatroszę, jeśli cię zabiję. Są inni, którzy cię nie tkną...

— Bo moja matka była, jaka była.

— Znaczy się, już to wiesz?

— Ale nie wiem, co to znaczy. Jaka rolę odgrywała moja matka w tym wszystkim? Zamiast odpowiedzieć, rzekł:

— Są inni, którzy cię nie tkną i nie chcą też, żebym ja cię tknął. Ale jak będę musiał, tknę cię. Wsadzaj swój nos w tę sprawę, a rozwałę ci czaszkę, wywałę mózg i cisnę rybom do zatoki, żeby miały co żreć. Myślisz, że tego nie zrobię?

— Wierzę panu — powiedziałem szczerze.

— Po tym, jak napisałeś tamten bestseller, może jakieś typki z mediów chciałyby cię słuchać. Jeśli spróbujesz coś zrobić, żeby narobić kłopotów, zacznę od tego, że dorwę się do tej suki didżejki. Zrobię jej dobrze na tyle sposobów, że w pale ci się nie mieści.

Wzmianka o Saszy doprowadziła mnie do furii, ale również na tyle skutecznie wystraszyła, że siedziałem cicho. Teraz stało się jasne, że ostrzeżenie Roosevelta Prosta było jedyną radą. Oto groźba, przed którą Roosevelt mnie ostrzegwał, udając, że mówi do kota.

Bładość znikła z twarzy Stevensona i załął się rumieńcem — jakby z chwilą, w której poddał się psychotycznemu pożądaniu, zimne i puste przestrzenie wewnątrz niego wypełnił ogień.

Sięgnął do deski rozdzielczej i wyłączył ogrzewanie.

Znalazłem w sobie dość pewności siebie, by domagać się odpowiedzi, bo zmieniłem pozycję na tyle, że skierowałem pistolet w niego.

— Gdzie ciało mojego ojca?

— W Fort Wyvern. Musi być sekcja.

— Dlaczego?

— Nie musisz wiedzieć. Ale żeby położyć kres tej twojej idiotycznej krucjacie, wiedź przynajmniej, że to naprawdę rak go zabił. Rodzaj raka. Nie ma nikogo, z kim mógłbyś wyrównywać rachunki, jak o tym mówiłeś Angeli Ferryman.

— Czemu miałbym ci wierzyć?

— Bo równie łatwo mógłbym cię zabić jak odpowiedzieć... więc po co miałbym kłamać?

— Co się dzieje w Moonlight Bay?

Wyszczrzył zęby w takim uśmiechu, jaki rzadko widuje się poza murami zakładu dla obłąkanych. Karząc się wizją katastrofy, wyprostował się i jakby utył, gdy mówił:

— To całe miasteczko jest w kolejce górskiej prosto do piekła i zapowiada się nie-samowita przejażdżka.

— To żadna odpowiedź.

— Innej nie będzie.

— Kto zabił moją matkę?

— To był wypadek.

— Tak myślałem do dzisiejszej nocy.

Jego wredny uśmiech, wąski jak ślad po cięciu brzytwą, rozlał się w szerszą ranę.

— Dobra. Jeszcze jedno, jak się tak upierasz. Twoja matka została zabita, tak jak podejrzewasz.

Moje serce obróciło się, ciężkie jak koło z kamienia.

— Kto ją zabił?

— Ona. Zabiła się sama. Samobójstwo. Podgazowała saturna aż do sto pięćdziesiątki i wjechała prosto w przęsło mostu. Nie było żadnego defektu. Pedał gazu się nie zablokował. To tylko przykrywką, którąśmy zmagistrowali.

— Ty kłamliwy skurwysynu.

Bardzo powoli oblizał wargi, jakby przekonał się, że uśmiech ocieka mu słodyczą.

— Nie kłamię, Snow. I wiesz co? Gdybym dwa lata temu wiedział, co mi się przydarzy, jak wszystko się zmieni, sam bym zabił twoją mamuszkę. Zabił ją za to, co w tym wszystkim narobiła. Wywiózłbym ją gdzieś, wyciął jej serce, wypełnił dziurę solą, spalił na stosie... cokolwiek, żeby mieć pewność, że wiedźma nie żyje. Bo jaka jest różnica między tym, co zrobiła, a przekleństwem wiedźmy? Nauka, czary? Co za różnica, kiedy rezultat jest taki sam? Ale wtedy nie wiedziałem, co się kroi, a ona wiedziała, więc zaoszczędziła mi kłopotów i poszła na szybką czołówkę z połówką metra betonu.

Wezbrały we mnie oleiste mdłości, bo słyszałem w jego głosie prawdę. Rozumiałem tylko ułamek tego, co mówił, jednak było tego aż za dużo.

— Nie masz kogo mścić, świrze — powiedział. — Nikt nie zabił twoich starych. Prawdę mówiąc, jak się temu przyjrzeć z jednej strony, to twoja mamuska zabiła ich oboje... samą siebie i twojego staruszka.

Zamknąłem oczy. Nie potrafiłem znieść jego widoku, nie tylko dlatego, że rozkoszował się śmiercią mojej matki, ale wyraźnie wierzył — słusznie? — że była w tym jakaś sprawiedliwość.

— Teraz chcę, żebyś wczłogał się z powrotem pod skałę i został tam do końca swoich dni. Nie pozwolimy ci roztrąbić o tym na prawo i lewo. Jak świat się dowie, co się tu działo, jeśli wiedza o tym rozejdzie się poza tamtych w Wyvern i nas, ludzie z zewnątrz wprowadzą kwarantannę dla całego powiatu. Zapieczętują go, wybiją nas do nogi, spalą do fundamentów każdy budynek, zatrują każdego ptaka, każdego kojota i każdego domowego kota... a potem pewnie dla świętego spokoju spuszczą na to miasteczko kilka atomówek. Zresztą to wszystko i tak na nic, bo zaraza już rozeszła się daleko poza miasteczko, do drugiego krańca kontynentu i dalej. Jesteśmy pierwotnym ogniskiem, skutki są bardziej widoczne tu i narastają szybciej, ale teraz ono będzie oddziaływać bez nas. Więc nikt z nas nie szykuje się umierać tylko po to, żeby jakiś gównojad polityk mógł twierdzić, że podjął środki zaradcze.

Otworzyłem oczy i przekonałem się, że podniósł pistolet i mierzy we mnie. Wylot lufy miałem niecałe pół metra od twarzy. Teraz moja jedyna przewaga polegała na tym, że nie wiedział, iż jestem uzbrojony, i miała sens tylko wtedy, gdybym pierwszy pociągnął za spust.

Wiedziałem, że to bezowocne, ale próbowałem się z nim spierać, może dlatego, iż spór był jedyną rzeczą, która mogła odwrócić moje myśli od rewelacji o matce.

— Słuchaj, na litość boską, zaledwie kilka minut temu powiedziałeś, że i tak nie masz po co żyć. Bez względu na to, co się tu stało, gdybyśmy ściągnęli pomoc...

— Miałem tamten stan — przerwał mi ostro. — Nie słuchałeś, co mówiłem do ciebie, świrze? Powiedziałem ci, że miałem tamten stan. Naprawdę zły stan. Ale teraz mam inny stan. Lepszy stan. I teraz chcę do końca być tym, kim mogę być, przyjmę to, czym

się staje, zamiast się opierać. Zmiana, koleś. Na tym to wszystko polega, wiesz. Zmiana, cudowna zmiana, wszystko się zmienia, zawsze i na zawsze, zmiana. Ten nowy nadchodzący świat... to będzie coś oszałamiającego!

Ale nie możemy...

— Jeśli rozwiążesz swoją zagadkę kryminalną i dowie się o tym świat, podpiszesz już tylko na siebie wyrok śmierci. Zabijesz swoją małą, seksi sukę didżejkę i wszystkich przyjaciół. Teraz zjeżdżaj z wozu, wsiadaj na rower i zabieraj swoją chudą dupę do domu. Zakop te popioły, które Sandy Kirk uzna za stosowne ci wydać. A potem, jak nie możesz żyć nie wiedząc więcej, jak kot cię ugryzł i zaraził nadmierną ciekawością, to pochodź na plażę kilka dni, poleż na słońcu i dorób się naprawdę niesamowitej opalenizny!

Nie mogłem uwierzyć, że puszcza mnie wolno.

Wtem rzekł:

— Pies zostaje ze mną.

— Nie.

Zrobił gest pistoletem.

— Won.

— To mój pies.

— To niczyj pies. I nie czas ani miejsce na spory akademickie.

— Co chcesz z nim zrobić?

— Lekcję pokazową.

— Co?

— Zabiorę go do garażu ratuszowego. Stoi tam rębarka do drewna, do miażdżenia gałęzi.

— Nie ma mowy.

— Właduję kundlowi kulę w łeb...

— Nie.

— ... wrzucę do rębarki...

— Już wypuszczaj go z wozu!

— ... zbiorę do worka breję, która wyleci drugim końcem, i podrzucę ci do domu w charakterze ostrzeżenia.

Wpatrywałem się w Stevensona. Był kimś nowym. Kimś, kto urodził się ze starego Lewisa Stevensona, jak motyl rodzi się z poczwarki, z tym wyjątkiem, że teraz cały proces został koszmarnie odwrócony; motyl zamienił się w poczwarkę i wyłoniła się gąsienica. Ta metamorfoza jak z sennego kosmaru trwała przez jakiś czas, ale kulminacja zaszła na moich oczach. Szef policji zniknął na zawsze; osobę, z którą mierzyłem się teraz oko w oko, opętały mus i pożądanie, nie hamowały jej wyrzuty sumienia, nie była zdolna do płaczu, jak kilka minut temu, a była tak krwiożercza, że nie mogło się z nią równać żadne ziemskie stworzenie.

Jeśli Stevenson był zarażony wyhodowaną sztucznie infekcją, która spowodowała w nim takie zmiany, czy mógł zarazić teraz mnie?

Moje serce walczyło ze sobą, wyprowadzało jeden silny cios za drugim.

Chociaż nigdy nie wyobrażałem sobie, że będę mógł zabić człowieka, pomyślałem, że zdołam wykończyć tego, bo nie tylko uratuję Orsona, ale też anonimowe dziewczęta i kobiety, które zamierzał maltretować, urzeczywistniając swoje obłąkane wizje..

Z większą, niż się tego spodziewałem, stanowczością w głosie rozkazałem:

— Natychmiast wypuść psa.

Zrobił zdziwioną minę i kolejny raz uśmiechnął się jak grzechotnik.

— Zapominasz, kto tu jest gliną? Co, świrze? Zapominasz, kto ma broń?

Gdybym strzelił, mogłem nie zabić od razu drania, nawet z tak bliskiej odległości. Nawet gdyby pierwszy pocisk w jednej chwili zatrzymał mu serce, odruchowo naciśnąłby spust i przy dzielącej nas półmetrowej odległości na pewno by mnie trafił.

On przerwał impas.

— W porządku, niech będzie, chcesz się przyjrzeć, kiedy będę to robił?

Niewiarygodne, ale obrócił się bokiem, wsadził lufę pistoletu w kilkucentymetrową dziurę w kracie i strzelił do psa. Huk wstrząsnął samochodem i Orson zaskowyczał.

— Nie! — krzyknąłem.

Wyrwał pistolet z kraty. Strzeliłem do niego. Pocisk wyrwał mi dziurę w kurtce i rozzerwał mu pierś. Wypalił na oślep, w dach. Strzeliłem drugi raz, tym razem w gardło, i szyba za plecami Stevensona roztrzaskała się, gdy pocisk wyszedł mu karkiem.

26

Siedziałem skamieniały, jak zaklęty przez czarownika, niezdolny do poruszenia się, niezdolny nawet mrugnąć, serce wisiało mi w piersi jak ołowianka, byłem pozbawiony emocji, nie czułem pistoletu w dłoni, nie widziałem niczego, nawet trupa w samochodzie; oślepiony przez szok, ogłupiały i spętany ciemnością, chwilowo ogłuszony wystrzałem lub też rozpaczliwym pragnieniem, by nie słyszeć nawet wewnętrznego głosu sumienia paplającego o konsekwencjach.

Jedyny zmysł, który nadal pracował, to węch. Siarkowo-węglowy smród wystrzału, metaliczny odór krwi, kwaśne opary moczu, bo Stevenson w śmiertelnych drgawkach zapaskudził samochód, i aromat różanego szamponu mojej matki spowiły mnie jednocześnie; burza woni, dobrych i złych. Wszystko było prawdziwe poza olejkiem różanym, dawno zapomnianym, ale teraz wysnutym z pamięci ze wszystkimi delikatnymi nutami zapachu. „Krańcowy strach przywraca nam gesty dzieciństwa”, powiedział Chazal. I w krańcowym strachu zapach tamtego szamponu był pomostem, po którym chciałem przejść ku utraconej mamie, z nadzieją, że jej ręka obejmie mnie kojąco.

W mgnieniu oka wzrok, słuch i wszystkie zmysły zostały mi przywrócone i cisnęły mną prawie tak gwałtownie, jak dwa pociski 9 mm cisnęły Lewisem Stevensonem. Krzyknąłem i łapczywie wciągnąłem powietrze.

Trzęsąc się bezwiednie zwoleńcem przycisk naciśnięty poprzednio przez szefa. Puściły elektryczne zamki tylnych drzwi.

Wygramoliłem się z samochodu i gwałtownym ruchem otworzyłem tamte drzwi, wykrzykując jak oszalały imię Orsona. Zastanawiałem się, jak zdołam, i czy zdążę, donieść psa do lecznicy, jeśli jest ranny, jak zniosę jego śmierć, jeśli jest martwy. Nie mógł być martwy. Nie był zwyczajnym psem — to Orson, mój pies, dziwny i niezwykły, towarzysz i przyjaciel, u mego boku zaledwie od trzech lat, ale stanowiący tak zasadniczą część mojego bezświatlnego świata, jak nic innego.

I nie był martwy! Wyskoczył z samochodu z taką ulgą, że prawie zbił mnie z nóg. Przeszywający skowyt po strzale był wyrazem okropnego przestrawienia, nie bólu.

Opadłem na kolana, wypuszczając glocka z dłoni i złapałem psa w ramiona. Przytuliłem go gorąco, gładziłem po łbie, po czarnych kudłach, rozkoszując się jego dyszeniem, szybkim biciem serca, tłuczeniem ogonem, nawet smrodem wilgotnego futra i stęchłych płatków zbożowych w oddechu.

Bałem się odezwać. Głos był zwornikiem wmurowanym w gardło. Jeśli udałoby mi się go wyrwać, runęłaby cała tama, trysnąłby bełkot straty i tęsknoty; popłynęłaby powódź wszystkich łez niewylanych po śmierci ojca i Angeli Ferryman.

Nie pozwoliłem sobie na płacz. Wolałem już, by zęby żalu miażdżyły mnie na suche drzazgi, niż miałbym zostać gąbką wyciskaną bezustannie jego szponami. Poza tym, gdybym nawet nie bał się mówić, słowa nie miały tu znaczenia. Chociaż Orson z pewnością był niezwykłym psem, nie mógł przeprowadzić ze mną oświecającej konwersacji — przynajmniej dopóki nie pozbyłbym się na tyle pancerza zdrowego rozsądku, by poprosić Roosevelta Prosta, żeby nauczył mnie komunikowania się ze zwierzętami.

Kiedy już puściłem Orsona, podniosłem glocka i wstałem, chcąc rozejrzeć się po parkingu. Mgła ukrywała stojące tam zwykłe samochody i terenówki, będące własnością garstki jachtmanów mieszkających na łodziach. Nikogo nie było na widoku i panowała cisza, jeśli nie liczyć pracującego na jałowym biegu silnika radiowozu.

Można by sądzić, że odgłos wystrzału nie rozszedł się daleko poza wnętrze samochodu i zdusiła go mgła. Najbliższe domy znajdowały się poza handlowym obszarem basenu jachtowego, dwie przecznice dalej. Gdyby obudził się ktoś na łodziach, najpewniej uznałby, że stłumione eksplozje to odgłosy silnika samochodowego ze źle ustawionym gaźnikiem lub huk drzwi zatraskujących się między światami snu i jawy.

Nie groziło mi przyłapanie na gorącym uczynku, ale nie mogłem odjechać na rowerze licząc na to, że uniknę zarzutu i kary. Zabiłem szefa policji i chociaż nie był już człowiekiem, którego nasze miasteczko znało i podziwiała, chociaż przekształcił się z sumiennego stróża prawa w osobnika pozbawionego człowieczeństwa, nie mogłem udowodnić, że ten bohater stał się uosobieniem owej potworności, której miał dawać odpór.

Obciąży mnie ekspertyza kryminalistyków. Z powodu tożsamości ofiary w sprawę zaangażują się pierwszorzędni technicy laboratoryjni z wydziałów powiatowych i stanowych policji, a kiedy wezmą pod lupę policyjny samochód, nie pominą niczego.

Nie zniósłbym nigdy uwięzienia w jakiejś wąskiej celi z kagankiem. Chociaż moje życie było ograniczone obecnością światła, żadne mury nie mogły zamknąć mnie między zachodem a wschodem słońca. I żadne nie zamkną. Mrok zamkniętej przestrzeni jest krańcowo różny od mroku nocy; noc nie ma granic i oferuje niekończące się tajemnice, odkrycia, cuda, możliwości uciechy. Noc jest flagą wolności, pod którą żyję, i będę żył wolny lub umrę.

Niedobrze mi się robiło na myśl o długim pobycie w radiowozie z trupem, ścieraniu wszystkich powierzchni, na których zostawiłem odciski palców. To zresztą byłoby bezcelowe, ponieważ na pewno przeoczyłbym jakieś krytyczne miejsce. Poza tym, niemożliwe, by odciski palców były jedynym dowodem, jaki zostawiłem. Włosy. Nitki z džinsów. Kilka małych włókien z czapki „Pociąg Tajemnica”. Sierść Orsona na tylnej kanapie, ślady pazurów na tapicerce. I niewątpliwie mnóstwo innych śladów równie lub bardziej pogrążających.

Miałem cholerne szczęście. Nikt nie słyszał strzałów. Ale natura szczęścia i czasu jest taka, że się wyczerpują i chociaż w moim zegarku nie było sprężyny tylko mikroprocesor, przysiągłbym, że słyszę, jak tyka.

Orson też był zdenerwowany, nerwowo łapał wiatr, szukając śladu małp lub innego zagrożenia.

Szybko podszedłem do tyłu radiowozu i nacisnąłem przycisk bagażnika. Był zamknięty, tak jak się obawiałem.

TIK-TAK, TIK-TAK.

Wziąłem się w garść i wróciłem do otwartych przednich drzwi. Wziąłem głęboki oddech, zatrzymałem powietrze i pochylwszy się zajrzałem do wnętrza samochodu.

Stevenson siedział wykrzywiony na fotelu, z głową odchyloną do tyłu, opartą o słuppek. Usta miał rozchylone w milczącym wyrazie ekstazy. Zęby zakrwawione, jakby urzeczywistnił swoje sny, gryzł wprowadzone dziewczynki.

Zwabiony słabym przeciągiem płynął ku mnie przez roztrzaskane okno welon mgły, jakby opar powstały z nadal cieplej krwi, która zbrukała mundur zabitego.

Musiałem pochylić się dalej, niż zakładałem. Oparłem kolano na fotelu pasażera, by wyłączyć silnik.

Oczy Stevensona koloru czarnych oliwek były otwarte. Nie świeciło w nich życie ani sztuczne światło, a jednak oczekiwałem, że zamrugają, źrenice poruszą się, zwężą i wbiją we mnie.

Zanim szara klejąca się dłoń, jak sobie wyobrażałem, zdążyła się wyciągnąć i zaciśnąć na moim ramieniu, wyrwałem kluczyki ze stacyjki, wycofałem się z samochodu i wreszcie gwałtownie wypuściłem powietrze.

W bagażniku, zgodnie z tym, czego się spodziewałem, znalazłem apteczkę. Wyjąłem grubą rolkę gazy i nożyczki.

Podczas gdy Orson zataczał koło wokół radiowozu, pilnie wietrząc, ja rozwinąłem gazę, złożyłem w półtorametrowe pętle, podwójnie, poczwórnice, zanim uciąłem je nożyczkami. Skręciłem paski mocno i zrobiłem węzeł na końcu, w środku i na początku. Powtórzyłem tę operację jeszcze raz i połączyłem dwa takie warkoczki ostatnim węzłem — uzyskując linę długości około trzech metrów.

TIK-TAK, TIK-TAK.

Zwinałem lont na chodniku, otworzyłem klapę z boku karoserii i odkręciłem korek wlewu paliwa. Uniosły się opary benzyny.

Wróciłem do bagażnika, odłożyłem nożyczki i resztę gazy do apteczki. Zamknąłem apteczkę, potem bagażnik.

Parking był nadal pusty. Jedyne słyszalne odgłosy dawały krople spadające z wawrzynu na samochód i nieustanne dreptanie mojego zdenerwowanego psa.

Chociaż oznaczało to kolejną wizytę u trupa Lewisa Stevensona, włożyłem z powrotem kluczyki do stacyjki. Widziałem kilka odcinków najpopularniejszych seriali telewizyjnych i wiedziałem, jak łatwo pomysłowy funkcjonariusz dochodzeniówki może wytropić nawet diabelsko sprytnego kryminalistę. Lub pisarka kryminalnych bestsellerów, której hobby jest rozwiązywanie zagadek prawdziwych morderstw. Lub stara panna, emerytowana nauczycielka. Wszystko to między podziękowaniami za udostępnienie plenerów i reklamami damskich dezodorantów do higieny intymnej. Zamierzałem zostawić im — zawodowcom i upierdliwym hobbystom — diabelnie mało punktów za czepienia.

Trup czknał na mnie, gdy balon gazów pożeglował mu z głębi przełyku.

— Malox — poradziłem, bez powodzenia próbując dodać sobie ducha.

Nie dostrzegłem na siedzeniu żadnej z czterech wystrzelonych łusek. Mimo plutonów tajniaków amatorów gotowych do podjęcia skrupulatnych poszukiwań i niezależnie od tego, czy łuski mogły pomóc im zidentyfikować narzędzie mordu, brakowało mi zimnej krwi do przeszukania podłogi, zwłaszcza pod nogami Stevensona. Zresztą nawet gdybym znalazł wszystkie łuski, pozostawał pocisk w jego piersi. Jeśli nie był znacznie zniekształcony, to ów kawałek ołowiu miałby bruzdy odpowiadające specyficznym cechom gwintów mojego pistoletu, ale nawet wizja więzienia nie mogła zmusić mnie do wyjęcia szczyryka i sondowania trupa, aż do odzyskania obciążającego pocisku.

Gdybym był innym człowiekiem, odważnym na tyle, by przeprowadzić tę improwizowaną autopsję, i tak bym jej nie zaryzykował. Założywszy, że radykalna zmiana osobowości Stevensona — świeżo nabyty głód przemocy — była tylko jednym symptomem niesamowitej choroby, którą nosił w sobie, i że ta choroba mogła się roznieść przez kontakt z zarażoną tkanką lub płynami ciała, to ów rodzaj koszarnej grzebaniny był poza dyskusją, stąd zresztą uważałem pilnie, by nie mieć żadnego kontaktu z jego krwią.

Kiedy szef opowiadał mi o swoich marzeniach sennych pełnych gwałtów i okaleczeń, niedobrze mi się robiło na myśl, że oddycham tym samym powietrzem, które on wdychał i wydychał. Jednakże wątpiłem, by mikroby przenosił się kropelkowo. Jeśli choroba byłaby tak wysoce zaraźliwa, Moonlight Bay nie siedziałoby w kolejce górskiej do piekła, jak twierdził Stevenson. Dawno temu dotarłoby do siarczanej czeluści.

TIK-TAK, TIK-TAK.

Wedle wskaźnika poziomu paliwa bak był prawie pełny. Dobrze. Idealnie. U Angeli gromada nauczyła mnie, jak niszczyć dowody rzeczowe i może nawet ukryć morderstwo.

Ogień powinien być tak intensywny, że cztery łuski, karoseria samochodu i nawet solidne części podwozia winny spłonąć. Z nieświętej pamięci Lewisa Stevensona pozostaną zaledwie zwęglone kości, a miękki ołowiany pocisk praktycznie zniknie. Oczywiście nie zachowają się żadne moje odciski palców, włosy ani włókna z odzieży.

Drugi pocisk przeszył szyję policjanta i roztrzaskał w drobny mak szybę od strony kierowcy. Leżał gdzieś na parkingu lub, zależnie od szczęścia, zarył się głęboko w pokrytym bluszczem stoku, ograniczającym z jednej strony parking i sięgającym biegnącej wyżej Embarcadero Road. Znalezienie tam pocisku będzie z gruntu niemożliwe.

Obciążające ślady prochu osmały mi kurtkę. Powinienem ją zniszczyć. Nie mogłem. Uwielbiałem tę kurtkę. Była super. A dziura po kuli w kieszeni sprawiała, że była jeszcze bardziej super.

— Wypada dać tym starym pannom nauczycielkom jakąś szansę — zamruczałem, gdy zamykałem wszystkie drzwi samochodu.

Krótki śmieszek, który mi się wypsnał, był tak pozbawiony radości i ponury, że przestraszył mnie niemal w równym stopniu, co możliwość osadzenia w więzieniu.

Wyrzuciłem magazynek z glocka, wyjąłem nabój, tak że pozostało ich sześć, z powrotem wcisnąłem magazynek.

Orson zaskomlał niecierpliwie i wziął do pyska koniec gazowego lontu.

— Tak, tak, tak — powiedziałem, odwróciłem wzrok i natychmiast spojrzałem na niego powtórnie, jak na to zasługiwał.

Pies mógł sięgnąć po lont tylko z ciekawości, jako że psy są ciekawe wszystkiego.

„Śmieszny biały zwój. Jak wąż, wąż, wąż... ale nie wąż. Interesujące. Interesujące. Ma zapach pana Snowa. Może nadawać się do zjedzenia. Wszystko może nadać się do zjedzenia”.

Tylko dlatego, że Orson podniósł lont i zaskomlał niecierpliwie, nie musiało znaczyć, że rozumiał jego zastosowanie lub naturę całego mojego pomysłu. Jego zainteresowanie — i niesamowite wycucie czasu — mogło być wyłącznie przypadkowe.

No. Jasne. Jak wyłącznie przypadkowe wybuchy ogni sztucznych z okazji Dnia Niepodległości.

Z bijącym sercem, spodziewając się, że lada chwila zostanę nakryty, zabrałem Orsonowi poskręcany gazowy zwój i starannie przywiązałem do końca nabój.

Orson przyglądał się pilnie.

— Aprobujesz węzeł — spytałem — czy miałbyś ochotę zrobić sam własnego pomysłu?

Wsunąłem nabój do baku. Swoim ciężarem pociągnął lont. Wysoce chłonna gaza jak knot natychmiast zaczęła nasiąkać benzyną.

Orson biegał nerwowo w kółko.

„Szybko, szybko. Prędko, szybko. Prędko, prędko, prędko, panie Snow...”

Niecałe dwa metry gazy zwisały z baku w dół karoserii i ciągnęły się po chodniku. Postawiłem rower oparty wcześniej o wawrzyn, pochyliłem się i zapaliłem lont zapalniczką. Chociaż ta część nie nasiąkła benzyną, płonęła szybciej, niż się spodziewałem. Zbyt szybko.

Wsiadłem na rower i tak pedałowalem, jakby wszyscy adwokaci piekła i kilka demonów ziemskich siedziało mi na karku, co pewnie odpowiadało prawdzie. Orson gnał u mojego boku i razem przecięliśmy parking, idący w górę wyjazd, wskoczyliśmy na opuszczoną Embarcadero Way, a potem popędziliśmy na południe, obok restauracji i sklepów z opuszczonymi roletami.

Wybuch nastąpił za szybko, solidne ŁUUUMP, ani w połowie tak głośnie, jak się spodziewałem. Wokół i nawet przede mną rozkwitło pomarańczowe światło; mgła rozszepiła pierwotny rozbłysk wybuchu na znacznym dystansie.

Nie zważając na nic nacisnąłem manetkę hamulca i ślizgając się zrobiłem obrót o sto osiemdziesiąt stopni. Zatrzymałem się, opierając nogę na asfalcie i spojrzałem w tył. Niewiele dało się zobaczyć, żadnych szczegółów; rdzeń żółtobiałego światła otoczony oranżowymi pióropuszcami, wszystko złagodzone gęstą, wirującą mgłą. Najgorsze ujrzałem nie w oddali, ale w głowie: twarz Lewisa Stevensona puszcza bańki, dymi się, ocieka czystym gorącym tłuszczem jak bekon na patelni.

— Dobry Boże — powiedziałem głosem tak chrapliwym i drżącym, że sam zdziwiłem się jego brzmieniem.

Jednak nie mogłem zrobić niczego innego, jak zapalić lont. Chociaż gliny dowiedzą się, że Stevenson został zabity, dowody tego, jak zostało to zrobione — i przez kogo — były teraz usunięte.

Wprawiłem łańcuch w śpiew, prowadząc mojego psa współnika z portu przez spiralny labirynt ulic i zaułków, dalej w mroczne, głęboko ukryte serce Moonlight Bay. Chociaż glock obciążał mi kieszeń, rozpięta kurtka łopotała jak peleryna i uciekałem niewidziany, unikając obecnie światła z nowego powodu, cień przenikający płynnie cienie, jakbym był sławetnym upiorem, uciekającym przez podziemny labirynt gmachu opery, teraz na kółkach i owładnięty myślą sterroryzowania świata na powierzchni.

To że potrafiłem się bawić tworząc zaraz po morderstwie tak ckliwie romantyczny wizerunek samego siebie, nie świadczy o mnie dobrze. Na swoją obronę mogę tylko powiedzieć, że przetwarzając te wydarzenia na wielką przygodę, ze sobą w roli dziarskiej postaci, jedynie rozpaczliwie pragnąłem stłumić lęk i jeszcze bardziej rozpaczliwie odsunąć wspomnienie strzelaniny. Potrzebowałem też zatrzeć pamięć upiornych wizerunków płonącego ciała, które moja rozbuchana wyobraźnia przekształciła w niekończącą się serię niespokojnych duchów, skaczących z czarnych ścian teatru dziwów.

W każdym razie ta wątła próba nadania tamtemu wydarzeniu pozoru romantycznej eskapady trwała tylko do chwili, kiedy to znalazłem się w uliczce za Grand Theater, pół kwartału na południe od Ocean Avenue, gdzie pokryte tłustym brudem światła bezpieczeństwa sprawiały, że mgła wydawała się brązowa i zanieczyszczona. Tam zsunąłem się z roweru, który z brzękiem upadł na ulicę, oparłem się o wielki pojemnik na śmieci i zwróciłem niestrawioną resztkę kolacji z Bobbym Hallawayem.

Zamordowałem człowieka.

Bez wątpienia ofiara zasługiwała na śmierć. I wcześniej czy później, wykorzystując nie taką, to inną wymówkę, Lewis Stevenson zabiłby mnie, niezależnie od tego, że jego współnicy w zмовie byli skłonni traktować mnie wyjątkowo. Można powiedzieć, działałem w samoobronie. I ratowałem życie Orsonowi.

Jednak zabiłem człowieka; nawet te niewinności okoliczności nie zmieniały moralnej istoty czynu. Prześladowały mnie puste oczy ofiary, zaczernione śmiercią. Usta otwarte w bezgłośnym krzyku, zakrwawione zęby. Pamięć chętnie odtwarza obrazy; wspomnienia dźwięków, smaków i wrażeń dotykowych nieco trudniej przywołać, a zakosztować zapachu, wywołując go jedynie z pamięci, jest wręcz niemożliwe. Jednak wcześniej przypomniałem sobie woń szamponu mamy, a teraz metaliczny odór świeżej krwi Stevensona trzymał się mnie tak uporczywie, że wisiałem na pojemniku na śmieci, jak przy relingu rozkołysanego statku.

Prawdę mówiąc, wstrząsnęło mną nie tylko, że zabiłem człowieka, ale że zniszczyłem trupa i dowody rzeczowe skutecznie, szybko i nie tracąc nad sobą panowania. Wyraźnie miałem zadatki na przestępcę. Odnosiłem wrażenie, że część mroku, w którym żyłem przez dwadzieścia osiem lat, wsączyła się we mnie i skrzepła w poprzecznie nieznaną komorze serca.

Opróżniwszy żołądek, ale nie czując się przez to lepiej, wsiałem na rower i prowadziłem Orsona ciągiem bocznych uliczek do stacji Shella Caldecota na rogu San Rafael Avenue i Palm Street. Stacja była zamknięta. Jedyne blask z wewnątrz padał z wiszącego na ścianie zegara rozjaśnionego niebieską świetlówką, a na zewnątrz — z automatu z napojami.

Kupiłem puszkę pepsi, by zmyć kwaśny smak w ustach. Otworzyłem kran z wodą i czekałem, aż Orson się napije.

— Ale z ciebie niesamowicie szczęśliwy pies, że masz takiego opiekuńczego pana — kadziłem sam sobie. — Zawsze zadba o twoje pragnienie, twój głód, twoje kudły. Zawsze gotów zabić każdego, kto podniesie na ciebie palec.

Przenikliwe spojrzenie, które na mnie skierował, było niepokojące nawet w ciemności. Potem polizał mnie po ręce.

— Wyrazy wdzięczności przyjęte — oświadczyłem.

Znów podskoczył do kranu, skończył pić i otrząsnął mokry pysk.

— No i skąd mama cię wytrzasnęła? — spytałem zakręcając kran.

Znów spojrzał mi w oczy.

— Jakie tajemnice ukrywała?

Patrzył, nawet nie drgnąwszy powieką. Znał odpowiedź na moje pytania. Tylko nie mówił.

Podajrzewam, że Bóg naprawdę mógł włóczyć się w pobliżu św. Bernadetty, grał na gitarze w towarzystwie bandy aniołów lub rozgrywał partię niewidzialnych szachów. Mógł tam być w wymiarze niezbyt dla nas dostępnym, sporządzał szkice nowych wszechświatów, w których takie utrapienia jak nienawiść, rak i grzybica stóp sportowców byłyby eliminowane na etapie planowania. Mógł unosić się wysoko nad wypolerowanymi dębowymi ławkami, jakby w basenie wypełnionym nie wodą, ale korzennymi kadzidłami i pokornymi modlitwami, w ciszy objął się o kolumny i kąty wysokiego sufitu, medytując sennie, czekał, aż potrzebujący parafianie przyjdą do Niego z kłopotami wymagającymi rozwiązania.

Jednakże tej nocy byłem pewien, że Bóg trzyma się z daleka od plebanii przylegającej do kościoła, na której widok ciarki przechodziły mi po plecach, gdy mijałem ją na rowerze. Architektura dwupiętrowego domu — jak i kościoła — była normandzka, z wystarczającym dodatkiem elementów francuskich, by lepiej pasowała do ciepłego kalifornijskiego klimatu. Zachodzące na siebie dachówki z czarnego łupku, kryjącego stromy dach, były mokre od mgły, grube jak łuskowata zbroja na czole smoka, a za czarnymi pustymi ślepiami okiennych szyb — i okrągłych okienek po obu stronach drzwi frontowych — rozciągało się pozbawione duszy królestwo. Poprzednio plebania nigdy nie budziła we mnie trwogi i wiedziałem, że teraz przyglądam jej się z niepokojem dlatego, że byłem świadkiem sceny między Jesse Pinnem i ojcem Tomem w piwnicy kościoła.

Minąłem plebanię i kościół. Wjechałem na cmentarz, pod dęby i między groby. Noah Joseph Jones, który liczył sobie dziewięćdziesiąt sześć lat od urodzin do śmierci, milczał jak zawsze, gdy go przywitałem i oparłem rower o jego nagrobek.

Odpiąłem od pasa telefon komórkowy i wybrałem zastrzeżony numer redaktora prowadzącego program w KBAY. Usłyszałem cztery sygnały, zanim Sasza odebrała, chociaż w studiu nie rozległ się żaden dźwięk; została powiadomiona tylko pulsującym niebieskim światłem na ścianie na wprost mikrofonu. Nacisnęła „hold” i gdy czekałem, słyszałem jej program.

Orson znów zaczął wietrzyć za wiewiórkami. Strzępy mgły unosiły się między nagrobkami jak duchy.

Sasza puszczała parę dwudziestominutowych „pączków”, co nie jest reklamą wyrobów cukierniczych, ale reklamą z gotowym początkiem i końcem, co pozwala wbić w środek jakiś materiał na żywo. Potem miała wstawki o zamierzchłej przeszłości Eltona Johna i puściła „Japanese Hands”, wjeżdżając na początek kawałka jedwabistym szeptem. Wyraźnie było po festiwalu Chrisa Isaaka.

— Teraz daję całe kawałki, więc masz dobre pięć minut, misiu — powiedziała dopuszczając mnie do głosu.

— Skąd wiedziałaś, że to ja?

— Tylko paru ludzi zna ten numer, a większość z nich śpi o tej porze. Poza tym, mam wielką intuicję, jeśli chodzi o ciebie. Ledwo zobaczyłam światełko, końcówki zaczęły mnie swędzieć.

— Jakie końcówki?

— Moje babskie końcówki. Nie mogą się doczekać, kiedy cię zobaczą, bałwanku.

— Zobaczenie to byłby dobry początek. Słuchaj, kto tam jeszcze dziś pracuje?

— Doogie Sassman. — To był technik, siedzi za pulpitem.

— Tylko wy sami? — zmartwiłem się.

— Nagle zrobiłeś się zazdrosny? Jakie to miłe. Ale nie musisz się przejmować. Nie dorównuję standardom Doogiego.

Kiedy Doogie nie parkował w swoim fotelu dowodzącego przy pulpicie w studiu, większość czasu spędzał oplótszy potężnymi nogami harleya davidsona. Miał niecałe sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i sto pięćdziesiąt kilo wagi. Jego nieujarzmiona grzywa blond włosów i naturalnie kędzierzawa broda były tak gęste i jedwabiste, że aż chciało się je pogłaskać, a kolorowe malunki, które zakrywały dosłownie każdy centymetr kwadratowy jego ramion i torsu, umożliwiły opłacenie college’u dziecku niejednego artysty tatuażu. A jednak Sasza nie żartowała, mówiąc, że nie dorównuje standardom Doogiego. W stosunkach z płcią przeciwną okazywał więcej misiwatego wdzięku niż Kubuś Puchatek do dziesiątej potęgi. Od czasu, jak go poznałem sześć lat temu, każda z czterech kobiet, z którą utrzymał znajomość, była na tyle olśniewająca, że mogłaby odbierać Oskara w dzinsach, flanelowej koszuli, bez makijażu i zaćmiłaby każdą oszałamiającą gwiazdkę obecną na ceremonii.

Bobby powiada, że Doogie Sassman sprzedał duszę diabłu (na przykład), jest tajnym władcą wszechświata, ma genitalia najbardziej zdumiewająco ukształtowane w historii tej planety lub wydziela feromony potężniejsze niż ziemskie przyciąganie.

Byłem zadowolony, że Doogie pracuje tej nocy, ponieważ nie wątpiłem, że ma znacznie więcej krzepy niż inni technicy w KBAY.

— Ale myślałem, że ktoś będzie tam poza wami — powiedziałem.

Sasza wiedziała, że nie jestem zazdrosny o Doogiego i dotarło do niej, że jestem przejęty.

— Wiesz, jak musieliśmy zacisnąć pasa, od kiedy zamknięto Fort Wyvern i straciliśmy nocne wojskowe audytorium. Ledwo wychodzimy na swoje na tej zmianie, nawet przy minimum personelu. Co się dzieje, Chris?

— Zamykacie na klucz drzwi rozgłośni, no nie?

— No. My wszyscy, chłopcy i babochłopy, zostaliśmy zobowiązani do obejrzenia kryminału o włamaniu i mieliśmy wziąć go sobie do serca.

— Chociaż będziesz wychodzić już o świcie, obiecuj mi, że Doogie albo ktoś z dziennej zmiany odprowadzi cię do explorera.

— Kto grasuje... Drakula?

— Obiecuj.

— Chris, co do diabła...

— Powiem ci później. Po prostu obiecuj — nie ustępowałem.

Westchnęła.

— W porządku. Ale może masz jakieś kłopoty? Może...

— Nic mi nie jest, Sasza. Naprawdę. Nie przejmuj się. Tylko, do diabła, obiecuj.

— Przecież obiecałam...

— Nie użyłaś tego słowa.

— Jezu. Dobra, dobra. Obiecuję! Kładę rękę na Biblii i przysięgam. Ale teraz spodziewam się fantastycznej historii, przynajmniej tak strasznej jak te, które słuchałyśmy przy ogniskach skautowskich. Będziesz czekał na mnie w domu?

— Będziesz miała na sobie swój stary mundurek?

— Jedyne, co mogę jeszcze na siebie wcisnąć, to podkolanówki.

— To wystarczy.

— Podnieca cię ta wizja, co?

— Szczytuję.

— Jesteś niegrzeczny, Snow.

— No, zabójca ze mnie.

— To do zoo, zabójco.

Rozłączyliśmy się i przypiąłem komórkę do paska.

Przez chwilę wsłuchiwałem się w milczący cmentarz. Nie śpiewał ani jeden nocny słowik i nawet jerzyki poszły spać. Niewątpliwie robaki czuwały i trudziły się, ale one zawsze pracują w namaszczeniu i godnej szacunku ciszy.

— Potrzebuję porady duchowej — powiedziałem Orsonowi. — Złóżmy wizytę ojcu Tomowi.

Pieszko pokonałem cmentarz i udałem się na tyły kościoła. Wyjąłem glocka. Mogłem śmiało założyć, że w miasteczku, w którym szef policji śni o biciu i torturowaniu małych dziewczynek, a przedsiębiorcy pogrzebowi noszą broń, ksiądz nie będzie wyłącznie uzbrojony w słowo boże.

Od ulicy plebania wydawała się ciemna, ale z tyłu ujrzałem dwa rozświetlone okna na parterze.

Po scenie, której byłem świadkiem w piwnicy, nie zdziwiło mnie, że proboszcz kościoła św. Bernadetty nie może zasnąć. Chociaż dochodziła prawie trzecia rano, cztery godziny po wizycie Jessego Pinna, ojciec Tom nadal miał opory przed zgaszeniem światła.

— Zachowuj się jak kot — szepnąłem Orsonowi.

Weszliśmy chyłkiem po kamiennych stopniach, a potem najciszej, jak się dało, po drewnianej podłodze tylnej werandy.

Spróbowałem otworzyć drzwi, ale były zamknięte. Poprzednio miałem nadzieję, że sługa boży da świadectwo swojej wiary ufając raczej Stwórcy niż zasuwie.

Nie zamierzałem pukać do drzwi z tyłu ani dzwonić od frontu. Po morderstwie skrupuły przed włamaniem wydawały się głupie. Jednakże miałem nadzieję, że nie będę musiał tłuc szyby, bo hałas zaalarmowałby księdza.

Cztery podnoszone do góry okna wychodziły na werandę. Próbowałem je po kolei; trzecie było niezamknięte. Wsadziłem glocka do kieszeni kurtki, ponieważ drewniana rama była wilgotna i trudno ją było przesuwac we framudze. Potrzebowałem obu rąk, by unieść dolne skrzydło, naciskając po obu stronach horyzontalną część ramy, a potem zaciskając palce od spodu. Szła w górę z takim skrzypieniem i piskiem, że wystarczyłoby tych odgłosów na cały film Wesa Cravena.

Orson sapnął, jakby naigrywał się z moich umiejętności przestępcy. Krytykować jest zawsze łatwo.

Odczekałem, upewniając się, że hałas nie dotarł na górę, i wślizgnąłem się do pokoju czarnego jak sakiewka wiedźmy.

— Chodź, przyjacielu — szepnąłem, bo nie zamierzałem zostawić go bezbronnego na zewnątrz.

Orson wskoczył do środka i spuściłem okno tak cicho, jak to było możliwe. Zamknąłem też zasuwkę. Chociaż nie uważałem, byśmy teraz mogli być obserwowani przez gromadę czy kogoś innego, nie zamierzałem nikomu ani niczemu ułatwić wejścia do plebani.

Szybko oświetliłem jadalnię latarką. Dwoje drzwi — jedno po mojej prawej, drugie naprzeciw okien — prowadziło z pokoju.

Wyłączyłem latarkę, wyjąłem glocka. Uchyliłem bliższe drzwi, po prawej. Kuchnia. Podświetlone cyfrowe zegary dwóch piekarników i kuchenki mikrofalowej rzucały tyle światła, że zdołałem przejść przez obrotowe drzwi do holu, nie wpadając na lodówkę lub „wyspę”.

Korytarz wiódł obok ciemnych pokojów do holu rozjaśnionego jedynie świeczką. Na trójnożnym przyściennym stoliku był ołtarzyk ku czci Matki Boskiej. Wotywna świeczka w rubinowym szkłe migotała niepewnie, pozostał jej centymetr życia. W tym

niestałym pulsie światła twarzyczka porcelanowej Maryi miała wyraz raczej smutku niż nieziemskiej łaski. Zdawała się wiedzieć, że stały mieszkaniec plebani był w tych czasach bardziej ofiarą lęku niż orędownikiem wiary.

Z Orsonem u boku wszedłem na pierwsze piętro. Siejący śmierć świr i jego świta sierścią okryta.

Korytarz wyżej miał kształt litery „L”, a schody dochodziły do zbiegu ramion. Na lewo mrok. W końcu korytarza, dokładnie przede mną, z włazu strychowego opuszczono składaną drabinę. W kącie strychu musiano zapalić lampę, ale na szczeble drabiny padał tylko upiorny cień.

Silniejsze światło biło z otwartych drzwi po prawej. Bokiem przesunąłem się do progu, ostrożnie zajrzałem do środka i zobaczyłem skromnie urządzone sypialnię ojca Toma. Krucyfiks wisiał nad prostym łóżem z ciemnej sosny. Księdza nie było; najwyraźniej wszedł na strych. Kapa została zdjęta, kołdra starannie odwinęta, ale prześcieradło wyglądało na nieruszone.

Palily się obie nocne lampki, przez co było dla mnie zbyt jasno, lecz bardziej interesował mnie, co jest w głębi pokoju, w którym pod ścianą stało biurko. Pod lampą z brązu, przysłoniętą zielonym szklanym abazurem leżały otwarta księga i pióro. Pomyślałem, że księga to dziennik lub pamiętnik.

Orson zawarczał cicho za moimi plecami.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że stoi u dołu drabiny, wpatrzony podejrzliwie w górę, w słabo oświetlony wąż na strych. Gdy na mnie spojrzał, uniosłem palec do ust, delikatnie uciszając psa i nakazałem mu podejść do mnie.

Zamiast jak cyrkowy pies wspiąć się po drabinie, on wykonał moje polecenie. Zresztą, jak na razie, znajdował upodobanie w stosowaniu się do nowych wymogów posłuszeństwa.

Byłem pewien, że ojciec Tom narobi wystarczająco hałasu schodząc ze strychu, by zaalarmować mnie na długo przed pojawieniem się. Jednak postawiłem Orsona na straży przy drzwiach sypialni, skąd miał doskonały widok na drabinę.

Odwróciłem twarz od światła i obszedłem łóżko, zbliżając się do biurka. Zerknąłem do łazienki obok. Nikogo.

Na biurku oprócz dziennika była karafka, chyba ze szkocką. Obok stała duża szklanka do whisky napełniona więcej niż w połowie złotym płynem. Ksiądz sączył trunek, bez lodu. A może nie tylko sączył.

Podniosłem dziennik. Pismo było gęste i przypominało druk. Poszedłem w najgłębsze cienie, bo moje przystosowane do mroku oczy potrzebowały do czytania mało światła i przeleciałem wzrokiem ostatni akapit, odnoszący się do siostry księdza. Urywał się w pół zdania:

Kiedy nadejdzie koniec, mogę się nie uratować. Wiem, że nie zdołam uratować Laury, bo już do głębi nie jest tym, kim była. Już przepadła. Pozostało niewiele poza fizyczną skorupą — a może nawet to się zmieniło. Albo Bóg w jakiś sposób przytulił do swojego łona jej duszę, zostawiając ciało zamieszkałe przez istotę, w którą się przemieniła — albo ją porzucił. I stąd porzucił nas wszystkich. Wierzę w litość Chrystusa. Wierzę w litość Chrystusa. Wierzę, ponieważ nie pozostało mi nic innego. A jeśli wierzę, to muszę żyć wedle mojej wiary i uratować tych, których mogę. Jeśli nie mogę uratować siebie, ani nawet Laury, mogę przynajmniej uratować te żalosne stwory, które przychodzą do mnie, abym uwolnił je od katuszy i kontroli. Jesse Finn albo ci, którzy mu rozkazują, mogą zabić Laurę, ale ona nie jest już Laurą, Laura dawno zginęła i nie mogę pozwolić, aby ich groźby powstrzymały moją pracę. Mogą mnie zabić, ale dopóki...

Orson stał czujnie przy otwartych drzwiach, obserwował korytarz.

Odwrociłem pierwszą stronę i ujrzałem, że początkowy wpis miał datę 1 stycznia tego roku:

Dzisiaj mija dziewiąty miesiąc, jak Laura jest przetrzymywana i pozbyłem się wszelkiej nadziei, że jeszcze kiedyś ją ujrzę. A jeślibym miał kiedyś szansę ujżenia jej, chyba bym odmówił, Boże, wybac mi, bo zbyt bym się lękał zobaczyć to, czym się stała. Co wieczór wnoszę błagania do Matki Boskiej, by wstawiła się u swego Syna, żeby skrócił Laurze cierpienia na tym świecie.

Do pełnego zrozumienia sytuacji siostry księdza i warunków, w jakich się znajdowała, musiałbym znaleźć poprzedni tom lub tomy tego dziennika, ale nie miałem czasu na poszukiwania.

Coś głucho stuknęło na strychu. Zamarłem, wpatrzony w sufit, nasłuchiwałem. Orson postawił jedno ucho. Kiedy minęło pół minuty i nie było słycać żadnych odgłosów, znów skupiłem się na dzienniku. Mając poczucie, że czas ucieka, kartkowałem zapiski w pośpiechu, czytając na chybił trafił.

Większość dotyczyła teologicznych wątpliwości i duchowych rozterek księdza. Walczył każdego dnia napominając siebie — przekonując siebie, każąc sobie pamiętać — że wiara podtrzymywała go od dawna i przypadnie, jeśli w chwili załamania nie będzie przy niej trwał. Owe ponure fragmenty mogły być fascynujące jako portret torturowanej osobowości, ale nie wносиły nic konkretnego do interesującej mnie sprawy zмовy w Wyvern, która zatrała Moonlight Bay. W związku z tym przeskakiwałem je.

Znalazłem stronę, a potem jeszcze kilka, na których staranne pismo ojca Toma rozsypywało się w nieczytelną bazgraninę. Owe fragmenty były niespójne, szaleńcze i paranooidalne. Uznałem, iż napisał je po tym, jak wlał w siebie tyle whisky, że gdyby mówił — belkotalby.

Jeszcze bardziej niepokojący był wpis z 5 lutego — trzy elegancko wykaligrafowane, obsesyjnie precyzyjnym pismem:

Wierzę w litość Chrystusa. Wierzę w litość Chrystusa. Wierzę w litość Chrystusa. Wierzę w litość Chrystusa. Wierzę w litość Chrystusa...

Te cztery słowa powtarzały się wers po wersie, prawie dwieście razy. Wyglądało na to, że żadnego nie skreślił w pośpiechu; każde było tak elegancko naniesione na stronę, że gumowa pieczętka i poduszczone z tuszem nie dałyby bardziej zunifikowanych wyników. Przebiegając wzrokiem zapis odbierałem rozpaczliwą grozę, którą czuł ksiądz. Jakby skłębione emocje przeniknęły papier razem z atramentem i emanowały na wieczność.

„Wierzę w litość Chrystusa”.

Zastanawiałem się, jakie wydarzenia 5 lutego sprowadziły ojca Toma na krawędź tej uczuciowej i duchowej otchłani. Co zobaczył? Zastanawiałem się, czy może napisał to namiętne, choć rozpaczliwe zakłęcie przeżywszy senny koszmar podobny do snów o gwałtach i okaleczeniach, jakie dręczyły — i wreszcie rozkoszowały — Lewisa Stevensona.

Przeglądając zapiski znalazłem coś interesującego pod datą 11 lutego. Było ukryte w długim, pełnym męki fragmencie, w którym duchowny polemizował sam ze sobą na temat istnienia i natury Boga, odgrywając zarówno sceptyka, jak i wierzącego. Przebiegłbym wzrokiem dalej, gdyby w oko nie wpadł mi wyraz „gromada”:

Ta nowa gromada, której wolności się oddałem, daje mi nadzieję właśnie dlatego, że jest antytezą pierwotnej gromady. Nie ma zła w tych najnowszych stworzeniach, żadnego pragnienia gwałtu, żadnej złości...

Krzyk na strychu odwrócił moją uwagę od dziennika. Był to bezsłowny krzyk strachu i bólu, tak niesamowity i tak żalony, że w mojej głowie lęk rozległ się jak dźwięk gongu, równocześnie z akordem współczucia. Ten głos zdawał się należeć do dziecka, może trzy-, czteroletniego; zagubionego, przestraszonego i ogarniętego rozpaczą.

Zrobiło to takie wrażenie na Orsonie, że szybko wybiegł z sypialni na korytarz.

Dziennik księdza był trochę za duży, by zmieścić się w kieszeni dzinsów. Wsunąłem go za pasek z tyłu.

Gdy wyszedłem na korytarz, zobaczyłem psa obok drabiny, wpatzonego w spleciony światłocień zwisający ze strychu. Zwrócił ku mnie wyraziste oczy i wiedziałem, że gdyby mógł mówić, powiedziałby: „Musimy coś zrobić”.

Ten niesamowity pies naprawdę jest zagadkowy, nie tylko wykazuje większą inteligencję, niż mógłby posiadać jakikolwiek przedstawiciel jego gatunku, ale często zdaje

się mieć wyraźnie określone poczucie moralnej odpowiedzialności. Przed wydarzeniami, które tu opisałem, czasami na wpół poważnie zastanawiałem się, czy reinkarnacja nie jest czymś więcej niż przesądem, bo mogłem wyobrazić sobie Orsona w dawnym życiu jako zaangażowanego nauczyciela, pełnego poświęcenia policjanta lub nawet mądrą zakonnice; teraz osoba ta żyje po raz wtóry pod inną postacią w zmniejszonym rozmiarze, z sierścią i ogonem.

Oczywiście rozważania tej natury kwalifikowały mnie jako kandydata do nagrody im. Pia Klick za niesłychane osiągnięcia na polu debilnych spekulacji. Jak na ironię prawdziwe pochodzenie Orsona, zgodnie z tym, czego zaczynałem się domyślać, chociaż nie nadnaturalne, mogło okazać się bardziej zdumiewające niż jakikolwiek scenariusz, który Pia Klick i ja ułożylibyśmy w ramach gorączkowej współpracy.

Znowu rozległ się krzyk, co wstrząsnęło Orsonem tak bardzo, że zapiszczał niespokojnie, ale tak cienko, iż nie mogło to być słyszane na strychu. Tamto rozpaczliwe zawođenje teraz jeszcze wyraźniej kojarzyło się z krzykiem małego dziecka.

Po nim rozległ się inny głos, zbyt cichy, aby można rozpoznać słowa. Chociaż byłem przekonany, że to musi być głos ojca Toma, słyszałem go tak niewyraźnie, że nie potrafiłem zdecydować — pociesza czy grozi.

28

Gdybym ufał swoim odruchom, uciekłbym wtedy od razu z plebanii, popędził prosto do domu, zaparzył dzban herbaty, posmarował placuszki z mąki jęczmiennej marmoladą cytrynową, obejrzał na wideo kasetę z Jackie Chanem i spędził następne kilka godzin otulony ciepłym szalem, trzymając ciekawość na wodzy.

Zamiast to zrobić, dałem znak Orsonowi, by odsunął się na bok i czekał. Duma zabraniała mi się przyznać, że moje poczucie odpowiedzialności jest słabiej rozwinięte niż u psa. Podszedłem do drabiny z glockiem 9 mm w prawej ręce i skradzionym dziennikiem ojca Toma uwierającym mnie w krzyż.

Jak kruk szaleńczo bijący skrzydłami o pręty klatki, mroczne wizerunki z chorych snów Lewisa Stevensona przelatowały mi przez głowę. Szef fantazjował o dziewczynkach w wieku wnuczki, ale krzyk, który właśnie słyszałem, pochodził chyba z ust jeszcze młodszego dziecka. Jednakże jeśli proboszcz św. Bernadetty był w szponach tego samego szaleństwa, które dotknęło Stevensona, to mogłem się spodziewać, że nie ograniczy się do ofiar w wieku dziesięciu lat lub więcej.

Blisko szczytu drabiny, z ręką na chwiejnej, składanej poręczy, odwróciłem głowę i zobaczyłem Orsona przyglądającego mi się z korytarza. Zgodnie z poleceniem nie próbował iść za mną. Przez prawie godzinę z całą powagą słuchał mnie, nie komentując żadnego rozkazu nawet jednym sarkastycznym sapnięciem lub wywróceniem oczu. Był to rekord życiowy jego powściągliwości, poprawiony o całe pół godziny. Wyczyn olimpijskiego wymiaru.

Oczekując kopnięcia w głowę butem należącym do wyświęconego ciała, wspinałem się na strych. Najwyraźniej byłem na tyle niewidzialny, że udało mi się nie zwrócić uwagi ojca Toma; nie czekał na mnie, by wbić mi kości zatok głęboko w płat czołowy mózgu.

Właz leżał na środku pustej przestrzeni, otoczonej, o ile potrafiłem to ocenić, labiryntem kartonowych pudeł różnej wielkości, starymi gratami i innymi przedmiotami, których nie potrafiłem zidentyfikować — wszystko sięgające prawie dwóch metrów wysokości. Goła żarówka bezpośrednio nad włazem nie paliła się i jedyne światło padało z lewej, z południowo-wschodniego kąta, przy frontowej ścianie domu.

Wszedłem na strych i kucnąłem, chociaż mogłem stać wyprostowany, gdyż ostry spadzisty dach normandzki zapewniał mnóstwo wolnego miejsca pomiędzy moją głową i krokwiami. Chociaż nie przejmowałem się tym, że mogę wpaść twarzą w belkę dachową, nadal jednak byłem przekonany, że ryzykuję uderzenie pałką w czaszkę, strzał między oczy lub cios sztyletem w serce ze strony oszalałego duchownego i chciałem zachować tak niepozorną postawę, jak to tylko możliwe. Gdyby dało się pełznąć na brzuchu jak wąż, w życiu nie wyprostowałbym się tak dalece, by leżąc w kucki.

Wilgotne powietrze pachniało jak sam czas, przedestyłowany i zabutelkowany. Zaduch starych kartonów, uparta woń z grubsza ociosanych krokwi, aromat pleśni i lekki smród jakiegoś zdechłego stworzonka, może ptaka lub myszy, zagnieżdżony w nieoświetlonym kącie.

Po lewej stronie wjazdu były dwa wejścia do labiryntu, jedno około półtorametrowe, drugie na niecały metr. Założywszy, że szerszy pasaż był bezpośrednim szlakiem przez zapchany strych i stąd używanym przez księdza do kursowania do więzienia i z powrotem — jeśli faktycznie był jakiś więzień — cicho wślizgnąłem się w węższe przejście. Wołałem zaskoczyć ojca Toma, niż zderzyć się z nim przypadkiem na jakimś zakręcie labiryntu.

Po obu stronach wyrastały pudła, niektóre przewiązane szpagatem, inne ozdobione zwojami taśmy samoprzylepnej, która odklejona muskała moją twarz jak owadzie czułki. Poruszałem się powoli, macając ręką, bo cienie były mylące, a nie chciałem wpaść na cokolwiek i narobić hałasu.

Doszedłem do rozgałęzienia. Zatrzymałem się na chwilę, natężyłem słuch, wstrzymałem oddech, ale niczego nie słyszałem.

Ostrożnie opuściłem pierwszy pasaż, rozglądając się na boki nowego korytarza labiryntu, mającego niecały metr szerokości. Światło po lewej, w południowo-wschodnim kącie, było nieco mocniejsze niż poprzednio. Po prawej zalegał głęboki puszysty mrok, który nie chciał odsłonić swoich tajemnic nawet moim kochającym noc oczom i miałem wrażenie, że wrogi mieszkaniec tych ciemności jest na wyciągnięcie ręki; obserwujący i przyczajony do skoku.

Zapewniwszy siebie samego, że wszystkie trolle mieszkają pod mostami, złośliwe gnomy w jaskiniach, gremliny pilnują tylko maszynierii, a czarty — jak to demony — nie ośmieliłyby się zamieszkać na stałe na plebani, wszedłem do nowego przejścia i skręciłem w lewo, zostawiając za plecami nieprzeniknioną czerń.

Natychmiast rozległ się pisk, tak przesywający, że wykręciłem się na pięcie i wycełowałem z pistoletu w czerń, przekonany, że trolle, złośliwe gnomy, gremliny, czarty, zjawy, żywe trupy i kilku zwariowanych zmutowanych ministrantów rzucają się na mnie. Na szczęście nie nacisnąłem spustu, bo ta przelotna chwila szaleństwa minęła i zdałem sobie sprawę, że krzyk doleciał z tego samego kierunku, co poprzednio; z oświetlonego obszaru w południowo-wschodnim kącie.

To trzecie zawodzenie, przytłumiające hałas, którego narobiłem odwracając się, by stawić czoło wyimaginowanej hordzie, pochodziło z tego samego źródła, co poprzednie dwa, ale tu, na strychu, dolatywało mnie jakoś inaczej niż wtedy, kiedy byłem na korytarzu piętra; nie przypominało już tak wyraźnie głosu cierpiącego dziecka. Co bardziej niepokojące, element szaleństwa stał się dominujący, jakby z gardła jednego człowieka wydobyło się równocześnie kilka różnych dźwięków muzyki elektronicznej.

Zastanowiłem się, czy nie wycofać się do drabiny, ale zaszedłem już za daleko, by zawrócić. Była wciąż szansa, chociaż mała, że uratuję dziecko będące w niebezpieczeństwie. Poza tym, gdybym się wycofał, mój pies dowiedziałby się, że dostałem pietra. Był jednym z trzech moich najbliższych przyjaciół w świecie, w którym liczą się tylko przyjaciele i rodzina, a że już nie miałem rodziny, niesłychanie ceniłem sobie jego opinię o mnie.

Pudła stojące po lewej stronie ustąpiły miejsca złożonym jeden na drugim plecionym fotelom ogrodowym, bezładnej kolekcji lakierowanych koszyków z łożyny i trzciny, zniszczonej toaletce z owalnym lustrem, tak brudnym, że nie odbił się w nim nawet mój cień, i jakimś przedmiotom pod pokrowcami. Potem znowu stały pudła.

Minąłem zakręt i usłyszałem ojca Toma. Mówił cicho, łagodnie, ale nie mogłem zrozumieć słów.

Natrafiłem na barierę z pajęczyny. Wzdrygnąłem się, gdy przyłgnęła mi do twarzy i złożyła na ustach pocałunek upiora. Lewą ręką zdarłem postrzępione nici z policzków i daszka czapki. Pajęczyna miała gorzkogrzybowy smak; skrzywiłem się i próbowałem wypluć ją bezgłośnie.

Ponieważ miałem nadzieję, że coś odkryję, byłem opętany głosem księdza tak nieodparcie, jak szczury melodią fujarki w Hamelin. Cały czas usiłowałem zapanować nad kichaniem, które powodowały zwały kurzu, cuchnącego taką zgnilizną, jakby pochodził z poprzedniego stulecia.

Po kolejnym zakręcie wszedłem w krótki, wąski odcinek pasażu. Jakies dwa metry za nim była wysoko sklepiona część wschodniej strony dachu — frontonu budynku. Krokwie, kotwy, jętki i spód deskowania dachu, do którego mocowano dachówki — wszystko to ujawniało się w mglistym żółtym świetle bijącym z jakiegoś niewidocznego źródła po prawej. Przekradłem się do końca pasażu, cały czas dotkliwie świadomy skrzypienia desek pode mną. Było nie głośniejsze niż zwykłe odgłosy osiadania budynku w tym jego wysokim punkcie, ale mogło mnie zdradzić.

Głos ojca Toma stał się wyraźniejszy, chociaż docierało do mnie jedno słowo na kilka.

Rozległ się inny głos, cienki i drżący. Przypominał gaworzenie maleńkiego dziecka — a jednak wcale nie było to coś tak zwyczajnego. I nie było tak melodyjne jak głos dziecka. Ani w połowie tak niewinne. Nie potrafiłem zrozumieć, co ten głos mówi, jeśli w ogóle wypowiadał słowa. Im dłużej słuchałem, tym bardziej niesamowity się stawał, aż zmusił mnie, bym przystanął — chociaż nie ośmieliłem się zatrzymać na długo.

Mój pasaż kończył się na korytarzu obiegającym całe wschodnie skrzydło labiryntu poddasza. Zaryzykowałem; zerknąłem w ten długi, prosty odcinek.

Po lewej był mrok, ale po prawej mieścił się wschodni róg domu, gdzie spodziewałem się ujrzeć źródło światła i księdza z jego piszczącym więźniem. Lecz lampa nadal była niewidoczna na prawo od rogu, za kolejnym zakrętem, przy południowej ścianie.

Ruszyłem dwumetrowym obwodowym korytarzem, teraz przykucając z konieczności, gdyż ściana po mojej lewej to była stromizna dachu. Po prawej mignęło mi mroczne wejście do kolejnego pasażu między stosami pudeł i starych mebli — aż wreszcie zatrzymałem się dwa kroki przed zakrętem. Teraz od lampy dzieliła mnie ostatnia ściana magazynowanych gratów.

Nagle wijący się cień zeskoczył z krokwi i deskowania dachu, tworzącego przede mną ścianę; dziko miotające się, ostro zarysowane członki z kulistym spęcznieniem w środku, tak niezwykłe, że zanim zdałem sobie sprawę, co robię, wycelowałem w to coś z glocka, trzymając go w obu rękach.

Potem zdałem sobie sprawę, że zjawia przede mną to zniekształcony cień pająka dyndającego na pojedynczej jedwabistej nici. Musiał wisieć tak blisko źródła światła, że jego wizerunek zarysował się przede mną w ogromnym powiększeniu.

Jak na bezlitosnego zabójcę byłem zbyt płochliwy. Może za sprawą zawierającej kofeinę pepsi, którą wypilem, by pozbyć się smaku wymiocin z ust. Następnym razem, gdy kogoś zabiję i się porzygam, muszę sięgnąć po napój bezkofeinowy i doprawić go valium, inaczej zepsuję mój wizerunek zimnej, skutecznej maszyny do zabijania.

Byłem już spokojny, jeśli chodzi o pająka i zdałem sobie sprawę, że słyszę na tyle wyraźnie księdza, by zrozumieć każde słowo:

„- ... boli, tak oczywiście, to bardzo boli. Ale teraz wyciąłem z ciebie transponder, wyciąłem i zniszczyłem, i nie mogą cię dalej śledzić.”

Przypomniałem sobie Jessego Pinna, idącego przez nocny cmentarz z dziwnym urządzeniem w ręce, nasłuchującego słabych elektronicznych sygnałów i odczytującego dane na zielonym ekraniku. Najwyraźniej śledził sygnał z usuniętego teraz chirurgicznie radiolokacyjnego urządzenia odzewowego. Czy to była małpa, a jednak niemalpa?

„Nacięcie nie jest bardzo głębokie — kontynuował ksiądz. — Transpodner miał tuż pod podskórną tkanką tłuszczową. Wysterylizowałem i zaszyłem ranę.” — Westchnął. — „Chciałbym wiedzieć, na ile potrafisz mnie zrozumieć.”

W dzienniku ojciec Tom wspominał o członkach nowej gromady, bardziej przyjaznej i łagodniejszej niż pierwsza. Napisał, że poświęcił się jej uwolnieniu. Czemu ta nowa gromada była w opozycji do starej i czemu miałyby poruszać się swobodnie z transponderami pod skórą, a przede wszystkim, skąd te inteligentniejsze małpy obu gromad się wzięły — tego nie potrafiłem sobie wyobrazić. Ale było jasne, że ksiądz ubrał się w szaty współczesnego abolicjonisty walczącego o prawa uciskanych i że plebania była główną stacją podziemnej kolejki ku wolności.

Gdy Pinn stanął na drodze ojca Toma w kościelnych podziemiach, musiał sądzić, że ten uciekinier przeszedł już zabieg chirurgiczny i udał się dalej, więc ręczna stacja radiolokacyjna odbierała sygnał z transpondera nie będącego już w ciele stworzenia. Lecz było inaczej, uciekinier dochodził do siebie tu, na strychu.

Czerpiąc odwagę ze wspomnienia, jak pokornie ksiądz reagował na zachowanie pracownika zakładu pogrzebowego, pokonałem ostatnie metry wzdłuż ściany pudeł. Zatrzymałem się plecami do niej, ugiąwszy lekko kolana ze względu na pochyłość dachu. Chcąc zobaczyć księdza i stwora, który z nim był, potrzebowałem tylko skłonić się w prawo, obrócić głowę i spojrzeć w obwodowy korytarz, skąd dochodziło światło i głosy.

Wahałem się ujawnić moją obecność tylko dlatego, że pamiętałem bardzo dziwne zapisy w dzienniku; biadolenia i paranoidalne wypowiedzi na granicy bezsensu, dwustukrotne powtórzenie „Wierzę w łaskę Chrystusa”. Być może ojciec Tom nie zawsze był tak uległy jak wobec Jesego Pinna.

Nowy medyczny zapach spirytusu salicylowego, jodyny i antyseptycznego środka ściągającego zwyciężał woń pleśni, kurzu i starych kartonów.

Gdzieś w następnym przejściu tłusty pajak windował się do sieci, dalej od światła lampy i powiększony cień szybko przebiegł po skośnym dachu, zmałał do czarnej kropki i wreszcie zniknął.

„Mam antybiotyk w zasypce — uspokajał pacjenta ojciec Tom. — Różne odmiany penicyliny w zastrzykach, ale nie mam skutecznego środka przeciwbólowego. Żałuję. Ale istota tego świata to cierpienie, nieprawdaż? To dolina łez. Wydobrezjesz. Poczujesz się świetnie. Obiecuję. Bóg zlecił mi opiekę nad tobą”.

To, czy proboszcz św. Bernadetty był świętym, czy złoczyńcą, jednym z niewielu mieszkańców Moonlight Bay zdrowych na umyśle, czy zupełnym szaleńcem, tego nie potrafiłem stwierdzić. Nie miałem dostatecznej ilości przesłanek, nie rozumiałem kontekstu jego czynów. Jednego byłem pewien: jeśli nawet postępował racjonalnie i właściwie, to w głowie miał tyle luźnych klepek, że nierozsądne byłoby pozwolić mu trzymać niemowlę podczas chrztu.

„Przeszedłem bardzo pobieżne szkolenie — rzekł pacjentowi — bo przez trzy lata po ukończeniu seminarium byłem na misji w Ugandzie”.

Wydawało mi się, że słyszę pacjenta; mamrotania, które przypominały mi — ale nie do końca — ciche gruchanie gołębia zmieszane z bardziej gardłowym mručeniem kota.

„Jestem pewien, że będziesz miał się dobrze” — kontynuował ojciec Tom. — Ale naprawdę musisz tu zostać kilka dni, żebym mógł podawać ci antybiotyki i doglądać gojenia się rany. Rozumiesz mnie?” — Tonem frustracji i rozpaczki: — „Czy ty mnie w ogóle rozumiesz?!”

Kiedy już miałem się skłonić w prawo i zerknąć poza ścianę pudeł, Inny odpowiedział księdzu. „Inny” — tak myślałem o uciekinierze, gdy usłyszałem go z bliskiej odległości, ponieważ nie potrafiłem sobie wyobrazić, że tamten głos należy do dziecka, małpy czy czegoś innego w „Wielkiej księdze rodzaju Pana Boga”.

Zamarłem. Zacisnąłem palec na spuście.

Z pewnością ów dźwięk przypominał głos małego dziecka, dziewczynki, ale i małpy. Częściowo wydawał się być mieszaniną rozmaitych odgłosów, jakby bardzo twórczy hollywoodzki dźwiękowiec bawił się w taśmotece ludzkich i zwierzęcych głosów, łączył je na stole mikserskim, aż wreszcie stworzył głos dla stworzenia pozaziemskiego.

Co najbardziej poruszało w mowie Innego, to nie zasięg tonalny, nie wzorzec intonacyjny i nawet nie przejęcie i uczucie, które wyraźnie ją kształtowały. Nie, najbardziej poruszyło mnie to, że przekazywała sens. Nie słuchałem bełkotliwych zwierzęcych odgłosów. Oczywiście, nie był to angielski i chociaż nie znam innych obcych języków, z pewnością nie był to żaden z nich, gdyż brakowało mu odpowiedniego stopnia komplikacji, aby stać się prawdziwym językiem. Jednakże docierała do mnie płynna seria egzotycznych dźwięków, z grubsza przypominających słowa, ogromna, ale prymitywna próba języka, z wielozgłoskowym słownikiem, znaczoną wyraźnymi rytmami.

Inny rozpaczliwie usiłował się porozumieć. Gdy słuchałem, zaskoczony przyłapałem się na tym, że jestem poruszony tęsknotą, samotnością i udręką w jego głosie. Nie wyobraziłem sobie tych emocji. Były tak prawdziwe jak deski pod moimi stopami, stopy pudeł za plecami i głuche uderzenia serca.

Kiedy Inny i ksiądz ucichli, nie potrafiłem wyjrzeć za róg. Podejrzewałem, że bez względu na to, jak wyglądał gość księdza, nie przypominał prawdziwej małpy, jak członkowie tamtej pierwszej gromady, która dręczyła Bobby’ego, a którą Orson i ja napotkaliśmy na południowym cyplu zatoki. Jeśli w ogóle przypominałby rezusa, różnice byłyby większe i liczniejsze niż tylko groźne spojrzenie ciemnożółtych małpich ślepi.

Jeśli bałem się tego, co mógłbym ujrzeć, to mój strach nie miał żadnego związku z ewentualną okropnością tego zrodzonego w laboratorium Innego. Napięcie tak ścisnęło mi pierś, że nie mogłem zaczerpnąć głębszego oddechu, a gardło miałem tak spuchnięte, że z trudem przelykałem ślinę. Obawiałem się, że napotykając spojrzenie tej istoty, ujrzę w jej oczach moją izolację, moje bolesne pragnienie normalności. Przez dwadzieścia osiem lat z takim powodzeniem zaprzeczałem istnieniu tych odczuć, że byłem szczęśliwy ze swojego losu. Ale moje szczęście, jak każdego innego, jest kruche. Słyszałem straszliwą tęsknotę w głosie tego stworzenia i czułem, że jest pokrewne tej bolesnej tęsknocie, wokół której lata temu stworzyłem perłę obojętności i spokojnej rezygnacji; obawiałem się, że jeśli napotkam spojrzenie oczu Innego, jakiś rezonans między nami strzaska tę perłę i kolejny raz uczyni mnie bezbronnym.

Wstrząsnęły mną dreszcze.

To również dlatego nie mogę, nie śmiem, nie okażę bólu lub żalu, kiedy życie zrani mnie lub zabierze mi kogoś, kogo kocham. Żal zbyt łatwo prowadzi do rozpacz. Na żyznej glebie żalu kiełkuje i bujnie rośnie litowanie się nad sobą. Nie mogę rozczulać się nad samym sobą, bo wyliczając moje ograniczenia i rozważając je, wykopię sobie dziurę tak głęboką, że nigdy nie uda mi się z niej wyleźć. Muszę mieć w sobie coś z zimnego drania, żyć z nieprzeniknioną muszlą wokół serca, przynajmniej kiedy dochodzi do opłakiwania zmarłych. Potrafię wyrazić swoje uczucie wobec żywych, poświęcić się dla moich przyjaciół, oddać serce nie oglądając się na to, czy mogę zostać wykorzystany. Ale w dniu, w którym umiera mój ojciec, muszę stroić sobie żarty ze śmierci, z krematorium, z życia, z każdego cholerstwa, bo nie mogę zaryzykować — nie zaryzykuję — zejścia od żalu do litowania się nad sobą i wreszcie do jamy wściekłości, samotności i samonienawiści, którą tworzy świat. Nie mogę zbyt kochać umarłych. Choćbym nie wiem jak rozpaczliwie chciał ich zapamiętać i uwielbiać, muszę pozwolić odejść im w zapomnienie — i to szybko. Muszę wyrzucić ich z mojego serca, kiedy stygną na łożu śmierci. I podobnie, muszę żartować z tego, że jestem zabójcą, bo gdybym zastanawiał się zbyt długo i zbyt wnikliwie nad tym, co naprawdę znaczy zamordować człowieka, nawet takiego potwora jak Lewis Stevenson, z pewnością zacząłbym rozważać, czy nie jestem naprawdę świrem, za jakiego uważały mnie te wszystkie parszywe dupki w czasach mojego dzieciństwa, nazywające mnie Nocnym Robakiem, Wampirkiem, Oślizgłym Chrisem. Nie wolno mi zbyt przejmować się zmarłymi — zarówno tymi, których kochałem, jak i tymi, których nienawidziłem. Nie wolno mi ubolewać, że jestem sam; nie wolno mi dręczyć się tym, że nie mogę się zmienić. Jak nam wszystkim, w tej burzy pomiędzy urodzeniem i śmiercią, nie wolno mi niszczyć świata wielkimi zmianami, lecz naprawiać małymi (mam nadzieję) życie tych, których kocham, co oznacza, że aby żyć, muszę dbać nie o to, kim jestem, ale kim mogę się stać, muszę dbać nie o przeszłość, ale o przyszłość, nie tyle nawet o siebie, co o jasny krąg przyjaciół, którzy dostarczają jedyne światła, w którym rozkwitam.

Drżałem, gdy zastanawiałem się, czy skrócić za róg i stanąć twarzą w twarz z Innym, w którego oczach mógłbym zobaczyć o wiele za dużo siebie. Tak ścisnąłem glocka, jakby to był talizman, nie broń, jakby to był krucyfiks, którym potrafiłbym odpędzić wszelką moc zniszczenia. Schylony spróbowałem się rozejrzeć, ale nikogo nie dostrzegłem.

To przejście wzdłuż południowej strony było szersze niż tamto przy wschodniej, miało może dwa i pół metra. Na pokrytej dyktą podłodze, wciśnięty pod okap leżał wąski materac, a na nim kłęb kocy. Światło biło z lampy osłoniętej mosiężnym stożkowym abażurem, wpiętej do uziemionego przewodu biegnącego wzdłuż belki. Obok materaca stały termos, talerz z plasterkami owoców i kromkami chleba posmarowanymi masłem, wiaderko wody, buteleczki medykamentów i spirytusu salicylowego; dostrzegłem też bandaże, złożony ręcznik i moką ścierkę zbrudzoną krwią.

Ksiądz i jego gość zniknęli, jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki.

Chociaż unieruchomiony siłą tęsknoty w głosie Innego, nie mogłem stać w rzędzie pudeł dłużej niż minutę, może pół minuty, po tym, jak stwór znikł. A jednak nie widać było ani ojca Toma, ani jego gościa.

Panowała cisza. Nie słyszałem kroków. Ani trzasku lub skrzypnięcia drewna, bardziej znaczącego niż zwykle odgłosy osiadania domu.

Spojrzałem nawet na krokwie, na środek dachu, opanowany niesamowitym przeżuciem, że tych dwoje, którzy zniknęli, nauczywszy się sztuczki od sprytnego pająka, i podciągnąwszy się w górę pajęczyny, siedzą teraz zwinięci w czarne ciasne kłębki w górnych cieniach.

Dopóki stałem blisko ściany pudeł po prawej stronie, miałem wystarczająco powietrza nad głową, by nie musieć się zginać. Ostro biegnące w górę krokwie były nade mną o piętnaście, dwadzieścia centymetrów. Jednak cały czas poruszałem się w postawie obronnej, pochylony.

Lampa dawała łagodne światło, a mosiężny abażur chronił mnie przed nadmiarem blasku, więc podszedłem do materaca, by z bliższej odległości przyjrzeć się przedmiotom obok. Czubkiem buta rozrzuciłem koce; chociaż nie byłem pewien, co spodziewałem się znaleźć, nie znalazłem niczego.

Nie przejmowałem się tym, że ojciec Tom zejdzie na dół i zastanie Orsona. Po pierwsze nie sądziłem, by skończył wszystko, co miał do zrobienia na górze. Poza tym mój kryminalnie obyty pies błysnie taką znajomością zasad przetrwania w miejskiej dżungli, że ukryje się, aż do czasu gdy ucieczka będzie miała szansę powodzenia.

Jednak nagle zdałem sobie sprawę, że jeśli ksiądz zszedł na dół, może złożyć drabinę i zamknąć włącz. Potrafiłbym otworzyć go siłą i spuścić drabinę z góry, ale nie bez takiego hałasu, jakiego narobili szatan i jego wspólnicy wyrzucani z raj.

Zamiast iść do następnego wejścia do labiryntu i ryzykować spotkanie z księdzem oraz Innym na szlaku, który mogli obrać, wróciłem tą samą drogą, którą przyszedłem, napominając się, że należy lekko stąpać. Dobrej jakości dykta miała niewiele szpar i przeważnie przykręcano ją, nie przybijano do legarów, więc mimo pośpiechu byłem bezszelestny.

Gdy skręciłem za róg przy końcu rzędu pudeł, z cieni, w których stałem nasłuchując tylko chwilę, wyłonił się krępy ojciec Tom. Nie był ubrany do mszy ani do snu. Miał na sobie szary dres i warstwę potu, jakby zwalczał grzech obżarstwa ćwicząc przy wideo.

— Ty!!! — krzyknął z goryczą, gdy mnie rozpoznał, jakbym nie był jedynie Christopherem Snowem, ale diabłem Baalem, i wyszedł z kredowego ośmiokąta nakreślonego dłonią magika, nie pytając o pozwolenie ani nie usprawiedliwiony koniecznością wyjścia za potrzebą.

Łagodny, jowialny i dobroduszny padre, którego znałem, najwyraźniej podążył na wakacje do Palm Springs, oddawszy klucze od plebani! złemu bratu bliźniakowi. Pchnął mnie w klatkę piersiową tępym końcem kija baseballowego, na tyle mocno, że zabołało.

Ponieważ nawet Wielki Iksper podlega prawom fizyki, zatoczyłem się, wpadłem pod okap i grzmotnąłem ciemieniem o krokiew. Nie zobaczyłem gwiazd, nawet wielkich charakterystycznych aktorów w rodzaju M. Emmeta Walsha lub Rip Torna, ale gdyby nie osłona w postaci szopy na głowie a la James Dean, padłbym bez czucia.

Ojciec Tom kolejny raz pchnął mnie w pierś mówiąc:

— Ty! Ty!

W rzeczy samej, to byłem ja i nigdy nie twierdziłem, że jest inaczej, więc nie rozumiałem, dlaczego jest tak rozjuszony.

— Ty!!! — wykrzyknął z jeszcze większą furia.

Tym razem grzmotnął mnie w brzuch, co zupełnie odebrałoby mi oddech, gdybym się tego nie spodziewał. Tuż przed samym ciosem wciągnąłem brzuch i napiąłem mięśnie, a ponieważ pozbyłem się już nieprzetrawionych kurczaków z *taco* Bobby'ego, jedynym skutkiem był gorący płomień bólu od krocza do mostka, który wyśmiałbym, gdybym pod zwyczajnymi ciuchami nosił moją zbroję ze spandeksu, mundur superbohatera.

Wycelowałem z glocka i zarzęzitem groźnie, lecz albo był sługą Pana nie lękającym się śmierci, albo miał świra. Złapał kij oburącz, żeby nadać uderzeniom jeszcze większą moc, i kolejny raz szturchnął mnie w brzuch, ale tym razem wykręciłem się i uniknąłem ciosu, chociaż nieszczęśliwym zbiegiem przypadków rozczochrałem sobie fryzurę o nierówno przycięte krokwie.

Byłem zakłopotany walką z księdzem. To starcie wydawało się raczej absurdalne niż przerażające. Chociaż było na tyle przerażające, by serce mi waliło i bym się przejmował, że zwrócę Bobby'emu obsikane spodnie.

— Ty!!! Ty!!! — wykrzykiwał z coraz większą wściekłością i wydawał się jeszcze bardziej zaskoczony, jakby moje pojawienie się na tym zakurczonym strychu było tak nieprawdopodobną bezczelnością, że jego zdumienie rosło z nieustającym przyspieszeniem.

Zamachnął się znowu. Nie trafiłby mnie tym razem, nawet gdybym nie uchylił się przed kijem. Przecież był księdzem, nie zabójcą *ninja*. Poza tym był w słusznym wieku i miał nadwagę.

Kij walnął w jedno z kartonowych pudeł z taką siłą, że wybił dziurę i zwalił cały stos w puste przejście. Chociaż zacny ojciec duchowny wykazywał żalosne nieobycie nawet w podstawowych zasadach sztuki walki i brakowało mu muskulatury potężnego wojownika, nie można go było jednak obwiniać o brak zaangażowania.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że do niego strzelam, ale nie mogłem też pozwolić, by zatłukł mnie na śmierć. Cofałem się w kierunku lampy i materaca, z nadzieją, że odzyska zdrowy rozsądek.

Nic z tego. Nacierał machając kijem z lewa na prawo, rozcinał ze świstem powietrze, po czym natychmiast machał z prawa na lewo zawodząc: — Ty!!! — po każdym uderzeniu. Włosy miał w nieładzie i opadły mu na czoło, twarz wykrzywiły w równym stopniu groza i gniew. Rozdęte nozdrza drżały przy każdym gwałtownym oddechu, ślina ciekła z ust przy każdej wybuchowej powtórcie zaimka, do którego ograniczało się całe jego słownictwo.

Zapowiadało się, że umrę szybką śmiercią, jeśli będę czekał, aż ojciec Tom odzyska resztki zdrowego rozsądku. Jeżeli nawet zostało mu go trochę, to nie zamierzał z niego korzystać. Owe resztki spoczywały gdzieś daleko, może w kościele, zamknięte wraz z odłamkiem kości jakiegoś świętego w relikwiarzu na ołtarzu.

Gdy zamachnął się po raz kolejny, sprawdziłem, czy nie dojrzę w jego oczach tego zwierzęcego lśnienia, które dostrzegłem u Lewisa Stevensona, ponieważ ów niesamowity błysk usprawiedliwiałby odpowiedź przemocą na przemoc. Znaczyłyby, że nie walczę z księdzem czy zwykłym człowiekiem, ale z kimś, kto jest już jedną nogą w Strefie Gdzie Wszystko Może Się Zdarzyć. Ale nic mu nie błyskało. Być może ojciec Tom zaraził się tą samą chorobą, która zniszczyła szefa policji, ale nie posunęła się tak daleko.

Cofając się i nie odrywając wzroku od kija, zahaczyłem nogą o przewód lampy. Udowadniając, że jestem godną ofiarą starzejącego się, opasłego księdza, padłem jak długi na wznak, wydobywając ciemieniem z podłogi ładny werbelek.

Lampa przewróciła się. Na szczęście nie zgasła ani nie zaświeciła prosto w moje wrażliwe oczy. Wyszarpnąłem nogę ze zwojów przewodu i odjechałem na tyłku w bok, podczas gdy ojciec Tom runął do przodu i walnął kijem w podłogę.

Nie trafił mnie, zbrakło kilkunastu centymetrów do moich nóg, i podkreślił atak znanym już oskarżeniem w drugiej osobie liczby pojedynczej:

— Ty!!!

— Ty! — krzyknąłem nieco histerycznie, odpowiadając mu natychmiast, podczas gdy nadal ślizgałem się na tyłku.

Zastanawiałem się, gdzie podziewają się ci wszyscy ludzie, którzy ponoć mnie czczą. Chętnie przyjąłbym jakiś drobny hołd, ale Stevenson i ojciec Tom Eliot z pewnością nie należeli do Stowarzyszenia Wielbicieli Christophera Snowa.

Chociaż klecha ociekał potem i dyszał, był gotów udowodnić, że ma kondycję. Zbliżał się przygarbiony, zataczając jak troll uczestniczący w programie „zwolnienie za pracę”, któremu zaświtała nadzieja wyrwania się spod mostu, do którego był chwilowo przypisany. Schyliwszy się mógł unieść kij nad głowę, nie waląc w krokwie. Niewątpliwie szykował się odegrać Babe Ruth i z braku piłki zamierzał rozbić mi czaszkę, wypuszczając mózg uszami.

Błyskał oczami czy nie błyskał, zamierzałem bezzwłocznie rozwalić tłustego kurdupla. Nie mogłem posuwać się w tył na siedzeniu tak szybko, jak nacierał na mnie trolłowatym krokiem i chociaż byłem w stanie lekkiej hysterii... no dobra, poważnej hysterii... potrafiłem ocenić szansę na tyle, żeby wiedzieć, iż najbardziej pomyłony bukmacher w Vegas nie postawiłby centa na moje przeżycie. W panice, bombardowany grozą i niebezpiecznie chichotliwym poczuciem absurdu, pomyślałem, że postąpiłbym humanitarnie postrzeliwszy go w genitalia, bo i tak złożył ślub czystości.

Na szczęście nigdy nie dane mi było sprawdzać się jako strzelec wyborowy, oddający strzał do tak idealnie wybranego celu. Wycelowałem w krocze i zacisnąłem palec na spuście. Nie było czasu na włączanie celownika laserowego. Zanim zdążyłem posłać pocisk, jakieś monstrum warknęło w przejściu za księdzem i wielki, czarny, warczący drapieżca skoczył mu na plecy. Ksiądz wrzasnął i padł na podłogę upuszczając kij.

Przez chwilę byłem ogłupiały. Inny, tak dalece różniący się od rezusa, atakował ojca Toma, swojego pielęgniarza i obrońcę. Ale oczywiście wielki, czarny, warczący drapieżca to nie był Inny; to był Orson.

Siedząc księdzu na plecach szarpał go za bluzę. Materiał pękł. Orson warczał tak zjadle, że obawiałem się, iż faktycznie pogryzie ojca Toma.

Unosząc się z podłogi, przywołałem psa. Posłuchał mnie od razu, nie czyniąc dalszej krzywdy księdzu i nie będąc wcale tak żądny krwi, jak udawał.

Ksiądz nie próbował się podnieść. Leżał z głową odwróconą na bok, twarz zasłaniały mu rozczochrane, mokre od potu włosy. Ciężko dyszał i łkał, a po którymś tam oddechu powiedział gorzko: „Ty...”

Oczywiście wiedział dobrze, co wyprawiało się w Fort Wyvern i Moonlight Bay, by odpowiedzieć na wiele, jeśli nie na wszystkie moje najpilniejsze pytania. Ale nie chciałem z nim rozmawiać. Nie mogłem z nim rozmawiać.

Inny mógł nie opuścić plebani, mógł nadal przebywać w najciemniejszych zakamarkach strychu. Chociaż nie wierzyłem w to, by stanowił poważne zagrożenie dla mnie lub Orsona, zwłaszcza że miałem glocka, nie widziałem go i nie mogłem go zlekceważyć. Nie chciałem nikogo tropić — ani być tropionym — w tej klaustrofobicznej przestrzeni.

Oczywiście Inny to był tylko pretekst do ucieczki. Tak naprawdę obawiałem się odpowiedzi, których ojciec Tom mógł udzielić na moje pytania. Sądziłem, że pragnę ich wysłuchać, ale najwyraźniej nie byłem jeszcze gotów na pewne prawdy.

„Ty!!!”

Wypowiedział to jedno słowo z kipiącą nienawiścią, z mrocznym uczuciem, niezwykłym jak na sługę bożego, ale i człowieka, który zawsze jest łagodny i uprzejmy. Przemienił ten zwyczajny zaimek w oskarżenie i przekleństwo.

„Ty!!!”

A przecież nie zrobiłem niczego, by zarobić na jego wrogość. Nie dałem życia tym żalonym stworzeniom, których uwolnieniu się poświęciłem. Nie byłem częścią programu w Wyvern, który skaził jego siostrę i zapewne także jego samego. Oznaczało to, że nie nienawidzi mnie osobiście, ale z powodu tego, kim byłem.

A kim byłem?

Kim, jeśli nie synem mojej matki?

Według Roosevelta Prosta — i nawet szefa Stevensona — istnieli naprawdę tacy, którzy czcili mnie, ponieważ byłem synem mojej matki, chociaż dopiero miałem ich poznać. Z tego samego powodu inni mnie nienawidzili.

Christopher Nicolas Snow, jedyny syn Wisterii Jane (Milbury) Snow, którą własna matka nazwała imieniem kwiatu. Christopher, zrodzony z Wisterii, przyszedł na ten aż nazbyt jasny świat w początkach dyskotekowej dekady, w czasie, w którym rządziły obcisłe stroje, frywolne gry i zabawy, a kraj z zapalem pozbywał się wojennego napięcia i najgorszym zagrożeniem był atomowy holokaust.

Co takiego mogła sprawić moja genialna i kochająca matka, że byłem czczony lub nienawidzony?

Rozciągnięty na podłodze strychu, wstrząsany emocjami ojciec Tom Eliot znał tę tajemnicę i prawie na pewno odkryłby mi ją, doszedłszy do siebie.

Zamiast postawić pytanie skierowane w centrum wszystkiego, co wydarzyło się tej nocy, roztrzęsiony przeprosiłem łkającego księdza.

— Przepraszam. Nie... nie powinienem tu przychodzić. Boże. Słuchaj. Tak mi przykro. Proszę, wybac mi. Proszę.

Co zrobiła moja matka?

Nie pytaj.

Nie pytaj.

Gdyby zaczął odpowiadać na moje niepostawione pytania, zatkałbym uszy rękoma.

Wezwałem Orsona i odciągnąłem go od księdza, w labirynt, tak szybko jak mogłem. Wąskie przejścia wiły się i rozgałęziały, aż wreszcie odniosłem wrażenie, że nie jestem na strychu, ale w sieci katakumb. Miejscami ciemność była prawie oślepiająca, ale ja jestem dzieckiem ciemności, nigdy mi nie przeszkadza. Przeprowadziłem nas szybko do włazu.

Chociaż Orson poprzednio wspinał się po drabinie, teraz zerknął w dół z drzeniem i zawahał się. Nawet dla czworonożnego akrobaty schodzenie po stromej drabinie było trudniejsze niż wchodzenie.

Ponieważ wiele pudeł na strychu miało spore rozmiary i ponieważ przechowywano tam pękate meble, wiedziałem, że musi być drugi właz, na pewno większy niż pierwszy, z windą na wielokrążkach do unoszenia i opuszczania ciężkich przedmiotów. Nie chciałem go szukać, ale nie byłem też pewien, jak zejść bezpiecznie po tej drabinie, dźwigając psa ważącego czterdzieści pięć kilogramów.

— Christopherze! — zawołał z dalekiej głębi pomieszczenia ksiądz, głosem pełnym skruchy. — Christopherze, jestem zagubiony.

Nie chciał powiedzieć, że zgubił się w zakamarkach własnego strychu. Nic tak prostego, nic tak rokującego nadzieję.

— Christopherze, jestem zagubiony. Przebacz mi. Jestem tak zagubiony.

Z innego mrocznego miejsca dobiegł głos dziecka-małpy-nie-z-tego-świata, należący do Innego; przebijał się ku mowie, rozpaczliwie próbował nawiązać kontakt, pełen tęsknoty i samotności, ponury jak lód Arktyki, ale co gorsza, pełen nierozważnej nadziei, skazanej na wieczne niespełnienie.

Ten błagalny bek okazał się tak nie do zniesienia, że zmusił Orsona do zejścia i być może dał mu niezbędne poczucie równowagi. Gdy pies doszedł do połowy drabiny, zeskokczył na podłogę.

Dziennik księdza prawie wyslizgnął mi się z paska dżinsów i wpadł w slipy. Gdy schodziłem po drabinie, otarł mi boleśnie krzyż. Znalazłem się na dole i wyrwałem go z ukrycia lewą ręką, nadal dzierżąc mocno glocka w spoczonej prawicy.

Pokonaliśmy biegiem plebanię, mijając ołtarzyk ku czci Matki Boskiej. Przeciągł zdmuchnął dogasającą świeczkę. Minęliśmy dolny hol, kuchnię, w której były trzy zielone cyfrowe zegary, pokonaliśmy tylne drzwi, werandę i wpadliśmy w mgłę, jak uciekinierzy z domu Usherów chwilę przedtem, zanim zapadł się i osunął w głęboki górski staw.

Przeszliśmy na tyły kościoła. Jego wspaniała bryła tworzyła kamienną tsunami, której spiętrzony cień zdawał się nas miażdżyć. Obejrzałem się dwa razy. Księdza nie było za nami. Ani nikogo innego.

Chociaż zakładałem, że rower przepadnie lub będzie zniszczony, stał oparty o nagrobek, jak go zostawiłem. Żadnych małpich wyglupów.

Nie zatrzymałem się rzucić słowo Noahowi Josephowi Jamesowi. W świecie równie popieprzonym jak nasz, dziewięćdziesięciosześcioletni żywot już nie wydawał się tak wart pożądania, jak zaledwie kilka godzin temu.

Wsadziłem pistolet do kieszeni, dziennik pod koszulę i biegiem poprowadziłem rower wzdłuż grobów, wskakując po drodze na siodełko. Wyskoczyłem z chodnika na ulicę i pochyliłem się nad kierownicą pedałując jak szalony. Niczym świder przebijałem mgłę, na chwilę zostawiając za sobą tunel.

Orson nie interesował się zapachami wiewiórek. Jak ja palił się, by jak najdalej zostawić za sobą św. Bernadettę.

Minęliśmy kilka przecznic, zanim zdałem sobie sprawę, że ucieczka nie jest możliwa. Nieunikniony świt skazywał mnie na obszar Moonlight Bay i szaleństwo plebani św. Bernadetty będzie czaiło się w każdym zakątku miasta.

Co więcej, próbowałem uciec przed zagrożeniem, przed którym ucieczka nigdy nie była możliwa, nawet na najdalsze wyspy czy najwyższe szczyty świata. Gdziekolwiek

bym się udał, będę dźwigał ze sobą to, czego się lękałem: potrzebę dowiedzenia się. Nie bałem się jedynie ewentualnych odpowiedzi. Bałem się czegoś głębszego — samych pytań, ponieważ ich natura, bez względu na to, czy usłyszałbym odpowiedzi, czy nie, zmieniłaby na zawsze moje życie.

29

Z ławki w parku przy rogu Palm Street i Grace Drive, Orson i ja przyglądaliśmy się rzeźbie stalowego bułata, wspartego na parze spadających kości do gry, wyrzeźbionej z białego marmuru, opartej na idealnie wypolerowanej podobiznie Ziemi z marmuru niebieskiego, spoczywającej z kolei na okazałym pagórku z brązu, wykutym tak prze-myślnie, że przypominał psie gówienko.

To dzieło sztuki stało od trzech lat w środku parku, w centrum łagodnie ciurkającej fontanny. Siadywaliśmy tak przez wiele nocy, rozważając sens tej kreacji, zaintrygowani, zbudowani i prowokowani — ale nieszczególnie oświeceni.

Początkowo sądziliśmy, że znaczenie jest proste. Bułat przedstawia wojnę lub śmierć. Obracające się kości wyobrażają los. Niebieska marmurowa kula to Ziemia, symbol naszego życia. Wszystko razem określało naszą ludzką kondycję: żyjemy lub umieramy wedle kaprysu losu, naszym istnieniem na tym świecie rządzi obojętny przy-padek. Psie odchody u dołu są minimalistycznym powtórzeniem głównego tematu: życie to gówno.

Wiele uczonych analiz potwierdziło pierwszą. Na przykład bułat wcale nie musiał być bułatem: to mógł być księżyc w nowiu. Domniemane kości do gry byłyby kostkami cukru. Niebieska kula nie byłaby naszą życiodajną planetą — jedynie kulą do kręgli. Te różne formy można było interpretować na nieskończenie wiele sposobów, chociaż nie dało się zobaczyć w brązowym odlewie niczego poza psim gównem.

Arcydzieło jako Księżyc, kostki cukru i kula do kręgli może być ostrzeżeniem, że nasze najwyższe aspiracje (dosięgnąć Księżyca) nie spełnią się, jeśli będziemy dręczyć nasze ciała i niepokoić umysły spożywając zbyt wiele słodczy lub jeśli doprowadzimy do postrzału w krzyżu, zbyttno natężając się przy kręglach, rozpaczliwie usiłując osią-gnąć dobry wynik. Stąd też psie gówienko ujawnia nam krańcowe konsekwencje złej diety połączonej z maniackim podejściem do kręgli: życie to gówno.

Cztery ławki stoją przy szerokim chodniku okrążającym fontannę, w której mieści się rzeźba. Obejrzeliliśmy dzieło z każdej perspektywy.

Lampy w parku są sterowane automatycznie i wszystkie gasną o północy, by za-oszczędzić funduszy publicznych. Również fontanna przestaje szemrać. Łagodny plusk

sprzyja medytacji, więc wolelibyśmy, by woda tryskała całą noc, natomiast gdybym nawet nie był XP-erem, przyklasnęlibyśmy wygaszaniu lamp. Skromne oświetlenie jest nie tylko wystarczające, ale idealne do kontemplowania rzeźby, a dobra gęsta mgła niesłychanie sprzyja wysokiej ocenie wizji artysty.

Zanim wzniesiono ten monument, przez ponad sto lat w środku fontanny stała na cokole prosta rzeźba z brązu Junipero Serra. Był to hiszpański misjonarz wśród Indian kalifornijskich dwa i pół wieku temu; człowiek, który stworzył sieć misji — obecnie znaki orientacyjne w krajobrazie, zabytki i magnes dla turystów lubiących historię.

Rodzice Bobby'ego i grupa podobnie myślących obywateli zorganizowali komitet starający się o usunięcie pomnika Junipero Serra, jako że upamiętnianie wybitnej postaci religijnej nie należy do zadań parku stworzonego i opłacanego z pieniędzy publicznych. Rozdział Kościoła od państwa, konstytucja Stanów Zjednoczonych, powiadali, określa to wyraźnie.

Wisteria Jane (Milbury) Snow — „Wissy” dla przyjaciół, „mama” dla mnie — mimo że naukowiec i racjonalistka, przewodziła opozycyjnemu komitetowi, który pragnął zachować pomnik.

„Kiedy społeczeństwo zaciera swoją przeszłość, obojętnie z jakiego powodu — powiedziała — nie ma przyszłości”.

Mama przegrała spór. Starzy Bobby'ego wygrali.

W wieczór, w który zapadła decyzja, spotkaliśmy się z Bobbym w najpoważniejszych okolicznościach naszej długiej przyjaźni, by zdecydować, czy honor rodzinny i święte obowiązki więzów krwi nakazują nam prowadzić zażartą nieustępliwą wendetę — na modłę legendarnych Hatfieldów i McCoyów — aż najdalszy kuzyn pójdzie spać z robakami i jeden z nas spocznie martwy. Po wypiciu wystarczającej ilości piwa, by przejaśniało nam w głowach, uznaliśmy, że nie da się ciągnąć uczciwej wendety i nadal znajdować czas na ujeżdżanie błyszczących grzmiących monolitów, które zacne morze zsyła na brzeg. Nie wspominając już o czasie trawionym na morderstwa i rzezie, który można spędzić flirtując z dziewczynami w pasieczkach aspirujących do miana bikini.

Teraz znalazłem numer Bobby'ego i wcisnąłem klawisz wybierania. Zwiększyłem trochę głośność, by Orson mógł słuchać rozmowy. Gdy zdałem sobie sprawę, co zrobiłem, zrozumiałem, że podświadomie uznałem za fakt najbardziej fantastyczną możliwość programu Wyvern — choć nadal udawałem, że mam wątpliwości.

Bobby odpowiedział po drugim dzwonku:

— Spływaj.

— Spaleś?

— No.

— Siedzę w parku „Życie Jest Gównem”.

— Co mnie to obchodzi?

— Od kiedy się widzieliśmy, wydarzyły się naprawdę niedobre rzeczy.
— To salsa z tymi kurczakowymi *taco* — powiedział.
— Nie mogę o tym mówić przez telefon.
— Dobrze.
— Martwię się o ciebie.
— Słodki jesteś.
— Jesteś w prawdziwym niebezpieczeństwie, Bobby.
— Przysięgam, że spuściłem po sobie wodę, mamusiu.
Orson sapnął rozbawiony. Niech mnie diabli porwą, jeśli tego nie zrobił.
— Obudziłeś się już? — spytałem Bobby'ego.
— Nie.
— Przede wszystkim nie wydaje mi się, żebyś spał.
Milczał. Wreszcie powiedział:
— No dobra, był niemożliwy horror przez całą noc, od kiedy wyszedłeś.
— „Planeta małp”? — próbowałem zgadnąć.
— Na pełnym ekranie. Trzystasześćdziesiątstopniowym.
— Co robiły?
— No, wiesz, zwykłe małpie sztuczki.
— Nic groźniejszego?
— Myślą, że są milutki. W tej chwili jedna z nich siedzi w oknie i wypina na mnie dupę.
— No, ale ty zacząłeś pierwszy?
— Mam wrażenie, że próbują mnie zirytować i znów wyciągnąć na dwór.
— Nie wychodź — powiedziałem zaniepokojony.
— Nie jestem kretynem — rzekł kwaśno.
— Przepraszam.
— Jestem dupek.
— To się zgadza.
— Jest zasadnicza różnica między kretynem a dupkiem.
— Mam jasność w tej sprawie.
— Niesamowite.
— Masz tę dubeltówkę?
— Jezu, Snow, przecież powiedziałem, że nie jestem kretynem. Teraz są na dachu.
— Co robią?
— Nie wiem. — Przerwał, słuchał. — Przynajmniej dwie. Biegają w tę i we w tę.
Może szukają wejścia.

Orson zeskoczył z ławki i stał napięty, z jednym uchem wyciągniętym jakby w stronę telefonu. Robił wrażenie zdenerwowanego. Chyba był gotów częściowo zrezygnować z psiego *image'u*, jeśli nie wyprowadziłoby mnie to z równowagi.

— A jest jakieś wejście przez dach? — spytałem Bobby'ego.

— Przewody wentylacyjne łazienki i kuchni są za wąskie dla tych drani.

Co zadziwiające, biorąc pod uwagę wszystkie inne udogodnienia, domek nie miał kominka. Najwidoczniej Corky Collins — uprzednio Toshiro Tagawa — zrezygnował z kominka, bo ten w przeciwieństwie do sauny, nie jest idealnym miejscem, do którego można wejść z parą nagich plażowiczek. Dzięki prostoduszności jego chuci nie było kominka, którym małpy mogłyby swobodnie dostać się do środka.

— Mam jeszcze przed świtem do odwalenia trochę roboty w stylu Nancy — powiedziałem.

— Jakie efekty? — spytał Bobby.

— Jestem w tym niesamowicie dobry. Od rana będę siedział u Saszy i jutro wieczorem wpadniemy do ciebie.

— Chcesz powiedzieć, że znów będę musiał robić obiad?

— Przyniesiemy pizzę. Słuchaj, coś mi się wydaje, że pójdziemy do pierdła, w każdym razie jeden z nas. I jedyny sposób, by temu zapobiec, to trzymać się razem. Lepiej wypij się za dnia, ile możesz. Jutro może być niewąsko paskudnie tam na cyplu.

— Więc znalazłeś na tamto jakiś sposób?

— Na tamto nie ma sposobu.

— Nie ćwierkasz radośnie jak Nancy Drew.

Nie zamierzałem go okłamywać, nie bardziej niż Orsona czy Saszę.

— Nie ma rozwiązania. Nie da się tego zakopać do ziemi ani wysadzić w powietrze. To co się tu wyprawia... musimy z tym żyć aż do końca. Ale może znajdziemy sposób, żeby osiągnąć tej fali, chociaż jest wielka jak skała, aż ciarki chodzą po plecach.

Po chwili ciszy Bobby spytał:

— Co jest grane, bratku?

— Nie powiedziałem tego?

— Nie wszystko.

— Słyszałeś już, część nie nadaje się na telefon.

— Nie mówię o szczegółach. Mówię o tobie.

Orson położył mi łeb na podołku, jakby uważał, że znajdę pocieszenie gładząc go i drapiąc za uszami. Po prawdzie, zadziałało. Zawsze działało. Dobry pies jest lepszym lekarstwem na melancholię i stres niż valium.

— Działasz superowo — powiedział Bobby. — Ale z tobą nie jest super.

— Bobby Freud, wnuk z nieprawego łóża wielkiego Zygmunta.

— Spocznij na mojej kanapce.

Gładząc Orsona, by uspokoić nerwy, westchnąłem i powiedziałem:

— No cóż, to chyba sprowadza się do tego, że może mama zniszczyła świat.

— Poważna sprawa.

— No, chyba tak.
— Te jej naukowe sprawy?
— Genetyka.
— Pamiętasz, jak cię ostrzegałem, żebyś nie zostawiał znaku.
— Myślę, że to coś gorszego. Myślę, że na początku próbowała znaleźć sposób, żeby mi pomóc.
— Koniec świata, co?
— Koniec znanego nam świata — powiedziałem, przypominając sobie określenie Roosevelta Prosta.
— Matka Beavera, Szalejącego Tasaka, nigdy nie wyszła poza upieczenie ciasta.
Roześmiałem się.
— Co ja bym bez ciebie począł, bratku?
— Zrobiłem dla ciebie tylko jedną rzecz.
— Niby co?
— Nauczyłem cię rozróżniać.
Skinąłem głową.
— Co ważne, a co nie.
— Większość nie — przypomniał mi.
— Nawet to?
— Kochaj się z Saszą. Prześpij się solidnie. Jutro wieczorem zjemy czadową kolację. Dokopujemy jakiejś małpie do dupy. Dosiądziemy jakichś historycznych fal. Za tydzień w twoim sercu twoja mama znów będzie twoją mamą... jeśli zechcesz, żeby nadal tak było.
— Może — rzekłem z powątpiewaniem.
— Postawa, bratku. To wszystko.
— Popracuję nad nią.
— Tylko jedna rzecz mnie zaskakuje.
— Co?
— Twoja mama musiała być naprawdę wkurzona, że przegrała sprawę o zachowanie tamtego posągu w parku.

Bobby rozłączył się. Wyłączyłem telefon.

Czy to naprawdę mądra strategia życiowa? Upieranie się, że nie należy brać poważnie większości tego, co dzieje się wokół nas? Uważać życie za kosmiczny żart. Trzymać się tylko czterech zasad; po pierwsze, wyrządzać innym jak najmniej krzywdy; po drugie, być zawsze pod ręką dla swoich przyjaciół; po trzecie, polegać na sobie i nie prosić o nic innych; po czwarte, cieszyć się wszystkim, czym się da. Brać pod uwagę tylko opinie najbliższych. Zapomnieć o zostawianiu po sobie znaku. Ignorować wielkie problemy swoich czasów i przez to poprawić sobie trawienie. Nie nurzać się w przeszłości.

Nie martwić się o przyszłość. Żyć chwilą. Zaufać celowości swojej egzystencji i pozwolić, by sens przyszedł do ciebie, a nie usilnie go odkrywać. Kiedy życie zwała cię z nóg, paść pod ciosem — ale paść ze śmiechem. Łap falę, gogusiu.

Tak oto żyje Bobby i jest najszczęśliwszą i najbardziej zrównoważoną osobą, jaką kiedykolwiek poznałem.

Usiłuję żyć jak Bobby Halloway, ale nie odnoszę takich sukcesów jak on. Czasami miotam się, gdy powinienem fruwać. Za dużo czasu zajmuje mi przewidywanie, a za mało przeżywanie niespodzianek, które niesie życie. Może starając się żyć jak Bobby, za słabo się przykładam. A może za bardzo.

Orson podszedł do fontanny. Hałaśliwie chłęptał wodę, wyraźnie rozkoszując się jej smakiem i chłodem.

Przypomniałem sobie tamtą lipcową noc w naszym ogrodzie, kiedy to pies wpatrywał się w gwiazdy i popadł w najczarniejszą rozpacz. Nie potrafię określić, o ile Orson jest inteligentniejszy od przeciętnego psa. Jednakże program Wyvern w jakiś sposób rozwinął jego inteligencję, dlatego rozumie dużo więcej, niż zaplanowała natura. Tamtej lipcowej nocy pojął swój rewolucyjny potencjał, a równocześnie — być może po raz pierwszy — straszliwe ograniczenia spowodowane cielesną powłoką i pogrążył się w otchłani zniechęcenia. Być inteligentnym, ale bez finezyjnie skonstruowanej krtani i innych cielesnych urządzeń, które sprawiają, że mowa jest możliwa, być inteligentnym, ale bez rąk, by pisać lub tworzyć narzędzia, być inteligentnym, ale w potrzasku postaci, która na zawsze uniemożliwi pełne wyrażenie twojej inteligencji — znaczy to samo, co urodzić się głuchym, niemym i pozbawionym kończyn.

Teraz przyglądałem się Orsonowi ze zdumieniem, z czułością, jakiej poprzednio nie wzbudził we mnie nikt. Na nowo doceniałem jego odwagę.

Odwrócił się od fontanny; szeroko uśmiechnięty, oblizywał się z rozkoszą. Kiedy spostrzegł, że na niego patrzę, pomachał ogonem, szczęśliwy, iż zwrócił moją uwagę, lub po prostu z radości, że jest ze mną w tę dziwną noc.

Na miłość boską, mimo wszystkich swoich ograniczeń i wszelkich istotnych powodów, mogących skazać go na osobistą udrękę, mój pies lepiej odgrywał Bobby'ego Hallowaya niż ja.

Czy życiowa strategia Bobby'ego jest mądra? A Orsona? Mam nadzieję, że któregoś dnia dojrzeję na tyle, że będę żył według ich filozofii.

Podnosząc się z ławki, wskazałem na rzeźbę.

— To nie bułat. Nie księżyc. To uśmiech niewidzialnego Kota z Cheshire z „Alicji w krainie czarów”.

Orson odwrócił się i zmierzył wzrokiem arcydzieło.

Żadne kości. Żadne kostki cukru — ciągnąłem. — To ciasteczka, od których się ma-
leje lub rośnie, a które Alicja zjadła w opowieści.

Orson rozważył to z zainteresowaniem. Kiedyś oglądał kasetę z filmem Disney'a, nakręconym na podstawie tej klasycznej opowiadki.

— Żaden symbol Ziemi. Żadna niebieska kula do kręgli. Wielkie niebieskie oko. Jak się to złoży do kupy, co mamy?

Orson patrzył na mnie, źródło swojego oświecenia.

— Uśmiech z Cheshire, to artysta śmiejący się z łatwowiernych ludzi, którzy mu tak dobrze zapłacili. Para ciasteczek to narkotyki, które wziął, projektując ów złom. Niebieskie oko to jego oko, a drugiego nie widać, bo nim mruga. Wzgórek z brązu u dołu, to oczywiście psia kupa, co w zamierzeniu ma być zgryźliwym komentarzem na temat tej pracy... ponieważ, jak wszyscy wiedzą, psy są najbardziej dociekliwymi krytykami.

Jeśli energia, z którą Orson machał ogonem, była rzetelnym wskaźnikiem, moja interpretacja niezmiernie przypadła mu do gustu.

Obiegił całą fontannę, przyglądając się rzeźbie ze wszystkich stron.

Być może nie urodziłem się po to, by pisać o moim życiu, poszukując jakiegoś uniwersalnego sensu, który innym pomógłby lepiej zrozumieć ich życie — bo tak w napadach egomanii wyobrażam sobie swoją misję. Zamiast usiłować pozostawić choćby najdrobniejszy znak na ziemi, może powinienem się zastanowić, czy jedyna przyczyna, dla której przyszedłem na świat, to nie zabawianie Orsona, nie bycie jego panem, ale kochającym bratem, pragnącym uczynić jego dziwne i trudne życie tak prostym, tak pełnym rozkoszy i tak opłacalnym, jak to tylko możliwe. Byłby to cel dorównujący większości innych i przebijający część pozostałych.

Ucieszony machaniem Orsonowego ogona, tak samo jak on zdawał się ucieszony moim żartem na temat rzeźby, spojrzałem na zegarek. Do świtu pozostały niecałe dwie godziny. Były dwa miejsca, do których chciałem się udać, zanim słońce zagna mnie w ukrycie. Pierwsze to Fort Wyvern.

Z parku przy Palm Street i Grace Drive w południowo-wschodniej części Moonlight Bay wyprawa do Fort Wyvern zabiera niecałe dziesięć minut rowerem, nawet przy prędkości, która nie znuży twojego psiego brata. Znam skrót przez przepust burzowy, biegnący pod drogą nr 1. Za przepustem jest otwarty, szeroki na trzy metry trzydzieści kanał odwadniający, który sięga głęboko na tereny bazy wojskowej. Granicę bazy wyznacza druciana siatka zwieńczona drutem kolczastym.

Wszędzie wzdłuż ogrodzenia i na terenach Fortu Wyvern są wielkie czerwono-czarne znaki ostrzegające, że intruzi będą karani zgodnie z prawem federalnym i kara minimalna to grzywna od dziesięciu tysięcy dolarów w górę i co najmniej rok więzienia. Zawsze ignorowałem owe groźby, przede wszystkim dlatego, że z powodu mojej choroby żaden sędzia nie skaże mnie na więzienie za to drobne przestępstwo. A jeśli by już do tego doszło, stać mnie na dziesięć tysięcy zielonych.

Pewnej nocy półtora roku temu, krótko po oficjalnym zamknięciu Wyvern, szczypcami przegubowymi do prętów rozciąłem drucianą siatkę w miejscu, w którym schodziła do kanału. Możliwość spenetrowania tego rozległego nowego królestwa była zbyt nęcąca, aby jej się oprzeć.

Jeśli moje podniecenie wydaje ci się dziwne — biorąc pod uwagę, że w owym czasie nie byłem chłopcem lubiącym ryzyko, ale dwudziestosześcioletnim mężczyzną — to pewnie jesteś kimś, kto jeśli zapragnie, może wsiąść w samolot do Londynu, dla kaprysu pozełgować do Puerto Vallarta lub pojechać Orient Expressem z Paryża do Istambułu. Zapewne masz prawo jazdy i samochód. Zapewne nie spędziłeś całego życia w obrębie miasteczka z dwunastoma tysiącami mieszkańców, pokonując go nieprzerwanie nocą, aż poznałeś każdy zakątek, tak szczegółowo jak własną sypialnię, i stąd też prawdopodobnie nie masz małego szmergla na punkcie nowych miejsc, nowych przeżyć. Więc oszczędź mi tego chrzanienia.

Fort Wyvern zawdzięcza swoje imię generałowi Harrisonowi Blairowi Wyvernowi, wielokrotnie odznaczonemu bohaterowi I wojny światowej i został utworzony w 1939 r. jako ośrodek szkolenia oraz wsparcia. Zajmuje 134 ha, co oznacza, że nie jest największą ani bynajmniej nie najmniejszą bazą wojskową w stanie Kalifornia.

Podczas II wojny światowej był szkołą jednostek pancernych, ucząc działania i obsługi każdego pojazdu gaśnicowego używanego na polach bitew teatrów Europy i Azji. Inne szkoły w Wyvern zapewniały pierwszorzędną naukę wysadzania i pozbywania się ładunków bombowych, sabotażu, artylerii polowej, obsługi medycznej w warunkach polowych, działania żandarmerii, szyfrowania, jak i szkolenia podstawowego dla dziesiątków tysięcy żołnierzy piechoty. W granicach bazy były strzelnice artyleryjskie, szeroka sieć bunkrów służących jako magazyny amunicji, lotnisko i więcej budynków niż obejmował obszar miejski Moonlight Bay.

W szczytowym okresie zimnej wojny czynny personel Fort Wyvern liczył sobie — oficjalnie — trzydzieści sześć tysięcy czterystu ludzi, dwanaście tysięcy dziewięset cztery osoby rodzin i ponad cztery tysiące obsługi cywilnej. Wojskowa lista płac wynosiła dobrze ponad siedemset milionów rocznie, a wydatki przekraczały sto pięćdziesiąt milionów w ciągu roku.

Gdy zgodnie z rekomendacją Komisji Przegrupowań i Zamykania Baz Obronnych opróżniono Wyvern, bilans handlowy powiatu uległ takiemu podciśnieniu, że gwizd znikających pieniędzy nie pozwolił spać miejscowym kupcom, nie mówiąc już o nocnym płaczu ich maleństw lękających się, że nie będą miały na czesne, gdy kiedyś stanie przed nimi wizja college'u. KBAY, które straciło prawie jedną trzecią powiatowego audytorium i całą połowę nocnych słuchaczy, było zmuszone do cięcia personelu i właśnie dlatego Sasza była jednocześnie nocnym didżejem i kierownikiem, a Doogie Sassman ciągnął tygodniowo osiem godzin ponad normę w ramach normalnego uposażenia i nigdy nie napinał w proteście potężnych bicepsów.

Jednak po oficjalnym zamknięciu bazy wojskowi kontrahenci podjęli tam dorywcze niemniej poważne roboty budowlane ściśle tajnej natury, a robotnicy podobno składali przysięgę dochowania tajemnicy i w razie chlapnięcia językiem do końca życia groziło im oskarżenie o zdradę. Plotka głosiła, że dumna przeszłość centrum szkolenia wojskowego zdecydowała o wyborze Wyvern na poważny ośrodek badawczo-rozwojowy broni biologiczno-chemicznej, dysponujący wielkim samowystarczalnym podziemnym kompleksem, bezpiecznym biologicznie.

Biorąc pod uwagę wydarzenia ostatnich dwunastu godzin byłem pewien, że coś z prawdy leży u podłoża tych plotek, chociaż nigdy nie dojrzałem nawet śladu dowodu, że taka warownia istnieje.

Porzucone biura bazy przedstawiają widok, który w równej mierze zdumiewa, jak i przyprawia o dreszcze; to, co można ujrzeć w wojskowym laboratorium kriobiologicznym, każe zastanowić się nad wielkością ludzkiego szaleństwa. Myślę, że Fort Wyvern w obecnym stanie jest makabrycznym parkiem tematycznym, podzielonym na rozliczne krainy, zupełnie tak samo jak Disneyland, z tą różnicą, że ma tylko jednego stałego bywalca wraz z jego wiernym psem.

Umarłe Miasteczko jest jedną z moich ulubionych krain.

Umarłe Miasteczko to moja nazwa, inna niż ta, jakiej używano w okresie rozkwitu Fortu Wyvern. Składa się ono z ponad trzech tysięcy jednorodzinnych domków i bliźniaków, w których mieszkał żonaty bądź zamężny personel wojskowy i ich rodziny, jeśli zdecydowali się na pozostanie w bazie. Pod względem architektonicznym te skromne budowle mają mało do zaproponowania i każda jest identyczna z sąsiednią; dostarczały minimum wygody przeważnie młodym rodzinom, zamieszkującym je przez kilka lat, w ciągu dziesięcioleci wypełnionych wojnami. Ale mimo podobieństwa są to miłe domki, i przechodząc przez puste pokoje czujesz, że żyło się tam dobrze, kochało, śmiało i bawiło z przyjaciółmi.

Obecnie wojskowe szeregi uliczek Umarłego Miasteczka zalegają ławice piasku wsparte o krawężniki i suche wędrownie chwasty czekające na wiatr. Z końcem pory deszczowej trawa szybko rudzieje i pozostaje ruda przez większość roku. Wszystkie żywopłoty uschły, a wiele drzewek wymarło. Bezlistne gałęzie są czarniejsze niż czarne niebo, ku któremu zdają się sięgać. Myszy mają domy dla siebie, a ptaki budują gniazda na nadprożach drzwi, zabryzgując odchodami werandy.

Można by się spodziewać, że budowle będą konserwowane na wypadek przyszłego wykorzystania lub zrównania z ziemią, ale nie ma pieniędzy na żadne z tych rozwiązań. Materiały i urządzenie domów przedstawiają mniejszą wartość niż koszt ich uratowania, więc nikt nie pali się do negocjowania żadnego kontraktu i nie można pozbyć się ich w ten sposób. Jak na razie są pozostawione na pastwę siły natury, zupełnie jak miasteczka w epoce gorączki złota.

Idąc przez Umarłe Miasteczko odnosisz wrażenie, że wszyscy na świecie zniknęli lub umarli na zarazę i że jesteś sam na ziemi. A może zwariowałeś i egzystujesz teraz w ponurej fantazji solipsysty, otoczony ludźmi, których istnieniu zaprzeczasz. Może zmarłeś i poszedłeś do piekła, gdzie twoja kara polega na wiecznej izolacji? Parszywy kojot lub dwa, o wpadniętych bokach, włóczące się między domami, wydają się demonami i najłatwiej uwierzyć w fantazję o Hadesie. Jednakże, jeśli twój ojciec był wykładowcą poezji i jesteś błogosławiony lub przeklęty posiadaniem w głowie cyrku z trzystoma arenami, możesz wyobrazić sobie niezliczone scenariusze tłumaczące wygląd tego miejsca.

Tej nocy w marcu przejechałem na rowerze przez kilka uliczek Umarłego Miasteczka, lecz nie zatrzymałem się z wizytą. Mgła nie sięgnęła tak głęboko w ląd i powietrze było bardziej suche niż wilgotna przybrzeżna breja; chociaż księżyc zaszedł, gwiazdy świeciły jasno i noc była idealna na zwiedzanie. Lecz aby starannie zbadać choćby tę jedną krainę w parku tematycznym Wyvern, potrzeba było tygodnia.

Nie prześladowało mnie wrażenie, że jestem obserwowany. Jednakże po tym, czego dowiedziałem się w ciągu ostatnich kilku godzin, wiedziałem, że podczas poprzednich wizyt na pewno byłem obserwowany, przynajmniej sporadycznie.

Za granicami Umarłego Miasteczka stoją liczne baraki oraz inne budowle: niegdyś ładna kantyna, zakład fryzjerski, pralnia chemiczna, kwiaciarnia, piekarnia, bank. Szyldy łuszczyły się i znikały pod warstwą kurzu. Żłobek. Dzieciaki w wieku licealnym chodziły do szkół w Moonlight Bay; ale tu były przedszkola i podstawówka. W bibliotece pokryte pajęczyną półki są puste, na jednej z nich stoi zapomniany egzemplarz „Buszującego w zbożu”. Przychodnia ogólna i stomatologiczna. Kino. Nie ma nic na sflaczałej markizie nad wejściem, z wyjątkiem jednego enigmatycznego słowa: KTO. Kręgielnia. Pięćdziesięciometrowy basen, teraz ze spuszczoną wodą, popękany i pełen śmieci naniesionych przez wiatr. W stajniach, które już nie służą koniom, luźne drzwi boksów kiwają się z groźnym piskiem i skrzypieniem przy każdym silniejszym wietrze. Boisko do softballu zarosło chwastami i gnijące ścierwo pумы spoczywające ponad rok w klatce battera jest wreszcie tylko szkieletem.

Nie byłem zainteresowany żadnym z tych miejsc. Minąłem je jadąc na rowerze do budynku przypominającego hangar, nad mrowiskiem podziemnych komór, w których zeszłej jesieni znalazłem czapkę „Pociąg Tajemnica”.

Do tylnego bagażnika roweru była przypięta policyjna latarka z przyciskiem pozwalającym wybrać trzy stopnie jasności. Zatrzymałem się przed hangarem i odpiąłem latarkę.

Dla Orsona Fort Wyvern jest jednocześnie źródłem przerażenia i fascynacji, ale zawsze pies trzyma się mojego boku, nie narzeka. Tym razem był wyraźnie przestraszony, lecz nie skomlał.

Furta wysokości człowieka, w jednym z wielkich drzwi hangaru, była otwarta. Zaświeciłem latarkę i wszedłem; Orson podążył za mną.

Hangar nie stał przy lotnisku i niepodobna, by serwisowano tu samoloty. U góry jest suwnica dźwigu, który dawniej tu był i poruszał się od końca do końca budowli. Oceniając po samej masie i stopniu skomplikowania tych wymyślnych szyn, dźwig unosił przedmioty o wielkiej masie. Stalowe płyty usztywniające, nadal przyśrubowane do betonu, kiedyś musiały tworzyć podstawę znaczącej maszyny. Gdzie indziej studnie dziwnego przekroju dziurawią podłogę. Teraz puste — poprzednio mieściły hydrauliczne urządzenia niewiadomego zastosowania.

W przesuwanym się strumieniu światła latarki geometryczne wzory cienia i światła zeskakiwały z suwnicy. Jak ideogramy nieznanego języka odbijały się na ścianach i blaszanym półokrągłym dachu. Połowa szyb tej wysokiej głównej nawy była wybita.

Co niepokojące, nie robiło to wrażenia opuszczonej fabryki czy zakładu naprawczego, ale porzuconego kościoła. Plamy ropy i chemikaliów na podłodze wydzielały woń kadzidła. Przenikliwy chłód nie był tylko doznaniem fizycznym, lecz doskwierał także duszy, jakby to miejsce zostało zbezczeszczone.

Przedśionek w kącie hangaru mieścił schody i wielki szyb windy, z którego usunięto urządzenia napędowe i kabinę. Nie mam pewności, ale oceniając po resztkach, jakie zostawił ten, kto wypatroszył budynek, wchodziło do przedśionka przez inną komorę i podejrzewam, że ukrywano istnienie schodów oraz windy przed większością personelu pracującego w hangarze lub tymi, którzy okazjnie przez niego przechodzili.

Zachowała się potężna stalowa rama i próg u szczytu schodów, ale drzwi przepadły. Światłem latarki przegoniłem ze stopni pająki i stonogi. Poprowadziłem Orsona w dół po warstwie kurzu. Nie było na niej innych śladów, poza tymi, które zostawiliśmy w trakcie poprzednich odwiedzin.

Stopnie służą trzem podziemnym poziomom, każdemu o powierzchni znacznie przewyższającej parterowy hangar. Tę sieć korytarzy i ślepych pomieszczeń pracownicy pozbawiono wszelkich przedmiotów, które mogłyby ujawnić naturę prowadzonych tam działań — do gołego betonu. Wyrwano nawet najmniejsze urządzenia wentylacyjne i kanalizacyjne.

Odnoszę wrażenie, że ów staranny demontaż tylko częściowo da się wytłumaczyć pragnieniem zatarcia wszelkich śladów, mogących wskazać rzeczywisty cel wykorzystania pomieszczeń. Chociaż opieram się wyłącznie na intuicji, wierzę, że tych, którzy likwidowali wszelkie oznaki swojej pracy, motywował częściowo wstyd. Jednakże nie sądzę, że jest to wojskowy ośrodek badawczy chemiczno-biologiczny, o którym wspominałem wcześniej. Biorąc pod uwagę wymagany wysoki stopień biologicznej izolacji, podziemny kompleks byłby z pewnością bardziej odległym zakątkiem Fortu Wyvern, o wiele większym niż te rozległe poziomy, lepiej ukrytym i znajdującym się o wiele głębiej pod ziemią.

Poza tym, wygląda na to, że ośrodek działa nadal.

Jestem przekonany, że pod hangarem prowadzono jakieś niebezpieczne i wyjątkowej wagi prace takiego czy innego rodzaju. Wiele tych pomieszczeń, zredukowanych jedynie do nagich betonowych komór, zadziwia i niepokoi.

Jedna z tych najbardziej zdumiewających komór jest na najniższym poziomie, tam gdzie kurz jeszcze nie dotarł, w środku, otoczona korytarzami i mniejszymi pomieszczeniami. Jest to niesłychanej wielkości owal, czterdzieści metrów na niecałe dwadzieścia w najszerszym miejscu, zaokrąglony na końcach. Ściany, strop i podłoga są zakrzywione, a gdy tam stajesz, czujesz się jak w środku pustej skorupki gigantycznego jaja.

Wejście jest przez mały przyległy pokój, który mógł służyć za służbę powietrzną. Zamiast drzwi na pewno był luk; jedyny otwór w ścianie owalnej komory ma półtora metra średnicy.

Pokonałem wraz z Orsonem uniesiony wygięty próg i omiotłem latarką całą grubość ściany, jak zawsze ją podziwiając: półtora metra lanego betonu wzmocnionego stalą.

Ciągła gładka krzywizna gigantycznego jaja — ściany, podłoga i strop — jest pokryta jakby mlecznym, złotawym przezroczystym szkłem, grubym przynajmniej na pięć do ośmiu centymetrów. Jednakże to nie szkło, gdyż jest niełamliwe, a pod wpływem mocnego uderzenia dźwięczy jak dzwony rurowe. Co więcej, nigdzie nie widać spoin.

To egzotyczne tworzywo jest bardzo wypolerowane i wydaje się śliskie jak mokra porcelana. Światło latarki przenika je, drży i migoce, odbija się od maleńkich złotych spiralek wewnątrz i lśni na powierzchni. A jednak gdy przechodzimy na środek komory, to coś nie okazuje się wcale śliskie.

Moje niki ledwo piszcza. Pazury Orsona brzmią lekką elfową muzyką, dźwięczącą TINGGG-TINGGG, jak dzwoneczki.

W noc śmierci mojego ojca, w tę noc najmroczniejszą ze wszystkich nocy, chciałem wrócić do miejsca, w którym zeszłej jesieni znalazłem czapkę „Pociąg Tajemnica”. Leżała na środku owalnego pokoju, jedyny przedmiot na obszarze całych trzech poziomów poniżej hangaru. Początkowo myślałem, że zapomniał jej ostatni wychodzący robotnik lub inspektor. Teraz podejrzewam, że pewnej październikowej nocy jakieś nieznanne osoby, świadome, że penetruję ten ośrodek, bo towarzyszące mi zwykle po kryjomu poziom za poziomem, wślizgnęły się przede mną, by umieścić czapkę tam, gdzie z pewnością ją znajdę.

Jeśli tak było, nie wyglądało to na czyn wrogi czy wyzywający, ale raczej na pozdrowienie, nawet serdeczność. Intuicja podpowiadała mi, że słowa „Pociąg Tajemnica” miały jakiś związek z pracą mojej matki. Dwadzieścia jeden miesięcy po jej śmierci ktoś dał mi tę czapkę, bo miała związek z nią, i ten ktoś wręczył ów podarunek, gdyż podziwiał moją matkę i szanował mnie choćby dlatego, że byłem jej synem.

W to właśnie chciałem wierzyć; że byli i tacy, zamieszani w ten nieprzenikniony spisek, którzy nie uważali mojej matki za złoczyncę, i byli przyjaźnie nastawieni względem mnie, nawet jeśli mnie nie czcili, przy czym upierał się Roosevelt. Chciałem wierzyć, że byli w to zamieszani i uczciwi faceci, nie tylko źli, bo gdy dowiedziałem się, co moja matka zrobiła, by zniszczyć świat, jaki znamy, wołałem otrzymać informacje od ludzi przekonanych, że przynajmniej jej intencje były dobre.

Nie chciałem dowiedzieć się prawdy od ludzi, którzy patrzyli na mnie, widzieli moją mamę i z goryczą wypluwali przekleństwo i oskarżenie: „Ty!!!”

— Jest tu kto? — spytałem.

Moje pytanie przebiegło po ścianach pokoju-jaja i wróciło dwoma oddzielnymi echemi, po jednym na każde ucho.

Orson sapnął pytająco. Ten cichy dźwięk trwał wzdłuż wygiętych płaszczyzn, jak szept bryzy nad wodą.

Żaden z nas nie dostał odpowiedzi.

— Nie przyszedłem się mścić — oświadczyłem. — To już mam za sobą.

Nic.

— Nie zamierzam nawet iść do władz poza miasteczkiem. Za późno odkręcać to, co się stało. Godzę się z tym.

Echo mojego głosu stopniowo zanikało. Jak to czasem bywało, pokój-jajo wypełniła niesamowita cisza, gęsta jak woda.

Odczekałem minutę, zanim przerwałem tę ciszę:

— Nie chcę, żeby Moonlight Bay wytarto z mapy... a razem z nim mnie i moich przyjaciół... bez żadnego sensownego powodu. Chcę tylko zrozumieć.

Nikomnie nie zależało na oświeceniu mnie.

No cóż, przyjazd tu i tak był przedsięwzięciem mającym minimalną szansę powodzenia.

Nie byłem zawiedziony. Rzadko pozwalałem sobie na to odczucie. Życie nauczyło mnie cierpliwości.

Nad tą zbudowaną przez człowieka jaskinią szybko wstawał świt i nie mogłem szafować czasem na Fort Wyvern. Przed powrotem do domu Saszy, gdzie miałem przeżyć mordercze słońce, czekał mnie jeszcze jeden ważny przystanek.

Przeszliśmy z Orsonem po migotliwej podłodze, w której promień latarki odbijał się wzdłuż lśniących złotych spiralek, jak galaktyka gwiazd pod stopami. Za wejściem, w nagiej betonowej krypcie, niegdyś może będącej służą powietrzną, znaleźliśmy walizkę mojego ojca. Tę odstawioną przeze mnie w szpitalnym garażu, zanim ukryłem się pod karawanem, i nieobecną, gdy wyszedłem z kostnicy. Oczywiście nie było jej tu pięć minut temu.

Poszedłem dalej, do pomieszczenia za kryptą i omiotłem je latarką. Nikogo. Gdy wróciłem, Orson wytrwale stał przy walizce.

Podniosłem ją. Była tak lekka, że musiała zostać opróżniona. Wtem usłyszałem, że coś cicho szeleści w środku.

Gdy odmykałem zatrzaski, serce zastygło mi na myśl, że mogę znaleźć kolejną parę oczu. By zwalczyć ten ohydny obraz, przywołałem w wyobraźni śliczną twarz Saszy i serce znów zaczęło mi bić. Podniosłem pokrywę i nie znalazłem niczego. Ubrania taty, przybory toaletowe, książki i inne przedmioty znikły.

Wtem dojrzałem w rogu fotografię mamy. Obiecałem, że to zdjęcie będzie skremowane ze zwłokami ojca.

Podniosłem fotografię do światła. Mama była śliczna. I taka żywa inteligencja biła jej z oczu. W jej twarzy dostrzegłem pewne własne rysy, co pozwalało mi zrozumieć, czemu Sasza jednak spozrzała na mnie życzliwie. Mama uśmiechała się i jej uśmiech był tak bardzo podobny do mojego.

Orson chyba chciał obejrzeć fotografię, więc odwróciłem ją w jego kierunku. Długą chwilę sunął po niej wzrokiem. Gdy odwrócił łeb i zaskomlał, ten dźwięk był esencją smutku.

Naprawdę jesteśmy braćmi, Orson i ja. Ja — owoc serca i łona Wisterii. Orson — owoc jej umysłu. Nie łączy nas krew, ale coś ważniejszego od krwi.

Znów zaskomlał, a ja powiedziałem twardo:

— Umarła i nie wróci — bezlitośnie skupiony na przyszłości, co pozwala mi żyć dalej.

Obywszy się bez jeszcze jednego spojrzenia na fotografię, wsadziłem ją do kieszeni koszuli. Żadnego żalu. Żadnej rozpacz. Żadnego użalania się nad sobą. A zresztą moja mama nie umarła całkiem. Żyła we mnie, w Orsonie.

Niezależnie od zbrodni przeciwko ludzkości, o które inni mogą oskarżać mamę, żyje w nas, w Człowieku Słoni i jego świrowatym psie. I z całą należną pokorą myślę, że świat jest lepszy mając nas. Nie jesteśmy złymi facetami.

— Dziękuję — powiedziałem wychodząc z krypty. Kierowałem to słowo do tego kogoś, kto zostawił mi fotografię, chociaż nie wiedziałem, czy mnie słyszy, i chociaż tylko zakładałem, że jego intencje były dobre.

Na ziemi, na zewnątrz hangaru, mój rower był tam, gdzie go zostawiłem. Gwiazdy też były, gdzie je zostawiłem.

Pokonałem na rowerze skrawek Umarłego Miasteczka, kierując się do Moonlight Bay, gdzie czekała na mnie mgła — i jeszcze coś.

Część Piąta

Brzask

30

Dom w stylu Nantucket — letniskowej wyspy koło Wschodniego Wybrzeża — pokryty ciemną szalówką i ozdobiony głębokimi białymi werandami, jakby prześlizgnął się cztery i pół tysiąca kilometrów podczas niedostrzegalnego przechyłu kontynentu i spoczął na kalifornijskich wzgórzach nad Pacyfikiem. Bardziej harmonizował z pejzażem, niż wskazywałaby na to logika. Spozierał w kierunku półhektarowej posesji, ocieniony sosnami, emanujący wdziękiem, powabem i ciepłem kochającej rodziny, która mieszkała w jego murach.

Wszystkie okna były ciemne, ale niebawem kilka z nich rozjaśni światło. Rosalina Ramirez wstanie wcześniej, by przygotować obfite śniadanie dla syna, Manuela, który wkrótce powróci z podwójnej policyjnej zmiany — zakładając, że nie zatrzyma go góra papierkowej roboty wynikłej ze złożenia w ofierze szefa Stevensona. Manuel, lepszy kucharz od swojej matki, wolałby sam przygotować sobie śniadanie, ale zje, co ona mu poda, i będzie to chwalił. Rosalina nadal spała; miała wielką sypialnię niegdyś należącą do syna; pokój, którego nie używał, od kiedy żona umarła rodząc Toby'ego.

Za rozległym ogrodem stoi stodołka z dwuspadowym dachem, białymi okiennicami i kryta gontem, nawiązując do głównego domu. Jako że posesja znajduje się na południowym krańcu miasteczka, za nią rozciągają się jedynie tereny jezdnieckie i otwarte wzgórza. Pierwszy właściciel trzymał w stajni konie. Teraz mieści się tam pracownia, w której Toby Ramirez buduje swoje życie ze szkła.

Idąc przez mgłę, zobaczyłem, że okna są rozjaśnione. Toby często budzi się długo przed świtem i wychodzi do pracowni. Oparłem rower o ścianę i podszedłem do najbliższego okna. Orson wsparł się łapami o parapet i stał obok, zaglądając do środka.

Gdy przychodzę w odwiedziny przyjrzyć się tworzącemu Toby'emu, zwykle nie wchodzę do pracowni. Jarzeniowe panele są zbyt jaskrawe, a że szkło borokrzemianowe jest kształtowane w temperaturze przekraczającej sto cztery stopnie Celsjusza, emituje bardzo intensywne światło. Może uszkodzić wzrok każdego, nie tylko mój. Jeśli Toby nie jest zajęty, może zgasić światła i wtedy przez chwilę rozmawiamy.

Teraz w goglach z dymnymi szklami Toby pracował przy stole roboczym, przed palnikiem wielopłomieniowym Fishera. Właśnie skończył formowanie wdzięcznej wazy w kształcie gruszki, o długiej szyjce, która nadal była zbyt gorąca, tak że płonęła na złotopomarańczowo. Wyżarzał ją.

Gdy szkło jest nagle wyjmowane z gorącego płomienia, zwykle stygnie zbyt szybko, pojawiają się naprężenia i pęka. Chcąc zachować przedmiot, należy go wyżarzyć, to jest stopniowo schłodzić.

Płomień podtrzymywała naturalna mieszanka gazów z czystym sprężonym tlenem, pobieranym z butli przymocowanej do stołu. Podczas wyżarzania Toby zmniejsza dawkę tlenu, stopniowo redukuje temperaturę, dając czas cząsteczkom gazu na przyjęcie bardziej stałej postaci.

Z powodu wielu niebezpieczeństw wiążących się z wydmuchiwaniami szkła niektórzy w Moonlight Bay uważali, że Manuel zachowuje się nieodpowiedzialnie, pozwalając synowi dotkniętemu syndromem Downa na praktykowanie tej wymagającej sztuki rzemieślniczej. W pewnych domach niecierpliwie wyobrażano sobie i wieszczono ogniste katastrofy, wyczekiwano ich.

Początkowo nikt nie był bardziej przeciwny marzeniu Toby'ego niż Manuel. Stodoła przez piętnaście lat służyła za pracownię starszemu bratu Carmelity, Salvadorowi, pierwszorzędnemu wytwórcy szkła artystycznego. Toby jako dziecko spędzał niezliczone godziny z wujkiem Salvadore, z goglami na oczach obserwował mistrza przy pracy, a w rzadkich wypadkach przenosił wazę lub misę do pieca do wyżarzania lub coś z niego wyjmował, zaopatrzony w kevlarowe rękawice. Chociaż wielu wydawało się, że spędza te godziny w ogłupieniu, patrząc tępo i uśmiechając się bezmyślnie, to tak naprawdę uczył się nie będąc bezpośrednio uczony. Intelktualnie upośledzeni, by dać sobie radę, często muszą mieć nadludzką cierpliwość. Toby siedział w pracowni wujka dzień po dniu, rok po roku, obserwował i powoli się uczył. Gdy Salvadore zmarł dwa lata temu, Toby — wtedy tylko czternastolatek — spytał ojca, czy może kontynuować pracę wuja. Manuel nie potraktował prośby poważnie i łagodnie wyperswadował synowi realizację tego niespełnialnego marzenia.

Któregoś ranka przed świtem zastał Toby'ego w pracowni. Na końcu stołu roboczego, na ognioodpornym blacie, stała rodzina łabędzi z prostego szkła. Za łabędziami — nowo uformowana i wyżarzona waza, w którą wyprowadzono przemyślny melanz grających ze sobą domieszek, sprawiający, że w szkle pojawiły się tajemnicze granatowe spirale, połyskujące srebrem jak gwiazdy. Manuel od razu się zorientował, że obiekt dorównuje najlepszym wazom Salvadore. A Toby w tym momencie wyżarzał równie zaskakujące dzieło sztuki.

Chłopiec przyswoił od wuja tajniki technologii wydmuchiwania szkła i mimo lekkiego niedorozwoju umysłowego wyraźnie orientował się we właściwych procedurach

zapobiegania urazom. Miała w tym swój udział również magia genetyki, gdyż przejawiał uderzający talent, którego nie mógł się nauczyć. Nie był tylko rzemieślnikiem i nie tylko artystą, lecz może kretynem geniuszem, któremu inspiracja artysty i technika rzemieślnika przychodziły z łatwością fali bijącej o brzeg.

Sklepy z pamiątkami w Moonlight Bay, Cambrii i na północ, aż do Carmelu, sprzedawały na pniu wszystkie wyroby Toby'ego. Za kilka lat sam będzie mógł się utrzymać.

Czasem natura rzuca upośledzonym kość. Przykładem moja zdolność układania zdań i akapitów z pewną umiejętnością.

Teraz w pracowni kłęby pomarańczowego światła buchały z puszystego wyżarzającego płomienia. Toby tak starannie obracał wazę, by równomiernie skąpać ją w ogniu.

Z tęgim karkiem, okrągłymi i stosownie krótkimi ramionami, nogami jak słupy, mógłby być gnomem z bajki, przed ogniskiem wartownika głęboko we wnętrzu ziemi. Brwi miał opadające i grube. Nos spłaszczony. Uszy osadzone za nisko na głowie zbyt małej w stosunku do ciała. Miękkie rysy twarzy i oczy ukryte w fałdach skóry nadawały mu wyraz wiecznego rozmarzenia.

A jednak na wysokim roboczym krześle, obracając szkło w płomieniu i regulując dopływ tlenu z intuicyjną dokładnością, gdy na twarzy migotało mu odbite światło, a oczy miał ukryte za goglami, w żadnym razie nie sprawiał wrażenia osoby upośledzonej; widziany w swoim żywiole, podczas twórczego aktu, wydawał się w stanie uniesienia.

Orson parsknął na alarm. Opadł na przednie łapy, odwrócił się od pracowni i przywarował skurczony.

Również się odwróciłem i zobaczyłem zacienioną postać, idącą przez ogród w naszym kierunku. Mimo ciemności i mgły rozpoznałem ją od razu, po swobodzie, z jaką się poruszała. Manuel Ramirez, ojciec Toby'ego, numer dwa w Wydziale Policji Moonlight Bay, lecz teraz czasowo wyniesiony prawem sukcesji na główne stanowisko, w wyniku nagłego zgonu szefa.

Wsunąłem rękę do kieszeni kurtki. Zacisnąłem prawą na glocku.

Przyjaźniliśmy się z Manuelem. Nie byłoby mi łatwo skierować na niego broń, a na pewno bym go nie zastrzelił. Chyba że nie byłby już Manuelem. Chyba że jak Stevenson stałby się kimś innym.

Zatrzymał się jakieś trzy metry od nas. W mozaice oranżowego płomienia, przepalającej najbliższe okno, widziałem, że Manuel ma na sobie zwykły mundur khaki. Pistolet służbowy na prawym biodrze. Chociaż zatknął kciuki za pas z bronią, dobyłby jej przynajmniej równie szybko, jak ja glocka z kieszeni kurtki.

— Już po zmianie? — spytałem, chociaż wiedziałem, że nie.

Nie odpowiedział na to pytanie. Rzekł tylko:

— Mam nadzieję, że o tej porze nie spodziewasz się piwa, tamales i filmu z Jackiem Chanem.

— Wpadłem tylko powiedzieć „cześć” Toby’emu, gdyby przypadkiem miał przerwę w robocie.

Twarz Manuela, zbyt zniszczona troskami na jego czterdzieści lat, z natury emanowała przyjaźnią. Nawet teraz zauważyłem, że jego uśmiech nadal był ujmujący, ciepły. Jedyne blask w oczach powodowały światła bijące z pracowni. Oczywiście mogły maskować te same przelotne płomyki zwierzęcego lśnienia w oczach, które widziałem u Lewisa Stevensona.

Orson uspokoił się, rozluźnił. Ale nadal zachował ostrożność.

Manuel nie okazywał cienia wrzącej wściekłości ani bezmiaru energii Stevensona. Jak zawsze mówił łagodnym, melodyjnym głosem.

— Po telefonie wcale nie pojawiłeś się na komisariacie.

Zastanowiłem się nad odpowiedzią i zdecydowałem, że powiem prawdę.

— Ależ pojawiłem się.

— Więc dzwoniąc byłeś już blisko? — próbował zgadnąć.

— Tuż za rogiem. Kim jest tamten łysy z kolczykiem?

Manuel przeżuwał odpowiedź i poszedł za moim przykładem, również wybrał prawdę.

— Nazywa się Carl Scorso.

— Ale kim jest?

— Zupełny obwieś. Jak daleko chcesz to ciągnąć?

— Donikąd.

Umilkł, pełen niewiary.

— Rozpocząłem krucjatę — przyznałem. — Ale wiem, że jestem pobity.

— To jakiś zupełnie nowy Chris Snow.

— Nawet gdybym skontaktował się z władzami z zewnątrz albo z mediami, nie rozumiem na tyle sytuacji, by przekonać ich o czymkolwiek.

— I nie masz dowodów.

— Niczego konkretnego. W każdym razie, nie wydaje mi się, żeby pozwolono mi nawiązać kontakt. Gdybym zdołał nakłonić kogoś do przeprowadzenia śledztwa, nie sądzę, bym ja czy ktoś z moich przyjaciół pozostał żywy, by go powitać, kiedy tu do-
trze.

Manuel nie odpowiedział, ale jego milczenie wystarczyło mi za całą odpowiedź.

Może wciąż był kibicem baseballu. Może wciąż lubił muzykę country, Abotta i Costello. Może wciąż jak ja rozumiał ograniczenia, jakim z góry jesteśmy poddani, i może wciąż jak ja czuł dłoń losu. Możliwe, że nadal mnie lubił — ale nie był już moim przyjacielem. Jeśli nie wystarczałoby mu perfidii, by samemu pociągnąć za spust, bez drgnienia przyglądałby się komuś innemu, kto by to zrobił.

Smutek zalał mi serce, ogarnęło obojętne zwątpienie, którego wcześniej nie znałem. Było jak mdłości.

— Cały wydział policji współpracował, no nie?

Uśmiech Manuela przygasł. Pojawiło się zmęczenie.

Gdy ujrzałem u niego raczej znużenie niż gniew, wiedziałem, że powie mi więcej niż powinien. Dręczony poczuciem winy nie zdoła ukryć wszystkich sekretów. Już wiedziałem, że jedna z tych rewelacji będzie dotyczyć mojej matki. Tak nie chciałem tego usłyszeć, że prawie odszedłem. Prawie.

— Tak — potwierdził. — Cały wydział.

— Nawet ty.

— Och, *mi amigo*, zwłaszcza ja.

— Czy jesteś zarażony tym zarazkiem, który wydostał się z Wyvern?

— „Zarażony” to niewłaściwe słowo.

— Ale wystarczająco bliskie.

— Każdy w wydziale to złapał. Ale nie ja. Przynajmniej nic o tym nie wiem. Jeszcze.

— Więc może oni nie mieli wyboru. Ty tak.

— Zdecydowałem się na współpracę, gdyż z tego może wyniknąć o wiele więcej dobrego niż złego.

— Z końca świata.

— Pracują nad tym, żeby odkręcić to, co się wydarzyło.

— Pracują tam, w Wyvern, gdzieś pod ziemią?

— No, tam i gdzie indziej. A jeśli znajdą sposób, żeby to zwalczyć... w rezultacie mogą wyniknąć cudowne sprawy. — Mówiąc skierował wzrok ku oknu pracowni.

— Toby — rzuciłem.

Wrócił spojrzeniem do mnie.

— To coś, ta zaraza, cokolwiek to jest... jest nadzieja, że jeśli zdołają nad tym zapracować, wówczas będą mogli w jakiś sposób, dzięki temu, pomóc Toby'emu — powiedziałem.

— Też masz w tym własny interes, Chris.

Z dachu stodoły sowa pięć razy spytała szybko raz za razem, kim jesteśmy, jakby podejrzewała wszystkich w Moonlight Bay.

Wzięłem głęboki oddech i powiedziałem:

— To jedyna przyczyna, dla której moja matka prowadziła badania biologiczne do celów wojskowych. Jedyna przyczyna. Ponieważ była duża szansa, że wyniknie z tego coś, co pomoże wyleczyć mnie z XP.

— I wciąż coś może z tego wyniknąć.

— Czy to był program poświęcony stworzeniu broni?

— Nie wiń jej za to, Chris. Tylko taki program może uzyskać miliardy dolarów. Nigdy nie miałyby szansy prowadzić tej pracy w imię słusznej sprawy. Jest po prostu zbyt kosztowna.

To niewątpliwie była prawda. Tylko program poświęcony stworzeniu broni miałby niewyczerpane konta, potrzebne do kompleksowych badań, koniecznych z punktu widzenia genialnych idei mamy.

Wisteria Jane (Milbury) Snow była genetykiem teoretykiem. To znaczyło, że tam gdzie inni naukowcy mieli spore ciężary do dźwigania, ona miała sporo do myślenia. Nie spędzała dużo czasu w pracowniach ani nawet w laboratorium wirtualnym, przy komputerze. Swoje laboratorium miała w głowie i było ono niesłychanie ekstrawagancko wyposażone. Teoretyzowała, a inni, kierowani jej wskazówkami, szukali sposobów udowodnienia tych teorii. Powiedziałem wcześniej, że była genialna, ale może nie wspominałem, że była wyjątkowo genialna. A była. Mogła wybrać dowolny uniwersytet na świecie. Wszystkie oferowały jej katedrę.

Ojciec kochał Ashdon, ale poszedłby za nią wszędzie, gdzie by tylko chciała. Czuł się znakomicie w każdym środowisku uniwersyteckim.

Skazała się na Ashdon z mojego powodu. Większość naprawdę poważnych uniwersytetów jest w wielkich albo średnich miastach, w których nie byłbym bardziej ograniczony za dnia niż jestem w Moonlight Bay, ale tam nie miałbym nadziei na bogate życie w nocy. Wielkie miasta są jasne nawet nocą. A kilka mrocznych zakątków metropolii to nie miejsca, w których młody człowiek mógłby bezpiecznie jeździć nocą na rowerze, buszując tam między zmierzchem i świtem.

Uszczupliła swoje życie, żeby wzbogacić moje. Skazała się na małe miasteczko, świadomie pozostawiła cały swój potencjał niezrealizowany, by dać mi szansę zrealizować mój.

W czasach, w których się urodziłem, badania prenatalne nie wykraczały poza poziom podstawowy. Gdyby narzędzia analityczne były wystarczająco rozwinięte, by odkryć XP w ciągu kilku tygodni po tym, jak zostałem poczęty, być może zdecydowałyby się nie wydawać mnie na świat.

Ja kocham świat w całym jego pięknie i dziwności.

Jednakże z mojego powodu ten świat będzie w przyszłości jeszcze dziwniejszy — i być może mniej piękny.

Gdyby nie ja, odmówiłaby współpracy przy programie w Wyvern, nigdy nie wprowadziłaby go na nowe drogi. I nie poszlibyśmy jedną z tych dróg do przepaści, nad którą teraz stoimy.

Orson przesunął się robiąc miejsce Manuelowi, który podszedł do okna. Wpatrywał się w syna i gdy jego twarz ukazała się w pełnym świetle, ujrzałem w oczach ojca nie dziki blask, ale przemożną miłość.

— Spotęgowanie inteligencji zwierząt — powiedziałem. — Jak by to można zastosować w wojsku?

— Przede wszystkim, czy jest lepszy szpieg niż pies o inteligencji człowieka, posłany za linie nieprzyjaciela? Przebranie nie do rozpoznania. I psom nie sprawdza się paszportów. Czy może być lepszy zwiadowca na polu bitwy?

Może dałoby się stworzyć wyjątkowo potężnego psa, który byłby inteligentny, ale również okrutny w razie potrzeby. Powstałby nowy rodzaj żołnierza; biologicznie zaprojektowana mordercza maszyna ze zdolnościami do długofalowego myślenia.

— Sądziłem, że inteligencja zależy od wielkości mózgu.

Wzruszył ramionami.

— Jestem tylko gliną.

— Lub od ilości zwojów mózgu.

— Najwyraźniej odkryli, że jest inaczej. W każdym razie był wcześniejszy sukces. Coś o nazwie „Program Francis”, kilka lat temu. Niesamowicie inteligentny złocisty retriever. Rozpoczęto „Operację Wyvern” chcąc wykorzystać to, czego nauczono się poprzednio. I w Wyvern nie chodziło tylko o inteligencję zwierzęcą. Chodziło o spotęgowanie inteligencji ludzkiej, o wiele rzeczy. Wiele, wiele rzeczy.

Toby włożył kevlarowe rękawice i umieścił gorącą wazę w wiadrze napełnionym do połowy wermikulitem. Był to następny proces wyżarzania.

Spytałem Manuela.

— Wiele rzeczy? Jakże jeszcze?

— Chciano wzmóc ludzką energię, długowieczność... znajdując sposoby nie tylko na przekazywanie materiału genetycznego między osobami, ale i między gatunkami.

Między gatunkami.

Z daleka usłyszałem własny głos:

— Och, mój Boże.

Toby dosypywał granulowanego wermikulitu, aż przykrył wazę. Wermikulit jest znakomitym izolatorem ciepła, pozwalającym szkłu schładzać się niespiesznie i równomiernie.

Przypomniałem sobie coś, co powiedział Roosevelt Frost: psy, koty i małpy nie były jedynymi eksperymentalnymi obiektami w laboratoriach w Wyvern, działo się tam coś znacznie gorszego.

— Ludzie — powiedziałem odrętwiały. — Eksperymentowali na ludziach?

— Żołnierzach sądzonych przez sądy wojskowe i uznanych za winnych morderstwa, skazanych na dożywocie w więzieniach wojskowych. Mogli tam zgnieć... albo wziąć udział w programie i w nagrodę zdobyć wolność.

— Ale eksperymentowanie na ludziach...

— Wątpię, żeby twoja matka miała o tym pojęcie. Nie zawsze dowiadywała się, jak wykorzystywano jej pomysły.

Toby musiał usłyszeć nasze głosy, bo zdjął rękawice i zsunął wielkie gogle na czoło. Mrużąc oczy spojrzął na nas. Skinał ręką.

— Wszystko się spaprało — powiedział Manuel. — Nie jestem naukowcem. Nie pytaj mnie, jak. Ale spaprało się na wiele sposobów. Wiele. Zaskoczyło ich. Nastąpiły

niespodzianki. Zmiany, których nie wzięli pod uwagę. Te zwierzęta poddane eksperymentom i więźniowie... ich genetyczny makijaż uległ niepożądanym i niekontrolowanym przekształceniom...

Odczekał chwilę, ale wyraźnie nie był gotów powiedzieć mi więcej. Przycisnąłem go.

— Uciekła małpa. Rezus. Znaleziono ją w kuchni Angeli Ferryman.

Pytające spojrzenie, które na mnie skierował, było tak przeszywające, że Manuel na pewno zajrzał mi do serca, poznał zawartość każdej kieszeni i dowiedział się dokładnie, ile kul zostało w moim glocku.

— Złapano tego rezusa — powiedział — ale nieopatrnie przypisano jego ucieczkę błędowi człowieka. Nie zdano sobie sprawy, że został wypuszczony, uwolniony! Nie zdano sobie sprawy, że w programie było kilku naukowców, którzy... stawali się.

— Czym się stawali?

— Po prostu... stawali się innymi osobami. Zmieniali się.

Toby wyłączył gaz. Palnik wessał płomień.

— Jak się zmieniali? — zapytałem Manuela.

— Układ dostawczy, stworzony do wszczepiania nowego materiału genetycznego zwierzętom lub więźniom... ten układ zaczął żyć własnym życiem.

Toby wyłączył jarzeniówki, tak że mogłem wejść z wizytą.

— Przeniesiono materiał genetyczny innych gatunków w ciała naukowców bez ich wiedzy. W końcu niektórzy z nich zaczęli mieć wiele wspólnego ze zwierzętami.

— Jezu.

— Może zbyt wiele. Wydarzył się tam pewien... epizod. Nie znam szczegółów. Był bardzo gwałtowny. Zginęli ludzie. I wszystkie zwierzęta uciekły lub zostały wypuszczone.

— Gromada.

— Tak, jakiś tuzin inteligentnych, opętanych nienawiścią małp. Ale też psy i koty... i dziewięciu więźniów.

— I wciąż są na wolności?

— Trzech więźniów zabito w trakcie próby pojmania. Żandarmeria poprosiła nas o pomoc. Wtedy zaraziła się większość gliniarzy z wydziału. Ale pozostałych sześciu i wszystkie zwierzęta... nigdy ich nie odnaleziono.

Otworzyły się drzwi stodoły i na progu stanął Toby.

— Tato? — Szurając butami podszedł do ojca i uściskał go gorąco. Uśmiechnął się szeroko do mnie. — Witaj, Christopher.

— Cześć, Toby.

— Cześć, Orson — powiedział chłopiec. Puścił ojca i klęknął, by przywitać psa.

Orson lubił Toby'ego. Dawał mu się głaskać.

— Chodź w gości — powiedział Toby.

Zwróciłem się do Manuela:

— Teraz jest całkiem nowa gromada. Nie tak gwałtowna jak pierwsza. A przynajmniej... jeszcze nie tak gwałtowna. Wszystkie osobniki są zaopatrzone w transpondery, co znaczy, że wypuszczono je celowo. Po co?

— Żeby znalazły pierwszą gromadę i doniosły o jej miejscu pobytu. Tak się wymyka, że wszystkie próby jej lokalizacji zawiodły. Podjęto rozpaczliwy plan, próbę przeciwdziałania, zanim pierwsza gromada za bardzo się rozmnoży. Ale i to nie skutkuje. Tylko stwarza nowy kłopot.

— I nie tylko z powodu ojca Eliota.

Manuel przyglądał mi się długą chwilę.

— Dużo się dowiedziałeś, prawda?

— Nie dosyć. I za dużo.

— Masz rację... ojciec Tom nie jest problemem. Niektóre małpy go odnalazły. Inne powyrywały sobie nawzajem transpondery. Ta nowa gromada... nie jest gwałtowna, ale niesamowicie inteligentna i zaczyna być nieposłuszna. Chce wolności. Za wszelką cenę.

Toby ścisnął Orsona i powtarzał swoje zaproszenie:

— Chodź w gości, Christopher.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Manuel powiedział:

— Prawie świta, Toby. Chris musi iść do domu.

Popatrzyłem na wschód, ale jeśli nocne niebo zaczynało szarzeć, mgła uniemożliwiła mi dostrzec zmianę.

— Byliśmy przyjaciółmi dobrych parę lat — powiedział Manuel. — Wygląda na to, że jestem ci winien pewne wytłumaczenie. Zawsze miałeś serce dla Toby'ego. Ale wiesz już dość. Zrobiłem, ile wypada, staremu przyjacielowi. Może zrobiłem za dużo. Teraz idź do domu. — Poprzednio nie zauważyłem, że przesunął rękę na broń. Poklepał ją. — Już nigdy nie obejrzymy razem filmów z Jackiem Chanem, ty i ja.

Mówił mi, żebym odszedł i nie wracał. Na nic zda się próba utrzymania naszej przyjaźni, ale może od czasu do czasu będę mógł spotkać się z Tobym. Nie teraz.

Wezwałem Orsona do siebie i Toby wypuścił go niechętnie.

— Może jeszcze jedno — powiedział Manuel, gdy wziąłem rower. — Te nieszkodliwe zwierzęta, których inteligencję spotęgowano... koty, psy, nowe małpy... one znają swoje pochodzenie. Twoja matka... no cóż, można by powiedzieć, że jest dla nich legendą... stwórcą... prawie bogiem. Wiedzą, kim jesteś i czczą cię. Żadne z nich by cię nie skrzywdziło. Ale pierwsza gromada i większość zmienionych ludzi... nawet jeśli w pewnej sferze podoba im się to, czym się stali, mimo to nienawidzą twojej matki z powodu tego, co stracili. I nienawidzą cię z oczywistych powodów. Wcześniej czy później coś z tobą zrobią. Coś przeciw tobie. Przeciw ludziom, którzy są ci bliscy.

Skinąłem głową. Już działałem opierając się na tym założeniu.

— A ty nie możesz mnie ochronić?

Nie odpowiedział. Objął ramieniem syna. W tym nowym Moonlight Bay rodzina może będzie miała przez jakiś czas pewne znaczenie, ale pojęcie „społeczność” straciło swój sens.

— Nie możesz, czy nie chcesz? — zastanawiałem się na głos. Nie czekając na kolejne milczenie, odezwałem się: — Wcale nie powiedziałeś mi, kim jest Carl Scorso. — Miałem na myśli łysego mężczyznę, który zapewne wziął ciało mojego ojca do sekcji, do jakiegoś niedostępnego ośrodka badawczego, nadal działającego pod ziemią w odległym kącie Wyvern.

— To jeden z więźniów, którzy zgodzili się uczestniczyć w eksperymentach. Zlokalizowano i przetworzono ubytki genetyczne związane z jego poprzednimi socjopatycznymi zachowaniami. Już nie jest groźny. To jeden z naszych niewielu sukcesów.

Wpatrywałem się w Manuela, ale nie potrafiłem odczytać jego prawdziwych myśli.

— Zabił włóczęgę i wyłupił mu oczy.

— Nie, to robota gromady. Scorso tylko znalazł trupa przy drodze i przywiózł Sandy'emu Kirkowi, żeby się go pozbył. To się czasem zdarza. Autostopowicze, włóczęgi... zawsze sporo ich płacze się wzdłuż wybrzeża. W dzisiejszych czasach niektórzy nie docierają poza Moonlight Bay.

— I z tym też potrafisz żyć.

— Robię, co mi się każe — odparł zimno.

Toby objął ojca, jakby chciał go ochronić i popatrzył na mnie, strwożony wyzywającym tonem, jakim odzywałem się do jego taty.

— Robimy, co się nam każe — powiedział Manuel. — Tak to obecnie wygląda, Chris. Podjęto decyzje na bardzo wysokim szczeblu, żeby skończyć cały interes. Bardzo wysokim. Tylko wyobraź sobie, że sam prezydent Stanów Zjednoczonych był kimś w rodzaju wielbiciela nauki i dostrzegł szansę przejścia do historii, wykładając ogromne fundusze na inżynierię genetyczną, podobnie jak Roosevelt i Truman wsparli Manhattan Project, jak Kennedy poparł finansowo wysiłki umieszczenia człowieka na Księżycu, i przypuścimy, że wszyscy wokół niego... i politycy, którzy z nim przyszli... są teraz zdecydowani to ukryć.

— Czy tak właśnie było?

— Nikt na górze nie chce ryzykować gniewu opinii publicznej. Może nie chodzi tylko o lęk przed rozstaniem się z urzędem. Może boją się oskarżenia o zbrodnie przeciwko ludzkości. Rozerwania na kawałki przez rozwścieczoną tłuszcę. Przecież... żołnierze z Wyvern i ich rodziny, które mogły zostać zarażone... są teraz rozsiani po całym kraju. Ilu następnym to przekazali? Mogłaby wybuchnąć panika. Powstałby międzynarodowy ruch, żądający kwarantanny dla USA. I bez sensownego powodu. Najwyższe władze uważają, że cała sprawa może zakończyć bieg bez poważnych skutków, osiągniętych, a potem zwyczajnie się wyczerpie.

— Jest na to szansa?

— Może.

— Myślę, że nie ma na to szansy.

Wzruszył ramionami i pogładził włosy Toby'ego, nastroszone i w nieładzie po zdjęciu gogli.

— Nie wszyscy ludzie z symptomami zmiany są jak Lewis Stevenson. To, co się im zdarza, ma nieskończone odmiany. A tacy, którzy przechodzą złą fazę... mają potem spokój. To zmienna sprawa. To nie zjawisko, jak trzęsienie ziemi albo tornado. To proces. Gdyby kiedyś było to konieczne, poradzę sobie z Lewisem.

— Może to bardziej konieczne, niż zdajesz sobie sprawę — powiedziałem nie zdradzając niczego.

— Nie potrzeba tylko nikogo ferującego wyroki przez telefon. Musi być porządek, ład.

— Ale nie ma żadnego.

— Jestem ja — powiedział.

— Czy jest możliwe, że zostałeś zainfekowany i nie wiesz o tym?

— Nie. To niemożliwe.

— Czy jest możliwe, że zmieniasz się i nie wiesz o tym?

— Nie.

— Stajesz się?

— Nie.

— Wystraszyłeś mnie jak jasna cholera, Manuel.

Sowa znów zahuczała.

Dał się odczuć słaby, ale mile widziany powiew, jak ruch łyżką w zawieszistej mgłę.

— Jedź do domu — powiedział Manuel. — Niedługo będzie jasno.

— Kto nakazał zabicie Angeli Ferryman?

— Jedź do domu.

— Kto?

— Nikt.

— Myślę, że zamordowano ją, bo usiłowała to rozgłosić. Powiedziała mi, że nie ma niczego do stracenia. Bała się, że się... staje.

— Gromada ją zabiła.

— Kto kontroluje tę gromadę?

— Nikt. Nie możemy kutasów znaleźć.

Wydawało mi się, że znam miejsce, w którym się kręczą; rów odpływowy na wzgórzach, tam, gdzie znalazłem kolekcję czaszek. Ale nie zamierzałem dzielić się tą informacją z Manuelem, bo w tym momencie nie byłem pewien, kto jest moim najgroźniejszym wrogiem, gromada czy Manuel i inne gliny.

— Jeśli nikt ich na nią nie nasłał, czemu to zrobiły?

— Mają własny program działania. Może czasami zbiega się z naszym. Ale też nie chcą, żeby świat się o nich dowiedział. Ze względu na swoją przyszłość nie mają interesu w odkręceniu tego, co się stało. Więc gdy jakoś dowiedziały się o planach Angeli... Za tym nie stoi żaden genialny mózg, Chris. Są wszystkie te czynniki... łagodne zwierzęta, złe zwierzęta, naukowcy w Wyvern, ludzie, którzy zmienili się na gorsze, ludzie, którzy zmienili się na lepsze. Wiele ścierających się czynników. Chaos. A chaos pogłębi się, zanim zmieni się na lepsze. Teraz jedź do domu. Daj temu spokój. Daj temu spokój, zanim ktoś cię namierzy, jak namierzono Angelę.

— Czy to groźba?

Nie odpowiedział.

Ruszyłem z powrotem, prowadząc rower przez ogród.

Toby powiedział:

— Christopher Snow. Snow to śnieg. Christopher to gwiazdka. Śnieg na gwiazdkę. Gwiazdka i święty Mikołaj. Święty Mikołaj i sanki. Sanki na śniegu. Śnieg na gwiazdkę. Christopher Snow. — Roześmiał się z niewinnym zadowoleniem, rozbawiony tą dziwną słowną grą i wyraźnie uradowany moim zaskoczeniem.

Toby Ramirez, którego znałem do tej pory, nie potrafiłby nawet dokonać takiego prostego skojarzenia słów. Powiedziałem Manuelowi:

— Zaczynają ci się odpłacać za współpracę, no nie?

Jego ojcowska duma po pokazie tej nowej umiejętności Toby'ego była tak poruszająca i tak głęboko smutna, że nie mogłem na niego patrzeć.

— Mimo wszystkich braków był zawsze szczęśliwy — powiedziałem o Tobym. — Znajdował cel, spełnienie. Co stanie się teraz, kiedy uda im się zmienić go tak bardzo, że będzie niezadowolony z tego, kim jest... ale nie uda im się zmienić go do końca, żeby stał się normalny?

— Uda im się — odparł Manuel z przekonaniem, dla którego nie było uzasadnienia. — Uda.

— Ci ludzie, którzy stworzyli ten koszmar.

— Ma nie tylko złą stronę.

Pomyślałem o żalonych jękach gościa na strychu plebani, melancholii w głosie odmieńca, straszliwym pragnieniu i rozpaczliwej próbie przekazania sensu w bełkocie. Myślałem o Orsonie tamtej letniej nocy, rozpaczającym pod gwiazdami.

— Niech Bóg ci pomoże, Toby — powiedziałem, bo też był moim przyjacielem. — Niech cię Bóg błogosławi.

— Bóg miał swoją szansę — rzekł Manuel. — Od tej pory sami tworzymy swój los.

Musiałem stamtąd uciekać i to nie tylko dlatego, że niebawem miał nadejść świt. Ruszyłem przez ogród — i nie zdawałem sobie sprawy, że biegnę, aż minąłem dom i znalazłem się na ulicy.

Gdy obejrzałem się na ten dom w letniskowym stylu, wyglądał inaczej niż poprzednio. Był mniejszy, niż pamiętałem. Przygarbiony. Posepny.

Na wschodzie, wysoko nad światem, tworzyła się srebrnopopielata biel, zaczynał się zwyczajny świt lub dzień Sądu Ostatecznego.

W dwanaście godzin straciłem ojca, przyjaźń Manuela i Toby'ego oraz sporą dawkę niewinności. Owładnęło mną przemożne uczucie, że czekają mnie dalsze i być może gorsze straty.

Uciekliśmy z Orsonem do domu Saszy.

31

Dom Saszy należy do KBAY i jest dodatkiem do pensji dyrektora rozgłośni. To mały jednopiętrowy domek w stylu wiktoriańskim z koronkowymi żeliwnymi ozdobami na frontach mansardowych okienek, deskach szczytowych, okapach, oknach i wokół drzwi, a także na balustradach werand.

Dom byłby cackiem, gdyby nie pomalowano go w dworcowych kolorach. Ściany na kanarkową żółć. Okiennice i balustrady na koralowy róż. Reszta metalowych ozdób dokładnie w barwach ciasta cytrynowego. Wynik jest taki, jakby gromada fanów Jimmy'ego Buffeta, napojona do woli margeritami, pomalowała dom podczas długiego weekendu.

Ekstrawagancka elewacja nie przeszkadza Saszy. Jak twierdzi, mieszka w domu, nie poza nim, skąd mogłaby ją widzieć.

Głęboką tylną werandę obudowano szkłem. Sasza z pomocą elektrycznego ogrzewania w zimniejszych miesiącach przemieniła ją w zielnik-cieplarnię. Na stołach, ławach i potężnych metalowych stojakach mieszczą się setki donic z terakoty i plastikowe podstawki. Hoduje w nich tymianek i trybulkę, majeranek, zieloną miętę, melisę, marantę i słodki marchewnik anyżowy, rozmaryn i rumianek, kardamon, kolendrę i koper, dzięgiel i dziewannę, cykorię, giseng, hizop, bazylię, wrotycz pospolity i estragon. Dodaje ich do potraw, robi cudowne, subtelne w zapachu trociczki i zdrowotne napary, które powodują znacznie łagodniejsze wzdęcia, niż można by się spodziewać.

Nie zawracam sobie głowy noszeniem klucza. Zapasowy tkwi pod donicą w kształcie żaby, pod żółknącymi liśćmi ruty. Gdy zabójczy świt osiągnął na wschodzie odcień bladej szarości i świat przygotował się na mordercze sny, wślizgnąłem się do kryjówki w domu Saszy.

W kuchni natychmiast włączyłem radio. Sasza szusowała przez ostatnie pół godziny programu, podając informacje o pogodzie. Nadal mieliśmy sezon deszczowy i z północnego zachodu nadchodziła burza. Niebawem po zmroku spadnie deszcz.

Gdyby zapowiedziała, że nadchodzi trzydziestometrowy przypływ i wulkaniczne wybuchy z wielkimi rzekami lawy, słuchałbym z przyjemnością. Jej gładki, lekko gar-

dłowy głos radiowy sprawił, że na twarzy pojawił mi się wielki uśmiech debila i nawet tego poranka, przy końcu świata, nie potrafiłem oprzeć się jednoczesnemu rozluźnieniu i erotycznemu podnieceniu.

Podczas gdy dzień jaśniał coraz bardziej za oknami, Orson poczłapał do pary plastikowych misek stojących w kącie na gumowym dywaniku. Na każdej było jego imię. Gdziekolwiek by poszedł; czy to do domku Bobby'ego, czy Saszy, wszędzie jest częścią rodziny.

Jako szczeniak dostawał wiele imion, ale nie chciało mu się na nie reagować. Zauważywszy, jak pilnie skupia się na starych filmach Orsona Wellesa, puszcanych na wideo — a zwłaszcza na pojawienie się samego Wellesa — dla żartu nazwaliśmy go po aktorze-reżyserze. Od tamtej pory reagował na to przewisko.

Stwierdziwszy, że miski są puste, Orson wziął jedną w zęby i przyniósł mi. Napelnioną wodą odniosłem na gumowy dywanik, który zabezpieczał ją przed ślizganiem się po podłodze z białych płytek.

Porwał drugą i popatrzył na mnie błagalnie. Jak to bywa w wypadku każdego psa, ślepia i pysk Orsona lepiej wyrażają błaganie niż wyraziste rysy najbardziej utalentowanego aktora, który kiedykolwiek pojawił się deskach scenicznych.

Na „Nostromo”, przy stole z Rooseveltem, Orsonem i Mungojerrie, przypomniałem sobie dawne wyśmienite malunki, przedstawiające psy grające w pokera. Wtedy przyszło mi do głowy, że podświadomość usiłuje przekazać mi coś ważnego, skoro wskrzesza tak drobiazgowo owe wizerunki. Teraz zrozumiałem. Każdy z psów na tych malunkach przedstawia inny typ człowieka i oczywiście każdy jest inteligentny jak człowiek. Będąc świadkiem zabawy Orsona i kota, „przedrzeźniania gatunkowych stereotypów”, zdałem sobie sprawę, że niektóre ze zwierząt w Wyvern mogą być znacznie inteligentniejsze, niż poprzednio sądziłem — tak inteligentne, że nie byłem jeszcze gotów spojrzeć w twarz niesamowitej prawdy. Gdyby mogły utrzymać karty i mówić, zwyciężałyby w pokera, ba, ograłyby mnie do suchej nitki.

— Jest trochę wcześniej — powiedziałem biorąc miskę od Orsona. — Ale faktycznie miałeś bardzo forsowną noc.

Wysypałem jego ulubioną suchą karmę do miski i zrobiłem obchód kuchni. Opuszczałem żaluzje w obliczu rosnącego dziennego zagrożenia. Byłem przy ostatnich, gdy wydało mi się, że słyszę odgłos drzwi, cicho zamykanych gdzieś w domu.

Zamarłem, nasłuchiwałem.

— Co to? — szepnąłem.

Orson podniósł pysk znad miski, powietrzył, przekrzywił łeb, mruknął i znów skupił się na misce.

Trzystuarenowy cyrk w mojej głowie.

Umylem ręce i ochlapałem twarz zimną wodą.

W kuchni panuje nieskazitelny porządek. Wszystko lśni i ślicznie pachnie, ale jest ciasno. Sasza to fantastyczna kucharka i zestawy egzotycznych garnków oraz urządzeń zajmują co najmniej połowę lady. Tyle rondli, garnków, warząchw i przyrządów zwisa z haków nad głową, że czujesz się, jakbyś brodził w jaskini, w której każdy centymetr stropu jest obwieszony stalaktytami.

Szedłem przez dom zamykając żaluzje, czując jej fluidy w każdym kącie. Jest tak żywotna, że pozostawia po sobie aurę, która długo wibruje po jej odejściu.

Dom nie ma jednego zasadniczego stylu, brakuje harmonii w ciągu mebli i dzieł sztuki. Natomiast każde pomieszczenie świadczy o jednej z pochłaniających ją namiętności. Sasza jest kobietą wielu namiętności.

Wszystkie posiłki jada się przy wielkim kuchennym stole, ponieważ jadalnia jest poświęcona muzyce. Przy jednej ścianie stoi elektroniczny instrument klawiszowy, syntetyzator pełną gębą, na którym może komponować na orkiestrę, gdyby chciała, a obok jest stół kompozytorski i stos kartek z pustymi pięcioliniami czekającymi jej ołówka. W środku pokoju perkusja. W kącie wysokiej jakości klawikord z odpowiednim taboretami. W innym kącie, za podium dla muzyków, na specjalnym wieszaku wiszą saksofony. Są tam też dwie gitary — akustyczna i elektryczna.

Pokój dzienny nie ma robić wrażenia na gościach, ale służy książkom — kolejnej namiętności. Ściany są zastawione regałami, które pękają w szwach od wydań w twardej okładkach i „broszur”. Meble nie są modne; ani stylowe, ani niestylowe; fotele w neutralnej kolorystyce, kanapy wybrane ze względu na wygodę, na fakt, że idealnie służą do siedzenia, rozmawiania i przeżywania długich godzin z książką.

Na piętrze w pierwszym pokoju od schodów są: rowerek, „wioślarz”, zestaw hantli od kilograma do dziesięciu, rosnących co kilogram, mata do ćwiczeń. Jest to również pomieszczenie do homeopatii, w którym trzyma Sasza zastępy buteleczek z witaminami i minerałami, i w którym ćwiczy jogę. Kiedy siada na rowerku, nie schodzi z niego, dopóki nie spłynie potem i nie wykręci przynajmniej czterdziestu pięciu kilometrów. Siedzi na „wioślarzu”, dopóki nie przepłynie w wyobraźni jeziora Tahoe, utrzymując stały rytm śpiewając melodie Sary McLachlan, Juliana Hatfielda, Meredith Brooks albo Saszy Goodall, a kiedy robi „brzuski” i przysiady, ma się wrażenie, że maty pod nią zaczynają dymić, zanim doszła do połowy. Po ćwiczeniach zawsze promienieje większą energią niż na początku, tryska rumieńcem i dobrym humorem. A po medytacjach w różnych pozycjach jogi intensywność jej zrelaksowania wydaje się tak potężna, że zdolna rozsadzić ściany pokoju.

Boże, kocham ją.

Wyszedłem z pokoju do ćwiczeń na korytarz i kolejny raz doznałem przecucia zagrożającej straty. Ogarnęły mnie tak silne dreszcze, że dopóki nie przeszły, musiałem wesprzeć się o ścianę.

Nic nie mogło się przydarzyć Saszy w świetle dnia, nie podczas dziesięciominutowej przejażdżki przez centrum miasta, z rozgłośni do Signal Hill. Gromada chyba wynurzała się nocą. W dzień zaszywała się gdzieś, być może w przepusty burzowe pod miasteczkiem albo nawet pod wzgórze, gdzie znalazłem kolekcję czaszek. Z kolei ludzie, którym nie można było już ufać, odmieńcy jak Lewis Stevenson, wydawali się bardziej panować nad sobą w blasku słońca niż księżycą. Jak u ludzi-zwierząt w „Wyspie doktora Moreau” dzikość odzywała się w nich nocą. Od zmierzchu tracili nad sobą panowanie; ożywała w nich żądza przygody i odważali się na rzeczy, o których nigdy nie marzyli nawet za dnia. Z pewnością nic nie mogło przydarzyć się Saszy teraz, gdy witał nas świt, i może pierwszy raz w życiu poczułem ulgę widząc wstające słońce.

Na końcu wszedłem do jej sypialni. Tu nie widziało się instrumentów muzycznych ani jednej książki, żadnych garnków ani tacek z ziołami, żadnych buteleczek z witaminami, sprzętu do ćwiczeń. Łóżko jest proste, ze zwyczajnym zapieckiem, bez deski w nogach. Okrywa je prosta biała kapa z cienkiego kordonku. Również toaletka, nocne szafki i lampy nie odznaczają się niczym szczególnym. Ściany są blado-żółte, jak cień porannego blasku słońca w chmurach; żadne dzieła sztuki nie dzielą gładkich płaszczyzn. Niektórym pokój wydawałby się nagi, ale gdy Sasza tam przebywa, to miejsce jest udekorowane bardziej wyszukanie niż jakikolwiek barokowy salon we francuskim pałacu, a promienieje tak głębokim radosnym spokojem jak żaden zakątek ogrodu zeń. Zawsze sypia spokojnie, tak głęboko i nieruchomo jak kamień na dnie morza, i często łapię się na tym, że chcę jej dotknąć, poczuć ciepło nagiej skóry lub równomierny puls, by zażegnać nagły lęk, chwytający mnie od czasu do czasu. Jak w wypadku wielu innych czynności, namiętnie lubi spać. Ma też namiętność do namiętności, a gdy się kocha, pokój przestaje istnieć i jestem w czasie bez czasu i w przestrzeni, której nie znalazłbyś na żadnej mapie, gdzie jest tylko Sasza, tylko jej blask i żar, boski żar, który lśni, ale nie spala.

Szedłem obok łóżka do pierwszego z trzech okien, w którym chciałem zamknąć żaluzje, gdy zobaczyłem jakiś przedmiot na kordonkowej kapie. Mały, nieregularny i doskonale wypolerowany; odłamek ręcznie malowanej, wypalanej porcelany. Połowa uśmiechniętych ust, krzywizna policzka, niebieskie oko. Odłamek twarzy lalki Christopher Snow, która roztrzaskała się o ścianę w domu Angeli Ferryman, tuż przed zgaśnięciem świateł i napływem dymu na klatkę schodową.

Przynajmniej jedna małpa z gromady była tu w nocy.

Znowu targany dreszczami, ale tym razem dreszczami wściekłości, wyszarpnąłem pistolet z kieszeni i ruszyłem przeszukać dom, od strychu w dół, każdy pokój, każdą szafę ścienną, każdą komodę, najmniejszą przestrzeń, w której mógł ukryć się jeden z nienawistnych stworów. Klnąc, rzucając groźbami, które miałem zamiar spełnić co do joty, otwierałem gwałtownie drzwi, strzelałem szufladami, kijem od miotły szturchałem pod meblami. Narobiłem takiego wściekłego rumoru, że Orson przybiegł pędem, spo-

dziewając się, że walczę o życie — a potem szedł za mną w bezpiecznej odległości, jakby obawiając się, że w obecnym stanie poruszenia postrzelę się w stopę, a jego w łapę, jeśli podejdziesz zbyt blisko.

W domu nie było ani jednego osobnika z gromady.

Podczas przeszukania chciałem napełnić wiadro wodą z silnym roztworem amoniaku i zetrzeć każdą powierzchnię, którą intruz — lub intruzi — mogli dotknąć: ściany, podłogi, schody i poręcze, meble. Nie dlatego, że podejrzewałem ich o zostawienie jakichś mikroorganizmów, które by mogły nas zarazić. Uważałem ich za głęboko nieczystych w sensie duchowym, jakby nie wyszli z laboratoriów Wyvern, ale z dziury w ziemi, z której unoszą się siarkowe wyziewy, straszliwe światło i dalekie wrzaski potępionych.

Zamiast iść po amoniak, wybrałem bezpośredni numer prowadzącego audycję w KBAY. Zanim wybrałem ostatnią cyfrę, zdałem sobie sprawę, że Sasza zeszła z anteny i jest w drodze do domu. Przerwałem połączenie i zadzwoniłem na numer komórki.

— Cześć, bałwanku — powiedziała.

— Gdzie jesteś?

— Pięć minut drogi.

— Zablokowałaś drzwi?

— Co...?

— Na litość boską, czy zablokowałaś drzwi?!

Zawahała się. Po chwili:

— Teraz tak.

— Chociażby nie wiem kto dawał ci znaki, żebyś się zatrzymała, nie rób tego. Choćby to był nie wiem kto. Nawet przyjaciel, nawet gliniarz. Zwłaszcza gliniarz.

— A jeśli przypadkowo przejadę staruszkę?

— To nie będzie staruszka. Będzie tylko wyglądała na staruszkę.

— Opadły cię duchy, bałwanku?

— Nie mnie. Resztę świata. Słuchaj, nie przerywaj połączenia, dopóki nie wjedziesz na podjazd.

— Explorer do wieży kontrolnej: mgła się cofa. Nie potrzebujecie naprowadzać mnie głosem.

— Nie naprowadzam cię głosem. To ty mnie wyprowadzasz. Z równowagi. Mało mnie tu nie rozwali.

— Jakoś zdołałam to zauważyć.

— Muszę słyszeć twój głos. Przez całą drogę. Przez całą drogę do domu mów do mnie.

— Droga gładka jak zatoka — powiedziała starając się poprawić mi humor.

Słuchałem jej, aż doprowadziła swój wóz do zatoki postojowej i wyłączyła silnik.

Bez względu na słońce chciałem wyjść na dwór i podejść do niej, kiedy otwierała drzwi. Chciałem być u jej boku z glockiem w dłoni, gdy szła wokół domu do tylnej werandy, bo przez nią zwykle wchodziła.

Wydawało mi się, że minęła godzina, zanim usłyszałem kroki na werandzie, gdy szła między stołami. Otworzyła drzwi i stałem w szerokiej klindze porannego światła przecinającej kuchnię. Wziąłem ją w ramiona, zatrzasnąłem drzwi i uściskałem tak mocno, że przez chwilę żadne z nas nie mogło oddychać. Wtedy ją pocałowałem. Była ciepła i prawdziwa, prawdziwa i cudowna, cudowna i żywa.

Jednakże bez względu na to, jak mocno ją ściskałem, bez względu na to, jak słodkie były jej pocałunki, wciąż gnębiło mnie przecucie, że grożą mi bolesne straty.

Cześć Szósta

Dzień i Noc

32

Po tym wszystkim, co wydarzyło się poprzedniej nocy, i ciągłym myśleniu o tym, co groźnie zapowiadało się przyszłej nocy, nie wyobrażałem sobie, że będę się kochał. Sasza nie wyobrażała sobie, że nie będzie się kochać. Chociaż nie wiedziała, co napawa mnie grozą, to widok mojego przerażenia i zdenerwowania — ogarniającego mnie na myśl, że mogę ją utracić — był dla niej takim afrodyzjakiem, iż nie potrafiłem dziewczynie odmówić.

Orson, jak zawsze dżentelmen, pozostał na dole w kuchni. Poszliśmy na górę do sypialni, a stamtąd w beczasowy czas i przestrzeń, której nie ma na żadnej mapie, gdzie Sasza jest jedyną energią, jedyną postacią materii, jedyną siłą we wszechświecie. Jakże jasną.

Kiedy już znalazłem się w takim nastroju, że nawet najbardziej apokaliptyczne wizje stały się znośne, opowiedziałem jej o mojej nocy od zachodu słońca do świtu, o milenijnych małpach i Stevensonie, o tym, jak Moonlight Bay jest teraz puszką Pandory pełną miriadów nieszczęść.

Jeśli uznała mnie za szaleńca, dobrze ukryła swój osąd. Gdy opowiedziałem jej o wyzywającym zachowaniu gromady, które Orson i ja musieliśmy wytrzymać po opuszczeniu domu Bobby'ego, dostała gęsiej skórki i musiała włożyć szlafrok. Gdy stopniowo zdała sobie sprawę, jak rozpaczliwa jest nasza sytuacja, że nie mamy do kogo się zwrócić i dokąd się udać, gdybyśmy mogli uciec z miasteczka, że już może jesteśmy zarażeni plagą z Wyvern, której skutków nawet nie umiemy sobie wyobrazić — szczerzej otuliła się kołnierzem szlafroka.

Jeśli czuła obrzydzenie tym, co zrobiłem Stevensonowi, zdołała z wielkim powodzeniem ukryć emocje, bo gdy skończyłem, opowiedziawszy nawet o szczątku lalki znalezionej na łóżku, wyslizgnęła się z szlafroka i mimo że nadal miała gęsią skórę, znów powiodła mnie w swój blask.

Tym razem byliśmy cichsi niż poprzednio, poruszaliśmy się wolniej i łagodniej. Przylegaliśmy do siebie z miłością i żądzą, ale również z desperacją, bo odczuliśmy nowy, dotkliwszy sens naszej izolacji. Co dziwne, chociaż czuliśmy się dwójką skazanych, której nieodwracalnie tyka zegar kata, nasze przenikanie się było słodsze niż poprzednio.

A może to nie było wcale dziwne. Może krańcowe niebezpieczeństwo pozbawiło nas wszystkich póż, ambicji, błędów widzenia, skupiło intensywniej niż zwykle, tak że pamiętaliśmy to, co przez większą część życia zapominaliśmy; iż naszą naturą i celem jest ponad wszystko kochać duchowo i fizycznie, radować się pięknem świata, żyć ze świadomością, że przyszłości daleko do rzeczywistości terażniejszości i przeszłości.

Jeśli świat taki, jaki znamy, leciał w dół sedesu, moje pisanie i teksty Saszy nie miały znaczenia. Tłumacząc z Bogarta na Bergmana: w tej zwariowanej przyszłości, walącej opętańczo prosto na nas jak śnieżna lawina, ambicje dwojga ludzi nie były więcej warte od garnka fasoli. Liczyły się tylko przyjaźń, miłość i surfing. Czarodzieje z Wyvern sprawili, że życie moje i Saszy zredukowało się do spraw podstawowych, jak życie Bobby'ego Hollowaya.

Przyjaźń, miłość i surfing. Łap to wszystko, póki gorące. Łap to wszystko, zanim przypadnie. Łap to wszystko, póki jesteś jeszcze na tyle człowiekiem, by docenić, ile to warte.

Przez chwilę leżeliśmy w milczeniu, objęci, czekając, aż czas znów zacznie płynąć. A może z nadzieją, że nigdy więcej nie popłynie.

Wreszcie Sasza powiedziała:

— Zaimprovizujmy coś.

— Oskarżasz mnie o rutynę?

— Miałam na myśli improwizację w kuchni. Omlety inaczej niż zwykle.

— Co? Coś ponad te cudowne kurze białka? — ironizowałem, kpiąc z jej przesadnej skłonności do zdrowej kuchni.

— Dzisiaj wbiję całe jajka.

— Teraz wiem, że to koniec świata.

— Na maśle.

— Z serem?

— Ktoś musi pilnować, żeby krowy nie zdechły z lenistwa.

— Masło, ser, żółtka jajek. Więc wybrałaś samobójstwo.

Robiliśmy superminy do złej gry, ale bynajmniej nie było nam super na duszy.

I oboje o tym wiedzieliśmy.

Ale trzymaliśmy ten kurs, bo w innym wypadku musielibyśmy przyznać, jak bardzo jesteśmy wystraszeni.

Omlety były wyjątkowo dobre, jak i smażone ziemniaki, a także grubo posmarowane masłem bułeczki.

Podczas spożywanego przy świecach posiłku Orson krążył wokół kuchennego stołu, pisał prosząco i gdy mierzyliśmy go wzrokiem, patrzył na nas jak wygłodzone dziecko z getta.

— Już zjadłeś wszystko, co nasypałem ci do miski — zwróciłem mu uwagę.

Sapnął zaskoczony, że śmiem twierdzić coś takiego i skierował żalosne piski pod adresem Saszy, jakby usiłował ją przekonać, że nie dostał żadnego pokarmu. Położył się na plecach, wił się, machał łapami w krańcowym ataku bezlitosnej milusieńkości, walcząc o kęs. Stał na tylnych łapach i kręcił się w kółko. Był bezwstydnym.

Nogą odsunąłem trzecie krzesło przy stole.

— Dobra, siadaj — powiedziałem.

Natychmiast wskoczył na krzesło i cały zamienił się w słuch.

— Ta oto panna Goodall kupiła ode mnie kompletnie niesamowitą, niewąsko zwariowaną historyjkę, bez żadnych dowodów poza kilkumiesięcznym dziennikiem umysłowo niezrównoważonego księdza. Zrobiła to pewnie dlatego, że jest krańcowo sfiksowana na punkcie seksu, a ja jestem jedynym mężczyzną, który ma na nią ochotę.

Sasza cisnęła we mnie kawałkiem posmarowanej grzanki. Wylądowała na stole tuż przed Orsonem.

Pies rzucił się na przysmak.

— Nie ma mowy, bratku! — powiedziałem.

Zamarł z otwartym pyskiem i obnażonymi zębami, centymetry przed grzanką. Zamiast zjeść, obwąchał ją tylko z wyraźną przyjemnością.

— Jeśli pomożesz mi udowodnić pannie Goodall, że to, co opowiedziałem o programie Wyvern, jest prawdą, dam ci trochę mojego omleta i ziemniaków.

— Chris, jego serce — zmartwiła się Sasza, wślizgując się w skórę wyrozumiałej karmicielki.

— On nie ma serca — zapewniłem ją. — On ma tylko żołądek.

Orson spojrział na mnie z naganą, jakby chciał powiedzieć, że to nieuczciwe zabawiać się w szyderstwa, wobec których jest bezbronny. Powiedziałem mu:

— Kiedy ktoś kiwa głową, to znaczy „tak”. Kiedy się kręci głową, to znaczy „nie”. Rozumiesz to, prawda?

Orson wpatrywał się we mnie, dysząc i szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

— Może nie ufasz Rooseveltowi Frostowi — powiedziałem — ale na pewno ufasz tej oto damie. Nie masz wyboru, bo ona i ja zamierzamy od tej pory być razem, pod jednym dachem, do końca naszych dni.

Orson skierował uwagę na Saszę.

— Prawda? — spytałem ją. — Do końca naszych dni?

Uśmiechnęła się.

— Kocham cię, bałwanku.

— Kocham panią, panno Goodall.

— Od tej pory, psiaku, już nie będzie was dwóch — powiedziała Orsonowi.
— Będzie nas troje.

Orson zamrugał patrząc na mnie, zamrugał patrząc na Saszę i nie mrugając popatrzył z pożądaniem na grzanekę.

— Więc rozumiesz, jak to jest z kiwaniem i kręceniem głową? — spytałem.

Orson po chwili wahania skinął łbem.

Saszę zatkało.

— Myślisz, że jest miła? — spytałem.

Orson skinął łbem.

— Podoba ci się?

Kolejne skinienie łbem.

Ogarnął mnie taki zachwyt, że aż zakręciło mi się w głowie. Oblicze Saszy załśniło takim samym uniesieniem.

Moja matka, która zniszczyła świat, wzbogaciła go również o cuda i czary.

Potrzebowałem współpracy Orsona nie tylko do potwierdzenia mojej opowieści, ale podniesienia nas na duchu i natchnienia wiarą, że po Wyvern może być życie. Jeśli nawet ludzkość miała teraz przeciwników w rodzaju pierwszej gromady, która uciekła z laboratorium, jeśli nawet byliśmy zagrożeni tajemniczą plagą przekazywania genów między gatunkami, jeśli nawet tylko kilkoro spośród nas przeżyłoby najbliższe lata nie przechodząc głębokich zmian intelektualnej, emocjonalnej i nawet fizycznej natury — może była jednak szansa, że gdy my, obecni czempioni ewolucyjnej gry, potkniemy się, wypadniemy z wyścigu i odejdziemy w przeszłość, pojawią się godni następcy, którzy lepiej poradzą sobie w świecie niż my.

Chłodne pocieszenie jest lepsze niż żadne.

— Uważasz, że Sasza jest ładna? — spytałem psa.

Orson przyglądał jej się zamyślony przez kilka długich sekund. Odwrócił się do mnie i skinął łbem.

— To mogłoby być trochę szybciej — powiedziała do niego Sasza.

— Nie spieszył się, dobrze ci się przyjrzał, więc wiesz, że był szczery — zapewniłem ją.

— Ja też myślę, że jesteś ładny — nagrodziła go komplementem.

Orson pomachał ogonem zwisającym poza krzesło.

— Jestem szczęśliwym facetem, co nie, bratku? — spytałem go.

Pokiwał energicznie łbem.

— A ja szczęśliwą dziewczyną — powiedziała.

Orson odwrócił się do niej i pokręcił łbem. „Nie”.

— Hej! — zaprotestowałem.

Pies puścił do mnie perskie oko, uśmiechnął się i wydał ciche rzęzenie, które, przysięgam, było śmiechem.

— Nie może mówić — powiedziałem — ale stać go na sarkastyczne poczucie humoru.

Nie tylko robiliśmy superminę do złej gry. Byliśmy super.

Jak jesteś autentycznie super, dasz sobie radę ze wszystkim. To jedno z kluczowych założeń filozofii Bobby'ego Hallowaya i jak widzę to z mojego obecnego punktu obserwacyjnego — postwyvernizmu — muszę stwierdzić, że filozof Bobby oferuje skuteczniejszy przewodnik po szczęśliwym życiu niż wszyscy jego tęgogłowi współzawodnicy od Arystotelesa przez Thomasa More'a i Schellinga do Kierkegaarda — i Jacopo Zabarella, który wierzy w pierwszeństwo logiki, porządku, metody. Logika, porządek, metoda. Jasne, wszystko ważne. Ale czy można zanalizować i zrozumieć całe życie, kierując się tylko tymi zasadami? Nie zamierzam twierdzić, że spotkałem yeti, potrafię nawiązać kontakt z duchami zmarłych albo jestem wcieleniem Kahuny, lecz gdy widzę, dokąd doprowadziła nas logika, porządek i metoda, do jakiej genetycznej burzy... no cóż, myślę, że będę szczęśliwszy, jeśli dosiędę paru historycznych fal.

Apokalipsa nie przyprawia Saszę o bezsenność. Jak zawsze spała głęboko.

Chociaż byłem wyczerpany, drzemałem nierówno. Drzwi sypialni zamknąłem na klucz i krzesło blokowało gałkę. Orson spał na podłodze, lecz gdyby ktoś włamał się do domu, nasz pies był dobrym systemem wczesnego ostrzegania. Glock leżał na mojej nocnej szafce, a smith & wesson kal. 0,38 chiefs special Saszy leżał na jej szafce. Mimo to, co rusz budziłem się gwałtownie, pewny, że ktoś włamuje się do sypialni. Nie czułem się bezpiecznie.

Sny nie uspokoiły mnie. W jednym z nich byłem włóczęgą, idącym opuszczoną pustynną szosą, bez powodzenia usiłując złapać stop. W prawej ręce niosłem walizkę dokładnie taką, jaką miał ojciec. Gdyby wyładowano ją cegłami, nie mogłaby być cięższa. Wreszcie postawiłem ją, otworzyłem i wzdrygnąłem się, gdy Lewis Stevenson wynurzył się z niej jak kobra z koszyka, oczy lśniły mu złotym blaskiem i wiedziałem, że skoro coś tak dziwnego jak trup szefa policji może znaleźć się w mojej walizce, coś jeszcze dziwniejszego będzie we mnie, a wtedy czubek czaszki mi się otworzył... i obudziłem się.

Godzinę przed zachodem słońca zatelefonowałem do Bobby'ego z kuchni Saszy.

— Jak tam pogoda w centrum małpiarstwa? — spytałem.

— Później przyjdzie burza. Wielkie grzywy daleko na pełnym morzu.

— Zmrużyłeś oko?

— Jak te błazny się zmyły.

— Kiedy to było?

— Po tym, jak odwróciłem sytuację i wypiąłem na nich tyłek.

— Zrobiło im się głupio — powiedziałem.

— Pewnie, cholera. Mam większą dupę od nich. Teraz już wiedzą.

— Masz zapas amunicji do strzelby?

- Kilka pudełek.
- Przywieziemy więcej.
- Sasza nie prowadzi dziś audycji?
- W soboty nie — powiedziałem — I może już nigdy więcej w weekendy.
- To coś nowego.
- Sparzyliśmy się. Słuchaj, masz tam gaśnicę?
- Teraz się przechwalasz. Aż tyle ognia nie wytwarzacie.
- Przywieziemy parę gaśnic. Te gogusie mają smykałkę do podpalania.
- Myślisz, że zaczniesz się na serio?
- Zgadłeś.

Zaraz po zachodzie słońca, gdy ja czekałem w explorerze, Sasza weszła do sklepu z bronią Thora kupić amunicję do strzelby, glocka i chiefs speciala. Zamówienie było tak duże i ciężkie, że sam Thor Heissen wyniósł pakunki i załadował je do samochodu.

Podszedł do okna pasażera przywitać się; wysoki, otyły mężczyzna, z dziobami po trądziku i szklanym lewym okiem. Nie jest jednym z najprzystojniejszych facetów świata, ale to były gliniarz z Los Angeles, który odszedł, bo tak kazały mu zasady, a nie z powodu skandalu; aktywny świecki pomocnik swojego pastora, także założyciel — i najważniejszy darczyńca — przykościelnego sierocińca.

— Słyszałem o twoim tacie, Chris.

— Przynajmniej już nie cierpi — powiedziałem. Równocześnie zadałem sobie pytanie, co takiego dziwnego było w jego chorobie, że ludzie z Wyvern musieli zrobić mu sekcję.

— Czasem to błogosławieństwo — rzekł Thor. — Kiedy po prostu masz szansę odejść po cichu, gdy twój czas nadejdzie. Ale wielu ludziom będzie go brakowało. Był dobrym człowiekiem.

— Dzięki, panie Heissen.

— A co wy planujecie, dzieciaki? Chcecie rozpocząć wojnę?

— Dokładnie — powiedziałem.

Sasza przekręciła kluczyk w stacyjce i zapaliła silnik.

— Ona mówi, że chcecie postrzelać do krabów. To niepoprawnie ekologicznie, prawda?

Śmiał się, gdy odjeżdżaliśmy.

W ogrodzie za domem Sasza oświetliła latarką dziury, wydarte poprzedniej nocy na trawniku przez Orsona.

— Co on tu zakopał? — spytała. — Cały szkielet *tyrannosaurusa rexa!*

— Zeszłej nocy — powiedziałem — myślałem, że tylko odreagowywał żal po śmierci taty. W ten sposób pozbywał się negatywnej energii.

— Odraagowywał żal? — powiedziała, marszcząc brwi.

Wiedziała, że Orson jest inteligentny, ale nadal nie potrafiła w pełni ogarnąć bogactwa jego życia wewnętrznego lub podobieństwa do naszych reakcji. Bez względu na to, jakimi technikami posłużono się do spotęgowania inteligencji tych zwierząt, polegała ona na wszczepieniu pewnego ludzkiego materiału genetycznego w ich DNA. Kiedy Sasza wreszcie to zrozumie, będzie musiała usiąść i dokładnie przemyśleć; może przez tydzień.

Wtedy przyszło mi do głowy, że szuka czegoś, co powinienem wiedzieć. — Ukląkłem na trawie obok Orsona. — Słuchaj, bratku, wiedziałem, że byłeś strasznie zmartwiony wczoraj w nocy, rozpaczałeś po tacie. Byłeś roztrzęsiony, nie bardzo pamiętałeś, gdzie kopać. Nie ma go już dzień i trochę łatwiej się z tym pogodzić, no nie?

Orson zapiszczał cicho.

— Więc postaraj się jeszcze raz — powiedziałem.

Nie wahał się, nie zastanawiał, gdzie zacząć, ale podbiegł do dziury i zaczął ją poszezać. Po pięciu minutach coś zadźwięczało pod pazurami.

Sasza skierowała latarkę na oklejony słoik na przetwory i wydobyłem go na wierzch.

W środku były żółte kartki, obwiązane gumką. Rozwinąłem je, podniosłem pierwszą do światła i od razu poznałem pismo ojca. Odczytałem tylko pierwszy akapit: „Jeśli czytasz to, Chris, ja nie żyję i Orson zaprowadził cię do tego słoika w ogrodzie, bo tylko on wie o jego istnieniu. I od tego powinniśmy zacząć. Pozwól, że powiem ci o twoim psie...”.

— Trafione — powiedziałem.

Zwinąłem kartki i wsunąłem z powrotem do słoika. Spojrzałem na niebo. Żadnego księżycy. Żadnych gwiazd. Postrzępione niskie chmury były czarne, lizane to tu, to tam zjadliwym żółtym blaskiem światła Moonlight Bay.

— Możemy to później przeczytać — powiedziałem. — Ruszmy się. Bobby jest sam.

33

Sasza otworzyła tylne drzwi explorera. Krzyżące mewy krążyły nisko, pędząc ku bezpieczniejszym miejscom w głębi lądu, wystraszone wiatrem, który wzburzył morze i skąpał w pianie cypel przylądka.

Trzymając pakunki ze sklepu z bronią obserwowałem białe skrzydła sunące po niespokojnym czarnym niebie. Mgła dawno zniknęła. Pod opadającymi coraz niżej chmurami noc była krystaliczna. Wokół nas, na półwyspie, kładła się skąpo trawa wydmowa. Wiatr ganiał po wydmach mini-tornado, jak blade duchy wywiedzione z grobów.

Zastanawiałem się, czy coś więcej niż wiatr nie przepędziło mew z ich kryjówek.

— Nie ma ich jeszcze — zapewnił mnie Bobby, biorąc dwa pudełka z pizzą z bagażnika explorera. — Za wcześnie na nie.

— Małpy zwykle jedzą o tej porze — rzekłem. — Potem wieczorek tańczący.

— Może w ogóle dziś nie przyjdą — rozmarzyła się Sasza.

— Przyjdą — stwierdziłem stanowczo.

— No. Przyjdą — zgodził się ze mną Bobby.

Wszedł do domu, niosąc naszą kolację. Orson trzymał się go blisko, nie ze strachu, że mordercza gromada może nawet teraz kryć się między wydmami, ale pilnując, by nie doszło do nieuczciwego podziału pizzy.

Sasza wyjęła z explorera dwie plastikowe torby. Były w nich gaśnice kupione w sklepie z materiałami żelaznymi Crown.

Zatrzasnęła tylne drzwi i pilotem zamknęła cały samochód. Dżip Bobby'ego zajmował cały garaż, więc zostawiliśmy explorera przed domkiem.

Sasza odwróciła się do mnie. Wiatr uniósł jej włosy, niczym lśniąca ciemną banderę. Skóra Saszy lśniła łagodnym blaskiem, jakby księżyc zdołał przecisnąć wspaniałą promień przez gęste chmury. Wydawała się niezwykłym zjawiskiem, duchem sił natury.

— Co? — rzuciła, nie mogąc odczytać mojego spojrzenia.

— Jesteś taka piękna. Jak bogini wiatru, przywołująca burzę.

— A ty pieprzysz, że uszy puchną — skwitowała, ale uśmiechnęła się.

— To jedna z moich najbardziej czarujących cech.

Minitornado zakręciło się wokół nas jak pływający derwisz, plując w twarz drobnymi kamyczkami, więc szybko przeszliśmy do domu.

Bobby czekał na nas. Przygasił światła do przyjemnego półmroku. Gdy weszliśmy, przekręcił zamek w drzwiach.

— Bardzo bym chciała, żebyśmy mogli zabić je dyktą — powiedziała Sasza, patrząc na duże szyby.

— To mój dom — oznajmił Bobby. I nie zamierzam zabijać deskami okien, leżeć plackiem i mieszkać jak więzień tylko z powodu jakichś cholernych małp.

— Od kiedy znam tego niesamowitego gogusia — powiedziałem do Saszy — nie dał się zastraszyć małpom.

— Prawie — zgodził się ze mną Bobby. — I nie zamierzam dać się zastraszyć teraz.

— Przynajmniej spuścimy żaluzje — zaproponowała Sasza.

Potrząsnąłem głową.

— Zły pomysł. To wzbudzi w małpach podejrzliwość. Jeśli będą mogły się nam przyjrzeć i nie dojrzą, że się na nie czaimy, staną się mniej ostrożne.

Sasza wyjęła gaśnice z pudeł i usunęła plastikowe zabezpieczenia spustów. Były pięciokilogramowe, typu używanego na jachtach i łatwe w obsłudze. Pierwszą postawiła w kącie kuchni, gdzie była niewidoczna z okna, a drugą wsadziła obok jednej z kanap w pokoju dziennym.

Tymczasem Bobby i ja siedliśmy w kuchni, z pudełkami amunicji na podółkach, pracując pod stołem, na wypadek pojawienia się małp. Sasza kupiła trzy zapasowe magazynki do glocka i trzy ładowniki do jej rewolweru. Wkładaliśmy do nich naboje.

— Po wyjściu od ciebie odwiedziłem Roosevelta Prosta... — zacząłem.

Bobby spojrział na mnie spod oka.

— Pogadali sobie po bratersku z Orsonem?

— Roosevelt próbował. Orson bynajmniej. Ale był tam kot. Nazywa się Mungojerrie.

— Jasne — rzekł sucho.

— Kot powiedział, że ludzie z Wyvern chcieli, żebym dał temu spokój, po prostu odsunął się.

— Rozmawiałeś z kotem osobiście?

— Nie. Roosevelt przekazał mi wiadomość.

— Jasne.

— Według kota miałem dostać ostrzeżenie. Jak nie przestanę wsadzać nosa w nie swoje sprawy, pozabijają moich przyjaciół jednego po drugim, aż do skutku.

— Zdmuchną mnie, żeby ostrzec ciebie?!

— To oni wpadli na ten pomysł, nie ja.

— Nie mogą po prostu ciebie zabić? Myślą, że potrzeba im do tego jakiegoś cudownego materiału wybuchowego?

— Roosevelt mówi, że mnie czczą.

— No, a kto nie czci? — Nawet poznawszy mały nadal zachowywał rezerwę w sprawie antropomorfizacji zwierzęcych zachowań. Ale wyraźniej obniżył poziom sarkazmu.

— Zaraz po zejściu z „Nostromo” — powiedziałem — dostałem ostrzeżenie, dokładnie jak kot przewidział.

Gdy opowiedziałem Bobby’emu o Lewisie Stevensonie, rzekł:

— Zamierzał zabić Orsona?

Orson zaskomlał z posterunku obok lady kuchennej, na której leżały pudełka z pizzami, jakby potwierdzał moją relację.

— Więc zastrzeżyłeś szeryfa? — spytał Bobby.

— Szefa policji.

— Zastrzeżyłeś szeryfa — upierał się.

Wiele lat temu był zdecydowanym świrem na punkcie Erica Claptona, którego jedna z piosenek zaczynała się od słów: „Zastrzeżyłem szeryfa”, więc rozumiałem, czemu woli tę rangę.

— W porządku. Zastrzeżyłem szeryfa... ale zastępcę zostawiłem żywego.

— Muszę cały czas trzymać cię na muszce.

Skończył napełniać ładowniki i wsadził je do ładownicy, którą Sasza również kupiła.

— Koszula po zbójcu — zauważyłem.

Miał na sobie rzadką hawajską koszulę z długimi rękawami i niezwykle tropikalnymi malunkami: pomarańcze, czerwienie i zielenie.

— Kamehameha Garment Company, około 1950 roku.

Uporawszy się z gaśnicami Sasza weszła do kuchni i włączyła jeden z dwóch piekarników, by podgrzać pizzę.

— Wtedy podpaliłem radiowóz, żeby zniszczyć dowody — wyznałem Bobby’emu.

— Z czym są te pizze? — spytał Saszy.

— Na jednej pepperoni, kiełbasa i cebula na drugiej.

— Bobby nosi używaną koszulę — powiedziałem jej.

— Antyk — dodał.

— W każdym razie, kiedy podpaliłem radiowóz, poszedłem do świętej Bernadetty i wszedłem do środka.

— Włam?

— Przez niezamknięte okno.

— Więc tylko wtargnąłeś na cudzą posesję — zdefiniował.

Skończyłem ładować zapasowe magazynki do glocka i stwierdziłem:

— Używana koszula, antyczna koszula, dla mnie to jedno i to samo.

— Jedno jest tanie — wyjaśniła Sasza — a drugie nie.

— Drugie, to sztuka — dodał Bobby. Podał jej ładownicę. — Masz.

Wzięła ją i przypięła do pasa.

— Siostra ojca Toma była znajomą z pracy mojej mamy — oznajmiłem.

— Typ szaleńca gotowego wysadzić świat? — spytał Bobby.

— Materiały wybuchowe nie wchodziły w grę. Ale i tak teraz jest zarażona.

— Zarażona. — Wyszczrzył zęby. — Naprawdę musimy się tym zajmować?

— No. Ale to raczej skomplikowane. Genetyka.

— Coś dla supermózgowców. Nuda.

— Nie tym razem.

Daleko na morzu jasne arterie błyskawic przemknęły po niebie, a po nich rozległo się dudnienie gromu.

Sasza kupiła też myśliwski pas na naboje śrutowe. Bobby zaczął go uzupełniać.

— Ojciec Tom też jest zarażony — powiedziałem wsadzając jeden z zapasowych magazynków z amunicją 9 mm do kieszeni koszuli.

— A ty jesteś zarażony? — spytał Bobby.

— Może. Mama musiała być. I tato.

— Jak to przeszło?

— Płyły ciała — wyjaśniłem umieszczając dwa magazynki za grubą czerwoną świecą na stole, gdzie nie mogły być dostrzeżone z okna. — A może inaczej.

Bobby spojrział na Saszę, która przełożyła pizzę na blachy do pieczenia.

Wzruszyła ramionami i powiedziała:

— Skoro Chris jest zarażony, to i ja.

— Rok mija, jak pierwszy raz wzięliśmy się za ręce — wyjaśniłem Bobby'emu.

— Chcesz sam podgrzać sobie pizzę? — zapytała Sasza.

— Nie. Za dużo zachodu. Nie przejmuj się, zarażaj mnie.

Zamknąłem pudełko z amunicją i położyłem na podłodze. Pistolet nadal miałem w kieszeni kurtki wiszącej na krześle. Sasza zajmowała się pizzami.

— Orson nie musi być zarażony — powiedziałem. — Rzecz w tym, że może być raczej nosicielem czy kimś takim.

Bobby toczył nabój do strzelby na kłykciach, jak magik monetę.

— Więc kiedy tryśnie ropa i zacznie się rzyganie? — zapytał.

— To nie taki rodzaj choroby. To raczej proces.

Znów zalśniła błyskawica. Piękna. I zbyt szybka, by wyrządzić mi jakąś szkodę.

— Proces — powtórzył zamyślony Bobby.

— Faktycznie nie chorujesz. Tylko... się zmieniasz.

Sasza wsunęła pizzę do piekarnika, by je podgrzać.

— A czyja była ta koszula, zanim ją dostałeś? — dociekała.

— Wtedy? W latach pięćdziesiątych? Kto wie? — zastanowił się Bobby.

— Czy dinozaury wtedy żyły? — zapytałem.

— Niewiele — rzekł Bobby.

— Z czego jest? — ciekawość nie opuszczała Saszy.

— Ze sztucznego jedwabiu.

— Wygląda znakomicie.

— Takich koszul się nie szarga — rzekł z powagą Bobby — je się szanuje.

Wyjąłem z lodówki coronę dla każdego oprócz Orsona. Z powodu dużej wagi psisko zwykle wypijało jedno piwo i dalej pewnie stało na nogach, ale tej nocy musiało mieć idealnie trzeźwy łeb. Reszta potrzebowała browarku; małe uspokojenie nerwów poprawi naszą skuteczność.

Gdy stojąc przy zlewie otwierałem butelki, błyskawica rozdarła niebo, nieskutecznie próbując wydrzeć deszcz z chmur. W błysku ujrzałem trzy pochylone postaci, pędzące od jednej wydmy do drugiej.

— Są już — oznajmiłem stawiając piwo na stole.

— Zawsze potrzebują trochę czasu, żeby zebrać się na odwagę — powiedział Bobby.

— Mam nadzieję, że dadzą nam czas, by zjeść kolację.

— Umieram z głodu — poskarżyła się Sasza.

— Dobra, więc jakie są podstawowe objawy tej niechoroby, tego procesu? — zapytał Bobby. — Czy na końcu będziemy wyglądać jak jakaś poskręcana huba dębowa?

— Niektórzy mogą przejść degenerację psychiczną, jak Stevenson — wyjaśniłem. — Niektórzy mogą też zmienić się fizycznie, nieznacznie. Mogą być i poważniejsze zmiany, z tego co wiem. Ale wygląda na to, że każdy przypadek jest inny. Niewykluczone, że niektórzy ludzie nie są dotknięci chorobą, przynajmniej dostrzegalnie, a inni naprawdę się zmienili.

Gdy Sasza musnęła z podziwem rękaw koszuli Bobby'ego, powiedział:

— Wzór jest z fresku Eugene'a Savage'a „Island Feast”.

— Guziki są naprawdę stylowe — szepnęła, wprowadzona teraz w nastrój.

— Totalnie stylowe — potwierdził Bobby, gładząc palcem jasnożółte, żłobione guziki, uśmiechnięty i dumny jak kolekcjoner-pasjonat doznający zmysłowej rozkoszy. — Polerowana skorupa kokosa.

Sasza wyjęła z szuflady i przyniosła do stołu papierowe serwetki.

Powietrze było gęste i wilgotne. Czuło się, że burza nadyma się jak balon. Wkrótce miał pęknąć.

Łyknąwszy lodowatej corony powiedziałem Bobby'emu:

— Dobra, bratku, zanim opowiem ci resztę, Orson zrobi ci mały pokaz.

— W razie potrzeby mam kompletną plastikową zastawę.

Wezwałem Orsona.

— Na kanapach w pokoju dziennym jest kilka poduszek. Jedna to prezent ode mnie. Przyniesiesz ją Bobby'emu?

Orson wyszedł z kuchni.

— Co się dzieje? — zdziwił się Bobby.

Sasza siadając z piwem uśmiechnęła się szeroko.

— Tylko zaczekaj. — Jej chiefs special kal. 0,38 był na stole. Przykryła broń serwetką. — Tylko zaczekaj.

Każdego roku Bobby i ja dawaliśmy sobie nawzajem prezenty na święta. Po jednym. Ponieważ mieliśmy wszystko, co potrzebne, wartość i użytkowość nie były kryteriami zakupu. Pomysł polegał na tym, żeby dać największe bezguście, jakie udało się znaleźć. Taka była uświęcona tradycja, wprowadziliśmy ów zwyczaj, kiedy mieliśmy dwanaście lat. W sypialni Bobby'ego, na półce, jest kolekcja ohydnych prezentów, które mu dałem; jedynie poduszka nie okazała się dość koszmarna, by tam wylądować.

Orson wrócił do kuchni z nie dość paskudnym artykułem w pysku i Bobby wziął poduszkę, udając, że wyczyn psa nie zrobił na nim wrażenia.

Na mierzącej dwadzieścia centymetrów na trzydzieści poduszce wyszyto napis. Wyrób był dziełem popularnego telewizyjnego kaznodziei i służył do zbierania datków. Napis nad ozdobnym brzegiem głosił: JEZUS ZJADA GRZESZNIKÓW I WYPLUWA ZBAWIONE DUSZE.

— Nie uważasz, że jest ohydny? — spytała z niedowierzaniem Sasza.

— Tak — powiedział Bobby zapinając na sobie pas z amunicją bez wstawiania z krzesła. — Ale nie dość ohydny.

— Mamy niesamowicie wysokie standardy — wyjaśniłem.

W rok po tym, jak obdarowałem Bobby'ego poduszką, dałem mu w prezencie porcelanową figurkę Elvisa Presleya. Elvis jest w jednym ze swoich najbardziej błyszczących vegasowych strojów koncertowych; biały jedwab i cekiny. Siedzi na sedesie w chwili śmierci. Ręce złożone do modlitwy, oczy uniesione do niebios, aureola nad głową.

W tej bożonarodzeniowej konkurencji Bobby ma utrudnioną pozycję startową, gdyż upiera się, by osobiście łączyć po sklepach w poszukiwaniu idealnych śmieci. Ja z powodu XP jestem skazany na zamówienia pocztowe i dysponuję taką ilością katalogów tych odpustowych artykułów, że wypełniłbym nimi regały Biblioteki Kongresu.

— Zgrabna sztuczka — przyznał Bobby, obracając poduszkę w dłoniach i patrząc ze zmarszczonym czołem na Orsona.

— Żadna sztuczka — zaprotestowałem. — W Wyvern z pewnością przeprowadza się wiele różnych eksperymentów. Jeden z nich polega na spotęgowaniu inteligencji ludzi, jak i zwierząt.

— Bujda.

- Prawda.
- Wariactwo.
- Całkowite.

Poleciałem Orsonowi zanieść poduszkę z powrotem, następnie pójść do sypialni, otworzyć przesuwane drzwi i wrócić z czarnym eleganckim pantoflem Bobby'ego. Kupił je zorientowawszy się, że na pogrzeb mojej mamy mógłby założyć tylko klapki, sandały i obuwie sportowe.

W kuchni rozchodził się zapach pizzy i pies wpatrywał się tęsknie w piekarnik.

— Dostaniesz swoją część — zapewniłem go. — Teraz zmiataj.

Gdy Orson ruszył z kuchni, Bobby go zatrzymał:

— Poczekaj.

Orson spojrzał na niego wyczekująco.

— Nie byle jaki but. I nie byle jaki elegancki pantofel. Przynies lewy pantofel.

Sapnąwszy, jakby uznał, że ta komplikacja jest bez znaczenia, Orson podążył wypełnić zlecenie.

Daleko nad Pacyfikiem rozżarzone schody błyskawic połączyły niebo z oceanem, jakby zapowiadając zejście archaniołów. Grom zatrzęsł oknami i odbił się w ścianach domku.

Na naszym spokojnym wybrzeżu rzadko zdarzają się tego rodzaju pirotechniczne pokazy. Wyglądało na to, że czeka nas ciężka burza.

Postawiłem na stole czerwony pieprz, papierowe talerze i tacki, na których Sasza położyła pizzę.

— Mungojerrie — powiedział Bobby.

— To imię ze zbioru wierszy o kotach.

— Brzmi pretensjonalnie.

— Jest miłe — zaprotestowała Sasza.

— Buras — powiedział Bobby. — To jest imię dla kota.

Podniósł się wiatr, trzęsąc osłoną wylotu wywietrznika na dachu i gwizdząc pod okapem. Nie byłem pewien, ale zdawało mi się, że słyszę dalekie, przypominające wołanie nura, krzyki gromady.

Bobby jedną ręką zmienił położenie strzelby leżącej obok na podłodze.

— Buras albo Miauczurka — powiedział. — Oto solidne kocie imiona.

Sasza odcięła kawałek pizzy pepperoni i odłożyła na bok do wystygnięcia dla Orsona.

Pies wrócił do kuchni z eleganckim trzewikiem w pysku. Pokazał go Bobby'emu. To był lewy but.

Bobby zaniósł go do kosza na śmieci.

— Nie chodzi o ślady zębów ani o ślinę — zapewnił Orsona. — Już nie zamierzam więcej chodzić w wieczorowych butach.

Przypomniałem sobie kopertę z bronią na moim łóżku, znaną poprzedniej nocy. Była lekko wilgotna i miała dziwne wgłębienia. Ślina. Ślady zębów. To Orson położył pistolet mojego ojca w takim miejscu, w którym musiałem go znaleźć.

Bobby wrócił do stołu i siadł wpatrzony w psa.

— No i...? — spytałem.

— Co?

— Wiesz co.

— Muszę to powiedzieć?

— No.

Westchnął.

— Czuję się tak, jakby wielka rycząca fala przyłożyła mi w łeb i odpływając wysała mózg.

— Jesteś hitem wieczoru — powiedziałem Orsonowi.

Sasza studziła kawałek pizzy dla psa, dbając o to, by ser nie był za gorący, nie przyglnął mu do podniebienia i nie sparzył. Postawiła talerz na podłodze.

Orson tłukł ogonem o nogi stołu i krzesel, udowadniając, że wysoka inteligencja niekoniecznie współgra z dobrymi manierami przy stole.

— Mizia — powiedział Bobby. — Proste imię. Kocie imię. Mizia.

Jedliśmy pizzę i piliśmy piwo, a trzy migocące świece dostarczały tyle światła, bym mógł przeglądać liniowane kartki, na których ojciec pozostawił mi zwięzły opis działalności w Wyvern, tajnych doświadczeń, które doprowadziły do katastrofy, i szczegóły udziału mojej matki. Chociaż tato nie był naukowcem i używał przeważnie języka laika, było tam bogactwo informacji.

— „Mały goniec” — powiedziałem. — Takiego określenia użył Lewis Stevenson zeszłej nocy, kiedy zapytałem go, co sprawiło, że się zmienił. „Mały goniec, który nigdy nie umrze”. Mówił o retrowirusie. Wygląda na to, że moja matka opracowała teoretyczny model retrowirusa... z możliwością selektywnej retranspozycji.

Podniosłem wzrok znad zapisków taty. Sasza i Bobby patrzyli na mnie wzrokiem pozbawionym wyrazu.

— Orson pewnie wie, o czym mówisz, bratku — wyznał Bobby — ale ja wyleciałem z college'u.

— A ja jestem didżejką — powiedziała Sasza.

— Do tego dobrą — przyznał Bobby.

— Dziękuję.

— Chociaż puszczasz za dużo Chrisa Isaaka — dodał.

Tym razem błyskawica nie zeszła z nieba, ale opadła pionowo, szybko, jak rozjaśniona ekspresowa winda z ładunkiem materiałów wybuchowych, eksplodujących po uderzeniu w ziemię. Wydawało się, że cały cypel podskakuje. Dom się zatrzęsł, a deszcz — prysznic odłamków — zagrzechotał po dachu.

— Może nie lubią deszczu — powiedziała Sasza spoglądając w okna. — Może będą trzymały się z dala.

Sięgnąłem do kieszeni kurtki wiszącej na krześle i wyjąłem glocka. Położyłem go na stole, w bliższym zasięgu i powtórzyłem sztuczkę Saszy z papierową serwetką.

— Podczas prób klinicznych naukowcy przeważnie stosowali wobec wielu chorób... AIDS, raka, chorób dziedzicznych... różne terapie genetyczne. Pomysł polega na tym, że jeśli pacjent ma pewne braki albo uszkodzenia genetyczne, zastępuje się złe geny sprawnymi kopiami lub uzupełnia braki, co pozwala komórkom lepiej zwalczać chorobę. Osiągano zachęcające wyniki. Rosły skromne sukcesy. A były także błędy, nieprzyjemne pomyłki.

— Zawsze jest jakaś Godzilla — powiedział Bobby. — W jednej minucie miasto wrze, całe szczęśliwe i dobrze prosperujące, a w następnej ta wielka jaszczurka zrównuje wszystko z ziemią.

— Problemem jest dostarczenie pacjentowi zdrowych genów. Przeważnie do transportu używa się uszkodzonych wirusów. Większość z nich to retrowirusy.

— Uszkodzonych? — powtórzył Bobby.

— To znaczy niezdolnych do reprodukcji. W ten sposób nie zagrażają ciału. Gdy tylko przeniosą ludzki gen do komórki, potrafią dokładnie wprowadzić go do chromosomów.

— Gońcy — powiedział Bobby.

— I kiedy zrobią swoje — zapytała Sasza — powinny umrzeć?

— Czasem nie giną szybko — powiedziałem. — Mogą doprowadzić do podrażnienia lub poważnej reakcji układu odpornościowego, zniszczenia wirusów i komórek, do których dostarczyło się geny. Więc niektórzy naukowcy badali sposoby modyfikacji retrowirusów, by upodobnić je do retrotranspozonów. Są to kawałki DNA pacjenta, które potrafią się mnożyć i wnikać w chromosomy.

— Oto nadchodzi Godzilla — powiedział do Saszy Bobby.

— Bałwanku, skąd się znasz na tych wszystkich bzdurach? — spytała. — Nie opowiadałeś ich czytając te kartki przez dwie minuty.

— Kiedy wiesz, że najbardziej jałowe opisy prac naukowych mogą ci uratować życie, jesteś gotów czytać je od deski do deski — powiedziałem. — Jeśli ktoś znalazłby sposób zastąpienia moich uszkodzonych genów sprawnymi kopiami, mój organizm potrafiłby produkować enzymy zdolne do naprawienia szkód, które światło wyrządza mojemu DNA.

— I wtedy koniec z Nocnym Robalem — powiedział Bobby.

— Żegnaj, świroświecie.

Odgłos kroków na werandzie zagłuszył hałas deszczu bijącego o dach. Spojrzeliśmy w tamtych kierunku. Wielki rezus wskoczył z werandy na parapet okna przy zlewie.

Futro miał mokre i zbite, tak że wyglądał na znacznie chudsze. Balansował zręcznie na wąskim występie i skubał drobną łapą pionowy słupek okienny. Przyglądał się nam ze, zdawałoby się, zwyczajną małpią ciekawością i sprawiałby niewinne wrażenie — gdyby nie groźne ślepie.

— Pewnie szybciej się zdenerwują, kiedy będziemy je ignorować — powiedział Bobby.

— Im bardziej zdenerwowane, tym bardziej nieostrożne — dodała Sasza.

Ugryzłem kolejny kawałek pizzy z kiebasą i cebulą. Stukając w stos kartek na stole rzekłem:

— Przeglądając trafiłem na akapit, w którym tato wyjaśnia, jak wiele zrozumiał z teorii mamy. Znalazła rewolucyjne nowe podejście na potrzeby pogranium Wyvern, takie przekształcenie retrowirusów, że bezpiecznie przenosiły geny do komórek pacjentów.

— Wyraźnie słyszę łapy wielkiej jaszczurki — powiedział Bobby. — CZŁAP, CZŁAP, CZŁAP, CZŁAP.

Małpa za oknem wrzasnęła na nas.

Spojrzałem w bliższe okno, koło stołu, ale niczego nie dostrzegłem.

Orson wsparł się przednimi łapami o stół i teatralnie wyrażał chęć na kolejny kawałek pizzy, wdzięcznie przymilając się Saszy.

— Wiesz, jak dzieci wykorzystują jednego rodzica przeciwko drugiemu — ostrzegłem ją.

— Jestem raczej jego bratową — powiedziała. — Zresztą to może być jego ostatni posiłek. Nasz też.

Westchnąłem.

— Dobrze. Ale jak nie zostaniemy zabici, to stworzymy fatalny precedens.

Druga małpa wskoczyła na parapet. Obie wrzeszczały i groźnie szczyrzyły zęby.

Sasza wybrała najcieńszy kawałek pizzy, pocięła go i położyła na psim talerzu na podłodze.

Orson zerknął z niepokojem na stwory w oknie, ale nawet widmo zagłady z łap naczelnych nie mogło zniszczyć jego apetytu. Skupił się na posiłku.

Jedna z małp zaczęła rytmicznie tłuc w szybę, wrzeszcząc coraz głośniejsze. Jej zęby były większe i ostrzejsze niż u przeciętnego rezusa, na tyle wielkie i ostre, że z powodzeniem odgrywała wymagającą rolę drapieżcy. Może była to cecha stworzona przez dowcipnych chłopców z Wyvern, pracujących nad nowymi broniąmi. W wyobraźni ujrzałem rozdarte pazurami gardło Angeli.

— Chce odwrócić naszą uwagę od czegoś innego? — zasugerowała Sasza.

— Nie wejdą do domu nie rozbijając szkła — zapewnił Bobby. — Usłyszymy to.

— W tym hałasie i w deszczu? — spytałem.

— Usłyszymy.

— Nie sądzę, że powinniśmy się rozchodzić do różnych pokojów, jeśli nie ma ku temu absolutnej konieczności — powiedziałem. — Są na tyle inteligentne, by znać zasadę „dziel i rządź”.

Kolejny raz zlustrowałem najbliższe okno, ale na tamtym odcinku werandy nie było żadnej małpy. Jedynie deszcz i wiatr przesuwwały się na mrocznych wydmach za balustradą.

W oknie nad zlewem małpie udało się odwrócić plecami i nadal utrzymać na parapecie. Piszcziała jakby ze śmiechu, wypinając nagi, wstrętny tyłek.

— Więc co się stało, kiedy wszedłeś na plebanię? — chciał się dowiedzieć Bobby.

Czując, że czas ucieka, szybko podsumowałem wydarzenia na strychu, w Wyvern i domu Ramireza.

— Manuel dołączył do stada — powiedział Bobby, smutno kręcąc głową.

— Uuuch — westchnęła Sasza.

Samiec zwrócony do nas głową, obsikiwał obficie okno.

— Proszę, nowość — zauważył Bobby.

Kolejne małpy zaczęły wyskakiwać w powietrze, jak kukurydza prażona na gorącym oleju, pojawiały się i znikwały. Wszystkie piszczały i wrzeszczały. Wydawało się, że są ich całe zastępy, chociaż na pewno było to wciąż te same pół tuzina skaczącego, wirującego żywego popcornu.

Dopiłem piwa.

Utrzymanie spokoju stawało się z każdą minutą trudniejsze. Nawet udawanie spokoju przekraczało mój zasób energii i skupienia.

— Orson, to byłby niezły pomysł, gdybyś przespacerował się po domu — powiedziałem.

Zrozumiał i natychmiast ruszył na obchód. Zdążyłem go jeszcze ostrzec:

— Żadnych bohaterskich wyczynów. Jak zauważysz, że coś nie tak, szczekaj, aż ci łeb odpadnie, i biegnij zaraz do mnie.

Zniknął nam z oczu.

Natychmiast pożałowałem, wydając mu takie polecenie, chociaż byłem pewny, że postąpiłem właściwie.

Pierwsza małpa opróżniła pęcherz, a teraz druga skierowała się ku nam i wypuściła strumień moczu. Inne szalały po poręczy balustrady i huśtały się na okapie dachu.

Bobby siedział dokładnie na wprost okna przy stole. Spoglądał na stosunkowo spokojny wycinek pejzażu równie podejrzliwie jak ja.

Pioruny chyba przeszły, ale kanonady gromów nadal huczały nad oceanem. Zdawały się podniecać gromadę.

— Słyszałem, że ten nowy film Brada Pitta jest naprawdę super — powiedział Bobby.

— Nie widziałam go — przyznała się Sasza.

— Ja zawsze czekam na kasetę — przypomniałem mu.

Coś usiłowało wejść tylnymi drzwiami. Gałka zagrzechotała i zaskrzypiała, ale zamek trzymał pewnie.

Małpy za oknem znikły. Dwie kolejne dały susa z werandy i zajęły ich miejsce. Obie zaczęły sikać na okno.

— Nie będę tego zmywał — stwierdził Bobby.

— No, ja na pewno nie — oświadczyła Sasza.

— Może w ten sposób dadzą ujście agresji, wściekłości i po prostu odejdą — powiedziałem.

Wyglądało na to, że Bobby i Sasza studiowali sarkastyczne miny na tym samym uniwersytecie.

— A może nie — przyznałem po zastanowieniu.

Z ciemności wyleciał kamyczek wielkości pestki wiśni i uderzył o okno. Sikające małpy zeskoczyły, zmykając z linii strzału. Szybko przyleciały następne kamyczki, tłukąc jak grad.

Żaden nie uderzył w najbliższe okno.

Bobby chwycił strzelbę z podłogi i położył na kolanach. Kiedy ogień zaporowy osiągnął szczyt napięcia, nagle ustał.

Rozgorączkowane małpy wrzeszczały jeszcze zapalczywiej. Potęgujące się krzyki były ostre, niesamowite i zdawały się mieć nadnaturalne działanie, nasączały noc tak demoniczną energią, że deszcz siekł w domek mocno jak nigdy. Bezlitosne młoty gromów rozbiły skorupę nocy i kolejny raz jasne zęby piorunowych wideł zanurzyły się w darń nieba.

Kamień, większy od poprzednich, odbił się od okna za zlewem; TRZASK! Zaraz po nim przyleciał kolejny tej samej wielkości, ciśnięty z większą energią niż poprzednio.

Szczęściem łapy małp były zbyt drobne, by utrzymać broń i operować pistoletem czy rewolwerem; a przy stosunkowo drobnej masie ciała odrzut broni rzuciłby je na ziemię. Te stwory z pewnością były na tyle inteligentne, by rozumieć cel i sposób działania broni krótkiej, ale przynajmniej horda geniuszy w Wyvern nie zdecydowała się na pracę z goryłami. Chociaż gdyby przyszło im to głowy, natychmiast zaczęliby szukać funduszy i nie tylko wyszkoliliby te wielkie małpy w używaniu broni palnej, ale zapoznaliby je ze skomplikowanymi projektami broni nuklearnej.

Kolejne dwa kamienie uderzyły w okno.

Opuściłem dłoń na telefon komórkowy u pasa. Teoretycznie ktoś powinien udzielić nam pomocy. Nie policja, nie FBI. Zaprzyjaźnieni funkcjonariusze policji z Moonlight Bay prawdopodobnie zapewniliby ogień osłonowy małpom. Gdybyśmy porozumieli się z najbliższą placówką FBI i okazali się bardziej prawdomówni niż wszelcy

rozmówcy zgłaszający porwanie przez latające spodki, rozmawialibyśmy z wrogiem; Manuel Ramirez powiedział, że decyzja o pozostawieniu tego koszmaru samemu sobie zapadła na „bardzo wysokim szczeblu”. Uwierzyłem mu.

Jak żadne wcześniejsze pokolenie zdaliśmy się na innych, przekazaliśmy nasze życie i przyszłość zawodowcom i ekspertom, którzy przekonali nas, że mamy zbyt małą wiedzę lub inteligencję do podejmowania decyzji o zarządzaniu społeczeństwem. Oto konsekwencja naszej łatwowierności i lenistwa. Apokalipsa z naczelnymi.

Jeszcze większy kamień walnął w okno. Szybka pękła, ale nie rozleciała się.

Wziąłem ze stołu dwa zapasowe magazynki z nabojami 9 mm i wsadziłem do kieszeni dżinsów.

Sasha wsunęła dłoń pod zmiętą serwetkę ukrywającą chiefs speciala. Poszedłem za jej przykładem i zacisnąłem dłoń na glocku.

Popatrzyliśmy na siebie. Fala lęku zalała jej oczy i byłem pewien, że w moim spojrzeniu także dostrzegła strach. Próbowałem uśmiechnąć się uspokajająco, ale miałem wrażenie, że twarz pęka mi, jakby była z gipsu.

— Wszystko będzie dobrze. Didżejka, surfowszczyk buntwoszczyk i Człowiek Słoń. Idealna drużyna do uratowania świata.

— Nie wykańczajcie natychmiast pierwszych, które wejdą — rozkazał Bobby. — Niech wlezie ich więcej. Zwlekajcie, ile się da. Niech poczują się pewnie. Zwabcie te gnojki. Dajcie mi pierwszemu otworzyć ogień, nauczyć ich szacunku. Ze strzelby nie muszę nawet celować.

— Tajes!, generale Bob — odpowiedziałem.

Drugi, trzeci, czwarty kamień — wielkości pestki brzoskwini — uderzyły w okno. Pękła druga szyba i utworzyła się kolejna rysa, jak gałąź błyskawicy.

Doznawałem przemieszczenia organów wewnętrznych, które zafascynowałyby każdego lekarza. Żołądek wcisnął mi się w płuca i doszedł do podstawy tchawicy, podczas gdy rozbujane serce opadło w miejsce zajmowane poprzednio przez żołądek.

Pół tuzina większych kamieni załomotało silniej niż poprzednio, rozbiły dwa duże okna i obie szyby roztrzaskały się wpadając do środka. Rozległ się kruchy brzęk i deszcz szkła zalał nierdzewny zlew, granitowe lady, podłogę. Parę odłamków doleciało aż do stołu i zamknąłem na krótko oczy, gdy ostre szczątki zadźwięczały na blacie i wbiły się w resztki zimnej pizzy.

Otworzyłem powieki sekundę później i dwie wrzeszczące małpy, każda wielka jak ta opisana przez Angelę, były znowu w oknie. Bojąc się połamanego szkła i nas, para wskoczyła do środka, na ladę. Wiatr hulał wokół nich, szarpiąc futrem zmierzwionym przez deszcz.

Jedna z nich zerknęła w kierunku schowka na miotły, gdzie zwykle spoczywała zamknięta strzelba. Od pojawienia się nie widziały, by ktoś z nas zbliżał się do schowka i nie mogły zauważyć dubeltówki na kolanach Bobby'ego.

Bobby popatrywał na nie, ale bardziej interesował się oknem naprzeciwko, po drugiej stronie stołu.

Dwa zgarbione, szybkie stwory poruszały się wzdłuż lady, od strony zlewu. W słabo oświetlonej kuchni złowrogie żółte ślepia błyszczały jak płomyki skaczące na kopających knotach.

Intruz po lewej trafił na opiekacz do grzanek i ze złością rzucił go na podłogę. Wtyczka wyleciała z gniazdka w snopie iskier.

Przypomniałem sobie opowieść Angeli o rezusie tak silnie bombardującym ją jabłkami, że rozciął jej wargę. Bobby nie zagracał kuchni, ale jeśli te bestie otworzyłyby szafki i zaczęły ciskać szkłem i talerzami, mógłby narobić poważnych szkód, mimo że dysponowaliśmy przewagą ogniową. Duży talerz wirujący jak plastikowy dysk do zabawy na plaży, trafiając w garbek nosa może być równie skuteczny jak pocisk.

Kolejne stwory o okrutnych ślepiach wskoczyły z werandy na okno. Obnażyły zęby i zasyczały.

Papierowa serwetka na dłoni Saszy wyraźnie drżała — i to nie dlatego, że powodem był przeciąg.

Mimo wrzasku-skrzeku-syku intruzów, mimo wycia marcowego wiatru z wybitych okien, sunących gromów i bębniącego deszczu wydawało mi się, że słyszę Bobby'ego nucącego pod nosem. Nie zwracał prawie uwagi na małpy w głębi kuchni, koncentrował się wyraźnie na nietkniętym oknie naprzeciwko stołu — i poruszał ustami.

Być może ośmielone brakiem reakcji z naszej strony, być może wierząc, że sparaliżował nas strach, dwa coraz bardziej podniecone stwory w wyłamanym oknie wsunęły się do środka i rozeszły w dwóch przeciwnych stronach wzdłuż lady, tworząc nowe pary z pierwszymi intruzami.

Albo Bobby zaczął śpiewać głośniej, albo groza wyostrzyła mój słuch, bo nagle poznałem piosenkę. „Daydream Believer”. Megahit z przeszłości nagrany przez „The Monkees”, „Małpy”.

Sasza też musiała to usłyszeć, bo powiedziała:

— Hit z przeszłości.

Kolejni dwaj członkowie gromady wspięli się na okno nad zlewem, łapiąc za framugę. Ślepia płonęły im piekielnym ogniem, skrzeczały na nas z małpią wściekłością.

Czwórka w kuchni wrzeszczała jeszcze głośniej, skakała po ladzie, wymachiwała pięściami, pokazywała zęby i pluła na nas.

Były inteligentne, ale nie dosyć inteligentne. Wściekłość zmąciła im rozeznanie.

— Fala sztormowa — powiedział Bobby.

Teraz my!

Zamiast odsunąć się z krzesłem, płynnym ruchem wstał i podniósł broń, jakby miał za sobą zarówno szkolenie wojskowe, jak i występy w balecie. Płomień plunął z lufy

i pierwsze ogłuszające uderzenie trafiło ostatnio przybyłe stwory, zdmuchnęło na zewnętrz, jakby były tylko wypchanymi zabawkami. Drugi wystrzał ściał parę po lewej stronie zlewu.

W uszach mi dzwoniło, jakbym był w środku bijącego katedralnego dzwonu i chociaż huk broni w zamkniętej przestrzeni był na tyle głośny, aby spowodować dezorientację, stanąłem na nogach, zanim dubeltówka wystrzeliła po raz drugi. Sasza też wstała, odwróciła się i wystrzeliła dwa razy do pozostałych intruzów, podczas gdy Bobby załatał numery trzeci i czwarty.

Kuchnia trzęsła się od huku palby, gdy najbliższe okno wyleciało, a wybuch poszedł prosto na mnie. Surfując w powietrzu na kaskadzie szkła, wrzeszczący rezus wylądował pośród nas. Przewrócił dwie z trzech świec i zgasił pozostałą. Woda bryznęła mu z futra. Blacha z pizzą, wirując, spadła na podłogę.

Podniosłem glocka, ale ostatni przybysz rzucił się Saszy na plecy. Gdybym strzelił do tego draństwa, pocisk na pewno by je przeszył i zabił również ją.

Zanim kopniakiem odrzuciłem na bok krzesło i obiegłem stół, Sasza krzyczała przeraźliwie, a piszcząca małpa była na jej plecach, szarpiąc za włosy. Sasza odruchowo opuściła trzydziestkęósemkę, sięgając na oślep za siebie. Rezus spróbował ugryźć ją w dłoń, ale tylko głośno kłapnął zębami w powietrzu. Sasza leżała wygięta na stole, a napastnik jeszcze bardziej odciągał jej głowę w tył, aby odsłonić gardło.

Rzuciłem glocka na stół i złapałem stwora od tyłu, prawą ręką za gardło, lewą za skórę i futro między łopatkami. Przekręciłem lewą rękę tak gwałtownie, że małpa wrzasnęła z bólu. Jednakże nie puściła Saszy i kiedy próbowałem ją oderwać, ona z kolei próbowała wydrzeć Saszy włosy razem z cebulkami.

Bobby przeładował strzelbę i oddał trzeci strzał. Ściany domku zatrzęsyły się, jakby rozpoczęło się trzęsienie ziemi, i pomyślałem, że to koniec z ostatnią parą intruzów, ale gdy usłyszałem klnącego Bobby'ego, wiedziałem, iż pojawiły się następne kłopoty.

Oświetlona płonącymi żółtymi ślepiami, bardziej niż gasnącymi płomykami świec kolejna para małp, totalni kamikadze, wdarła się przez okno nad zlewem.

A Bobby ładował broń.

W innej części domku ujadął Orson. Nie wiedziałem, czy gna dołączyć do bójki, czy wzywa pomocy.

Usłyszałem siebie samego klnącego soczyście. Warczałem zażarcie jak zwierzę. Złapałem rezusa obiema rękami za gardło. Dusił się, dusił, aż wreszcie nie miał wyboru i musiał puścić Saszę. Małpa mogła ważyć około dwunastu kilogramów, mniej niż jedną szóstą mojej wagi, ale składała się z samych kości, mięśni i kipiącej wściekłości. Piszcząc cienko i plując walczyła o oddech, usiłowała zgiąć głowę, by ugryźć ręce zaciśnięte na jej szyi. Wyrывała się, wiła, kopała, miotała całym ciałem i nie łatwiej byłoby utrzymać węgorza, ale byłem tak wściekły na gnojka za to, co chciał zrobić Saszy, że dłonie miałem jak z żelaza, i wreszcie poczułem, że skręciłem mu kark. Zwiotczał, ścierwo, i upuściłem go na podłogę.

Dławiąc się obrzydzeniem, łapiąc kurczowo oddech, podniosłem glocka. Sasza odzyskała chiefs special i podeszła do wybitego okna koło stołu. Otworzyła ogień na zewnątrz.

Mimo że ostatnie dwie małpy błyskały ślepiami, Bobby ładując broń najwidoczniej stracił je z oczu. Podeszedł do kontaktu przy drzwiach. Teraz podsunął rezystor na tyle, że musiałem zmrużyć oczy.

Jeden z małych drani stał na ladzie obok kuchenki. Wziął najmniejszy z noży wiszących na wieszaku i zanim któryś z nas zdążył otworzyć ogień, cisnął nim w Bobby'ego.

Nie wiem, czy gromada zajmowała się nauką prostych technik walki, czy małpa miała szczęście. Nóż obracał się w powietrzu i utkwiał w prawym barku Bobby'ego.

Bobby upuścił strzelbę.

Strzeliłem dwukrotnie do nożownika. Zatoczył się w tył i upadł na palniki, zdechły.

Inna małpa mogła usłyszeć stare powiedzonko, że ostrożność to lepsza połowa odwagi, bo podwinęła ogon i uciekła przez okno. Posłałem za nią dwie kule, ale chybiłem.

Przy innym oknie Sasza, ze zdumiewającym spokojem i pewnymi dłońmi, wyjęła ładownik i wsunęła do trzydziestkiósemki. Obróciła go, zręcznie napełniając wszystkie komory, odrzuciła na podłogę i wcisnęła bębenek na miejsce.

Zastanawiałem się, jaka szkoła dziennikarki radiowej oferowała przyszłym didżejkom kursy posługiwania się bronią i działania w warunkach bojowych. Ze wszystkich ludzi w Moonlight Bay Sasza stwarzała wrażenie jedynej osoby będącej w istocie tym, kim wydawała się być. Teraz podejrzewałem, że miała kilka sekretów.

Oddała kilka następnych strzałów. Nie wiem, czy widziała jakieś cele, czy jedynie prowadziła ogień zaporowy, mający zniechęcić resztki gromady.

Wyrzuciłem na wpół opróżniony magazynek, wcisnąłem pełny. Podeszedłem do Bobby'ego, który wyciągał nóż z barku. Wyglądało na to, że ostrze zagłębiło się na kilka centymetrów, ale plama krwi na koszuli była spora.

— Poważnie? — spytałem.

— Niech to szlag!

— Wytrzymasz?

— To była moja najlepsza koszula!

Może nic mu nie groziło.

Z frontowych pomieszczeń dobiegało szczekanie Orsona, przerywane piskami grozy.

Wsadziłem glocka z tyłu za pas, porwałem strzelbę Bobby'ego, która była teraz naładowana, i pobiegłem w kierunku psich odgłosów.

Światła w pokoju dziennym były włączone, ale przygaszone, tak jak je zostawiliśmy. Rozjaśniłem je trochę. Jedno z dużych okien było wybite. Wyjący wiatr niósł deszcz na

werandę i do pokoju. Cztery wrzeszczące małpy przykucnęły na oparciach foteli i poręczach kanap. Kiedy światła pojaśniały, rezusy skierowały ku mnie łby i zaszczały jak jedna.

Bobby liczył, że gromada składa się z ośmiu, dziesięciu osobników, ale wyraźniej liczyła sobie więcej. Do tej pory ujrzałem dwanaście czy czternaście i pomimo że były na wpół oszalałe z wściekłości i nienawiści, nie sądzę, by okazały się na tyle nierozważne — lub głupie — że poświęciłyby większość swojej społeczności na pojedynczy atak. Przebywały na wolności dwa, trzy lata. Masa czasu na rozplód.

Orson był na podłodze otoczony przez ów kwartet potworów, które znów zaczęły na niego wrzeszczeć. Niespokojnie krążył w kółko, usiłując mieć wszystkie na oku.

Jedna była w takiej odległości i pod takim kątem, że nie musiałem się obawiać, iż rykoszet trafi psa. Strzeliłem bez wahania. Rozprysk śrutu i małpich flaków był taki, że Bobby'ego czekało wyłożenie pięciu tysięcy zielonych na renowację.

Pozostałe piszcząc skakały z jednego mebla na drugi, zmierzając do okna. Załatwiłem kolejnego stwora, ale trzeci wystrzał zrobił tylko dziurę w ścianie wyłożonej tekową boazerią i zwiastował Bobby'emu kolejne pięć, dziesięć kawałków kosztów renowacji.

Odrzuciłem strzelbę, sięgnąłem za plecy i wyciągnąłem glocka. Ruszyłem za dwiema małpami, które uciekały przez okno na frontową werandę... i prawie uniosłem się w powietrze, gdy nagle ktoś złapał mnie od tyłu. Potężne ramię zacisnęło się na mojej szyi, dławiąc dopływ powietrza, a czyjaś ręka wyrwała mi glocka.

W następnej sekundzie wleciałem w powietrze i frunałem jak piórko. Grzotnąłem w niski stoliczek, który załamał się pode mną.

Rozciągnięty na plecach na szczątkach mebla podniosłem wzrok i zobaczyłem Carla Scorso. Widziany z podłogi był jeszcze większy niż naprawdę. Łysa głowa. Kolczyk. Chociaż zwiększyłem światła, pokój na tyle tonął w mroku, że widziałem zwierzęce lśnienie oczu.

To on przewodził gromadzie. Byłem o tym przekonany. Miał na sobie sportowe obuwie, dzinsy i flanelową koszulę, a na ręce zegarek i gdyby podczas policyjnej konfrontacji kazano mu stanąć w rzędzie z czterema goryłami, nikt nie miałby najmniejszych wątpliwości, że jest jedynym człowiekiem. A jednak mimo ubrania i ludzkiej postaci było w nim coś nieludzkiego, nie tylko z powodu osobliwie lśniących oczu, ale dlatego że rysy wykrzywił mu grymas, który nie wyrażał żadnego ludzkiego uczucia. Chociaż ubrany, równie dobrze mógł być nagi; chociaż gładko ogolony od szyi do szczytu czaszki, równie dobrze mógł być owłosiony jak małpa. Jeśli prowadził podwójne życie, było jasne, że lepiej przystosował się do życia, jakie prowadził w nocy, z gromadą, niż do tego, czym żył za dnia, poruszając się wśród tych, którzy nie byli odmieńcami jak on.

Trzymał glocka w wyprostowanej ręce, jakby przeprowadzał egzekucję, celując mi w twarz. Orson warcząc rzucił się na niego, ale Scorso był szybszy. Wymierzył psu solidnego kopniaka w łeb. Orson padł na podłogę i został na podłodze. Nawet nie zapisał, nie zadygotały mu łapy.

Serce osunęło mi się jak kamień w studni.

Scorso wycelował i strzelił mi w twarz. Tak to przynajmniej przez chwilę wyglądało. Ale ułamek sekundy wcześniej, zanim pociągnął za spust, Sasza strzeliła mu w plecy z głębi pokoju i trzask, który do mnie dobiegł, to był odgłos jej chiefs speciala.

Scorso drgnął pod wpływem wystrzału i chybił. Drzazgi poleciały z tekowej podłogi trafionej za moją głową.

Ranny, ale mniej oszołomiony niż każdy z nas w razie trafienia, Scorso odwrócił się błyskawicznie, równocześnie strzelając raz za razem. Sasza padła na podłogę i wytoczyła się z pokoju, tak że Scorso opróżnił magazynek w miejsce, w którym stała poprzednio. Wciąż naciskał spust, mimo że magazynek był pusty. Gęsta czarna krew spływała mu po flanelowej koszuli.

Wreszcie rzucił glocka, odwrócił się do mnie i wydawał się rozważać, czy ma rozdeptać mi twarz, czy wyrwać gałki oczne i zostawić oślepionego, umierającego. Zrezygnowawszy z obu przyjemności, ruszył do wyłamanego okna, przez które uciekły ostatnie dwie małpy. Akurat wyłaził na werandę, gdy znów pojawiła się Sasza i, co niewiarygodne, ruszyła za nim.

Krzyknąłem, żeby dała sobie spokój, ale miała tak szalony wyraz twarzy, że nie byłbym zaskoczony widząc w jej oczach tamten koszmarny blask. Przebiegała pokój dzienny i znalazła się na werandzie, zanim jeszcze zdążyłem wstać.

Z zewnątrz trzasnął chiefs special. Raz, drugi i trzeci.

Chociaż teraz było jasne, że Sasza potrafi sama dać sobie radę, chciałem pobiec za nią i przywlec z powrotem. Nawet gdyby wykończyła Scorso, na dworze czaiło się więcej małp, niż nawet pierwszorzędna didżejka mogła sobie wyobrazić — i noc była ich domeną, nie jej.

Zahuczał czwarty strzał. Piąty.

Zawahałem się, bo Orson leżał nieruchomo, wydawało mi się, że nie oddycha. Był martwy lub nieprzytomny. Jeśli nieprzytomny, może potrzebował natychmiastowej pomocy. Dostał kopniaka w łeb. Nawet jeśli był żywy, pozostawało niebezpieczeństwo uszkodzenia mózgu.

Zdałem sobie sprawę, że płaczę. Zapanowałem nad żalem. Pohamowałem łzy. Jak zawsze.

Bobby szedł do mnie przez pokój, jedną rękę zaciskając na zranionym barku.

— Pomóż Orsonowi — powiedziałem.

Nie wierzyłem, że nie mogę mu pomóc, ponieważ samo dopuszczenie owej myśli do świadomości mogłoby ją uprawdopodobnić.

Pia Klick zrozumiałaby mnie.

Może Bobby też teraz rozumiał.

Omijając meble i trupy małp, miażdżąc szkło, podbiegłem do okna. Srebrne warkocz zimnego deszczu, niesionego wiatrem, wpadały między ostrymi odłamkami szkła, które sterczały z ramy okna. Przebiegłem przez werandę, zeskoczyłem po stopniach i ruszyłem w serce ulewy, w kierunku Saszy, stojącej dziesięć metrów dalej wśród wydm.

Carl Scorso leżał twarzą w piasku.

Przemoczona i drżąca stała nad nim wciskając trzeci, ostatni ładownik w rewolwer. Podejrzewałem, że wsadziła w Scorso większość, jeśli nie wszystkie kule, które słyszałem, ale chyba uznała, że jeszcze kilka nie zawadzi.

Scorso podrygiwał i wbijał rozcapierzone dłonie w piasek, jakby chciał się w nim zagrzebać niczym krab.

Trzęsąc się ze zgrozy, pochyliła się nad nim i wystrzeliła ostatnią kulę, tym razem w potylicę. Gdy się do mnie odwróciła, płakała. Nie próbowała powstrzymać łez.

Ja już nie płakałem. Powiedziałem sobie, że któreś z nas musi wziąć się w garść.

— Hej — powiedziałem łagodnie.

Padła mi w ramiona.

— Hej — szepnęła z ustami na mojej szyi.

Objąłem ją.

Deszcz lał takimi gęstymi strugami, że nie widziałem świateł miasteczka, kilometr na wschód. Moonlight Bay mogło rozpuścić się pod tym potopem z niebios, zostać zmyte, jakby było jedynie kunsztownym zamkiem z piasku.

Ale było tam z pewnością. Czekają, aż ta burza minie i kolejna, i kolejne aż do końca świata. Nie dało się uciec przed Moonlight Bay. Nie my. Nigdy. Mieliśmy je — jak najbardziej dosłownie — w naszej krwi.

— Co zrobimy? — spytała, nadal ściskając mnie mocno.

— Będziemy żyć.

— Wszystko się pochrzaniło.

— Już wcześniej było pochrzanione.

— Oni wciąż gdzieś tam są.

— Może zostawią nas w spokoju... na razie.

— Gdzie stąd pójdziemy, bałwanku?

— Z powrotem do domu. Napić się piwa.

Ciągle drżała i to nie z powodu deszczu.

— A potem? Nie możemy wiecznie pić piwa.

— Jutro przyjdzie wielka fala.

— Czy to będzie takie proste?

— Trzeba dosiadać tych wielkich fal, póki są.

Wróciliśmy do domu, gdzie zastaliśmy Orsona i Bobby'ego siedzących na szerokich stopniach werandy. Było dosyć miejsca, byśmy mogli usiąść obok nich.

Żaden z moich braci nie był w życiowej formie.

Bobby uważał, że wystarczy mu bandaż i jodyna:

— Rana jest płytka i ma ledwo centymetr z góry na dół.

— Współczuję z powodu koszuli — powiedziała Sasza.

— Dzięki.

Orson popiskując wstał, chwiejnie zszedł po schodach i wyrzygał się w piasek. To była noc wyrzygiwania tego, co się wcześniej połknęło.

Nie mogłem oderwać od niego oczu. Trząśłem się z przerażenia.

— Może powinniśmy zabrać go do weterynarza? — spytała Sasza.

Pokręciłem głową. Żadnych weterynarzy. Nie będę płakał. Nie płaczę. Na jaką go-rycz się narażasz, dusząc w sobie zbyt wiele łez?

— Nie ufałbym żadnemu weterynarzowi w mieście — powiedziałem, kiedy mogłem mówić. — Pewnie też w tym siedzą, współpracują. Jeśliby zdali sobie sprawę, że jest jednym ze zwierząt z Wyvern, mogliby go mi zabrać, odesłać do laboratoriów.

Orson stał z łbem uniesionym w górę, jakby oczyszczając się deszczem.

— One wrócą — stwierdził Bobby, mając na myśli małpy.

— Nie dziś — odparłem. — I może jeszcze długo nie.

— Ale wcześniej czy później.

— No.

— I kto jeszcze? — zastanawiała się Sasza. — Co jeszcze?

— Tam jest chaos — odparłem, wspominając słowa Manuela. — Kompletnie nowy świat. Kto, do diabła, wie, co w nim jest... albo co się akurat urodziło?

Mimo wszystkiego, co widzieliśmy, i czego się dowiedzieliśmy o programie Wyvern, być może dopiero w tym momencie, na stopniach werandy, uwierzyliśmy w głębi serca, że żyjemy w sąsiedztwie końca cywilizacji, na krawędzi Armageddonu. Gęsty i nieustanny deszcz, jak bębny Sądu Ostatecznego, bił w świat. Ta noc była jak żadna inna na ziemi i nie poczulibyśmy się bardziej obco, gdyby chmury rozstały się, odsłaniając trzy księżycy zamiast jednego i niebo pełne nieznanomych gwiazd.

Orson napił się deszczówki z kałuży na najniższym stopniu schodów. Potem wspiął się do mnie z większą pewnością siebie, niż schodząc. Niepewnie, używając szyfru kiwniecie-na-tak-kręcenie-łbem-na-nie, przepytalem go, czy nie doznał wstrząsu mózgu lub czegoś gorszego. Był w porządku.

— Jezu — odetchnął Bobby. Nigdy nie słyszałem, by był równie poruszony.

Wszedłem do środka i przyniosłem cztery piwa oraz miskę, na której Bobby kiedyś napisał „RÓŻYCZKA”.

— Kilka obrazów Pia oberwało śrutem — powiedziałem.

— Zwalimy na Orsona — wymyślił Bobby.

— Nie ma niczego równie niebezpiecznego, jak pies z dubeltówką — zauważyła Sasza.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, słuchając deszczu i oddychając cudownym świeżym powietrzem.

Widziałem trupa Scorso na piasku. Teraz Sasza była zabójcą, jak ja.

— To dopiero jest życie — powiedział Bobby.

— Totalne — przytaknąłem.

— Niemożebnie niewąskie.

— Wariackie — podsumowała Sasza.

Orson mruknął.

34

Tamtej nocy owinęliśmy trupy małą w płachty. To samo zrobiliśmy z ciałem Scorso. Wciąż spodziewałem się, że usiądzie i wyciągnie do mnie rękę, wlokąc z sobą bawełniany zwój, jakby był mumią z dawnych filmów, zrobionych w epoce, w której ludzie bardziej obawiali się nadnaturalnego, niż jak to jest dzisiaj — realnego świata. Władowaliśmy je do explorera.

Bobby miał w garażu stos plastikowych płacht, zostawionych przez malarzy, którzy od czasu do czasu konserwowali tekowe boazerie. Przymocowaliśmy je zszywaczem do ram, zasłaniając wybite okna najlepiej, jak się dało.

O drugiej nad ranem Sasza zawiozła naszą czwórkę na północno-wschodni krańiec miasta, w górę długiego podjazdu, obok wdzięcznych kalifornijskich pieprzowców, które czekały jak szereg oplakujących żałobników podczas burzy, obok betonowej piety. Zatrzymaliśmy się pod portykiem wielkiego georgiańskiego domu.

Nie paliły się żadne światła. Nie wiem, czy Sandy Kirk spał, czy nie. Wyładowaliśmy trupy, robiąc stos przed frontowymi drzwiami.

Gdy odjeżdżaliśmy, Bobby powiedział:

Pamiętasz, jak przyjeżdżaliśmy tu jako chłopcy, żeby podglądać ojca Sandy'ego przy pracy?

— No.

— Wyobraź sobie, że któreś nocy znaleźlibyśmy coś takiego na jego progu.

— Super.

Należało zająć się sprzątnięciem i reperacjami w domu Bobby'ego, ale nie byliśmy gotowi do tej pracy. Pojechaliśmy do Saszy; spędziliśmy resztę nocy w jej kuchni, rozjaśniając sobie w głowach kolejnymi puszkami piwa i przeglądając zapiski mojego ojca o powstawaniu nowego świata, naszego nowego życia.

Moja matka wymarzyła sobie rewolucyjne podejście do budowy retrowirusów, przenoszących geny do komórek pacjentów — lub obiektów doświadczeń. W tajnym laboratorium w Wyvern światowej klasy zespół naukowców zrealizował jej wizję. Ci gońcy, te nowe mikroby, osiągnęły niesłychany spektakularny sukces, okazując się bardziej selektywne, niż ktokolwiek zamarzył.

— Wtedy pojawiła się Godzilla — jak powiedział Bobby.

Nowy retrowirus, chociaż kaleki, okazał się tak inteligentny, że nie tylko dostarczał paczkę materiału genetycznego, ale wybierał paczkę z DNA pacjenta — lub testowanego zwierzęcia — do zastąpienia przez to, co dostarczał. W ten sposób stawał się posłańcem w obu kierunkach, przynosząc i wynosząc materiał genetyczny.

Wyłapywał także inne wirusy obecne w ciele obiektu, wybierał pewne cechy i przyswajał je sobie. Przechodził mutację radykalniej i szybciej niż jakikolwiek poprzedni mikrob. Mutacje mnożyły się szaleńczo, w ciągu godzin tworząc zupełnie nowe organizmy. Mikroby potrafiły się również reprodukować, mimo że były uszkodzone.

Zanim ktokolwiek w Wyvern załapał, co się dzieje, nowe stworki mamy wynosiły tyle samo materiału genetycznego ze zwierząt poddanych eksperymentom, co przynosiły — i wymieniały go nie tylko między zwierzętami, ale równie między naukowcami i innymi pracownikami w laboratoriach. Zakażenie następowało nie tylko przez kontakt z płynami ciała. Wystarczył kontakt ze skórą, najmniejsza ranka lub zadrapanie; rozcięcie papierem, zacięcie przy goleniu.

W przyszłości, gdy każdy z nas będzie skażony, pozyska ładunek nowego DNA, innego niż ten, który otrzyma ktoś inny. Rezultaty będą jednostkowe. Niektórzy z nas wcale nie zmienią się w sposób zauważalny, bo otrzymamy tylko kawałeczki z tak wielu źródeł, że nie zaistnieje żaden skumulowany efekt. Gdy nasze komórki będą wymierać, wprowadzony materiał może, ale nie musi, je zastąpić. Lecz niektórzy z nas mogą stać się psychicznymi lub nawet fizycznymi potworami.

Parafrazując Jamesa Joyce'a: od tego może się sposepnieć, zabarwić się cały nasz hecnozwierzakowaty świat. Sposepnieć dziwną różnorodnością.

Nie wiemy, czy zmiana nabierze tempa, efekty staną się szerzej widoczne, tajemnica odsłoni się z powodu samego pędu pracy retrowirusa — czy będzie to subtelny proces rozłożony na dekady i stulecia. Możemy tylko czekać i patrzeć.

Tato uważał, że problem nie powstał wyłącznie z powodu teoretycznego błędu. Sądził, że ludzie w Wyvern — którzy testowali teorie mamy i rozwijali je, aż do stworzenia żywych organizmów — zawinili bardziej niż ona, bo odeszli od jej wizji w sposób, który wydawał się nieznaczny na początku, ale na końcu doprowadził do klęski.

Jakkolwiek byśmy na to patrzyli, mama zniszczyła świat taki, jaki znamy — ale mimo tego wszystkiego jest nadal moją mamą. Na pewnym poziomie to, co zrobiła, było spowodowane miłością, nadzieją, że zdoła uratować moje życie. Kocham ją tak mocno jak zawsze — i zdumiewam się, że zdołała ukryć przede mną swoją groźę i lęk podczas ostatnich lat mojego życia, po tym jak zdała sobie sprawę, jaki będzie ten nowy świat.

Ojciec był co najmniej nieprzekonany, że zabiła się sama, ale w notatkach przyznaje, że to możliwe. Uważał morderstwo za bardziej prawdopodobne. Chociaż zaraza rozsła się zbyt daleko — i zbyt szybko — by dała się powstrzymać, mama chciała w końcu podać do publicznej wiadomości całą historię. Może ją uciszono. To, czy zabiła się sama, czy próbowała stawić czoło wojsku i rządowi, nie ma znaczenia; tak czy siak, nie żyje.

Teraz lepiej ją rozumiem, wiem, skąd czerpię siłę — lub obsesyjną wolę — tłumienia własnych emocji, gdy nie potrafię sobie z nimi poradzić. Zamierzam to zmienić w sobie. Nie widzę powodów, dlaczego nie mógłbym być do tego zdolny. Zresztą to teraz zasadnicza cecha świata: zmiana. Nieustanna zmiana.

Chociaż niektórzy nienawidzą mnie z to, że jestem synem mojej matki, pozwala mi się żyć. Nawet ojciec nie bardzo rozumiał, dlaczego zapewniono mi tę dyspensę, biorąc pod uwagę dziką naturę niektórych moich wrogów. Jednakże podejrzewał, że mama wykorzystwała fragmenty mojego materiału genetycznego do stworzenia tych apokaliptycznych retrowirusów; stąd może klucz do cofnięcia lub przynajmniej ograniczenia zakresu klęski znajdzie się w moich genach. Krew pobierana co miesiąc nie służy, jak mi powiedziano, badaniom związanym z XP, ale do badań w Wyvern. Być może jestem chodzącym laboratorium: potencjalnie mam w sobie środek na tę zarazę — lub też środek krańcowego zniszczenia i koszmaru, które ona przyniesie. Tak długo, jak ukrywam tajemnicę Moonlight Bay i trzymam się zasad zarażonych, najprawdopodobniej pozostanę żywy i cały. Jeśli jednak spróbuję powiedzieć światu, niewątpliwie dokończę swoich dni w ciemnej podziemnej komorze pod polami i wzgórzami Fortu Wyvern.

Prawdę mówiąc, tato obawiał się, że i tak wcześniej czy później zaborą mnie, uwiężą i zapewnią sobie stałą dostawę próbek krwi. Będę musiał poradzić sobie z tym zagrożeniem, jeśli i kiedy się zrealizuje.

W niedzielne przedpołudnie i popołudnie, gdy burza przechodziła nad Moonlight Bay, spaliśmy — i koszmary nie zbudziły tylko Saszy.

Po czterech godzinach w wyrku zszedłem do kuchni Saszy i siadłem przy zasłoniętych żaluzjach. Przez jakiś czas przyglądałem się w półmroku słowom „Pociąg Tajemnica” na czapce, zastanawiając się, jaki jest ich związek z pracą mojej matki. Chociaż nie potrafiłem odgadnąć ich znaczenia, czułem, że Moonlight Bay jest nie tylko kolejką górską na drodze do piekła, jak twierdził Stevenson. Podróżowaliśmy ku tajemniczemu miejscu przeznaczenia, którego nie potrafiliśmy sobie wyobrazić. Może było to coś cudownego, a może znacznie gorszego niż tortury piekła.

Później wziąłem pióro, notatnik i pisałem przy świecy. Zamierzam notować wszystko, co przyniosą dni, które mi pozostały. Nie spodziewam się, by to dzieło kiedykolwiek zostało wydane. Ci, którzy pragną, aby prawda o Wyvern nigdy nie ujrzała światła dziennego, nie pozwolą mi pisać słowa. W każdym razie Stevenson miał rację; za późno na ratowanie świata. Zresztą Bobby przez wszystkie dni naszej długiej przyjaźni mówił mi to samo.

Chociaż nie piszę już z myślą o publikowaniu, ważny jest zapis tej katastrofy. Świat, który znamy, nie powinien odejść bez wyjaśnienia dla przyszłości. Jesteśmy aroganc-

kim gatunkiem, pełnym straszliwych możliwości, ale mamy też wielką zdolność kochania, przyjaźni, hojności, dobroci, wiary, nadziei i radości. To, jak zginiemy z własnej ręki, może być ważniejsze niż to, jak się w ogóle pojawiliśmy — co pozostanie tajemnicą, której nigdy nie rozwiążemy.

W miarę rosnącego zagrożenia będę starannie zapisywał wszystko, co wydarzy się w Moonlight Bay i w związku z tym w reszcie świata — chociaż niewykluczone, że to próżny wysiłek, bo pewnego dnia może zabraknąć kogoś, kto by to odczytał. Zaryzykuję. Gdybym był hazardzistą, założyłbym, że pewne zwierzęta wyłonią się z chaosu i zastąpią nas, staną się panami Ziemi, jak poprzednio my. Prawdę mówiąc, gdybym był hazardzistą, postawiłbym na psy.

W niedzielny wieczór niebo było tak niedosiężne jak twarz Boga, a gwiazdy tak czyste jak łzy. Nasz czwórka poszła na plażę. Pięciometrowe, zwalające z nóg szkliste monolity pędziły nieprzerwanie z dalekiego Tahiti. To było epokowe. To było tak pełne życia!

Nota autora

Radiostacja Moonlight Bay, KBAY, jest całkowicie tworem mojego umysłu. Prawdziwe KBAY znajduje się w Santa Cruz, Kalifornia, i żaden z pracowników radiostacji Moonlight Bay nie ma związku z byłymi czy obecnymi pracownikami radiostacji z Santa Cruz. Te literki zapożyczyłem z jednego jedynego powodu: były superowe.

W rozdziale siedemnastym Christopher Snow cytuje wers z wiersza Louisy Glück. Tytuł jego brzmi „Kołysanka” i jest w cudownym i poruszającym „Araracie” pani Glück.

Christopher Snow, Bobby Halloway, Sasza Goodall i Orson są prawdziwi. Spędziłem z nimi wiele miesięcy. Lubię ich towarzystwo i zamierzam spędzić z nimi znacznie więcej czasu w następnych latach.

SPIS TREŚCI

Część Pierwsza	4
Część Druga	31
Część trzecia	122
Część czwarta	156
Część Piąta	252
Część Szósta	272
Nota autora	305